

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

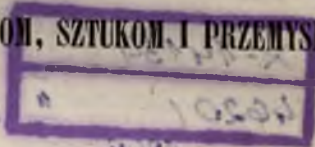
BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

4767/36

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.



1849.

Tom czwarty.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM XXXVI.

WARSZAWA.

W Drukarni Stanisława Strąbskiego,
przy ulicy Daniłowiczowskiej Nr. 617, w dawniej Bibliotece Żaluskich.

1849.

LIBRARIUM

WARSZAWSKA

4620.1849.4

II

X-14134
4620 / 1849 # 4.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.



30,000,-

WARSZAWA

77 Brzoziński Instytut Wydawniczy
 ul. Brzozińska 77, Warszawa, Polska
 1949

PODHALE I PÓŁNOCNA POCHYŁOŚĆ TATRÓW

CZYLI

TATRY POLSKIE.

PRZEZ

Ludwika Lejcznera.

(Dalszy ciąg).

Dolina Kościeliska. Otwór doliny Kościeliskiej nie zapowiada tyle niezrównanych piękności, ile istotnie w sobie mieści; podobny on jest do wyłomu skalistej ściany, którym pędzą przy zachodnim boku nurty Czarne Dunajca.

Skąły téj bramy bardzo dobrze znają Podhalanie i opowiadają o nich, że są zsympiskiem skamieniałego *jarcu*. I w rzeczy samej, wiele mają podobieństwa do kupy jęczmienia (*jarzec* u Podhalan). Bliżej jednakże rozpoznając te szczególne ziarno, przekonywamy się, że prócz ogólnego zarysu, nie mają do jęczmienia najmniejszego podobieństwa. Nie są to ziarna roślinne, ale znajome już *nummality*, należące do innego kulkowatego gatunku. Przy Zakopanem jest on soczewkowaty, płaski, po-

dobny do talara; ma wewnątrz owe zwinięte spiralnie linie, a pomiędzy niemi nieprzeliczone przegrody; powierzchnią zewnętrzną okrywają nieprzeliczone kropki. Gatunek płaski nazywa się *Nummulites laevigatus*; kulkowaty *N. scabra*. Te miryady skorup jakby na siebie zsypane, dowodzą, jak były licznemi owe zwierzęta żyjące w wodach, które osadziły warstwy dolomitu bramy Kościeliskiej. Czasem zawadzi się pomiędzy niemi dwuskorupna, jakoto: pecten lub ostryga, niewątpliwi mieszkańcy morza, i z tych skorup wnioskujemy, że wody morskie dały początek tym skałom, wznoszącym się 3,000 do 4,000 stóp nad terażniejszą poziom morza.

Dolina Kościeliska jest podług mego zdania najpiękniejszą ze wszystkich Tatrowych; a gdy ją porównywanam z najświetniejszymi alpejskiemi w Szwajcaryi i Tyrolu, nie mogę równiej znaleźć co do wspaniałości widoków, szczególnego kroju skał które ją otaczają, i tego niezrównanego wdzięku, który piórem kręślić niepodobna. Jeżeli niepospolitemi pięknosciami odznaczają się doliny *Val di Fassa* w Tyrolu południowym, albo dolina *Agno* pomiędzy Recoaro i Valdagno w Alpach Wicentyńskich, albo sławna dolina *Chamounix* w Sabaudyi, tyle przez podróżnych zwiedzana: to dolina Tatrowa posiada tyle wdzięku, że się z wszystkiemi równać może. Kto raz widział Kościeliską dolinę dobrze oświetloną promieniami słońca, widział co jest najpiękniejszego na świecie; nie można sobie wyobrazić, wymarzyć coś piękniejszego i doskonalszego od niej. Jak piosnka narodowa przemawiająca do duszy zawsze jest obecną, tak i dumając o pięknych krajobrazach, mimowolnie jakby jakie mary przesuwają się przed duszą to postaci skał,

te dumne szczyty, te łąki wiosennej zieloności, ubarwione najcudniejszego koloru kwieciami doliny Kościeliskiej.

Jak wszystkie doliny na północnej pochyłości Tatrów, tak i ta, której obraz zamierzam skręślić, jest potężną szczeliną, rozciągającą się z południa na północ, i równa się prawie co do długości z doliną Białki lub Wielkiego Koblbachu na Spizu. W różnych częściach jest zupełnie odmienną. Zrazu miła, nie zapowiada jednak tego, co się okaże, gdy postąpimy kilkaset kroków aż do małej grupy domów, pomiędzy którymi odznacza się skromny a chędogi domek leśniczego. Od kilkunastu lat jeden z jego mieszkańców zasadził przed drzwiami kilka lip; ale te drzewa nieco wyrosły, widocznie chorują, bo tutaj za zbyt ostry jest klimat dla tej rośliny, wymagającej nieco więcej ciepła. Dom ten leży 2,928 stóp paryskich nad powierzchnią morza, i w tej szerokości i wysokości, świerk, jodła i buk znajdują właśnie przychylną temperaturę, i rosną w całej sile i okazałości. Choć ta dolina tak jest powabną, trudnoby było nieco dłużej tu zostawać, gdyby tradycyjna gościnność leśniczych nie ustępowała podróżnym 3 do 4 pokoi, i nie przyjmowała ich do własnego stołu. W podobnej okolicy w Szwajcaryi, stałyby niezmiernych wymiarów pałace, zaopatrzone we wszelkie wygody życia, na jakie się tylko zdobyć mogą wielkie miasta, i przepelniałyby się w miesiącach letnich najwytworniejszym towarzystwem podróżnych. W Tatrach, zaledwie kilka osób spotykałem u leśniczego z niedalekich stron, używających żętycy, a rzadko zabłąkał się jaki podróżny dla poznania ich widoków.

Przed 20 laty dawny właściciel tej doliny p. Homulacz, zamierzał za skromnym domkiem leśniczego wy-

stawić wspaniały pałac; obszerne mury wzniesione pod pierwsze piętro, świadczą, że wielkość jego miała być niemałą. Jednakże śmierć przerwała ten godny pochwały zamiar; teraz 2 czy 3 izby urządzone w tych murach na mieszkanie, a reszta rozpada się w niezbyt malowną ruinę.

Niedaleko stoi kilka domków; pomiędzy nimi odznacza się jeden nie tak dla swego porządnego wejrzenia, jako raczej dla wygórowanej nędzy i tego ubóstwa, które właśnie wywołuje malowne kroje. Budynek ten posłużył niejednemu artyście do wydania nader ponętnego obrazu. Jestto nadzwyczajnie obszarpane domostwo, zawierające młot, w którym przerabiają surowo żelazo wytopione w Zakopanem na kute, i tym sposobem zużywają się drzewa, rosnące w rozległej dolinie Kościeliskiej.

Kiedy wszystkie pokoje do rozdania zdadne zajmą u leśniczego podróżni, wtedy mimowolnie trzeba szukać schronienia w naprzeciw młota stojącej karczmie żydowskiej. Zewnątrz jest ona dosyć pozorną i obszerną, ale w środku niech nikt nie pyta o czystość. Jednakże jestto miejsce, do którego wzdychają juhasy; długo żyjąc w odosobnieniu po holach, gdy się dostaną do niej, pomiędzy dawno niewidzianych znajomych i przyjaciół, przy palence i gęśli bawią się w najlepsze. Takto człowiek mało potrzebuje przyrządów do zabawy, jeśli ma do niej usposobienie wewnętrzne. W niskiej, brudnej izbie, przy ciemnej łojowej świeczce, znajdują górale tyle przyjemności, ile jój wydają najświetniejsze salony.

Do osobliwości Kościeliskiej doliny należy nadzwyczajnie mocne źródło, leżące niedaleko karczmy, przy piecu wapiennym. Na pierwszy rzut oka wydaje się,

jakoby to była mała sadzawka, zajmująca nieco więcej przestrzeni, jak sążeń kwadratowy; ale spokojność téj jak łąza przezroczystej wody jest tylko pozorną. Trudno znaleźć źródła bardziej poruszanego; z niezmierną wartkością płyną z niego dwa strumienie wprost przeciwne strony. Aby mieć wyobrażenie o ilości znakomitęj wody, wspomnę tylko, że jeden ze strumieni obraca koła młota żelaznego, a prawie zawsze zbyteczną jeszcze wodę trzeba upuszczać. Przestrzeń pomiędzy temi dwiema żyłami, uzupełniają pomniejszych źródeł, wpadające do głównego potoku, a pomiędzy nimi rośnie świeżej zieloności rzerzucha tak bujna, że na pierwszy rzut oka, wydaje się być nieznaną rośliną. To ze wszechmiar ciekawe źródło, również ważnem jest pod względem fizycznym. Chociaż ma bardzo stateczną temperaturę w miesiącach letnich, co w różnych latach uważałem, ta jednakże niższą jest, aniżeli na podobnej wysokości mają inne źródła, jak to wynika z przewidzianej skali. Obserwowane liczby najlepiej niech mówią o tém:

23 lipca 1839 r.	+4 ⁰ 23 C.
25 — — — — —	4 20
26 — — — — —	4 20
4 sierpnia 1840 r. rano . .	4 30
4 — — — — — wieczór	4 32
5 — — — — —	4 30
6 — — — — —	4 30
4 — — — — — 1841 r. —	4 20
5 — — — — —	4 20
9 — — — — —	4 36
11 — — — — —	4 35
25 czerwca 1843 r.	4 10
13 lipca — — — — —	4 30
15 — — — — —	4 30

10 września 1844 r.....	4°30 C.
11 — —	4 30
13 — —	4 28
24 październ. —	4 20

Średnie ciepło wynosi cztery stopnie i ćwierć, czyli $+4,27$ C. Na téj wysokości mają źródła $+5\frac{1}{2}^{\circ}$ C.; taką temperaturę pokazuje źródło przy piecu wapiennym Zakopanego ($+5,4$ C.) i wiele innych pomniejszych. Ta przeszło o jeden stopień niższa temperatura źródła Kościeliskiego ztąd pochodzi, że wody zasilające go, spadając z wyższych i chłodniejszych gór, nie trzymają temperatury poziomu doliny Kościeliskiej. Bezpośrednio bowiem nad niém wznosi się ściana wapienna 2000 stóp wysoka, stanowiąca jeden z boków wielkiego Uplazu, którego szczyty wyższe są jeszcze o 1000 stóp. Wody z takiej wysokości sącząc się przez nieprzeliczone szczeliny, tak pospolite w wapieniach, wypływają w dolinie, głównie zniżają temperaturę téj cudnej krynicy. Nie uważałem jednakże, aby wkrótce po deszczach a nawet po spadłych śniegach na tych szczytach, zniżenie ciepła wody następowało bezpośrednio; tylko podczas posuch widocznie ubywało jój, a strumienie z źródła płynące i mniej nagłe, i nie tak obfite były.

Jeden z najcelniejszych krajobrazów téj doliny, przedstawia się z domu leśniczego; niemasz wątpliwości, że dlatego założyciel jego tutaj się zabudował. Kilkaset kroków na południe, wznoszą się bezpośrednio nad doliną niezmierne ściany fantastycznie podarte, kończące się w licznych iglicach. Przez rozstąpienie się téj potężnej ściany, powstała dolina Kościeliska. W samym końcu w eterycznej dali, wznosi dumne czoło wspaniała Pyszna, mająca podobieństwo do dachu katedry gotyckiej.

Z jednej i drugiej strony Pyszny, sterczą również wysokie wirchy. Niekiedy wśród najcieplejszych miesięcy letnich, okrywają się te szczyty śniegiem, i wtedy przeciwieństwo powstające pomiędzy ich białością a zieloną murawą, ubarwioną najpyszniejszymi kwiatami, niemało przyczynia się do podwyższenia uroku tego obrazu. W tych przeciwieństwach właśnie leży ukryty wdzięk. Szczytność tego widoku jest skutkiem szczęśliwie zbiegających się w jedną całość wielu okoliczności: powstaje przez malowne ugrupowanie skał, najbujniejszą roślinność, i z tego czystego błękitu niebios, właściwego krajom włoskim. Tatry bowiem stoją na granicy pomiędzy szarawym błękitem nieba północnego, a lazurowym, południowym krajom właściwego. Podobnie jak w wielu innych dolinach, panuje tutaj uroczysta cisza, przerywana tylko szmerem sączącego się Dunajca. Krajobraz ten kąpiący się wśród lekkiego powietrza, dziwnie wpływa na usposobienie umysłowe; budzi niewymownie miły spokój duszy i tę harmonią, nieznaną ludziom rozzerwanym drobnostkami życia.

Ale wstąpmy do części zacieśnionej doliny. Kilkanaście kroków za naszą cudną krynicą pieca wapiennego, o której nieco obszerniej mówiłem, wchodzimy do ciśnień szczeliny, stanowiącej zupełnie odmienną część doliny. Odrazu zmieniają się widoki; nie mają one ani téj rozległości, ani tego majestatu, co nas tak przyciągał z domu leśniczego. Tu wszystko jest blizkie: szara skała uwieńczona zielonym krzakiem, często kwiat cudnej barwy, lub kupka trawki przyczepiona do skały, jak gdyby wyrastała z kamienia; wreszcie szmaragdowe wody, rozbijające się w piany jak śnieg białe. Postępując dalej,

co kilka kroków zmieniają się zarysy skał; jedna jest podobna do kury siedzącej na jajach. Opowiadali o niej juhasy, że tu zwykł był obiadować Janosik, tu nakazywał panom posyłać sobie najlepsze jedzenie, najkosztowniejsze wina. Po pół godziny drogi wśród nieustannej zmiany widoków, roztwiera się nagle obszerna kolistą dolina, prawdziwy cyrk; spód jego okrywa najcudniej tkany zielony kobierzec, a jakby dla ożywienia tego obrazu, widzimy rzuconych kilka szałasów, osłonięnych bujnemi ściwkami. Podobnie jak młot Kościeliski, domki te nader są malowne; i dziwna rzecz, że to pochodzi od téjże saméj przyczyny, co młotowi nadało tyle właściwości: od wygórowanego ubóstwa. Spoglądając na te mieszkania, zdaje się, że niepodobna aby człowiek w nich mógł zostawać, i że ich mieszkańcami nie są zastępujący drogę gościowi smukłe juhasy, którzy go witają przyjaznym wejrzeniem i bukietem z kwiatów, zebranych na szczytach hól. Szlachetna postawa, wyraz twarzy pełen inteligencyi każą powątpiewać, że to nie prości górale zrodzeni pod temi niebotycznemi holami; ale jestto czysty błąd. Sąto dzieci tych gór, tak dorodne jak ich kwiaty, odznaczające się żywością barwy i niepospolitemi postaciami; mianowicie pomiędzy niemi uderzają owe kutnerowate, siwe kwiaty, zwane od botaników *Gnaphalium leontopodium* (1); czasem przynoszą skorupy ślimaków, żyjących w tych holach. Ten sposób stawania się przyjemnym dla gości zwiedzających Tatry, przypominał mi żywo dolinę Chamounix w Sabaudyi, gdzie dzieci ofiarować zwykły przechodzącym przezroczyście górne kryształy, czyli kwarce, w nadziei otrzymania kilku groszy.

(1) Herbig, Addetamentum ad floram Galliciae. Leopoli 1831, str. 42.

Kolista część doliny Kościeliskiej, leży prawie w samym środku szczeliny; otaczają ją potężne, poszarpane, a malowne góry: ze wschodu olbrzymi kolczasty wirch, Saturnus. Zkąd poszła ta nazwa, nie mogłem się wywieździeć; zapewne nadał ją jaki zwolennik mitologii greckiej, i to w niedawnym czasie. Teraz znają ją wszyscy górale. Góra Saturnus jest zakończeniem potężnego grzbietu, łączącego się z Wielkim Uplazem. Widać to wyraźnie, wszedłszy do ciasnej, kamienistej dolinki, nazwanej Kraków, znajdującej się pomiędzy górą Saturnus, a holą Pisaną, która stanowi dalszą część boku doliny Kościeliskiej. Darmo pytałem się, dlaczego dolina tak się nazywa. Po nagich kamieniach trzeba było się w górę wspinać; wygładzone na wielu miejscach przez spadające wody potoku, powstającego w czasie deszczów, boki grzbietu Saturnusa przedstawiają obraz najwyższego zniszczenia. Pochodzi to od rodzaju skał, które go składają: jestto łupek margłowy, rozpadający się w drobne płatki, które ciągle na dół spadając, nie pozwalają zakorzenić się na tym obszernym boku nawet najmniejszej trawce. To kamieniste ruchome pole, przedstawia doskonały obraz zniszczenia.

Naprzeciw góry Saturnus jest obszerna, wesołą zielenością okryta dolina. W różnych miejscach na jej bokach są kopalnie wyborniej rudy żelaznej, czerwonej jakoby krew; jestto jednostajny niedokwas drugi żelaza, od niemieckich mineralogów nazywany *Blutstein*, tworzący potężne soczewki w szarym wapieniu.

Z boku południowego, naprzeciw szalasu, tryszcą w tej kolistej dolinie nieprzeliczone źródła, płynące żyłami grubemi jak ramię; miejscami tworzą prawdziwe płaszczyny spływającej wody.

Dalsza część doliny Kościeliskiej jeszcze jest węższą, i stanowi istotną szczelinę; lecz jej ściany nie są tak wysokie, jak na początku przy domie leśniczego; dzielą się w ustępy, w prawdziwe progi. Postąpiwszy około 200 kroków, przybývámy do potężnego źródła, wypływającego jako znaczniejszy strumień ze skały wapiennej. Źródło to pospolicie uważają za początek Czarnego Dunajca, Podhalanie zaś nazywają je źródłem w Pisaniej, albowiem rzadko kto opuszcza je bez wyrycia swego imienia lub cyfry na skale, mającej szczególnie wielką powierzchnię, dającą się rysować. Ta okoliczność dała początek tej niezmierniej ilości napisów. Jak daleko sięgnąć można, okrywają tę skałę imiona gości zwiedzających Tatry; ale jeżeli miejsca braknie, następcy ściągają napisy swych poprzedników, aby doznać tego losu za parę lat. Ten strumień nie jest początkiem Dunajca, ani nawet zwyczajnym źródłem, ale przepływem podziemnym części Dunajca; postąpiwszy bowiem sto kroków w górę doliny, spostrzegamy jak jego część ginie w podziurawionych skałach, a rzeka zmniejsza się widocznie. Że tak jest w istocie, przekonałem się innym sposobem, to jest przez mierzenie temperatury tego mniemanego źródła Dunajca. W dniu gorącym, wypływająca woda bywa o kilka stopni cieplejsza, aniżeli w dżdżystym i chłodnym. I tak, po deszczach mierzylem wody tego strumienia: pokazywały 24 lipca 1839 r. $+ 5^{\circ},70$ C.; następnego dnia była pogoda, słońce mocno dogrzewało i podniosło jego temperaturę do $7^{\circ},40$ C; następnego roku mierzylem w dniu 4 sierpnia i znalazłem po deszczu $5^{\circ},10$ C. W zimie gdy zamarza rzeka, ustaje i to źródło, czemu nie zwykły dobre źródła ulegać; płyną one prawie z jednakową temperaturą tak wśród

największego skwaru, jak podczas mrozów, albowiem wskazują średnią temperaturę miejsc. Takie przepływy podziemne na większy wprawdzie wymiar, nader są pospolite w Alpach karyntskich; podczas pory dżdżystej, bywają nierównie pełniejsze, aniżeli w suszach; téj przyczynie wypada tylko przypisać napełnianie się wodą sławnego jeziora Cyrknickiego niedaleko Tryestu, milę długiego, a przeszło ćwierć mili szerokiego. W czasie lata, jezioro Cyrknickie zupełnie jest suche: rolnicy z poblizszych siół dno jego orzą i zasiewają, i właśnie tyle jest czasu, iż zasiewy dojrzewają i dają się zebrać; ale potrzeba się spieszyć, bo gdy pora właściwa następuje, wtedy z podziemnych kanałów dobywają się wody, okrywające cały spód jeziora i przez zimę też wypełniają.

Gdy niema najmniejszej wątpliwości, iż strumień płynący z Pisanéj nie jest istotném źródłem Dunajca, tylko przepływ; istotnego początku szukać trzeba raczej w wirchach, otaczających dolinę. Część jéj zwężona jest istotną szczeliną i ciągnie się znowu pół godziny. W téj części niema tak uderzających widoków, ale zato nader są one przyjemne; droga przenosi się raz wraz z jednego boku na drugi, a nieprzeliczone mosty łączą je z sobą. Odmienne skały występują w téj części doliny: szare wapienie zastępują twarde piaskowce, przepelnione miejscami skorupami wielkich muszel. I znowu szeroko roztwiera się dolina; widoki w tém zakończeniu kolistém doliny, odznaczają się rozległością, są obwiedzione przytém potężnymi wirchami Pyszny, Wysokiéj, Smre czyny, Tomanowa. Nie jestto płaszczyna, ale przestrzeń bardzo nierówna, poprzerzynana głębokimi, naciętymi szczelinami, środkiem których płyną bystre strumienie. Cały ten koniec doliny okrywają gęste lasy. Kto pier-

wszy raz znajdował się w górach, patrząc na te potężne wirchy, sądzi, że tuż jest przy nich; ale to czyste złudzenie: do stóp najbliższego trzeba jeszcze postępować dwie godziny, do innych więcéj. Złudzenie to sprawia zapewne znaczna przezroczystość powietrza, nierównie większa, aniżeli na równinach.

Od roztwarcia się doliny na zachód, ciągnie się skalista dolinka, albo raczej szczelina zwana Iwanówka, którój środkiem płynie mały strumyk, stanowiący jedno z ramion Czarnego Dunajca, poczynający się na przełęczy 4400 stóp wysokości, przez którą prowadzi droga do doliny Staréj Roboty. Przełęczami nazywają tu siodła łączące dwie góry; słowo to zupełnie nieznanne pomiędzy Podhalanami, zdaje się być tłumaczoném, i dlatego warto by było, iżby je zastąpił rodzimy wyraz, powzięty z życia ludu. W pobliżu przełęczy Iwanówki, na przyległej górze Ornak, są opuszczone kopalnie, nazywane Dziewiąta Bania i Czarna Bania. Znajdują się one w gnejzie, skale zupełnie podobnej co do części składowych do granitu, różniącój się tylko większą ilością domieszanej miki, podzielonój w warstwy. Kilka otworów, a przy nich leżące kupy kamieni coraz wyżej jedne nad drugimi, objaśniają, co za kruszce tu kopano; byłto minerał zwany panabazem, rozsiany w drobnych ziarnkach w białym kwarcu, zawierający w sobie miedź, połączoną ze siarką i innemi metalami. Panabaz (Fahlerz u niemieckich mineralogów), nie był dotychczas rozkładanym, i nie wiadomo, czy nie zawiera w sobie części srebra, pospolicie domieszanych w tym mineralu. Z rozkładającego się panabazu, powstają dwa nowe minerały: malachit i miedź lazurowa. Prócz panabazu w większych massach, znajduje się gruboziarnisty węgiel żelaza koloru

szamoa; jedna z najcenniejszych rud żelaznych, z której na Węgrach i w Styryi wyrabiają najwyborniejsze żelazo. Nie wiadomo, kiedy w téj kopalni pracowano, ani dlaczego ją opuszczono. Podhalanie nie objaśnili mię w tym względzie; prawili tylko jakieś niepewne wieści o starym królu, który w Kościeliskach bił pieniądze.

Długi grzbiet Ornaka, styka się z Pyszną tam prawie, gdzie inna przełęcz łączy go z górą Szczyt. Na każdą z nich najłatwiej tędy wstępować; można to nawet wykonać konno.

W samym końcu doliny Kościeliskiej, pod stopami Pysznej, są ślady rozległych kopalń, zwanych Na Kunsztach. Postępując za potoczkiem od początku rozwarcia się doliny, widać wielkie kupy żuzli: sąto reszty dawniej huty. Pokazują tam miejsce, gdzie stał młyn do mieleńia rudy na proszek. Dalej postępując, pod samą prawie Pyszną, znajdujemy cztery potężne doły, a przy nich wielkie kupy kamieni, zaświadczające, że tu odbywały się roboty podziemne w wielkich wymiarach. Potwierdzają to powieści mieszkańców o łańcuchach dwieście sążni długich, któremi wyciągano miedziankę i srebro za pomocą kunsztów czyli wielkich kół, obracanych wodą. Wiarogodni ludzie opowiadali mi na Węgrach, że jeszcze na początku tego wieku towarzystwo z Lubowli dobywało tutaj kruszce; nie mogłem się dowiedzieć o przyczynie zarzucenia téj kopalni. Wyciągano srebro i miedź z minerału, zwanego panabaz, rozrzuconego w białym kwarcu i takiéże barwy siarkanie baryty w pobliskich hutach. Pokład ten nie znajduje się jednakże jak poprzedzające w gnejzie, ale w łupku talkowym, skale odznaczającej się na Węgrach nadzwyczajném bogactwem metaliczném; i prawdziwie uderza-

jąca jest rzeczą, że gdzie się tylko pokaże, tam towarzyszy obfitość metalów. W jednym miejscu w Tatrach, skała to tworzy znaczniejszą masę i wszystko świadczy, że w niej znajdowały się najznakomitsze kopalnie.

Około tysiąc kroków od Kunsztów, pomiędzy wido-
cznie malejącymi świerkami, okrywa się ziemia nadzwyczajnie gęsto zielem czarnej jagody, czyli jafrem Podhalań; tutaj stoją szalasy pyszniańskie, gdzie z młéka owczego wyrabiają jak najlepszą bryndzę; albowiem owce żywiąc się po najwyższych szczytach, jedzą nader aromatyczne zioła. Odtąd wznosi się nader stromo bok góry prowadzący do przełęczy, łączącej dwa potężne szczyty: Pyszny i Wysokiéj. Przełęcz ta leży bardzo wysoko, to jest 5,457 stóp nad poziom morza. Odtąd nierównie łagodniéj wznosi się sam szczyt Pyszniéj, będący właściwie długim grzbietem, podobnym do dachu katedry gotyckiéj. Na samym jego wierzchu, mieli inżynierowie, odbywający roboty tryangulacyjne Tatrów, piramidę, i na tym punkcie zawiesiłem mój barometr, który okazał, że Pyszna jest 6,943 stóp wysoką. Gdyśmy wstępowali na tę wspaniałą górę, słońce przyświecało najpiękniéj; szczyty od północy bawiły nas swemi śmiałemi kształtami; Kościeliska dolina zupełnie się odmieniła; formy gór były nie dopoznania i dumaliśmy wiele nad tą zmianą, przez parę godzin, potrzebnych do ustawienia i poczynienia obserwacyj na barometrze. Wtém od północy nadciągnęły ku nam pojedyncze obłoczki; zbliżając się do tych potężnych wirchów, gwałtownie, prawie konwulsyjnie były przyciągane, podobnie jak przyciąga magnes żelazo; wkrótce wypełnił obłok (będący niczém inném jak gęstą białą mgłą) to dolinowate zagłębienie, pędzony silnemi wiatrami. Raz wraz obłok

jeden za drugim następował, i w różnych odstępach czasu powtarzało się to zjawisko; każdy ginął gdzieś w Liptowskiej dolinie. Kiedyśmy wracali, na długim grzbiecie Pysznej okazał się nam jeden z najszczerzej gólniejszych fenomenów optycznych. Właśnie wypełniała gęsta mgła dolinę, ciągnącą się na wschód od Pysznej, czasem nawet zachodziła na nasz grzbiet; było to godzina popołudniowa, a słońce od zachodu rzucało skośne promienie. Nagle przewodnicy na przodzie idący zaczęli głośno wołać, wskazując na dolinę w mgle zanurzoną. Zbliżywszy się do nich, spostrzegliśmy, że każdego człowieka cień pokazywał się w odległości w mgle, obwiedziony kolorami tęczy; jednocześnie uważałem niekiedy 4 do 5 podobnych obrazów. Zjawisko to było najwyraźniejszym wtedy, gdy człowieka, którego obraz okazywał się, odziała lekka mgła. P. Bönisch mój towarzysz podróży na Pyszną, znakomity malarz krajobrazów z Berlina, z właściwą sobie sztuką olejno wymalował i zrobił obraz mistrzowski tego optycznego zjawiska. Kolory tęczy nie były tak jasne, jak podczas deszczu, ale dokładnie można było je poznać. Przyczyna tego zjawiska zapewne jest też sama, co podczas deszczu; krople wody zastępować musiały wtedy owe nieskończenie małe pęcherzyki wypełnione powietrzem, stanowiące mgłę.

Aby nie być mgłą otoczonym, i nie błądzić po niewyraźnych ścieżkach, poradzili nam przewodnicy zejść po przeciwnym grzbiecie Pyszny czyli po zachodnim; tymczasem coraz gęstsza mgła od północy nadciągająca, okryła szczyt Pyszny i coraz niżej opadała. W jednej chwili, już o kilka kroków odległych przedmiotów nie można było rozpoznawać; przewodnicy nie poznawali dobrze

im znajomych perci (ścieszki), i zaczęliśmy błędzić na wysokim grzbiecie, chodzić tam i napowrót. Przestrzenie wydawały się nam niezmierne, obawa zwiększała je niesłychanie. Aby się nie zapuścić zadaleko na zachód i nie zejść do innej doliny, zaczęliśmy się spuszczać prosto z góry. Część ta boku Pyszny jest nader stromą, nachyla się bowiem przeszło 45° , często pod jeszcze bardziej ostrym kątem, i wtedy potrzeba było trzymać się rękoma wątlęj trawki. Po półgodzinnéj, nadzwyczajnie moloźnéj drodze, przybyliśmy na mniej pochyły bok, a po drugiej pół godzinie wyszliśmy z mgły, w której zanurzyły się wszystkie szczyty. Dnia następnego wstępując na przyległą górę Ornak, poznaliśmy całą wielkość niebezpieczeństwa, na które byliśmy wystawieni przy schodzeniu. Niemasz wątpliwości, że w dniu jasnym niepodobną byłoby rzeczą zejść z tak stromej boku; tylko w nieznajomości niebezpieczeństwa wykonać to było można. Od stóp aż do wierzchu składa się cała masa Pysznej z łupku talkowego; przy wierzchu wydaje się ta skała odmienną. Talk, jeden z minerałów wchodzących do jej składu, bywa w wielkich białych ziarnach, a że jest mniejszy od kwarcu tworzącego z nim mieszaninę, wystawiony na działanie powietrza wypada, i ztąd powstaje powierzchnia téj skały nadzwyczajnie chropowata. Łupek talkowy Pysznej, tworzy jakby klin wśród głównego łańcucha, który nazywamy Tatrami. Przewodnicy wskazywali nam na wielu miejscach wśród téj moloźnéj podróży na szczyt Pysznej, gdzie się znajdują żyły srebra i miedzi, ale w miejscach tak trudno dostępnych, że dotąd mało co zostały poznane. Jeżeli te pokłady nie okażą się nader bogatemi, niemasz nadziei, iżby tu kiedyś powstały kopalnie; wyjąwszy, jeżeli się ktoś

znajdzie, co każe tutaj kopać wymienione metale po cenie dwa lub trzy razy tak drogiej, jak je można nabyć na wielkich targach Europy.

Z Pyszną, łączy trójkątną górę Szczyt potężna przełęcz. Góra ta zdaje się być nieco wyższą od Pysznej, i zapewne do 7,000 stóp dochodzi. Dotąd nie jest wymierzona. Z północnej strony sterczy nad doliną zwaną Stara Robota, z południowej nad doliną węgierską, zwaną Raczkową. Ze Szczytu nader rozległy otwiera się widok na zachód i południe, gubiący się pomiędzy nieprzeliczonemi wierzchołkami Orawy i Liptowa. Pod samym wierzchołkiem, składającym się z łupka chlorytowego, w północnej stronie, w nader stromym boku, znajduje się pokład rudy miedzianej. Miejsce to wszakże tak jest niedostępnem, iż nie ma nadziei, aby tutaj również kiedyś znaczniejsza kopalnia powstała.

Ze wschodniej strony łączy się Pyszna również ze znaczniejszą górą 6,642 stóp wyniesioną, nazywaną Wysoka od Liptowa, a Babie Nogi z strony Podhala. Boki jej wznoszące się bardzo zwolna, okrywa gęsto bujny sywar. Góra ta składa się z gnejsu znakomicie odtąd rozwiniętego; dalej na wschód, nadzwyczajnie głęboki parów, rozpruł bok jej północny, z kąd powstały prostopadłe ściany, a na spodzie leżą niezmierne głazy gnejsu, przedstawiające obraz dzikich sił natury jeszcze okropniejszy, aniżeli w dolinie Kasprowej. Gdyśmy się zbliżali na wierzch Wysokiój, na samym czubku stał oparty na swój siekierce juhas, wodząc wzrokiem po obszernym krajobrazie: olbrzymie dzieła Stwórcy, budziły w nim szlachetniejszą stronę naszej duszy, egzaltacją dla tego, co jest szczytnem. Zastaliśmy go głęboko zadu-

manego. Nie można sobie wystawić wyższej radości nad tę, gdy nas spostrzegł, i wszystko czynił, aby się przypodobać: witał z najwyższém uniesieniem, najchętniej nazywał swe góry, wskazywał sioła i miasteczka liptowskie. Niewygaste pozostało dla mnie nazawsze wspomnienie owego prostego pasterza, tak uniesionego otaczającém go przyrodzeniem.

Góra Smreczynny jest następną z opasujących kołem dolinę Kościeliską. Nie można wprost na nią wstąpić z góry Wysokiej, dla zbyt stromych skał; trzeba się więc spuścić do doliny Kościeliskiej i wziąć się nieco na lewo. Droga prowadzi około małego stawku, zwanego od téj góry smreczyńskim, 3,892' wysoko położonego. Otaczające ten staw skały bardzo są kruche, rozpadły się w piasek, a na nich rosną skarłowaciałe świérki; ziemię zaś nie okrywają trawy, tylko bujny jafer, przeszło stopę wysoki. Zdawałoby się, że na tak bujnej roślinie, powinna być nader wielka obfitość czarnych jagód; ale zupełnie przeciwny jest przypadek: roślina wysiliwszy się, wydała łodygi i liście, a owoców nie ma. Na téj wysokości, wszędzie w całych Tatrach ciągnie się ta roślina pasem zawsze również bujno. Staw smreczyński jest malém, okrągłym jeziorkiem, mającém około 1,300 stóp w obwodzie. Z wysokości boku Pysznój, wydają się jego wody czarne jak smoła, jak świecące oko. Zapewne dla tego podobieństwa powstały, jak już wspomnieliśmy, owe nieprzeliczone powieści w Tatrach i całej Słowaczynie węgierskiej o morskich oczach. Bliżej przypatrując się téj wodzie spostrzegamy, że ma kolor brunatny; zdala wydaje się czarniejszą w skutku działań optycznych. Barwa ta pochodzi od torfu będącego na spodzie. Nie ma wątpliwości, że to jest bardzo

plytkie, bagniste jezioro; tymczasem Podbałanie wiele umieją opowiadać o niezmiernej jego głębokości. I tak: raz jednego, chłop pasający blisko niego swe bydło, chciał sobie zrobić z niego pastwisko, i rów zaczął kopać, by je spuścić; wtedy dał się słyszeć kopiącemu groźny głos z głębi jeziora: „Nie kop, bo jak mię spuścisz, to niezmierne ilości mojej wody zaleją wszystkie wioski i miasta aż do samego morza“. Przełknięty zaprzestał tego i dotąd jest nienaruszonym. Widok na północ od tego jeziora ku tej potężnej szczelinie, stanowiącej dolinę Kościeliską, ze wszech miar jest szczególny, i nie bez właściwego wdzięku. Boki gór Smytnia, Pisaniej i Stoly, schylają się do siebie, tworząc kąt rozwartoty. Boki ich okrywa kobierzec tkany z traw świeżej zieloności, a w odstępach mniej więcej równoległych, sterczą rzędami kolczate skały wapienne, miłej szarej barwy. Gdzie te rzędy są blisko siebie, tam wydają się jakby gęste ostrokąty, przenoszące się od spodka aż do szczytów, gubiących się w obłokach. Niektóre rzędy skal przecinają pod kątem prostym, a zielone murawy są jakby ogrodzone.

Od tego jeziora łatwo wstąpić na szczyt Smreczyński, podobny do płaskiej piramidy, mającej po każdej stronie wyskok. Aż prawie pod szczyt postępowaliśmy po twardym, nieużytecznym, czerwonym piaskowcu; wierzchołek zaś najwyższy Smreczyński, zwany Czuba nad Zakosem, 6,375 stóp wysoki, składa się całkiem z gnejsu.

Wreszcie cyrk ten potężny, zakończy znakomita góra *Tomianowa Polska*, już nieco niższa od poprzednich, wznosi się bowiem 6,080 stóp. Góra ta, jak poprzednia, składa się z gnejsu. Pomiędzy Smreczynami a To-

manową Polską, stérczy w środku góra Hlinik, nad doliną tegoż imienia, rozciągającą się już na stronie liptowskiej, a odznaczającą się nadzwyczajnie bujną trawą, okrywającą boki i spód. Odpowiednie wcięcie, jak w przeciwnéj stronie zachodniéj w dolinie Iwanówki, łączy górę Tomanowa Polska z Smytnią; ale wcięcie to leży znacznie wyżej, bo 5,019 stóp nad zwierciadłem morza. Tędy prowadzi droga do najobszerniejszój podłużnéj doliny Tatrowéj, Wiercicha zwanéj, rozciągającéj się odtąd aż pod Krywań i Świnnicę. Wyniosłe szczyty zasłaniają to potężne zagłębienie od wiatru, a mianowicie od północnego, a do tego gęste deszcze i obfite rosy, sprzyjają téj nadzwyczajnie bujnój roślinności. Ile razy tutaj byłem, zastawałem krzaki i drzewa gęstym liściem okryte, i trawy nadzwyczajnie wysoko wyrosłe. Juhasy zwykle przynosili, gdym odpoczywał w szałasie w połowie sierpnia, nader okazałe maliny, jakby wypielegnowane przez najstaranniejszego ogrodnika.

Około 300 stóp niżej od przełęczy, już na stronie węgierskiej, dobywają się z wapienia liczne źródła; najcenniejsze nie miało téj stateczności temperatury, którą poznaliśmy w powyższych; okazywało bowiem w dniu 10 sierpnia 1841 r. $+3,6^{\circ}$ C.; a w dniu 11 września 1844 r. tylko $2,35^{\circ}$ C. Nie ma wątpliwości, iż go zasilają wody, sączące się z gór wysokich. W czasie pierwszego pomiaru był dzień gorący, a podczas drugiego, nieustające deszcze tego lata i brak dni pogodnych, wpłynęły zapewne na to niżenie.

Dolina Wiercicha, którą Sydów błędnie nazywa Tychy Thal, zapewne Cicha dolina, jest około milę długa, i ciągnie się wzdłuż gór, rozciągających się pomiędzy stawami Gąsienicowemi a Wielkim Uplazem, czyli po-

między Zakopanem a Kościeliskiem. Dolina ta pod względem geologicznym, należy do najciekawszych w całych Tatrach: rozstrzyga bowiem, że skały krystaliczne, uważane kiedyś za pierwotne, za powstałe przed wszystkimi innymi, są bardzo późnemi. Gnejsz i granit leżą na wapieniu, którego warstwy zapadają na północ pod znacznym kątem. Fenomen ten dowodzi, że te dwie skały są późniejsze od spodniego ogniwa formacji Jura, zwanego liasem, i uważać go można w każdym potoku nacinającym potężny grzbiet, a rozciągający się pomiędzy Bieskidem a Kondratową. Przeciwny bok czyli południowy doliny Wiercichy, składa się ze samego gnejszu i granitu, ze skał ogniowego początku.

Słaby tylko obraz dałem tych niezrównanych piękności doliny Kościeliskiej, tych poważnych wirchów, wznoszących swe niebotyczne czoła w krainę obłoków, i jakby dumnie spoglądających na wapienne góry rozpostarte u ich stóp, przerywane dolinami, których spadem toczą się jak łaza przezroczyste wody, rozbijające się po skałach na ich dnie rozrzuconych w śnieżne piany. Jakby dla odebrania dzikości tym dziwnie poszarpanym skałom, występuje w całej tej dolinie nader bujna roślinność z niezwykajnie pięknymi kwiatami, często cudnej woni. Wśród tej bogatej roślinności, nie ma wszakże odpowiedniej ilości zwierząt i ptaków. Na wysokich wirkach, pojawi się czasem kozioł dziki lub sarna; ptactwa nader jest mało. Pochodzi to zapewne od mnóstwa pasterzy, zostających tutaj w miesiącach letnich, którzy chwytają wszystko co tylko żyje. Niemalże przyczynia się do swobodnego pobytu w tej dolinie owo czyste, a lekkie powietrze; wartość jego dopiero wtedy cenimy,

gdy go nie ma. Ale trzeba opuścić te strony uroku pełne „rozkoszne doliny zostawić szczęśliwym”.

Dolina Chochołowska jest ostatnią doliną Podhala polskiego, gdyż dalej na zachód, za jej bokiem zachodnim, już są kraje węgierskie, Orawa, czyli *Comitatus Arvensis*. Więcej jak godzinę trzeba postępować od bramy skalnej, stanowiącej otwór doliny Kościeliskiej aż do miejsca rozpoczęcia się wielkiej doliny Chochołowskiej. Prawie w środku tej drogi jest mała dolina Lejowa, mająca także otwór wązki i skalisty, która początek bierze w wapiennej holi zwanój Stoły. Boki i spód tej doliny, okrywają gęste czarne lasy świerkowe, i dlatego kiedym do niej wejrzał, ogarnął mię jakiś niewymowny smutek, bo wydawało się, że się kirem okryła; na wysokościach tylko sterczą pojedynczo siwe skały w pośrodku czarnego kobierca drzew. Brama wapienna Lejowej, składa się z jasno-szarój, dolomitowój skały, z rozrzuconemi płaskimi nummulitami, do talarów podobnych.

Z wielu względów odmienną jest dolina Chochołowska od innych Tatrowych; nie ma ich zwyczajnego kierunku z południa na północ, bo ciągnie się tylko ku południo-zachodowi, a boki otaczające ją są niskie, pokryte trawą i drzewami. Dalej w głąb doliny postępując zwęża się widocznie, i w tym stosunku wznoszą się boki i pojedyncze skały z nich wyskakują. Postąpiwszy dobre pół godziny, przybywamy do nieprzeliczonych źródeł, położonych na boku wschodnim; niektóre tak są silne, że dają początek małym strumieniom. Ale cała świetność doliny tej pokazuje się dopiero, postąpiwszy jeszcze z pół godziny. Nadarmo szukałby kto owych miłych widoków doliny Kościeliskiej, co jej nadały tyle uroku; w Chochołowskiej przeciwnie wszystko jest wspaniałe

i olbrzymie; zadziwia ona i wprawia w omamienie, a człowiek widzi swą małość w obliczu tych potęg przyrody. Kilka potężnych szczytów wznoszących swe dumne czoła w krainę obłoków, tak wydają się strome, że powątpiewamy, iżby wstąpić można było na ich wierzchołki.

Polana Chochołowska nie znajduje się na równinie; rozciąga się ona na lekko nachylonym boku, i ma nieprzeliczone szalasy i szopy, przeznaczone do chowania siana. Podhalanie raz tylko na rok koszą siano i to odbywa się na początku sierpnia; wtedy gazdowie z czeladką przybywają na tydzień do hól, a wysuszywszy je, każdy chowa do własnej szopki. Tak zostawiają siano aż do zimy, a w dniu oznaczonym, wybiera się cała wieś do hól, i na sankach zwozi do domów; inaczej niepodobnąby było rzeczą dostać je do wiosek, dla nadzwyczajnie złych dróg. Od polany Chochołowskiej rozchodzą się promienisto jakby jaki wachlarz trzy wielkie doliny, zwane: Chochołowska, Jarabcza i Trydniowiańska; nad każdą wznosi się w środku potężny wirch, uwieńczony koso-drzewiną i obłokami. Nie dochodząc do polany Chochołowskiej, jest niezbyt widoczny otwór, prowadzący do znakomitój doliny, nazwanój Stara Robota.

Dolina Stara Robota ma boki nader strome, a w spodzie jój, prawie nie ma drogi do przejścia, bo całą przestrzeń zajmuje strumyk, spadający w kaskadach z niezmierną bystrością z potężnego wirchu, nazwanego Szczyt, téjże wysokości co Pysznej, a może jeszcze o parę set stóp wyższego. Na najwyższój wysokości wirch ten ma zupełne podobieństwo do piramidy; składa się z łupku chlorytowego ze śladami rud miedzianych, ale w tak trudno dostępném położeniu, że nie ma nadziei, aby kiedyś mogła się kopalnia znacznie rozwinąć, mianowicie,

że te pokłady nie należą do rzędu bardzo bogatych. Ta ze wszech miar ciekawa dolina, zupełnie zapomniana, była kiedyś bardzo głośną; teraz znają ją tylko pasterze pasący owce po jej stromych bokach. Nazwa jej pochodzi od starożytnych, oddawna zarzuconych kopalń w górze Baniste; o ich starożytności krążą pomiędzy ludem fantastyczne powieści. Mój przewodnik opowiadał mi, że „ośm sto roków w niej pracowano i już ośm sto roków minęło, jak zaprzestano kopać; niezmierne skarby dobyli ich dziadowie”. Sztolnia w tej kopalni była 300 sążni długa, przewierciła cały grzbiet i kończyła się w znaniej nam kopalni w Kościeliskiej dolinie, zwanój Dziewiąta Bania. Przy otworach sztolni, jedna nad drugą wznoszących się, leżą wielkie kupy kamieni, wydobyte przez roboty górnicze. W nich wynalazłem też same minerały, które w Kościeliskiej kopalni poznaliśmy, to jest panabaz rozsiany w białym kwarcu; zdaje się, że te minerały znajdowały się w żyłach w gnejzie. Za pomocą barometru okazało się, że kopalnia Starój Roboty leży 4,850 stóp nad zwierciadłem morza. Pomimo tego wyniesienia i trudności w dostępie podczas pory zimowej, widać, że kopalnia ta musiała być znaczniejszą, albowiem dotąd zachowała się jeszcze dobra droga do niej prowadząca. W roku 1847 na nowo rozpoczęto w tej kopalni pracować, ale już nie wydobywano miedzi i srebra, ale żelazo dla zakładów hutniczych Rothschilda, założonych niedawno w Suchej i Makowie.

Doliny Trydniowiańska, Jarabcza i właściwa Chocholowska bardzo są do siebie podobne; boki ich są nader strome, granitowe; nie odznaczają się temi malowniczymi widokami, które tyle wdzięku nadają dolinom, mającym boki złożone z wapienia. Nad każdą wznoszą się

niezmierne wirchy, kąpiące swe czoła w eterycznych wysokościach. Strumienie mniej więcej znaczne, spadają środkiem każdej. Nad doliną Trydniowiańską, wznosi się granitowa góra Kopa, 5,386 stóp wysoka; nad Jarzębczą, góra Uplaz, 6,132 wysoka, a nad Chochołowską Hruby Wirch, ze wszystkich najpotężniejszy, bo 6,501 stóp wysoki. Góra ta składa się z łupka talkowego, granitem otoczonego. Na pochyłości północnej, spuściwszy się przeszło tysiąc kroków, ciągną się dwie żyły kwarcowe, do murów białych podobne. Gdyby w Tatrach powstała fabryka szkła, zapewne byłby to nader pożądany materiał. Wyrób dobrych szkieł zasadza się głównie na kwarcach, niezanieczyszczonych żadnym metalem.

Daliej na zachód w Tatrach, jest ostatnia wielka dolina, zwana doliną Rohaczów, znajdująca się już w hrabstwie orawskim, którą opiszę później.

Rzeka Chochołowka licznymi strumieniami powiększywszy się, wypływając z wysokich gór, ciągnie się prawie pół mili aż do zejścia się z Czarnym Dunajcem, który odtąd zostawszy znaczniejszą rzeką, zmierza prosto z południa ku północy. W tej przestrzeni, leży kilka znaczniejszych wiosek aż do wsi Czarny Dunajec, która zamienia się już w miasteczko. Pierwsza wieś jest Witów, za nią Chochołów 2,293 stóp wyniesiona, dosyć porządna, mająca w środku rynek, na którym odbywają się znaczniejsze jarmarki; dalej Koniuszki, Pod Czerwone i Czarny Dunajec, jedna z najznakomitszych wiosek na Podhalu; domy jej liczne i porządne, tworzą prawdziwe ulice. Jestto miejsce, w którym odbywają się znaczne targi na płótno, wyrabiane na Podhalu. Przybywają tu po nie kupcy węgierscy, zamieszkali po-

większej części w Orawie, sprzedając ten towar w głębokich Węgrach, gdzie się nie udaje uprawa lnu. Po większej części płótna są bardzo grube: za sztukę o 60 łokciach, płacą od 21 do 42 złotych; droższych niewiele bywa dostarczanych. Pomimo tych niskich cen, wioska ta widocznie się wzmacnia; mieszkańcy mają obszerne a porządne domki, wszystkie wystawione z okraglaków. Gdzie okna są okratowane i większe, można być pewnym bogatszego właściciela, zamożniejszego kupca lub tkacza. Wnętrze ich domów również jest ujmującym, a po ich powierzchowności, czystości obok wygod, nawet pewien rodzaj zbytku można dostrzegać. W Czarnym Dunajcu znajduje się nawet kramarz, sprzedający wszystko, jak się oświadczają Podhalanie; trudno powiedzieć czego u niego nie ma, gdyż znajdują się świece stearynowe, sér, cukier, sukna, różne bawelniane materye, kosy, sierpy i wiele innych rzeczy, które ani by kto pomyślał, by się znaleźć mogły w tak pozornie dzikich okolicach.

Odtąd Czarny Dunajec zwraca się na wschód, prawie pod kątem prostym, i przepływa przez owe niezmiernie pokłady torfu, sięgające aż do Ludzimierza: kolor jego wód cudnej zieloności, zmienia się w brunatnawy, a zdala widziany, wydaje się czarnym, i ztąd pochodzi jego nazwa Czarny Dunajec.

Opisana ziemia pomiędzy obydwojma Dunajcami, Tatrami i górami Górcze, tudzież dolina połączonego Dunajca aż do Czorsztyna, stanowi właściwie Podhale polskie; część zaś od Białego Dunajca do Pienin, stanowi Podhale spizkie, czyli węgierskie.

Opisując doliny Tatrowe, może popadłem w jednostajność, mówiąc nieustannie o samych tylko potężnych

górach, czarnych lasach, o świeżej zieloności łąk, o szumnych strumieniach, rozbijających się w piany, i o tém lekkim powietrzu, którem oddychać tak lubo. Staralem się wprawdzie wydać każdej doliny właściwości; czyli byłem w stanie kręślić je wiernie, niech osądzi czytelnik. Zapewne byłbym nierównie lepiej zrozumiałym, gdybyśmy mieli widoki tych dolin, wykonane przez artystów, umięjących uchwycić i wielkość, i właściwość tych uroczystych obrazów przyrody, i wydać różnice zachodzące pomiędzy widokami tatrowemi, a alpejskimi w Tyrolu, Szwajcaryi i na pochyłościach Włoch, dotykających równin weneckich i lombardzkich, lub Apenin, Pirenców, amerykańskich Kordyllerów i Alp Himalajskich. Każde pasmo tych gór ma swoje właściwe piękności i swój odrębny charakter. Miłe są widoki nad jeziorami Magiore lub Lugano; salzburskie mają jakąś niewymowną, uroczystą tajemniczość; Alpy berneńskie uderzają nadzwyczajną wspaniałością: Tatry mają ponure wejście, obok szczególnego wdzięku.

Wszystkie te okoliczności razem wzięte, wywarły na lud nasze góry zamieszkujący przeważny wpływ: bo oddziaływanie przyrody na człowieka jest niewątpliwe, i mało jest okolic, gdzieby to było równie wydatnem, jak na Podhalu tatrowem. Atoli z wielu miar odmiennymi są górale, zamieszkali na północnej i południowej pochyłości Tatrów; wpłynęły na to w części stosunki przyrodzone: góral polski mieszka wśród biędnych i nieurodzajnych dolin i wyżyn; Słowak zajmuje żyzniejsze doliny Liptowa i Spiza. Ale zato nasz góral obdarzony jest nadzwyczajnie ożywionym umysłem; pełen przenikliwości, czynny i śmiały, ma tym sposobem niemalą wyższość nad powolniejszym mieszkańcem Węgier. Je-

żeli fizyczne przyczyny sprzyjają więcej Słowakowi, wraz z ogólnem urządzeniem polityczném; to przecież góral na północnych bokach osiadły, umiał także zapewnić sobie wygodniejszy byt, aniżeli wystawić sobie można. W ogólności lepiej mieszka i żyje, lepiej się odziewa, aniżeli w którójkolwiek stronie Polski nasz włościanin, nie wyjmując z tego nawet najurodzajniejszych okolic w Krakowskiém i Sandomierskiém. Przewadze moralnej, która zapewniła ujęcie sił przyrody pod swą władzę, winni Podhalanie, pomimo najmniej sprzyjających stosunków naturalnych, swoje utrzymanie ze wszech miar znośne. A że uprawa roli i chów bydła nie zajmują zupełnie ich czasu, wzięli się do przemysłu i handlu; i aczkolwiek nie poczynili w nich wielkiego postępu, wszystkie te gałęzie zatrudnienia zapewniły im utrzymanie, wystarczające do opędzenia zwyczajnych potrzeb, i zrodziły uczucie potrzeby wykształcenia umysłowego. W wielkiém poważaniu zostają u nich ludzie umiejący czytać, a jeszcze więcej pisać; i w obecnym czasie, głównem jest staraniem wszystkich nieco zamożniejszych gazdów, kazać uczyć dzieci czytać na książce; okazujące zaś więcej zdolności, wysyłają do wyższych szkół do Węgier i Galicyi.

Podhale bardzo jest małą krainą, bo nie zajmuje więcej jak 15 mil kwadratowych; ma prawie 6 mil długości, a 2 do 3 mil szerokości. Ale głównie na jego charakter przyrodzony wpłynęło wyniesienie nad poziom morza, wynoszące od 1800, do 3000 stóp, i to jest przyczyną nader ostrego klimatu, klimatu stojącego na granicy uprawy roślin zbożowych. Na Podhalu udaje się tylko żyto jare i to w najlepszych gruntach ogrodowych; w ogólności dobrze rosną owsy i jęczmiona, tudzież zie-

mniak, owa błoga roślina, jakby stworzona dla tych stron. Od ziemniaka zawisło bowiem rozrodzenie się znakomite ludności w tych górach i ochrona od głodu, tak często nawiedzającego kiedyś te okolice.

Prócz podłużnej równiny w dolinie Dunajca, całe Podhale jest pagórkowatém, a nawet górzystém; tu i owdzie pozostały resztki lasów, okrywających całe te wyniesienia. Niemaló nadają im wdzięku te grupy drzew, rozrzucone na nieurodzajnych pagórkach. U stóp Tatrów poczynają się dopięro lasy, i wznoszą się na ich pochyłościach aż do granicy, w której przestają rosnąć drzewa to jest do wysokości 4,200 do 4,500 stóp paryzkich.

Grunta Podhala nie są w ogólności żyzne; wyjątek z tego stanowią niektóre doliny, a mianowicie wielka dolina Dunajca w okolicy Nowegotargu i Czorsztyna. Warstwa ziemi urodzajnej na wzgórkach, pospolicie bardzo cienka, powstaje z rozkładu jałowego piaskowca Karpatowego, w dolinach zaś przez napływowe osady; ta jest nierównie grubszą, a za nią idą obfitsze plony. Aby uczynić ją żyzniejszą, na swe rozległe grunta zwykli mieszkańcy używać nawozu mineralnego, mierzwiąc takowe torfem, znajdującym się na wielu miejscach. Produkcya roczna małej ilości żyta, nieco większej owsa i jęczmienia, tudzież ziemniaków, nie wystarcza teraz na wyżywienie tej znakomicie rozrodzonej ludności; corocznie muszą oni zakupywać znaczne ilości zboża w sąsiednich żyzniejszych krajach, w Węgrzech i Polsce, i udają się odpowiednio do ceny, jużto na południowe, już na północne targi. Nieraz można spotkać istne karawany powózek góralskich, ciągnących przez góry na południe od Tatrów aż do Miszkolca, miasteczka opartego o ostatnie wzgórze, wznoszące się nad wielką doliną węgierską,

albo zmierzające do Krakowa, a niekiedy do Wieliczki i Bochni.

Niemaló zajmuje Podhalań uprawa lnu i wyrabianie płótna, co stanowi jedną z najważniejszych gałęzi przemysłu. Roślina ta znajduje w tej krainie wszystkie warunki, potrzebne do jej rośnięcia; udaje się mianowicie po dolinach, gdzie są grunta lekkie i wilgotne, i częste deszcze: nieraz długie łąny okryte niebieskim kwieciem tej rośliny, mile witają podróżnego. Płótna ich nie należą wszakże do rzędu cienkich; owszem, jestto najlichszy towar, jaki może być wyrabiany. Pospolicie cena sztuki płótna wybielonego o 60 łokciach wynosi od 20 do 60 złp; wyjątkowo robią sztuki kosztujące 80 do 100 złp.

Jednym z najważniejszych, a zarazem najbardziej ulubionym zatrudnieniem jest chów bydła; i w samej rzeczy nie jest on bez przyjemności. Rolnik przykuty do swego kawałka ziemi, przewraca ją nieustannie, zasiewa, uwalnia od chwastów, zbiera plony i oddziela ziarno od słomy z niemalym trudem; zatrudnienie to jednostajne, nie może się równać z swobodnym przenoszeniem się po owych rozległych dolinach i szczytach, gdzie co chwila można spotkać cudnej barwy kwiaty lub wonne zioła, gdzie widoki tak czarowne, nieustannie się zmieniają, gdzie powietrze tak lekkie. Tamto człowiek czuje i swą godność, i pokrzepiony zostaje na duchu. Ale chów bydła ogranicza się do przestrzeni okrytej paszą, która wytyka granicę dla liczby koni, bydła i owiec. Wreszcie pewna część ludności kopie rudy i wyrabia z niej żelazo.

Cztery te główne gałęzie zatrudnienia, nie są w stanie ani wyżywić, ani zająć znakomicie rozrodzonych Podhalań; wielka ich część zdrowa a silna, wychodzi w mie-

siącach letnich na roboty do Węgier, i puszcza się aż do Pesztu, a nawet dalej; ale te obfite krainy i ciepły klimat, niebardzo sprzyjają naszym góralom; nieraz w październiku i listopadzie wracają z febrą lub znekani chorobą i żółtki, narzekają na niedobre *uherskie* wody. Więcej do ziemi przykuci, zajmują się drobnym przemysłem; głównie trudnią się kołodziejstwem, i wyrabiają zgrabne a lekkie wózki. Są pomiędzy niemi garbarze, inni sporządzają ogromne pasy, służące do ich ubioru, wreszcie niektórzy krawczą. Do kupiectwa mają Podhalanie nadzwyczajną skłonność; czynność, przytomność, oszczędność, czynią ich do tego rodzaju zatrudnienia głównie zdatnemi. Spodziewać się należy, że jeżeli się raz wezmą do handlu, będą tém samém w krajach polskich, czém Ormianie na Wschodzie.

Nie można zaprzeczyć, że uprawa roli na Podhalu, mianowicie po dolinach, mało co zostawia do życzenia, i nie sędzę, iżby znaczne poprawy można zaprowadzić. Około Czarnego Dunajca (wioski), Nowegotargu, Szafnar, Czorsztyna, obsiane bywają corocznie jedne i też same pola. Na początku sierpnia, owsy i jęczmiona świeżej zieloności, wyrastają do wysokości jak żyto na piaskowych rolach; pospolicie mają dwie stopy wysokości. Zbliżając się pod Tatry, ziemia coraz bardziej staje się nieurodzajniejszą, a klimat ostrzejszy; owsy tam i małe i rzadkie, zapowiadają niejako, że niedaleko wyżej, i ta roślina północnym strefom właściwa, rość nie może. Ale trafiają się wyjątki: na rozłożystej górze Gubatówka, wznoszącej się przy Zakopanem 3,300 stóp wysoko, uważałem tak bujne owsy, jak gdyby rosły na najżyźniejszych rolach w krajach umiarkowanego klimatu. Jednak z tych wysokości pomimo urodzajności, niez-

wsze zbiera góral swe zasiewy; nieraz po ś. Michale, gdy owsy są jeszcze niedojrzałe, a nawet zielone, już śniegi padają, i często wydarza się, że żniwo odbywa się pod śniegami. Zupełnie przemarzłe owsy, trzeba w domach przy ogniu suszyć, i do małej stodołki chować.

W czasie dżdżystego lata 1840 r. jeszcze w połowie października zielone były owsy, gdy spadły śnieg okrył pola 4 stopy grubą warstwą; stopił się wprawdzie za parę dni, ale klęskę ogólną zrządził. Toż samo powtórzyło się w następnym roku, chociaż mniej dotkliwie, bo śnieg okrył tylko najwyższe wysokości i znajdujące się tam zasiewy. Niemasz wątpliwości, że i w tém zimném lecie (1849), nie wszyscy zbiorą, co zasiali. Choć owsy na Podhalu w ogólności nie rosną ani gęsto, ani bujno, to ziarno ich jest natomiast pełniejsze i wydaje więcej mąki, aniżeli owsy zebrane z równin. Prócz zwyczajnego białego, sieją inny gatunek owsa, czarnego, z ziarnem pełniejszym. Dla koni nawykłych do białego, nie jest dobry, bo trudny do zgryzienia, i dlatego niechętnie go jedzą, a nawet bólu zębów zwykły dostawać.

Zaprowadzenie uprawy ziemniaków, dobroczynny wpływ wywarło na Podhale; uwolniło nieszkańców jego od głodu, tak często nawiedzającego w dawniejszych czasach te strony. A chociaż i ziemniaki trzeba czasem wykopywać zpod śniegów, nietylko szkodzi im zimno, jak owsom. Gdy tę roślinę dotknie zaraza, jest ona niezmierną klęską w górskich okolicach; z głodu wywiązują się zgniłe gorączki, gubiące wielkie ilości mieszkańców. W latach 1846 i 1847 w niektórych domach cała ludność padła ofiarą nieurodzaju ziemniaka, i długo stały opuszczone i zamknięte.

Podhalanie najmocniejsze mają przekonanie, że ich wysokie bole zawierają niezmierne skarby drogich metalów złota i srebra. Tymczasem w rzeczywistości jest zupełnie inaczej. Tatry, podobnie jak największa część wysokich gór, odznaczają się właśnie ubóstwem metalicznym; w Alpach, Apeninach, Pireneach, niema bogatych kopalni: przeciwnie w niskich górach bywają owe bogactwa kruszców, jak np. w Saxonii, w Węgrzech, w Siedmiogrodzie, w Uralu i t. d. W licznych miejscach i w różnych czasach, pootwierano kopalnie w Tatrach; jednaki los wszystkie spotkał: opuszczano je wkrótce, po otworzeniu albowiem nie opłacały się koszta dobywania. Wyjątek z tego czyniły kopalnie w Kościeliskiej dolinie, co świadczą niezmierne kupy kamieni, nawalone przy szybach; ale i te są w obecnym czasie zaniechane, i nie wiadomo, czy dlatego, że się nie opłacały, czy też dla zewnętrznych okoliczności. Teraz zamiast złota i srebra, kopią w kilku miejscach rudę żelazną, dostarczaną dla wielkich pieców w Zakopanem i Jaworynie na Spizu. Wszyscy górnicy są Podhalanami: używają barbarzyńskiego języka górniczego, będącego dziwną mieszaniną języka słowackiego i niemieckiego, zlepionego polskim. Na dowód przytoczę parę przykładów: strop czyli wierzch skalny pokładu, nazywają *hangotem* (od *hangendes*); spodek, *liegentem* (od *liegendes*) i t. d.

Wszystkie gazdżiny zbierają starannie jaja, które im znoszą kury. Kupcy podhalańscy zbierają je po domach i wywożą w wielkich skrzyniach wózkami na resorach do Krakowa, i tam powstają z nich owe niezmierne kupy, spławiane na galarach do Warszawy.

Każda wieś ma swoich ptaszników, trudniących się w jesieni łowieniem kwiczołów, gromadnie w Tatry

przylatujących dla żywienia się jałowcem, obficie na tujejszych górach rosnącym. Najsmaczniejsze mają jednakże być kwiczoły, które przybywszy z północy, nie zatrzymały się w przelocie w Tatrach, tylko poszły do Węgier do Mady, Keresztura, Tarcalu, Tokaju, na owe najwytowniejsze winogrona, i napasły się niemi, powróciły do jałowców Tatrowych. Kwiczoły łapią na sidła, albo w zatraskujące się sieci. W środku tych sieci, robią małe jałowcowe ogródki; tam przywiązują na nitce chowane kwiczoły dla wabienia, ptaszniak zaś siedzi w zielonej budzie, sporządzonej ze smreczyny. Łapanie kwiczołów zawisło zupełnie od przypadku; niekiedy zapada ich na raz po 20—30 sztuk, niekiedy zaledwie parę. Łapanie to rozpoczyna się w połowie października; najobfitsze jest w listopadzie i grudniu. Spodziewać się należy, że przy ułatwionej komunikacji za pomocą kolei żelaznych, nie tylko Kraków, ale i odleglejsze miasta zaopatrzone niemi zostaną.

Jednym z najważniejszych zatrudnień Podhalańców jest chów zwierząt domowych. Wszystko czém się zajmują, odznacza się porządkiem. Nadzwyczajnie wiele mają stariana około swego bydła, a konie ich mogą służyć za wzór, jak wyglądać powinny włościańskie. Góralskie konie są małe i krępe, zdrowe i wesołe z wejrzenia; odznaczają się budową ciała stosowną do gór, wstępują bowiem pod górę z łatwością, a zstępując kroczą tak pewno a uważnie, że nawet w największym pędzie można być najspokojniejszym. Podhalanie jeżdżą powszechnie jednym koniem, opatrzonym w bardzo dobrą uprzęż. Spotykając długie karawany, obładowane zbożem lub kapustą, powracające z Krakowa, trzeba uwielbiać co za niezmierne ciężary wyciągają te małe zwie-

rzątka. Właściciele ich obchodzą się z nimi z rzadką pieczołowitością, i dogadzają im wszelkimi sposobami; nigdy góral nie poda swemu koniowi siana, którego poprzednio dokładnie nie rozpoznał, a ile razy wstępuje pod górę, zeskakuje z wózka, i popychając takowy, stara się ulżyć konikowi. Jeżdżąc po Podhalu, nieraz uwielbiałem owę nieustającą czynność mojego woźnicy; ile razy wznosiła się droga, zeskakiwał z bryczki i szedł pieszo przy koniach; zawsze coś wynajdował do poprawy w zaprzęgu, a kiedy nic się nie znalazło, to starał się wszcząć jaką zajmującą rozmowę. Najulubieńszym ich tematem są narzekania na trudne położenie, na niewdzięczne grunta, na wczesne śniegi, zpod których trzeba nieraz wykopywać owsy i grule (ziemniaki). Rozmowa ich odznacza się pospolicie miłą prostotą i ogłada, do której zręcznie wtrącają grzeczne dowcipy. Podczas lata zbierają konie w stada, i wypędzają je do hól na najwyższe wysoczyzny; tam sobie zostawione, przepędzają często kilka dni bez żadnego pasterza. Ile razy wydarzało mi się napotkać konie w tych samotniach, zbliżały się do nas, usiłując wszelkimi sposobami okazać swą radość: rżały, skakały, i za odchodzącymi postępowało często całe stado, jakby dla pożegnania; trzeba je było odganiać. Wtedy wychodziły na wzgórze, wyziérały ku nam, a tymczasem wiatry igrały z ich grzywą. Chociaż są bez pasterzy, nie oddalają się z pobliskich dolin, jeżeli te dają im dostateczną paszę. Raz na tydzień, przybywa do nich jeden lub dwóch juhasów, dla zrachowania i obejrzenia, czy się im nie wydarzył jaki przypadek.

Chociaż rozległe a gęste lasy okrywają Tatry polskie, nie ma w nich przecież wilków; czasem przybywają tylko z przyległych lasów węgierskich, a skoro się okażą,

uzbraja się przeciw nim całe Podhale; jedni spędzają konie i woły do szałasów, inni polują za nimi, i pospolicie bywają wygonione przez owych nieprzeliczonych pasterzy, zaludniających lasy tatrzańskie. Jednakże corocznie ginie wiele koni na holach, jeżeli nie od wilków, to od mrozu. Gdy ulewne deszcze padają na równinach, na holach zamieniają się one w śnieg; wtedy konie błądząc po holach, niespokojne że nie mogą znaleźć drogi, pną się na wysokości, by dostrzedz szałas lub mieszkanie swych panów; ale niezmierna zadymka zasłania nawet blizkie przedmioty; wychodzą więc na coraz wyższe góry, a tam zastają tylko większe zimna. Zgłodzone, przeziębione, straciwszy ostatki sił, giną od mrozu wśród najcieplejszych naszych miesięcy: w lipcu i sierpniu. Juhasy wychodzą wprawdzie na ich wyszukanie, ale gdy zawieja i śniegi po wirkach zaczną dąć, trzeba być bardzo ostrożnym, by drogi nie zmylić; pospolicie wracają nic nie wskórawszy, a konie zostają na Opatrzności.

Również na znaczniejszych wysokościach pasają się woły w większych stadach; gazdowie obierają doliny bogate w trawy, oddając je jednemu lub dwom pasterzom. Na wielu miejscach w dolinie Kościeliskiej, żywią się te powolne zwierzęta; celniejsze uważałem na Ornaku i holi zwanój Wysoka przy Pysznój.

Krowy przez całe lato zostają na paszy w górach; nie wychodzą one na nagie wirchy czyli hole, lecz zostają w dolnym pasie, w pasie leśnym. Wstępując na Tatry, zastajemy wśród gąszczów leśnych niekiedy otwarte miejsca, piękną polankę, a przy niej wielkie szałas wraz z obszernymi oborami, w których krząta się mnóstwo dziewcząt i chłopców. Już zdala wesołość i śpiewy

ostrzegają podróżnego, że się zbliża do szałasów krowiarskiego; jednakże gospodarstwo nie wykształciło się w nich wcale, podobnie jak w Szwajcaryi, owszem, zostaje w zupełnym dzieciństwie. Z mleka ciągnie Podhala mieszkaniem zwyczajny pożytek, nie wyrabiając owego wybornego sera, który uczynił szwajcarski tak pożądanym. Wszystkie warunki są też same w polskich górach, co w szwajcarskich; brak tylko przemysłu synów Tella. Każdy krowiarz i krowiarka ma staranie o swych krowach; doją je we własne naczynia, a następnie zlewają mleko w konewki, aż do przybycia z domu gazdy lub gazdiny, którzy je odwożą w płaskich beczułkach, po obu bokach konia zawieszonych. Nie żyją wspólnie, ale każdy przyrządza dla siebie jadło, składające się pospolicie z grubej mąki owsianej, którą wsypują w wrzącą wodę, i robią pewien rodzaj polenty, którą pożywają z masłem albo z kwaśnym mlekiem. Pasterze krów zbierają się razem dla wspólnego bezpieczeństwa, aby się bronić od złodzieja i wilka; zresztą nie łączy ich żaden inny węzeł.

Jeżeli szałas krowiarskie dają przykład najwyższego rozdzielenia interesów pojedynczych, rozpadnienia się w atomy, to przeciwnie owczarskie przedstawiają obraz skoncentrowania się najwyższego; jest tu naczelnik, inni ulegają jego rozkazom, i wyznać należy, że w tych ostatnich więcej znajdujemy ładu i porządku, bo wszystko zmierza do jednego przewidzianego celu, a pojedyncze interesa ulegają jednemu ogólnemu. Stosownie do rozległości hól, w połowie maja zwykli zbierać gazdowie, a niekiedy i nieliczni obywatele mieszkający na Podhalu, swe owce, tworzą stada, składające się z 200, 300 i 400 sztuk, i oddają je pod dozór w czasie paszy w hólach naczelnikowi, nazwanemu bacą; ten

wraz z gazdami obiéra sobie pasterzy, nazwanych juhassami. Każda wieś, albo raczej każda teraz rozrodzona familia ma swoje, od niepamiętnych czasów nadaną hołę, noszącą pospolicie ich nazwę, albo od przedmiotów, któremi się szczególnie odznacza. I tak: hole Gąsienicowa, Miętusia, nazywają się od sołtysów Gąsieniców, Miętusów; waksmundzka otrzymała nazwę od wsi Waksmund; od jezior Morskie Oko, Pięć Stawy, nazywają się Morskiego Okna, stawiarska; inne od gór, jakoto: od Pysznej, Smreczyn: pyszniańską, smreczyńską i t. d.

Jak we wszystkich krajach olpejskich, tak i w Tatrach wypędzanie bydła do hól, zajmuje całą ludność, i odbywa się z pewną uroczystością. Skoro wysłańcy do gór przyniosą przyjemną wiadomość, że już na nich trawa porosła, co dopiéro w końcu maja, albo na początku czerwca następuje; krzątać się zaczyna ludność wszystkich wiosek: jedni czyszczą naczynia potrzebne do gospodarstwa szałasowego, drudzy wydają rady, jak się zachować w czasie słót, jak się strzedz przed wilkiem i t. p. A gdy się wszystko przyrządzi do kilkunasto-tygodniowego gospodarstwa szałasowego, zgromadza się bydło w jednem miejscu w dniu naznaczonym w każdój wiosce; wtedy żegnają się wszyscy, życząc sobie szczęścia na czas rozdziału. Młode chłopcy z zazdrością spoglądają na wybranych juhassów, dziewczki czule rzucają spojrzenia za wychodzącemi. Skoro owce przybędą do szałasów, piérwszém zatrudnieniem jest hacy oddzielić barany od dojków, i każde stado oddają własnym juhassom. Piérwsi wychodzą na cały dzień do hól na najnieodostępniejsze wirchy; drugie pasą się na przyległych hołach, i wracają w południe i wieczorem. Zazwyczaj bywają one trzy razy dziennie dojone: rano, w południe i wieczorem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

O ARCHITEKTURZE GOTYCKIEJ

pod względem

HISTORYCZNYM I ESTETYCZNYM.

PRZEZ

Juliana Ankwicza.

Sztuka przyjmuje w siebie wyobrażenie prawie wszystkich żywiołów moralnych i materialnych, które dotyczą ludzkość. Począwszy od pojęć, z ich wolnym postępem, z ich rozmaitym charakterem, i zlewem w praktyczne życie ludów, aż do wygod życia, klimatu, produktów naturalnych, wszystko ma pewną stronę zetknięcia się z biegiem artystyczności.

* * *

Pierwszy, dawny mieszkaniec ziemi, wyciągając ręce ku przyszłemu swojemu istnieniu, w przedmiotach zmysłami dotkniętych, przedewszystkiem dostrzegł granice, postać granicami wytkniętą. Kształt najprzód utkwiał w jego pamięci, wszystkie pojęcia wyprzedziło pojęcie kształtu, i wszystkie dzieła człowieka, poprzedziło dzieło kształtu.

Życie umysłowe i byt uczucia razem powstać musiały. Jak myśl od rzeczy oderwana była przedewszyst-

kiem myślą o kształcie rzeczy, tak uczucie rozwijało przede wszystkim harmonią kształtów. Przez architekturę, wystąpiła piękność z głębi ludzkiej piersi na zewnętrzny fizyczny świat. Kształt najprzód objawił uczucie harmonijne, jako uczucie mimowolnie powstające, jako harmonijne kierowane pojęciem, przejmujące charakter pojęcia.

Postać pierwszego wyrobu z ciała stałego, w obrysach odpowiadająca czemuś więcej jak zaspokojeniu samej tylko potrzeby, już była objawieniem się sztuki kształtowania. Takie objawienie się architektury, w samych początkach było bez wątpienia proste, niepodniesione do żadnej zgody, ubogie w pomysły; ale tém ważne, że pierwsze odstąpiło w człowieku skłonność do sztuki w ogólném znaczeniu. Obudzona strona uczucia, wzywająca na jeden raz do życia całe ludzkie jestestwo, wywiodła w sobie, i wydała w zmysłowym znaku rozległą krainę sztuki, bogatą w wielkości, kwitnącą zachwyceniem. Rozwinął się szereg kształtów. Obszer-na myśl całych wieków nagie pokryła głązy, a czas i przygody zaledwie zdołały zniszczyć delikatniejsze téj myśli odcienia. Egipcyanie, za nimi Grecy i Rzymianie, od przodków swoich przejęte kształty doprowadzili do znakomitój świetności. Ich dzieła architektoniczne, są księgą dla wszystkich czytelną, w której są skróślone ich umysłowe zasoby, ich formy obyczajowe—całe ich życie. Wyobraźnia niepoprzestająca na grze samych kształtów, wprowadziła następnie lżejsze środki, które łatwiej odcharakteryzowały pojęcie w treści samej piękności. Rzeźbiarstwo, malarstwo i poezya, wzrastały u Greków i Rzymian w miarę tego, jak architektura stawała się coraz bliższą swojego ostatniego bogactwa i jedności. W koń-

cu spełniło się powołanie południowych ludów Europy w starożytności. Doprowadziwszy do najczystszej harmonii kształt i w ogóle formę artystyczną, z pokorą ducha przyjęli prawdy objawione. Zamknęli epokę dawnego życia, w którym nad umysłowością forma przeważnie panowała.

Pierwiastkowi chrześciance, wyswobodzeni z ukrycia, na ziemi greckiej i rzymskiej w wieku IIIim po narodzeniu Chrystusa, zaraz upowszechnić zaczęli naukę i ćwiczenia wiary. W dawnych pogańskich świątyniach obchodzono pamiątkę odkupienia, spełniano wszystkie religijne obrzędy. Dopiero w wieku VIIym po narodzeniu Chrystusa, zaczęto budować kościoły wyłącznie dla chrześcian. Kształty tych kościołów, równie jak kształty innych budowli a nawet sprzętów, były albo prostym, zazwyczaj niedołącznym naśladowaniem greckich i rzymskich, albo bez prawdziwych znamion sztuki, ubogie w pomysły, nietrwale w drewnianej budowie przedstawione.

Taki był stan architektury u pierwiastkowych chrześcian. Nareszcie od połowy Xgo wieku, powstawać zaczęły budowle, znakomite pod względem swojej wielkości, bogactwa i charakteru, posiadające wybitne cechy pojęć pod wpływem których były wznoszone. Samoistność architektury wyraźna w tej epoce, objawiła się przedewszystkiem na budowli religijnej, bo téż religia była podówczas nieledwie wyłącznym umysłów i serc zajęciem. Blizko przez siedm wieków tłumiona sztuka, już to przez starcie się różnorodnych religijnych pojęć, już przez nadzwyczajne polityczne wstrząśnienia południowej Europy, w wieku XIym rozwijać się

zaczęła z uderzającą szybkością. Wszystko podówczas sprzyjać jój zaczęło. W swobodzie religii powstała myśl uczczenia niebios pomnikiem sztuki, któryby charakterem, wielkością i bogactwem był godnym swojego przeznaczenia. Począwszy od monarchy aż do ubogiego pracownika, wszystko pospieszało nieść pomoc, dla wzniesienia olbrzymich kościołów, poczytując sobie za modlitwę, spełnione chęci, za ofiarę religijną, poniesione koszty, podjęte trudy.

* * *

Gotycyzm panował w Europie od początku wieku Xgo, do końca XVgo, był wyłącznie do budowl religijnych chrześcijańskich stosowany, na nich wykształcony i do wysokiego rozwinięcia w bogactwie a zarazem do jedności w charakterze doprowadzony. Poprzedzonym został przez styl rzymski; ztąd téż stało się trudném dla badaczów historii sztuki wykrycie, w jaki sposób kształty rzymskie mogły podać myśl gotyckim, od nich ze wszech miar odrębnym.

Napotykamy rozmaite zdania historyków o początku gotycyzmu. Mają one na celu wykrycie, z kąd wypłynął ten charakter architektury w estetyczném znaczeniu i kiedy to nastąpiło?

Co do pierwszego, napotykamy rozliczne hipotezy. Jedni poetycznie wnioskują, że widok lasów natchnął artystę tą śmiałą myślą, iżby lasem z kamienia otoczył i nakrył przestworza. Przez moc pojęcia i woli, kształtem materji ciężkiej i twardej, uwiecznił obrysy smagłej rośliny, a tym sposobem złożył w ofierze Stwórcy swojemu śmiały dowcip i niezmierną pracę. Ci znowu uważają charakter stylu za następstwo wyrobienia, i dlate-

go do pierwiastków poszukiwania swoje odnoszą. Dwu-
łuczność gotyckich arkad jest podług nich prostém na-
stępstwem kombinacji łuków, przez zbliżenie ku sobie
środków, mniejsze od summy promieni. Po przykłady
odsyłają do budowy kościoła Ś. Zofii w Konstantynopolu,
i w ogóle do budowli w stylu bizantyjskim. Myśl ta
wszakże dotyka samego tylko sposobu zataczania arkad
dwułucznych, ale bynajmniej nie wykrywa, czego są na-
stępstwem takie arkady w samym składzie budowli. Ze
wszystkich zdań w tym przedmiocie wyrzeczonych, zdaje
się być najtrafniejszém zdanie p. Boisséré. Podług nie-
go, arkadzie dwułucznej dało początek wyniesienie ogólnych
kształtów budowli, przy rozległości poziomej takiej,
jakaby podług stylów starożytnych dla budowli niższej
przypadała. Łuki arkad porządkowych, zatoczone pro-
mieniemi długości względnej do wysokości mass oporo-
wych, musiały paść na siebie i utworzyć między sobą ar-
kady dwułuczne. Tym sposobem, między łukami stylu
rzymskiego wynikła gotycka dwułuczność, mniej więcéj
spłaszczona w miarę tego, jak środki dwóch łuków są
do siebie mniej więcéj zbliżone na wspólnej swojej pod-
stawie. Ztąd na dwóch punktach jednej linii, może sta-
nąć nieskończona liczba krzywizn dwułucznych rozma-
itój wysokości, ztąd możność zmniejszania ciśnień po-
ziomych, ztąd cała lekkość i swoboda w przerzucaniu
sklepień. Nietrudno dostrzedz, że za dwułucznością po-
szło samo przez się wykształtowanie wielu charaktery-
stycznych części stylu gotyckiego, jego wyniosły, śmia-
ły i smagły charakter. Dwułuczności winien także go-
tycyzm całą swobodę kompozycyi i odrębność od wszy-
stkich innych stylów, które za kierującą powierzchnią
sklepienia walcowego, przyjmują jedną linią krzywą.

Również niema zgodności co do czasu, w którym styl gotycki zjawił się w Europie. Utrzymują niektórzy, że jeszcze Rzymianom był znanym. Jakoż w istocie, we Francyi w departamencie La Manche, w mieście Coutances, znajdują się zwaliska wodociągu w stylu gotyckim, którego budowę odnoszą historycy jeszcze do IIIgo wieku po narodzeniu Chrystusa; co nawet rodzaj budowy pod względem technicznym potwierdzać się zdaje. Wszakże to niezgodności nie ulega, że stopniowe było przejście z architektury naśladowniczej rzymskiej do gotyckiej, jeżeli pewne już upowszechnienie sztuki, za wyraźny jój początek weźmiemy. Stopniowo odpadały zbierane rzymskie części, pochylały się kolumny owych bazylik chrześcijańskich, nagromadzone z dawnych, jednolitych harmonijnych budowli, ku podpieraniu rozległych sufitów. W ich miejsce, coraz chyżej i śmieliej wzbiegały nad ziemię smagłe kształty gotyku, które jak gdyby łupane w najwyższym swoim wzniesieniu w liczne odnogi, jak gdyby w bogatą rozkrzewiane roślinność, przykryły kamienną swoją masą ogromne przestrzenie, zasklepiły obszerne kościołów wnętrza.

Cały ruch tego przejścia, odbywał się właściwie w XI wieku. Do znakomitszych dzieł gotyckich téj epoki, należy klasztor Saint-Germain-des-Prés w Paryżu. Na budowli téj, widzimy wyraźnie sprawdzone, przytoczone powyżej zdanie p. Boisséré. Główną nawę kościoła, otaczają dokoła dwie kondygnacye arkad. Z tych niższa jest porządkową, wyższa na pierwszej stojąca, z powodu wyniesienia kolumn, także do porządkowości zbliżonych, jest już dwułuczna.

Również w téj epoce rozpoczęte i już w znacznej części wykonane zostały: katedra w Saint-Denis; ko-

ściół Saint Remy w Reims; katedra w Laon; katedra w Noyon; kościół Saint-Germain d'Auxerois w Paryżu.

* * *

Od początku XIIIgo do końca XVgo wieku, wzniosły się najznakomitsze wielkością i jednością stylu budowle gotyckie religijne. W wielu znaczniejszych miastach Francji, Holandji, Niemiec, Anglii, zwłaszcza téż świętością miejsc wslawionych, wznosiły się olbrzymie katedry, zadziwiające świetnością pomysłów i ogromem pracy.

Na miejscu dawnych drewnianych kościołów, albo téż bazylik, wystawionych słabo i bez żadnego pojęcia jedności, wielkie te gmachy, niektóre przez trzy i więcej wieków rosły pomału pod ręką pracownika. Wzbiegały ku niebu za śpiewem pobożnej jego pieśni, którą ofiarował Przedwiecznemu pracę rąk swoich uciążliwą, a niekiedy niebezpieczną. Same nawet pomysły dzieł tych, nakreślane były po długim ich studyowaniu, przez artystów, dla których sztuka zdawała się być artykułem wiary, a jój praktyka, ćwiczeniem religijném.

W téjto epoce napotykamy jedyny przykład obszernego stowarzyszenia się architektów, w celu uprawiania architektury religijnej, w celu oddawania na jój podniesienie wszystkiego, co talent może pomyśleć, wytrwała praca w człowieku może wykształcić, a wykonać w naturze. Rzym był punktem zjednoczenia dla całej korporacji, gdzie pod sankcją papieżką odbywały się studia wyłącznie prawie przez alumnów seminaryj i zakonników uczęszczane. Ztąd każda nowość na wszystkie punkta chrześcijańskiego świata przez podróżujące duchowieństwo szybko się rozbiegała, wszędzie z zajęciem

przyjmowana. Ztąd wszakże nie doszły do wiadomości naszej nazwiska autorów, wielu znakomych dzieł gotyckich. W klasztornej celi, prędko przemija pamięć gieniuszu; nie roznosi jej blask świecki, nie uwieczniają głośne wawrzyny. Prawda, że nad miasta i okolice sterczą jak odwieczne skały grobowce tych ludzi, czołem bodą niebiosą, echem kamienną piersi powtórzyły modły i uliczne gwary wielu pokoleń; ale szorstka zakonna odzież prędko starła pośmiertne napisy. Poświęcano wszystko dla sztuki, nie dla świetności imienia.

Do artystów korporacyi religijnej, należeli między innymi Piotr Lescot, który był opatem Clugny, kanonikiem Paryża; Filibert de Lorme opat Ivry, a następnie Saint-Eloi; Robert de Luzarches; Tomasz de Cormont; Renault de Cormont, którzy od roku 1220 do 1288 zajęci byli wykończaniem katedry w Amiens; Amelius, który w połowie wieku XIIIgo dokończył katedrę w Antwerpii; Jaquemin de Commercy, który dokończył katedrę w Toul, rozpoczętą w 990 r. przez biskupa Saint-Gerard; Piotr de Montereau autor refektarza w opactwie Saint-Martin-des-Champs w Paryżu, dzisiejszego konserwatorium sztuk i rzemiosł. Refektarz ten wystawił, rywalizując z Piotrem de Montreuil, który w roku 1239 wystawił refektarz i kaplicę w opactwie Saint-Germain-des Prés w Paryżu.

I sam sposób wznoszenia wielkich kościołów gotyckich, był zupełnie zgodny z duchem epoki. Gdy na rozkaz panującego, a najczęściej biskupa, miał być w jego dyecezyi wznoszony kościół, klasztory niebawem zajmowały się wydaniem pomysłu, ubiegając się o pierwszeństwo. Wyrobienie rzuconych motywów i wszelkie wa-

źniejsze ich zmiany, były wypadkiem narad. Tym sposobem wykończona myśl budowy, nie była dziełem jednego; zwłaszcza pod względem wykończenia. Gdy rozeszła się wieść o rozpoczęciu budowy, okoliczni mieszkańcy w pobożnej pielgrzymce zbiegali się na miejsce pracy z pragnieniem zajęcia, którego interesem była zasługa religijna i wyżywienie się, jeżeli takowego nie wydzielał główny fundator. Gdy roboty grubsze wypełniał prosty robotnik, kierowany nadzorem zakonnika; klasztor cały, a niekiedy kilka klasztorów, zajęte były wyrzeźbianiem posągów, ornamentów, odmalowaniem wizerunków na szybach. Tym sposobem przez długie lata z małym wydatkiem powstawały dzieła, zadziwiające ogromem pracy. Za przykład przytoczymy tu w krótkości historią budowy katedry w Chartres.

W miejscu, gdzie dziś wznosi się wspaniała katedra miasta Chartres, istniała wzniesiona jeszcze przed narodzeniem Chrystusa świątynia Druidów. Gdy Konstantyn cesarz rzymski wprowadził wiarę chrześcijańską, ś. Awentyn pierwszy biskup w r. 313 zamienił świątynię Druidów na kościół chrześcijański, który następnie w roku 858 przez Normandów spalonym został. Biskup Fulbert w wieku XI-tym, a mianowicie w r. 1040, powziął zamiar wystawienia katedry w miejscu tak znaczącem przez wspomnienia religijne, i w tym celu ogłosił konkurs między klasztorami, na wydanie rysu przyszłej katedry. Z pożądanym skutkiem uczynił odezwę o fundusze do wszystkich głów panujących podówczas w świecie chrześcijańskim, i sam swój trzechletni ofiarował dochód. Lud z okolicznych i dalekich stron w pochodach uroczystych, pod przewodnictwem kapłanów,

z zasobami żywności zgromadzał się do pracy w liczbie większej, jak plac budowy zdołał pomieścić. Wszakże na usilne prośby pobożnych, praca kolejno wszystkich dojść musiała. Gdy lud dokonywał roboty proste, mniej wymagające usposobienia rzemieślniczego, okoliczne klasztory zamieniły się w warsztaty rzeźbiarskie, i tych ostatnich prace we wszystkich gotyckich katedrach podziwiać trzeba, pod względem bogactwa rysunku i wykonczenia. Tym sposobem stanęła katedra w Chartres, o dwóch frontowych wieżach niejednakowo zakończonych. W roku 1507, na prawej wieży ołowiem pokrytej, pożar zniszczył wysoki piramidalny dach. Na jego miejscu, wzniesioną została piramida takich samych wymiarów z kamienia ciosowego. Za pracę tę, która trwała lat siedm, tojest do roku 1514, Jan Texier, architekt i mieszkaniec miasta Chartre zyskiwał siedm *sous* dziennie, a użyci rzemieślnicy po pięć *sous* dziennie, mimo, iż podtenczas, tojest na początku XVIgo wieku, klasztory już przestały zajmować się architekturą religijną.

Tak wzniosły się wszystkie prawie gotyckie kościoły. Nie stosowano bynajmniej architektury gotyckiej do budowli cywilnych większego i mniejszego przeznaczenia, a w rzeczy samej; tylko budowa kościołów zajmowała artystów; inne zresztą były w najwyższym stopniu zaniedbania. Budowle zamków obronnych, nieledwie zapelniano ogromem bezużytecznych mass, nieodpowiadających ani warunkom trwałości, ani potrzebom obrony. Wznoszono je tylko na miejscach odpowiednio wybranych, nawet bez zewnętrznej oglady. Budowle mieszkalne miejskie i pałace zamożnych panów feudalnych,

były wyłączn^{ym} dzieł^{em} mularza, który tu i owdzie pomieszczał różnorodne ozdoby, niedołącznie z gotyckich i rzymskich budowli przeniesione. Nawet warunkom wygody i zdrowia nie odpowiadały te niekształtne masy, objuczone zbieraniną ozdobną, którą artyści późniejszych dopiero wieków, rozmaicie obcinali i podrabiali, aby j^{ej} nadać jakikolwiek, byleby do jedności zbliżony charakter. Na taki^{em} tle, poważnie i groźnie musiały się szkicować śmiałe katedry gotyckie; dlatego z podobn^{ym} miast obrazowaniem, niełatwo rozstali się architekci wieków średnich. Dowodem tego jest wielka liczba kościołów gotyckich, pomimo, iż każdy z nich z wielką pracą i przez długie lata był wznoszonym.

Przytaczamy tu niektóre: katedra w Wells w hrabstwie Sommerset w Anglii, budowana blisko przez dwa wieki z krótkimi przerwami, to jest rozpoczęta w r. 1210 przez Henryka IIIgo, na miejscu dawnego kościoła, wzniesionego w r. 704, a dokończona przez Edwar^{da} IIIgo przy końcu XIVgo wieku. W budowie samej fasady, jest 450 posągów, między któremi 150 wielkości naturalnej. Kaplica Maryi, podług zwyczaju za presbiteryum umieszczona, uważana jest za arcydzieło architektury gotyckiej w Anglii.

Opactwo Westminster. Budowa rozpoczęta około r. 1050, wykończona ostatecznie dopiero w drugiej połowie XVIIgo wieku przez Krzysztofa Wren, autora katedry ś^{wię}tego Pawła w Londynie. Wren wykształcony w szkole architektury odrodzenia, w wykonanych przez siebie szczegółach budowy opactwa, odstąpił od jedności, mimo to, iż nie można mu zarzucić braku pomysłów, ani t^ęż braku artystycznej precyzyi w ich obrobieniu.

Ruchomy ołtarz wykonał architekt Keen. Śmiałe sklepienie kaplicy opactwa, jest dla znawców konstrukcyi przedmiotem podziwienia.

Kollegium królewskie w Kambridge. Kaplica tego kollegium, znakomita jednością stylu i budową sklepienia, wystawioną została w czasie od r. 1446 do r. 1532; szczególnie wielkość kamieni, składających zasadnicze pasy sklepienia, jest godną zastanowienia.

Kaplica opactwa Holy-Rood w bliskości Edyburga, do której fundamenta założył Dawid król szkocki.

Katedra w Yorku, założona w r. 1171 przez biskupa Roger de Bishopsbridge, a dokończona w r. 1412. Zgorzała dnia 20 maja 1840 r.

Katedra świętego Petryka w Dublinie.

Kościół świętego Guduli w Bruxelli, patronki tegoż miasta, dokończony w 1275 r.

Katedra w Sztrasburgu, sławna nadzwyczajną wysokością wieży.

Katedra w Frejburgu.

Katedra w Kolonii, obecnie dokończana podług dawnego pomysłu, ogromem zadziwiającego. Wiele jest szczegółowych opisów, poświęconych historii i osobliwościom, towarzyszącym założeniu i wznoszeniu tej świątyni.

Kościół Maryi w Saint-Omer w departamencie Pas-de-Calais, dawna katedra, rozpoczęta w połowie XIgo wieku, ukończona w połowie XVIgo.

Kościół Saint-Ouen w Ruen.

Katedra w Ruen.

Katedra w Reims, dokończona w XIVtym wieku.

Kościół Maryi niedaleko Châlons.

Kościół Maryi w Brou.

Kościół śgo Mikołaja w Champs.

Kościół śgo Piotra w Caen, w departamencie Calvados, ukończony r. 1521.

Katedra Maryi w Paryżu.

Kościół śgo Seweryna w Paryżu.

Katedra w Akwizgranie.

Klasztory: śgo Jerzego w Boucherville w Normandy; śgo Trofima w Arles; śgo Celestyna w Paryżu; Zbawiciela w Aix; klasztor w Moissac w departamencie Tarn-et-Garonne, — i wielka liczba kościołów, kaplic, a jak w Anglii krzyżów, pomników gotyckich, świadczą o wyłączeń panowaniu stylu gotyckiego w wiekach średnich.

* * *

W czasach, w których religia chrześcijańska nie była jeszcze niepokojona reformą, świat cywilny zamknięty w ciasnej lenności dla władców feudalnych, w religii tylko pojmował godność człowieczą; więc téż religii w ofierze niósł natchnienie, jako najczystszy pierwiastek z całego swojego jestestwa. Dopiero w wieku XVtym miasta uczyły w sobie siłę moralną i fizyczną, potrzebną do zrzucenia nałożonych na nie ciężarów, gdyż wewnętrzne ich życie, stało się znaczącem przez wzrastające fabryki i wszelką zamożność. Zwolna i kolejno wybijając się zpod lenności, uznały potrzebę pewnej koncentracji w samych sobie, któraby utrzymywała porządek miasta, jednoczyła jego siły, a zjednoczonymi kierowała w duchu ogólnych korzyści. Tu powstał ratusz, budowla publiczna, która w mieście pierwsze po kościele zajęła miejsce. Jak gdyby skala miejskiej świetności, począwszy od formy zwyczajnego domu, ratusz wzmagał się w kształtach i ozdobach, aż

nareszcie stanął obok gotyckiej katedry, i zmierzył się z nią co do wzrostu i świetności. Coraz liczniejsze potrzeby miasta, coraz większe i okazalsze w budowie ratusza otwierały salony. Obszerna izba zastawiona ławami, zajmująca całą prawie budowę, ustąpiła miejsce obszerniej sali, kościelnych prawie wymiarów, otoczonej galeryami, nad którymi panuje mównica. Za nią otworzyły się liczne gabinety do piśmiennej pracy, sale kontrol kassowych i rozmaitego rodzaju dokumentów. Dalej sale ciągłej wystawy płodów sztuki i przemysłu, sale koncertowe, sale balowe, zbrojownie, galerye osobliwości i t. p. Wreszcie na znak zupełnego zwolnienia miasta z podatków nadzwyczajnych, lub w nagrodę odznaczenia się przemysłem, walecznością, na mocy wyłącznego przywileju królewskiego, wzniosły się przy niektórych ratuszach strażnice w postaci wyniosłych wież, z zegarem i dzwonem do bicia na gwałt.

Jednym z najdawniejszych ratuszów, jest ratusz we Francyi w mieście Compiègne. Karol VI sty w r. 1180 wynagradzając odznaczenie się walecznością mieszczan z Compiègne, wystawił ten ratusz. Zgorzał on w r. 1196, i dopiero za powtórne odznaczenie się miasta, odbudował go Filip August w r. 1218, obdarzył miasto patentem swobód i zbroją z napisem: *Regi et regno fidelissima*, która w murze ratusza przy wnijsciu osudzoną została. Wszakże jestto najdawniejszy przykład ratusza. Budowa ta właściwie w wieku XVIym, ukazała się na rynkach wszystkich znaczniejszych miast europejskich, była pierwszą z budowl cywilnych, którą, że tak powiem, uczczono kształtami gotyckimi. Jest jednakże godnym zastanowienia, że właśnie od téj pory datuje się wyraźnie upadek gotyku. Dzieła gotyckie zaczęły być coraz

mniej licznemi, tak dalece, że liczba ratuszów gotyckich jest już niewielka, a nierównie mniejsza innych znaczniejszych budowli.

Najznakomitszym z gotyckich ratuszów jest w mieście Louvain w Holandyi, wystawiony w latach od 1448 do 1463, gdy fabryki i warsztaty miasta, zajmowały około 200,000 dusz. Budowę tę wzniesli mieszczenie fabrykanci z funduszów prywatnej składki, na miejscu pamiętném potyczką tychże ze szlachtą, zaszłą w r. 1360. Szczyty ratusza dzwigają sześć wspaniałych ośmiobocznych strażnic, a wszystkie jego strony tak są zbytkośnie wykonane, iż mało jest jeden dzień czasu na dokładne obejrzenie posągów i innych rzeźb najbliższych oka. Po nim piérwsze miejsce zajmuje ratusz w Douai, we Francyi w departamencie du Nord, wystawiony w wieku XVIym. O ile ratusz w Louvain znakomitym jest przez swoją powierzchowność, o tyle ten przez wewnętrzne urządzenie. Oprócz salonów koniecznych w budowie ratusza, pomieszcza salę konserwatorium muzycznego, sale ćwiczeń gimnastycznych, sale ciągłej wystawy pódów sztuki i przemysłu, oraz szkołę malarstwa. Ratusze w Ypres, w Dreux, w Orlean i Noyon, niedawno zwalony w Saint-Omer, w Bourges, w Bethume, gdzie strażnica godna jest uwagi przez śmiałość konstrukcyi, i wiele innych.

Po ukazaniu się ratuszów gotyckich, styl ten przeszedł niebawem do innych znaczniejszych budowli cywilnych; wszakże na tych skończyło się obszerne jego zastosowanie w architekturze europejskiej. Hotel de Bourgherould w Ruen, hotel de Cuny i Tremoille w Paryżu, budowle z wieku XVgo, i kilka pałaców wystawionych przez magnatów angielskich, odznaczających

się niezrównanym przepychem i harmonią kształtów: są to ostatnie przykłady stylu gotyckiego w *wiekach średnich*.

* * *

Przy końcu XVgo i na początku XVIgo wieku, pod ręką Arnolfa di Lapo i Jana z Pizy, powstał styl odrodzenia. Niebawem ukazały się stronnictwa artystów uprawiających dawny styl architektury, i nowatorów. Budowle zaczęte przez jednych, przez drugich były wykończane. Z tego powodu napotyamy ślady dziwnej mieszaniny na budowlach, stanowiących przejście z gotycyzmu do stylu odrodzenia, i do innych odmian mniej więcej charakterystycznych. Takiemi są np. ratusz w St-Quentien w departamencie l'Aisne, dokończony w roku 1509; klasztor Urszulek w Burgos w Kastylji, mieszanina gotyku z maurytanizmem: budowla dziś w stanie ruiny, wykonaniem zdaje się dosięgać drugiej połowy XVgo wieku; kościół św. Eustachiusza w Paryżu, mieszanina gotyku ze stylem odrodzenia, i wiele innych budowli z téj epoki. Następnie styl odrodzenia pracownice uprawiany przez Brunellechi, Leona Baptystę Alberta, Bramanta i wszystkich następców aż do czasów Michała-Anioła, stał się wyłącznym dla budowli poważnych, gdy gotyk wyjątkowym być zaczął. To ostatnie swoje stanowisko w dziełach religijnych i cywilnych, zajmuje styl gotycki aż do naszych czasów. Za ledwie gdzieś nad poziom dzisiejszego spekulacyjnego świata, wyrosną smagle gotyku kształty. Jak gasnące podanie, nusuwa się niekiedy pamięci tegoczesnych artystów, ziębi ich pracą i kosztownością; a choć miło jest w jedności i swobodzie poddać się uniesieniu, zając się szkicem, którego każdy zarys miłe w oko wpada, wszakże wykonanie w naturze, nie zgadza się z dążeniami dzisiejszój epo-

ki. Izba parlamentu angielskiego, podług rysunku Karola Barry; będąca w trakcie budowa kolońskiej katedry podług pierwotnego jój pomysłu; niektóre większe restauracye, a między niemi restauracya katedry ś. Jana w Warszawie, dokonana z przełamaniem wielu trudności przez Adama Idzkowskiego, na budowie grożącej ruiną, zarzuconej i osłabionej nieporządkiem kilku wieków: oto znaczniejsze przykłady gotyku w naszych czasach.

Zwracając uwagę na wewnętrzną, tojest estetyczną stronę gotycyzmu, przedewszystkiem uderza tyle pożądana w sztuce swoboda, obok jedności i wybitności charakteru. Rzecz jednak godna zastanowienia, dlaczego wyrobienie stylów starożytnych i gotyckiego, w tak przeciwnych objawia się przymiotach. Pełna jest i zgodna jak strojny akord myśl starożytnych świątyń, rozrzuconych po ziemi greckiej i włoskiej. Siła materyi i jój ciężkość, dokładnie objęte uczuciem artysty w dziele jego, stają naprzeciw siebie, a zawierając wieczny sojusz spoczynku, wyraźnie go okazują kształtami materyi. Jak niezmiennie są prawa ciężenia, a tém samym wszelkie rozkłady téj siły na przeszkody wszelkiego rodzaju; tak niezmiennie, ostatecznie pomyslanemi są kształty starożytnej architektury. Piękność ich jest zbliżoną do piękności natury, ostatecznie w sobie bogatej i harmonijnej. Prostota, ścisłość, jedność, siła trafnie wymierzona i jasno rozlana, dają architekturze starożytnej jedno stanowcze godło skończoności, spełniającej wszelkie życzenia smaku najbardziej wyszukanego, poskramiającej wszelki kaprys, skłonny do zboczeń, duchowi téj architektury przeciwnych, i nadają jój godło skończoności co do ważności idei, w charakterze kształtów rozlanej. Skończoność archite-

ktury starożytnéj jest dwuznacznym symbolem skończonego życia tych ludów, które jéj byt nadały. One wszystko swoje w sobie rozwinęły, uprawiły, i aż do skończonej dojrzałości dochowały. Forma przewagę miała nad ideą w całym ich życiu; więc téż formę na wszystkie strony oglądzili; w rysach kształtu jak w zwierciadle przejrzała się cała ich dusza. Gotycyzm przeciwne poniekąd z sobą przynosi nam cechy. W nim znowu nieskończoność przedstawia artyście obszernie pole do działania. Śród tych niezliczonych załamków, fałdów, między konarami tych sklepień, żyje wyraźnie chrześcijańska idea wieczności. Niepowstrzymana dążność do wyniesienia się nad poziom, jest wprost przeciwną ścisłym stosunkom wysokości do grubości w kolumnie greckiej. Tu wyraźna baczność na ciężenie i wewnętrzną siłę materiałów, tam wyraźne lekceważenie nieustannego mass ciężenia. Ztąd téż nadmieniamy, że architektura grecka i rzymska bliższe są natury kształtnéj obrazowo pięknej, a architektura gotycka bliższą jest żyjącej chrześcijańskiej idei.

Wszakże natura jak stała się polem, na którym umysł zebrał rozliczne swoje bogactwa, wziął osnowę dzieł umysłowych; tak téż dała materią dla materialnych dzieł człowieka, materią z niewzruszonymi jéj prawami. Materya wprowadzona w pomysł architektoniczny jako przyszłe jego ciało, wstępuje tam ze swojemi prawami, rozłacza jego kształty, gnie krzywizny, zbliża i oddala swobodnie rozstawione powierzchnie, dopóki nie utrzyma się sama w całości zbliżonej do owéj całości, w wyobraźni artysty wynikłej. Jestto proces, który koniecznie przejść musi każde dzieło architektury wprzód, nim autor zamierzy wynieść go na zewnątrz pracowni

swojej. W nim estetyczna i wykonawcza strona, wzajemne dla siebie czynią ustąpienia, czynią tém mniejsze, im pierwotny pomysł bliższym był natury ciał, które go zapelnąć miały, tém większe, im więcej był oddalony. Taką jedność pomysłu z naturą bez żadnych prawie ustąpień, wyobraża architektura starożytna, taką różność przedstawia gotycka. Grek i Rzymianin, zdaje się iż podstawą mierzą wysokość kształtów; architekt średnich wieków biegnie z kształtem ku wyniesieniu, zapomniawszy o ciężkości materji, i jak gdyby na znak niezachwianej swojej śmiałości, w górze niekiedy grubość jego powiększa. Smutne doświadczenia przekonały artystów w wiekach średnich, że wyniosłość ma sobie wskazane granice przez twardość, ciężkość i słoistość materji, kształt zapelniającej, że w ogóle wybujałość pomysłów w naturze materyałów, ma swój najpiérwszy nieprzelamany hamulec. Nieznajomość nauk ścisłych, utrzymywała ich w dążeniu do nadzwyczajności, która razi oko widzące w masach warunki równowagi. Zaiste nie jest zaszczytną odwaga w niewiadomości niebezpieczeństwa, rzadko téż kiedy użyteczną bywa.

Katedra w Beauvais, w departamencie l'Oise, byłaby dziełem niezrównanie piękném, gdyby nie zbyt śmiałe pomysły artystów, zajętych jój wykonaniem. Pomysły te dowodzą zupełnej nieznajomości praw spoczynku, mimo to, że są bogate w artystycznój fantazyi i czysto-gotyckie. Katedra była stawiana cząstkowo przez trzy wieki, dokończona w 1580 r. Piérwsze dwa filary wzniesione pod opór sklepienia presbiterjum, skruszyły się w trakcie budowy pod własnym swoim ciężarem; tak była mała ich podstawa w stosunku wysokości, tak wąły układ

pojedynczych części. Mimo, że po tym wypadku silniejsze dokoła presbiterium wzniesiono filary, wszakże jego sklepienie runęło dwukrotnie w latach 1272 i 1284. Widok sklepienia utrzymującego się ostatecznie przeraża więcj, aniżeli zachwyca istotnego znawcę sztuki. Filary, a raczej kamienne pręty oddzielające okno od okna, pozornie wytrzymaujące parcie sklepienia wspiętego nad całym presbiterium, wydają się być zaledwie dosyć silnemi do utrzymania tak rozłożystego blaszanego baldachinu. Cała budowa presbiterium, jest wytwornie oszkloną klatką, dźwigającą kamienne sklepienie. Urok ten przeciwny naturze sztuki, bo mijający się z prawdą, niebawem znika, gdy widz wnętrzem zdziwiony, pójdzie zbadać zewnętrzną stronę budowy. Las łuków, podpiciera owe smagłe filary presbiterium. Łuki te właściwie przyjmują parcie sklepienia, i przesyłają go na niższe ciężkie opory; a mnóstwem swoim, nieładem, w którym widocznie przystawiano, czynią budowę z pozoru podobną do ruiny pracowicie przystrojonej, a co chwila upadkiem grożącej. Nie na tém koniec nieporządku w budowie téj katedry, wystawionej na igraszkę artystów, u których zręczny rysunek był pierwszą i ostatnią tajemnicą sztuki. Wtenczas właśnie, gdy katedra w Beauvais blizką była ukończenia, kopuła kościoła św. Piotra podniosła dumną swą czaszkę nad obszary odyjecznego Rzymu. Zdziwił się świat artystyczny ogromem mocy i śmiałości. Byłto cios niemały dla przeciwników nowatorstwa, za nową bowiem uznawano szkołę odrodzenia, która zasada się właściwie na ozdobnej modyfikacy rzymskiej architektury. Gorliwi zwolennicy gotycyzmu mocno uczuli, że pracowita ozdobność nie jest źródłem wielkich efektów, że przeciwnie cechą talentów jest

przedstawianie świetnych pomysłów w prostych formach. Wszakże Jan Waast i Franciszek Maréchale wykończający katedrę w Beauvais, a uporczywi rywale Michała Anioła, zamierzili okazać, że w ich architekturze równie jest obszerne i swobodne pole pomysłów nadzwyczajnych. Na czterech filarach kwadratu, wynikającego z przecięcia się głównej nawy podłużnej z odpowiednią poprzeczną, to jest na środku krzyża, wyobrażającego ogólnie podobny kształt kościoła, wystawili wieżę kamienną 288 stóp wysoką. Wieża ta niesłychanie misterniej roboty, stawianą była przez lat trzynaście; wszakże tylko lat pięć dziwiła przykładem zbytecznej śmiałości. W roku 1573 parta silnym wiatrem, zwała się w dzień Wniebowstąpienia, podczas gdy processya obchodziła miasto, zgruchotała sklepienia katedry, całą budowę aż w podstawach wstrząsnęła, okryła zniszczeniem, zasypała gruzem. Z téjto przyczyny dopiero za lat siedm, to jest r. 1580 katedra w Beauvais tak jak ją dziś widzimy, wykończoną została.

Piramidalny dach na wieży przy katedrze w Chartres, pochylił się od ciśnienia wiatru w r. 1691. Nie zdołano wykonać najśmielszych wierzchołków wież, mimo ich wskazania pierwotnym rysunkiem, przy katedrach w Reims, w Amiens, w Paryżu. Wierzchołki dokonane w wielu miejscach, późniejszymi laty przerabiane być musiały, gdyż siłę budowy zasadzano na ilości ankrów żelaznych i klamer wiążących kamienie, a nie na stopniowaniu mass, nie na wiązaniu kamieni przez odpowiednie ich kształtowanie. Rdza zniszczyła szczelność osady klamer w kamieniu, wierzchołki wież chwiały się od wiatru, i w każdej chwili groziły niebezpieczeństwem zwalenia.

Oprócz przytoczonych, jest jeszcze bardzo wiele innych dowodów przekonujących, że gotycyzm w całej swojej świetności przekazał nam wadliwość pod względem wykonania, która głęboko przeniknęła naturę samych kształtów, stała się powodem, iż kształt piękny pod względem charakteru samej sztuki, jest niepraktycznym w naturze. Architektura starożytna jest nieskończenie od tej wady daleką. Tam co jest pięknem ze względu na kształt, jest też w sobie samym siły zgodnej, porządnie w miąższości kształtu rozlaniej, przypusciwszy, że kształt wypełniony jest masą stałą i jednorodną.

Jestto prawda bardzo obszernego znaczenia w architekturze, że *naturalną podstawą piękności kształtów jest ich zewnętrzny wyraz, o ile wyobraża niezachwiany spoczynek, o ile uwidocznia równowagę sił, rozlanych wewnątrz materji jednorodnej, kształt wypełniającej*. Zasada wspólna wszystkim rodzajom architektury (1). Po jej zaspokojeniu, otwiera się dopiero pole charakteru względnego do stylu i przeznaczenia budowli, a w końcu idzie swobodna fantazja, której tajemnice złożone są w indywidualności artysty. Pilne wpatrywanie się w utwory sztuki, przynosi nam tę prawdę, a tym sposobem wytyka co bierze od natury sztuka kształtowania: *bierze harmonią w rozlaniu siły i stawia ją w samej podstawie wszelkich estetycznych rozwić.*

Nietrudno jest znaleźć istniejące tego przykłady, że piękność kształtów obejmuje w sobie ich praktyczną siłę. Poszukiwaniu Rondeleta na praktyce oparte wykryły, że mur odosobniony, niezém niepodparty, aby był silnym,

(1) Tę zasadę wywiodłem z ogólnych pojęć o piękności, w pracy pod tytułem: *O piękności w sztuce*, r. 1847 drukiem ogłoszonój; stronnice od 189 do 193.

potrzebuje mieć za grubość najwięcej około $\frac{1}{8}$, a najmniej około $\frac{1}{12}$ swojej wysokości. Taki właśnie jest stosunek średnicy do wysokości kolumny w stylach starożytnych. Zwężanie się kolumny, począwszy od $\frac{1}{3}$ wysokości, tyle mile dla oka, nie jestże prostém dążeniem do obniżenia jęj środka ciężkości, do nadania więć sily częściom więćj dzwigającym? Michał-Anioł w nadaniu krzywizny sklepieniu kopuły śgo Piotra, nie mógł się rządzić prawami mechaniki, bo ta podówczas, zwłaszcza co do budowy sklepień nie była znaną. Radząc się tylko dobrego smaku, wiele razy kręślił i mazał południkową sklepienia kopuły, a więćj jeszcze zwalczył trudności przy wprowadzeniu w wykonanie, ustalońj jedynie na podstawie dobrego gustu. Jakież musiało być zdziwienie p. de la Hire, znakomitego uczonego członka akademii francuzkiej, kiedy o wiele lat później po geometrycznóm zdjęciu południkowej sklepienia, przekonał się, iż takowa jest linią krzywą, nadającą sklepieniu, podług zasad mechaniki w tym przypadku, największą sily (1).

Z przytoczonych tu przykładów prosty wynika wniosek, że poznanie praw spoczynku wielce wpływa na wykształcenie gustu architekta, uogólnia pojęcie dobrego smaku do wszystkich ustalonych typów, *otwiera mu pole samoistności, wytrzymującęj zdrową krytykę*. Mając to na uwadze, jakże wiele odkrywamy wad pod względem gustu w gotyckich budowlach z wieków średnich, na piérwszy rzut oka świetnych, imponujących wyniosłością i pracowitością! Dążenie do zbytecznej drobia-

(1) Linia *Łancusznik*, użyta jako południkowa albo kierująca powierzchni sklepienia, przy tożsamości *extrados* i *intrados*, nadaje sklepieniu największą sily.

zgowości pokryło siatką, jak gdyby haftem kobiéciej ręki, wszystkie ważniejsze budowli kształty; tym sposobem prawdy jój spoczynku, zakrytemi są dla oka utrudzonego drobnostkami, między któremi niepodobna odgadnąć żadnej stanowczej myśli. Jeżeli nie jest zadaniem sztuki zwodzić widza, ani téż zadziwiać go zręcznością, nadzwyczajnością, dłączegóż to co dźwiga, nie przedstawia się dźwigującym? Uczucie nasze wprzód nim powezmie jakiegokolwiek od sztuki uniesienie, przejmuje się tą prawdą, że drobnostka massy, a massa drobnostki w układzie ciężarów zastąpić nie może albo nie powinna; przejmuje się tém łatwiej, jeżeli mu nasuniemy przeciwnie wrażenie. *Massę wyraźnie przedstawić jako zasadę spoczynku i powagi, obrysem mass wydać zasadnicze budowli motivum, między massą a drobnostką utrzymać widoczne pokrewieństwo, przeznaczeniem budowli i charakterem stylu wydzielić ilość jednego i drugiego:* zdaje mi się, iż taka zasada wypływa z pojęcia praw spoczynku.

Bezwzględna jest idea harmonii rozlanéj w postaci kształtów; taż suma jest dla wszystkich ustalonych typów, dla dobrze pojętej samoistności. Do jój okazania, konieczną jest jednorodność ciała kształt zapelniającego. Jednorodność ta przynajmniej w wyrobieniu pomysłu przyjętą być musi; inaczej pomysł nie będzie wzniesionym do stanowiska czystej jedności. Odwrotnie, jestto dowodem niedoskonałości pomysłu, gdy niby na jednorodnej wykształcony materji, w praktycznym wykonaniu zmusza do wprowadzenia ciał różnorodnych, do naśladowania mass bryłami wewnątrz pustemi, do koloryzowania, którego celem wprowadzenie widza w błąd, co do rodzaju użytego materiału. Jakiś, przypuścemy, pomysł

jest rysunkiem ustalony na materyi kamienia, a praktyczne jego wykonanie zmusza do użycia w pewnych częściach żelaza, w pewnych znowu drzewa i t. p. Dla otrzymania rysunkiem wskazanej jedności, wykonane dzieło pokrywa się jednym kolorem kamienia, i tym sposobem ma być naprawiony błąd pomysłu, gdy tymczasem samo wykonanie dowodzi, że albo harmonijnym nie jest, albo *inne musi być ciało jednorodne, zapełniające pomysłane kształty*. Ostrzegamy tu czytelnika, że jest mowa o kształcie całym, harmonijnym, o istotném zadaniu sztuki. To bowiem, co dzieje się w architekturze za osłoną kształtną, urządzenie stropów, mieszkań, drzwi, okien i t. p. jest właściwie stroną techniczną, w której potrzebą jesteśmy zmuszeni do użycia różnorodnych materyałów. Ale gdziekolwiek i w tej technicznej stronie architekt dotyka się kształtowanych przedmiotów, wszędzie sprowadza kształty do harmonii, a tak ile możności *przypuszcza* jednorodność ciała zapełniającego. Ztąd wyradza się nieoddzielny przymiot dzieł harmonijnych, jeden wszędzie rozlany stopień lekkości, jedna wszędzie siła, jedna zrozumiałość.

Wykształcony typ architektury starożytnéj, przynosi z sobą nawet pewne wyobrażenie natury ciała, na którym został wykształcony. Widzimy jasno kamień we wszystkich częściach architektury greckiej i rzymskiej; a ile razy kształty jéj drzewem lub żelazem zapełnić chcemy, narażeni jesteśmy albo na marnotrawstwo tego materyału, albo na naśladowanie mass bryłami, wewnątrz pustemi. Gotycyzm w swoich kształtach, przynosi nam rozmaitość ciała. Niemasz w naturze materyału, któryby sam jeden zapełnił kształty gotyku w ten sposób, iżby nigdzie nie dał się uczuć ani nadmiar siły,

czyli zbytka materji, ani brak siły, czyli niedostatek materji. Więcej jeden dowód przekonywający, iż typ ten jest abstrakcyjny, przecudny, w pobożnym wyrobionym natchnieniu; więcej poetyczny aniżeli praktyczny, giętki, przyjmuje rozmaite odcienia mniej więcej praktyczne, ale nieskończenie daleki od praktyczności typów starożytnych, pod względem wykonawczym. Drzewo użyte tak jak rośnie w naturze, to jest z zachowaniem pionowego kierunku włókien, zdaje się być jedynym materiałem, ogólniej praktycznym dla kształtów gotyckich. Gotyk lekki, jedynie z drzewa z całą swobodą i nieco łatwiej może być wykonanym; ale ciężkie i silne jego odcienia, zdają się znowu innego wymagać materiału.

* * *

Wielce żałować wypada, że architekci średnich wieków gotykem wyłącznie zajęci, nie tylko nie byli gruntownymi znawcami praw spoczynku, ale nawet w trakcie sposobienia się na zwolenników sztuki, nie poświęcali by najmniejszej części swojego czasu, na studyowanie pomysłów w stylu starożytnym. Jeżeli nie drogą własnego czucia i pojmowania, to wpatrzaniem się w silną harmonię kształtów greckich i rzymskich, uchroniliby dzieła swoje od przypadków, a styl na nich wyrobiony, byłby logiczniejszym, bliższym naturalnej prostoty, która jest najwyższą zaletą dzieł sztuki. Otrzymanie tych warunków, obok świeżości i swobody gotycyzmowi właściwych, nadałoby olbrzymim świątyniom chrześcijańskim z wieków średnich urok niewypowiedziany. Nie ulega żadnej wątpliwości, że gotycyzm dziś dla kosztowności nieczęsto wykonywany, jest od pierwotnego więcej harmonijny, a mniej bogaty. Studyom architektury starożytnej i naukom ścisłym, winniśmy ten po-

step, winniśmy *podniesienie zasad gustu do stanowisk ogólnych*. W istocie jedne są zasady piękności kształtów dla wszystkich rodzajów architektury, głęboko na prawdzie i prostocie naturalnej oparte, którąto prawdę i prostotę, przynoszą w swojej wyobraźni, rodzą się z nią szczęśliwsze talenta. Natura hardzo często wyprzedza tu pojęcia. Późniejsza analiza, podejmuje pojęcia z rzeczy przez naturę zdziałanych, ogłasza jako prawa, aby znowu ratować niemi brak naturalnego usposobienia. Zapewne nie na drodze analitycznych zaciekań w naturę sztuki, powstały olbrzymie, harmonijne dzieła Greków i Rzymian. Moźnaby poniekąd wyrzec, że hojna dla człowieka natura, przez niego i dla niego je wywiodła. Mało jest jednakże tych szczęśliwych talentów, które w gotowości mają u siebie najgłębsze prawa harmonii, a istniejącym, dzisiejsze pojmowanie sztuki nie pozwoli na ostateczną samych siebie pewność. Dlatego cała przeszłość architektury jest dla każdego jój zwolennika szacownym zbiorem doświadczenia, tak co do gustu, jak wszelakich praktycznych względów.

KRÓTKI RYS ŻYCIA I PRAC

J. J. BERZELIUSA.

(Rzecz czytana w akademii nauk w Brukselli na posiedzeniu publiczném corocznie odbywaném, d. 16 grudnia 1848 r. przez p. Louyet.)

Nie razy którykolwiek z owych rzadkich mężów, co to są szczytem i ozdobą rodu ludzkiego, zstępuje do grobu; tyle razy na myśl o stracie tak ogromnej umysłowej potęgi, niewypowiedziana żalność rozlewa się po naszej duszy. Rozpacz nas prawie ogarnia, bo wiemy z pewnością, że ów głos szanowny, nieodwołalnie zamilkł na zawsze, że nie będziemy już odbierać od niego mądrych rad; płaczemy nad zniknięciem téj świetnej pochodni, która tak długo kierowała niepewnymi krokami na mozolnej i trudnej drodze nauki; nie możemy wreszcie poddać się z obojętnością strasznej próbie śmierci, od siły twórczej śmiertelnym narzuconej, a która wszystkich nas, bogatych i ubogich, potężnych i maluczkich, nielitościwie równa!...

Takie uwagi, panowie! nastroczały się nam trzy miesiące temu zaledwie, kiedy dzienniki doniosły smutną, ale spodziewaną wiadomość o śmierci Berzeliusa. Od kilku już lat nieszczęście to grozić nam poczęło. Znęka-

ny kilkakrotnemi napadami apoplektycznemi, nie mógł on już potem zupełnego odzyskać zdrowia. Od kilku miesięcy, połowa jego istoty była już prawie umarłą. Ztąd też, ile razy kto przybył ze Sztokholmu, tyle razy obawialiśmy się usłyszeć o jednej z największych strat, jaką kiedy naukowa Europa poniosła. Sam Berzelius nie powątpiewał już o smutnym stanie swego zdrowia, nie łudził się więcj nadzieją, i był przekonany, że śmierć jest tuż przy nim; ale oczekiwał jęj z pogodą, spokojem filozofa i z wiarą człowieka pobożnego.

Śmierć Berzeliusa dla Szwecyi była klęską narodową; to też Szwecya cała, wszystkie towarzystwa uczone owego kraju, oświadczyły razem, że przez dwa miesiące nie zdejmą z siebie żaloby. Senat, Zgromadzenie narodowe, wszystkie wydziały władz rządowych, z wyrazem boleści i smutku, szły za trumną, co zamknęła szczątki nieporównanego chemika. Nie mam wcale zamiaru, kreślenia w zupełności życia Berzeliusa, ani rozbierania jego dzieł tak licznych i rozmaitych; to bowiem z wielkimi trudnościami jest połączone, i wymaga przydłuższego nieco czasu. Mimo to, bylibyśmy przyjęli na siebie tę pracę, gdyby mistrz nie zostawił po sobie świetnej plejady gorliwych uczniów, którzy wszyscy liczą się już teraz między znamienitościami europejskimi, a ci bez wątpienia, nie omieszkają spełnić tego świętego długu wdzięczności i obowiązku przyjaźni. Ograniczę się dlatego na przedstawieniu treściwem biegu życia tak świetnego i tak pożytecznie przebieżonego.

Jan Jakób Berzelius urodził się 29 sierpnia 1779 r. w Waferzunda, wsi niedaleko Linköping, w dawnęj prowincyi Ostrogocyi. Ojciec jego był tam naczelnikiem parafialnej szkoły, zajmował więc miejsce, które w Szwec-

cyi bardzo szanują. Nie mamy wcale żadnych szczegółów o młodych latach Berzeliusa; zdaje się, że jego własny ojciec położył pierwsze zasady do ukształcenia jego umysłu. W siedemnastym roku wszedł do uniwersytetu w Upsali z zamiarem poświęcenia się sztuce lekarskiej. Afzelius, siostrzeniec Bergmana, uczył wtedy chemii, mając przy sobie, jako adjunkta i pomocnika, Ekeberga.

Cała nauka chemii stała wtedy jeszcze dosyć nisko; to też i lekcye nie były jeszcze tak wykładane, aby łatwo i jasno objaśniały uczniom wszystkie tajemnice nauki. Czytano je zwykle, nie przedstawiając żadnych doświadczeń ani okazywań. Afzelius i Ekeberg nie troszczyli się wcale o to, aby godziny swego nauczania zajmującemi uczynić. Kilka jakich takich rozkładów, stanowią całą ich zasługę, że przewodniczyli pierwszym krokom naukowym największego swego wieku chemika.

W rozmowach poufnych, Berzelius bardzo często zwracał się ku owym pierwszym próbom w laboratorium upsalskiem. Lubił opowiadać, jak Afzelius, dla oswojenia go z pracami chemicznemi, kazał mu naprzód wyprażać siarkan żelaza dla otrzymania kolkotaru: „Każdy to wykonać może, mówił Berzelius do mistrza, i jeżeli tyle tylko możecie mię nauczyć, mogłem bezpiecznie w domu pozostać.” „Trochę cierpliwości, odpowiadał Afzelius, na drugi raz będziesz miał rzecz trudniejszą do zrobienia.” Ów drugi raz nadszedł i dano Berzeliusowi kremotartari do wyprażania dla otrzymania potażu. „Tak się tém zraziłem, mawiał Berzelius, że przysiągłem sobie nigdy o żadną robotę nie prosić.” Ale nie dotrzymał przysięgi i chodził ciągle do pracowni chemicznej; po trzech tygodniach, chociaż ustawy nie pozwalały jak tylko raz

na tydzień, on był tam co dzień. Afzelius mógł mu być zabronić wstępu, ale nie uczynił tego; pozwolił mu przynajmniej siedzieć w pracowni, czynić samemu doświadczenia, i tłuc tyle szkieleł, ile mu się podobało. Ekebergowi nie podobało się najwięcej to, że młody Berzelius odbywał swe doświadczenia chemiczne zawsze sam i w cichości, nie prosząc nigdy o jakie objaśnienia. „Przekładałem, mówił potem sławny chemik, czytaniem uczyć się, a czytane teorye sprawdzać rozmysłem i doświadczeniem, jak pytać się ludzi, co sami bez doświadczenia dawali mi albo nic nieznaczące, lub przynajmniej bardzo mało zadowalające odpowiedzi, pod względem zjawisk, których nigdy nie uważali.”

Po dwóch latach pobytu w uniwersytecie upsalskim, Berzelius odbył egzamen w wydziale filozoficznym i wyjechał w r. 1798. W następnym roku był pomocnikiem przy doktorze, mającym główny nadzór nad wodami mineralnemi w Medewi. Przed potężnym jego umysłem, nic nie przemknęło się, czegoby nie dojrzał i nie uczynił przedmiotem swych badań; to téż i owe mineralne wody, ściągnęły jego na siebie uwagę. Zrobił najdokładniejszy ich rozbiór, który potem, jako rozprawę wypracowaną z Ekebergiem, ostatnim swym profesorem, publicznie ogłosił. Ta robotą, była piérwszém ogniwnem długiego szeregu pamiętników, rozpraw, dzieł, które tak wysoko podniosły jego imię we czci i szacunku wszystkich ludzi.

W r. 1804 znajdujemy go znowu w Upsali, gdzie 24 maja otrzymał stopień doktora medycyny.

W tymto czasie, ogłosił swe: *Badania fizyczne o skutkach galwanizmu na ciałach organicznych*. Tyle już odznaczył się naukowemi pracami, że kiedy przybył na sta-

łe mieszkanie do Sztokholmu, obmyślono jedynie dla niego nową posadę: był mianowanym pomocnikiem Spaurna profesora medycyny, botaniki, i farmacych emicznój, owego Spaurna, co to z Cookiem naokoło świata podróżował. Szczupłe bardzo mając dochody, zmuszony był czasami do praktyki, jako lekarz. Po śmierci Spaurna, nastąpniej w 1806 r. nagrodzono prace Berzeliusa i powierzono mu osieroconą katedrę. W owym czasie, przy szkole medycyny było tylko trzech profesorów; dlatego przeciążeni byli lekcjami. Później utworzono cztery nowe katedry; wtedy Berzelius mógł oddać się wyłącznie nauczaniu ulubionego sobie przedmiotu: farmacyi chemicznój. Jego lekcyje medycyny miały niezmiernie powodzenie, kiedy przeciwnie lekcyje chemii, bardzo mało były uczęszczane. Nie mógł zrazu podnieść się w wykładzie wyżej, od dawnych swoich mistrzów Afzeliusa i Ekeberga. Zachował on ich zgubną metodę czytania lekcyi, bez objaśniania ich praktycznemi doświadczeniami. Mając silne przekonanie o własnej wartości i głębokich swoich wiadomościach, zdziwił się niezmiernie gdy ujrzał, że lekcyje jego nie wydają lepszego skutku, jak lekcyje upsalskich profesorów. Te pierwsze niepomyślne próby, połączone z radami, w sam czas mu danemi przez uczonego cudzoziemca doktora Marcet, zniewoliły go do porzucenia owęj metody czytania bez doświadczeń, która chociaż odpowiadała warunkom błędnym staręj logiki, była w najwyraźniejszej sprzeczności z sposobem radzącym polegać na doświadczeniu filozofii Bakońskięj. Sam musiał prawie zupełnie stwarzać sobie narzędzia do tęg ważnęg przemiany. Pracownia chemiczna, zostawioną mu przez jego poprzednika, nie była dobrze urządzoną, bo prawdę powiedziawszy, nie było tam nic, coby mu mo-

gło posłużyć do rozwinięcia i objaśnienia praw chemii i własności ciał, przez dobrze prowadzone i dobrze zastosowane doświadczenia. Z zapalem chwycił się olbrzymiej pracy, aby zapelnąć tę próżnię; a kiedy do wymownego swego nauczania, dodał potém szereg doświadczeń prostych i łatwych do pojęcia, niezliczone mnóstwo zbiegło się do niego słuchaczy, i odczyty jego stały się podziwem u swoich, a wzorem dla wszystkich innych szkół w Europie.

W 1806 r. zaczął wydawać Berzelius razem z Hisingerem pismo czasowe: *Pamiętniki tyczące się fizyki, chemii i mineralogii*. Łatwość cudowna prawie i przenikliwość analityka, najwybitniejsze przymioty jego samodzielności naukowej, jaśniały w tém piśmie najżywszym blaskiem. Liczne i znakomite usługi oddane na tém polu nauce, jak równie inne jego dzieło, nieco później *O chemii zwierzęcej* wydane, a nacechowane najnowszemi i samoistnemi pomysłami, zniewoliły szwedzką akademią królewską do wyznaczenia mu 200 dolarów rocznej płacy, dla ułatwienia mu dalszych w chemii badań.

W r. 1807, właśnie kiedy byłznaczony na profesora medycyny i farmacyi, założył Berzelius, razem z innymi świetnych zasług ludźmi, towarzystwo lekarskie w Szwecyi, które dotąd kwitnie tak, że je można uważać za punkt środkowy rzeczy lekarskiej w Szwecyi.

W roku 1808 nie mając więcj jak 31 lat, był mianowany członkiem królewskiej szwedzkiej akademii, a w r. 1810 był wybrany na prezydenta tego towarzystwa. Odbył potém Berzelius kilka podróży do Francyi; w r. 1812 zwiedził Londyn, a wszędzie był przyjmowany z nieobludnemi oznakami czci i szacunku przez przyjaciół nauki, którzy umieli pojąć i ocenić zasługi

Berzeliusa. W r. 1815 król szwedzki mianował go kawalerem orderu Wazy.

W roku 1818 mianowanym został dożywotnym sekretarzem akademii nauk, i to miejsce do samej śmierci zajmował. W r. 1821 został kommandorem orderu Wazy, a w kilka lat później, otrzymał wielki krzyż tegoż samego orderu. Podczas koronacyi Karola Jana 1818 r., otrzymał szlachectwo, a oprócz tego pozwolono mu zachować dawne swe nazwisko, co dotąd było bezprzykładném w Szwecyi. Oprócz tego, był kawalerem krzyża legii honorowej i orderu Leopolda. W r. 1832 przestał być czynnym professorem, a katedrę, na której trzydzieści lat nauczał, oddał uczniowi swemu, doktorowi Mozander. Wtedyto mógł wyłącznie oddać się badaniom naukowym, którym też rzeczywiście całkowicie się poświęcił.

Okolo tego czasu, ten wielki uczony ożenił się, a w sam dzień jego wesela, król Karol Jan donosząc mu listem własnoręcznym, że go mianuje baronem, pisał do niego jeszcze między innymi rzeczami „że Szwecya i cały świat są dłużnikami człowieka, którego całe życie upłynęło na pracach równie użytecznych dla wszystkich, jak zaszczytnych dla jego rodzinnej ziemi”.

Dyrektorowie kopalni żelaza w Szwecyi, wyznaczili mu płacę, w nagrodę i przez wdzięczność za niezmiernie usługi, pracami jego ich przemysłowi wyświadczone. W r. 1843 ówieré wieku mijało, jak Berzelius sprawował obowiązki sekretarza dożywotniego akademii nauk; z tego powodu członkowie tego towarzystwa, zaprosili swego sekretarza na ucztę, której przewodniczył książę następca tronu. Książę wniósł toast za jego zdrowie, i dodał jeszcze najszczerze wyrazy osobistej

ku niemu wdzięczności, za to, że w młodości raczył kształcić jego umysł.

Od tego czasu aż do śmierci, zajmował się ciągle Berzelius z cierpliwością właściwą sobie, badaniami najrozmaitszemi, które mu jego sprężysty umysł i ruchliwa wyobraźnia ciągle podsuwały. Tak więc życie to płynęło ciągle jednakowo i spokojnie, jakby wielka rzeka, a śmierć wolnemi zbliżała się krokami jakby posłaniec, co smutną przynosi nowinę. Uderzony naprzód paraliżem w dolnych członkach ciała, przewidział, że koniec żywota jego już niedaleki; ale nic nie mogło zmieszać pogody téj potężnej duszy: jak najprędzej dokończył co miał jeszcze do zrobienia na ziemi, i jako pracownik, którego mozoly już się skończyły i co zarobił sobie na odpoczynek, jak żył tak zasnął snem sprawiedliwego, spokojny i cichy. Umarł 1go sierpnia 1848 r. Takie było w krótkim zarysie życie człowieka, którego opis należy wyłącznie do historyi chemii, bo jest od niej nierozdzielny; człowieka, który przez pół wieku pracował ciągle z jednakowym zapałem nad powiększeniem skarbu umysłowego, który pokolenia istniejące zostawiają w spadku następnym.

Wskazawszy w głównych zarysach całą drogę, przez tego sławnego męża przebytą, niech nam wolno będzie teraz zastanowić się jako nad uczoneym, i zasługami jego z tego źródła pochodzącemi.

* * *

Zapał niezmordowany w pracy i niewyczerpana cierpliwość, oto co szczególnie odznaczało Berzeliusa, co szczególnie zalecamy uwadze przyszłych życiopisarzy tego wielkiego męża. Kto z tego stanowiska zapatrywać się na niego będzie, nie omyli się skoro powie, że

te przymioty były więcej nabytkiem, niż darem przyrodzenia, i że były niezbędnymi aby utworzyć jednego z największych analityków swego wieku. Doświadczenia długie, mozolne i uporczywe nawet, były potężną dźwignią, której używał do posunięcia naprzód nauki, i do oświecenia siebie samego. Przenikliwość, równie żywa jak przezorna, jasność bystra umysłu, wprawa do wiary prawie niepodobna, dokładność i szybkość w robieniu doświadczeń: nadały praktycznym wypadkom otrzymanym przez niego, cechę nieodwołalnej i przyjętej przez cały świat naukowy, pewności.

Niezależnie od jego własnych odkryć nadzwyczaj licznych, i od jego własnych teoryj niemniej mnogich i ważnych, przez czterdzieści lat nie odbyto w całej Europie ani jednego ważniejszego doświadczenia, którego by on nie powtórzył, nie potwierdził, nie sprostował lub przeciw niemu nie walczył. W oczach wielu uczonych, którzy porównywać będą Berzeliusa z owymi twórcami pojęć ogólnych, teoryj śmiałych, obszernych pomysłów, które, jak świat, zamykają wszystko w sobie samych; w oczach takich krytyków zajmie on może niższe nieco stanowisko: ale stać on będzie na szczycie, nawet pomiędzy najsłynniejszymi, kiedy się go sądzić będzie podług liczby i ważności czynów rzeczywistych, jakie on swoją wytrzymałą pracowitością i przenikliwością wydobył w nauce na widnią. Rzućcie tylko okiem na dzieła, które ogłosił, zobaczycie zaraz żywe dowody działalności niezmordowanej, jaką rozwijał w pracowni chemicznej i w gabinecie swoim.

Pismo czasowe, o którym już wspomnieliśmy, trwało z górą dwanaście lat, i zamyka w sobie opis wypadków, ze czterdziestu siedmiu oryginalnych jego spostrzeżeń

i poszukiwań. Jego wielkie dzieło, *Chemia*, w ośmiu tomach, co to miało aż pięć wydań, a za każdym razem przerobione było przez niego samego, jest pomnikiem i badań i biegłości badacza. Oprócz tego, na wezwanie akademii nauk w Sztokholmie, rozpoczął Berzelius 1822 roku wydawać: *Zdanie sprawy coroczne z postępów fizyki, chemii i mineralogii*, i to aż do ostatniego roku życia sumiennie ogłaszał, a które zawiera w sobie nieoceniony zbiór chemicznych odkryć; zbiór, jakim żaden inny kraj, ani żaden inny język poszczycić się nie może. Będziemy jeszcze mieli sposobność pomówienia o tém ważnym pod tyłu względami dziele.

Co się tyczy jego odkryć w chemii, dosyć nam będzie na prostém wymienieniu nazwisk najważniejszych. Ciała pojedyncze: tor, cerer, selen, krzem, cyrkon i kolumb, odkryte zostały przez niego. Oznaczył ściśle naturę metaliczną ammoniaku czyli złożonej zasady ammonii, jak również własności kwaśne krzemionki, i rozmaite stopnie w jakich siarka łączy się z platyną, fosforem i t. d.; robił wiele poszukiwań nad solami kwasów siarkowych, nad kwasem fluorowym, wodorodnym, i nad fluorkami. Nowe podziały powstałe w skutku tych odkryć, okazały niezmiernie pożytki praktyczne. Co więcej, czuł on konieczną potrzebę utworzenia nowych prawideł dla oznaczenia wszelkich związków w ten sposób, aby odrazu widne były własności każdego ciała, co podług dawnego słownictwa, jedynie dla związków ukwasorodnionych można było uczynić. Jego praca nad nowym językiem chemicznym, wzbudza zarazem podziwienie i wdzięczność wszystkich tych, co się zajmują chemią. Można także powiedzieć, że Berzelius rzucił pierwsze zasady chemii organicznej. Kiedy teorya ato-

mistyczna Daltona, i odkrycie przez Davy metali alkalicznych, wstrząsnęły aż do zasad nauką chemii; Berzelius zastosował natychmiast zasady pierwszego do składu ciał złożonych, i do porządku w jakim rozmaite pierwiastki łączą się między sobą. Wsparty na pracach poprzedników swoich, i dodając do tego dokładność doświadczeń, nieznaną dotąd, ustalił przez niezliczone rozbiory prawa związków chemicznych, a przywiedzeniem ich do najprostszych określeń, zwiększył jeszcze swoją zasługę. Kiedy prawa te poznane i oznaczone zostały, wtędy możliwem się stało sprawdzanie wypadków rozbioru, przewidzenia nawet wielkiej liczby związków dotąd nieznanych, i wprowadzenie do prac chemicznych dokładności, o jakiej dotąd nie odważono się nawet pomyśleć.

Nie przestając na zastosowaniu tych praw do ciał złożonych, jakie sam chemik może utworzyć, zwrócił je Berzelius do mineralogii, i podał jej sposób poznania naukowo wielu ciał, których dotąd nie umiano w nauce pomieścić. Złączył on tak ściśle te dwie nauki, że od-tąd badanie metalów, nie może się odbywać bez chemii.

Objaśnienie i ustalenie teoryi stosunków chemicznych, będzie zawsze uważane za jedną z największych zasług, jakie ten sławny chemik uczynił dla nauki. Ogłosił on w r. 1807 te badania, wprzód jeszcze, nim wyobrażenia Daltona poznane zostały; pracował on podług badań Rychtera, zapomnianych prawie wtedy, które wykazywały stałość w stosunkach łączących kwasów i zasad. Sąd zdrowy Berzeliusa, odrazu pokazał mu całą ważność pomysłu Rychtera.

Zrobił on rozkład nader staranny kilku soli, a tém samém mógł oznaczyć części składowe wielu innych.

Aby okazać prawdziwość teorii Rychtera, rozpoczął obszernie i długie badanie soli wszelkiego rodzaju; a kiedy potem obznajmił się z teorią atomistyczną Daltona, ujrzał, że ona doskonale zgadza się z wypadkami przez niego otrzymanymi.

Dowiódł również ze ścisłością, że stosunek kwasorodu jest zawsze stały we wszystkich obojętnych solach tegoż samego kwasu. Oznaczył nadto wagę odpowiednią względną, podług której łączą się rozmaite pierwiastki dla utworzenia związku. Było jego ulubiony przedmiot zajęcia, nad którym z największym zapalem pracował; to też jemu winniśmy największą część równoważników pierwiastków.

Wielki ten chemik, nie tylko bardzo wiele przyłożył się do ustalenia i udoskonalenia teorii atomistycznej, ale wprowadził ją do nauki, i tym sposobem ogromny dał popęd chemii organicznej i mineralogicznej.

Jego teoria elektro-chemiczna, ze wszystkimi swemi już urzeczywistnionemi następstwami, i mającemi się jeszcze w przyszłości urzeczywistnić, jest równie jednym z największych jego czynów. Teoria ta gwałtownie nastawiona w ostatnich czasach, do dziś dnia nie została rzeczywiście obaloną; zastosowanie praw związków do organizacyi zwierzęcej i roślinnej, jest podług nas najświetniejszą zasługą i najszcześniejszym wypadkiem potęgi geniuszu Berzeliusa.

I w rozbirowej chemii Berzelius położył ogromne zasługi; odkąd Bergman wskazał pierwsze sposoby dokładnych rozbirowów, wielu z uczonych zajmowało się tą ważną gałęzią chemii; ale metoda Berzeliusa przewyższa wszystkich i wszystko, co w tym względzie było najdokładniejszego.

Winniśmy mu najlepsze sposoby robienia ilościowych rozkładów najrozmaitszych ciał; onto ze znanych chemików, oznaczył skład największej liczby ciał naturalnych i sztucznych. Pomiedzy owemi sposobami rozbiorowemi, najważniejsze, jakie mu nauka winna jest: zastosowanie kwasu wodorodno-fluorowego do rozkładu minerałów, zawierających krzemionkę, i użycie chloru do odłączania metalów. Jego rozbiory niektórych rud, wód mineralnych czeskich i innych, nie nie zostawiają do życzenia. Rozbiór co do jakości został także dużo przez niego ulepszony, a zastosowanie dmuchawki, przyniosło nieocenione korzyści dla badań mineralogicznych. Szwedzcy chemicy, między któremi głównie zasługuje na wzmiankę Gahn, użyli dmuchawki, jako sposobu najpewniejszego do dochodzenia minerałów. Ważne to narzędzie, dopiero co we Francyi zastosowane, było w rękach Berzeliusa najdzielniejszym środkiem do rozkładania ciał nieorganicznych. W dziele o tém narzędziu, wykazał jego użyteczność, i jaką pomoc od niego nauka mieć może. Dzieło to pod tytułem: *O użyciu dmuchawki w rozbiorach chemicznych i oznaczeniach mineralogicznych*, przetłumaczył ze szwedzkiego na francuzki, Fresnel, w Paryżu 1827 r.

Niepodobieństwem prawie jest, wchodzić w szczególności niezmiernie drobiazgowo i wyliczać same tylko napisy wszystkich pamiętników Berzeliusa; ani jeden może chemik tyle ich po sobie nie zostawił. Załedwie kilka przedmiotów, kilka ciał mógłbym wymienić, nad któremi nie robił licznych doświadczeń; a każda jego praca zawiera nowy jakiś sposób, albo jakąś zmianę w sposobie rozkładu, a zawsze coraz lepszą i użyteczniejszą dla nauki.

Berzelius ogłaszał dopióro wtedy swą teorią, kiedy ją poparł licznymi i rozmaitemi czynami, i sprawdził długimi i cierpliwymi doświadczeniami. Niedawno byliśmy świadkami dosyć zwawych rozpraw o wyobrażeniach teorycznych; lecz znamienity szwedzki uczone uważał każde teoryczne wyobrażenie jako pewnik, skoro tylko przyjętém zostało do nauki, chybaby było zwalczone nieodpartymi przeciwnymi czynami. To téż wszystkie wymysłowe teorye chemii, chociażby były najdowcipniejsze i napozór dużo obiecujące, znajdowały w Berzeliusu strasznego przeciwnika, który walczył z nimi i przekładał nad nie pewniki dawniejsze, dotąd, dopóki nowe czyny, jawnie nie okazały prawdy nowych pomysłów. Jeżeli niektóre z jego teoryj nie są przyjęte przez wszystkich chemików, trzeba to przypisać zbytecznej jego oględności; w nauce, opartej wyłącznie na doświadczeniu, ta bojaźliwa powściągliwość opóźnia zapewne przyjęcie niejednego nowego i prawdziwego wyobrażenia, ale zato bardzo rzadko wprowadza na błędną drogę. Kiedy Berzelius zaczął swe prace w Upsali, cała nauka opierała się na grubych teoryach, jedne na drugich zlepionych; a próżnie, napotykanę w rzeczach najwidoczniejszych, starano się zapełnić przywidzeniami, obranymi zupełnie z prawdopodobieństwa. W tém miejscu miał Berzelius do zwalczenia niesłychane przeszkody; ztądto zapewne pozostał w nim ów wstręt do tworzenia teoryj, które przywłaszczając sobie miejsce prawdziwej filozofii, budowały przypuszczenia na przypuszczeniach, i dawały nazwisko nauki najniedorzeczniejszym wypadkom. Może jednak będzie miał słusność, kto powie, że Berzelius zabardzo powstawał na badania czysto teoryczne; ale z owego kierunku umysłowego wiel-

kiego męża wypłynęło, że kiedy on przyjął jaką teorię, można było być pewnym, że opiera się na stałych i pewnych podstawach.

Ta zbyt uczona, jak powiedziałem, oględność, wystawiała go nieraz na gwałtowne napady; a jednak to wydało dla nauki nieobrachowane korzyści: żadne albowiem wyobrażenie teoretyczne nie wcisnęło się bezkarnie do chemii, kiedy czuwała tam nad nią groźna powaga, która rozbiierała ją ze wszystkich stron, i sprawdzała tym sposobem jej wartość i prawdziwość. Nie chcemy tu wcale nastawać na pełne zasługi usiłowania uczonych mężów, którzy starają się wprowadzić do nauki nowe wyobrażenia; ale sądzimy, że Berzelius więcej uczynił dla chemii przez swój rozbiorowy i oględny kierunek, niż ci, którzy bez różnicy i sprawdzenia poprzedniego, przyjęli nowe teorie, a gdy te stały się ogólnymi, szeroko głosili swoją bystrą przenikliwość. Byłoby zresztą bardzo naturalnym, że człowiek, który we własnych swoich badaniach był niezmiernie oględny i dokładny, sądził z niezwykłą surowością prace, a nadewszystko mniemane odkrycia innych.

Tę dążność do krytyki naukowej, tak wybitną w Berzeliusu, ośmielano się przypisywać zazdrości niegodnej jego szlachetnego serca, nie chcąc jej przyznać gorącej miłości ku nauce, która każdą chwilę jego świętego żywota zapełniała. Zazdrosnym on był, prawda, ale tylko o chemię. Z jego niezmiernie ścisłymi doświadczeniami, stawały w naturalnej niejako sprzeczności wszystkie owe utopijne teorie, któremi igra sobie gorący zwykle umysł lubiących nowostki. Ale chociaż stał upornie przy dawnych prawdach, to mimo to, jego własne postępowanie i prace dowodzą aż do oczywistości, że owo

usposobienie jego osobowo-naukowe, nie przeszkadzało mu wcale do poszukiwań i badań pracowitych nad tém wszystkiém, co jeszcze w chemii pozostawało do odkrycia.

Badania Berzeliusa w chemii zwierzęcej są równie bardzo ważne; najważniejsze między nimi były czynione nad krwią i żółcią. Odkrył on kwas mlekowy w rozmaitych cieczach zwierzęcych, jakoto: we krwi, mleku, moczu, łzach i t. d. przez co wielką i ważną uczynił przysługę medycynie, a właściwiej mówiąc chemii życia.

Równie z bogactwami zostały pracami tego wielkiego chemika elektryczność, chemia roślinna i fizjologia. Czego się dotknął, to wszystko ulepszał; i możemy powiedzieć o nim nie obawiając się przesady, że byłto pracownik niezmordowany i najpłodniejszy ze wszystkich, niwę nauk uprawiających.

* * *

Opowiedziawszy pokrótce o Berzeliusu ze stanowiska jego prac osobistych, pozostaje nam jeszcze wspomnieć o nim jako o krytyku. Pod tym względem, wywierał on bez wątpienia równie ogromny wpływ na naukę, jak przez własne swoje odkrycia.

Rozbiór ścisły i surowa krytyka, pod którą podciągał Berzelius przez 25 lat wszystkie prace chemików i fizyków w swoich *Sprawozdaniach rocznych*, pobudzały przeciwko niemu bardzo często rozdrażnienie uczonych, bo miał obok wszystkiego tę jeszcze słabość, że za bardzo szczerze i otwarcie zdanie swoje o nich wyrzekał. Za naszych dni posunięto się aż do powiedzenia, że z prac francuzkich bardzo mało znalazło łaskę u niego, chyba, że były wydane w duchu jego nauczania i wyro-

bione podług zasad jego teoryi. Jestto zarzut jeden z pomiędzy wielu, który mu najniesłuszniej czyniono, bo dosyć jest przejrzyć jego zajmujące *Sprawozdania*, aby się przekonać jak fałszywie go oskarżano. Życzonoby sobie zapewne, aby sumienne prace Berzeliusa, były tylko prostą statystyką ruchu nauki; ale to nie leżało w naturze jego usposobienia, bo każdy tam artykuł był zarazem rozumowym wykładem i sądem rozważonym, a nie na wiatr wydawanym. Złośliwsi utrzymywali nawet, że owe urzędowe niejako wyroki naukowe, nie miały żadnego celu, i żadnego pożytku; że wykladać, sądzić i zbijać badania, co dużo prac i trudów wymagały, byłoto przedsięwzięcie i złe i niegodne. Nakoniec posunięto się aż do utrzymywania, że owe *Sprawozdania* Berzeliusa nie były jego dziełem, ale że to był prosty zbiór, robiony przez jego własnych życzliwych mu, ale niedoświadczonych uczniów!!

Kiedy krytyka naukowa pojęta jest dobrze i wykonywana sumiennie, będziemy ją zawsze popierać, mimo wszystkie krzyki i zarzuty jej przeciwników; a ci co kochają naukę dla niej samej, a nie dla sławy jaką czasem otacza, albo dla korzyści jakie jeszcze rzadziej daje; przystaną pewnie na naszą stronę. Boć nieskończenie ważnym jest, aby żaden błąd nie wcisnął się do jakiegobądźkolwiek nauki, i potrzeba następnie, aby byli ludzie jaśniejący, coby chcieli poświęcić się tej mozolnej pracy, badania i oceniania odkryć, prac prawie nawałem co dzień rosnących, i coby mogli, *wsparci powagą imienia swego*, przyjąć te, co są prawdziwe, a odrzucić i skazać na potępienie te, które na to tylko przyszły do dziedziny nauki, aby zjednać rozgłos ich autorom, a nie po to, aby zbożać samą naukę. To też śmierć Berzeliusa z tego wzglę-

du jest podług nas najokropniejszą klęską, bo nas zostawia samym sobie, bo z nim i umarła dzielna, czujna i bezstronna krytyka; bo on sam, stał zawsze na czatach, zawsze gotowy do oznaczenia miejsca teoryom na los rzuconym lub fałszywym, oraz doświadczeniom źle zrobionym, albo zmyślonym.

Nie mamy za złe wcale Berzeliusowi, że miał odwagę do czynienia swoich zarzutów szczerze i otwarcie, jak to poprostu mówią, że nie obwijał nic w bawełnę; i spodziewamy się, życzymy sobie z całego serca, aby świetny jego przykład nie został bez naśladowcy. Krytyka ma tę wielką w sobie korzyść, że obudza współubieganie się, że zwraca uwagę prawnych sędziów na doświadczenia i teorye, które rozdziłyby się, i wnet umierały, gdyby nie były rozbierane i sumiennie oceniane. Któż nie wie, któż głośno nie przyzna, że rozbiór ścisły, chociażby był ostry a nawet nieprzyjazny, daleko więcej wart, niż uporczywe ciągłe milczenie?

Lecz żeby krytykować dzieła innych, żeby mózdz oznaczyć rzeczywiściami ich wartość, trzeba samemu być na szczycie nauki, trzeba samemu mieć w sobie połączone wszystkie przymioty prawdziwego krytyka, które na nieszczęście rzadko bardzo razem w jednej osobie się łączą. Berzelius miał je wszystkie i w wysokim stopniu. Nie twierdzimy wcale, jakoby wielki ten człowiek, był bez zmazy, jakoby on był dyamentem najczystszej wody. Niestety, nie był nim! Byłto człowiek, a największy na świecie człowiek, widziany zanadto blisko, ma plamy na sobie. Ale mimo to utrzymywać, stać przy swoim będziemy, że mało uczonych jednoczyło w sobie w tak wysokim stopniu zasługę świetną i niezaprzeczoną, wyższość teoryczną i praktyczną powszechnie uznaną, wie-

dzę, tak pełną siły tego wszystkiego, co było zrobionem w nauce, nakoniec uznanie wewnętrzne, że miał obowiązek wielki do wykonania i święte posłannictwo do spełnienia.

Tak jest! żałujemy Berzeliusa, bo nie zapomnimy nigdy świetnych usług, jakie ciągle nauce chemii oddawał; bo drzemy na myśl, że progi świątyni pozostały bez strażnika, i że odtąd będą tam mogły wchodzić swobodnie wszystkie utopie toryczne, wszystkie obłąkania się i obłądy wyobraźni. Chemia, za naszych czasów nabiera jakiegoś fałszywego kierunku, i oko filozofa, ze smutkiem widzi, jak ona rzuca się znowu w ciemności, z których ją wiek przeszły, z takim mozolem, wydobył. Kanclerz Bakon, mistyk Paracelsus, a przed nimi jeszcze nasz rodak Van-Helmont, okazali przecież dowodnie wyższość doświadczeń nad wymarzonemi teoryjami i nicność systematów stawianych bez doświadczeń. Dzisiaj, nie ma jedności w pracy: jedni szukają nowego podziału, drudzy nowego systematu; inni wyobrażają sobie, że można znaleźć system samém szukaniem, a nadając, podług wyrażenia się nowego autora (*Kirejewski, Historia-prawodawców chemików*) „nowy widok wielkiemu dziełu”, przybierają na się najzupełniej charakter starożytnych alchemików; inni nakoniec chcąc odrodzić chemię organiczną, kręcą nią na wszystkie boki, ściskają ją i męczą, ale nie mogą nic takiego uczynić, coby się ostać i powagę naukowego pewnika mieć mogło. Czyż nowy jaki Berzelius nie przyjdzie i nie uchwyci znowu berła krytyki, które ze zlodowaciałych rąk sławnego chemika wypadło, aby przywołać do porządku ten tłum pracowników nieużytecznych, i aby im pokazać, jak się

to działa, kiedy się chce jaką naukę o krok dalej posunąć...

W stosunkach codziennych Berzelius był prostym bez rubaszości. Nie miał on w sobie ani odrobiny zarozumiałości, która płynąc z przesadzonego uczucia własnej swojej wartości, zmniejsza czasami bardzo przyjemność, jaką się ma w towarzystwie ludzi jaśniejących nauką i obszerną wiedzą. Wstawał on bardzo rano, i nikt go z odwiedzających nie zastał nigdy niezajętym. Żadna osoba, ktokolwiekby ona była, nie uskarżała się nigdy na przyjęcie u niego. Znał on wartość czasu, i starał się dać ją uczuć i innym. Przez przeciąg tak długiego zawodu, bo 70 lat obejmującego, z których 44 upłynęło w jedném mieście, związany ciągle pracami trudnemi a często uciążliwemi; pracami, które zwykle czynią charakter człowieka przykrym i zgryźliwym, umiał jednak Berzelius pozyskać i zachować przywiązanie swych uczniów, przyjaźń kolegów, szacunek monarchy i względy u wszystkich co go znali bliżej. Dzisiejsi chemicy, najbardziej odznaczający się, wyszli z jego pracowni, jakoto: Mitscherlich, Gmelin, Henryk i Gustaw Rose, Woehler, Magnus, Arfwedson, Mosander i wielu innych. Wszyscy dotąd zachowali dla swego mistrza szacunek bez granic, bo go uważają jako sprawcę ich powodzeń w nauce, jako umysł, co ukształcił ich umysł, i nadał mądry kierunek ich pracom.

Panowie! oskarżają nas może, że chcieliśmy napisać pochwałę Berzeliusa; ale zapewniamy, że kuszenie się nasze było daleko skromniejsze. Broniąc tego wielkiego człowieka od niesłusznie poczynionych mu zarzutów, chcieliśmy na tém uroczystém zgromadzeniu przypomnieć światu jego zasługi i prawa do chwały; śledząc bieg ży-

wota tak długiego i tak świetnie wypełnionego, chcieliśmy okazać młodemu chemikowi, którychby dzisiejsze dążenia nauki mogły obłąkać, jakimto sposobem budują się podwaliny wziętości i sławy nigdy nieginącej, oraz świetnego w nauce imienia; jakimto sposobem, aby posunąć nauki doświadczalne, trzeba podtrzymywać pomysły pierwotne przez uporczywą wytrzymałość w doświadczeniach, i przez ciągłą pracę, której nie można odebrać odwagi!

Rodak nasz p. hr. Eustachy Tyszkiewicz, poznał osobiście słynnego chemika, podczas swojej podróży do Szwecyi. Wróciwszy ztamtąd, wydał w Wilnie jako wspomnienia z owej wycieczki do Skandynawii, dzieło w dwóch tomach, pod tytułem: „Listy o Szwecyi” w którym opisuje swoje widzenie się z Berzeliussem i wrażenie, jakie on na nim uczynił. Mniemamy, że uczynimy tym wielką przyjemność czytelnikom Bibl. Warsz., gdy obok świetnej mowy p. Louyet, dodamy małe obrazy o Berzeliusu, skreślony ręką naszego współziomka. Oto jak rozpowiada p. Tyszkiewicz o tych odwiedzinach u Berzeliusa:

„Pomiędzy osobami do których mnie polecono, był znakomity Berzelius. Miałem do niego pismo od czcignego profesora Eichwalda z Petersburga, osobiście mu znajomego.”

„Berzelius latem zwyczajnie mieszkał za miastem, nie zastałem go przeto w mieszkaniu; zostawiłem tylko list w rękę służącego, zwiastującego mi przyjemną wiadomość, że Berzelius jutro rano wróci do miasta.”

„Europejskiej sławy imię Berzeliusa, nie potrzebuje, jak mi się zdaje, żadnego objaśnienia, gdyż ktokolwiek tylko dotknął się do drukowanej książki, temu pewno

nazwisko to nie jest obce. Jest on dzisiaj prezydentem Akademii Nauk. Uczone towarzystwa całego prawie świata, poczet swych członków ozdobiły nazwiskiem Berzeliusa. Ten jeden z najpiérwszych dzisiaj chemików w Europie, zajmuje skromne mieszkanie w gmachu Akademii Nauk, przy jednéj z najwspanialszych ulic stolicy, zwanéj Drottning-Gatan (ulica królowéj). Nazajutrz tedy udałem się znowu do Akademii Nauk. Tam wprowadzono mię do niewielkiego laboratorium, skromnie i poprostu urządzonego, z którego jednak tyle ważnych odkryć i sprostowań uczony świat wzbogaciło."

„W tejsze chwili wybiegł, z uprzejmością mnie witając, średniego wzrostu, niezbyt stary i w miarę mający ciała mężczyzna. Byłto Berzelius. Jego skromna powaga, to nieudane zapomnienie siebie samego, ujęcie i szczerą chęć służenia wszystkiém, co było w jego mocy, tak mię w planach mych zmitrężyły, że ja, com przez całą noc rozmyślał tylko o tém, jak i o czém rozmawiać będę z Berzeliusem, usiadłem z nim najspokojniéj na kanapie, prowadząc najnaturalniéj rozmowę, w której nic nadętego próżnemi słowami nie słyszałem. Szanowny ten człowiek skreślił mi plan dalszój mojej podróży, kazał mi natychmiast odjechać do Skanii, poznać pana Nilson, profesora uniwersytetu w Lund, i znakomitego antrykwaryusza; tam skorzystawszy z jego prac i spostrzeżeń, udać się do Kopenhagi dla szczegółowego zbioru starożytności północnych i poznania osobiście znakomych ludzi, pracujących w tym rodzaju; z Kopenhagi radził mi najwłaściwiéj udać się przez Sund i Kategat do Gotenburga, a ztamtąd przerznawszy wpoprzek całą Szwecyą, wrócić do Sztokholmu na czas dłuższy, gdzie zapewne już wróca ci wszyscy, których znajomość w badaniach mo-

ich pożyteczną mi być mogła. Nie zapomniał dołączyć swoich uwag i niezbędnie dla mnie potrzebnej instrukcyi. Podwojona więc dla mnie z tój podróży miała być pociecha, gdym ją jeszcze z porady i woli Berzeliusa miał odbywać."

„Nie chciałem dłużej być natrętnym i zajmować czasu, tak chlubnie przez uczonego męża trawionego, lecz mnie sam zatrzymał i zaczął niektóre uwagi czynić nad pomnikami, odkrywaniem w ziemi. Właśnie woziłem z sobą wiele zabytków starożytności odgrzebanych na Litwie, ażebym je na miejscu ze skandynawskimi porównał; i gdym mu wspomniał o łzawnicy szklanój, w którój płyn dotąd się przechował, Berzelius tak mówił do mnie: Nie mając przekonania ażeby naczynie kiedyś otwór swój miało, nie można sądzić inaczój, jak tylko, że części wilgotne w skutek długiego leżenia w ziemi, przez powierchnią szkła do wnętrza wypróznionego naczynia się dostały. I w Szwecyi podobną osobliwość przed kilką laty w dawnym grobie znaleziono. Ale jest pewność, w którą wierzę i przekonany jestem, że szkło przez siebie nie przepuścić nie może; nie było jednak doświadczenia i sprawdzić niepodobna, czy to co przez lat 50 stać się nie może, kilka wieków przemienić nie potrafi? Berzelius mówił długo o zbójcach morskich dawnój Skandynawii, którzy niezmiernie odległe czynili wycieczki, i ze wszystkich stron świata nieznanie przedtém tój ziemi przywozili wyroby; następnie wymieniał niezaprzeczonny wpływ, jaki to pokolenie na brzegi nadbałtyckie w ogólności wywierało; a mówił tak jasno, tak trafiał do przekonania, że każdego z łatwością przekonać o tém, co mówił, potrafi. Kiedym go żegnał, prosił mnie, ażebym wróciwszy do stolicy, odwiedził go i zdał mu sprawę

z swojej wycieczki. Przyrzekając mu dodałem, że mi na sercu dług wdzięczności ciąży, że będę u niego, żebym mu podziękował za jego dobre dla mnie chęci, i że gdy wrócę na rodzinną ziemię, opowiem ziomkom moim o pomocy jaką mi Berzelius w podróży mojej wyświadczył; gdyż to wielkiej chwały imię jest równie głośne w całej Słowiańszczyźnie, jak i na jego rodzinnej ziemi”.



AKT I

z swojej wycieczki. Przyszło mu do głowy, że ma na
sebie dług wdzięczności i żeby to być u niego, żeby
mu podziękował za jego dobro dla niego i to był
wtedy na zachodzie słońca, opowiem ci o tym i o pa-
nowy jest mi bardzo w podziękowaniu i wdzięczności
kiedy to wielki chł... i... słowo

AUTORKA.

DRAMAT WE CZTERECH AKTACH

PRZEZ

Josefa Horzeniowskiego.

OSOBY.

EMILIA.
KLEMENTYNA.
AUGUST.



STANISŁAW.
LOKAJ AUGUSTA.
LOKAJ EMILII.

Scena na wsi.

AKT I.

(Pokój Augusta na wsi. AUGUST siedzi zamyślony. STANISŁAW prze-
chadza się z cygarem).

STANISŁAW (*staje przed nim*). — Czy wiesz Augustcie,
żeś mię zrobił kłamcą.

AUGUST (*podnosi głowę*). — A to jak?

STANISŁAW. — Pytano mię w pewnym miejscu koło
Maryampola, czy znam p. Augusta Błaszowskiego? Od-
powiedziałem, że znam doskonale, że to mój sąsiad
i przyjaciel.

AUGUST (*podaje mu rękę*). — Toś powiedział prawdę,
bądź pewny.

STANISŁAW. — Poczekaj. Pytano mię, czemu p. Błaszowski teraz nic nie pisze? — Odpowiedziałem, że kupił majątek niedaleko od Warszawy, że wpadł w interesa, że się urządza, słowem, że nie ma czasu.

AUGUST. — Nie widzę, mój kochany Stasiu, dlaczegoś się posądził o kłamstwo, bo i to prawda. Wyplątuje się z biedy z wielką trudnością. I gdyby nie jakaś niewidoma ręka, która mi pomaga, to nie wiem doprawdy, jakbym tego dokazał.

STANISŁAW. — Niewidoma ręka! Ale poczekaj, powiesz mi to potem, bo tu jeszcze nie o to idzie.

AUGUST. — A o cóż?

STANISŁAW. — Oto dwie śliczne panie, powabne jak Litwinki, ze słodkim wejrzeniem, z ciągnącym się i pieszczonym głosem, i notabene wielkie admiratorki twojej ostatniej powieści, w której dałeś tak cudną i tak prawdziwą rolę kobięcie, opadły mię i dopytywały się, jak p. Błaszowski wygląda, jakiego wzrostu, jakie ma włosy, jakie oczy, czy wesoły, czy rzewny, czy lubi niebo gwiaździste i księżyc w pełni.

AUGUST (*ruszając ramionami*). — Spodziewam się, żeś odpowiedział, żeś nie lunatyk.

STANISŁAW. — Naturalnie, odpowiedziałem, że wyglądasz jak człowiek rozsądny, który ma dobry apetyt i niezłego kucharza; żeś czerstwy, rumiany, nie głupio wesoły, ale spokojny, dobrego humoru i wcale nieromansowy. I otóżto w tém okropnie skłamałem.

AUGUST. — Czy nie wyglądam, jak człowiek rozsądny?

STANISŁAW (*biorąc jego rękę*). — Nie, nie, mój dobry Auguście. Wynędzniałeś, schudłeś, nic nie jész, nie spiesz. Od dwóch dni, które tu bawię u ciebie, nie spu-

szczam cię z oka, i widzę, że się coś w całej twojej istocie zmieniło. Czyś nieszczęśliwy?

AUGUST (*powstaje*). — Bardzo (*zaczyna chodzić*).

STANISŁAW. — Czemuż nie mówisz?

AUGUST. — A, nie takto łatwo, jak ci się zdaje, dać ci poznać moje okropne położenie...

STANISŁAW. — Okropne? Cóż to? czy bank ogłosił sprzedaż twego majątku?

AUGUST. — Co za głupstwo! Tobie zawsze tylko bank w głowie; tak źle nie stoję w interesach.

STANISŁAW. — A więc o cóż idzie? bo spodziewam się, żeś nie chory.

AUGUST. — Nie.

STANISŁAW. — I nie masz nic na sumieniu?

AUGUST (*odwraca się*). — Otóżto właśnie, że mam.

STANISŁAW. — Przestraszasz mię.

AUGUST (*patrząc w ziemię; po pauzie*). — Nie byłeś jeszcze po powrocie u panny Emilii?

STANISŁAW (*z uśmiechem*). — A! a! więc to to?

AUGUST. — Co? zatem wiesz?

STANISŁAW. — Czegożes się tak wypatrzył? O niczem nie wiem; ale domyślałam się, że to jakiś romantyczny kłopot, jakieś nieporozumienie, może jaka mała niewierność. No, jeżeli tak, to oddycham. Wszystkie te serdeczne kłęski dziś niestraszne — nie kompromitują.

AUGUST. — Nie odpowiadasz mi na pytanie. Czy nie byłeś jeszcze u p. Emilii?

STANISŁAW. — Pięć miesięcy bawiłem w Augustowskiem; przed tygodniem przyjechałem; nigdzie nie był, tylko u ciebie. Ale dlaczegoż mię o to pytasz? Czy i ty autorki naszej tak dawno nie widziałeś?

AUGUST (*dobywa bilecik i daje mu*). — Czytaj (*przechadza się*).

STANISŁAW (*czyta*). — „Już przeszło trzy tygodnie, ja-keś pan u mnie nie był. Wiem, że siedzisz w domu zamknięty i nikogo nie widzisz. Czyś pan chory? czyś się rozgniewał, że ci tak jak zawsze odpowiedziała? czy już panu przyjaźni mojej niepotrzeba? Czekam pana przez dziś i przez jutro. Jeżeli się nie doczekam, przyjadę do pana sama. Znasz mię pan dostatecznie i przekonany jesteś, że to zrobię bądź co bądź! — Emilia.” (*Od-dając bilet*). A tyż co na to?

AUGUST (*smutno*). — Posłałem po paszport do Litwy, i jak tylko przyjdzie, pojedę. Na jutro zaś, żeby mię nie zastała w domu, zapraszam się do ciebie.

STANISŁAW (*po chwili*). — Hm! — więc już p. Emilii nie kochasz?

AUGUST. — Czyż ja kochałem ją kiedy?

STANISŁAW (*siadając*). — A, przyznam ci się, że tego nie a nic nie rozumiem.

AUGUST (*rzuca się na krzesło*). — Ale to przynajmniej pojmujesz, że kiedy tak jest, to muszę być bardzo nie-szczęśliwym.

STANISŁAW (*z uśmiechem*). — Przepraszam cię kochana Auguście, ale jeszcze i tego nie widzę.

AUGUST (*powstaje*). — A cóż widzisz? że mizernieję bez przyczyny, schnę nie wiedzieć dlaczego? nie jem i nie sy-piam tak sobie dla satysfakcyi, dla jakiejś oryginalno-ści? Musisz więc mieć mię za dziwaka i głupca, o któ-rym byłoby co powiedzieć (*zaczyna chodzić*).

STANISŁAW (*idzie za nim, i biorąc jego rękę*). — Chodź-no Auguście, usiądź i rozbierzmy tę rzecz *ab ovo*. Może się pokáže, że więcej jest w twojej imaginacyi, niż w rze-

czywistości. Nic tak nie powiększa złego, jak tajenie go w sobie. Myśl zgubna, zamknięta tu, zabięra w siebie wszystkie inne myśli, zarąża je, gangrenuje swoim jadem i zamienia w ogromną masę trucizny, zdolnej zabić pokój, zdrowie, a czasem i życie. Nikt jeszcze nie przyszedł do rozpacz, kto się mógł wygadać (*sadzając go*). Siądzmy więc i zacznijmy. — Przed dwoma laty kochałś p. Emilią?

AUGUST. — Zdawało mi się. Zjechaliśmy się u wód. Było nas mało rodaków, tak, żeśmy z sobą tylko przepędzali prawie dni całe. Jój piękność, rozum, dobroć i jawność charakteru podbiły mię; a to usamowolnienie się dwudziesto-kilko-letniej panny, która zrzuciła z siebie jarzmo pozornego dozoru, puściła się w świat sama i czystość swoją oddała tylko pod straż rozsądku i przekonania, oczarowały mię zupełnie. Więsz ile jest wdzięku w jój towarzystwie, ile powabu i porywu w jój rozmowie, ile naturalności i swobody w jój obejściu się.

STANISŁAW. — Czyż jój nie znam?

AUGUST. — A przecież, mimo tę całą poufałość, jakiej sobie pozwala, świętość jakaś panięńska otaczała ją zawsze, i nikt żadnym słówkiem nie śmiał zarumienić jój czoła.

STANISŁAW (*z uśmiechem*). — I ty mówisz, żeś jój nie kochał?

AUGUST. — Wówczas nie wiedziałem o tém. I potem długo, długo jeszcze nie rozbieierałem moich uczuć. Podziwienie, uznanie talentu, cześć i przyjaźń najszczerszą wzięłem za miłość, i zaraz po powrocie do kraju, prosiłem ją o rękę. Podała mi dłoń przyjaciółki, dobrej towarzyski, koleżanki we wspólnym zawodzie, w podobnych pracach; ale o miłości mówić sobie nie dała. Na-

stawałem, lecz widać nie było ani w moich oczach, ani w moim głosie siły prawdziwego wzruszenia. Nie mogłem jój owiać oddechem miłości, pokonywającym najupartsze kobięce postanowienia, bo jój w sercu mojem nie było. Ja gadałem, ona się uśmiechała, jakby nie rozumiejąc mię wcale.

STANISZAW.—Może się kochała w kim innym?

AUGUST (*zrywa się*). — Jeżeli jeszcze raz taką głupią zrobisz uwagę, nie powiem ani słowa.

STANISZAW.—A widzisz! a mówisz, że jój nie kochasz.

AUGUST.—Szanuję ją, uwielbiam jak zawsze, jestem jój przyjacielem więcej niż kiedykolwiek; ale jój nie kocham. Ah! to zupełnie co innego! przekonałem się o tém przed trzema miesiącami.

STANISZAW.—A! a! teraz zacznym trochę rozumieć. Ale siądno i mów dalej; już ci przerywać nie będę.

AUGUST (*siadając*). — Warszawa jest stolicą plotek. Jak pszenica na ziemi sandomierskiej, tak one rodzą się tu i bujają na bruku twardym i ostrym. Zaledwie Emilia wróciła od wód, spotkały ją krzywdzące banialuki o naszych stosunkach. Upośledzone od natury kokietki nie mogły jój darować jój wdzięków; jęczące pod rygłem małżeńskim zalotnice jój swobody; odłużone elegantki jój dostatków; głupie dewotki jój rozumu. Do téj klikki spodnicowej przyłączył się orszak kilku autorków, przechodzących w zawziętości złość kobięcą, którzy jój nie mogli darować jój talentu. Wszystko to rzuciło się na nią, szarpiąc ją to pokątną obmową, to drukowaną napaścią, to przyjacielskimi radami i uwagami. Wyższa w swém przekonaniu, niewinna i czysta myślą i ciałem, śmiała się z początku z głupstwa, litowała się nad zło-

ścią, i gardziła ostremi językami próżniaków. Ale wkrótce znużyła ją ta bezowocna walka: porzuciła miasto, i, jak wiesz, osiadła tu na wsi.

STANISŁAW. — I kochana Warszawa w kilka dni zapomniała.

AUGUST. — Byłaby zapomniała, bo nikt tak prędko nie zapomina, jak ona. Ale Emilia przypomniała się publiczności nową pracą, jaśniejącą prawdziwym talentem; i ja przyjechałem także. Zaczęto więc znowu o niej gadać; a gdy się dowiedziano kto ja jestem, odnowiły się komeraże, i jedna plotkarka pokazywała mnie drugiej w teatrze, w zgromadzeniach, na ulicy. Dowiedziałem się wkrótce o wszystkim. Pojechałem do Emilii, mówiłem, błagałem; byłem wymowniejszym tą razą niż dawniej, bom rzeczywiście był przeniknionym, bom chciał szczerze koniec położyć gadaninie i poświęcić się szczęściu i pokojowi kobiety, którąm cenił nad wszystkie.

STANISŁAW. — I naturalnie ona cię i tą razą odgadła i przeniknęła. Ach! to wielka prawda, że tylko tę kobietę można wymową oszukać, która chce być oszukana. Żebyśmy my przy naszym rozumie mieli ich przenikliwość, ileżbyśmy sobie głupstw oszczędzili! Ale my patrzemy najczęściej baraniami oczami. Jednak przepraszam cię; przyrzekłem nie przerywać. Cóż tedy ona?

AUGUST. — Ona patrzyła na mnie z wyrazem niewypowiedzianej łagodności, jak gdyby mi przebaczała, że m kłamał; potem kiwając głową i podając mi obie ręce, rzekła: — Zostaniemy przyjaciółmi; jeszcze mi żal swobody. — Obraziłem się tym uporem i postanowiłem go przeprzeć. Sprzedałem mój mająteczek w Lubelskiem i kupiłem ten, aby być jej sąsiadem, aby ją przekonać, że jak jej, tak i moje postanowienie jest nieodzowne.

Wiész ilem na tém stracił, jak drogo zapłaciłem te nieurodzajne piaski, jak wplątałem się w interesa, przymuszony kupić majątność znacznie większą, niż moje fundusze, gdyż nie było innéj w bliskości. Ale o tém wszystkiém nie wspominałbym ci, gdyby to nie należało do rzeczy, i nie pogorszało mojego położenia.

STANISŁAW. — Wszakże spłacasz wierzycieli?

AUGUST. — I to właśnie podwaja moję niedolę.

STANISŁAW. — A co tego, to już całkiem nie rozumiém. Cóż u diabła! czy boisz się nie mieć długów, aby ci kto nie zaprzeczył szlacheckiego dyplomatu?

AUGUST. — Porzuc niewczesne żarciki. Mówiłem ci, że mi pomaga niewidoma ręka.

STANISŁAW. — Prawda, wspominałeś o tém. Szczęśliwy człowieku! zazdroszczę ci. Żeby to mnie pomogła choć jaka widoma, choć jaka żydowska ręka! Ale gdzie tam, o mnie nikt nie myśli, tylko jeden bank. Oby się za to splątał w rachunkach! Ale słucham cię.

AUGUST. — Dla mnie ta ręka nie jest niewidomą. Nie mam wprawdzie przekonania, oczywistego dowodu; ale serce moje zgaduje, ale domyślam się, że to ona płaci za mnie tajemnie, extabuluje moich wierzycieli i odsyła mi bezimiennie moje rewersa.

STANISŁAW. — Ona cię kocha Augustcie!

AUGUST. — Tak, pojąłeś to, że mnie kocha, że zasługuje na to, abym ją kochał i wielbił; a ja — ja kocham inną.

STANISŁAW (*wstając*). — Teraz widzę, że twoje położenie nie do zazdrości.

AUGUST. — I dziś, po dwóch latach takich zabiegów, po tak uporném nastawianiu, po osławieniu jój w oczach

ludzi najmniej skłonnych do oszczerstwa, po tylu dowodach z jój strony najświętszej przyjaźni, najczystsze go przywiązania; dziś, gdy sama ku mnie skłaniać zdaje się, powiedzieć jój: ja ciebie nie chcę, wybacz, kłamałem, ja kocham inną! (*Zrywa się z miejsca*) O! to przekłete położenie!

STANISŁAW (*po chwili*). — Jakże się to stało, proszę cię, gdzie, kiedy? Bo przyznam ci się, że wyjeżdżając byłem prawie pewny....

AUGUST (*staje*). — Czego byłeś pewny? — że nam tylko brakuje księdza i ołtarza? O! wszyscy są tego pewni, bo w dzisiejszym stanie obyczajów, nikomu nie przychodzi do głowy, aby dwoje młodych ludzi mogło mieszkać od siebie o małe dwie mile, widywać się prawie co dzień, przesiadywać z sobą po pół dnia sam na sam, i przestać na poufalej rozmowie, na przyjacielskiem ścisnieniu ręki, na braterskiem przywiązaniu. A przecież ja ci mówię, że tak było.

STANISŁAW. — Wierzę ci, mój biędny Augustcie.

AUGUST. — Eh! nie miałbym ci za, złe, choćbyś nawet nie wierzył, bo wszystkie pozory obwiniają nas; bo ja sam może się do tego przyczynił, aby były niezbite; bo może mi przychodziło na myśl, że tą drogą złamię jój upor i skłonię do oddania się mojej opiece. Głupiec! nie wiedziałem o tém, że to rusztowanie, którem wystawił, zwali się na moją głowę. Gdyby była wówczas usłuchała moich próśb i perswazyj, byłoby wszystko inaczej. Ale moje codzienne wizyty, przesiadywanie z nią po całych dniach, zajmowanie się jój gospodarstwem, rządzenie samowolne jój domem, nie doprowadziły mię do celu. Oszczerstwa tylko powiększyły się, posądzenia wzrosły, krzywdzące honor jój wnioski roz-

legły się i utwierdziły, a ja odbierałem zawsze tę samą odpowiedź: „Zostańmy lepiej przyjaciółmi.” I tak zostało do wiosny (*schyla głowę i przestaje mówić*).

STANISŁAW (*kładzie rękę na jego rękę*).—A na wiosnę?

AUGUST (*podnosi głowę*).—W połowie marca, trzy miesiące temu, siedzieliśmy raz wieczorem przy kominku. Ogień pałał silnie i pochłaniał z trzaskiem suche drewno, a na dworze huczał wiatr marcowy, stukał okienicami, i z szumem zginał topole. Nie mogliśmy więc słyszeć hurkotu powozu, który przybył, i siedzieliśmy w milczeniu przysłuchując się tylko tej poetycznej wrzawie natury, która nas dziwnie usposobiła. Wówczas weszła do pokoju z nieśmiałością i pokorą młoda osoba. Jój niespodziane zjawienie się, pora w której przybyła, jój piękność, jój żalobna sukienka i całe jój ułożenie, uderzyły mię i przejęły. Oddawszy Emilii list, milcząc czekała co jój powie. Emilia przeczytała kilka wierszy, westchnęła i zbliżając się prędko do zmieszanej panienki, rzekła: —„Tyś Klementyna! córka brata mojej matki? Więc biédny wuj mój umarł na obcej ziemi?” —„Jestem sierota, odpowiedziała rzewnym głosem panienka, i nie mam żadnego przytułku.” —„Masz siostrę, moje dziecię” zawołała wzruszona Emilia i tuliła płaczącą na swém łonie. A ja.... Ale dajmy już temu pokój. Reszty domyślasz się zapewne (*zaczyna się przechadzać*).

STANISŁAW.—Więc to ją kochasz?

AUGUST (*staje*).—Dlaczego? nie wiem. Nie piękniejsza od Emilii, nie wyrównywa jój ani rozumem, ani dobrocią, ani szczérością charakteru. A przecież kocham ją, nie powiem ci nad życie, bo nie lubię głupich wyrażeń, utartych zwyczajem i gładkich jak trzy grosze

bez herbu i liczby. Ale czuję to, że bez niej nie będę miał ani szczęścia, ani pokoju, ani żadnej radości, któraby życiu jakąkolwiek wartość nadała.

STANISŁAW. — A onaż?

AUGUST. — Ona? czyż ja wiem? Nie mówiłem z nią o tém ani słowa. Ona mnie unika, jak ja jęj unikam. Ona pobladała jak i ja, milczy jak i ja milczę; ściga mię tylko wzrokiem, jak i ja ją ścigam; a gdy się oczy nasze spotkają, odwracamy się od siebie ze drzeniem, jak gdybyśmy siebie nienawidzili. O! ona musi mię kochać, bo to inaczej być nie może, i walczy pewnie z sobą i katuje swe serce, jak ja katuję moje. Ona widzi bez wątpienia wszystko, przenika uczucia i nadzieje Emilii i stan jęj nie lepszy od mego: bo za dobrodziejstwo, za miłość siostry, którą od niej odbiera, płaci jęj tak, jak ja płacę — niewiarą i zdradą. Ale mówiłem, przestańmy na miłość boską, bo mi się w głowie przewraca. (*Bierze kapelusz i idzie ku drzwiom, w których spotyka lokaja swego z biletem w rękę*). Zkądto?

LOKAJ. — Z Sulmirówki, proszę pana.

AUGUST. — Znowu! (*bierze niecierpliwie i wracając patrzy na adres*). To ręka Klementyny! (*Odpieczętowuje prędko i odchodząc na bok, czyta*): „Emilia wygląda Pana od trzech tygodni, i jutro wybięra się odwiedzić Pana sama. Czyż Pan nie uprzedzisz tego kroku i nie oszczędzisz jęj przykrości, jaką na siebie ściągnie? Wczoraj przez niepilność ludzi mieliśmy pożar na folwarku. Szko-da dość znaczna, ale przestrah większy. Od kiedyś Pan nas opuścił, wszystko idzie jak najgorzej. Kłopoty otoczyły ją zewsząd. Ja poradzić jęj i zapobiedz wszystkiemu nie mogę. Przymię, ja mam zamiar wyjechać także i może na długo. Czyż Pan nie przyjdiesz w pomoc

Emilii? Czyż nie obaczmy Pana choć raz jeszcze? Klementyna." — Choć raz jeszcze? O! rozumiem (*składa drząc list*). Michaś! zaprzęgać; prędzej, prędzej! Czegóż stoisz? (*krzyczy*) Zaprzęgać, mówię.

LOKAJ. — Ale cóż mam powiedzieć posłańcowi?

AUGUST. — Niech wraca i powie, że jadę natychmiast. Ruszaj i zaprzęgać (*lokaj wychodzi*).

STANISŁAW. — Coto jest? co cię tak zmieniło?

AUGUST. — Obacz (*daje mu list. Stanisław cicho czyta; August tymczasem przechadza się. Po chwili staje*). Przeczytałeś i pojąłeś?

STANISŁAW (*oddając bilet*) — Przeczytałem, i pojąłem.

AUGUST. — I cóż ty na to?

STANISŁAW. — To, że jadę z tobą i nie odstąpię cię ani na chwilę.

AUGUST (*bierze jego rękę*). — Dziękuję ci. Nigdy mi nie była potrzebniejsza ręka takiego, jak ty przyjaciela; ale idźmy już.

STANISŁAW. — Jeszczeż nie zajechał.

AUGUST (*niespokojnie*). — Już, już musiał zajechać. Chodź, chodź, proszę cię.

STANISŁAW (*biorąc kapelusz*) — Biędny Auguście! jak ciebie tam ciągnie!

AUGUST. — Jak gdybym miał przepaść pod nogami; nieprawdaż? O! to być bardzo może; ale ciągnie gwałtownie. Chodźmy. (*Wychodzą — zasłona spada*).

AKT III.

(W domu Emilii na wsi. Salon. W tylnej korytarzu dwoje drzwi: z prawej strony widzów drzwi wchodowe, z lewej otwarte do ogrodu. W prawej kulisie drzwi do gabinetu Emilii, w lewej do pokoju Klementyny. Stół okrągły z lewej strony, na nim książki i papiery, wkoło kilka krzeseł. Z prawej strony niewielki stolik, także zarzucony książkami, przy nim duży fotel.)

Klementyna w popielatej sukience, siedzi przy stole oparta na rękę i pogrążona w myślach. Po chwili wchodzi Emilia przez drzwi wchodowe z kapeluszem na rękę, który rzuca na krzesło; potem przystępuje do Klementyny i kładzie rękę na jej ramieniu).

EMILIA. — Coto tobie? Klimuniu!

KLEMENTYNA (*powstając*). — Ach! to ty siostrze? Nic mi nie jest; tak, myślałam sobie.

EMILIA. — Jakieś widać ciężkie myśli pochyliły główkę twą do ziemi.

KLEMENTYNA. — Zwyczajnie, myśli sieroty.

EMILIA. — Czy i moja miłość nie ujmuje im ciężaru?

KLEMENTYNA (*całując jej rękę*). — O! tyś dobra, jak anioł, i daruj, że mi się to słowo wymknęło (*zamiatając*). Ale cóż twoje gospodarstwo? Emiliu!

EMILIA (*siadając*). — A cóż? idzie najgorzej; wdałam się nie w swoje rzeczy. Wiiesz jak autorowie gospodarują, cóż dopiero autorki? Wszystko to wymaga silniejszej ręki. Te ciągłe kłopoty, te ustawiczne kłamstwa i wykręty, ta nieustająca walka z lenistwem i złą wiarą tak mię już znudziły, że puściłam tę łódkę bez rudla i sternika, niech sobie płynie, jak sama chce.

KLEMENTYNA. — A jeszcze tak znaczną stratę poniosłaś!

EMILIA. — Mniejsza o stratę. Piędźdy i zysków nigdy nie ceniłam. Ale mię obraża przyczyna tej straty. Pokłó-

cili się z sobą, nienawidzą się, i jeden drugiemu na złość, wyrządzają mi szkody i narażają na ubytek. A przecież starałam się, żeby im było dobrze. Ta niewdzięczność, ta niemoralność boli mnie gorzej, niż moja strata (*wstaje i chodzi prędko*). Dziwna rzecz! tak i inni ze mną postępują, nietylko słudzy. Krewni mnie opuścili, przyjaciele unikają, wszyscy, którym dobrze robię, płacą mi jakąś przykrością, odkryciem złej strony swego charakteru. Czyto tylko moje takie przeznaczenie, czyto u nas ogólne prawidło? nie wiem; ale.... Czegóż ty wzdychasz Klimuniu? i jeszcze gorzej pobladałś?

KLEMENTYNA (*zmieszana*). — Nic, nic siostró! Żal mi cię. Bóg obdarzył cię wszystkiem, co może zjednać kobiecie szczęście i radość życia, a jednak nie masz tego, na co zasługujesz.

EMILIA. — To prawda, i tém przykrzejsza, żem w części sama sobie winna. Wyszłam ze zwyczajnej kolei, którą społeczność wytknęła płci naszój; naparłam się, jak dziecko, rzeczy z sobą niezgodnych. Chciało mi się otrzymać i ciche szczęście kobiety i głośne imię, i miłość i chwałę; i naturalnie doznaję gorzkiego zawodu. Bo nie należy nigdy żądać od ziemi wiecej, niż ona dać może. Ale mam nadzieję, że się to wszystko zmieni, że się prędko skończy.

KLEMENTYNA. — Przystaniesz pisać? Emilio!

EMILIA. — Być może że przestanę; ale czyż ja wiem z pewnością? Postanawiałam kilka razy; wzmacniałam się w tém postanowieniu tą myślą, że autorstwo nie jest powołaniem kobiety, że życie jój im cichsze, tém użyteczniejsze, że ona tylko przy ołtarzu domowym nabywa kapłaństwa i świętości, a imię jój, rozgłoszone szeroko, szarza się i traci swój tajemniczy urok. Bywały

czasy, żem przez miesiąc, przez dwa miesiące, żyła właściwem sobie życiem; i wówczas pokój wracał do mojego serca, rumieniec wesołości osiadał na twarzy, uśmiech zalotny przebiegał usta. Ubierałam się, stroiłam się, zdawało mi się żem piękna, że przywiązuje wartość do tych powabów, które mi miały zjednać nie tylko czczy oklask, ale dać szczęście, ale dać miłość, bez której nie ma dla nas szczęścia i życia. Gdzież tam! przyszedł zły moment i wszystko zniknęło. Przypadkiem przesunął mi się przez głowę jakiś obraz, z początku niewyraźny i zamglony. W bezsennéj nocy zaczął się wyjaśniać, rozsuwać, kolorować; postaci coraz nowe zaczęły wydobywać się z tła jego, zaczęły nabierać formy, ruchów i życia. I znowu wszystko rzeczywiste ginęło. Wracałam do swojego świata marzeń i do męczarni tworzenia. Znowu autorka z kobiety, zlewałam wszystkie siły serca na te nowe stworzenia mojej głowy; sta wałam się obojętna dla tych, coby mi mogli oddać miłość za miłość, uścisk za uścisk; otaczałam się czczemi marami, kochałam je, i puszczając ze drzeniem w świat, śledziłam je wzrokiem niespokojnym, raniona boleśnie każdym ciosem szyderstwa i krytyki, którym je lada chłystek uderzał. Taka była treść mego życia od lat ośmiu. Czy i dalej tak będzie, nie wiem. Pragnę z duszy, aby ten duch, co mię trapi, ustąpił z mojej piersi; aby mi pozwolił zostać kobietą, zwyczajną, prostą, dobrą kobietą, któraby mogła oddać swą rękę uczciwemu mężczyźnie i powiedzieć mu sumiennie: masz ją, wraz z sercem całym. Dotąd nie mogłam się na to odważyć. Kłamałabym, a kłamstwem brzydzę się. I to jest jedna z przyczyn, żem doszła do dwudziestu ośmiu lat życia sama, sama jedna, bez wspólności w godzinach do-

brych i złych, bez opieki w chwilach słabości i niedo-
łęztwa. A opieka potrzebna kobiecie, jak potrzebna pod-
pora wątłej roślinie, która w dumie swój może na chwi-
lę dźwignąć się od ziemi, ale wkrótce lada powiew ją ze-
gnie, lada noga zdepcze i zniweczy. Lecz czegoż ty pla-
czesz Klimuniu!

KLEMENTYNA. — Ach! ja jestem przy tobie nikczemną
istotą; a przecież nie mogę ci zazdrościć.

EMILIA. — I nie masz czego, wierz mi (*siadając*). Tyle
obrazów szczęścia, przyjaźni, miłości, cichych domowych
rozkoszy wyszło z pod mego pióra, wysnuło się z mojej
piersi! Oddałam im najlepszy czas mojej młodości, po-
święciłam dla nich chwile uciech, godziny rzeczywistego
szczęścia, może i rozkosz macierzyństwa! Najdroższa
część mojej istoty weszła w nie; one były oddechem mo-
jej duszy, który ją wyczerpywał, jak chmury są odde-
chem ziemi, jój kwiatów i liści. Ale jakże wróciły do
mnie? Czy w rosie orzeźwiającej? czy w błogim dé-
szczu, który użyznia i upięknia? O! nie. One wró-
ciły do mnie w jakiejś mgłę stęchlęj, w jakimś dymie
ostrym i gryzącym. Bo cóż innego jest ta sława, którą
nibyto otrzymałam? Nie dała mi nic w zamian za nocny
bezsenne i dni bez uciechy. Wydobyła tylko moje imię
z ukrycia, postawiła je na widoku jak cel, aby do niego
lada głupiec mierzył, lada złośliwiec strzelał obelgą, szy-
derstwem i niezasłużoną naganą. (*Wstaje*). Mężczyzna
okryty jest tarczą płci swojej, jego te ciosy mniej boją.
Przypomnij, dla niego sława jest dobrem rzeczywistym, bo
czyu głośny jest jego powołaniem. Nam insza sława po-
trzebna; i niebaczna kobieta, która i w tém chce się
mierzyć z mężczyzną, zapomina, że zdiera z siebie świę-
tą zasłonę, że w pierś jój bezbronną, jeśli nie uderzy po-

cisk zazdrości, który jój odbierze talent, to uderzy pewnie pocisk potwarzy, który jój odbierze obyczaję.

KLEMENTYNA. — O! biedna Emilio!

EMILIA (*przechadza się; potem staje*). — Sława, mówią, daje cześć ziomków. Bez wątpienia byłaby rzeczą szacowną, gdyby tak było; bo wszelka cześć prowadzi do miłości, która jest najwyższém dobrem serca. Mnie otoczyła ona obojętnością krewnych, nienawiścią obojętnych; wytężyła tylko na mnie wszystkie oczy, które dojrzały w mojem życiu plamy, jakich w niém niema. Od trzech miesięcy żyjesz ze mną. Powiedz, czy zasługuję na te oszczerstwa, których jestem przedmiotem od lat kilku? I za co? że nie odrzucam przyjaźni zacnego człowieka, który mi jeden pozostał; że życie moje nie takie, jak życie innych kobiet; że sama dałam swobodę i niezależność; że sama stanęłam na straży swego honoru, a nie powierzyłam go czujności męża, którego bym nie kochała, lub oku jakiejś stariej krewniej, któraby mnie nudziła. O! nie masz mi czego zazdrościć, dobra Klimuniu! i strzeż się, aby cię nie opanowała chęć naśladowania mojej drogi. Bo widzisz, mozem i jego także odstręczyć już od siebie (*bierze jej rękę*). Ty mię przynajmniej kochaj, moja droga!

KLEMENTYNA (*spuszczając oczy*). — O! ja ciebie czczę, Emilio!

EMILIA. — Nie, tego nie chcę — kochaj mię tylko; bo to serce łaknie, bo w niém jest zapas miłości, któryby rad wylać się na piersi jój godne; bo jabyłam chciała otoczyć się kilku istotami, któreby czytały w mojej duszy, których szczęściem byłabym szczęśliwą, których miłością byłabym dumną. I wtenczas pożegnałabym z rozkoszą marzenia lat młodszych, skruszyłabym stanowczo

to pióro, które miało mi wyrobić przywiązanie powszechne, szacunek publiczny, a zrobiło mię tylko samotną i okrzyczaną.

KLEMENTYNA. — Emilio! nie chcę ja ci odradzać tego postanowienia. Daj Boże, aby nastąpiło jak najprędzej. Ale wyobrażasz sobie świat gorszym, niż jest, i niedorzeczne szeptu kilku plotkarek upowszechniasz, i dajesz im powagę, jakiej nie mają. Czyż podobna, aby ciebie, tak dobrą, tak szlachetną, tak wysoką istotę, obwiniali krewni i obrażali jakim zwątpieniem?

EMILIA (z gorzkim uśmiechem). — Nie jesteś już dzieckiem, przeczytaj to (*daje jej list*). Tylko com ten list odebrała (*tlumiąc w sobie płacz*); to od siostry, którą kocham, która kochała mię kiedyś, a dziś.... Ale czytaj. (*Zakrywa oczy i wychodzi do gabinetu*).

KLEMENTYNA (*sama patrzy za odchodzącą, potem zalamując ręce, mówi*): — O! co za stan! Boże mój! dla czegoż weszłam za próg tego domu? dla czego teraz nie mam odwagi wyjść ztąd natychmiast, tajemnie, ukryć się tak, żeby ślad nogi mojej zaginął, żeby ani do niej, ani do niego nie doszedł jęk wyrrywający się z mego serca. Ach! jak się to skończy, nie wiem. Jeżeli ona go kocha, tak jak ja kocham, biada mi nieszczęśliwej (*siada i po chwili patrząc na list*). — Ale cóż tu jeszcze? (*czyta*) „Emilio! martwisz nas coraz gorzej, zawstydzasz swoim postępowaniem, pogardą wszelkich względów, jakie się należą społeczności od kobiety dobrze wychowanej. Wszyscy cię potępiają, ale któż na tém więcej cierpi, jak ja twoja siostra, której córki dorosłe za życie swój ciotki rumienić się musza!”

Czegoż oni od niej chcą? cóż się tu takiego dzieje, co by zasługiwało na takie wyrzuty? (*czyta*).

„Wyzwoliłaś się od wszelkiego przymusu, któremu kobieta ulegać powinna. Gdybyś była wdową, gdybyś była rozwódką, miałabyś do tego prawo. Aleś ty panna, Emilio! a nie masz nikogo, co by był świadkiem twego postępowania. Nikt rozsądny nie pochwali ci takiego życia, a każdy co cię zna, boleje nad powodem téj wolności, jakąś sobie dała. Jeśliby przynajmniej nikt nie wiedział, że żyjesz na świecie, podlegałabyś naganie kilku znajomych, sprawiłabyś ból krewnym—i na tém byłby koniec. Ale twoja nieszczęśliwa sława zabija nas. Gdzie się obrócę, wszyscy o tobie tylko mówią; a jak mówią! Na samo wspomnienie żal ściska moje piersi. Zamknęłaś się na wsi, żeby być ciągle z nim, żeby wam nikt nie zawadzał w waszych haniebnych związkach” (*przykładając rękę do czoła*).—O! Boże mój! co za ludzie! (*czyta*).—„I niedość na tém! Emilio! prawdaż to, żeś wyrzuciła z domu i ukryła gdzieś na wsi nieszczęśliwy owoc téj występnej miłości? Gdzież ta moralność, o której prawisz w swoich pismach? Śmieją się ludzie z ciebie, a ja gorzko płaczę” (*powstaje i klasnąwszy rękami, woła*).—I własna siostra wierzy temu, w czém niema i cienia prawdy! O! po jakiejże my śliskiej drodze idziemy! (*czyta*).—„Dlaczegoż przed sześciu laty odrzuciłaś tak świetną partya? dlaczego cię to nieszczęśliwe autorstwo opętało! Dziś już nie czas, choć jeszcześ młoda, choć bogata, choć pochodzisz ze znakomitej rodziny. Żaden człowiek z urodzeniem nie posunie się do twojej ręki, boś osławiona biedna siostrze! bo niema domu, gdzieby nie znano twego imienia i twego życia. Cóż ci teraz pozostaje? połącz się przynajmniej z tym, któremuś poświęciła swój i nasz honor. Choć pochodzenie jego Bóg wie jakie i majątek szczupły, ale

czyż nie lepiej, abyś była żoną, niż kochanką człowieka, którego nikt nie zna, a którego ty przenosisz nad wszystkich. Upamiętaj się Emilio! nie zawstydzaj swojej rodziny i córkom moim nie psuj losu" (*składa list*).— O! tak, ona powinna być jego żoną, a ja, jutro zaraz pójdę w świat, szeroki dla wszystkich, ciasny dla sieroty! Ale wolę, wolę głód i nędzę, niż zgryzotę. On o mnie zapomni, i ja zapomnę (*kładzie ręce na piersiach*). Przyjdzie czas, że się utuli to serce; i jak dziś usta milczą, tak i głos jego umilknie i oniemieje.

AUGUST (*za sceną*).— Panie tu?

KLEMENTYNA. — Ha! to on, usłuchał mię, zrozumiał. O mój Boże! utrzyjmy mię. (*Ociera łzy i chowa list. Wchodzi August i Stanisław*).

AUGUST (*patrząc na nią zdaleka*).— Jaka blada! Ona płakała! Kolana gnę się podemną (*przystępuje z wolna*).— Panno Klementyno! przyhyłem, usłuchałem panią.

KLEMENTYNA (*nie patrząc nań*).— Dziękuję panu; zaraz dam znać Emilii (*idzie przedko ku drzwiom Emilii, ogląda się. Na stronie*).— Jak on znędział! biędny! (*wychodzi*).

AUGUST (*siadając*).— Zanędtom sobie zaufał; nie powinienem był przyjeżdżać.

STANISŁAW.— Auguście! przyrzekłeś mi co innego; walka dopięro przed tobą, a już cię siły opadają!

AUGUST (*powstaje*).— Widziałeś ją, i dziwisz się. Masz doświadczenie, umiesz czytać w twarzy, co się w sercu dzieje; czyż nie dojrzałeś na tém licu bladém, na tém czole pochyloném śladów śmiertelnego bólu, który trawi tę duszę czystą i niewinną? Trzy miesiące temu, gdy tu weszła, walczyła z losem, walczyła z sieroctwem; okryta żalobą, bez przytułku i sposobu, była sa-

ma jedna na świecie; nie wiedziała czy znajdzie w dalekiej krewnej opiekunkę, czy znajdzie jaką przyjazną rękę, która ją podniesie, gdy pod ciężarem życia upadnie; a przecież rumieniec był na jej twarzy, pokój był na jej czole, w oczach był blask odwagi i nadziei. A teraz ma siostrę, co ją kocha, ma dach gościnnie nad swoją głową, ma wszystko, a widziałeś, jak wygląda! Jakaż musi być ta walka tajemna, którą stacza z sobą, aby się nie zdradzić, aby nie wydać tej namiętności, którą nas Bóg ukarał, a której widok odejmuje mi ostatek męstwa, jakie miałem w oddaleniu. O! nie powinienem był przyjeżdżać!

STANISŁAW.— A tamta?

AUGUST.— Tamta? Czyż ja wiem dobrze, czém ona jest dla mnie? Może w jej sercu niema nie tylko przyjaźni, tylko braterskie przywiązanie. Nie przyjmowała nigdy moich oświadczeń; podawała mi tylko dłoń siostry. Nie chciała mię wówczas, gdy serce moje było wolne, gdy każde uczucie dla niej, czy przyjaźni, czy czci, byłoby mi zastąpiło miłość i dało szczęście; a dziś chciałaby mię, gdy cała moja dusza gdzieindziej? Będę mógł sumiennie powiedzieć jej: „kocham cię”, kiedy to nieprawda?

STANISŁAW.— Będiesz mógł sumiennie powiedzieć: „nie kocham cię”, kiedyś tyle razy mówił co innego? kiedy wszyscy przekonani, że tak jest; kiedy tylko imieniem swoim zdolasz okryć hańbę szlachetnej kobiety, którą twoje zabiegi zgubiły! Poddajesz się nie po mężku, Auguste, upadasz bez walki. Honor ci każe stać przy swoim słowie, abyś był godnym ulgi, jeśli ma być twym udziałem. O! stokroć ci będzie lepiej, gdy sobie w duchu powiesz: jestem nieszczęśliwym! niż gdy będziesz musiał sobie powiedzieć: jestem nikczemnym!

AUGUST (*bierze jego rękę*). — Dziękuję ci, tyś prawdziwy przyjaciel.

STANISŁAW. — Zbierz siły — nadchodzą. (*Wchodzi Emilia, potém Klementyna*).

EMILIA (*zbliża się do Augusta i podaje mu rękę*). — Przecież doczekałam się pana. Jutro byłabym przyjechała sama. Pożalowałeś mię pan (*ciszéj*). Chociaż w oczach ludzi nie mam już nic do stracenia, jednak dziękuję panu za tę delikatność (*podaje rękę Stanisławowi*). Witam pana serdecznie z podróży, p. Stanisławie! jak to pięknie, żeś pan sobie zaraz przypomniał pustelnicę. Jestto dowód przyjaźni, który umiem cenić. Powiedz pan, czy i w Augustowskim przyjaciele są rzeczą tak rzadką, i tak kosztowną jak u nas? Ale siądźcież panowie (*siadają*).

STANISŁAW. — Wszędzie prawdziwa przyjaźń jest fenixem; ale nigdzie rzadszym, jak u nas, dobra pani!

EMILIA. — A wiesz pan czemu? bo serca nasze są nadto pochopne do sprzyjania, czy kto wart, czy nie wart; a zatém zbyt pochopne do nienawiści, czy kto zasłużył, czy nie. Umysł nasz za leniwy do rozbioru wartości i zasługi. Jak nam powiedzą: to dobre, wierzymy że dobre i kochamy; jak znowu powiedzą: to nikczemne, wierzymy że nikczemne i okrywamy pogardą. Bo wierzyć to nic nie kosztuje, a rozbierać i sprawdzać, to praca, której gorzej się boimy, niż błędu i krzywdy. Ale nikt na tej łatwowierności naszej nie cierpi tyle, co biedne kobiety. I dlatego, jeżeli która znajdzie przyjaciela, który nie wierzy temu, w co wszyscy za lada pozorem uwierzyli, powinna być szczęśliwą (*wyciąga rękę do Stanisława*) i z serca wdzięczną.

STANISŁAW (*ściska jej rękę*). — O! pani jesteś we wszystkiém wyższa istota, i nie podlegasz zwyczajnym prawom.

EMILIA. — Ach! nie mów pan tego (*z uśmiechem*). — Imnie spaliło się kilka budynków na folwarku, jak najzwyczajniejszej gospodyni. Czy pan wieśz o tém, p. Auguste?

AUGUST. — Dowiedziałem się dziś; widzieliśmy pogorzeliśko, i bardzo panią żałując. To strata znaczna.

EMILIA. — Strata! Oh! to strata kilkunastu tysięcy! (*z intencją*) to strata pieniędzy, p. Auguste. To drobna, mizerna strata, która niewarta żalu. Czasem strata kilkunastu dni gorzej boli. — Pan byłeś pewnie chory? zmizerniałeś znacznie.

AUGUST. — Cierpiałem bardzo, i jeszcze cierpię.

EMILIA (*patrząc nań łagodnie*). — O tych cierpieniach pana pomówimy wkrótce.

AUGUST (*przedko*). — O nie pani! o tych mówić nie będziemy.

EMILIA. — Kto to wie? Pan wieśz, że ja jestem uparta; a jeżeli i pan upierać się zechcesz, użyjemy za pośrednika p. Stanisława. Chociaż to przyjaciel pana doznany i wierny, ale spodziewam się, że i mój także, i stanie przy mojem zdaniu. Nieprawdaż p. Stanisławie? (*powstaje i idzie do Augusta*). Cierpienie to minie, dobry p. Auguste, bądź pan pewny. A jak mi się uda kuracya z panem, wtenczas pomyślimy i o pośredniku naszym.

STANISŁAW. — Czy i ja jestem chory?

EMILIA. — Nie tak bardzo, jak p. August; ale możesz pan zapasć stanowczo. Któż to wie? cały nasz byt wisi na włosku, zależy od jednéj chwili, od jednego mgnienia.

STANISZAW. — Przestraszasz mię pani; mozem ja do-
prawdy chory!

EMILIA. — Może; ale nie bój się pan. Dzisiejszy wy-
nalazek odwagi cywilnej, w niewielkiej nawet dozie, po-
może panu (*obraca się ku drzwiom swoim, i patrząc na*
Klementynę, która stoi zdaleka z oczami w ziemię schy-
lonemi, po chwili). Chodźcie tu bliżej Klimuniu! mamy
gościa, z którym chciałabym cię poznać. (*Klementyna*
przystępuje, August odchodzi do okna). — To p. Stanisław
Zaliski, nasz sąsiad i dobry sąsiad. — P. Stanisławiel to
moja siostra, o której tyle tylko powiem panu, że ją ko-
cham serdecznie i dziękuję Bogu, że mi ją zesłał.

KLEMENTYNA (*na stronie*). — O ja nieszczęśliwa! —
(*kłania się Stanisławowi*).

EMILIA (*do Stanisława*). — Jak pan ją bliżej poznasz,
czego sobie bardzo życzę, powieśz, że mam racją kochać
ją nietylko z tytułu pokrewieństwa (*do Augusta*). P. Au-
guście! chodźcie pan tu (*August przybliża się*). No, nie
dąsaj się już pan na mnie; wszak trzy tygodnie to nad-
to, nawet dla najładniejszej kobiety (*bierze jego rękę*).
Ale daruj mi pan, żem wesola, kiedy pan cierpisz; trzy
tygodnie byłam sama, i wierz mi pan, bardzo smutna.
Winienes mi pan wynagrodzenie.

AUGUST. — Czuję ja to mocniej, niż kiedykolwiek, jak
wiele jestem winnym.

EMILIA (*z rozrzewnieniem*). — O! jeżeli tak, to zgoda—
i przebaczenie (*siadając*). Nawet i to panu daruję, żeś
mię przez ten czas naraził na kłopoty gospodarstwa; że
ja, biedna autorka, musiałam zlązić co moment z wyso-
kiej krainy mojej imaginacyi, na brudny mój folwark;
porzucać mego bohatera, a klócić się z ekonomem;
zostawiać we łzach moje heroinę, i iść łajać klucznicę.

STANISŁAW (*siadając*).—A do tego niech pani jeszcze doda, że panią naraził na przestrach pożaru.

EMILIA. — No, za to się nie powinnam gniewać. Możeby to było nastąpiło, choćby był czuwał nademną. Przynajmniej pożar, to rzecz seryo; w tém jest poezya i mam obraz z natury, któregoś jeszcze nie widziała zblizka.

AUGUST (*siadając*). — I który panią kosztuje kilkanaście tysięcy. Księgarz tyje pani za ten obraz nie da.

EMILIA. — Czyż ja dbam o to? byle bez myłek wydrukował. Ale otóż mamy gazety i pisma peryodyczne. (*Lokaj wchodzi, i oddaje jój papier zapieczętowany i odchodzi*).

STANISŁAW.—Czémże nas pani teraz obdarzy?

EMILIA (*rozrywając kopertę*). — Obdarzy? Jak grzeczny pan wyrazu użyłeś! Widać, żeś był o kilkadziesiąt mil od nas. Oddalenie powiększyło mię w oczach pana (*kładzie gazety i książki na stoliku, i przeglądając Bibliotekę Warszawską, mówi*). Jeżeliś pan ciekawy, to powiem panu, że kończę powieść pod tytułem: „Kobieta osławiona.” Czy będzie lepsza, czy gorsza od dawniejszych, nie wiem; ale kosztowała mię więcej niż inne pracy, zdrowia, i zdaje mi się, że będzie ostatnia (*zaczyna czytać z zajęciem*).

STANISŁAW. — Jeżeli będzie miała tyle prawdy, tyle życia, jak ta, którąś pani nas wzbogaciła przed kilku miesiącami, to nie pozwolimy na to, aby była ostatnią.

EMILIA (*opuszcza książkę na kolana i przyciskając czoło dłonią*). — Ha!

AUGUST (*przystępuje*). — Coto pani!

EMILIA (*z gorzkim uśmiechem*). — Nic, nic, siądź pan; jest tu właśnie recenzja téj pracy, o której pan Stani-

sław tylko co tak pochlebnie wspomiał. Zaczyna się ona tak: „Powieść pod tytułem *Kamilla* jest jedną z najgorszych panny Emilii S.” To znaczy, że wszystkie są złe, a ta jest najgorszą (*czyta*). „Namiętność bez podstawy i bez granic jest jej wyrazem. I dlatego nie życzylibyśmy dawać jej z łatwością młodym osobom.”

AUGUST. — Co za głupstwo!

EMILIA. — Napisane i wydrukowane; ale tu widać są jeszcze lepsze rzeczy (*czyta*). „Przy poznaniu się bohatera z heroiną, czytelnik dowiaduje się, że to są sąsiedzi, i nie wie, dlaczego dalej płaczą i dręczą się, a nie widują się z sobą. Kiedy się potem widują, znowu nie wie, dlaczego się dręczą; tak dalece, że już tylko dwie karty do końca, a jeszcze niewiadome ani powody, ani rodzaj ich męki. Zajęcie w tej powieści obudzone jest w nowy sposób. Czytelnik od początku do końca czeka tu nie na rozwiązanie, ale na zawiązanie. Jestto, powiedzić można, widok pejzażu na wywrót” (*żywiój*). Panowie czytaliście, powiedzcie, czy tam niema powodów ich męki? czy tam niema zawiązania, kiedy jest walka? kiedy młody człowiek szanujący zasady ojca, którego czci, unika domu człowieka wzbogaconego drogami nieprawości, choć tam jego serce i dusza; kiedy młoda kobieta wyrzeka się szczęścia całego życia przez uległość woli ojca, którego w duszy potępiać musi. Możnaż tak nadużywać dobrej wiary czytelników!

STANISŁAW. — Któż temu wierzy, kiedy w tém niema ani słowa prawdy, ani kropli dowcipu.

EMILIA. — Uwierzą, powiadam panu, zabawią się: bo u nas wszystkiem się bawią, co kaleczy i rani. I zobacz pan, jak się kończy ten cały sąd, napisany, jak się zdaje,

dla konceptu (1), dla tego pejzażu na wywrót. „Przekonywamy się z téj roboty panny Emilii S*, że naprózno gwałt zadaje swojej głowie. Nikt pracą i uporem nie wywoła z siebie talentu, jeżeli go Bóg nie dał. A szkoda imienia, kiedy zyskuje nie sławę, ale oślawienie.”

AUGUST. — A, to już nadto.

EMILIA (*powstaje, i z żalem*). — I tak bolący wyraz rzuca się w oczy, komuż? — kobiécie, i gdzie? — w druku; może jeszcze dla potwierdzenia publicznie złośliwych szeptów, dla zrobienia jawną pokątnéj gadaniny? (*rzuca książkę*). I pan chcesz, aby ta praca moja nie była ostatnią? O! będzie ostatnią. Postanowienie to jest niezłomném, i z niém pokój wstąpił do mego serca. To, co mię przed chwilą tak ciężko zabolalo, wydaje się tylko śmieszném i małym. Straciłam już tyle czasu, tyle chwil błogich wykradłam sobie z życia! Teraz wasza przyjaźń, wasza miłość nagrodzi mi to. Zamknięta pod tym dachem, gdzie mam bezpieczeństwo, gdzie mam dostatek, tu znajdę jeszcze rozkosz w obowiązkach kobiety. Tu się oddam opiece zacnego człowieka, i szukać będę nagrody w jego szczęściu, a chwały w pokorze jego woli. I ten zakąt miły stanie się rajem dla nas czworga. Bo wy go podzielicie ze mną, nieprawdaż? Chodźcież, póki serce jeszcze drży, póki w myśli żywo rysuje się ta piękna przyszłość; chodźcie tam, gdzie pracowała i cierpiała; tam pożegnajmy cześć matry, co mię zawiodły, i rozwinę przed wami plan tego życia prawdy, pokoju i szczęścia! (*idzie naprzód do swe-*

(1) Za skromnym jest autor dramatu. Gdyby rozbiór powiastki panny Emilii S. nie wydał innego skutku, jak obecny dramat autora, lub nawet tych parę scen tylko, jużby nie był napisanym naprózno.

go gabinetu. Stanisław wchodzi za nią, August idzie wolniej, schyliwszy głowę).

KLEMENTYNA (do siebie).—Biędna! biędna kobieta! (zwraca się płacząc ku drzwiom ogrodu).

AUGUST (postrzegłszy to, idzie prędko za nią i zatrzymuje ją).—P. Klementyno! dokąd?

KLEMENTYNA.—Idź pan tam, na miłość boską.

AUGUST.—Pani chcesz wyjechać, pani chcesz ztąd uciec?

KLEMENTYNA.—Czyż nie powinnam, przebóg! (idzie do ogrodu).

AUGUST.—Nie widziszże pani tego, jak ja jestem nieszczęśliwym? (idzie za nią).

EMILIA (która przy ostatnich słowach Augusta stała we drzwiach, wchodzi).—Coto? coto jest? On nieszczęśliwy? ona płacze? Dlaczegoż on nieszczęśliwy teraz, kiedym mu prawie powiedziała: masz mię. Dlaczegoż ona płacze? (mocniej) Czemuż uciekła przed nim? i czemu on za nią goni? Ten jój ciągły smutek, ta bladość, ta boleść w ich twarzy, to jego oddalenie, to roztargnienie dzisiejsze! Boże! Boże! więcby to być mogło? (idzie prędko ku ogrodowi i przy samych drzwiach raptem staje). Nie, nie wyjrzę tam (wraca); jeżeli prawda ma mię uderzyć, będzie czas—jutro, pojutrze uderzy. Dziś nie wytrzymałabym tego ciosu. I może się mylę; może to co innego. Ale jeżeli tak jest (załamuje ręce), o! toż dopiero będę sama na świecie! (pada na krzesło płacząc. Zastona spada).

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

AKT III.

(Miejsce to samo. Stanisław stoi i patrzy ku drzwiom Emilii. Po chwili oczekiwania zaczyna się przechadzać, potem patrzy w okno).

STANISŁAW (*odstępując od okna*). — Gdyby jaki podróżny przejeżdżał w tej chwili gościńcem mimo tego dworu, i spojrzął na dach jego wysoki i bezpieczny, na piękne topole, otaczające dziedziniec, na dym biały, podnoszący się przezroczystym słupem z kominą; gdyby obaczył krzątających się ludzi, i na ganku poświstujących lokajów w galonach, pomyślałby sobie: tam pokój, tam dostatek, tam przygotowują śniadanie, tam myślą o frażkach życia — i pojechałby dalej połykając ślinkę, jeżeli głodny; zapalając cygaro, jeżeli podjadł, i marząc o swoich kłopotach, o swoich kartoszlach, o cenach zboża i o Banku Polskim, który niestety! wchodzi w osnowę wszystkich naszych obywatelskich marzeń. Aniby mu do głowy nie przyszło, że tu trzy serca w śmiertelnych konwulsjach, że tu troje ludzi szlachetnych, z wysoką myślą, z duszą płonąca, musi się za chwilę pożegnać: lub ze szczęściem i pokojem całego życia, albo z honorem i uczciwością. I wieleżto takich dramatów odgrywa się co dzień na świecie Bożym bez spektatorów i sullyera! — Ale źle mówię, sullyer jest, i tym sullyerem, którego szept przenikliwy głuży rozum, jest namiętność. Cywilizacya postępu i egoizmu zaprzecza jój dzisiaj bytu. Chowa się ona wprawdzie, wstydzi się i tai; ale jest i nurtuje społeczność, jak są lichwiarze i szulery. I żaden żyd wierzyciel, żaden lichwiarz wyzółkły i zeschnięty nad złotem, nie jest tak okrutnym jak ona, nie jest

mniej miłosiernym. Kogo raz ujmie w swoje szpony, stoi nad nim w każdej godzinie dnia, w każdej chwili nocy, i woła przeraźliwie: oddaj, co moje; zastaw pokój, a oddaj; sprzedaj honor i sumienie, a oddaj.... O biada życiu, które tak uchodzi! (*zwraca się ku drzwiom Emilii i patrzy na nie smutno; po chwili Emilia wychodzi*).

EMILIA.—Dobry dzień p. Stanisławie! Możem pana zawczasem ze snu zbudzić?

STANISŁAW.—Czyż pani sądzisz, że spałem?

EMILIA (*podaje mu rękę*) — Ach! Pan jesteś dobrym sąsiadem, wiernym, szczerym przyjacielem. Winnam to nieszczęściu memu, że mi odkryło serce i przyjaźń pana. I ja nie spałam także. Przechodziłam noc całą po pokoju. Noc moja dzisiejsza, podobna do nocy delinkwenta, któremu z wieczora przeczytają wyrok, a rano dopiero ma być exekucya (*z uśmiechem*). A jednak, widzisz pan, wytrzymałam to wszystko.

STANISŁAW.—Dziwię się i uwielbiam moc pani. Nie wiem, czyby mężczyzna zdolnym był znieść tak mężnie tak gorzki zawód.

EMILIA.—Nieprawdaż że gorzki? Przyznaj pan. Wczoraj dowiedziałam się, że nie mam krewnych, że w opinii świata zgubiona i występna; wczoraj przeczytałam sąd o sobie, który mię przekonał, że mnie lekceważą, że nie mam talentu. A przecież z odwagą potwarz i niesprawiedliwość. Święte postanowienie umocniło mię; byłam prawie szczęśliwą. Myślałam sobie: dom, własna rodzina, przyjaźń i miłość, zastąpią mi rozkosznie brata i siostrę, świat i sławę. Tymczasem jedna chwila, jeden krok niepotrzebny, jedno słowo usłyszane, wydarło mi wszystko. Dom, rodzina, przyjaźń i miłość, wszystko znikło, jak bańka mydlana. Z ja-

kiężę pajęczęj osnowy utkane są nasze nadzieje, i jakie my dzieci, mój dobry panie, że za niemi tak po szalonomu gonimy!— Ale zapomniałam jeszcze podziękować panu.

STANISZAW.—Mnie? dobra pani! Za cóż to?

EMILIA.—Za to, żeś pan wczoraj przyjechał, żeś pan tu był, gdy mię ten cios uderzył. Mogłam przed panem wynurzyć się, i zrobiło mi się lżej. Powierzyłam panu część mojej boleści, i resztę, co zostało w sercu, zdołałam utaić przed niemi. Ta ulga dała mi czas pomyśleć i zastanowić się, jak postąpić, jak się wydobyć z tego położenia, w którym zostać nie możemy. Ale jeszcze może przyjaźń i rada pana będzie mi za chwilę potrzebna; dlatego wezwałam pana. P. August zaraz tu przyjdzie, muszę z nim pomówić. Wejdz pan tymczasem do mego pokoju. Znajdziesz tam książek dużo, może pana co zajmie, jeśliby rozmowa nasza przeciągnęła się zadługo. Chociaż wątpię. Mój Boże! nie będzie ona podobna do tych rozmów swobodnych i słodkich, które trwały nieraz po kilka godzin, i wyczerpać się nie mogły! Ta może się skończyć w kilku słowach (*łumiąc w sobie płacz*). Wszystko się zmienia na świecie, wszystko przemija!—Słyszę jego kroki (*składa ręce*). Zostaw mię pan samą (*Stanisław spiesźnie wchodzi do gabinetu. Emilia opierając się o krzesło, patrzy ku drzwiom wchodowym; po chwili August wchodzi*).

AUGUST (*seryo*).—Pani wezwałaś mię.

EMILIA (*siadając*).—Chciałam z panem pomówić, p. Auguste. Usiądź pan.

AUGUST (*siadając*).—Slucham panią z całą uwagą. Wczoraj widziałem panią znękaną. Cały wieczór pasowałaś się z sobą. Cierpienie i walka były widoczne.

Łzy, któreś ukradkiem ocierała, nie uszły mego oka; bo znając panią oddawna, znając tak dobrze, przywykłem czytać w twarzy pani, i wniosłem, że do twego serca, pełnego siły i odwagi, musiał wejść ból wielki, którego ja jestem powodem i który zapewne odbije się w mojem życiu.

EMILIA.— Tak i ja sędzę, i dlatego wezwałam pana. Znamy się od lat dwóch p. Auguście! i los chciał, aby znajomość, na obcej ziemi zawiązana, przybrała poważniejszy charakter, i spoiła nasze dwa życia, tak, że gdy je przyjdzie rozerwać, rozerwą się tylko z jękiem, tylko z bolem. O tém pan wiész dobrze.

AUGUST.— Czuję to, i wiem.

EMILIA.— Do téj ścisłości, która nas łączy, przyłożył się świat swoją pochopnością do potwarzy, przyczyniła się excentryczność mojego charakteru i bytu, nie takiego jak byt innych kobiet; może ladajakie zdolności, które w panu obudziły zapał dla autorki, a nadewszystko przyczyniłeś się pan sam swoim zbliżeniem się do mnie, swoim sąsiedztwem i zażyłością, która ztąd wynikła. Nie myśl pan, abym pana obwinięła o jakie samolubne zamiary. Owszem, wiem dobrze, że powody pana były szlachetne, żeś chciał położyć koniec złośliwój gadaninie ludzkiej, i dla mojego honoru, poświęcałeś swój pokój i może szczęście całego życia.

AUGUST.— Wątpiłażeś pani wówczas o mojej przyjaźni?

EMILIA.— Owszem, widziałam w tém tylko przyjaźń, tylko heroiczne jej wysilenie, i dlatego ofiary takiej przyjąć nie mogłam. Rzemiosło moje nauczyło mię poznawać wszystkie odcienia uczuć i namiętności ludzkich. Nie mogłam się więc mylić w tém, coś pan czuł dla mnie.

Wreszcie, kobiecie niepotrzebna w tém ani nauka, ani filozofia. Natura, stworzywszy ją słabą, dała jój instynkt delikatny, którym ona zgaduje niewątpliwie, gdzie ta pierś, na której głowa jój znajdzie odpoczynek, gdzie to serce, którego uderzenia odpowiedzią gorąco jój miłosnemu biciu. Ten instynkt p. Augustcie, ostrzegwał mię zawsze. Pan mię błagałeś, mówiłeś, że mię kochasz; nie wierzyłam temu. Jesteś człowiek zacny i uczciwy; powiedz czym się myliła? (*August odwraca się*) Uwalniam pana od odpowiedzi; byłaby za ciężka: i milczenie to pana więcej mi mówi, niżby powiedziały najszlachetniejsze słowa. Teraz pan wiesz, dlaczego wołała być przyjaciółką pana i czekać, niż żoną i zopсуć twoje życie i moje. Żem zaś była przyjaciółką pana z całym wyłaniem, z całą troskliwością o pokój pana, o twoje przyszłość; żem się starała wszelkiemi sposobami, o których wiesz i nie wiesz, odwracać od pana każdy kłopot, każde zmartwienie, w tém mi zapewne oddasz sprawiedliwość.

AUGUST (*powstaje*). — Możesz mi pani wierzyć, że to wspomnienie dobroci pani jest tém, co mię najgorzej boli w ciężkiem położeniu mojem.

EMILIA (*powstając*). — A przecież nie te starania stanowią moje zasługę. O! nie; one mi przynosiły tylko rozkosz (*przystępuje do niego*). Zasługa moja p. Augustcie w tém, żem odrzucała statecznie ofiarę pana; żem mogąc, nie wyjechała ztąd, nie osiadła gdzie w mieście lub za granicą, aby być od pana daleko; żem przeniosła oszczerstwa świata, opuszczenie od przyjaciół, gniew krewnych, nad nieobecność twoję. A wiesz pan czemu? — bom cię kochała, serdecznie kochała.

AUGUST. — Oh! domyślałem się tego.

EMILIA. — Domyślałeś się pan tylko, ale piérwszy raz dowiadujesz się o tém z ust moich, i byłbyś jeszcze

i teraz nie wiedział, gdybym była pewna, że mi zostanie, że cię nie stracę, że będziesz jak byłeś przyjacielem moim wiernym i jedynym. Ale okoliczności się zmieniły; dopominam się o prawa moje, odwołuję się do tylu oświadczeń, których się nie zaprzesz. — Oto moja ręka panie Augustcie, czy pan ją przyjmujesz?

AUGUST. — Jestem człowiekiem uczciwym, nie chcę panią zwodzić. Rzeczywiście okoliczności się zmieniły, i ja, dziś... ręki pani — przyjąć nie mogę.

EMILIA. — Odwołuję się więc do honoru uczciwego człowieka, który zabiegami swemi zgubił niewinną kobietę; dla którego straciła przyjaciół, krewnych, szacunek publiczny. Pókiś pan wyłącznie do mnie należał, nie dbałam o to. Spodziewając się, że kiedyś, że z czasem serce twoje odpowie biciu mego serca, byłam bogatą tą nadzieją, szczęśliwą tą przyszłością, i nie dbałam o świat i jego sądy. Dziś nie mam nic — nic oprócz imienia, które powinno być czyste, powinno być obmyte z win i występków, któremi je złość ludzka zbrzydzała. Czyż pan mi odmówisz tój jałmużny? (*daje mu list*) Przeczytaj pan ten list mojej siostry i osądź, czy masz obowiązek wrócić mi to dobro, któreś mi odebrał. (*August czyta; ona patrzy na niego z wyrazem oczekiwania i niepokojem*).

AUGUST (*przebiegłszy list, pociera ręką czoło i po chwili namysłu, mówi*). — Tak, masz pani rację; nie zostaje mi nic do wyboru. Powinność, honor, to są rzeczy świętsze dla uczciwego człowieka, niż uniesienia serca, niż nawet pokój całego życia (*oddaje list*). Rozrządzaj pani moją osobą i moją ręką; poddaję się — innego środka nie widzę.

EMILIA (*ściska jego rękę*). — Dziękuję panu za to postanowienie; wielka to, wielka ulga w moim losie.

AUGUST.— Postanowienie jest wypadkiem woli człowieka, a my dziś mieć jej nie możemy. Los i własna wina oddały nas w żelazne ręce konieczności zimnej, nieubłaganej, z którą w układy wchodzić nie można. Jej głos potężny mówi: tak być musi — i tak będzie. Naznacz więc pani dzień i godzinę na spełnienie tej ofiary. Będę czekał, i stanę, gdy przyjdzie pora.

EMILIA (*z łagodnym wyrzutem*).— I staniesz jako ofiara? Oddajesz mi ten dług konieczny kosztem szczęścia całego życia!

AUGUST.— A co gorsza, kosztem sumienia. Bo jeżeli już wiesz tyle, to musisz i to wiedzieć, że nietylko moje serce ugnie się, ale i może pęknie pod ciężarem, jaki na siebie wkładam.

EMILIA (*patrząc w ziemię*).— Tak, to prawda; ale cóż robić, kiedy nie może być inaczej?

AUGUST (*żywiój*).— A jednak mogło być inaczej; przed dwoma laty, przed rokiem, przed trzema miesiącami mogło być inaczej. Nie chciałaś — i dziś już nie czas. Bo czas nie stoi, bo chwila, która przynosi pokój życia, przygotowuje przyszłość człowieka, chce być pojętą, chce być zrozumianą wtenczas, kiedy przychodzi, kiedy do drzwi jego puka. Odepchnięta obojętnie, mści się swój wzgardy i nie wraca więcej. Tyś jej nie rozumiała, biedna marzycielko! i złamałaś dwa życia — ale i swoje także. Bo nie spodziewaj się szczęścia. Nie, jak Bóg żywy i wielki, tego ci dać nie może.

EMILIA (*uroczyście*).— Tego mi już nikt nie da — nikt — żadna siła na ziemi. — Ale ty wracasz mi szacunek świata, odzyskujesz mój, i to jest, to wszystko, czego żądałam (*kładzie rękę na jego rękę*). To mój tryumf, mój dobry Auguście, to jedyna rozkosz, jakiej w tej chwili stanowczej kosztować mogę (*idzie do drzwi gabinetu*).

P. Stanisławie! chodź pan, (*Stanisław wychodzi*), podziel pan moją radość—zwyciężyłam. Patrz pan: on mój, on godzien naszej przyjaźni, godzien naszego szacunku; on pokonał namiętność, która go w oczach naszych poniżała; on przeniósł powinność nad szczęście! (*August odwraca się i wychodzi. Emilia z żywością do Stanisława*) O! idź pan za nim—idź—utrzymuj go—pocieszaj—bo on potrzebuje pociechy—bo ja czuję to—o! czuję po sobie, jak musi być nieszczęśliwym. (*Stanisław prędko wychodzi, Emilia stoi przez chwilę z zakrytą twarzą; potem załamując ręce i patrząc ku drzwiom Klementyny jakby się wahała, wstrząsa się; idzie do drzwi na lewo i woła: Klementyno! Potem wraca, a po chwili. Klementyna wychodzi i staje nieśmiało zdaleka*).

EMILIA (*stojąc przy krześle, obraca się ku niej*). Przyśłałaś do mnie Klimuniu! miałaś mi coś powiedzieć. Nie mogłam cię wtenczas wysłuchać; głowa moja i serce były gdzieindziej. Teraz jestem swobodna, jestem spokojniejsza. Powiedz, czego chciałaś odemnie. Ale zbliży się moje dziecko; wahaś się, jakbyś straciła śmiałość do siostry (*zaciskając wargi*). Czy się mnie boisz (*ostrzej*)—mówi—(*siada i opierając twarz na ręku, patrzy jej bystro w oczy*).

KLEMENTYNA (*zbliży się*).—Najprzód błagam cię Emilio! abys mię nie posądzała o niewdzięczność.

EMILIA.—O niewdzięczność?

KLEMENTYNA.—Przybyłam do ciebie tułaczką, sierotą, bez ojca, bez żadnej pomocy. Przyjęłaś mię otwartemi rękami; dałaś wszystko, czego ciału, sercu i głowie potrzeba. A ja—przyszłam teraz prosić cię, abys mi pozwolila dom swój opuścić.

EMILIA.—Mój dom opuścić? dlaczegóż to? Czy sądzisz, żeś mi się naprzykrzyła? że mi twój pobyt niemi-

ły? że ten lichy koszt, jaki podejmuję na twój skromny ubiór, jest mi zaciężki?

KLEMENTYNA.—O! nie, Emiliol o tém nie myślę. Tyś dobra, tyś szlachetna; przy twoim boku lekko było memu sercu, na twojej piersi odpoczywała spokojnie i bezpiecznie moja znękana głowa. Dzielisz się także chętnie z tymi, co potrzebują, i masz czém się dzielić! Twoje więc dary dla mnie nie ciężą ci, ani majątkowi twemu uszczerbku nie przynoszą; o tém wiem.

EMILIA.—A więc?

KLEMENTYNA.—Ale widzisz siostrze! jam biędna, przeznaczona do niedostatku i pracy. Gdybym tu dłużej została, odczłabym się zarabiać, obchodzić się małym, znosić głód i zimno, na które stan mój sierocy narazić mię może.

EMILIA.—Czy zwątpiłaś o mojem sercu? (*po chwili*) czy może co zaszło, co by ci je zamknąć powinno?

KLEMENTYNA (*patrząc w ziemię*).—O sercu twojem nie wątpię. Ale w twoim losie, w twojem położeniu może się co zmienić. Podlegamy wszyscy niewidomėj sile, która kieruje nami bez naszej wiedzy. Któż wie, może co zamknie pierś twoję, odwróci odemnie twoję łaskę; może co skępuje twoje ręce, że nie będziesz mogła być taką, jaką dziś jesteś. A wtenczas cóż pocznę z rozpieszczoném ciałem, z duszą zleniwiałą i rozmięklą? O! ochroń mię od tak upokarzającego nieszczęścia i pozwól rzucić się w świat o własnej sile, póki jeszcze pierś ma odwagę i ręka nieodwykła i ochotna.

EMILIA (*powstaje, przechadza się przez chwilę w myślach, potem zatrzymuje się i mówi*).—Nieszczęrą jesteś Klimuniu! Zręcznie przystroiłaś w pozorne powody postanowienie, które ci co innego natchnęło. Oddawna

widzę, że się coś ukrywa w twojem sercu. Dziś domyślam się téj tajemnicy, która cię wypędza odemnie, a co gorsza, zmusza do udawania i kłamstwa.

KLEMENTYNA (*zmieszana*).—Domyślasz się?

EMILIA (*prędko*).—Tak, domyślam się, widzę, że i ciebie razi i gorszy mój sposób życia; że i ty znajdujesz go nieprzyzwoitym, ubliżającym godności kobiety i mogącym wpłynąć na twój los dalszy. Wiész o tém, że świat, kiedy się na kogo uweźmie, rzuca wywołanie na wszystko, co się dotyka wyklętój przez niego głowy. Nie chcesz więc być przypuszczoną do wspólności winy i do wspólności kary, i uciekasz odemnie, aby klątwa złych na mnie tylko jedną upadła.

KLEMENTYNA (*z gorzkim wyrzutem*). — O Emilio! Emilio!

EMILIA (*żywiój*).—Ale mówiłam ci, że się to wszystko zmieni, że się to prędko skończy—i skończyło się.

KLEMENTYNA (*zadziwiona*).—Skończyło się?

EMILIA.—O! tak, skończyło się. I mnie zmordowało to dwuznaczne położenie, i mnie znużyły te niezasłużone obelgi, gniew krewnych, żal i boleść siostry. Serce moje potrzebowało wytchnąć po tylu walkach. Pasoowało się długo; ale nareszcie uległo i uległo z radością, z nadzieją lepszej przyszłości, z oczekiwaniem tego szczęścia, które Bóg przeznaczył kobiecie, a którego ona wyrzekać się nie może bezkarnie. Zmień więc i ty postanowienie twoje, kiedy się wszystko i we mnie i wkoło mnie zmieniło—i dowiedz się, dowiedz moja Klimuniu, że jutro p. August będzie moim mężem.

KLEMENTYNA (*przerażona*).—Jutro?—twoim mężem?

EMILIA (*surowo*).—Ciebie to przeraża?

KLEMENTYNA (*mocując się*).—Nie, nie, o! nie; owszem, dziękuję Bogu, że tak jest; przynajmniej honor jego będzie ocalony.

EMILIA (*chwyta ją za rękę i prowadzi parę kroków naprzód*).—Honor? tylko honor? a szczęście miałby wtenczas, gdyby miał ciebie? (*odtrąca ją*) Węzł rozgrzałam cię na piersiach i zakłulaś je śmiertelnie.

(*Klementyna cofa się i pada bez zmysłów na krzesło. Emilia staje przy niej i patrząc na nią, mówi*).

Jak ona go kocha! jak oni do siebie należą!—jak dwa promienie jednego ogniska, jak dwa głosy jednego akordu! (*żałamując ręce*) Mój Boże! czémże zawiniłam, że skazana na to samotne tułactwo. Serce moje wzrusza się nędzą bliźniego, krzywdą braci; kocha naturę i sztukę, życzy ludziom dobra i pokoju; wszystko co szlachetne, co wielkie na ziemi pojmuje i rozumie— a jego drżenia nikt nie słyszy, a jego bicie nie znajduje nigdzie echa i odpowiedzi! O! to los okrutny, to sierocstwo gorsze, niż twoje biędna dziewczyno! (*podnosi jej głowę*) Ale ocknij się już, ocknij! (*Klementyna pociera ręką czoło i stopniami wraca do zmysłów*)— Przyjdź już do siebie i nie bój się moich wyrzutów. Zła chwila przeszła; zbiegłyśmy się w jedném uczuciu i obie daremnie (*odstepuje parę kroków*) — O! myśmy siostry rodzone biędna dziewczyno! myśmy równe sieroty!

KLEMENTYNA (*podnosi się na krzesło, patrzy na Emilię i składając ręce, mówi*)—Emilio! siostrze! już temu niewinna. (*Emilia wyciąga do niej ręce. Klementyna porywa się, wołając*) — O! ty mi przebaczasz! (*rzuca się jej w objęcia. Zastona spada*).

AKT IV.

(Ten sam pokój Emilii. August przechadza się w milczeniu; po chwili wchodzi Stanisław).

STANISŁAW.—Powozy zaraz będą gotowe. Proboszcz z początku skrupulizował, że to nieformalnie, że za nagle; ale wreszcie dał sobie wyperswadować. Za godzinę czekać was będzie przed ołtarzem.

AUGUST (*chodząc*).—To dobrze.

STANISŁAW.—Biédna Emilia! poruczywszy mi wczoraj zajęcie się wszelkiém przygotowaniem do tego obrzędu, zamknęła się i nie widziałem jój do téj pory. Czy i ty jój nie widziałeś?

AUGUST.— Nie widziałem.

STANISŁAW.—I Klementyny nie widziałeś także?

AUGUST.—Nie widziałem także.

STANISŁAW.—Augustcie! ja nie zasługuję na takie odpowiedzi.

AUGUST (*zatrzymując się*).— Jakże chcesz, żebym ci odpowiadał? Odpowiadam wprost na pytanie.

STANISŁAW.— Zapewne, położenie twoje smutne; dzień dzisiejszy bolesnym jest; jutro może być jeszcze cięższe. Ale każde jutro, mój Augustcie, jest wypadkiem dnia wczorajszego.

AUGUST (*chodząc*).— Oczywiście. Bo życie człowieka jest tylko w rozumie, tylko w wyrachowaniu przyczyn i skutków; a serce — to woreczek z dwiema komórkami i kłapkami, przez które krew przepływa.

STANISŁAW (*siadając*).— Najrozumniejszy może się dać unieść sercu i przygotować sobie złą przyszłość; ale

człowiek z charakterem, powinien umieć znieść mężnie wszystkie konsekwencye własnych swych działań.

AUGUST (*stając*).—Czyż ja ich nie znoszę? czy płaczę? czy wyrzekam?

STANISŁAW.—Szkoda, że nie płaczesz: wówczas jabym się śmiał. Ale twoje ponure zamyślenie trwoży mię i przeraża.

AUGUST.—Czy się boisz, żebym się nie zastrzelił?

STANISŁAW.—Spodzielam się, żeś chrześcianin.

AUGUST.—O! czy jeden chrześcianin łeb sobie roztrząskał, gdy przyszła pora?—Ja tego nie zrobię, bądź spokojny; i wreszcie cóż tak nadzwyczajnego w mojem położeniu? Żenię się z kobietą, której oświadczałem się tyle razy, która mię kocha, dla której mam szacunek i obowiązki. Kobieta jeszcze młoda, piękna, ma rozum i majątek: czyż to taka wielka bięda dla człowieka znającego świat, żeby przychodził do rozpacz?

STANISŁAW (*powstając*).—Auguście!

AUGUST (*zimno i ironicznie*).—Że mię pićrwój nie chciała, a teraz raptem chce; że jabym jój teraz nie chciał, ale muszę, żeby dopełnić dawnych zobowiązań i nie zadać sobie kłamstwa; zem się tymczasem zakochał w innój, i ta inna zakochała się we mnie, a uderzona tym ciosem, może uleść i umrzeć: to i to jeszcze nie takie wielkie nieszczęście, żeby człowiek znający świat, uciekał się do środków gwałtownych. Od czegoż perswazywał! Można sobie z ludźmi rozsądnymi powiedzieć: Niechby była miała rozum i nie kochała się w człowieku, który nie mógł sobą dysponować; niechby była miała charakter i znosiła mężnie wszystkie konsekwencye własnych swych działań. Nie zdołała tego dokazać; sama sobie winna, że umarła. Żal mi jój, to prawda; ale mogę się pocie-

szyc mając piękną żonę i pięć wiosek pod Warszawą z lasami i młynami (*rzuca się na krzesło trąc silnie czoło*).

STANISŁAW (*przystępuje do niego*). — Biedny! szalony człowieku! co ty pleciesz!

AUGUST (*zrywa się*). — Co pleć? czyż to rzecz nowa? czyż to nie codzienna historia tój naszej społeczności, której mamy honor być szczęśliwemi członkami? Małoż widziałeś kobiet, z namiętnością w sercu, sprzedających się lub sprzedanych innemu za tytuł lub pałac? Małoż znałeś mężczyzn, których serce było gdzieindziej, którzy nie mieli nawet tych powodów co ja, a sprzedali się za grunta pszenne i lasy nad Pilicą? — A przecież żadna z tych pań nie umarła; żaden z tych panów w łeb sobie nie palnął, choć wiedział, że serce, które mu zawierzyło, złamało się i zeschło. Owszem, był sobie spokojnym obywatelem, gospodarował, i przybywszy do Warszawy z pełną kieszenią, zajadał smaczną polędwicę, pił szampana z bracią szlachtą i przyjaciółmi, i przyjaciele nazywali go człowiekiem rozsądnym, który znał świat, i znosił mężnie wszystkie konsekwencye swoich własnych działań. Tak i ja robić będę; bądź pewny, chociażby ta... (*postrzega Klementynę i cofa się, chwytając się za głowę*) Ha! po co ona tu przyszła! (*odchodzi na prawo i siada zdaleka. Klementyna, która weszła przed chwilą, w białej sukni, z twarzą bladą, ale spokojną, zbliża się, patrzy przez chwilę na Augusta; potem zwracając się do Stanisława, mówi*).

KLEMENTYNA. — Panie Stanisławie! znajomość nasza niedawna, a jakżem już panu obowiązana za tę przyjaźń, jakież dowodzisz tym, których kocham (*podaje mu eke*). O! dziękuję panu.

STANISŁAW (*ściskając jej rękę*). — Radbym dobra pani zasłużyć na to podziękowanie.

KLEMENTYNA. — Akt, który się ma dopełnić, był koniecznym, pośpiech był niezbędnym. Pan ułatwiłeś wszystkie trudności, przyspieszyłeś tę stanowczą chwilę, która ich uspokoi, która im pokaże, że się łudzili wielkością swego nieszczęścia, która ich przekona, że mają dosyć sił do zniesienia swego losu. Oni sami nie byłiby w stanie zająć się tém wszystkiém. Ja... Ach! ja także nie miałabym ani głowy, ani swobodnej myśli, żeby ich wyręczyć. Opatrzność zesłała nam pana, abyś utrzymywał upadających swoją radą i pociechą, i działał za nas wszystkich.

STANISŁAW. — I abym był świadkiem wielkiego wysilenia, które mię wzrusza do głębi serca, i którego pamięć na zawsze mi zostanie.

KLEMENTYNA. — Czyż pana to dziwi? czyż poświęcenie wielkie trudném jest i nienaturalném tam, gdzie miłość jest wielką? Wszak i żelazo twarde i zimne, jak interes i samolubstwo; gdy się rozgrzeje, daje się naginać do form pięknych i wzniosłych. (*August wstaje i odchodzi kilka kroków dalej*).

STANISŁAW. — I pani pojedziesz z nami? i będziesz obecna ich przysiędze?

KLEMENTYNA. — Jestem przecież družką Emilii (*z gorzkim uśmiechem*). I widzisz pan, jakem się wystroiła. Poprowadzę ją przez kościół, słuchać będę ich przysięgi, i bądź pan pewny, że tam, gdzie Bóg jest obecnym, z tego ołtarza, którego treścią i tryumfem jest ofiara, spłynie pokój do serc naszych i wrócimy do domu zdrowsi duszą, niż wyjeżdżamy. — Czy pan dziś nie widziałeś Emilii?

STANISŁAW.—Drzwi jój dotąd zamknięte.

KLEMENTYNA (*zaciskając wargi*).—Czy wie, że już wszystko gotowe?

STANISŁAW.—Już dawno uwiadomiłem ją o tém.

KLEMENTYNA (*z niepokojem*).—Czemuż się ociąga. Jakbym chciała, żeby się to już spełniło! (*Emilia otwiera drzwi*).

EMILIA (*za sceną*).—Panie Stanisławie! proszę pana na chwilę. (*Stanisław wchodzi i drzwi zamyka*).

AUGUST (*przystępuje do Klementyny*).—Więc pani chcesz tego, pragniesz i potrzebujesz, aby się to spełniło?

KLEMENTYNA (*nie patrząc na niego*).—Czyż nie widzę, że to rzecz konieczna? że im prędzej się spełni, tém lepiej dla nas?

AUGUST (*stłumionym głosem*).—Chciéj mi pani odpowiedzieć wprost na pytanie: czy chcesz tego i pragniesz?

KLEMENTYNA.—Bóg widzi, że chcę, że pragnę mocno i stanowczo.

AUGUST.—Dobrze więc; ponieważ pani tego chcesz, aby się spełniło—spełni się; ale nie jedź tam pani z nami, nie stawaj obok niéj przy ołtarzu: bo uprzedzam panią i klnę się niebem i Bogiem, że nie powiem ani słowa!

KLEMENTYNA (*z bolem*).—Ach! panie Auguście! jak mi pan utrudniasz ciężką moje drogę?

AUGUST (*z mocą*).—Któż panią zmusza, abyś nią szła? Pocóż zadawać gwałt naturze, kiedy to ani Emilii, ani mnie, ani pani żadnej ulgi nie przyniesie. Czyż pani tego nie czujesz, że wszystkie te wysilenia daremne? Że to jest samobójstwo płoche i nieużyteczne? że nawet ten świat, którego głupstwu i złości przynosimy się w ofie-

rze, śmiać się z nas będzie, żeśmy wybrali drogę, która nas śmiertelnie pokaleczyła, mając inną przed sobą.

KLEMENTYNA (z *bolem*).—Inną? jaką? gdzie?

AUGUST.—Tę, którą wskazuje serce, na którą woła nas potężny głos, jaki Bóg w piersiach naszych umieścił. Tłumiliśmy go długo, katowaliśmy się jak potępieńcy milczeniem i udawaniem obojętności i wstrętu. Dosyć już tego; niech się teraz odezwie i ochroni nas — może od grzechu. Powiedz pani tylko: ja nie chcę — i w téjże chwili, Bóg mi świadkiem, zerwę te więzy, którem sam na siebie nałożył. Nie mamy prawa marnować tak życia — (*patrzac w ziemię*) wszak i nam należy się cokolwiek szczęścia od ziemi.

KLEMENTYNA (*odstępując i z żalem*).—Szczęście i hańba — szczęście i niewdzięczność — szczęście i niewiaral — czy to razem chodzi? czy widziałeś je gdzie razem? — Biedny szaleńcze! powinienbyś mieć więcej litości nad sercem kobiety, która może kosztem połowy życia wyrobiła w sobie cokolwiek pokoju, odrobinę rezygnacyi, a które ty tak niemiłosiernie roztrącasz i nogami deptasz (*siada płacząc*).

AUGUST (*po chwili, ponuro*).—Pokój! rezygnacya. Tak, uważałem to, żeś pani spokojna i zrezygnowana. Rzeczywiście, tym wyskokiem nierozumnym i niemiłosierdnym mogłem zatruć ten pokój i osłabić tę rezygnacyą. Żałuję teraz, że się zapomniał i przepraszam panią za moje szaleństwo; ale sądziłem, że mię pani kochasz.

KLEMENTYNA.—Przebaczam panu i to okrucieństwo: bo wiem, jak jesteś nieszczęśliwym.

AUGUST (*rzucając się na krzesło*). O! nie wiesz, nie wiesz tego — (*zakrywa twarz*).

STANISŁAW (*wchodząc*).—Przygotujcie się; już idzie (*odchodzi na prawo, ociera ukradkiem łzę i mówi na stronie*). Patrząc na nich, można się pogodzić z naturą ludzką.

(*August i Klementyna powstają, zwracając się ku drzwiom Emilii; po chwili wchodzi Emilia w czarnej sukni, z czarnym woalem na głowie, spadającym na jej ramiona i patrząc na nich spokojnie, staje na środku*).

EMILIA (*po pauzie*).—Nie widziałam was kilkanaście godzin, i zapewne znudziłam długim oczekiwaniem. Darujcie! moment był ważny, zależała od niego moja i wasza przyszłość. Takie chwile w życiu potrzebują samotności i zebrania ducha, aby Bóg i modlitwa pomogły, aby serce według natchnienia nieba mogło wybrać zawiennie. Teraz utwierdziłam się w mojem postanowieniu, poddałam się memu losowi i przychodzę do was z twarzą spokojną, jak widzicie, i z piersią, w której uci- chło wszystko, co ją w tych kilku dniach napełniało burzą i niepokojem. Ale czemuż tak patrzycie na mnie z podziwieniem? Auguście! Spodziewam się, że nie żałujesz téj chwili, w której byłeś mężnym i wspomniałym. A ty Klimuniu! wierzysz także, że wola Boga spełnić się musi, i żadne układy ludzkie zmienić jój nie mogą.

KLEMENTYNA (*przystępując i z trwogą*).—Siostro! sio- stro! co znaczy ten ubiór?

EMILIA (*bierze jój rękę*).—To odzież pielgrzymki, mo- je dziecię, która ma przed sobą wędrówkę długą i ciężką. Podobna ona do żałoby po szczęściu ziemskim, po naj- słodszych nadziejach, po wszystkich marzeniach młodo- ści. A jednak spodziewam się nosić ją spokojnie, kiedy i teraz lżej mi w niej — i oczy moje suche. Przestańże i ty płakać, moje dziecię (*przyciąga ją do siebie*).—Przy

tój białej sukience, czystej, jak twoje serce, jasnej, jak może być jeszcze twoja przyszłość, lepiej się wyda wypogodzone czoło i oczy, zroszone tylko łzą nadziei i wdzięczności.

KLEMENTYNA. — Daruj mi, zem się tak ubrała. Ale sądziłam, że mój ubiór sierocy nieprzyzwoitym będzie w dniu dzisiejszym.

EMILIA. — I owszem, dobrześ zrobiła, boś przestała być sierotą.

KLEMENTYNA (*z natężeniem*). — Nie rozumiem cię siostrze.

EMILIA. — Bo masz matkę we mnie; a w tym mężu, którego ci daję, znajdziesz opiekuna i przyjaciela.

KLEMENTYNA (*zakrywając twarz*). — Ach!

AUGUST (*przystępuje*). — Emilio! Emilio! coto jest? mogłażbyś... Nie, to niepodobna.

EMILIA. — Czemu niepodobna? Nie daliżecie mi przykładu? Ty Auguste! nie wskazałeś mi mojej drogi? Wyrzekłeś się jej dla mnie: dlaczegóż ja nie mam się wyrzec ciebie dla was obojga? — Rozkosze cichego życia kobiety, wspólne, podzielone, mnożące się z dniem każdym już nie dla mnie. W waszém szczęściu cały owoc dni moich, i na tém zawód mój ziemski skończony (*postępuje parę kroków naprzód*). A teraz samotna, rzucam się w twoje objęcia praco! przyjaciółko najwierniejsza, towarzyszko! na której silném ramieniu w dzień i w noc znużona głowa oprzeć się może. Spotwarzyłam cię, dąsałam się na ciebie, żeś mi w dniach szczęścia odmówiła cacka próżności. Nie wiedziałam, że ty jedna staniesz przy mnie, gdy mnie wszystko opuści, i w dniu goryczy przyniesiesz nie czczy oklask, nie marną sławę, ale prawdziwą pociechę, jedyny ratunek!

KLEMENTYNA (*pada przy niej na kolana*).— O biedna! biedna Emilio!

AUGUST.— Wielka! nieporównana kobieto! jakżeśmy przy tobie nikczemni i mali! (*kłęką przy niej*).

EMILIA (*trzymając ich ręce, z podniesionemi w górę oczyma*).— Jedźcie już do kościoła, tam proboszcz was czeka.

KONIEC AKTU CZWARTEGO I OSTATNIEGO.

kacy. I w rzeczy samej, inaczej stać się nie mogło. Oznaczenie i podział głosek, jakkolwiek napozór mało-ważne, wymagają jednak znajomości fizyki, anatomii i fizjologii; znajomości organów i części ciała, w któ-rych się głoski tworzą. Gdy tymczasem grammatycy nasi, którym zazwyczaj nauki te są obce, albo powta-rzali za młodu w nich wpojone zdania, albo podług wła-snego widzimisię sami układali dziwne, dziwaczne i sprzeczne systemata. Nauka o głoskach, czyli nauka o mechanizmie mowy, jest wyłącznie przedmiotem fi-zyjologii.

Mowa, najszczytniejszy człowieka przywilej, jest pod względem fizyologicznym zbiorową czynnością pewnej liczby organów, przeznaczonych zarazem do pełnienia innych ważnych spraw organicznych. Usta z zawartemi w nich organami żucia i połykania, cała klatka piersio-wa z organami i przewodami oddychania, cudownym oszczędnej natury ustrojem, służą zarazem do wydawa-nia i zmianowania dźwięków, głosów i szmerów, skła-dających mowę ludzką. Dźwięki czyli tony, tworzą się tylko w krtani, przez drganie strun głosowych, umie-szczonych po obu bokach tego organu. Powietrze, za pomocą mięśni klatki piersiowej, wyciskane z płuc, sprawia drganie w owych strunach, których większe lub mniejsze napężenie, wydaje dźwięki wyższe lub niższe, w pewnej, właściwej rozciągłości (scala). Moc tonów (forte i piano) zależy od siły skurczenia mięśni klat-ki piersiowej. Nad krtanią zawieszona jest miękka po-dniebienie, przedzielające paszczę na dwie części: noso-wą i ustną. Paszcza i cała jama piersiowa współdzwie-żeniem swoim wzmacniają pełność tonów, i są tém, czém pudło (Resonanzboden) w instrumentach muzycz-

nych. W ustach, twarde podniebienie, język, zęby i wargi, stosownym układem zmieniają brzmienie tonów (timbre). Miękkie podniebienie, razem z klapką nad krtanią znajdującą się, czyli tak zwaną nadgłośnią (epiglottis), mogą przedzielić tę jamę tak, że tony samym tylko przewodem nosowym wychodzą; lub też zamykając tylko nozdrza, przepuszczają tony samymi tylko ustami. Oprócz tonów czyli dźwięków, powietrze z płuc wyciskane, tworzyć może szmery właściwe, które albo same przez się, albo razem z tonami słyszeć się dają.

Ztąd wypada główny głosów podział na *tony* czyli *dźwięki*, i na *szmery*, które wzajemném połączeniem i układem odpowiednich organów, w daném po sobie następstwie, stanowią mowę ludzką.

Bywają zdarzenia, w których choroby nawiedzając pojedyncze części głosowego ustroju, przeszkadzają wydawaniu tonów lub szmerów, i w takich razach najdokładniej rozpoznać można, właściwy każdego organu udział w mowie ludzkiej. W istocie przypadek owróżdzenia krtani z zajęciem strun głosowych, pospolicie suchotami gardlanemi zwany, był dla mnie pierwszą sposobnością i pobudką do badania tego przedmiotu. Chory ów nie był w stanie wydawać tonów (aphonia), i cała jego mowa składała się ze szmerów.

Tak więc głoski mogą istnieć albo same przez się jako tony lub szmery, albo tylko jako szmery, albo téż rodzą się z połączenia tonów ze szmerami. Pierwsze nazwiemy głoskami samoistnemi, drugie głoskami cichymi, trzecie głośnemi.

Głoski samoistne: *a, e, i, o, u, y, j, l, ł, m, n, r.*

Głoski ciche czyli szmery: *h, ch, f, s, ś, sz, p, k, t.*

Odpowiednie głośne - - *w, z, ź, ż, b, g, d.*

Głoski samoistne wymawiać można bez tonu lub z tonem, czyli cicho i głośno, i w obu razach nie zmieniają brzmienia; tu należą wszystkie dotąd zwane samogłoski, i przez Greków tak zwane spółgłoski płynne. *Głoski ciche* są czystymi szmerami, i razem z tonem wymówione być nie mogą; za przyłączeniem się do nich głosu, zamieniają się w odpowiednie głośne, których znowu bez tonu wymawiać nie można. W chorobach, w których krtani jako organ tonu jest zajęta, tak, że tony tworzyć się nie mogą, mowa jest cichą, czyli składa się tylko z głosek pierwszego i drugiego rzędu; zamiast zaś zdarzających się w wyrazach głosek głośnych, chorzy tacy wymawiają odpowiednie ciche; np. zamiast *dobry* mówią *topry*, zamiast *zgoda* mówią *skota* i t. p.

Drugą główną między głoskami różnicę stanowi czas ich trwania, i w tém jest różnica samogłosek od spółgłosek. Pospolicie nazywają samogłoskami te głoski, które bez pomocy innych wymówione być mogą, i których wszyscy grammatycy głównie liczą sześć: *a, e, i, o, u, y*, (z podrzędnymi odmianami, np. *e* kreskowane, *a* ścieśnione i t. p.). Resztę nazywają spółgłoskami, dlatego, że ni-
by bez pomocy samogłosek, dłuższy czas wymawiane być nie mogą. Te tradycyjne definicje, są jednym z najgrubszych błędów, jakie w ogóle w naukach znaleźć można. I rzeczywiście nic łatwiejszego, jak przy dobrej woli i bezstronności, wielką liczbę tak zwanych spółgłosek wymawiać długi czas, bez pomocy samogłoski, np. *z, s, ź, sz, (l) r*, i t. d. Istotnych zaś spółgłosek, do których

(1). Nie trzeba mieszać znaków pisarskich z głoskami, albowiem w alfabecie polskim nieraz znak pisarski pojedynczy, odpowiada głosce złożonej, i przeciwnie; np. *c* jest złożone z *t i s*; *sz* jest znakiem złożonym głoski pojedynczej.

zwykła definicya stosować się może, jest tylko sześć: *b, d, g, i, p, t, k*, czyli właściwie tylko trzy, jak to niżej zobaczymy. Należy więc albo definicyą samogłosek i spółgłosek zmienić, albo zachowując daną definicyą, zmienić układ i klasyfikacyą głosek. Ponieważ zaś różnica między temi dwoma rodzajami głosek jest istotna, zależąca na możliwém dłuższém lub krótszém trwaniu głosu; należy więc głoski podzielić na trwałe czyli samogłoski, i na krótkie czyli spółgłoski.

Dla łatwiejszego przeglądu, umieszczamy tu tablicę wyrażającą podział głosek, ze względu na ich trwanie, i na ich stosunek do głosu.

	Samogłoski.	Spółgłoski.
1. <i>Samoistne</i>	{ a, e, i, o, u, y, j, l, ł, m, n, r.	—
2. <i>Ciche czyli szmery</i> . . .	{ h, ch, f, s, ś, sz.	{ k, p, t.
3. <i>Głośne</i>	{ — — w, z, ź, ż.	{ g, b, d.

Uwagi. Spółgłosek samoistnych niema wcale. Umieściliśmy głoski głośne pod odpowiedniami cichymi. Głoski: *h, ch*, nie mają w polskim języku odpowiednich głośnych. *Ch*, ma w języku francuzkim odpowiednią głośną, wyrażoną przez *r* w dyalekcie paryzkim.

Trzecią między głoskami różnicę stanowi mechanizm ich wymówienia, czyli układ organów użytych do wydania oznaczonej głoski. I pod tym względem znajdujemy u grammatyków podziały rozmaite i tak błędne, że jedynie nieznajomość anatomii odpowiednich części, wytłumaczyć je może. Przejdziemy tu pojedynczo wszystkie głoski, tłumacząc ich sposób tworzenia się, jak również zbieg i układ organów, potrzebny do ich wydania.

II. Jestto najprostszy szmer. Tworzy się przez samo przejście wytchniętego powietrza przez krtani i usta.

Naturalnie, że przy wydaniu tej głoski, usta muszą być otwarte, gdyż jeżeli powietrze przy zamkniętych ustach przez nos przechodzi, głoska ta wymówioną być nie może.

Ch. Tworzy się tak, jak *h*, z tą różnicą, że powietrze wytchnięte przechodzi otworem ścieśnionym, przez podniesienie tylnej części języka ku miękkiemu podniebieniu.

A. Jako szmer tworzy się w krtani przy otwartych ustach, przez tarcie wytchniętego powietrza o struny głosowe. Jako ton, tworzy się przez drganie strun głosowych w tym samym układzie.

E. Tworzy się zupełnie jak *a*. Różnica w układzie krtani i przyległych części przy wydaniu obu tych tonów jest bardzo mała, pomimo bardzo wyraźnej różnicy w głosce. O ile się zdaje, zależy ona na nieznacznej zmianie położenia gardzieli i miękkiego podniebienia.

Ę. Tworzy się jak *e* i różni się tylko tém, że szmer albo głos przechodzi jednocześnie przez nos i przez usta, gdy tymczasem przy wydawaniu głoski *e*, przewód nosowy jest zamknięty miękkim podniebieniem, a głos wychodzi tylko ustami.

I. Podobnie jak poprzednie głoski, jako szmer tworzy się w krtani, przyczém język tak jest ułożony, że brzegi jego boczne dotykają do zębów górnej szczęki, a środkowa część języka tworzy rowek, przez który powietrze wytchnięte przechodzi. Jako ton, tworzy się tymże samym sposobem przez drganie strun głosowych.

Y. Tworzy się jak *i*, z tą różnicą, że przy zstąpieniu krtani na dół, język cokolwiek bardziej w tył jest posunięty, a rowek przezeń utworzony, jest szerszy i krótszy.

O. Jest szmerem lub tonem utworzonym w krtani. Jama ust przybiera przy tej głosce kształt mniej więcej

kulisty, i otwór ust staje się okrągłym. Forma ta otworu ust chociaż nie jest koniecznie potrzebną, wiele jednak przyczynia się do wyraźnego brzmienia téj głoski.

A. Tworzy się z *o*, tym samym sposobem, jak *ę* z *e*.

U. Głoska ta tworzy się w krtani. Otwór ust musi być przytém ścieśniony; wyraźniej się wymawia, jeżeli jama ust przez posunięcie warg naprzód, jest przedłużona.

Wszystkie więc dawniej tak zwane samogłoski, tworzą się w krtani.

L. Tworzy się na języku. Powietrze wychnięte przechodzi pomiędzy bocznymi brzegami języka, a zębami trzonowemi górnej szczęki, kiedy jednocześnie przedni brzeg języka, dotyka się przedniej części podniebienia.

Ł. Szmer ten tworzy się w tém samym miejscu, co i głoska *l*; z tą różnicą, że język w tylnéj i średniej części tworzy wydrążenie, wypukłością na dół obrócone. Przedni brzeg języka zetknięty jest z podniebieniem.

J. Przy wydaniu téj głoski, język układa się zupełnie przeciwnie, jak przy wydaniu głoski *l*. Brzegi stykają się z zębami trzonowemi, a przednia i środkowa część języka, tworzą wklęsły rowek. Układ więc języka jest ten sam, jak przy *i*; różnica tych dwóch głosek zależy na tém, że głoska *i* tworzy się w krtani, a szmer *j* tworzy się na języku.

Ś. Tworzy się jak *j*, z tą różnicą, że rowek przez język utworzony jest bardziej ścieśniony, tak, że szmer obija się o zęby wcinające przednie górnej szczęki. Za dodaniem głosu przechodzi w *ź*.

Sz tworzy się jak *ś*, ale rowek przez język utworzony jest spłaszczony, i język bardziej w tył posunięty. Za dodaniem tonu przechodzi w *ź*.

S. Tworzy się jak *s'*, z tą różnicą, że powietrze wytchnięte, z powodu przybliżenia końca języka do zębów, trafia na dolny brzeg środkowych zębów górnej szczęki, tak, że szmer ten tworzy się nie między końcem języka a podniebieniem jak *s*, ale między końcem języka a górnemi zębami. Za dodaniem tonu przechodzi w *z*.

F. Szmer ten tworzy się, kiedy powietrze wytchnięte, przechodzi pomiędzy zębami przedniemi górnej szczęki a wargą dolną, przy blizkiem zetknięciu tych części. Można by szmer ten wydać stykając zęby dolnej szczęki z wargą górną. Za dodaniem głosu przechodzi w głoskę *w*.

M. Tworzy się w krtani, przyczém głos lub szmer przy zamkniętych ustach przechodzi przez otwór nosowy.

N. Tworzy się w krtani, przyczém jama ust zamknięta jest przyłożeniem brzegów języka, do osady zębów w podniebieniu, a szmer lub głos przechodzi przez otwór nosowy.

R. Tworzy się przez drganie przedniego brzegu języka, zetkniętego z przednią częścią podniebienia.

K. Jest szmerem nagłym, krótkim, tworzącym się kiedy powietrze wytchnięte przediera się pomiędzy tylną częścią języka a miękkim podniebieniem, poprzednio zetkniętymi. W połączeniu z głosem, szmer ten przechodzi w *g*.

T. Jest szmerem nagłym, krótkim, tworzącym się, kiedy powietrze wytchnięte, oddziela przednią część języka od przedniej części twardego podniebienia. Za dodaniem głosu przechodzi w *d*.

P. Tworzy się, kiedy powietrze wytchnięte nagle, rozdziela połączone z sobą wargi. Za dodaniem głosu przechodzi w *b*.

Co się więc tyczy miejsca, w którym tworzą się głosy i szmery, podług czego najczęściej grammatycy klasyfikowali i mianowali głoski, można przyjęc następujący porządek:

W krtani: *a, e, ε, i, o, q, u, y, m, n.*

W gardzieli: *h, ch, k, g.*

Na języku: *l, ł.*

Między językiem a twardém podniebieniem: *j, ś, ź, sz, ż, s, z, r, t, d.*

Między zębami i wargą: *f, w.*

Między wargami: *p, b.*

Z tego względu pierwsze nazwaćby można głoskami krtaniowemi, z których *q, ε, m, i n,* będą krtaniowo-nosowemi; drugie gardzielowemi, trzecie językowemi, czwarte językowo-podniebiennemi, piąte zębowo-wargowemi, szóste wargowemi.

Dla łatwiejszego przeglądu, podajemy następującą tablicę:

	S a m o g ł o s k i.			Spółgłoski.	
	Samoiadne.	Ciche.	Głośne.	Ciche.	Głośne.
1. Krtaniowe.	a, o, i, o, u, y.	—	—	—	—
2. Krtaniowo-nosowe.	q, ε, m, n.	—	—	—	—
3. Gardzielowe.	—	h, ch.	—	k.	g.
4. Językowe.	l, ł.	—	—	—	—
5. Językowo-podniebienne.	j, r.	ś, sz, s, ź, ż, z,	—	t.	d.
6. Zębowo-wargowe .	—	f.	w.	—	—
7. Wargowe	—	—	—	p.	b.

Wzmiankowaliśmy już, że znajdujemy w naszym alfabecie znaki pojedyncze, na głoski złożone; i tak: *c* jest głoską złożoną z *ts*, *x* jest złożoną z *ks*. Obie te głoski składają się z dwóch cichych, to jest pierwszej spółgłoski, a drugiej samogłoski. Grecy mają jeszcze głoskę

złożoną *ps*, która dopełnia połączenia samogłoski *s* z wszystkimi trzema cichymi spółgłoskami. Za dodaniem głosu, *c* przechodzi w *dz*, *x* w *gz*. W naszym języku jest jeszcze *ć*, złożone z *ts*, przechodząca w głoskę *dź*. Oprócz tych głosek złożonych, mamy w polskim języku jeszcze tak zwane głoski miękkie, które składają się z odpowiedniej głoski z następującem zaraz *j*. Tu należą: *b'*, *n'*, *p'*, *w'*.

Dla rozróżnienia głosek prostych od złożonych służy to, że przy dłuższem brzmieniu, głoski pojedyncze brzmią ciągle jednakowo, w złożonych zaś brzmi tylko ostatnia, która jest samogłoską.

W mowie, brzmienie głosek cichych i głośnych rozmaicie się odmienia, i to stosownie do praw tworzenia się i zmianowania głosu. Prawa te są następujące:

1. Głoski głośne przed cichymi zamieniają się w wymawianiu na odpowiednie im ciche; np. w wyrazie *zład*, głoska *z* wymawia się jak *s*.

2. Głoski ciche przed głośnemi, przechodzą na odpowiednie im głośne; np. *gwoli*. W wyrazie tym *g* powstało z *k*. W wyrazie *nozdrze*, głoska *z* powstała z *s*; w wyrazie *prośba*, *s* wymawia się jak *ź*, i t. p.

3. Głoski głośne na końcu wyrazów wymawiają się jak odpowiednie ciche; np: *chleb*, *gród*, *róg*, *rów*, *glas* i t. p. wymawiają się jak: *chlép*, *grót*, *rók*, *róf*, *glas*. Jeżeli zaś w następującym wyrazie pierwsza głoska jest głośna, wtedy ostatnia głośna poprzedniego wyrazu wymawia się w właściwem brzmieniu; np. *ów dom*: gdy tymczasem, jeżeli pierwsza głoska wyrazu, następującego jest cicha, ostatnia głośna poprzedzającego wymawia się jak cicha; np. *ów pan*; tu *w* wymawia się jak *f*.



Przyczyna tych przemian, dotyczących najwięcej szmery, czyli właściwe głoski ciche i odpowiednie głośne, zależy na trudności szybkiego naprzemian wydawania i tłumienia głosu. Przy głoskach samoistnych łatwiej daje się to wykonać, albowiem te w obu razach zachowują właściwe swe brzmienie, przez co przejście z mowy cichiej do głośniejszej jest ułatwione. Uwagi te ważne są pod względem pisowni; wiadomo bowiem, jak różnią się nasi autorowie w pisaniu głosek, mających pochodzenie głośne, a cicho wymawianych; np.: *zład, zład* i t. p. jedni piszą przez *z*, drudzy przez *s*. Należałoby tu wziąć za ogólną zasadę albo etymologią czyli pochodzenie głoski, albo wymawianie.

4. Jeżeli ostatnia głoska wyrazu jest głośnie i poprzedzona jest przez samogłoskę *e* lub *o*, wtedy samogłoska ta ścieśnia się, przez co *e* zamienia się na *é*, *o* na *ó*; np. *chleb, próg, ród, wóz, nóż, gróz*. Przy cichych, samogłoska poprzedzająca pozostaje otwartą, np. *lep, sok, lot, nos, kosz, pros*. Ścieśnienie to znika, jeżeli w zmianowaniu (przez deklinacją lub konjugacją) wyrazu, ostatnia głoska spływa na następującą samogłoskę, np. *chleb, chleba, próg, prog*. Ścieśnianie samogłoski *a* dawniej używane, teraz zupełnie zaginęło. Z głosek samoistnych: *l, ł, j, r*, zachowują się w tym względzie jak głośne; zaś *m, n*, najczęściej jako ciche, a głoska *w*, czasem zachowuje się jak cicha; np: *lew*.

W śpiewie najłatwiej wymawiać takie wyrazy, które mają jak najwięcej głosek samoistnych albo głośnie; głoski zaś ciche i spółgłoski, mogą być dobrze umieszczone tylko na końcu, lub na początku przestanków muzycznych: w ciągu bowiem nuty, koniecznym przerywaniem głosu, przy częstym powtarzaniu się, zamieniają śpiew



ROZMAITOŚCI.

Wygnanowice (*). *Powiatka historyczna.*

Przy końcu 1704 roku, w którym Polska znękana przemocą skandynawskiego wojownika, bez króla i rządu, rzucona na łup wyuzdanej samowoli, podzielona na liczne stronnictwa, które między sobą ustawne wiodąc napady, bezkarnie nękały kraj biedny, biedny zaiste, bo od obcych i swoich szarpany; mieszczanie miasta Lublina, korzystając z uchwały sejmowej, pozwalającej im nabywania dziedzictwa dóbr ziemskich (1), nie lenili się w wykonaniu, na co szlachta krzywem patrzyła okiem, a krzywszą jeszcze wolą.

Trzy mile od Krasnegostawu stała wioska Stryjną nazwana (2), odwieczna własność Stryińskich, gniazdo ich rodu i miana, a właścicielem był wówczas Stanisław Stryiński, stolnik braclawski, starzec z górą sześćdziesięcioletni, wdowiec, mający przy sobie tylko syna jedynaka, dwudziestoletniego młodzieńca, który skończywszy poetykę u OO. Jezuitów w Lublinie, wrócił pod ojcowską strzechę, przy-

(*). Wygnanowice, wieś w powiecie krasnostawskim.

(1) Konstyt. z r. 1703 str. 20 tyt. miasto Lublin. Lengnich, str. 209.

(2) Stryjna, majątność obszerna w tymże powiecie, będąca własnością Michała Malhomme, którą przed 20 laty nabył od rodziny Stryińskich.

uczyć się trochę gospodarstwa, aby potem zająć miejsce, czekające go w regimencie pana wojewody kijowskiego.

Pan Antoni, chłopak gładki, zwinny, niecierpliwie wyglądał chwili, w której otrzyma ojcowskie błogosławieństwo, kilka polecających listów, i dwóch do swojej służby hajduków, aby się obetrzeć (jak mówiono) w świecie; gdy na jeden raz stracił mię, ochotę, do owój tak upragnionój wojaczki, i pytającemu ojcu: kiedy chce wybrać się w drogę, odpowiadał tłumacząc się to tém, to owém, aby tylko przewlec jak najdłużej porę tak dawniej oczekiwaną.

Tymczasem nim i ja czytelnikowi wytłumaczę powody pana Antoniego, powiem mu, że niedaleko, bo tylko o granicę ze Stryją, mieszczanin lubelski Paweł Malicki, kupiwszy obszar pustego gruntu, zakładał wioskę, pracując w pocie czoła na wyżywienie licznój rodziny, na uposażenie chłopków, garnących się do jego wioski.

Panu Stryińskiemu taki sąsiad, to sól w oku. On szlachcic z dziada, z pradziada, liczący w swoim rodzie krajczych, cześników, podkomorznych, a nawet i kasztelanów, nie mógł tego ścierpieć, że mieszczeniu lubelski sadowił się obok niego, i choć miał niezbyt bogatą fortunę, gotów był oddać połowę, aby tylko jakimkolwiek sposobem, godziwym czy nieprawym, pozbyć się nieznośnego sąsiada. A jeszcze na dobitkę zaczęły biegać wieści, że pan Antoni zajecha do białego dworku i smali cholewki do czarnookiej Kasi, córki Malickiego; a choć starzec niebardzo temu wierzył, jednak ludzkie pogadanki, szeptały o tém coraz głośniejszym gwarem. Rzecz prawdę, że nie musiało to być bez ale; i to zapewne był sęk, o który zaczęły się owe lotne młodzieńcze chęci, które obiegłszy niezmierne pole marzeń, uwięzły w białym dworku, i w czarnych oczach dziewczyny.

Wieczorem, pogodnego dnia lipcowego r. 1705, w ganku podpartym czterema słupami, pod lipą, co szerokimi ramiony osłoniła spruchniały stryński dworzec, jak stara piastunka zgrzybiałego już wychowanka; siedział pan Stryński i dumał. Koło niego pędzili stada koni, bydła i owiec, przechodzili wieśniacy wracający z pola, zdejmując czapkę na

uroczyste „pochwalony”, wieźli fury suchego siana; ale on nie pobawił się ze swoją trzodką, nie odpowiedział witającym go „na wieki amen”, nie zapytał się nawet czy wszystko siano już suche, ale siedząc z wlepionym w wysadzaną drogę wzrokiem, murkotał.

— Nie wraca... czy go ten łyk lubelski (1) zaczarował, czy co?... Panie odpuść, coto za czasy! Dawniej mospanie żebyś szlalcica hakiem ciągnął do mieszczańskij krasanki, toby ci w oczy napluł i kwita; a dziś te półgłówki, bez pytania, bez respektu hała, drała i koniec.... Tfu!... przecież to i człowiek nie całe życie był stary; przecieżto i człowiek kiedyś szalał, ale szalał utściwie, nie laź w błoto, kiedy go mógł ominąć.... Ha! byłem wyrozumiaty dla panicza, ale widzę, że próżnowanie młodemu nie na rękę. Héj Bartłomieju!

Ze stajni wyszedł wąsaty starzec w granatowym kubraku, przepasany szerokim rzemiennym pasem.

— Czy wszystko już gotowe?

— Wszystko.

— Przeprowadź konie przed ganek, i dla siebie przyrządź gniadego.

— A to na co?

— Nie pytaj.

Bartłomiej spojrział na gniewną twarz pana, pogładził wąsa, potarł czuprynę i zwróciwszy się ku stajni, przemyślał nad dziwnym pańskim rozkazem.

— Ani chybi; staremu chce się jeszcze wyjrzyć na świat, kiedy mnie z sobą ciągnie.... Ale dalipan ciężko to bardzo przetrząsać stare kości, tułać się po wojaczce, kiedy za młodu człowiek nie siedział za piecem.... Gdybyć przynajmniej na Turka albo Tataru.... ba choćby i na Szweda; ale to jak ksiądz kwestarz mówił, sprawa podobno ze swojemi, za to,

(1) Mieszczan w ogólności zwano tyczakami. Nazwa ta ztąd poszła, że często nie mając za co kupić atlasu na żupany, nosili go z materyi bardzo podobnej do atlasu z włókien konopnych rohionej, tyczakiem zwanój. Książd Kitowicz: Opis zwyczajów za Augusta III, str. 275.

że jedni chcą Sasa a drudzy lasa.... Bóg widzi, że jakoś nie mam ochoty.

Tak rozmyślając, stary sługa wszedł do stajni, i niebawem u żerdziennego parkanu stało cztery kulbaczne konie, dwóch hajduków w podróżnym stroju, i z boku oparty o lipę stary Bartłomiej.

Pan Stryński jeszcze dumał, gdy w sadzonej ulicy dał się słyszeć tętent konia biegnącego czwałem ku dworowi. Starzec zadrzał na całym ciele.

Na wronym człapaku zajechał przed ganek młodzian pięknego wzrostu i urodziwej twarzy. Jasno-błękitny kontusz na karmazynowym żupanie, ściśnięty siatkowym złotego koloru pasem, przy którym na jedwabnym nawiązaniu wisiała leciuchna karabelka, jakie Lwowiankami zwano, rysował zgrabną postać młodzieńca; a uchylona przed panem ojcem granatowa z czarnym barankiem, po szwach srebrnymi sznurami naszyta czapeczka, dała widzieć włosy jasno-blond, równo dokoła podcięte, zakrywające pół uszu i czoła.

Zdziwiły go przygotowania do podróży, ale nic nie mówił, tylko oddawszy wronego stajennemu, czekał ojcowskiego zapytania.

— A gulzieta Wasze hulał?—przemówił groźnie starzec.

— Jeździłem....jeździłem do Malic, panie ojcze.

— Do jakich Malic?

— W sąsiedztwo.

— A ha! dobrze i o tém wiedzieć. Cóżto tam Wasci wiodło?

— Objeżdżałem granicę.

— Tfu! panie synu...już cię mieszczanin i kłamać nauczył. Ale stało się; co było to przepadło: moja wina, żem na Waszec nie miał pilnego oka. Stało się. Teraz Waszec masz oto konika, szabelkę, dwóch chłopaków, listy do pana hetmana i pana wojewody kijowskiego, a przy tém wszystkim moja ojcowskie błogosławieństwo; jedź, służ krajowi, ale nie mieszczaniskim dziewczkom. A ty Bartłomiej—dodał

obracając się do starego sługi — odprowadzisz panicza za Wisłę, aż do Sandomierza; ale jeżeliby nogą wstąpił do białego dworu, ty mi za to odpowiesz!

Pan Antoni słuchał groźnych słów ojca, jak winowajca wyroku. W nacisku różnych myśli chciał prosić choć o jeden dzień zwłoki, sądząc, że znajdzie sposobną porę pożegnania czarnookiej dziewicy; ale dał pokój, bo dobrze wiedział, że prędzejby kto wypił wodę ze stryńskiego stawu niż zmienił starca słowo.

Pan Stryński zapomniawszy na chwilę swojego gniewu, przycisnął do serca jedynaka, i drżącemi usty wyrzekł uroczyste błogosławieństwo. Rozrzewniony młodzieniec rzucił się do nóg ojcu, i łzy starca zmieszały się ze łzami syna.

Nie ubiegła godzina, a znów sadzoną lipami drogą jechali czterej jeźdźcy. Księżyc zagładający przez liście drzew, patrzył w łzawe oczy młodzieńca, zwracające się koleją to na stary dworzec, to na migające w dali schronienie lubelskiego mieszczanina. A w ganku siedział jeszcze starzec, i rękawem obcierał łzy, i odmawiał pacierze, tak gorąco i tak często wspominając w nich imię syna.

III.

W parę dni po tym wypadku, w posłuchalnej komnacie krasnostawskiego zamku, przechadzał się pan Stryński przybrany świętecznie, czekając przybycia starosty, którym był podówczas Felix Potocki wojewoda krakowski i hetman polny koronny; ten sam, co pod Podhajcami tak dzielnie się popisał, i który naprzemian to radą, to orężem, dobrze zasługiwał się krajowi.

Wszedł niebawem starosta, a jako znający dobrze rycerskie zasługi stolnika, podał mu swą prawicę, nie szczędząc choć nierównemu sobie godnością, braterskiego uściśnienia. Zachęcony tak dobrém przyjęciem pan Stryński, po zwykłych powitaniach oświadczył, że przybył domagać się sprawiedliwości w zgwałceniu swobód szlacheckich, a to przez jednego mieszczanina, który niedość że założył wioskę, ale jeszcze nazwał ją od swego miana.

Pan starosta człowiek nieuprzedzony przekładał stołnikowi, że przywilej niedawno wydany, dozwala mieszczanom lubelskim téj swobody w nabywaniu dóbr ziemskich. Ale gdy pan Stryński przytoczył wniosek sejmu warszawskiego z r. 1703, brzmiący w tych słowach: „Któryby z mieszczan założył nową włość, a nadał jój swoje miano dla dowodu szlachectwa; włość takowa ma być na skarb rzeczypospolitéj zabrana, bez żadnego wywodu i recesu.” Starosta jako strażnik prawa odpowiedział, że rzecz tę natychmiast kanclerzowi do rozstrzygnięcia przedstawi, gdyż pomieniony wniosek tego wymaga: poczem do wykonania jego decyzji przystąpi.

Pan Stryński pożegnał starostę, a nie ufając jeszcze jego przyrzeczeniu, napisał list do znanego podówczas z łatwej frymarki prymasa Radziejowskiego, w którym przypomniawszy się pamięci, stosunkami szkolnój jeszcze znajomości, a potem usługą wyświadczoną synowi wzgardzonego ojca (1), prosił, aby nie dopuścił takiego uszczerbku swobód szlacheckich i przypomniał kanclerzowi jego powinność.

Wyprawiwszy list ten przez umyślnego do Radziejowic, czekał skutku swoich zabiegów.

III.

Tymczasem w białym dworku, zaledwie ranna zorza zająrzała w czyste jego okienka, zastawała już wszystkich przy robocie. Gospodarz wyprawiał w pole czeladkę, pani Malicka otworzywszy komorę, nieskapą ręką dzieliła między idących i pozostałych śniadania i podwieczorki, a piękna Kasia w białym płóciennym kubraczku, w czystej spodniczce, krzątała się koło drobniejszego rodzeństwa, często spoglądając w okno ku stryńskiemu dworowi, nie mogąc pojąć ciągłej tęsknoty, która od kilku dni tłoczyła jój dziewicze serduszko.

(1) Hieronima Radziejowskiego, który pod nieszczęśliwem panowaniem Jana Kazimierza sprowadził Szwedów.

Tak ubiegały ranne godziny; potem wszyscy schodzili się do piérwszój izby. Tam najprzód pobożnie, klęczący, z czystą pokorą odmówiwszy wspólnie pacierze, zasiadali do stołu, pożywając co Bóg dał, i własna ziemia przyniosła.

Upłynął już lipiec, a nawet i połowa sierpnia. W wigilią Wniebowzięcia Najświętszój Maryi Panny, dzień rozpoczął się gęstą mgłą, która nie spieszyła się opaść na dół, i było uż około południa, a jeszcze słońce niezupelnie jasno patrzyło; gdy przed biały dworek zajechało dwie kolas, otoczonych kilkunastu jezdniemi z starościńskiój straży. Zdziwiony tą kalwakatą gospodarz nie zdążył jeszcze wyjść na przywitanie przybyłych, kiedy wtoczył się do izby okazałej postawy pan Jacek Bukowski pisarz krasnostawski, poprzedzony liczną czeredą swoich popychaczów.

Nie kiwnąwszy nawet głową usiadł pan pisarz za stołem, i kazał podać papiery.

— Czy Waś się nazywasz Malicki?—zapytał gospodarza.

— Tak jest.....

— Powiedźże mi, kto tę wioskę założył?

— Ja....

— No, to dobrze; a jakżeś ją Waś nazwał?...

— Malice.

— Jeszcze lepiej. Zapisać to w protokół.

Dwóch pisarków spełniło jego rozkaz.

— Teraz nie mi nie pozostaje, jak odczytać Waćpanu ustawę sejmu warszawskiego; ale żebym się mniej trudził, i W Pana zbytecznie nie przerażał, możesz sam sobie odczytać.

Pan Malicki wziął do ręki podane papiery; ręka drżała a na czoło kroplisty pot wystąpił.

— A zatem, kiedy już wiiesz co cię czeka, wynośże się z dobrój woli, jeżeli nie chcesz narazić się na niezbyt grzeczne psoty tych oto łotrów.

— Paniel ja mam tyle dziatek!... Litości!...

— O jakiż-bo dziwny jesteś; w ustawie sejmowój nie wyrażono względu dla tych, co mają dzieci, Przecież ja ich zabierać nie chcę.

— Ale zabierasz im panie chléb!....

— No—no! po co te gawędy. Czas nie stoi.

— Panie! pozwól mi trzy dni czasu!

— Ani trzech godzin; łomoczki na ramię i precz....
To niedługo zabawi.

— Panie! Bóg cię ukarze, bo się naśmiewasz z nieszczęścia bliźniego....

— Precz mi z kazaniem; mieszczanin z szlachcicem nie za pan brat!! Patrzcie co mi za bliźni?!.... Hajducy do roboty!...

W tę chwilę wszedł pan Stryński, a razem z nim z boczego alkierza biegła żona i dzieci Malickiego. Wszyscy jednogłośnie z prośbą przerywaną łkaniem obścąpili starców, wszyscy rzucili się im do nóg. Małe dzieci może nawet niepojmujące swego żalu, drobnymi rączkami obejmowały nogi zakamieniałych prześladowców, żebrząc ich litości; ale gdy wszystkie usiłowania okazały się próżne; gdy pan Stryński odepchnął proszących, a niecna zgraja służalców roztrącała płaczące dzieci; i w zbolałym sercu ojca odezwało się jakieś wyższe natchnienie, razem ze wzgardą dla okrutnych, którzy pod zastoną prawa, spełniali czyn haniebny osobistości i szlacheckiej prywaty. Nieszczęśliwy otarł łzy, wziął żonę za rękę, otoczył się swemi dziećmi, i wyszedł z białego dworu.

Biedny, wyszedłszy za próg podwórza, oddzielający go raz na zawsze od ciężko zapracowanej siedziby, upadł na kolana, a łzy rzewne, łzy boleści załaty twarz pooraną brzdami wieku....

IV.

Hałas, łoskot, wrzawa rozlegają w cichym niedawno domu. Pacholki grabią sprzęty, rwą, wynoszą w różne strony; w zgiełku tym nikt nie pilnuje ładu, bo panowie siedzą w alkierzu i łykają węgrzyną, o którym stolnik nie wspomniał, rozmawiając w jak najlepsze o dzisiejszym zdarzeniu.

— No, panie Stryński! jakże te wioszczynę nazwiemy? Stolnik trochę podumał, i dwa razy ujął się za wierzch swojej czupryny.

— Wygnanowice!... A co? czy nie dobre nazwisko? Będzie przestroga mieszczanom, że od szlachty wara i zdala.

— Zgoda! Wygnanowice. Do was panie stolniku!

— Za wasze zdrowie panie pisarzu!

I trącili się pułkami spełniając je duszkiem co do kropki, a liczna czereda najeźdźników, powtórzyła głośnym krzykiem.

— Wiwat Wygnanowice (1)!!!

V.

Minęły piękne dni lata, mijała już i jesień; chłodne wiatry szumiały po odartych z liści gałęziach. Na bożym świecie pośepno i smutno, tak, jak w starym stryńskim dworcu; albo może w dworcu i smutniój: bo tam choć wiatr gwizdząc swoją jesienną dumkę, łomocze się po drzewach, a tu cicho jak w grobie, i tę ciszę przerwie tylko czasem pacierz starca, albo świerszcz z obszernej pod kominem siedziby. Pusto i głucho, nikt nie zajedzie w gościnę: bo młodzież i średniego wieku ludzie nie myślą o biesiadach, siodłają konie, ostrzą pradziadowskie szable, i dalej w pole, polulać wojennego tańca; starzy radzi siedzą w zakątkach, bojąc się na świat wyjrzyć, aby ich pierwszy lepszy zawadyka nie zapytał, za kim: za lasem czy Sasem? i potem stariej głowy nie obznaczył wyuzdaną na wszelkie bezprawia szablicą.

Oj! bo wówczas źle było w Polsce; źle, jeżeli kiedy lepij było?... Szlachta bez porządku i zgody gonila wiatry w po-

(1) Kazimierz Widlica Domaszewski właściciel Wysokiego, tak to zdarzenie w rękopiśmie swoim opisał: „Ani 1705 mieszczan z Lublina założył pod granicą Stryjny, majątności stolnika Stryńskiego, wioskę, którą zacz pewne dla dowodu szlachectwa nazwał Mallce. Zagniewany pan stolnik, za rozkazaniem starosty krasnostawskiego zajechał mu ją; potym ta wioska Wygnanowice nazwana“. (Rękopis).

ju, biędny lud znośił niepojęte uciski, panowie magnaci czepiali się to téj, to owéj strony, stosownie do tego, która im więcéj obiecała starostw, godności i urzędów; nie pomnąc, że bezładem torują Szwedom drogę, że niezgodą kaleczą własne bliźny, a burzliwi wicrzyciele, których głową był prymas Radziejowski, dla osobistych widoków dumy i łakomstwa, rzucali na pohybel kraj biędny, miotali swarnym tłumem, tak, jak im potrzeba było.

Dzień był pochmurny, zwyczajnie jak w jesieni: deszczyk drobny lecz gęsty z zachodnim wiatrem leciał w przegony. W stryńskim dworze było jeszcze smutniéj, kiedy przed bramę zajechała czereda jezdnych wojaków, i gościnnym obyczajem zapytała o zdrowie pana stolnika braclawskiego. Dziw! cud! goście w stryńskim dworze. Dają znać o tém panu, otwierają bramę: wjeżdża cała zgraja, rażno, ochoczo. Starzec wita przybyłych, bo to jego dawni znajomi, przyjaciele króla Augusta, a przywodzi im Szmigielski starosta gnieźnieński, człowiek sprawny w rycerskich potrzebach, a do bitwy jak do zalotów skory.

Po przywitaniu i przekąśce, kielich, a przy nim rozmowa wesola i otwarta. P. Szmigielski opowiada różne zdarzenia: jak w Warszawie pozdzierał koronacyjne uniwersały; jak pod Skrzywnem wytrzepał skórę Sapieżyńskim; jak najechał dworzec szlachcica w Glinach, co zmałwiał stronników Stanisławowi..... Te i tym podobne opowiadania idą koleja, czas płynie, szlachta pije na zabój: bo stolnik rad gościom, nieczego im nie szczędzi. Szal i wino zawraca głowy, i choć już wieczór blizki, nikt ani pomysli o wyjeździe. Aż tu zmrokiem dają znać, że dworzec dokoła przez Szwedów otoczony.....

Pijacka wrzawa zmienia się w odgłos trwogi; myśléć o obronie ani można: większa połowa szlachty zwalona z nóg zalega ławy, reszta prawie bezprzytomna. W takim położeniu, gdy jeszcze Szmigielski mniéj od innych pijany, pamiętając tylko o sobie, drapnął oknem do ogrodu; gdy ci, którzy jeszcze potrafili rozeznac co się dzieje, poszli za jego przykładem; gdy Szwedzi powystawiawszy okna zaczęli

strzelać do leżącej szlachty: nie było innego ratunku, jak zdać się na łaskę przybyłych.

Adam Jasielski dworzanin Sapiehów, przywódca oddziału Szwedów, rozkazawszy zaprzestać strzelania i wyprawwszy pogoń za Szmigielskim, kazał sprowadzić do siebie gospodarza.

W najciaśniejszym zakątku znaleźli Szwedzi przelęknionego starca.

Pan Jasielski zły, że Szmigielskiego nie mógł przydybać, obszedłszy się najniegodziwiej ze starym stolnikiem, kaze ładować grabieże, jeńców wiązać do koni i gonić za zbiegłymi. Ale Szwedzi nie dają się oderwać od rabunku; pacholki roznoszą bogatsze sprzęty, głos przywódcy ginie w odmęcie swarych krzyków; niema innej rady: Jasielski wydziera z rąk pacholka gorejącą pochodnię, rzuca ją na słomiany dach dworu, i wnet jaskrawe płomienie osłaniają całą budowę, wiatr je rozdyma i niesie w różne strony, a szaleni zwycięzcy gonią lubelskim szlakiem, wlokąc związanych wielu jeńców, a między nimi i stolnika.

VI.

Obok ratusza w Lublinie, przed domem zajmowanym przez generała szwedzkiego Majerfelda, stało kilkunastu knechtów, pilnujących garstki jeńców zabranych w Strynie.

Na ich bladych twarzach poznać można było okrutne obejście się z nimi szwedzkich żołnierzy. Wszyscy wiele ucierpieli, ale bez wątpienia najwięcej starzec, leżący pod murem. W gasnącym jego wzroku wyczytać można było wszystkie męczarnie, jakich doświadczył.

Nieszczęśliwy, w konwulsyjuém drganiu wszystkich członków, przyciskał obie ręce do czoła, jakby tém chciał ulżyć swemu cierpieniu.

Wtém z przysionka wyszedł generał szwedzki, a z nim pan Jasielski. Szli koło jeńców; Sapieżyński dworzanin coś mówił niemiecką mową: Szwed coraz bardziej marszczył czoło i ścisnął klingę szabli. Potém odpowiedział kilka słów szlachcicowi, który zaraz wyprawił knechta po kaprała Milberga.

Widział, że iluzory i inow **VIII.** W kł...
 Za klasztorem OO. Dominikanów stał stary drewniany dworek, będący własnością mieszczanina Malickiego. W tym dworku w małej izdebce, zebrana była cała rodzina Malickich, zajęta właściwem każdemu zatrudnieniem.

Południe było już blisko, gdy oczekiwany przez swą rodzinę wszedł Malicki. Działki skoczyły z powitaniem, ale on ich długo nie pieścił, tylko skinąwszy na żonę, odwołał ją do komory. Tam zabawiwszy chwilę, wrócił niosąc w ręku skórzany woreczek, i nie chcąc nawet czekać na przygotowany posiłek, wyszedł. Z woreczkiem tym przebiegł najprzód do cechów, później krytymi zaułkami do domów bogatszych mieszczan; gdzie wszedł, po śpieszném powitaniu potrząsnął woreczkiem, szepnął do ucha: „na wykup więźni,“ i woreczek coraz się stawał pełniejszy.

Gdy już wreszcie napełnił się dość okazale, uczciwy mieszczanin przeżegnawszy się krzyżem świętym, pospieszył w stronę, gdzie była kwatery szwedzkiego generała.

VIII.

Kapral Milberg przyszedł. Dość było spojrzeć na barczystego zbira, aby się domyslić po co był przywołany. Generał skinął wskazując na jeńców. Niemiec zaszwargotał po swojemu, i knechty zaczęli się krzątać każdy około swego. Dwóch przyszło do starca, usiłując go podnieść z ziemi.

Gdy to się dzieje przed generalską kwatery, z bocznej uliczki wysunęło się trzech mieszczan, a na ich czele Malicki dążąc ku stronie, w której stał sam generał. Szwed zerknął: żyła. Malicki podszedł śmiało, zdjął czapkę i zaczął prosić o uwolnienie jeńców, obiecując za każdego wykupu po 50 dukatów. Generał trochę się wahał, zwłaszcza, że Sapieżyński dworzanin zdawał się spojrzeniem od tego go odwoździć; ale policzywszy jeńców, i obrachowawszy, że zbierze sporą sumkę, której bogaty w zwycięstwa, ale nie w pieniądze Karol XII pewnieby mu nie dał; skinął na knechtów aby zostawili jeńców, i sam wszedł do kwatery, zawoławszy za sobą piętęną deputacyą.

W kilka chwil jeńcy byli już wolni i rozeszli się, każdy w swoją stronę, błogosławiąc dobroczyńców. Po chorego, starca zajechał kryty wózek, który go zawiózł przed mały dworek za klasztorem OO. Dominikanów.

Jak tylko zdjęto chorego i złożono go na przygotowanym już łóżu, Malicki pobiegł po doktora, a jego żona i córka, krzątające się około przyniesienia mu ulgi, otoczyły go najtroskliwszém staraniem.

Pocziwa Kasia nie odstąpiła ani na chwilę chorego starca, podawała mu lekarstwa, czekała skinienia, pragnąc najusilniej zmniejszyć jego boleści.

IX.

Noc dżdżysta, czarna, jedném słowem noc jesienna nadeszła. Na ulicach było ciemno, bo mało z którego okna wyglądało światelko. Każdy krył się gdzie mógł, aby tylko ujść drapieżnego wzroku żołnierstwa.

Szwedzkie szyldwachy odzywały się przeciągłym hasłem, i było już około północy, gdy od mało-ruskiego gościńca wszczął się jakiś rozruch, i głuche najprzód szept, dalej tętent koni, a w ostatku brzęk szabel i grzmot wystrzałów.

Generał Majerfeld najprzód przestrzeżony drapnął ku Warszawie, szyldwachy znikły, a reszta knechtów zaulkami, rzuciwszy broń i mundury, spieszyła ku żydowskim ciasnym uliczkom.

A tak niespełna w dwie godziny, oddział komputowego wojska, pod dowództwem wojewody kijowskiego, wypłoszył wszystkich Szwedów, i tych co ze Szwedami trzymali.

I wnet ulice Lublina zajaśniały mnóstwem świateł; ruch i gwar zajęł miejsce niedawno panującej głuchoty, i nikt nie myślał o spoczynku.

X.

W domku Malickiego przed łóżem chorego starca, przy świetle gromnicy, klęczy młodzian, i ściska i całuje zimno już konającego nogi.

Starzec w przerwie cierpień z któremi ulatywało życie, otworzył jeszcze oczy, ujął rękę młodzieńca, i długo gasnące spojrzenie utkwiwszy w jego twarzy, westchnął boleśnie, i z trudnością dobywszy głosu, przemówił:

— To mój syn.... to on.... Antoni... Więcej już nie mógł mówić, tylko ostatnie jakby błagalne spojrzenie rzuciwszy po obecnych, zapłakał.

I wszyscy wkoło płakali łzami serca, łzami szczyrych uczuć. Kapłan kończył pacierze, chory raz jeszcze westchnął, wziął krzyż ś., przycisnął do piersi, i skonał.

Jęk boleści wydobył się z łkających ust młodzieńca, rzucał się na drogę zwłoki, ścisnął, całował, przytulał do swego serca; dziewczica zachodziła się od płaczu, Malicki z żoną i dziećmi modlił się za duszę zmarłego; przebaczyli mu wszystko, aby wyjednać zbawienie.

W parę lat później, pan Antoni połączył się ślubem z czarnooką dziewczicą, wybudowali dworek i osiedli w Stryjnie. Paweł Malicki ze swą rodziną powrócił do swojej wioski, a to za wstawieniem dwóch Potockich: kijowskiego i krakowskiego wojewodów, w których regimencie służył młody Stryński. Czas zagładził ślady spustoszeń, ale pamiątkę bezprawia i szlacheckiej prywaty, przechowały Wygnanowice.

Pisałem dnia 22 września 1847 r.

A. WieniarSKI.

O przywileju założenia Warszawy.

W takim chaosie przypuszczeń, domysłów, mniemań i nakrecań, względem założenia grodu, w którym te słowa kręśliły; z żalem przychodzi nam tę jedyną prawdę z tych wszelkich poszukiwań objawić: iż wszystkie usiłowania miłośników historyi, celem wykrycia początkowych dziejów Warszawy, doprowadziły nas tylko do stopnia smutnego zera. Powtarzać je, byłoby to toż samo, co rozjatrzać rany niczém niezagojone; wolimy przeto coś pewniejszego skreślić, w przekonaniu, że jakkolwiek praca nasza jeszcze do

tak ważnej opoki powstania Warszawy nie doprowadza, jednak nadzieję pewniejszą utwierdza, że można będzie z czasem wykryć, i w całym świetle pierwotne założenie tego grodu oznaczyć.

Wszyscy dotąd dziejopisarze w braku wszelkich wiadomości o początkach Warszawy, starali się przynajmniej wykryć rok jej powstania. Że i te usiłowania doprowadziły do stopnia nicości, wszystkim wiadomo. Chcemy obudzić ich starania, chcemy wskrzesić niezmordowane ich prace, aby tórn prędzej stanąć u mety. Taki jest cel naszego pisma.

Wyszukując różne wiadomości w nader ciekawych urzędowych rachunkach miasta Starój Warszawy, które do bardzo wielu odkryć, nawet historii całego kraju wskazały nam źródło; napotkaliśmy pod r. 1617 w tytule: *na różne wydatki*, pod dniem 7 września, następujące wyszczególnienie: „Od oszycia suknem *sigilli circa originale privilegium foundationis civitatis gr. 3^a* (1). Szczegół ten jest zapisany w księgach rzeczonych ręką Jana Szeligi, rajcy i szafarza miasta Starój Warszawy, wówczas, gdy był burmistrzem Jan Klemens z Radziwia, doktor medycyny, zatóm obywatel naukom oddający się i oświecony. Starostwo warszawskie dzierżył natenczas Stanisław Warszycki (2), mąż dzielny w boju i w radzie, tyle poświęcający bogactw dla wspierania spraw wszelkich Zygmunta IIIgo, ile zarówno ofiarujący swoich dostatków na zakładanie świątyń i budowli Pańskich. Warszawa szczególnie zyskała od niego pierwszeństwo.] Że był wielkim protektorem tego miasta, najlepszym dowodem jest, iż nietylko własnym nakładem wystawił klasztor i kościół dziś już nieistniejący PP. Bernardynek, przy ulicy Maryensztat (3), ale nadto pomimo

(1) Dziś blisko 20 groszy.

(2) Syn Macieja miecznika łęczyckiego, herbu Habdank, Stanisław Warszycki, wychowany na dworze Anny Jagiellonki królowej, postował na zjeździe wiślickim roku 1587, następnie postąpił na kasztelanią warszawską, podskarbiostwo w. koronne, a w końcu został wojewodą podlaskim.

(3) Niesiecki, tom IX, str. 239, wyd. lipskie Bobrowicza.

obszernych dóbr i włości, jakie posiadał w województwie podlaskim, kazał się pochować w tymże kościele w Warszawie. Wola jego święcie wykonaną została (1). W takim usposobieniu władzy zwierzchniej miasta, z pewnością należy twierdzić, że przywilej założenia Warszawy istniał w roku 1617. Warszycy z doktorem Klemensem oceniając całą jego ważność, szczególną pieczołowitość okazali względem tak szanownej pamiątki. Obadwaj naukowo usposobieni, z najlepszymi chęciami dla miasta, tém sprawiedliwiej mogli byli ocenić i wielkość pamiątki, i należy szacunek dla niej.

Wszystkie przywileje miasta zebrane zostały w jedną księgę w roku 1692. Do układu mozolnej téj pracy, głównie wpływali: Jan Łoupia burmistrz, Mikołaj Rawenna podskarbi, Jan Wemmer ławnik i Jan Majeur gminny miasta Starój Warszawy. W tym zbiorze, który do dziś dnia istnieje, już nie znajdujemy przywileju założenia miasta; zatem w przeciągu lat 75, pomnik tak szacowny co do historii tego grodu, znikł. Że ani dwukrotny szturm Szwedów, ani złupienie miasta przez Rakocego księcia siedmiogrodzkiego, nie miały wpływu na jego zatracenie, najlepszym tego dowodem jest, iż wszelkie inne przywileje, które razem chowano na ratuszu w skarbcu miasta, do dziś dnia istnieją w oryginałach, i żaden z nich nie zaginął; trudno zaś przypuścić, aby grabież szwedzka lub Rakocego, swoją srogość na jednym tylko przywileju wywierała. Prędzej należy wnioskować, iż podstęp prywatny, połączony z osobistym interesem, tak szacowny dowód historyczny ukrył lub potajemnie zabrał, aby tém prędzej dopiąć swych niegodnych celów.

(1) Sprostować tu należy datę śmierci Warszycy. Okolski i Starowolski podają rok 1616; gdy zaś burmistrz Starój Warszawy Jan Szeliga, obrany dnia 22 lutego, roku 1617, i w tymże roku przez starostę Warszycy został potwierdzony, jak o tém urzędowe pisma w archiwum dawnych akt m. Warszawy przekonywają; musiał więc żyć jeszcze Warszycy w roku 1617.

W powyższej epoce lat 75 zniknięcia tego przywileju, powstały w Warszawie jurydyki: Zadzikowska roku 1638; Leszna, roku 1648; Pragi, roku 1648; Grzybowa r. 1650; Tamki i Kałęczyna roku 1652; Nowoświecka roku 1659; Skaryszewa od roku 1659 i Aleksandryi roku 1670. O ile istnienie ich ubliżało prawom zasadniczym Warszawy, ile wpływało na jej zniszczenie, ile i jakie spory z témże miastem ciągle te jurydyki prowadziły: w inném miejscu już wykazaliśmy w *Starożytnościach Warszawskich*, mówiąc o głównych i przemijających jurydykach w artykule: O podziale Warszawy. Tu nadmienić nam tylko należy, że w takich ciągłych sporach praw zupełnie sobie przeciwnych, bardzo łatwo przez którego właściciela wspomnionych jurydyk, rzeczony przywilej mógł być potajemnie wzięty i ukryty.

Jeżeli ślad, jaki wskazujemy do wyszukania rzeczonego przywileju, naprowadzi kogo do wynalezienia tak ważnej pamiątki historycznej, bądź w oryginale, bądź w obłacie: równie za szczęśliwych poczytywać się będziemy, iż nasza obecna praca nie stanie się bezowocną.

Pisałem w Warszawie, dnia 12 września 1849 r.

Alexander Wejnert.

O handlu soli.

Pod względem obfitych słonych źródeł i jezior, Rossya ma pierwszeństwo przed wszystkiemi innemi europejskiemi państwami. Wydobywanie przecież soli niezupełnie wystarcza na wewnętrzne potrzeby kraju; co pochodzi jedynie z braku środków łatwego i taniego przewożenia tego produktu z głównych zapasów soli, do odległych od nich gubernij. Najbogatsze źródła słone znajdują się w południowej i zachodniej części Rossyi; rząd otrzymują sól wszystkie wewnętrzne jej gubernie, a część północno-zachodniego kraju, sprowadza ją z zagranicy.

Roczne spożycie soli w Rosyi wynosi do 4,000,000 pudów; w téj liczbie, własnej 87 procentów, a przywózowej 13 procentów. Pod względem ilości dobywanej soli, Rosya po Wielkiej Brytanii pierwsze miejsce zajmuje. Najnowsze wiadomości o stanie przemysłu soli w Europie, okazują, że największą ilość wydobywa Wielka Brytania, około 40,000,000 pudów; Rosya od 25—30,000,000; Hiszpania, 24,000,000; Francya 22,000,000; cesarstwo austryackie 17,000,000; Włochy 14,000,000; Portugalia 12,000,000, a Prusy 6,000,000 pudów. Wszystkie państwa północnej Europy potrzebują przywozu zagranicznej soli, w następnym porządku:

Rosya przywozi około.....	4,500,000	pudów.
Prusy	3,500,000	—
Norwegia	3,000,000	—
Szwecya.....	2,000,000	—
Holandya.....	2,000,000	—
Belgia.....	1,500,000	—
Dania	1,200,000	—

Wszystkie te mocarstwa otrzymują sól z Wielkiej Brytanii, Francyi, Hiszpanii, Włoch i Portugalii. Anglia corocznie wywozi do Europy i Ameryki około 20,000,000 pudów soli; dziesiątą część z téj ilości, wywożą do rossyjskich bałtyckich portów.

W Rosyi sól dobywają po największej części ze źródeł rządowych, zależących wyłącznie od rządu, albo wypuszczonych przez rząd osobom prywatnym.

W 1847 r. wydobyto soli rządowej	19,415,218	pudów.
prywatnej	5,317,990	—
razem	24,733,280	pudów.

Wydobywanie soli, zostające pod wiedzą władz rządowych, odbywa się: 1) z samorodnych jezior krymskich, bes-sarabskich, astrachańskich, kaukazkich, sybirskich i Eltonu w saratowskiej gubernii; 2) w zakładach warzelniczej soli: Deduchińskim, w permskiej gubernii; Staroruskim, w nowogrodzkiej; Ledenskim, w wołogodzkiej; Władyczeńskim, Kutonskim i Uńskim, w gubernii archangelskiej, i w innych

warzelniach soli, zostających pod zarządem skarbu w trzech ostatnich guberniach; jak również w Syberyi, w zakładach: irkuckim, selengińskim, uskuckim i troickim; 3) przy Ileckiej Zaszczycie, za rzeką Uralem, w gubernii orenburskiej, gdzie dobywają sól kamienną; i 4) z zakaukaskich warzelni, ze słonych jezior: bakińskich i szyrwańskich, i z kopalń soli kamiennój: kulpińskich i nachiczewańskich. W ziemi dońskiego i czarnomorskiego wojska, dobywanie soli z tamicznych jezior, zostawione jest wyłącznie dla miejscowych obywateli, za opłatą niewielkiego cła do skarbu; z tego powodu, niewolno przedawać i wyprowadzać soli za granice wojskowe. Do użytku uralskich Kozaków, zostawiono jeziora Inderskie i Grażne, leżące w stepach kirgizkich.

Słone źródła, należące do osób prywatnych, znajdują się w Krymie i w guberniach: permskiej, wołogodzkiej i archangelskiej. Właściciele mają prawo na wolne przedawanie soli, za opłatą cła, albo też na dostarczanie jej do magazynów rządowych, podług umówionój taksy, przy zawieraniu kontraktów z rządem. Z tego prawa, wyłączają się tylko właściciele permskich zakładów, którzy obowiązani są wywarzać sól i dostawiać ją dla rządu w określonej ilości, nie używając jej nic wcale do wyprzedaży z wolnej ręki. Utrzymujący źródła, znajdujące się na ziemi skarbowej, również są obowiązani dostarczać sól do magazynów rządowych, podług cen ustanowionych; w takim tylko razie, kiedy skarb nie uważa takiej soli za potrzebną, albo kiedy, oprócz potrzebnej dla niego ilości, okaże się pozostałość: wówczas dozwala się właścicielowi wyprzedawać sól z wolnej ręki, za opłatą cła zwyczajnego.

Handlarze z wolnej ręki, nabywają sól z magazynów rządowych podług cen corocznie ustanawianych, albo od prywatnych właścicieli, za opłatą pewnego cła, albo nakoniec z przywozu zagranicznej soli, za opłatą cła wchodowego. Obok wolnego przemysłu, dla umiarkowania ceny tego przedmiotu, tak niezbędnego w ogólnej konsumpcji i w gospodarstwie, zawsze otwartą jest wyprzedaż soli w małych partyach, podług taksy, w magazynach miejscowych, urzą-

dzanych w miastach gubernij, które otrzymują sól z rządowych zapasów.

Własnej soli używają: Syberya, Kaukaz, ziemia Dońskiego i Czarnomorskiego wojska, Bessarabia, i gubernie: taurycka, astrachańska, saratowska, permska, po części także wołogodzka, nowogrodzka i archangelska.

Na ogólną wyprzedaż, i do solnych magazynów w innych guberniach, najwięcej przywożą soli z krymskich i bessarabskich jezior, z jeziora Eltonskiego w saratowskiej gubernii, i z permskich solnych zakładów i warzelnii.

Soli, z jezior krymskich dostarczanej, używają gubernie: taurycka, chersońska, jekaterynostawska, kijowska, pułtawska, charkowska, czernichowska, mobilewska, kurska i orłowska. Krzemieńczug jest głównem miejscem składu soli, wyprawianej w górę Dnieprem.

Z krzemieńczugskiego portu wywieziono soli w górę Dniepru: w 1837 r. 1,464,084 pudów.

— 1838. 1,801,632 —

— 1839. 2,133,654 —

— 1840. 2,405,621 —

Na statkach przywożą krymską sól z Kiorczy, Berdiańska i Eupatoryi do różnych czarnomorskich portów, a także do Maryupolu, Rostowa, Taganrogu, Anapy i do Mingrelii. Lądowe rozwożenie téj soli odbywa się na czumackich podwodach, przywożących ziemiopłody z wewnętrznych gubernij do portów południowych. W czasie zwyczajnym, przewiezienie bardzo tanio kosztuje: czumacy poprzestają na niskiej opłacie za dostawę zboża i innych płodów, w przekonaniu, że otrzymają sól na drogę z powrotem. Zbiór wielki ich podwód, zmniejsza ceny przewozu i zagranicznych towarów, wyprawianych z południowych portów do wewnętrznych miejsc.

Bessarabską sól wywożą z jezior na wyprzedaż w obwodzie bessarabskim i do południowo-zachodnich gubernij: podolskiej, wołyńskiej i innych, a z akermanskiego magazynu najwięcej dostarczają do Odessy.

Sól, dobytą z jeziora Eltonu w saratowskiej gubernii, składają tam w kupki na wyprzedaż kupcom, albo przewożą do magazynów mikołajewskich, naprzeciw Kamyszynu, i do pokrowskich, naprzeciw Saratowa. W sól eltońską zaopatrują się przedewszystkiem niższe gubernie; dostarczają przeciw ją drogą wodną do niżegorodzkich i rybińskich zapasowych magazynów, stosownie do rozporządzeń rządowych.

Permską sól przewożą do magazynów na miejscowy użytek permskiej, wiatskiej i czasem archangielskiej gubernii, a po większej części do niżegorodzkich zapasowych magazynów; stąd dostarczają do Moskwy, do Petersburga i drogą wodną do różnych wewnętrznych gubernij.

Z powodu odległości północno-zachodnich i graniczących z niemi gubernij, od głównych źródeł zaopatrywania się w sól krajową, cała ta część cesarstwa używa soli zagranicznej, której przywóz dozwolony jest w białomorskich i bałtyckich portach i na całej zachodniej granicy; ale w portach czarnomorskich, azowskich i dunajskich jest wzbroniony, w celu zabezpieczenia korzyści dla przemysłu solnego w Krymie i Bessarabii. Zakaz ten nie miał miejsca tylko w 1840 r., z przyczyny niedostatecznego osadu soli na jeziorach w Rosyi południowej. W tym roku dozwolony był przywóz zagranicznej soli do czarnomorskich, azowskich i dunajskich portów, za opłatą cła po 23 kop. sr. od puda; podobnież w tymże czasie zdjęto opłatę z soli, przywożonej do bessarabskich komerc celnych.

W przeciągu lat dwudziestu od 1827 do 1846 włącznie, przywóz soli do Rosyi z europejskich rynków, składa się z następującej ilości:

W roku	pudów.	W roku	pudów.
1827.	3,225,368	1832	3,112,574
1828	3,060,773	1833	3,485,351
1829.	3,599,386	1834	3,066,390
1830.	3,837,314	1835	3,450,082
1831.	3,396,937	1836	3,306,619
Średnia summa	3,423,955	Średnia summa	3,284,203

W roku	pudów.	W roku	pudów.
1837	3,148,036	1842	4,042,431
1838	3,877,136	1843	4,465,442
1839	3,909,171	1844	4,705,392
1840	5,273,857	1845	4,994,707
1841	4,651,191	1846	5,131,247

Średnia summa 4,171,878 Średnia summa 4,667,844

Przywóz zagranicznej soli w pierwszych dwóch okresach, był prawie jednakowy; ale w ostatnich dziesięciu latach znacznie się powiększył: od 1827 do 1836 roku, średni przywóz składał się co rok z 3,354,069 pudów, a od 1837 do 1846 r. z 4,419,861 pudów, to jest o 31 procent więcej.

Rossya po największej części otrzymuje zagraniczną sól prosto z miejsca jej pochodzenia, mianowicie: z Anglii, Hiszpanii, Portugalii, Francyi, Włoch, Turcyi i Galicyi. Sól, dostarczaną suchą drogą z Prus, dowożą do tamecznych portów najwięcej z Wielkiej Brytanii. Oprócz tego pewna ilość soli bywa dostarczaną z innych miejsc przez Szwecyą, Norwegią i Danią. W ciągu lat dwudziestu, średni dowóz składał następującą ilość:

	w. r. 1827—31	1832—36	1837—41	1842—46
Z Wielkiej Brytanii	1,692,685	1,626,078	1,839,085	2,327,361 pud.
— Hiszpanii i Portugalii	811,434	904,050	1,209,646	1,459,500 —
— Francyi	227,605	235,082	323,552	228,011 —
— Włoch	52,413	47,288	241,658	67,593 —
— Turcyi	85,728	123,049	174,960	51,568 —
— Austryi	1,230	383	872	237 —
— Prus	180,372	175,384	233,686	446,045 —
— Danii	124,622	49,001	28,733	23,628 —
— Szwecyi i Norwegii	190,125	60,095	24,545	22,405 —
— innych miejsc	58,741	63,793	95,141	41,496 —
Razem	3,423,955	3,284,203	4,171,878	4,667,844 —

Uwagi. 1) Ilość soli otrzymanej z Wielkiej Brytanii, wynosi w każdym okresie blisko połowę całego przywozu, a w ostatnich pięciu latach, powiększyła się w porównaniu do pierwszych o 37 procentów,

2) Przywóz soli z Hiszpanii i Portugalii za każdym okresem powiększał się: w pierwszych pięciu latach wynosił 23 procentów, w drugich 27, w trzecich blisko 29, a w czwartych 31 procentów całego przywozu. W ostatnim okresie przywieziono do 80 procentów więcej jak w pierwszym.

3) Proporcya soli przywiezionej z Francyi, we dwóch skrajnych okresach, była prawie jednakowa, i składała w ostatnich pięciu latach około 5 procentów całego przywozu.

4) Przywóz soli z Włoch był niewielki. Największą ilość sprowadzono zamtąd w 1840 roku: 806,928 pudów, z powodu czasowego pozwolenia sprowadzania zagranicznej soli do południowych portów; i dlatego średni przywóz soli z Włoch w 1837—1841 roku, staje się daleko znaczniejszym, aniżeli w innych okresach.

5) Przywóz soli z Turcyi przedstawia w pierwszych trzech okresach ciągle powiększanie się, które jednak pochodzi od wielkiej jęj proporecy w pewnych latach, ze szczególnych powodów. Tak w skutek pozwolenia dowozu soli do portów południowych i zdjęcia z nięj cła w r. 1840, w bessarabskich komorach celnych oclono soli dostarczonej z Turcyi: w 1840 r. 399,491 pudów, a w 1841 r. 253,224 pudów. Jeżeli odejmiemy te dwa lata niezwykłego jęj dowozu, otrzymamy w ostatnich 15 latach następujący wypadek:

W 1829 — 1834 latach średni przywóz	121,257	pudów.
— 1835 — 1839 — — —	74,070	—
— 1842 — 1846 — — —	51,568	—

Z tych średnich liczb widać, że przywóz soli z Turcyi zmniejszył się o 135 procentów.

6) Z Galicyi zawsze otrzymywano niewielką ilość soli, a w ostatnich latach przywóz jęj znacznie się umniejszył.

7) Przez granicę pruską przywożą sól zagraniczną z Memla i Królewca. Jęj przywóz zaczął się powiększać w ostatnich dziesięciu latach: w 1842—1846 r. średnia ilość soli

przywiezionej z Prus, była o 147 procentów większa, aniżeli w 1827—1831 roku.

8) Z powiększeniem przywozu tego produktu bezpośrednio z głównych miejsc jego pochodzenia: z Wielkiej Brytanii, Hiszpanii i Portugalii, zmniejszył się przywóz z innych krajów, które same się zaopatrują w sól zagraniczną, a jednak dawniej udzielały znaczną jej proporcją, celem wysyłania do bałtyckich portów.

* * *

Wskazawszy główne źródła przywozu soli do Rosyji i porównawcze jej znaczenie w wewnętrznym handlu; zobaczmy teraz, w jaki sposób rozdziela się przywóz zagranicznej soli w stosunku do wewnętrznego jej zbycia.

Północna część Rosyji europejskiej, zaopatruje się we własną sól; zagraniczną zaś dostarczają tu w niewielkiej ilości do białomorskich portów, szczególnie do solenia ryby, ponieważ sól, dobywana z miejscowych warzeln, niezdatna jest do takiego użycia. Od zagranicznej soli, dostarczanej do białomorskich portów, pobierano podług taksy w r. 1822, 35 kop. sr, a w 1835 roku to cło zmniejszono do 20 kop. sr. od puda. Nakoniec w 1847 r. dla zachęcenia białomorskiego rybnego przemysłu, dozwolono, dla przeświadczenia się, na 10 lat przywozić bez cła sól zagraniczną do wszystkich rybno-przemysłowych przystani na murmańskim brzegu archangelskiej gubernii, od granic Norwegii do ujścia rzeki Ponoju, z warunkiem, aby ilość tego przywozu ograniczała się rzeczywistą potrzebą dla przemysłowców tej części kraju; z zagranicznej zaś soli, dostarczanej do innych miejsc archangelskiej gubernii, postanowiono pobierać cło jak poprzednio, to jest po 20 kop. sr. od puda.

Sredni dowóz soli do białomorskich portów składa następującą ilość:

w 1827—1831 roku	6,557 pudów.
— 1832—1836	2,552 —
— 1837—1841	5,728 —
— 1842—1846	15,625 —

W portach bałtyckich sól zagraniczna jest rozmaicie oclona: podług taksy w 1822 roku, pobierano w Petersburgu 35 kopiciek, a w innych portach 25 kop. sr. Rozporządzeniem 11 listopada 1831 r., to cło powiększone zostało o 12 1/2 procentów, i podług dziś istniejącej taksy, od 28 listopada 1841 roku, pobierają: w Petersburgu 40 kop., a w Rydze i w innych zachodnich portach 29 kop. sr. od puda. Rozporządzeniem, wydaném 11 stycznia 1849 r. dla doświadczenia, dozwołonym został przywóz kuchennej soli bez cła do portów: rzyckiego, libawskiego i rewelskiego, dla zachęcenia i polepszenia inwentarza w nadbałtyckich guberniach. Średni tam dowóz soli rozdziela się w następującym porządku:

W latach	Przywieziono	Do Petersburga	Do Rygi	Do innych portów bałtyckich.
		P u d ó w		
1827—1831	517,636	1,581,927	1,057,416
1832—1836	421,287	1,312,406	1,250,974
1837—1841	484,953	1,703,144	1,356,774
1842—1846	734,099	1,992,860	1,425,242

Uwagi. 1) Sól zagraniczna, przywożona do Petersburga, pozostaje tam na miejscową potrzebę; część też wysyła się do gubernii petersburskiej, ołonieckiej, nowogrodzkiej, pskowskiej i twerskiej. Dla zapobieżenia wysokiej ceny na sól, urządzono w Petersburgu i w innych miastach wspomnianych gubernij solne magazyny, które się napęlniają z rządowych zapasów soli, przedawanej podług cen stale oznaczonych.

Przywóz zagranicznej soli do petersburskiego portu, zmniejszony po podniesieniu cła wchodowego (w skutek rozporządzenia z 11 listopada 1831 roku) w drugim okresie blisko o 23 procentów, chociaż się powiększył w następnych pięciu latach, wszelako zawsze był mniejszy o 7 procentów od pierwszego okresu. Znaczne powiększanie się przywozu soli, okazało się w ostatnich pięciu latach: jęj wyprzedaż w porównaniu z pierwszym okresem, podniosła

się do 42 procentów, bez względu, że cło przez cały ten czas żadnej nie uległo zmianie.

2) Największa ilość zagranicznej soli przybywa do portów, leżących przy Bałtyckiem morzu od Narwy do Libawy włącznie. Średni przywóz w pierwszych pięciu latach wynosił 2,639,343 pudów, a w ostatnich blisko 3,418,102 p., a zatem powiększył się około 30 procentów. Więcej niż połowę tej ilości dostarczono do ryckiego portu; ztąd rozwożą sól do gubernij: lisslandzkiej, kurlandzkiej, witebskiej, wileńskiej, kowieńskiej, grodzieńskiej i dalej. Lisslandzka gubernia otrzymuje sól częścią także przez Parnawę i Rewel; do Arensburga dostarczają dla wyspy Esel. Gubernie estlandzka i pskowska dostają sól z Parnawy i Rewlu; oprócz tego pierwsza otrzymuje ją przez Gapsal, a ostatnia przez Narwę; ztąd także zaopatrują solą najbliższe miejsca gubernii petersburskiej. Do gubernii kurlandzkiej i wileńskiej, zagraniczna sól idzie przez Libawę i Windawę.

W tych miejscach portowych, handel soli ułatwia niezmiernie obroty pieniężne między kupcami, obywatelami i włościanami. Częstokroć zastępuje nawet monetę w opłacie za płody wiejskie. Oprócz tego przywóz soli przyciąga do portów nadbałtyckich wiele okrętów, i w taki sposób ułatwia się życie towarów.

Z tablicy wyżej umieszczonej, pokazuje się, że przywóz soli do Rygi, po podniesieniu cła (w skutek rozporządzenia z 11 listopada 1831 r.) zmniejszył się w drugim okresie o 20 procentów, ale potem wzrastał w każdym pięciu latach po sobie idących, do tego stopnia, że w ostatnim okresie dostarczono już o 26 procentów więcej, aniżeli w pierwszym.

W innych nadbałtyckich portach, przywóz soli ciągle się powiększał; w ostatnich pięciu latach w porównaniu do pierwszego okresu, wynosił już około 35 procentów.

* * *

Przez zachodnią suchą granicę, sól przywożą najwięcej z portów pruskich: Memla i Królewcą; przez komory celno-graniczne w Jurburgu, Połędzie, Taurogen, i wysyłają do gubernii wileńskiej, kowieńskiej, grodzieńskiej i mińskiej.

Podług taksy 1822 roku, sól była oclona po 35 kop. sr. od puda; od 1826 do 1842 r. miała takie cło, jakie pobierano w portach nadbałtyckich, to jest po 25 kop. sr. od puda, z dodatkiem 12 procentów, stosownie do rozporządzenia z 11 listopada 1831 r.; nakoniec podług taksy, istniejącej od 1842 roku, płaćą po 35 kop. sr. od puda. W innych komorach celno-granicznych od strony Austrii i Mołdawii, pobierano podług taksy z 1822 roku po 35 kop. sr. od puda; w skutek rozporządzenia z 11 listopada 1831 roku, cło to zostało podniesione do 12½ procentów, a podług terazniejszej taksy, biorą po 40 kop. sr. od puda. Średni dowóz soli suchą granicą wynosi następującą ilość:

W latach	przez Prusy	z Galicyi	z Mołdawii.
1827—1831	180,372	1,230	85,728 pudów.
1832—1836	175,384	383	123,049 —
1837—1841	233,686	872	106,530 —
1842—1846	446,045	237	51,568 —

Uwagi. 1) Ilość soli przywiezionej przez pruską granicę, po podniesieniu cła, zawsze w skutek rozporządzenia z 11 listopada 1831 r., zmniejszyła się w drugim okresie (1832—1836 roku) blisko o trzy procenta; ale jeżeli od pierwszych pięciu lat odejmiemy rok 1831, kiedy w skutek wypadków w Polsce, przywóz soli przez granicę pruską był małoznaczny (21,776 pudów): wówczas średni przywóz w 1827—1830 roku wyniesie 220,022 pudów; z tego więc względu cały przywóz w drugim okresie zmniejszył się tylko o 25 procentów. W następujących pięciu latach, przywóz powiększył się w porównaniu do pierwszego okresu zaledwo o 6 procentów, i nareszcie w ostatnim okresie dwa razy tyle dostarczono; co dowodzi, że różnica, istniejąca w cła soli przywożonej przez pruską granicę, i do portów nadbałtyckich (w pierwszym razie pobierają po 32 kop., a w ostatnim po 29 kop. sr. od puda), bynajmniej nie ścięsnia tej gałęzi przemysłu.

2) Sól z Galicyi przywożą w niewielkiej ilości dla miejsc leżących blisko granicy; największy przywóz (około 3,000 pudów) był w 1840 roku, z powodu zdjęcia tylko na ten

rok cła z przywozu soli z prowincyj austryackich do bessarabskiego obwodu, przez komorę nowosielicką.

3) Przywóz mołdawskiej soli, zwiększony w drugim okresie w porównaniu do pierwszego o 43 procentów, zmniejszył się w trzecim okresie o 15 procentów; lecz upadek przywozu w tych pięciu latach byłby jeszcze znaczniejszy, gdyby nie zdjęto w 1840 roku cła z mołdawskiej soli, dowożonej do bessarabskich komor celnych. W 1840—1841 latach oclono razem 313,139 pudów, a w poprzedzających trzech latach (1837, 1838 i 1839) 219,506, czyli 73,168 pudów na rok, to jest mniej o 45 procentów. W ostatnim okresie (1842—1846), przywóz dwa razy był mniejszy od poprzedzającego. Mołdawska (kamienna) sól, przy ciele przewyższającym targowe ceny bessarabskiej jeziorniej soli, nie może współzawodniczyć z nią co do wewnętrznej sprzedaży; jednakże kupują ją hurtem do użycia w karmie dla rogatego inwentarza. Zmniejszenie wypędu bydła za granicę z bessarabskiego obwodu, w skutek rozmaitych chorób i padania w ostatnich latach, było jedną z najważniejszych przyczyn wielkiego umniejszenia handlu mołdawskiej soli w tym kraju. Cło rzeczonyj soli wynosi 40 kop. sr. od puda, wtenczas, kiedy bessarabska sól z tamecznych jezior, wyprzedaje się po 27 kop. sr. za pud.

Całkowity przywóz soli do białomorskich i bałtyckich portów, jak również przez zachodnią suchą granicę, składa w przeciągu piętnastu lat następującą ilość:

W latach	pudów	Średnia cena za pud.
1832—1836	3,284,203	na 1,408,827 rub. sr. 43 kop.
1837—1841	3,891,691	— 1,725,319 — 44 —
1842—1846	4,665,364	— 2,212,550 — 47 —

A zatem średnią liczbą przywóz powiększył się do 42 procentów, a w cenie prawie do 57 procentów. Średnia cena w ostatnim okresie była o 9 procentów wyższa, aniżeli w pierwszym.

Przez granicę azyatycką przywożą sól rossyjscy przedsiębiorcy z jezior, znajdujących się w stepach kirgizkich;

rozprzedają takową na syberyjskiej i orenburskiej linii i w pogranicznym kraju. Średni dowóz soli z jezior stepowych wynosił w 1837—1841 roku 130,011 pudów, a w 1842—1846, 139,098 pudów. Od tej soli pobierają cło po 18 kop. sr. od puda.

Dla zabezpieczenia astrachańskiego solnego przemysłu od napływu soli zagranicznej, cło ostatniej podniesione zostało, w skutek rozporządzenia z 25 marca 1838 roku, z 10 do 20 kopiejek srebrém od puda.

* * *

Wywóz soli z Rosyji za granicę jest bardzo mały. Dawniej dość znaczną ilość soli wywożono z krymskich portów do północnego kraju azjatyckiej Turcyi, mianowicie do Anatolii; lecz wysoka cena krymskiej jeziorniej soli, w porównaniu do soli morskiej, wydobywaniej niedaleko Smirny, albo téż dostarczanej z Włoch, była najważniejszą przyczyną małego odbytu soli krymskiej, do tego stopnia, że wywóz jej w tamte strony ustał zupełnie. Wywóz soli z portów morza Kaspijskiego do Persyi, podobnie się zmniejszył od czasu, kiedy Truchmenici zaczęli wydobywać kamienną sól na wyspie Czeleken i półwyspie Darma; sól z tamtąd otrzymywana jest daleko tańsza od rosyjskiej, i dlatego mniej potrzebują ostatniej.

Średni wywóz soli z Rosyji był następujący:

W latach	Z portów:		
	morza Czarnego	morza Kaspijskiego	z innych miejsc
1827—1831	68,900	70,714	1,577 pudów.
1832—1836	54,768	29,486	661 —
1837—1841	17,090	30,230	3,471 —
1842—1846	—	23,183	1,828 —

W ostatnich pięciu latach (1842—1846) wywieziono soli z portów morza Czarnego w jednym tylko 1843 roku, 2,484 pudów.

Całkowity wywóz soli z Rosyji w ostatnim okresie, był mniejszy o piątą część ilości, jaką wyprawiono w 1827 do 1831 roku. Odbyt jej przez morze Kaspijskie zmniejszył się

o 200 procentów, a wywóz z portów morza Czarnego ustał zupełnie.

Podług obecnej taksy, wywóz soli dozwolony jest bez opłaty cła, wyjąwszy sól krymską, od której pobierają tylko po 1 1/2 kopiejki srebrém od puda, oprócz 23 kop. sr. za sól, przedawaną z prywatnych zakładów.

Rossya, wysyłająca za granicę prawie nie nieznaczącą część wydobywaną w niej ilości soli, mogłaby podnieść wywóz ostatniej tylko z portów morza Czarnego, z powodu blizkiego położenia jezior słonych krymskich i bessarabskich; ale brak źródeł do zagranicznego odbytu, przeszkadza rozwinięciu tej gałęzi przemysłu w Rossyi południowej. Najbliższe tamicznych portów państwa europejskie, nie potrzebują dowozu soli; we wszystkich stronach, dotykających morza Śródziemnego, jej dobywanie z osadu morskiego, jest głównym przemysłem nadbrzeżnych mieszkańców; a w niektórych krajach dobywają morską sól w tak wielkiej ilości, że ta należy do najznacniejszych artykułów handlu morskiego. Włochy, Francya, Hiszpania, Portugalia, zaopatrują solą porty morza Niemieckiego i Bałtyckiego.

Tłum. S.

O cynkografii i drukach anastatycznych, z powodu doświadczeń p. Seweryna Oleszczyńskiego i listu tegoż, w Bibl. Warszaw. na miesiąc wrzesień, na str. 623 umieszczonego.

Wiek nasz, jest wiekiem odkryć i wynalazków; nauki i umiejętności nadobne szybkim nadzwyczaj krokiem naprzód postępują, a olbrzymi duch przemysłu, coraz to dziwniejsze w dziedzinie swój sposoby i ulepszenia wynajduje. Na widok tylu nowości, na ciągle niemal objawiania cudownych prawie wynalazków, umysł ludzki to z dumą wznosi się, to znowu się korzy przed dziwami, które coraz obszer-

niejsze przebiegając koło, pomnażają wynalazców, niekiedy nad jedną i tą samą myślą, tudzież w jednym celu pracujących. A wiek nasz szczęśliwszy od poprzednich, w udzielającym się i społeczném usposobieniu, i w dążeniu do użyteczności we wszystkiém dla wszystkich, nie tamuje im drogi, nie chlubi się tajemnicą, niegdyś w średnich wiekach tylko urok mającą, lecz pełną ręką ogłasza je po pismach, wyłącznie na ten cel wydawanych, jakby mówiąc: tylko czytajcie a korzystajcie; chwała mnie, chwała i wam! Dziś pierwszeństwo i wyłączność pod tym względem jest trudne; kto wie o czém już nie pomyślano i nad czém umysł ludzki nie trzusi się? A gdy niejeden chluby z swego wynalazku szuka, ten już od wielu lat jest znany i doświadczany.

Wpóśród takowych bezustannych wynalazków, umiejętności nadobne, czyli tak zwane sztuki piękne, zaiste nie miały udziału mają. Malarstwo i rysownictwo, przez różne ulepszenia i odkrycia: w drzeworytach, rytownictwie, litografii, daguerotypii i t. p. coraz stają się dla ogółu dostępnejsze. Lippman robi kopie obrazów w nieograniczonej liczbie; Collas gliptycznym sposobem rytuje wszystkie nizko- i wypukło-rzeźby; C. Pül w Lipsku zastępuje drzeworyty robotą wypukłą na cynku, pod nazwą chemotypii. Żadne z nich atoli tak znakomitego nie uczyniło postępu, jak litografia; snadź z powodu tak powszechnej użyteczności i wszelakiego a łatwego jój zastosowania. Od piérwszój zatém próby, za ledwie do odciskania nut muzycznych w roku 1796 użytój, do wspaniałych prac dawniej Engelmana, teraz Lemerciera w Paryżu, Piloty w Monachium, Hanfstaengla w Dreźnie i Ackermanna w Londynie, olbrzymi krok postąpiono. Niewątpliwie, iż ojciec litografii i jój wynalazca *Aloizy Senefelder* (ur. 1771, zm. 1834) nie domyślał się, aby skromne w pierwiastkach, chociaż pełne nadziei jego usiłowanie, do tój świetności i ulepszeń doszło; lubo niepospolity ten człowiek, czynnym i przedsiębiorczym umysłem obdarzony, na jedném nie przestawał, i ciągle nad ulepszeniem swego wynalazku pracował. Gdy tedy właśnie w owym czasie, to jest w roku 1803, kanonik *Dony* możliwość wal-

cowania cynku na blachy i wyroby młotem w Niemczech wykazał (1); Senefelder, który użycie niewygodnych, w jednej tylko Bawaryi znajdujących się i uszkodzeniu podpadających kamieni, zastąpić wszelakim sposobem starał się: pragnąc z początku wynaleźć papier kamienny, w końcu, gdy ten mu nie udał się, wpadł na myśl używania blach metalowych, a mianowicie cynkowych, nad którąto próbą trzy lata i znaczne koszta poświęcił; z początku powlekając cynk jakowąś masą, a następnie i bez niej. W tym ostatnim sposobie, na wystawie paryzkiej w roku 1823, okazywał on prasę przenośną, na której odciski z cynku z łatwością i dość dobrze były wykonane; a lubo jak każdy nowy wynalazek miały one swe niedostatki, wszakże prawdopodobność do ich udoskonalenia była niewątpliwą. Zdaje się atoli, iż Senefelder, czy trudnościami zrażony, czyli téż, co podobnie, niestały i dziwaczny w swoich odkryciach, dalszą pracę nad cynkografią zaniechał (2).

Jednocześnie z nim, szczęśliwszy tylko w skutku, budowniczy *Herman W. Eberhard*, robił doświadczenia nad użyciem blach cynkowych do rytowania i rysunku, i już w roku 1804 i 1806 pierwsze próby w Magdeburgu okazywał, zaś w roku 1815 rysunki piórem i chemiczną krédą wykonywał; w którymto ostatnim sposobie w wydaném przez niego w latach 1822—1826 dziele, pod tytułem: *Denkmäler der Baukunst in Verbindung mit Werken d. Bildhauerkunst u. Malerei d. Orients d. Aegypter, Griechen, Römer, und d. Mittelalters; herausg. v. H. W. Eberhard. 1er Werk d. Alterthümer v. Athen, beschrieben von Stuart u. Revett. Aus d. Engl. übersetzt nach d. London. Ausg. 1822. 2 B. in 28 Liefer. auf 336 Tafeln Royal fol. 336* wizerunków na cynku wykonanych i wrytych zostało, następnie zaś i w wielu innych w Niemczech wydanych dziełach, były użyte.

(1) *Conversations Lexicon. Neue Folge. Leipzig, 1826 lit. Z.*

(2) *Vollständiges Lehrbuch der Steindruckerei von Alois Senefelder. München, 1818. Übersetzung des Traité theorique et pratique de Lithographie par G. Engelmann. Chemnitz, 1840. 4. str. 19, 31 i 277. Kuust und Gewerbeblatt für Bayern für das Jahr 1848.*

Właściwym tedy a rzeczywistym wynalazcą cynkografii jest Eberhard (1), który już w roku 1821 zalecając takową, wydał w Moguncyi w tym względzie dziełko, pod tytułem: *Über die Anwendung der chemischen Druckart auf Metallplatten von H. W. Eberhard, mit 8 Probebl. die verschiedene Manieren enthalten. 4to. Mainz, 1821.* I następnie w Darmstadtzie wydał znowu w r. 1823 pod tytułem: *Die Anwendung der Zinks statt der Kupferplatten zu der vertieften Zeichnungsarten nebst eine Anweisung Metallgüsse von erhabnen und tiefgesätzen Steinzeichnung zu machen, v. H. W. Eberhard. Darmstadt bei Leske. 1823. 8. m. Probebl.* Dalej w roku 1831 ogłosił cały sposób użycia cynkografii w dziełku: *Über Zinkographie, v. H. Eberhard. Nürnberg, 1831. 8.* Nakoniec najobszerniej w r. 1834, tamże pod tytułem: *Anleitung zur gründlichen Erlernung der Zinkographie von H. W. Eberhard. Nürnberg, 1834. bey Campe. 8vo,* w którym historia tego wynalazku, tudzież wszelkie jój sekreta, są opisane.

Tym sposobem zalecana cynkografia znaną była po wielu miastach w Niemczech, najpowszechniej atoli w Berlinie, gdzie w czasie bytności *Engelmana* w roku 1831, kilkanaście pras cynkograficznych w litografii nadwornój było zajętych, szczególnie w odbijaniu autografów do rozkazów dziennych urzędowych, cywilnych i wojskowych, które do dziś dnia w Berlinie podobno są na cynku wykonywane. Dyrektor atoli tego znakomitego zakładu, major *Kurts*, zapewniał *Engelmana*, iż użycie tego sposobu głównie ma na celu, aby mieć na pogotowiu przenośną wojenną litografią, do której blachy cynkowe pod wszelkiemi względami od kamieni są wygodniejsze (2). Zresztą, że w Wiedniu podobnież znaną jest oddawna cynkografia, mamy dowód na

(1) Dla porównania, czytać można artykuł: *Zinkographie* w *Allgemeine Real-Encyclopädie*, 9 Aufl. Leipzig. 1848, XV Band, str. 557 i *Kurze Geschichte d. Zinkogr. w Anleit. d. Zinkogr. von Eberhard.*

(2) *Übersetzung des Traité theorique et pratique de lithographie par Engelmann; vierzehntes Kapitel: Zinkographie, p. 277.*

wspaniałém piśmie p. t.: *Allgemeine Bauzeitung* tam wychodzącém, w którém piękne rysunki na cynku są robione.

Gdy tak się rzecz miała z cynkografią w Niemczech, w roku 1829 we Francyi p. *Bregnot* wykonawszy próby robienia na blachach cynkowych wielkich mapp geograficznych, sposób ten przezwiał *georamem*, podał go za swój własny wynalazek, za który w roku 1834 patent i przywilej otrzymał, a na wystawie paryzkiej w tymże roku brązowym medalem zaszczycony został. Przywilej Bregnota następnie przeszedł na własność litografa paryzkiego *Carce-nac*, który zdaje się, iż użytek cynku w tym względzie Anglikom wskazał. W tym bowiem czasie, już i w Londynie cynkograficzne prace były znane. Cóżkolwiekby, po śmierci Carcenaka patent i przywilej rzeczony nabył Szwajcar *Käppelin*, właściciel znakomitego zakładu litograficznego w Paryżu, który ważne w niej ulepszenia poczynił, nowy sposób i preperowanie cynku zaprowadził, podług własnego, jak utrzymywał, wynalazku. Rzeczywiście na wystawie w Paryżu okazywał on rozmaite rysunki i odciski na cynku, które według zdania Engelmana, w niczém robotom na kamieniu nie ustępowały; nadto zalecając swój wynalazek, *Käppelin* ogłosił obszernie i korzystnie jego użytki, i utrzymywał, iż zaprowadzenie cynkografii miało epokę w sztuce litograficznej stanowić (1). Później atoli od zdania tego odstąpił i osądził, iż cynkografia pomimo że od tylu lat jest znana, dobrą być może tylko tam, gdzie brak kamieni, lub gdzie do robót wielkiej ich ilości potrzeba: wtedy bowiem blachy cynkowe mniej zabierając miejsca, w praktycznym użyciu są wygodne. Zresztą uważał ją jako robotę niewdzięczną, w której rysunek na rozmaite niebezpieczeństwa bywa narażany (2).

Pomimo to w roku 1839 mechanik *Poirier* Paryżu, wyrobił sobie znowu patent i przywilej na własny wynalazek manipulacyi cynkograficznej, która o wiele przewyższać

(1). Engelmann, *Traité theorique et pratique de lithographie*, p. 278.

(2). *Kunst und Gewerbeblatt für Bayern, für das Jahr 1847.*

miała używane przez Küppelina sposoby, a uproszczała i ułatwiała nadzwyczaj użycie w tym względzie cynku (1).

Wspomnieliśmy wyżej, iż cynkografia jednocześnie prawie znaną była w Anglii. Używano ją wprost do odciskania rysunków kredowych, które według świadectwa Engelmana, odznaczały się czystością odbicia i wszelkim warunkom sztuki odpowiadały. Co więcej, słyszeliśmy z wiarygodnych ust, iż w wyrobach tych i odkryciu sposobu, znany tameczny litograf rodem z Polski, najczynniejszy miał udział. Wszakże to pewna, iż w roku 1836 powracający z Londynu do Warszawy p. Steinkeller, przywiózł z sobą próby rysunków i odcisków na cynku tam wykonanych, które znawcom i ciekawym pokazywał, i dotąd je podobno u siebie posiada.

W tym stanie rzeczy co do historii wynalazku cynkografii w Europie, pisząc w roku zeszłym: „Rys historyczno-statystyczny wzrostu i stanu miasta Warszawy“, gdy mi przyszło mówić o postępie sztuki litograficznej i zaprowadzeniu cynkografii w tém mieście, lubo na prośbę moję miałem sobie od p. Seweryna Oleszczyńskiego udzieloną na piśmie wiadomość o pracach jego pod tym względem; przyjąłem jednak z niój to, co powyższa znajomość historii dozwoliła. Statystyka bowiem poważną jest jój częścią, zatem nie godziło mi nie wiedzieć, jak się ma rzecz istotnie, a tém mniej przeciw prawdzie postąpić. Gdy atoli p. Seweryn Oleszczyński, którego czynność i usilne starania w technicznej poprawie sztuki litograficznej, a zaprowadzenie i ulepszenie cynkografii u nas, godne są pochwały, przyjął to, jak powiada, z *boleścią serca*, i w liście swoim drukiem ogłoszonym, pomówił nas o lekkomyślne opieranie się na podszeptach zazdrośnych jego sławy, tudzież o niebaczną względem zasług nietylko w kraju, które *w przekonaniu, w duszy, i sumieniu jego są ugruntowane*, oskarżył; aby więc, jeżeli to być może, przekonać szanownego męża, że w rzecz z rozważą wchodziłem, iż żadném uprzedzeniem nie uwodzę się, a tém bardziej namowom cudzym nie daję ucha:

(1) Engelmann, p. 278.

uznałem za potrzebę notkę małą, bynajmniej nie w zamiarze obrażenia go, lecz dla powagi swój pracy w dziele mojem umieszczoną (a która tak go dotkliwie ubodła) rozszerzyć i objaśnić, w celu udowodnienia mu i przygotowania łatwiejszego w tej sprawie wyroku:

1) Że wynalazcą cynkografii jest Herman Eberhard, który nie tylko *pisał*, ale i roboty na cynku od roku 1804 *wykonywał*, a za nim wielu innych nie tylko w Niemczech, lecz we Francyi i Anglii.

2) Że wiadomość ta nie *w starych księżkach*, ale w nader pożytecznych i *nowych* pisinach znajduje się, które, jak widzimy, zasługują na to, aby je artyści w swój sztuce kształcący się, czytali.

Nakoniec niech mi tu będzie wolno jeszcze jedną zrobić uwagę. Jeżeli należy się stawa p. Oleszczyńskiemu zaprowadzenia z własnego doświadczenia i z ulepszenia w kraju cynkografii, co szczerą a dobrą chęcią wtedy, i wcale nie z bolem serca, jak mię posądza, przyznałem; ażaliż ubieganie o szerszą i europejską sławę miłsze mu, nad uznanie i nagrodę rządową medalem złotym piérwszej wielkości zaszczycone? Dlaczegoż zatem ubolewa ewangelicznemi słowami, że swoi nie umieją go cenić; gdy przeciwnie, biorąc z tego samego źródła wyrażenie, oddajemy tylko co boskiego Bogu, a co cesarskiego Cesarzowi (Ewang. według Mateusza w rozdziale XXII, w. 21).

Wytłumaczywszy się co do historyi cynkografii, wypada nam jeszcze parę słów powiedzieć o przenoszeniu starych druków i drzeworytów na cynk, którego sposobu sam teraz p. Seweryn Oleszczyński doszedł, do wynalazku nie rosząc sobie prawa. Owoż rzecz historyczna w tej mierze znowu ściśle z cynkografią jest połączona. Gdy bowiem w rozmaitych krajach użycie tejże, to trudnościom, to zaniedbaniu ulegało, to nareszcie dawniejszy sposób na kamieniu nadeń przekładano; cynk wszelkimi sposobami do użytku w sztuce zastosować starano się. Jakoż w roku 1834 i znowu 1839, bracia *Dupont* w Paryżu robili próby prze-

noszenia starych druków na cynk i odciskania takowych, jakkolwiek wiele jeszcze one do życzenia zostawiały. W podobnym sposobie próbowano przenoszenia dawnych drzeworytów w roku 1846 w Kolonii, druków, u *Tisiera* w Paryżu, i u *Fischera* w Kassel i t. d. Jednakże aż do roku 1846, wszystkie te próby nie odpowiadały w zupełności warunkom, oraz nie przedstawiały widoków zastosowania ich do pożytku i praktyki. Aż dopiero w tymże roku bra ciom *Siemens* w Londynie po długoletnich doświadczeniach, udało się szczęśliwie osiągnąć skutki w przenoszeniu na cynk, za pomocą wiadomych środków, najstarsze druki i odbijania takowych do nieograniczonej liczby exemplarzy, bez uszkodzenia oryginału (1). Sposób ten nazwany został drukiem anastatycznym, od słowa greckiego ἄναστασις, znaczącego wskreszenie, wzbudzenie, obudzenie i t. p.; oraz znakomicie przyczynił się, iż ostatecznie a wyłącznie sławę cynkografii powrócono.

Ważne to odkrycie, które nieprzeliczone korzyści dla sztuk pięknych sprowadzić może, zastosowane zostało przez *Needhama* w Anglii, a *Redmanna* w Niemczech do przenoszenia w podobnym sposobie i skutku na blachy cynkowe sztychów i drzeworytów, i odbijania takowych w nieograniczonej liczbie i wielkości, bez uszkodzenia i możliwości rozpoznania kopii od pierwowotworu. Rzeczony sposób niedługo był w tajemnicy ukrywany; już albowiem w roku 1846 objawiony został w osobnym dziełku *Klinghardta*, pod tytułem: *Die Anastatische Druckerei von Friedr. Klinghardt. Leipzig, 1846*, a następnie w wielu dziennikach niemieckich w latach 1847 i 1848 wydawanych, ogłoszonym został; a mianowicie: *Deutsche Gewerbezeitung für das Jahr 1847; Kunst und Gewerbeblatt für Bayern für 1848; Dingler's, Politechnische Journal, Bd. LXXVIII, s. 449 i t. d.*; wszystkie powtórzone w szacownym pod tym względem dzienniku,

(1). Verhandlungen des Gewerbevereins für Hannover. 1848; powtórzone w HENZE: Journal für Kupfer- und Stahlstechkunst, Litho- und Zinkographie. 1848, II B., V Hft., p. 95.

wydawanym przez *Adolfa Henze* w Weimarze, pod tytułem: *Journal für Kupfer- und Stahlstechkunst Litho- und Zinkographie, Holzschnidekunst, Schrift- und Stempelschneiderei u. s. w. herausgegeben von Adolph Henze. Weimar. 1847. II B., 3 Hft., s. 61, 65; 1848 II B., 3 Hft., s. 95, 107; 5 Hft., s. 126.*

A zatem nie uwłaczając i w tém chwalebnym staraniom p. Seweryna Oleszczyńskiego, pozwalamy sobie jednak podobnież zrobić uwagę: iż sposób przenoszenia druków i drzeworytów będąc znajomy i w wyżej przytoczonych pismach ogłoszony, oraz nietylko do fałszowania biletów bankowych w Berlinie używany, wtedy może mu być przyznany, jeżeli on ze swój strony takowy sposób przez siebie odkryty ogłosi, a różnice i wyższość okaże.

F. Max. Sobieszczański.

Wiadomości literackie i artystyczne.

W jedném piśmie niemieckiem wyczytaliśmy ciekawą statystykę postępu liczby nakładu dzieł drukowanych i pokupu takowych, od XVIgo począwszy stulecia. I tak: w r. 1571 wydanych dzieł „*Erazma: Encomium moriae*” 1800 exemplarzy, a jego *Colloquia* w r. 1527 przeszło 24,000 ex. w krótkim czasie rozprzedano. W tymże samym wieku, *Orlando Furioso* doczekał się w niedługim przeciągu czasu 60 wydań; zaś *Tomasza à Kempis O Naśladowaniu Chrystusa* Pana ma 1800 rozmaitych wydań w Europie znajdować się. W Anglii w r. 1708 Satyra Daniela De Foe, p. t. *The true-born Englishman* tak wielki miała pokup, iż w samym Londynie kilkanaście edycyj przeszło w 80,000 exemplarzach przedano. Benjamin Franklin rozpoczął w r. 1732 w Ameryce wydawanie swego Noworocznika *Poor Richard's Almanac*, w pierwszym roku rozprzedawszy 10,000 exemplarzy; liczba ogromna, zważając na ówczesną ludność czytającą w Ameryce. Znanego romansu Richardsona *Pamela*,

w dziesięciu miesiącach pięć wydań pokazało się; zaś Pamflety Bolinbroka, np. pod tytułem: *The Craftsman*, Pulteneja i innych, przeciw Robertowi Walpole w r. 1726 napisanych, dziennie drukowanych 10 do 12,000 exemplarzy rozprzedawano. Hanacha Moore romansu religijnego, p. t. *Coeleb's in search of a wife* w r. 1809 w jednym roku w 10 wydaniach drukowanego, chciwie rozkupiono. Zmarły księgarz Constable obrachował, iż wydania Waltera Scotta poematu *Lady of the lake* od roku 1810 do 1836 przeszło 50,000 exemplarzy sam rozprzedał; podobnież tego samego autora *Marmion*: z tą jeszcze uwagą, iż to ostatnie dzieło, lubo przy piérwszej edycyi podniósł wyżej cenę o 60 złp., przecież w ciągu jednego tygodnia 2,000 exemplarzy wyprzedał. Nakoniec wypis ten statystyczny, ciekawy nam podaje obraz usposobienia moralnego czytającej publiczności w XIX stuleciu na dwóch dziełach, jakimi są: książka o grze w karty po angielsku, *Hoyle on gaming*, która 130 wydań doczekała się; podczas, gdy dzieła O obowiązkach ludzi „*The whole duty of man*”, zaledwie 16 edycyj w tymże samym przeciągu czasu wyjść mogło.

* *Literatura małosyjska*. W Charkowie, Ambroży Meteliński wydał pod tytułem: *Jużny Sbornik*, Zbornik południowy, poczye małosyjskie, które mają być wysokiej wartości. Na końcu książki dodaną jest dotąd niedrukowana komedia zmarłego Osnowianenki (Jerzego Kwitko). Napisana ona jest prozą, a tytuł jój: *Szczyra liubow* (szczerza miłość). W narodowym tym utworze więcéj ma być lekkości, nieudanój pogody i wesela, niż w innych płodach tego znakomitego autora.

* Z osobliwości typograficznych, które na wystawie płodów rękodzielnictwa i przemysłu w Paryżu w tym roku znajdują się, zwraca uwagę książeczka, zawierająca Bajki Lafontena w tak drobnym formacie, że się w łupinie włoskiego orzecha zmieści.

* Z nowości numizmatycznego piśmiennictwa ważném jest wydanie katalogu sławnego zbioru numizmatycznego księcia Wilhelma Radziwiłła, w Berlinie, pod tytułem: *Cata-*

logue des monnaies et des médailles de Pologne que renferme le Cabinet monétaire de Son Altesse le Prince Guillaume Radziwiłł (Traduit de l'allemand par. G. Nobiling). Berlin. 1848. 8o. p. 134.

Ogłoszenie tego spisu tém ważniejsze, iż jest pierwsze z wyłącznie polskich, któreby szacowny i bogaty ten zbiór przewyższały; spis bowiem gabinetu Reichla, jakkolwiek bliższym jest co do liczby pod względem monet polskich, wszelako nie może się z nim równać w wielkich sztukach złotych i medalach familijnych Radziwiłłowskich. Zbiór numizmatyczny księcia Radziwiłła w monetach Piastowskich, podzielony jest podług nowego systematu, przyjętego w dziele Kazimiérza Stronczyńskiego: Monety Piastów, z niektórymi, stosownie do uwag recenzentów, zmianami. Samych średniowiecznych monet zawiera ten katalog przeszło 400, między którymi wiele rzadkich i nieznanych sztuk znajduje się. Szczególnie atoli bogatym jest zbiór w numizmata, za czasów Zygmunta I bitych; między temi, oprócz wielu rzadkich medalów, są trzy dukaty, z których jeden gdański, trzy talary i ośm sześciogroszówek. Nie mniej bogatym jest szereg monet Zygmunta Augusta i Stefana Batorego; tego ostatniego rzadki podwójny i pojedynczy talar, celną jest ozdobą. Nadzwyczaj obfitym jest także zbiór w monety Zygmunta III, a mianowicie samych portugatów i półportugatów liczy sztuk dziesięć, zaś dukatów liczy sztuk dwadzieścia i t. d. Z następnych panowań zwracają uwagę rzadkie sztuki. ja-kiemi są: $\frac{1}{3}$ część talara koronnego, i pół talara elbląskiego Michała Korybuta Wiśniowieckiego (1), 18 sztuk meda-

(1) Dziwną jest rzeczą iż. p. Bernard de Koehne, znany numizmatyk berliński, dziś konserwator cesarskich gabinetów w Petersburgu i także szacowne swoje numizmatyczne pismo, jako dalszy ciąg: *Zeitschrift für Münz-Siegel und Wappenkunde* wydający, z którego powyższa wiadomość w nr. VIII. vol. III 2. str. 266 umieszczoną, wyjęliśmy; zawsze surowy krytyk dla innych, sam popełnił dwa ważne błędy, donosząc o dziele i zbiorze ks. Radziwiłła. Powiada on bowiem, iż znajdują się tam 20 całych i połowicznych dukatów Zygmunta III. któreto ostatnie nigdy nie istniały; dalej, iż ma $\frac{1}{3}$ talara i $\frac{1}{2}$ talara gdańskiego Michała Korybuta, gdy $\frac{1}{3}$ talara znany jest tylko koronny, a $\frac{1}{2}$ talara jest tylko elbląski. Zatem któż z nas bez błędu?

li, za Stanisława Leszczyńskiego bitych i t. d. Najcenniejszą atoli ozdobą tego gabinetu jest zbiór nadzwyczaj rzadki, a jedyny dotąd medali starożytnego rodu książąt Radziwiłłów, w liczbie sztuk 29, które dla uwiecznienia pamięci czternastu członków téj familii, były bite. Nakoniec godne są wzmianki rozmaite medale, bite ku pamięci 44 dawnych rodzin polskich. Niemniej medale miast pruskich, sztonów do grania w karty (*jettons*); medaliki kościelne, klasztorne i t. d. w znacznej liczbie znajdują się.

F. Max. Sobieszczański.

KRONIKA ZAGRANICZNA.

Wiadomość o nowych ważniejszych postanowieniach w prawodawstwie kryminalném.

I. Ustawa angielska o obchodzeniu się z uwięzionymi podczas śledztwa.

Na baczną uwagę zasługuje ogłoszone w piśmie czasowém angielskiém (1) postanowienie, względem obchodzenia się z uwięzionymi podczas śledztwa w hrabstwie Middlesex. Postanowienie to, zatwierdzone w d. 24 września 1847 r., a obowiązujące od d. 1 lipca 1848 r. brzmi, jak następuje:

Uwięzionym wolno będzie w każdym dniu, wyjąwszy świąt, widywać się pomiędzy 11stą a 12stą godziną z krewnymi i przyjaciółmi, bez szczególnego pozwolenia; do odbierania odwiedzin w innym czasie, potrzeba piśmiennego pozwolenia sędziego lub nadzorcy więzienia. obrońca sądowy uwięzionego, w każdym dniu, o każdej godzinie odwiedzać go może bez świadków. Uwięzieni mogą listy pisywać i odbierać, jednakże jedynie za wiadomością i okazaniem takowych nadzorcy więzienia; poufne piśmienne korespondencye, dotyczące wszakże oskarżenia, osobiście przez uwięzionego oddawane będą obrońcy lub jego pisarzowi, bez okazania takowych dozorca więzienia. Wszelkie inne pisma, sędziemu okazywane być mają. Każdy zgłaszający się, jak pisarz lub pełnomocnik obrońcy, musi przedewszystkiem złożyć na to dowód dostateczny.

(1). The monthly part of the legal observer, digest and Journal of jurisprudence. 1848. Octob. p. 541.

Porównyując powyższe rozporządzenie z instrukcyami więziennymi innych krajów, łatwo się przekonać, jak konsekwentnie postępowanie sądowe kryminalne w Anglii, na zasadzie jawności jest opartém, nie używając uwięzienia podczas śledztwa za środek inkwizycyjny w nieprawném tego wyrazu rozumieniu, nie przecina prawodawstwo uwięzionemu wszelkich z krewnymi i przyjaciółmi stosunków. Korrespondencya jego jest wprawdzie ograniczona; lecz i pod tym względem ustalona jest praktyka w Anglii, dozór nad listami stosując jedynie do przeszkodzenia usiłowań i umów, dotyczących ucieczki z więzienia. Przedewszystkiém wszakże na uwagę zasługuje opieka udzielona obrońce. Nawet w pierwiastkowym śledztwie udanie się i narada z obrońcą, najzupełniej jest dozwoloną, gdyż ustawa pomieniona przyznaje uwięzionemu prawo widywania się w każdym czasie z obrońcą i utrzymywania z nim korespondencyi piśmiennój. Niema obawy, aby na tém odkrycie prawdy w czémkolwiek cierpiało. Doświadczenie w Anglii okazało, iż wielkie zbrodnie prędzej i pewniej odkryte zostały, aniżeli w innych krajach, gdzie najściślejsze przedsiębrane bywają środki, aby uwięzionych w czasie śledztwa, na zupełne skazać odosobnienie.

II. Prawo angie'skie z d. 28 czerwca 1848 r. przeciwko odgrózkom piśmiennym.

Dotychczasowe prawodawstwo karzące odgrózki piśmienne, okazało się w Anglii niedostatecznym z powodu zbyt małej liczby wypadków, do jakich zastosowaném być mogło. Wyżej pomienione nowe prawo, brzmi jak następuje:

Ktokolwiek umyślnie drugiemu list lub jakiegokolwiek piśmo prześle, odda, lub jakim bądź sposobem doręczy, w którym tego, do którego list jest pisany lub nawet inną osobę oskarża lub grozi oskarżeniem publiczném o zbrodnią, na którą prawo postanawia karę śmierci lub deportacyą, a to w celu uzyskania pieniędzy lub poszkodowania zagrożonego

na majątku; oraz ktokolwiek przesyła drugiemu pismo, w którym zagraża spełnieniem na jego lub kogo innego osobie morderstwa lub gwałtu, albo też grozi podpaleniem lub zniszczeniem budynków lub płodów gospodarstwa wiejskiego; ktokolwiek wreszcie do podobnej czynności nakłania lub takową ułatwia i pomaga, karany będzie deportacją najmniej 7 letnią lub więzieniem najwyżej na lat 14, oraz stosownie do uznania sądu, chłosta wymierzoną być może.

III. *Rozprawy w Altenburgu, i prawo w państwie Schwarzburg-Sonderhausen, w przedmiocie zniesienia publicznego wymiaru kary śmierci.*

Od niejakiemu czasu zaczęto częste podawać projekta, celem zniesienia publicznego wymiaru kary śmierci. W państwie Schwarzburg-Sonderhausen projekt ten w prawo już zamieniono.

W *Altenburgu* szlachetnie myślący, powszechnie szanowany mąż, minister *von Lindenau*, wniósł projekt o zniesienie publicznego wykonywania kary śmierci. W projekcie tym oświadcza, że dziś w używaniu będący sposób karania śmiercią, nie odpowiada wymaganiom skutecznej sprawiedliwości karnéj; że wymiar ten prawodawczej i wykonawczej władzy, stał się dla przejętych ciekawością mass raczej rodzajem widowiska, aniżeli żalobnym i odstraszającym przykładem. Następnie oświadcza p. v. *Lindenau*, iż będąc obecnym przy wymiarze kary śmierci, powracał zawsze oburzony nieokrzesaną lekkomyślnością mass, po większej części złożonych z kobiet i dzieci, i przejęty bolesném uczuciem i tém przekonaniem, że najsurowszy wymiar sprawiedliwości karnéj, tak jak dziś ma miejsce, nie osiąga wyższego swego celu, i za odstraszający nie służy przykład. Według złożonego projektu, wymiar kary śmierci publicznie winien być ogłoszonym, lecz nie publicznie wykonanym. Wymiar ten nastąpić winien w miejscu odosobnioném, dla publiczności zamkniętém; obecnemi mają być tylko: duchowny miejscowy, sędzia inkwirujący, członkowie sądów wyż-

szych, rady miejskiej, i najbliżsi krewni skazanego. Dzień i godzina wymiaru publicznie ogłoszoną być winna, o chwili wyjścia skazanego z więzienia, doprowadzenia go do rusztowania, wreszcie o chwili wymiaru kary śmierci, dzwony zawiadamiać mają; następnie nabożeństwo żałobne w głównym kościele miejscowym odbytém być winno. Kommissya z członków Izby sejmowej złożona, wzięta pod rozbiór projekt powyższy, i doszła do następnego wypadku: iż zasada publicznego wymiaru kary śmierci, zupełnie zniesioną być nie powinna, ale że publiczny ten wymiar o ile tylko być może, ścięśnionym być ma; t. j. że odstraszenie drugich od zbrodni nietylko przez zmysłowe zapatrywanie się na bojaźń, cierpienia i śmierć skazanego osiągniętém być winno, jak raczój przez wpływ na obyczajowe i moralne uczucie współobywateli. Według projektu Kommissyi, oprócz w projekcie pana v. Lindenau wymienionych osób, obecnemi być nadto mają jako świadkowie: 10 przez sąd wybranych obywateli; inne osoby, które czyto z powodu stanowiska swego w kraju, czy też z naukowego względu, interes w tém mieć mogą, jakoto: deputowani gminy skazanego, urzędnicy, lekarzo, adwokaci, i t. d. na żądanie uzyskać mogą pozwolenie. Co do praktycznego urządzenia wymiaru kary śmierci, zdanie Kommissyi wiele trafnych zawiera uwag. Izba sejmowa jednomyślnie zatwierdziła zdanie Kommissyi, a kommissarz rządowy oświadczył, iż projekt powyższy niezwłocznie władzom rządowym pod rozbiór poddanym zostanie.

Nowe prawo państwa *Sawarzburg-Sonderhausen* z d. 14 sierpnia 1848 r. (§ 22 procedury kryminalnej), brzmi jak następuje: „Wymiar kary śmierci będzie miał miejsce w podwórzu więzienném, lub też w razie braku takowego, w innym zamkniętém miejscu, w obecności duchownego, sędziogo i pisarza. Oprócz tego nietylko służba więzienna, ale nadto obecnemi być może tyle osób pełnoletnich płci męskiej, ile miejsce dozwala. Chwila wymiaru kary ogłoszoną będzie publiczności, odgłosem dzwonu“.

K. B.

WIADOMOŚCI na drodze postępu nauk przyrodzonych.

FIZYKA.

Jakkolwiek od Grahama, który pierwszy wskazał dzienne ruchy w zloczeniu igły magesowej, i od daty prac Haughtona i Kupfera, którzy wykryli swemi licznymi badaniami zmiany w nateżeniu poziomém i pionowém, wiele poczyniono przypuszczeń na wyjaśnienie tych zjawisk: dotąd wszakże żadna z tych hipotez za zadowolniająca uważaną być nie może. Wielu uczonych za przyczynę zjawisk magnetyzmu ziemskiego podają strumienie galwaniczne, przez działanie słońca, na powierzchni ziemi powstające. Gdyby rzeczywiście podobne strumienie istniały, to wypadaloby koniecznie przyjąć, że stosownie do różnego kształtu i własności skorupy naszej planety w pewnych miejscowościach, rozprzestrzenianie się i działanie tych strumieni w różnych kierunkach musi być bardzo odmienne. Doświadczenie zaś uczy, że tak na morzu jako na lądzie stałym, górach i głębokich dolinach, wszędzie prawie jednakie objawiają się działania. Zresztą strumienie krążące po powierzchni ziemi, powinny być bardzo silnemi, aby za ich pomocą dały się wyjaśnić zjawiska magnetyczne, przez nas na ziemi obserwowane. Jeżeli zaś dla usunięcia tego przyjmjemy, że strumienie galwaniczne głęboko po skorupie ziemskiej krążą, to pozostałaby nierównie wielka trudność w wyjaśnieniu, jakim

sposobem ciepło słoneczne przenikając zaledwo parę cali w głąb' ziemi, tak głęboko strumienie elektryczne wzbu-
dzać może. Barlow, który zajmował się tym ważnym przed-
miotem z obfitym dla nauki plonem, mówi, iż wszelkie fe-
nomena magnetyzmu na kuli ziemskiej natrafiane, pięknie
za pomocą strumieni galwanicznych wyjaśniać się dają; brak
tylko jednego punktu, a tym jest wykazanie, gdzie te stru-
mienie elektryczne powstają i gdzie są przewodniki, które
je tak regularnym sposobem rozprowadzają po kuli ziem-
skiej.

Przywiedzione uwagi skłoniły Lamonta do podania nastę-
pnej hipotezy, na wyjaśnienie zjawisk magnetyzmu ziem-
skiego. Już Bessel, obserwacjami nad kometaą Haleya oka-
zał wielkie prawdopodobieństwo istnienia siły polarniej, ota-
czającej to ciało; do podobnego rezultatu doszedł J. Her-
schel z uważania zjawisk towarzyszących przejściu tej ko-
mety przez peryhelium. Te fenomena wymagają hipotezy,
w skutek której słońcu nadać wypada siłę zdolną przycią-
gać część materji komety zwróconą ku słońcu, drugą zaś
odpychać. Między siłami znanymi, jedna tylko siła elektry-
czna podobne wywołać może zjawiska. Przyjąwszy więc,
że słońce posiada ogromną ilość elektryczności (dodatniej),
komety pod jego wpływem elektryzować się także muszą,
tak, że elektryczności przeciwnienne rozdziela się: na czę-
ści komety zwróconej ku słońcu będzie się zbierać elektry-
czność ujemna, a na przeciwniej, elektryczność dodatnia,
i ogromna fala elektryczna naokoło ziemi w ciągu 24 god.
krążyć będzie. Przepływ elektryczności musi mieć miejsce
tak wewnątrz, jako też i zewnątrz ziemi po atmosferze. Opu-
szczając dalsze spekulacyjne rozumowania, obficie się tu nasu-
wające, Lamont jako dowód swój powyższej hipotezy, z po-
równania wypadków obserwacyj, czynionych w Monachium,
przywodzi, że wszystkie zmiany magnetyczne i termoelek-
tryczne nie mogą być wyprowadzone jako wypadki pewnej
siły, skoro tę siłę uważać będziemy jako podległą prawom,
powszechnie dla magnetyzmu przyjętym. (*Pgd.* 1849, nr. 1).

* Plücker (1846) umieszczając kryształy o jednej osi optycznej między biegunami magnesu, przekonał się, że takie kryształy odpychane są przez bieguny, czyli, że między biegunami a osią kryształu, istnieje siła dyamagnetyczna. Według tego, kryształ swobodnie zawieszony między biegunami, przyjmuje położenie równikowe, to jest takie, że jego oś optyczna staje prostopadle do linii łączącej bieguny. Jeżeli kryształ ma dwie osie optyczne, wtedy podobne działanie magnesu zachodzi względem obu osi, i linia połowiąca kąt między osiami, staje także w położeniu równikowym. Zawieszając kryształ tak, aby mógł wolno obracać się około linii, znajdującej się na płaszczyźnie, przechodzącej przez obie osie kryształu, wtedy ta płaszczyzna przyjmuje położenie równikowe.

Z tego wynika, że posiadając kryształ nieprzezroczysty, i nadto nieprzedstawiający widocznie żadnej budowy kryształicznej, można przy pomocy magnesu wykryć położenie osi optycznych.

Te ważne rezultata, wskazują nowy związek, zachodzący między światłem i magnetyzmem. W późniejszych pracach Plücker badając zależność natężenia sił magnetycznej i dyamagnetycznej, przekonał się, że zwiększając moc elektromagnesu, dyamagnetyzm daleko prędsiej wzrasta, aniżeli przyciąganie magnetyczne, tak, iż niepodobna z mieszaniny dwóch materij, z których jedna jest magnetyczną a druga dyamagnetyczną, utworzyć ciała zupełnie obojętne na magnes.

* Plücker wykrył, że walec szklany raptownie ostudzony i następnie zawieszony między biegunami magnesu zachowuje się jak kryształ o jednej osi optycznej; np. pryzmat z turmalinu, oś kryształu staje w położeniu osi optycznej. (*Bibl. de Genève, 1849, Avril.*)

S. P.

CHEMIA.

P. Woehler zawiadomił towarzystwo umiejętności w Getyndze, że jeżeli kwas mlekowy lub mlekany będą przepędzone z solą kuchenną, niedokwasem manganu i kwasem siarkowym, otrzyma się ciało z którego za dodaniem potażu opadną kropelki oleiste i ciężkie, mające zapach chlorku ostatniego formylu.

Jeżeli chlor nie będzie w przyzwoitym stosunku, utworzy się głównie aldehyd. Za dodaniem potażu, w wypadkach przepędzania, powstają słabe męty; ale po pewnym przeciągu czasu wydziela się ciało żywiczne brunatne (żywica aldehydowa). Ten przypadek następuje przy przepędzaniu 1 części mlekanu niedokwasu żelaza z 4 częściami niedokwasu ostatniego manganu i soli kuchennej, oraz 4 częściami kwasu siarkowego, rozcieńczonego podwójną swą wagą wody.

Zmieniając powyższy stosunek w ten sposób, aby wziąć 1 część mlekanu żelaza, 10 części niedokwasu manganu i soli kuchennej, 10 części kwasu siarkowego, i 12 do 14 części wody; chlor działa powolnie, a tylko w pierwszych częściach wypadku z przepędzania otrzymanego, po zapachu i oddziaływaniu poznać można aldehyd. Odebrawszy to, co potem przechodzi, osobno, i przepędziwszy na chlorku wapna, można ciało otrzymane złączyć z kwasem siarkowym, a mieszanina ta się nie ogrzeje i nie zbrunatnieje; po zostawieniu zaś jej w spoczynku, wydzielą się z niej ciec bezbarwna, podobna do chlorału.

Ale nie jest to jednak chlorał czysty: bo gdyby chciano oswobodzić go od kwasu siarkowego przez przepędzanie, pewna część rozłoży się, z wydobyciem gazu chlorowego wodorodnego, i czerniąc kwas siarkowy. To co przechodzi jest powiększój części chlorałem, który z małą ilością wody zmienia się na chlorał wodny krystaliczny, z roztworu zaś wodnego oddziela się za dodaniem potażu, chlerek ostatni formylu.

Ciała niszczone przez kwas siarkowy zdają się być wypadkiem pośrednim, a tém mniej się ich otrzymuje, im chlór działa mocniej na kwas mlekowy; i należało tego się spodziewać, że przez styczność kwasu mlekowego z wywięzującym się chlorem, jako ciało główne otrzyma się chloral. Czyby więc nie można mlekanu wapna, który tanim kosztem otrzymać się daje, użyć za ciało najstosowniejsze do wyrobienia chloroformu? (*L'Institut* 9. Mai, 1849).

* P. Barreswil przestał akademii umiejętności w Paryżu swą pracę, w której dowodzi, że znalazł cukier w białku od jaja; donosi nadto, że białko jest alkaliczne, a to pochodzi od węglanu sody; żółtko z jaja zawiera albo tylko ślad alkali, albowi też całkiem jest go pozbawione; własność zaś jego tworzenia tak zwanych emulsi, pochodzi od istoty podobnej do soku pankreatycznego, okazującej działanie kwaśne dopiero po jej zepsuciu; nakoniec P. B. wyjaśnia, że skutki kwaśne i własności soku żołądkowego, powstają od kwasów *organicznych*, a nie od kwasu solnego. (*L'Institut* 20 Juin, 1849).

* W miodzie zwyczajnym, znalazł p. Soubeiran trzy gatunki cukru zupełnie od siebie różne; wiadomo zaś, że dotąd sądzono jakoby ta istota tylko dwa ich zawierała. (*Treść z pisma: L'Institut* z 27 Juin 1849).

* Następująca okoliczność przytoczona w akademii francuskiej przez P. Chevreul'a zasługuje na uwagę. Gdy bowiem p. Regnault nadmienił o trudnościach w pracach chemicznych, natrafianych z powodu rozpuszczania się szkła w wodzie ogrzanej wyżej nad 100° C: wspomniął p. C. że w swój pracy o drzewie kampszewém, już w r. 1810 wskazał błędy powstać mogące z używania naczyń szklanych, z powodu rozpuszczania się we wodzie krzemionkanu zasadowego potażu lub sody. W owymto czasie powiedział on: „Scheele i Lavoisier pierwsi okazali, że ziemia z wody czystej otrzymana przez Borichiusa, Boylego i Margraffa, powstała z rozpuszczania się naczyń w których taż woda była parowana lub przepędzana. *Od czasu ogłoszenia ich prac aż do dziś dnia, chemicy nie dość baczenie zastana-*

wiali się nad powyższą okolicznością, bo bezwątpienia sądzili, że szkło z trudnością się rozkłada; ale doświadczenie przezemnie przytoczone przekonywa, że rozkład ten uskutecznia się i łatwo i prędko, a następstwa mojej pracy wskazyją, że nie można tego pomijać, w zwyczajnych rozbiorach chemicznych.* Następnie (dodaje teraz P. Ch.) iż spostrzegł jakoby woda przepędzona, przez kilka miesięcy w naczyniu szklanem zostawiona, tyle rozpuszczała w sobie alkali, że może odfarbować błękit pruski. (Tamże.)

J. B...a.

HISTORIA NATURALNA.

Zoologia.

Historia naturalna niedoperzów. Jerzy Franenfeld na zgrom. miłośników nauk przyrodzonych w Wiedniu dnia 26 marca r. z. czytał postrzeżenia swoje nad sposobem życia niedoperzów, wywołane rozważeniem tego co w przedmiocie tychże zwierząt Spallazani na wielu miejscach wspomina. Gatunkami które do celu swowego wybrał i oswajać je przedsięwziął, były: niedoperz pospolity (*Vespertilio noctula* Daub.), karlik (*V. pipistrellus* Daub.), wieczornik (*V. serotinus* Daub.), niedoperz popylony (*V. discolor* Natt.), gacek uszaty (*Plecotus auritus* Lin.) i podkowiec mniejszy (*Rhinolophus hastatus* Geoffr.).

P. Frauenfeld wiedząc, że wszystkie te niedoperze żywią się jedynie owadami świeżemi, doświadczał czy nie można wychowywać ich gąsienicami mącznika (*Tenebrio molitor*), to jest temi robakami, które się utrzymują w mące na zimowe pożywienie dla słowików. Nie żyły jednak długo, zwłaszcza gatunki drobniejsze, bo karlik i mały podkowiec tylko dni 3—4, gacek najwięcej dni 6—8: bądźto że twarda skóra gąsienicy zbyt mocno, jak postrzegął, opierała się delikatnym zębom tych zwierząt, bądź że to pożywienie nie było całkowicie z na-

tura ich zgodne. Mając niedoperza karmić, ujmował go jedną ręką, a drugą przybliżał mu pożywienie, które zwierzątko, złoścąc się porywało i gryzło; nigdy jednak samo tego pokarmu nie podejmowało z ziemi. Po nakarmieniu sadzał niedoperza do klatki, żadnego jednak nie mógł przyzwyczaić, żeby wypuszczony z klatki, sam do niej powracał; unikał wszakże wypuszczania ich na pokój, to uważał, iż za każdym takim oswobodzeniem, trudno mu było napowrót więźnia zamknąć. Jedyny znalazł się gacek, który już na trzeci dzień od złapania tak polubił pewne przez siebie obrane, bynajmniej nie ciemne miejsce na oknie, że nawet w dzień przeniesiony do ocienionego, stale na tamto powracał. I niejeden miał przykład, na większych nawet gatunkach, tego przywiązania do miejsca, które same sobie obrały, mianowicie zaś na wielkim *Vesp. noctula*, który przezimował u niego. Niedoperza tego znalazł przy ścinaniu buku w późnej jesieni 1845 r. niemogącego latać, chociaż nigdzie na nim nie okazywało się skaleczenie. Już go miał od dwóch miesięcy, żywiąc powyżej opisanym sposobem, gdy pewnego wieczora zawołany, zostawił nienakrytego na stole, licząc na to, że zwierzątko ilekroć się najadło, utulone częstokroć przez znaczny czas nie ruszyło się z miejsca. Gdy jednak powrócił, niedoperza nie było. Nadaremnie go szukano. Przez ośm dni ukrywał się, aż pewnego wieczora znowu wylazł na izbę. Ujęty mocno się bronił, usiłując naokoło kąsać, lubo przedtém dosyć się już był obłaskawił. Przypadek zrządził, że p. Frauenfeld tegoż wieczora znowu oddalić się musiał, podczas czego niedoperz powtórnie zniknął. Szukano go najusilniej, aż nakoniec postrzeżono utajonego pomiędzy nogą szafy a przyległą jej ścianą, gdzie oraz z zebranego gnoju okazało się, że w tém samym miejscu przesiedział i owe ośm dni, przez które się nie pokazywał. Następnego wieczora znowu na jaw wyszedł, a kiedy p. Frauenfeld przybliżył się do niego ze świecą, niedoperz piszcząc uciekł napowrót w swój zakątek, i już się tego wieczora nie objawił. Ilekroć nakarmiono go potem, zawsze na to samo miejsce powracał. P. Frauenfeld lękając się ażeby kto z chodzących późno po pokoju,

nie nastąpił na niego, wołał go osadzić pomiędzy zimowe okna. Już dosyć było zimno, a niedoperz jeszcze przez dwa wieczory dla odebrania pożywienia wychodził: potem w miarę powiększania się zimna, w coraz dłuższy letarg wpadał, a im po dłuższym przebudzał się czasie, tym dzikszy i złośliwszy się okazywał.

Nadewszystko mniejsze gatunki mają tę własność, że przestawszy latać, czepiają się pionowej ściany, głową na dół zwrócone, gdy tymczasem większe woła spoczywać na miejscach poziomych, chociaż nie są zdolne zerwać się do lotu z ziemi; i dlatego, jak jerzyk (*Cypselus murarius*), na wywyższonych tylko usiadają miejscach. „Mimo główny rys ich charakteru: nieugłaskaną, dziką gwałtowność, osobliwie gatunków większych, mogę jednak (mówi autor) przytoczyć zdarzenie w którym mi się udało do tego stopnia oswoić niedoperza z gat. *Vesp. discolor*, że dotychczas żałuję, iż nieostrożność zawczasie pozbawiła go życia, a tem samem ostrzeżenia moje przerwała. Wpadł on d. 8 kwietnia 1838 r. o godzinie 3 po południu do pokoju w którym złapany został. W 14 dni tak się już oswoił, że każdy kto go oglądał, zdumiewać się musiał. Wsadziłem go do klatki wybitej gazą, na chowanie gąsienic przygotowanej: tam, zanurzony w płóciennym szmaty, na dzień się ukrywał. Wieczorem około godziny ósmej przy świetle świecy otwierałem klatkę, w której, przyczepiony do jednej z jej ścian głową do dołu, wyciągając szyję i na wszystkie strony ją nakłaniając, zdawał się czekać już na mnie. Wkrótce wylatywał, a okoliwszy kilkakrotnie pokój, uwieszał się mi na piersiach. Dostawał mącznego robaka, którego przyjmował z ręki, a potem, zerwawszy się na skrzydła, w locie go zjadał. Zjadłszy jednego, powracał zaraz po drugiego. Gdy w ciągu przerwy zajmowałem się jaką czynnością, np. rozbierałem się i t. p. przechodząc z jednej do drugiej stancyi, on mi do obudwu towarzyszył; a że zazwyczaj godzinę i dłużej latał naokoło jedząc, tak, że ja w ciągu tego położyłem się postawiwszy przy sobie zapaloną świecę, on i wtedy przylatywał do mnie dla otrzymania 36—40 robaków na 10—14 linii długich, które mu zwykle na wiecze-

rzę dawałem. Ponieważ ten niedoperz nie należy do największych, zdumiewającą jest rzeczą, że tyle robaków zjadał; jakążto mnogość owadów wyniszczać one muszą tam, gdzie są czynnymi w znaczném zebraniu! Po nakarmieniu sadzany był napowrót do klatki. Pewnego dnia zasnąłem nie wsadzwszy go do klatki i znalazłem nazajutrz w tegim śnie pogrążonego pod moją kołdrą. To samo wydarzyło się 29 maja, w którymto dniu również do mnie zaszedł, ale już nie pod kołdrę, tylko pod poduszkę załaził, i zapewne nie mogąc się tam obrócić, udusił się niestety! Z podjętej sekcji ciała okazało się, jakato niewynagrodzona strata dla mnie była! Niedoperz był brzemienną samicą, noszącą dwa płody całkowicie już wykształcone, i według wszelkich znaków niedługo na świat wyjść mające. Ponieważ prawie nic nie wiemy o zachowaniu się tych zwierząt w akcie rodzenia, ani o młodych, miałbym być przeto obszerne jeszcze pole do badania ich sposobu życia." (*Berichte über die Mittheilungen von Freunden der Naturwissenschaften in Wien, ges. von Wilh. Haidinger, IV Band, 1848 p. 287*).

Ostatnie wyrazy p. Frauenfeld zdają się okazywać, że ten niemiecki badacz nie wiedział o tem, czego naturalisci angielscy w przedmiocie jego badań doszli. Czytamy w *Proceedings Part. II. 1834 pag. 128*, że G. Daniell dostał w lipcu 5 samic ciężarnych karlika (*Vesp. pipistrellus*), w staréj szcypie znalezionej. Wsadził je do klatki: jady chętnie muchy i surowe mięso, lecz wcale nie dotykały gotowanego. Usiadające na mięsie wielkie muchy ścierwowe, spędzały skrzydełkami swojemi, a czasem przysuwając pyszczek, schwytać je usiłowały. Na dzień zawieszały się w kącie klatki, głową do dołu obrócone: wieczorem stawały się bardzo żwawe i krzyczały. Jedna z tych samic zdechła w 5 dni po uwięzieniu; druga po 14, trzecia po 18, czwarta po 19. W każdej był jeden płód tylko. W dniu 16 maja, p. Daniell otrzymał 5 samic niedoperza pospolitego (*Vesp. noctula*), i z niemi jednego samca, który był bardzo złośliwy, kąsał samice i łamał zębami dróty klatki, a nic nie jedząc, dnia 18 zdechł. Samice jady wieczorem surowe mięso wołowe

chętniej niż muchy i chrabąszcze. Jedra zdechła 20, druga 22 maja; w każdej był płód pojedynczy. Czwarta jadła chętnie serce i skórę kury, tudzież nieco z majowego chrabąszcza. Uchwyciła pożywienie nakształt psa, podobnie i wodę chlupała, nie podnosząc głowy do góry, jak karlik. Troksliwie się ogarniała, czesząc tylną łapką jak grzebieniem, włosy na głowie, w kierunku ku ogonowi. Dla oczyszczenia skrzydeł, pociągała nosem po fałdach. Do dnia 20 była bardzo żérta, niekiedy zjadała pół uncy pokarmu, sama tylko 10 drachm ważąc. Na dzień zawieszała się głową do dołu, wieczorem zchodziła dla pożywienia. W dniu 23 stała się bardzo niespokojną, wisiała jednak w kierunku opacznym. Wtém nagle się przekręciła, uchwyciła się przednimi nogami grządki, rozszerzyła części tylne, ogon zadarła do góry tak, że błona jego utworzyła porządne gniazdo. W kilka chwil ukazał się pyszczek młodego, a w pięć minut wysunęła się głowa. Wówczas samica zaczęła tupać, póki końce palców nie wyszły, poczem młody, gramoląc się na strony przednimi nogami, sam sobie dopomógł do wyjścia. Był zupełnie goły i ślepy, i miał sznur pępkowy na 2 cale długi. Matka oblizwała go czysto, poczem wróciła do zwyczajnego położenia swego, włożyła młode pod skórę swych skrzydeł, odcięła sznur pępkowy i zjadła miejsce. Potém sama się oczyściła, a młode tak otuliła, że nie było widać ssania. Czas rodzenia trwał 7 minut. Młody większy był od nowo-urodzonej myszy; tylne nogi i szpony miał tak silne, że nie tylko u matki ale i u klatki mógł się niemi uczepiać. Dnia 24 matka przyjęła pokarm zrana; zdawała się być bardzo niespokojną o swoje dziecko, przekładała je z boku na bok ażeby ssało i otulała błoną ogona i skrzydeł; czyniła to wszystko w opacznym uczepona kierunku. Wieczorem zdechła; młode żyło jeszcze wisząc u cyca od którego trudno je było oderwać. Przyjmowało potém mléko z gąbki powinięte wflanę, i żyło jeszcze dni 8, przez który czas bardzo mało wyrosło na niém włosów i oczy jeszcze się nie otworzyły. Brzemienność u tego gatunku trwa przeszło dni 38. Na skielecie samicy kość piętowa (*calcaneum*) jest przy trzegu błony

między tylnymi nogami, daleko dłuższa i silniejsza niżeli u samca. Może ona przez to błonę tę bardziej rozpościierać tak, ażeby rodzaj torby dla młodego tworzyła. (*Proceedings l. s. c.*)

Kilka lat temu, w tutejszym ogrodzie botanicznym ogrodniczek zabił wieczorem niedopérza wielkiego (zapewne *Vesp. noctula*) w obecności jednego z moich uczniów, który w kilka dni potem opowiedział mi, iż to była samica w locie piastująca dwoje młodych: jedno pod lewém, drugie pod prawém skrzydłem osadzone w osobnym worku, jak w kieszeni. Wydobył jedno z lewego worka zabitej matki, i to mi przyniósł; dotąd jeszcze w wysuszonym stanie, igłą przebite, zachowuje w mym zbiorze, wyprostowane od wierzchołka mordki do końca ogona 15 linii, a między końcami skrzydeł wyciągniętych przeszło 2 1/2 cala długie. Relacya ucznia mocno mnie wtedy zajęła, i przypomniała ów wątpliwy cudzoziemski niedopérza gatunek, *Taphozous lepturus* Geoffr., mający mieć u skrzydła torebkę, od czego ten rodzaj Illiger *Succopteryx* nazwał. Być może, iż rzeczona torebka tworzy się tylko na czas piastowania młodego a później znika, i toby mniej dziwném czyniło, że od czasów Schrebera nikt dotąd takiego niedopérza nie widział. (*A. W.*)

I tego nie przytoczył p. Frauenfeld, że Sowerby chował gacka (*Plecot. auritus*) na którym przekonał się, iż to zwierzę głównie zmysł słyszenia do owadów doprowadza. Niedopérz ten był przez trzy tygodnie muchami żywiony i tak się obłaskawił, że z ręki przyjmował muchy, ale tylko kiedy żyły i ruszały się: nie brał ich, jeżeli nie sprawiały brzęku. Karaczanami, chrząszczami i gąsienicami gardził. Jeśli kto ustami brzęczenie owada naśladował, gacek przylatywał mu aż do twarzy. Nalatawszy się niejaki czas wokoło, siadał wreszcie na wyniosłości, nastroszał uszy i na wszystkie strony głowę obracał, a skoro posłyszał bądź rzeczywisty, bądź zmyślony brzęk muchy, rzucał się natychmiast w to miejsce, nawet w przeciwny koniec izby. Czasem porywał owad odrazu pyszczkiem, najczęściej jednak obejmował go piérwój skrzydłami (*Wiegmann's Archiv. 1837 5s Hest.*).

P. Frauenfeld dodaje w końcu uwagę, iż podług Fauny Peruwiańskiej Czudego, nawet w Peru panuje mniemanie, że niedoperze wkrecają się ludziom we włosy. Autor zapytuje się, czy zmyślenie téj bajki nie miało na celu wczesnego' pościgania dzieci z nadworza do domu, albo przynajmniej skłonięcia ich ażeby chroniły nakryciem głowę przed zaziębnieniem wieczorném? Jakożkolwiekby, dodaje, rzeczto godna uwagi, że takie twierdzenia których żaden fakt naturalny nie popiera, rozchodzą się w najodleglejsze mieszkalnego świata zakąty.

* Dziennik *Zoologist* (nr. 75 z r. 1849) donosi jako osobliwość, że w styczniu b. r. na piaszczystych odmiałach Wearu zastrzelono lisa nadzwyczajnej wielkości, który tam zapewne, ucieczką się ocalając, przybył. Dziennik podaje jego wymiary ściśle oznaczone. Ten lis był samcem, 70 funtów ważącym, 4 stopy i 9 cali do końca ogona długim, a stopę $10\frac{1}{2}$ cali w barkach wysokim. (*Fror. Not. 1849 nr. 202*).

* Znajdowane około Montpellier kości nosorożca, uważało wielu autorów za należące do kilku gatunków (*Rh. tichorhinus, incisivus, monspessulanus, megarhinus* i *leptorhinus*). Paweł Gervais okazał, że należą tylko do jednego któremu najdawniejsze nazwisko, *Rhinoceros monspessulanus*, zachowuje. Szczątki także za kości hippopotama uważane, do tego nosorożca odnosi. Nosorożec ten nie był bezrożny, jak to o gat. *Rh. leptorhinus* mniemają; miał on owszem dwa długie, potężne i chropowate rogi; nos jego nie był, jak utrzymuje Cuvier, rozdzielony przegrodą, paszcza była dłuższą jak u afrykańskiego, ale zęby przednie mniej miały rozwinięcia, niżeli u dziś żyjących Indyjskich gatunków. Zrośnienie żuchwy właściwy rowek cechował. Zwierzę dochodziło do znacznej wielkości. Podług p. Gervais, można tylko 4 nosorożca gatunki dla południowej Francyi przyjąć z pewnością. Kości nosorożca z jaskini pod Lunel-Viel, należą do zwierzęcia które on poprzednio *Rhinoceros lunellensis* nazwał. Inne w form. potopowej, tudzież w jaskiniach Europy i Syberyi znajdowane szczątki, odpowiadają gatunkowi Cuviera *Rh. tichorhinus*. Kości z piasków form. plioceńskiej, należą do *Rh. monspessu-*

Ianus, a niemi są zapewne i te które znaleziono w Auvergne i *Rh. elatus* nazwano. Nakoniec reszty warstw mioceńskich, odnoszą się do gatunku *Rh. incisivus* Cuv. Przy Montpellier w warstwach eoceńskich, nie znajdują się żadnego nosorożca kości, chociaż autorowie przyznali tym warstwom szczątki gatunków *Rh. minutus*, *privatensis* i *tapirinus*. Gervais wątpi ażeby się różniły trzy pomienione gatunki. Liczbę tęgoskórnych, w morskim piasku przy Montpellier znajdujących gatunków, podnosi on do 10, z których 5 najpierwszy sam oznaczył. (*Id nr. 199 z Zoologie française par G. Gervais, 2 livraison.*)

* P. H. Gosse, *Sposób życia jaszczurkowego gadu Mabouya agilis*. Ta mała, zwinna i ładna jaszczureczka pospolitą jest bardzo na nizinach Jamaiki. Żyje ona w szparach starego muru, a rzadko przebywa na ziemi, niekiedy grzeje się na słońcu siedząc w wydrążeniu liścia zapylców (*Bromelia*). Ani na okrągławej głowie jej, ani też nigdzie na ciele nie ma wyniosłości; łuski ją okrywające, leżą ściśle przy sobie; nogi są tak krótkie, że brzuchem ziemi prawie dotyka, przyczém ruchy jej przypominają czołganie się węża. Dlatego u murzynów mabuja nazywa się *snake's waitingboy* (kamerjunker wężowy), albo *snake's boy* (wężowy giermek); w okolicach krajów Stój Elżbiety i Westmore zowią ją *woodslave*, któremto nazwiskiem w innych częściach wyspy, oznaczają niektóre gatunki z rodzaju mierzieniec (*Gecko*).

Trudno jest zwierzę ująć żywcem. W włosiane sidła, które do łowienia innych małych jaszczurek są tak wyborne, ta nie wpada: nawet z umyślnie zarzuconych na głowę, zawsze się wymyka, ponieważ między głową a kadłubem nie ma przeciśnienia znacznego. Jest ona tak zwinna, że nie daje się uchwycić ręką. Słabe uderzenie drobną róższczką po grzbiecie wstrzymuje ją na chwilę, wszakże gdy cios ugodzi w ogon, w mgnieniu oka odpada on od ciała jak i u innych jaszczurek. Często mabuje kot chwytą.

Kształt łusek i sposób ich ułożenia przypomina ryby; łuski są zwierzchu wypukłe, od spodu wklęsłe: są one wolno przyczepione do skóry, i zachodzą brzegami za siebie. Kolor

zwierzę... pigment, na spodzie łusek leżący; skóra pod łuskami jest czarna. Te ostatnie, prawie pięcioboczne, oznaczone są podłużną kreską krzyżującą się z wielu poprzecznymi; kreski poprzeczne gubią się z wolna ku tylnemu obwodowi łuski. Łuski ciała i grzbietu są jednakowe, ale ogon w $\frac{2}{3}$ częściach tak zwierzchu jako i od spodu, obłożony jest wązkami poprzecznymi tarczami, które od innych łusek różnią się mianowicie mnogością zagłębionych pasków poprzecznych.

Spodnia i większa powieka, w miejscu które przy zamknięciu oka odpowiada źrenicy, ma okrągłą, szklistą, przezroczystą blaszkę; tym sposobem zwierzę i zamknąwszy powiekę widzieć może. Kiedy mabuja po murze pełza, oczy jej nie są zamknięte, z czego widać że pomienione powieki służą jej tylko dla zasłony od owadów, i od szkodliwych wpływów w ogólności.

Zwierzę rodzi żywe dzieci; okaz 11 lutego przez autora zabity, obejmował kilka jajowatych worków, a w każdym z nich znajdował się płód dosyć donoszony. W inną 29 kwietnia zabitej samicy, znajdowały się cztery, prawie dojrzałe młode, których ubarwienie było wspanialsze jeszcze niżeli zwierząt dojrzałych; leżały one we dwóch workach, a oprócz tego każdy płód miał osobny swój przypotok (*amnios*); żółtek jeszcze się nie wyczerpnął, przyczepiony on był do brzucha sznurkiem pępkowym. Było jeszcze i piąte, zniszczone ciosem który matkę zabił. Młode od mordki do odchodka mają $1\frac{3}{10}$ cala, ztamtąd zaś do ogona $1\frac{9}{10}$ cala długości. Już Robinsou uważał że mabuja żywo rodzi: znalazł on w sierpniu 1760, w zabitej samicy dwoje ładnych, prawie na dwa cale długich młodych.

Żołądkiem zwierzęcia jest podługowaty worek, obejmujący szczątki pożytych owadów; u jednego indywiduum znalazł autor wązkiego, dosyć krótkiego tasiemca.

Głowa, kark i przednia część grzbietu mabui, są czerwono-brunatne, koloru brązu. Od pyszczka ciągnie się na każdym boku ciała aż do nóg tylnych szeroki czarny pasek, oczy zajmujący. Z wierzchu i od spodu ogranicza go inny, żółtawo-

białego koloru, pomiędzy przednimi a tylnymi nogami znikająca. Po każdym z tych jasnych pasów następuje wążki czarny, mniej lub więcej przerywany. Wyższy z tych pasków biegnie wzdłuż ogona. Tylna część grzbietu jako i ogon, są zielonawo-brunatne, cała strona spodnia zielonawo-biała i srebrzysto-połyskująca, golenie i nogi zwierzchu czarne, z jasnymi, spływającymi się plamami. Całe zwierzę ma połysk metaliczny; samiec od samicy zewnętrznie się nie różni. Dorosła samica była od paszczy do odchodka $3\frac{4}{10}$ cala długa, od odchodka do wierzchołka ogona $5\frac{1}{4}$ cala; razem więc prawie 9 cali. Odległość mordki od ucha wynosiła $\frac{2}{10}$ cala, oddalenie mordki od ramion $1\frac{3}{10}$ cala; długość tylnej nogi $1\frac{3}{10}$ cala i t. d. Autor znajdował na Jamaica tylko ten jeden mabui gatunek. *Mabouya sloanei* Dum. et Bib. także się znajdować mająca, jest podług autora, to samo co tamta. (*Id. n. 206, z The Annals and magazine of natural history, nr. 16, 1849*).

* W zatoce Kalifornijskiej złapana była wielka, nieznaną jeszcze, do rodzaju płaszczyk (*Raja*) należąca ryba. Po nadaremnych usiłowanjach udało się naostatek osadzie angielskiego okrętu *Frolic* dwa takie potwory morskie na harpun ułowić. Jedna z tych ryb ugodzona została dwoma harpunami; z niesłychaną gwałtownością rzuciła się z miejsca; już linna harpunowa była blizką końca i tódż szalonym pędem sunęła się za nią; trzeba było sznur przeciąć i rybę puścić. Kap. Hamilton podaje szerokość ryby w poprzek grzbietu na 23 stopy. Ryba mniejsza wyniesiona była na brzeg; nie można było jej wagi oznaczyć; była ona tak ciężka, że 60 ludzi za pomocą windy nie mogli jej na brzeg wyciągnąć. Szerokość grzbietu dochodziła stóp 19; szerokość paszczy, osadzonej dwoma rzędami straszliwych zębów, wynosiła 3 stopy i 5 cali. Mięso było grube na 3 stopy 6 cali. Pletwa piersiowa wystawiała podobieństwo ramienia. Ryby te przebywają najwięcej na dnie morza, i tylko w piękne, bardzo gorące dni okazują się niekiedy na powierzchni. Edward Newman życzy sobie, ażeby ta ryba od wynalazcy *Brachoptilon hamiltoni* nazwana była (*Id. nr. 197 z The Zoologist, nr. 74, 1849*).

* P. J. van Beneden, *Rozwijanie się robaków z rodzaju Tetrarhynchus*. Kiedy w przeszłych wiekach mówiono w umiejętności o rodzeniu się dobrowolnym, czyniono to ztąd, że zjawiska rozmnażania się nie dość były wyjaśnione. Arystoteles mógł za swoich czasów uczyć, że ryby powstają ze szlamu, naturaliści przeszłego wieku śmieli jeszcze myryady wymoczków za płód gnijących organizmów podawać, a niektórzy, lubo w małej liczbie, terażniejsi pisarze, wierzą, że robaki zawsze jeszcze z brodawek kiszkowych albo z chorobliwych wyrzutów wychodzą; ale wolny od uprzedzeń badacz nie będzie dziś żadnego wymoczką, żadnego robaka i żadnej ryby, a w ogólności żadnego zwierzęcia i żadnej rośliny uważał za co innego, jak za płód jaja, oczka albo nasienia. Prawidło: *Omne vivum ex ovo* więcej się do dzisiejszego, jak do jakiegokolwiek innego wieku stosuje: nie ma żadnego zwierzęcia, uktórego przyrząd rozmnażania się całkowicie byłby nieznaną, owszem znajdują się organizmy, które na najniższym szczeblu zwierzęcego życia stojąc, opatrzone są przyrządami do rozmnażania się bardzo nierozwiniętymi, i dlatego w rozmaity sposób: zamiast tylko okazać się w postaci zamierzonej, rozwijają kolejną liczną szereg istot nowych, które się różnią między sobą. Znamy dziś wiele takich przechodowych kształtów; mikroskopne badania powiększają corocznie ich liczbę, i możemy już teraz z pewnością przyjąć, że wszędzie, gdzie jeden kształt zwierzęcy znika, ażeby zrobić miejsce drugiemu, obydwa są odmiennymi tylko kształtami tegoż samego gatunku zwierzęcia. Na zgromadzeniu naturalistów w Bazylei, Miescher mówił o postrzeganych przez siebie przemianach robaków: podług niego włośnik ryb. długi, nitkowaty robak, ma się przemieniać w zwierzę płaskie, jajowate, do liścia podobne, słowem w robaka rozgniotkowego (*Trematoda*). Z wnętrza tego robaka miał znowu powstawać czterema smoczkami opatrzony gręz (*Tetrarhynchus*), a z niego, jak sądzi Miescher, tasiemiec (*Botryocephalus*); ten przeto byłby kolejną już robakiem nitkowatym (*Nematoda*), już rozgniotkowatym (*Trematoda*), już pęcherkowatym (*Cestodea*). Le Blond, który w roku 1837 tegoż robaka ba-

dał, mniema że grzęz jest tylko pasorzytem rozgniotkowatych, a i autor zajmował się, już w r. 1838, témże badaniem: lecz gdy później postrzeżenia Mieschera chciał śledzić, wnet uznał błąd w który ten badacz popadł. Ujrzał on, że włosnik we wszystkich kolejach rozwijania się swojego, zawsze jest robakiem nitkowatym: po wieloletnich badaniach doszedł nakoniec do tego, iż inoże zupełnie objaśnić tajemnicze rozwijanie się grzęza. Wypadek jego poszukiwań jest następujący:

Grzęz ma cztery zupełnie odmienne rozwijania się epoki. W pierwszej robak jest mniej lub więcej pęcherzykowaty; od przodu opatrzony czterema banieczkami (*ventouses*), rodzaj dzióbka otaczającymi. Robak jest bardzo kurczliwy; u wielu gatunków jego są plamki pigmentu, wyobrażające oczy: stan takowy zwierzęcia znany jest u helmitologów pod nazwaniem *Scolex*. Znajduje się nadewszystko w kiszce ślepej.

Drugą epokę opisał już Le Blond; jest ona najosobliwszą. We wnętrzościach u *Scolex* rodzi się z oczka grzęz, a na powierzchni wyłącza się śluzowata wilgoć, i ta twardnieje w pochwę, ze spółśrodkowych warstw złożoną. W tym więc czasie znajdujemy warstwowatą powłokę, otaczającą robaka takiego jak w rzedzie *Trematoda* (*Amphistoma rapaloides* Le Blond), a we wnętrzościach jego spoczywa grzęz, który w swoim żyjącem więzieniu żwawo się porusza. Tento grzęz o którym wielu badaczy sądziło że jest pasorzytem robaka rozgniotkowatego, jest podług badań autora ruchomém oczkiem. Znajdujemy go prawie zawsze w nabrzmiałościach skóry brzusznej wielu ryb morskich, mianowicie wątluszów (*Gadus*), naplunów (*Trigla*), morskiego węgorza (*Muraena conger*) i t. d.

W trzeciej rozwinięcia się epoce, grzęz jest wolny, jednak zrazu podobny jeszcze owemu, który we wnętrzościach rozgniotkowatego się znajdował. Wnet rozwija się mu długo wyciągnięta tylna część ciała, powstają nacięcia poprzeczne, wykształcają się działy, zwierzę otrzymuje kształt robaka tasmowatego. Na tym stopniu rozwinięcia się opisany był jako *Botryocephalus*, albo przez nowszych *Rhynchobotrius*;

Znajdujemy go w kanale kiszkiowym płaszczyk i żarłaczów, pomiędzy pierwszymi zakrętami kłapy ślimakowatej.

Zwierzę czwartęj i ostatniej rozwinięcia się epoki, jest daleko prościej niż poprzedzającej. Ogólnie tworzy ono tylko jakby torebkę napełnioną jajami: składa się ona z jednego działu czyli pierścienia, jakby od tasemca odłączonego. Zwierzę takie Dujardin opisał pod nazwiskiem *Proglottis*; znajdujemy je w środkowej okolicy kanału kiszkiowego płaszczyki i żarłacza. To tak nazwane dojrzałe czyli dorosłe zwierzę, opatrzone jest zupełnymi organami rodniemi.

A zatem ten gatunek zwierzęcia występuje tu pod trzema zupełnie odmiennymi kształtami; jako *Scolex*, *Tetrarhynchus* i *Botryocephalus*. Dorosłe, jajami wypełnione zwierzę *Proglottis*, wypada z żarłacza albo płaszczyki z wyrzutami, i znowu przez mniejsze ryby bywa pożerane wraz z jajami. Jaja rozwijają się albo w cienkiej albo w ślepej tych ryb kiszce, a jeżeli te ryby zostaną wtenczas połknięte przez ryby inne, połknięte z niemi embryony rozwijają się dalej w kiszce ślepej u wielkiej ryby. Naostatek, przeszedłszy inoże wielokrotnie żołądek ryb innych, które się wzajem pożerają, gdy się staną wykształconem stworzeniem *Scolex*, przechodzą się przez ściany kiszek i gnieźdzą się pod skórą brzuszną; tam ukształca się na nich zewnętrzna pochwa a w jej środku ruchomy zapłodek, i ten jest grzezem. Ryby mające go w tym stanie, połkane są przez żarłacze i płaszczyki, mięso połkniętych rozkłada się w żołądku tych łupieżców, grzeż staje się wolny i w ich cienkich kiszkiach przechodzi w zwierzę postaci wykształconej, opatrzone przyrządami rodzimym, którego w dwóch dawniejszych kształtach nie miało.

Od jaja więc aż do zwierzęcia doskonałego, pasorzyt ten wędruje z jamy brzusznej jednej ryby, w jamę drugiej, i tylko tym sposobem może się zupełnie rozwinąć. Autor myśli, że wyłożona tu kolej rodzenia się, zdolna jest niemałe rzucić światło na zagadkową dotąd gromadę robaków. Lubo rozwijanie się robaków rozgniotkowatych znane jest dopiero niedokładnie, mamy już przecie niektóre pewne oparcia się punkta. *Monostomum mutabile* Siebolda, mięści

wewnątrz żywego robaka, którego Baer i Siebold z innemi, za potrzebnego pasorzyta mają. Jeżeli porównamy to *Monostomum* z drugą epoką życia u gręza, znajdziemy u obudwu zewnętrzną pow okę, przez wypocenie utworzoną, a w niej żyjącego robaka rozgniotkowatego (*Monostoma* albo *Amphistoma* le Blond) w tym zaś ostatnim znowu innego, to jest gręza (*Tetrarhynchus* albo *Sporocystis* niemieckich naturalistów).

A zatem postęp rozwijania się jest tu jednakowy: *Sporocystis* w *Monostomie* rozradza wewnątrz przez oczka mnóstwo ogonatek (*Cercaria*): i gręz tworzy tymże samym sposobem mnóstwo indywiduów nowych, które jednak, zamiast powstawać wewnątrz, tworzą się przez odpadanie prosto na zewnątrz. Ogonatki, utracając ogon, przekształcają się zaraz w gatunki motylic (*Distomum*); i członki gręza po odłączeniu się, kształt swój zmieniają; przechodzą one w dalszy stan, w *Proglottis*. U *Distomum* równie jak i u *Proglottis*, obiedwie płcie połączone są w indywiduum jednym; i u jednych i u drugich przyrządowi męzkemu niedostaje prącia (*penis*).

Autor udaje się jeszcze do porównania gręza z gatunkami rodz. *Strobila*, z torebkami u *Campanularyów* i *Tubularyów*, przedewszystkiem zaś z wydajęciami oczka pierścienicami. Analogia z temi ostatniemi okazuje się, jak sądzi, w sposób bardziej jeszcze uderzający.

Rozciągnąwszy te postrzeżenia na klasyfikacyą robaków, otrzymuje autor, zamiast pięciu dotąd przyjinowanych w tej gromadzie rzędów, tylko dwa: *Nematoda* i *Trematoda*. Rzęd *Acanthothecae*, jak już dawniej prace autora okazały, przechodzi do zawrybkowatych (*Lerniadae*); pęcherzykowate (*Cystidea*) są niedokładnie rozwiniętymi tasiemcowatemi (*Tuenioida*); tasiemcowate (*Rhynchobotrius*, *Taenia*, *Botryocephalus* i t. p.) odpowiadają przedostatniemu pokoleniu rozgniotkowatych, i wszystkie są niezupełnie rozwinięte. Jedne tylko *Acanthocephala* niejaką trudność sprawiają. Autor, przykładem Blancharda, zostawia je tymczasem przy nit-

kowatych; tym sposobem nitkowate zostają, a pęcherzykowate odpadają do rozgniotkowatych.

Zbierzmy krótko to cośmy dotąd powiedzieli:

1) Wyrzeczone na początku zeszłego wieku przez Mikołaja Audry, Vallisnieri i Ruyscha zdanie, że gatunki tasiemców są zwierzętami złożonemi, zdaje się być z terazniejszym umiejętnościami stanowiskiem zgodne.

2) *Tetrarhynchus* ma 4 rozwijania się epoki: z jaja rozwija się *Scolex*, z tego *Tetrarhynchus*, ten staje się tasiemcem (*Botryocephalus* albo *Rhynchobotrius*), a z tego robak rozgniotkowaty.

3) Rozwijanie się motylic i grzędów, przedstawia wiele podobności; *Monostoma* Siebolda jest to samo co *Amphistoma* le Blond, a icli *Sporocystis* to samo co grzęd; gatunki zaś motylic które się ze *Sporocystis* rozwijają, sąto członki grzęza.

4) Cały rząd *Cestoidea* musi odpaść; składa się on tylko z nierozwiniętych zwierząt, które pomiędzy robaki rozgniotkowate rozdzielić należy (*Fror. Not. no. 206 z Bulletin de l'Académie royale etc. de Belgique nr. 1, 1849*).

A. W.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1849.

WARSZAWA.

53. Powieści moralne dla dzieci, przez autorkę Pamiątki po dobrej matce. Wydanie nowe, poprawne, pomnożone i 4ma rycinami ozdobione. 16k a. Warszawa. 1849. Nakład Merzbacha. Druk Strąbskiego. Str. 185. Złp. 6.

54. Wybrzeża Renu. Wrażenia i wspomnienia z podróży. 8ka w formacie podłużnym. Warszawa. 1849. Nakład Merzbacha. Druk Strąbskiego. Str. 88 (z 20 tablicami rycin). Złp. 20.

55. Ustawy Warszawskiego Towarzystwa Dobroczyńności, przez Najjaśniejszego Cesarza i Króla w dniu 1 (13) Czerwca 1825 r. zatwierdzone. Warszawa. 1849 r. Druk J. Ungra. Str. 106.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

„Galerya Drezdeńska”, wydawana nakładem H. Natansona, doznała takiego przyjęcia, że obecnie już drugie wydanie wychodzi.

Wkrótce zaczną wychodzić w poszytach: „Życiorysy znakomych ludzi, wstawionych w każdym zawodzie”, z rycinami.

Józef Muczkowski wydał: „Wiadomość o założeniu Akademii krakowskiej”. Rozprawa arcyważna treścią i obrobcieniem.

F. Jezierski, autor: „Przygotowań do filozofii mowy polskiej”, wygotował do druku rękopis: „Serce i rozum”.

W końcu września b. r. wyszły z druku we Lwowie dwa dziełka: „Krótki rys grammatyki”, i: „Początki grammatyki języka polskiego, przez Dobromyśta Łazowskiego tcz. Prof. języka polskiego przy C. K. Gim. Akad. we Lwowie”. Mamy tedy już cztery grammatyki tegoż autora: obszerna z 23 arkuszy dla literatów i nauczycieli; skrócona z 17 ½ ark. druku, którą ciato (!) naukowe za dzieło elementarne dla liceum krakowskiego przyjęło, i dwie powyższe: pierwsza z 11, druga z 6 ½ ark. druku. Wykład w nich jest podzielony na cztery lata nauki, w tój nadziei, że za dzieła elementarne dla czterech klass normalnych, przyjęte będą.

W Wilnie J. I. Kraszewski zaczął wydawać swoim nakładem: „Athenaeum” w ozdobnym wydaniu. Poszyt Iszy już się ukazał.

W Poznaniu pojawiła się książeczka pod tytułem: *Myśli o stanowisku kobiet*. Przedmiot szeroki, z którego, podług słów recenzenta krakowskiego, autor korzysta, i od Adama i Ewy przebiega dzieje kobiety. Sądząc z szumnego nagłówka, powiada dalej, widzimy, że nasz poeta czy filozof siedzi na wieszczym trójnogu,

i nie dziw, że wszystko widzi okiem Pitonissy, a raczej najdobroduszniejszego optymisty.

W sierpniu wyszło w Krakowie w drukarni Józefa Czecha: *Albertrandego panowanie Henryka Walezyusza i Stefana Batorego*, podług wydania Onacewicza, z dołączeniem *Pamiętników hist. Stefana Batorego*, zebranych przez E. Raczyńskiego. P. Czech zamierza wydać niebawem: *Pamiętniki Ołfinowskiego*, ogłoszone dawniej przez tegoż, ale z mnóstwem opuszczeń i przerobień, które w wydaniu krakowskiem mają być uniknione.

Wyczytujemy w Pamiętniku gosp. darskim lwowskim nr. 33 b. r. ogłoszenie przedpłaty na dzieło obyczajowe i religijne, z podpisem Maryi hr. Ożarówskiej i Rozalii Dłuskiej. Myśl, która te panie pobudza do tego przedsięwzięcia, ma źródło bardzo szlachetne.

Roman Wawrzyniec herbu Korab Laskowski, znany autor licznych romansów, których zaletę publiczność nasza stosownie do ich wartości osądziła, napisał znowu powieść historyczną (sic), pod tytułem: „Michał Odrowąż” w 3ch tomach.

M. Studencki napisał: „O wychowaniu dzieci we względzie lekarskim, czyli sposób unikania chorób dzieci, rozpoznawania ich, leczenia środkami domowemi, ze wskazaniem przypadków, w których pomoc lekarska jest koniecznie potrzebną; oraz: Historia rozwijania się płodu ludzkiego”, z rycinami.

Jan Nepomucen Chądzyński napisał: „Wspomnienia Sandomierskie” i „Opis miasta Sandomierza”, które podobno niedługo mają być w Warszawie drukowane.

Józef M. Wiślicki, znany autor romansów także historycznych, jak np. *Starosta Rabsztyński*, *Zborowscy*, *Pani Orzelska* i t. p. wydaje teraz: „Opis Królestwa Polskiego pod względem historycznym, statystycznym, rolniczym, fabrycznym, handlowym, zwyczajowym i obyczajowym, z dwunastu rycinami, którego tomu Igo część Isha, zawierająca: Opis powiatu olkuskiego, w druku ukończona, niebawem prasę opuści.

We Lwowie zaczyna wychodzić polityczno-handlowy dziennik, pod tytułem: *Żydowska Poczta*. Każdy numer składa się z dwóch oddziałów: w jednym objęte będą polityczne i handlowe wiadomości, w drugim urzędowe rozporządzenia, okólniki, licytacje i t. p. Ogłoszenie opiewa, iż ten dziennik wychodzić ma w dyalekcie żydowskim (podobnym do zepsutego niemieckiego, a raczej holenderskiego języka), a to z przyczyny obszerniej literatury w tym języku i licznej czytającej ją publiczności.

Redakcja Biblioteki *Wawrońskiego*.



Sierpień 1849.

Dostrzeżenia w Obserwatorium

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 377 stóp paryzkich nad poziom morza,
czyli w łuku 18^o41'25,5" na wschód

Dnia	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0 ^o				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. Sredn. dzienna
	6	10	4	10	6	10	4	10	
	god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	
1	745.45	746.31	745.91	746.31	+12.3	+10.2	+19.9	+11.8	79.2
2	746.67	747.14	745.43	745.73	10.4	14.1	19.3	12.0	77.3
3	744.24	744.36	743.60	743.04	12.5	15.0	17.1	12.1	75.0
4	742.50	742.74	742.48	743.16	10.8	15.6	16.5	12.0	74.5
5	743.48	744.16	744.22	744.86	10.0	16.7	15.8	14.2	83.8
6	746.05	747.08	746.64	747.85	+14.4	+17.5	+21.7	+15.6	81.5
7	748.04	749.58	748.92	749.33	13.5	16.2	19.9	15.7	85.0
8	749.89	750.05	749.65	750.02	13.3	18.7	17.3	12.3	83.0
9	751.17	752.04	751.64	751.82	11.0	17.5	19.1	14.8	71.2
10	751.29	750.42	748.91	748.19	11.4	19.7	25.5	18.3	69.2
11	748.97	749.41	748.90	749.60	+15.6	+21.0	+20.7	+16.2	78.7
12	750.63	751.68	751.68	751.10	14.8	17.7	20.4	14.8	76.0
13	749.60	747.69	745.48	746.35	13.9	23.8	29.4	19.4	71.2
14	743.50	745.99	746.79	747.74	18.7	21.5	19.7	16.2	84.2
15	749.61	750.70	751.55	752.52	16.1	19.5	22.0	15.0	68.2
16	754.21	754.81	753.45	753.11	+13.4	+20.6	+24.0	+16.0	65.0
17	750.36	749.32	746.57	743.45	14.4	23.2	29.4	21.0	67.4
18	745.97	749.30	749.00	749.08	15.2	16.2	19.2	15.2	78.3
19	749.46	750.07	750.55	751.44	12.2	18.5	16.8	13.8	81.8
20	752.69	754.00	754.90	755.86	12.7	14.6	14.6	13.7	89.8
21	756.12	746.25	755.97	756.34	+12.5	+16.2	+18.3	+15.6	75.3
22	756.14	753.96	754.21	753.81	9.6	16.8	19.8	13.7	72.4
23	752.24	751.27	749.57	747.91	11.8	14.6	16.9	14.6	86.7
24	741.16	744.26	743.99	743.48	14.0	16.9	17.4	16.0	92.5
25	746.22	748.41	749.58	751.29	15.4	16.4	20.0	14.1	83.2
26	752.19	752.81	751.61	751.40	+11.2	+16.6	+20.0	+13.3	77.2
27	750.56	750.05	747.97	747.98	12.6	19.7	22.2	17.7	65.6
28	746.46	746.58	746.54	746.24	14.6	20.1	16.6	12.5	79.6
29	746.47	747.25	746.72	747.09	8.9	15.6	17.5	11.2	77.8
30	746.27	745.95	745.43	746.25	11.2	15.2	16.6	11.6	83.6
31	747.65	748.07	749.41	750.23	9.6	13.3	18.7	13.7	81.5
Śre.	748.718	749.181	748.621	748.793	+12.84	+17.58	+19.75	+14.65	77.9

Astronomicznem Warszawskiem.

jego szerokość geogr. 52^o13'5", długość w czasie 1^h 14^m 45^s,7
względem południka paryzkiego.

STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				wysokość wody spadłej w milim. z	
6	10	4	10	6	10	4	10	dé- szczy	śnie- gu
godz. rano	godz. rano	godz. wiecz.	godz. wiecz.	god. r.	god. r.	god. w.	god. w.		
pochmurny	napót pog.	napót pog.	pogodny	Z.	Z.	Z.	Z.		
napót pog.	napót pog.	napót pog.	pogodny	Z.	Z.	Z.	Z.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	napót pog.	Z.	Z.	Z.	Z.		
pr. pochm.	pr. pochm.	napót pog.	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		
mgła	pochmurny	dészcz	dészcz	Z.	Z.	Z.	Z.	1.2	
pochmurny	pochmurny	pr. pochm.	dészcz	Z.	Z.	Z.	Z.	8.6	
napót pog.	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.	4.6	
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pogodny	Z.	PnZ.	PnZ.	Z.		
poch. i mgła	pr. pochm.	napót pog.	pogodny	PnZ.	PnW.	Pn.	Pn.		
pogodny	pogodny	pochmurny	poch. dészcz	Z.	Pd.	Pd.	PdZ.		
pr. pogod.	napót pog.	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	PnZ.	Z.	7.3	
pochmurny	pochmurny	pr. pogodny	pogodny	Z.	Z.	PnZ.	PnW.		
pogodny	pochmurny	napót pog.	poch. błyska	PdW.	Pd.	PdZ.	—		
poch. i dész.	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	Z.	Z.	Z.	11.6	
pogodny	pogodny	napót pog.	pogodny	Z.	Z.	Z.	Z.		
pogodny	pogodny	pr. pogod.	pogodny	PdZ.	PdZ.	Z.	Pd.		
pogodny	napót pog.	napót pog.	poch. dészcz	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.		
dészcz	pochmurny	pochmurny	pogodny	PnZ.	PnZ.	Z.	Z.	2.4	
pochmurny	pochmurny	pochmurny	dészcz	Pd.	Pd.	PnZ.	Pn.	2.0	
dészcz	dészcz	dészcz	pochmurny	Pn.	PnW.	Pn.	Pn.	4.0	
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pn.	Pn.	Pn.	Pn.		
pr. pochm.	pochmurny	pochmurny	pogodny	Pn.	Pd.	PnW.	PnW.		
pochmurny	dészcz	pochmurny	dészcz	PnW.	PnW.	PnW.	PnW.	4.0	
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pn.	Pn.	Pn.	PnZ.		
dészcz dr.	dészcz dr.	pr. pochm.	pogodny	Pn.	PnZ.	Pn.	Pn.	1.0	
pogodny	pogodny	napót pog.	pogodny	PnZ.	PnZ.	Pn.	Z.		
pochmurny	napót pog.	napót pog.	napót pog.	Z.	Z.	Z.	PdZ.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pogodny	Pd.	Z.	Z.	PdZ.		
pr. pogod.	dészcz	pr. pochm.	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.	1.6	
dészcz	pochmurny	napót pog.	pr. pogod.	Z.	Z.	Pd.	PnZ.	4.0	
poch. mgła	napót pog.	pogodny	pogodny	Pn.	Pn.	Pn.	Pn.		

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	748.828	27	7.952
Najwyżej dochodził — d. 21 o g. 10 w.	756.34	27	11.265
Najniżej — — d. 4 o g. 10 w.	742.48	27	5.138
Średnia zmiana dzienna barometru	2.65		1.18
Największa zmiana dzienna barometru d. 16—17 o g. 10 w.	9.66		4.28
Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 23 lat poprzedzających	0.61		0.27
Średnia temperatura Sierpnia wynosi:	749.438	27	8.222
i ta jest niższą o	+ 16° 205 C.	+	12° 96 R.
od stanu normalnego z 23 lat poprzedzających	1.949 „		1.56 „
Największe ciepło dochodziło d. 13 i 17 o g. 4 w.	+ 18.154 „	+	14.52 „
Najniższe d. 31 o g. 6 r.	+ 29.4 „	+	23.52 „
(Termometrograf wskazał:	+ 9.6 „	+	7.7 „
Maximum: + 24.°5 R. d. 13 i 17 po poł.			
Minimum: + 5.°8 R. d. 4 z rana.			
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.33 „		1.86 „
Największa zmiana dzień. d. 17—18 o g. 4 w.	10.2 „		8.16 „

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 77,9 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 10,84 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest blisko o 5 setnych większa niż w stanie normalnym.

Wody z deszczu spadło wysoko na 52.5 millim. czyli 23.26 linii paryzkich, to jest o 9.42 linii paryzkich mniej jak zwykle.

Dni pogodnych było 3; napółpogodnych 12; pochmurnych 17.

— deszczu 13 (d. 5, 6, 10, 11, 14, 17, 18, 19, 20, 23, 25, 29, 30).

— mgły 2 (d. 9, 31).

Błyskawic bez grzmotu 1 (d. 13).

Błyskawic i grzmotu 3 (d. 14, 17, 30).

Wichrów nie było.

Wiatr panujący był Zachodni; częste były także Północne.

Sierpień r. b. był niepogodny, znacznie chłodny i wilgotny; średnia jego temperatura jest o półtora stopnia niższa jak zwykle. Pierwsze dziewięć dni i trzy przedostatnie były chłodne, dwanaście zaś dni od d. 10 do 22 ciepłe. Najcieplejsze dni były: d. 10, 11, 13, 14, 15, 16, 17, osobliwie dwa dni 13 i 17 były bardzo gorące. Najzimniejsze d. 1, 2, 4, 20, 29, 30. Deszcze padały często, i te przy wietrze północnym znacznie oziębiały powietrze. Pod względem hygrometrycznym, miesiąc ten znacznie się różni od lat innych; wilgotność jego bowiem jest o pięć setnych większa jak zwykle.

Dnia 14 z rana padał deszcz ulewny wśród grzmotów i błyskawic.

D. 17 w wieczór błyskawice powtarzane, w nocy grzmoty, błyskawice i deszcz.

D. 20 przez cały prawie dzień deszcz drobny padał.

D. 30 po południu grzmoty, błyskawice i deszcz.

WYJĄTEK

Z FILOZOFII UMNICZEJ,

przez H. L.

Wstęp.

Puszczamy się w strony filozofii, dotąd przez nikogo niezwiędzane. Jestto jeszcze las dziewiczy, którego same tylko były znane krańce, ale w głąb którego nikt się nie zapuszczał; albo dlatego, że nic tam nowego znaleźć nie spodziewał się, albo też, że przez tę ciemnię drzew nie dopatrzeć nie mógł. Las ten odwieczny, odpotopowy, to *filozofia kształtów i czynów*, narosła dziko rosnącą rzeczywistością, przeczuwana i przepowiadana przez niektórych, którym filozofia samą myślą nie wystarczała. Domyślano się jak za czasów Ferdynanda i Izabelli, że krom owego Platonowego i Arystotelesowego świata, ową znaną ziemi starożytną filozofii, co i w nowszych czasach to samo nosiła oblicze *realizmu i idealizmu*; że poza tym nieprzejrzanym oceanem myśli, musi być jeszcze inna ziemia, świeża, nowa, bogata, samorodne złoto wydająca—nowy świat filozofii. Torujemy tu sami sobie drogę, i może jak Kolumb, nie natrafimy na sam

ład stały, ale na pierwsze jego wyspy, którebyśmy także chcieli nazwać „*San Salvador*”.

Z drugiej strony, nie jesteśmy bez pomocy. Cała dotychczasowa filozofia *mysli*, jest nam igłą magnesową, przewodną po tych okolicach bez toru i drogi. Nieocnione zasługi położyła tu filozofia idealna, a Hegla w szczególności. Na wielkiej wadze kładziemy także *Logikę* T. B. Jest w niej postęp filozoficznej myśli, i z rzadką jasnością wyklada rozwidnione nieprzejrzane pole myślenia.

Rozum, wyobraźnia i wola, jest trójcą władz duchowych, stanowiących jednego ducha; jest jednością zupełną i całkowitą, w której nie niema pierwszego, ani ostatniego, nic przedniejszego, ani pośledniejszego, ale każda jest odwieczną, równą i niezmierną potęgą: albowiem wszystko troje jest jednym duchem. Wszelako biorąc rzeczy względnie, zwłaszcza ze stanowiska uważania ludzkiego, rozum jest pierwszy, wyobraźnia drugą, a wola trzecią z kolei. Bóg rzekł pierwszego dnia stworzenia: „Niech się stanie światło“ i stało się światło; i dopiero potem następowały inne dnie stworzenia, aż naostatku stworzył człowieka, a z nim wolę ducha. To téż filozofia rozumu najsamprzód się pojawiła światu, i poczynawszy od filozofii greckiej, przez średnie wieki i nowsze czasy, aż do Hegla, uprawianą była sama niwa rozumowa. Nie dziwny się, że dwa tysiące lat było téj pracy. Jak w niezmierności światów, światło promienne, ubiegające czterdzieści tysięcy mil na sekundę, potrzebuje tysięcy lat, aby z oddalonych słońc do nas doszło; tak w niezmierzonej mądrości Boga, której odblask w rozumie ludzkim płonie, nieskończone są gra-

nice tego światła, i cony lat, ani ludzkość cała wyczerpnąć go nie potrafi.

Filozofia nowa nie wylonia się zatem z objęć rozumu, ani przestaje rozświecać jego okolic, bo tylko o świetle jego pochodni potrafi dalej kroczyć; bezeń, nie widziałyby nic przed sobą i nie poznawała nic. Filozofia nowa nie przestając być filozofią rozumu, wypiera się tylko jego jednostronności; zaprzecza dotychczasowej filozofii niemieckiej, aby duch był *samą* tylko potęgą rozumu, a samo myślenie całą jego wypełniało istotę; twierdzi, że wyobraźnia i wola równorodnymi i równowładnymi są potęgami duchowymi, i że jak dotąd była filozofia rozumu, być powinna także filozofia wyobraźni, i filozofia woli.

Dotychczasowa filozofia zaglądała także w te okolice, ale mimochodem. Wyobraźnię uważała na zbyt podrzędném stanowisku jednej z władz duszy naszej, zrobiła ją łgarką, poetką, żonglerem ducha człowieczego, i z macierzyńską troskliwością ostrzegała rozum, owego pierworodnego syna i mojarata duchowego, aby się czarownym umizgom tej płochłej siostrzycy uludzić i obalamucić nie dał. Ani się domyślała, aby wyobraźnia odgrywała rolę w przedmiotowych utworach, np. w religii, państwie, dziejach, a nawet w filozofii samej. Filozofia wyganiając wyobraźnię, jako nierządnicę z domu swego, nie wiedziała o tém, że ona całe jej gospodarstwo prowadzi i rządy domu sprawuje. Za straszliwą okrzyczanoby herezyą, za bluźnierstwo klątwy warte, gdyby się kto był ważył nawet pomyśleć, że wyobraźnia jest także własnością bezwzględnego ducha, że jest współistotną rozumowi i porówną koniecznością natury ducha.

Najnowsza filozofia niemiecka wyszła z ciasnego zakresu samej metafizycznej myśli, i sięgła w rzeczywistość obszary upostaciowań duchowych; wydała nawet filozofią dziejów, filozofią prawa, filozofią religii, filozofią natury i filozofią sztuki. Sąto powiaty twórczości, właściwe dziedziny wyobraźni, jako twórczej i kształcącej potęgi. Ale czyto uprzedzenie, czy niedojrzenie umysłu, nie uznawano tam jej panowania. Szukano w tych okolicach rzeczywistości duchowych, samej myśli, samego rozumu, i znajdowano rzeczywiście w nich i myśli i rozum, bo nic niema na ziemi i niebie, gdzieby ich nie było; ale nie pytano się z kąd się brały te kształty, z kąd się wzięła ta postać rzeczy. Łudzono się, że je sama myśl wywołała do bytu; choć myśl jest tylko *pojęciem, sądem, wiedzą*, i jak to zaraz okazemy, siebie samej nawet do bytu wywołać nie może.

Filozofia woli obszerniej była traktowana, i dano jej nazwę *filozofii moralnej*. Wszakże temu samemu ulegała niedostatkowi, ograniczona na sam zakres woli człowieka, i na pojmowanie się rozumu w przedmiotowych prawidłach tak moralności, jak uobyczajenia. Wola była pojęta, jako poddanka rozumu, wielokroć bunt przeciw lennemu panu swojemu podnosząca, którą dlatego poskromić lepszym przekonaniem należało. Każdy widział na oczy jej panowanie, mówił o *woli narodu*, zdawał się na *wolę Boga*; a jednak nie pojmował woli poza zakresem *psychologicznym*, i nie przyznawał jej współistoty z duchem, nie domyślał się, aby była jedną osobą jego trójcy.

Filozofia wyobraźni i filozofia woli były zatem odłożonemi polami w dotychczasowej filozofii, nieznaną jej żadną inną potęgą ducha na równi z rozumem; poj-

mującej istotę ducha tylko jako rozum, i upatrującej wszędzie i zawsze same tylko prawa rozumu, samą myśl ducha. Filozofia w takim znaczeniu słusznie się nazwała *mysleniem myślenia*. Co na tém polu dwa tysiące lat pracy zdziałały, jest wielkie i niezmierzone, choć coraz więcej na niem jeszcze zdobywać filozofowie mogą i zdobywać będą. Bo przerzucując się nawet na inne pole, bierzemy rozum ze sobą, i tylko o jego świetle możemy rozpoznawać i pojmować; a co rozpoznamy i odkryjemy, rozjaśni oraz samą istotę rozumu.

Filozofia nie przestaje być *filozofią*, choć nie same prawa rozumu będzie miała za przedmiot, choć w duchu i w uzewnętrznieniach się jego, nie samej potęgi rozumu, ale i innych potęg będzie dociekała. Jako duch *jeden* jest we trzech swoich potęgach: rozumu, wyobraźni i woli, *jeden* w odwiecznej swojej pracy myślenia, tworzenia i wykonywania; tak i praca filozofii, którójkolwiek z tych potęg wyłącznie się poświęci, zawsze wszystkie trzy mieć będzie w robocie: i nietrudno nam będzie dowieść, gdy bliżej rzecz rozjaśnimy, że nie byłoby filozofii rozumu, gdyby jej nie była dopomagała i potęga wyobraźni, i potęga woli duchowej. Filozofia rozumu, zbyt zajęta swoim tylko przedmiotem, nie widziała tych pomocników, jak człowiek nie widzi ni powietrza, którém oddycha, ni ciepła, bez którego żyć nie może.

Pierwsze pytanie, jakie nam się nastrecza, i które każdy zapewne uczyni, leży w samym twierdzeniu, że duch jest jednością trzech potęg: rozumu, wyobraźni i woli, równych i współistotnych sobie. Gdybyśmy to twierdzenie tu zaraz na wstępie w pytanie obrócili i rozwiązać chcieli, rzecz byłaby niepodobną, bo cała nasza filozofia będzie dopiero tego twierdzenia dowodzeniem,

a zatém i tego pytania rozwiązaniem. W samym końcu dopiero poznamy jego prawdę, gdy rozwinięte we wszystkich swoich szczegółach, da nam jasne i zupełne przekonanie. Niepodobieństwo leży w naturze rzeczy; co jest wypadkiem samego końca, nie może być jasne i widoczne na samym początku, choć jest wstępem do całości i jój ciągłym sternikiem.

Lecz jeżeli nie możemy utrzymywania naszego zaraz na wstępie dowieść, przynajmniej możemy powiedzieć, jakieśmy do niego doszli, aby się nie wydawało, że nam z nieba spadło.

Filozofia rozumu wzbiła się do wysokości pojęcia samego ducha, uważając go na trzech stanowiskach: jako ducha jednostkowego (*subjektowego*), jako ducha przedmiotowego (*objektowego*) i jako ducha bezwzględego (*absolutnego*), i uważała rozum, albo gdy chcesz, *myślenie*, jako istotę jego.

To cała treść téj filozofii, to jój jądro, w którym ześrodkowana bogata i płodna rozłożystość wiedzy, rozrost dwudziestowiekowy organicznego myślenia. Myślenie tak bezwzględnie pojęte, wzięło swój początek z zastanowienia się nad *jednostkowym* myśleniem. Bo tylko człowiek myśląc, ma oraz wiedzę téj czynności ducha swego. Inne wszelakie myślenie, jeżeli jest, przechodzi zakres jego wiedzy. Każdy filozof wychodzi zatém z siebie, bo nie ma z kąd wziąć innego początku; w nim jednym jest tylko wiedza siebie, a zatém i wiedza początku. Ztąd każdy początek filozofii, a i każdej nauki, by téż najbardziej przedmiotowej, jest jednostkowej, czyli podmiotowej cechy. Niektóre filozofie, wypowiedziały to nawet jasno, jak np. owe głośne prawidło starożytnéj mądrości: „*Znaj siebie samego*”, albo ów Karte-

zyuszowy zaczątek wszelkiej jednostkowej pewności: „*myślę, a więc jestem*”. Kanta rozbiór czystego myślenia, Fichtego wyjście z najogólniejszego równania: $ja = ja$; nareszcie Trentowskiego wstępień do Logiki, zawarty w słówku „*jestem*”, wypowiadają ten sam jednostkowego myślenia charakter.

Musimy więc i my także wyjść od siebie, pojrzyć w ten własny świecik ducha naszego, zanim pojrzymy w wielki świat duchowości zewnętrznej, zanim dojrzym istoty samego nieskończonego ducha.

Wpadamy tu najprzód na trop, wiodący nas bezpośrednio na obszerny gościniec saméjże filozofii myślenia. Człowiek jest ciągłym i nieustannym myśleniem: myślą wszystkiego bada, docieka, obejmuje, pojmuje, rozważa, sądzi, wnosi, poznaje; wszystko u niego staje się myślą. Świat cały, Bóg sam, jest jedną myślą. Wszystko się od myśli rozpoczyna i myślą kończy; myśl siebie wszędzie i zawsze znajduje. Jak błyskawica przenika czas i przestrzeń; nic jéj lotu nie ogranicza. Rozjaśnia ciemnie, sięga gdzie zmysł nie sięga, i samego ducha obejmuje. Dla téjto potęgi, siły i żywotności myśli, uważano ją za sam żywot ducha człowieczego, za jego całkowitą istotę. Z myśli jednostkowych zlewała się *myśl przedmiotowa* w narodach, ich państwach, instytucjach, i dała pojęcie istoty *ducha przedmiotowego*. Nie było tu można pojąć go w indywidualności. Wszakże myślenie raz położone za całkowite wypełnienie istoty ducha, naprowadzać musiało i tam na jego pojęcie, gdzie się myśl w pewnych kierunkach ducha przedmiotowo objawiała, np. w prawie, w religii, w sztuce i t. p. *Duch przedmiotowy jest idea, a idea myśleniem w przedmiotowości*. W całej naturze, w nieskończonych regionach

wszczęświatów, dysze takie myślenie. Bo objawia się wszędzie cel wielki, tak w atrakcyi ziarnka piasku, jak w grawitacyi słońc i planetów—cel osłaniający mądrość nieskończoną, którą myśl nasza poznaje i podziwia.

W całej ludzkości i zapewne w twórcach myślących wszystkich słońc i ciał niebieskich, rozłania się myśl organicznym rozwojem do coraz obszerniejszej wiedzy, do coraz doskonalszego pojęcia. Jedno i drugie, nieskończone i wieczne, dało pojęcie *nieskończonego i bezwzględnego ducha*, pojęcie niezmiernego Boga, którego objawieniem jest świat bez końca i ludzkość bez końca. Mądrość nieskończona, czyli myślenie bezwzględne, było i tu jedyną istotą Boga. Oto stopniowanie filozofii rozumu, czyli filozofii myślenia, biorące początek z rozpatrzenia się w naturze jednostkowego myślenia.

Lecz zapytajmy się: coto jest *myśl*, tak nam doręczna i powszechna? Jestto pomysł, sąd, zdanie, objawione wyrazem, czyli znakiem zewnętrznym.— Czy i te znaki, te symbola, są także myślą? Odpowiedź na to łatwa: że znak nie może być téj sumej natury, co przedmiot którego jest znakiem, bo inaczej przedmiot samby się naznaczał i nie potrzebowałby znaku. Powiedziano nieraz, że myśl jest duszą wyrazu, a wyraz ciałem myśli. Niechby i tak było, to i w takim połączeniu duszy z ciałem, jednego za drugie braćby nie można. Lecz wyraz, symbol, pomnik jakikolwiek, wreszcie znak myśli, jest tylko dla *naszej* myśli znakiem; nie nosi zatem duszy *w sobie*, ale ją ma *w nas*; jest więc w daleko wyższym jeszcze stopniu wyosobnionym od myśli. Powiadają atoli dalej: myśl go do bytu wywołała, on jest jój utworem, jój dziełem. To twierdzenie mija się już z prawdą i na złudzeniu polega. Zapewne, że myśl

jest wszędzie, tém więcéj musi być w wyrazie, którym się wyraża. Ale dlatego, że myśl go zapelnia, nie idzie za tém, aby go utworzyła. Myśl w tém właśnie pokazuje niemoc swoje, że się jako myśl objawić nie może; że czysto duchowa, oderwana jéj istota, jako taka okazać się nie potrafi: ale aby wyjść z siebie, wyjść na pojaw, ukazać byt swój, potrzebuje wyrazu, znaku, coby jéj dał ciało, a z ciałem byt rzeczywisty i mieszkanie doczesne i nieśmiertelność. Co czego potrzebuje, tego sobie stworzyć nie może, ale musi wziąć z kądinąd. Niedostatek nie może siebie sam wypełnić. Dlatego i myśl będąca w niemocy, w niedostatku pojawienia się na zewnątrz, jeżeli się przez znak nie wyrazi, nie może tego stworzyć, czego jéj niedostaje. Myśl z siebie znaku, ni wyrazu na żaden sposób wyprowadzić nie może; bo nie ma ani środków, ani materiału do tego: bo jest wewnętrznością, a wyraz jest zewnętrznością; tam jest idealność, tu realność, dwie zupełnie przeciwne natury i jedna drugiej nie może być ani córą, ani matką. Musi zatem być inna potęga ducha, pośrednicząca między temi obiema naturami, która buduje ciało dla duszy, wyraz dla myśli.

Wpadłszy raz na trop niedostateczności saméj myśli, ścigamy ją daléj w tym kierunku. Powiedzą może obrońcy jedynowładztwa rozumu i despotycznego panowania myśli, że myśl wyrazu, ni znaku dla siebie nie potrzebuje, bo to tylko zmysłowe formy dla zmysłowych ludzi—pomocniki zaciężne, idące w pomoc ograniczonym przez ciało zdolnościom ducha, będącego samą myślą. Odpowiadamy im na to, że co nie ma *pojawu*, to nie ma i *bytu*. Bóg sam nie istniałby, gdyby się wciąż nie ob-

jawiał. Cała potęga, cały żywot myśli, na jój zewnętrzném objawieniu się polega; myśl grzmi słowem, a jak piorun uderza czynem. Nasza ograniczoność, stawia wprawdzie granice myśli; ale pojaw jój nie dzieje się w skutek tego ograniczenia, ale w skutek konieczności jój istnienia. Z bytem myśli koniecznie jój pojaw połączamy; bez pojawu, nic nie istnieje. Nietylko więc zewnątrz nas myśl obleka się w znak, w wyraz, w ciało, aby się pojawić mogła; ale i w nas samych, wewnątrz naszego ducha, potrzebuje form dla wyrażenia się. Dopiero w tych formach i przez te formy, myśl zbudza się i wiedzą się staje. Myślenie inaczej jest niepodobne. Dość długo w zeszłym wieku rozprawiano o tém, ożali człowiek wyrazami, to jest słowami mowy, myśli. Wszystkie te rozprawy byłyby niepotrzebne, gdyby się zastanowiono nad naturą myśli, w sposób dopiero wyłożony. Człowiek nie może inaczej myśleć, tylko przez znaki myślenia, czyto niemi będą słowa mowy ustnej lub pisanéj, czy téż obrazy całe, będące równie wyrazem myślenia.

Kiedy taka jest konieczność myśli, że ani zewnątrz, ani wewnątrz nas, bez wyrazu pojawić się nie może; widzimy oraz, że w ogólności bez zewnętrznego znaku, ani z nicości swojej powstać, ani się porodzić, ani niemowlęcego kroku postawić nie jest zdolną. I taż to jest wielowładna pani, co sama jedna berło ducha dzierżyła, sama jedna wypełniała jego istotę, niby cełę zakonną, wiodąc w niój żywot samotny?

Pierwotnymi wyrazami wewnątrznie objawionéj myśli są wyobrażenia, obrazy świata zewnętrznego, i na sposób tegoż świata, upostaciowione wizerunki świata wewnętrznego, *ogólniki* i *idee*, niejako jój *triarii* i *hasta-*

li w niepoliczonym wojsku pomysłów, na które przecież, acz są duchowej natury, duchowego niema wyrazu, i znaku na nie u rzeczywistego świata myśl pożyczać musi. Cóż te wyobrażenia formuje i składa, w które się myśl obudzona ubiera? Nie ona, z téj saméj przyczyny, z jakiej wewnętrzny wyraz z siebie dać nie mogła, ale znów inna siła ducha, której obrazowanie, kształcenie, formowanie, zgoła tworzenie, osobną jest pracą i osobnym wydziałem. Znamy tę siłę. Jest nią wyobraźnia. Rozum samowładny poczytał ją za jedną z najniższych sług swoich, a my ją oglądamy, jako równiankę jego, jako jego żonę, o równych prawach, jako matkę wszystkich pomysłów, z ojca rozumu spłodzonych.

Ważne z tak zmienionego stanowiska, jakie zajmuje rozum do wyobraźni i wyobraźnia do rozumu, wypadają następstwa.

Obok pierwiastku ducha myślącego, pojmującego, sądzącego, rozumującego w ogólności, postawionym został pierwiastek tegoż ducha, innéj natury, oblekający myśl w ciało, dający jej wyraz zewnętrzny: — pierwiastek kształcący, formujący, obrazujący, twórczy w ogólności; płodna matryca wszystkich pomysłów, wszelakich pojavów, w których się myśl ducha wytłacza. Myśl pojęta dotąd w oderwaniu swoim (*w abstrakcyi*), znalazła żywiołku rzeczywistości i stała się zdolną pojawu, uzewnętrznienia i kształtu.

Widzimy oraz, że między pierwiastkiem myślącym i kształcącym, nierozzerwana panuje jedność, że oba są razem czynne. Jak w naturze światło i ciepło razem powstaje, i niema przedziału między jednym a drugim; podobnie jednocześnie przenika się działanie rozumu

i działanie wyobraźni. Nie można powiedzieć co jest wcześniejsze, a co późniejsze. Gdzie jest wrażenie, obraz, znak, tam już jest i myśl, a gdzie jest myśl, tam już ma i wyraz swój. Nie ma pojawu bez myśli, myśli bez pojawu. I rzecz to bardzo naturalna.

Powtarza się tu tylko odwieczne prawidło, że *nie ma treści bez formy, ani formy bez treści*. Myślą odrywamy jedną od drugiej, ale rzeczywiście jedna bez drugiej istnieć nie może. Czemże jest myśl, jeżeli nie treścią, czem wyraz jej, jeżeli nie formą? Wyobraźnia jest zatem w duchu jednostkowym równie istotną jak rozum; jest bowiem władzą, potęgą, nadającą formy treściom ducha rozumowym, wyprowadzająca je czarodziejską siłą do bytu, do pojawu; jest rozumu kształtem, postacią, ciałem. Jako taka, i jako równoczesna działaniom rozumu, jest jego równiennicą; uwarunkowana przezeń, jest zarazem i jego warunkiem. Jako należąca do istoty ducha jednostkowego, i wypełniająca jedną jego potęgę, jest oraz rozumowi współistotną. Wraz z nim stanowi dwóję potęg zupełnie sobie współrzędnych i przenikających się nawzajem, będących jednością istoty ducha. Wyobraźnia, uważana zwykle jako władza *duszy*, w znaczeniu podrzędnym psychologicznym, na podobieństwo pamięci, nabiera u nas znaczenia władzy *ducha* i stanowi podobnie jego istotę, jak rozum ją stanowi.

Najważniejsze atoli następstwo, da się już na tym miejscu wskazać, choć nie przeprowadzić. Istota ducha jednostkowego, pojęta tylko jako rozum, była samą myślą, była oderwaniem. Zyskała wprawdzie wyraz i pojaw w życiu tego i owego człowieka; ale to był pojaw chwilowy i przypadkowy. Gdy ustało życie, a ciało się w proch rozsypało, duch jednostkowy nie miał już wy-

razu swego, co mu byt nadawał, i istniał tylko w pojęciu oderwaném, wyrazem, jaki nabył dawniej; istniał myślami, które się pojawiły i w pamięci utrzymały; istniał wspomnieniem, pamiątką; miał nieśmiertelność dziejową, albo taką, że myśl jego inne zapładzała myśli, i utrzymała się jako kropelka w oceanie myślenia ludzkiego. Wiedzy siebie tam nie było i być nie mogło, bo nie było osoby; a nie było osoby, bo nie było kształtu, formy. Nie było zaś formy zewnętrznej, bo jej sobie myśl sama i rozum sam nadać nie potrafił. Nie było już po śmierci człowieka, osobistego ducha: bo osoba, to dusza z ciałem połączona, treść z formą swoją. Nie było więc nieśmiertelności jednostkowego, wiedzącego się ducha. Do takiego wypadku przyjść koniecznie musiała filozofia niemiecka, jak się to już w krytycznej części tego pisma okazało (1).

Myśmy w istocie ducha podmiotowego, odślonili drugą jego potęgę: władzę formującą i kształcącą. Istota ducha, nie rozplynie nam się zatém w samo oderwanie, w mgłę nieoznaczoną saméj myśli: bo wiemy już, że póki duch jest myślą, myśl ta zarazem musi mieć pojaw i wyraz swój, a mieć go może i musi, bo w téj istocie myślącej, jest oraz istota formująca i kształcąca. Już więc na tém miejscu uczynić możemy wniosek, że skoro duch siłą wyobraźni, każdą myśl z treści jego płynącą oblekał w postać i ciało; sam bez postaci i ciała nie będzie, ale że tą samą potęgą istoty swojej, nada sobie także kształt i wyraz, i że po rozwiązaniu się ciała, które było jego mieszkaniem, nie przestanie być jednostką wiedzącą się, a tém samym nie przestanie być osobą nie-

(1) Filozofia i krytyka tom I.

śmiertelną. Jestto dopięro wniosek, skazówka, ale nader ważna, bo pokazuje żeglującój myśli, w którą stronę ma płynąć dla zdobycia na nowo nieśmiertelności, utraconej przez filozofią rozumu.

Także druga żywotna kwestya, osobowości Boga, na ten sam sposób już tu się rozwija. I duch bezwzględny, pojęty jedynie jako mądrość, jako rozum nieskończony, nie mający ani początku, ani końca, musiał się rozwiać w mare abstrakcyi. Wszędobecność jego, to myśl boża wszędzie utkwiona, mądrość jego z najdrobniejszych i najogromniejszych dzieł stworzenia przegładająca. Żywot jego, to żywot wszystkiego nicogarnionego przyrodzenia. Wiedza jego, to wiedza wszystkich światów ludzkości, czyli tworów wiedzą obdarzonych. Takie rozlanie się Boga w całej naturze i w ludzkości, nazywa się *Panteizmem*. Pytasz o osobę Boga, powinienbyś powiedzieć w następstwie: że jest, jako osoba człowieka, z duszy i z ciała złożona; to jest, że ciałem jego będzie materyalne ciało całej natury, a duszą jego, téj natury siły i prawa i wiedza w ludziach. Wszakże filozofia rozumu brzydzi się takim materyalizmem, i taki dotykalny panteizm odrzuca, z którego najniedorzeczniejsze wyprowadzićby można wnioski (1). Atoli odrzucając takie materyalne pojęcie osobowości Boga, odrzucić zarazem musiała i osobowość, i nieoznaczenie, samo pojęcie nieskończonego rozumu, przyjąc za istotę bezwzględnego ducha, którego prawa konieczności są w naturze, a wiedza siebie w ludzkości. Każdy zrozumieć, że przy

(1). Zobacz moje rozprawę: *de Pantheismo in Philosophia*, w której jest obrona filozofii spekulacyjnej od zarzutu tak materyalnie pojętego panteizmu.

takiem pojęciu ducha, o osobie mowy być nie może; co téż wyrażnie przez *Micheleta* wypowiedzianém zostało.

Uważając rzecz z naszego stanowiska, będziemy podobnie, jak w jednostkowym duchu, uczynić mogli wniosek na zewnętrzny, osobowy wyraz bezwzględnego ducha, jeżeli tylko dowiedzioném będzie, że w istotę bezwzględnego ducha, wchodzi współistotna rozumowi wyobraźnia. Jużemy powyżej wspomnieli o herezyi filozoficznej takiego pomysłu. Wszakże gotowi na pociski krytyki, jaka nas może czeka, poważamy się pomysł ten nieco rozświecić. Natura ducha jest wszędzie jedna i ta sama, różna tylko stopniem potęgi i rozwoju swojego. Na to się także zgadza filozofia rozumu, pojmująca ducha jednostkowego w téj samej istocie, co ducha bezwzględnego; zgadza się i religia ucząca nas, że Bóg tchnął w człowieka tchnieniem, czyli duchem swoim. Jeżeliśmy zatém, jednostkowego ducha poznali już jako dwójcę: z istoty rozumu i z istoty wyobraźni, stanowiących jedną istotę ducha; musimy w skutek tożsamości wszelkiej natury duchowej, przypuścić tę samą dwójcę w istocie ducha bezwzględnego. Niech ona się tam nie nazywa wyobraźnią, jeżeli nas ten wyraz razi, do samych stosunków ludzkich przywiązany, niech się nazywa siłą twórczą: byleśmy w niej widzieli ten sam pierwiastek, ubierający w ciało myśli boże, tę samą potęgę kształtowania, formowania, obrazowania, tworzenia w ogólności.

Ufny w tę potęgę twórczą, wywołującą każdą myśl bożą do bytu, powiemy jak dziewica Orleańska, na zapytanie złośliwych sędziów: ażali Michał archanioł, który się jój ukazał, był nagi: „czy rozumiecie, odrzekła, że Pan Bóg nie ma czém przyodziać świętych swoich?” Zaprawdę, byłby to Bóg zbyt ograniczony, gdyby wywoła-

wszy świat cały do bytu i pojawu, swojej własnej istoty, swojego bóstwa do pojawu wywołać nie potrafił, i był samym eterem myśli, z wiedzą u ludzkości pożyczoną, sam bez wiedzy, bez osoby, bez wyrazu istoty swojej boskiej. Duch bezwzględny, niezmierny i nieskończony w treści, musi mieć tej treści odpowiednią takąż formę; ale mieć ją musi, inaczejby treść jego nie była treścią. Oto i skazówka, gdzie i jak szukać mamy osobowości nieskończonego ducha, i ochronić się od idealnego, jak od materialnego panteizmu.

Między duchem bezwzględnym a jednostkowym, pośredniczy duch przedmiotowy (*objektowy*), który filozofia rozumu do wiedzy filozoficznej wprowadziła; i rzekłbym, że mimo wielkich jej złąd zastug, pojęcie to najwięcej się przyczyniło, że tak jednostronny, idealny i panteistyczny wzięła kierunek. Jedność osobowa człowieka, już tu nie miała miejsca. Rozbiła się na miliony atomów czyli jednostek, odpychających się nawzajem, i jedności materialnego ciała złożyć niezdolnych. A jednak nad temi wszystkimi sporadycznymi jednostkami, unosila się pewna, wyłącznego charakteru duchowość; dyszał żywot idei rozwijającej się przez pokolenia i wieki, niezawisłe od ludzi, wedle następstw koniecznych, z loicznej natury téjże idei podających się. *Idea* była myślą logiczną, oderwaniem, samą duchowością, a jednak była bytem, żywotem, rozwojem i rozkładem swych rozczłoń, rozrostem coraz większym i bujniejszym, duchowe owoce rodzącym. Tak się rozwijała idea piękna i wydała sztuki piękne; tak idea prawa, i wydała ustawy i formy rządu; tak idea obyczajowa, i wydała rodziny, narody i państwa. Byt jej był odwieczny, bo przed wieki było „słowo u Boga, a Bogiem było słowo“; istnieje

nie jój było niezawisłe, bo „wszystko, co się stało, przez nie się stało“. Idea z siebie sama się rozwijała, czepiąc się jak jemiola pokładów pokoleń ludzkich i narodów. Niema i nie będzie końca jój rozwijaniu się, bo naturą jój nieskończoność ducha, bez początku i końca. Ktoby tu myślał o osobowości, nie byłaby to kategoria ograniczająca duchową potęgę idei? Duchowość idei, tak idealnie pojęta, łatwo przerzuciła się z jednej strony na atom swój—na jednostkowego ducha; z drugiej na najwyższy rozmiar swój—na bezwzględny ducha, będącego ideą bezwzględną; i wyrzekniono, że *istotą ducha człowieka jest myślenie, a istotą Boga, idea*.

Na swoim miejscu odsłonimy słabe strony tego przedstawienia rzeczy, i wskażemy mylne pojęcie przedmiotowego ducha przez filozofią rozumu. I my pojmujemy tam idee, ale nie jako *ducha* przedmiotowego, tylko jako *duchowość* przedmiotową, będącą wyrazem, tak jednostkowego, jak bezwzględnego ducha, stosunkiem jednego i drugiego. Duchowość ta, nie jest duchem, nie jest całością, ni osobą: bo nie ma ześrodkowanej wiedzy w sobie, lecz *zewnątrz siebie* ma ją razem w Bogu i w człowieku. Wszelako jako duchowość, jako myśl płynąca z ducha bezwzględnego do ducha jednostkowego, i naodwrot, musi mieć pojaw swój. Musi zatem i w niej być siła kształtująca, musi być wyobraźnia, podobnie jak myśl z dwojakiego źródła wylewająca się, to jest z jednostkowego i bezwzględnego ducha. Dopóki istota ducha jednego i drugiego była ta sama, co istota idei: sama myśl, rozum, mądrość, jak to było we filozofii rozumu; dopóty nie było żadnej sprzeczności w uważaniu idei za ducha, który przedmiotowym nazwano. Na

naszém stanowisku, takie uważanie rzeczy byłoby niedorzecznością. Przedmiotowość duchowa jest tylko świadectwem ducha, bo właśnie dlatego, że treść jego, będąca rozumem, czy myślą pojawia się, pojawiona stać się musi przedmiotem świadczącym o duchu. Lecz duch, jako całość i osoba, jest tylko dwojaki: *jednostkowy*, uwarunkowany, czyli względny, i *jednoistny*, bezwarunkowy, czyli bezwzględny. Idea duchem nie jest i być nim nie może: bo nie jest ani jednostkową, ani jednoistną. Wszelako jako myśl, ma pojaw swój, a twórczynią tego pojawu, jest siła wyobrażania, będąca zlewem wyobraźni razem Boga i człowieka. Wedle boskiej wyobraźni, upostacia się to, co jest logiczną koniecznością w idei; wedle ludzkiej wyobraźni się kształtuje to, co jest w niej przypadkowością.

Na ten sam sposób natrafimy na *wolę*, jako na trzecią potęgę ducha, współistotną dwom pierwszym i dopełniającą trójcę jego istoty. *Filozofia woli*, da nam dopiero poznać ducha w zupełności i w całkowitej indywidualności, i podniesie się na stanowisko trójcy. Nie ma tego stanowiska filozofia rozumu; bo gdzie samo myślenie wypełnia całą istotę ducha, tam nie ma jęj trójcy rzeczywistęj, chyba tylko będzie trojaki objaw myślenia. Filozofia rozumu, ma stanowisko *jednojęj* ducha; jako *dwójcę*, pojmuje go filozofia wyobraźni; jako trójcę, filozofia woli.

Z tego wstępnego rozprawdzenia rzeczy, podaje się zarazem rozkład filozofii wyobraźni, na trzy osobne działę: 1) na filozofią wyobraźni jednostkowego ducha; 2) bezwzłędnego ducha; 3) przedmiotowęj duchowości.

W tych trzech działach, już będzie filozofia wyobraźni zastosowana, gdy ją uważać będziemy w osobném ua

każdém z tych trzech różnych stanowisk, nie pod względem ogólnej jęj istoty, ale pod względem jęj szczegółowych objawów, będących skutkiem jęj twórczości. Wszakże wyobraźnia, jako potęga ducha, może być podobnie, jak rozum, sama w sobie uważaną, bez względu na to, czy jednostkowemu, czy jednoistemu duchowi, czy téż przedmiotowej duchowości jest właściwą. Naukę o wyobraźni szczególną, poprzedza zatem część ogólna, do której przystępujemy.

FILOZOFII WYOBRAŹNI

CZEŚĆ OGÓLNA.

ZASADA FILOZOFII WYOBRAŹNI.

Każda filozofia szuka dla siebie zaczątku, i ogląda się za takim pewnikiem, któryby położyć mogła za podwal całego gmachu architektonicznego. Początek jęj powinien być nie tylko pewnikiem, ale oraz zasadą płodną we wszystkie umiejętności następstwa; powinien być jęj jądrem nasienném, z którego się całe rozłożyste jęj drzewo rozwinie. Widzieliśmy już na wstępie, gdzie tego pewnika każdy filozof szukać musi, i że go tylko w źródle własnej wiedzy znaleźć może. Nie musi to wszakże być wiedza jednostkowa, osobna, szczególna; ale taka, która oraz jest wiedzą każdęj innęj jednostki wiedzącej się. Z tego względu, każdy pewnik, musi być ogólnikiem z wiedzy ogólnej wypływającym. Filozofia myślenia znalazła, że tak powiem, samą siebie, wypowiedzawszy pewnik swój w zdaniu: *ja myślę*. Podobnie filozofia wyobraźni siebie sama znaleźć musi i wypowie-

dzić jądrową treść swoją, a razem pewnik swój, mówiąc: *ja wyobrażam*. Słowo zatem *wyobrażam*, będzie pewnikiem i fundamentem całej filozofii wyobraźni.

Rozpatrzmy się w jego znaczeniu, aby się przekonać, czy rzeczywiście jest taka jego ogólność, iż wszystkość w sobie ogarnia. Jeżeli jest rzeczą pewną, iż każdy człowiek jest myślący; równie musi być prawdą niezawodną, że każdy człowiek jest wyobrażający: bo każda myśl nie przychodzi do bytu bez wyobrażenia. Już Arystoteles (1) wypowiedział: że bez obrazu wyobraźni dusza myśleć nic nie może. Choćby nic więcej, każdy wyobraża sobie przedmioty zewnętrzne, które przez wrażenia drogą zmysłów odebrał; wyobraża sobie siebie i sobie podobnych ludzi; wyobraża sobie istoty wyższe i doskonalsze; wyobraża sobie nareszcie Boga, bez względu na to, jakie to wyobrażenie: zgoła, niema człowieka na świecie, któryby sobie czego nie wyobrażał, a zatem nie mógł powiedzieć: *wyobrażam*. Czy świat natury który nas otacza, to jest czy zwierzęta, rośliny, kamienie, podobnie wyobrażają sobie przedmioty, nie wiemy tego; ale to wiemy, że *siebie wyobrażają*. Każda rzecz, kamień każdy, ziarnko piasku przedstawia się i wyobraża tém, czém jest; a natura cała jest niezliczonością takich wyobrażeń. Bóg nareszcie sum z tego samego powodu, co i człowiek, jest myślący i wyobrażający razem. Każda myśl jego staje się ciałem, czyli przeobraża się w ciało. Świat nieskończonych tworów, co wyszedł z łona jego wszechmocności, jest wyobrażeniem mądrości jego, a pierwotwory czyli ideały tworów, były wy-

(1) Arist. de anima, III. 7.

obrażeniami Boga. Przed poczęciem się światów, Bóg je już wyobrażał, i wyobraża wciąż te słońca i planety, które się w niezmierności czasu i przestrzeni poczynają i tworzą. Bóg *wyobraziciel* jest, jako taki, Stwórca nieba i ziemi, i wszystkich rzeczy. Nie to, że Bóg jest, stanowi jego potęgę; ale to, że jest Stwórcą świata, że go *wyobrazil*.

Bóg zatem przedewszystkiém wypowiada o sobie: *wyobrażam*. Co jest przeszłość cała? oto wyobrażenia dokonane; terażniejszość jest nieustanném przeobrażeniem, przyszłość rozwija się z jednych wyobrażeń do drugich. Nic nie było i nie będzie, coby albo samo siebie nie wyobrażało, a tém samym nie dawało świadectwa, że z *wyobrażenia duchowego powstało*, albo coby samo nie było *wyobrażającym*.

Jako więc myśl jest wszędzie i zawsze, czyto jako przedmiotowa, czy jako podmiotowa, podobnie wszędzie i zawsze jest wyobrażenie, czyto *przedstawienie*, czy *przedstawiające*. Z téj ogólności wyobrażania, zachodzącego tak w duchu jednostkowym, jak w bezwzględnym, oraz we wszystkich duchowych pojawach, bo tém właśnie pojawieniem się wyobrażonych, wynika, że wyobrażanie jest *ogólnikiem i pewnikiem*, podobnym jak myślenie; a z tak ogólnej natury jego wnosić można, że równie obfitą będzie z niego roztocz filozoficzna jak z myślenia. Skoro więc duch wszędzie i zawsze wypowiada o sobie: *wyobrażam*, tém samym orzeka, że *istotą jego jest wyobrażanie* czyli tworzenie; bo nadawanie form i kształtów jest tworzeniem. A że istotą jego jest także myślenie: ztąd myślenie i wyobrażanie, są dwie współlistotne jego istnienia potęgi, i nazywamy je *rozumem i wyobraźnią*.

Jeżeli wyobraźnią, która dotąd tylko psychologiczną władzę ludzką wyrażała, weźmiemy w ogólném znaczeniu i nazwiemy ją *umem*, jak to niektórzy z pisarzy narodowych, występujący na polu filozofii, uczynili; jeżeli myśl jak jest w istocie, weźmiemy za treść i istotę rozumu: natenczas wyraz *umysł*, oznaczałby przeniknienie się myśli i umu, czyli *dwójcę* istoty ducha, wyrażającą potęgę treści i formy razem; jednę z dwóch biegunów polarnych, ku wyprowadzeniu do bytu wszystkiego życia, której tylko iskry elektrycznej—woli nie dostaje, aby byt ten stał się rzeczywistością.

Umysł zatem, jako jednia myśli i umu, jest wyższą potęgą i od rozumu, i od wyobraźni; jest możliwością, potencją wszystkiego, jako dwójca treść i formę ogarniająca: gdy tymczasem treść sama przez się i forma sama przez się, nawet możliwością nie jest. Jedna i druga jest oderwaniem (abstrakcją).

Umysł będący tylko potencją, stanie się rzeczywistością, stanie się duchem myślącym, wyobrażającym i działającym, gdy z nim złączy się wola, będąca ogniskiem żywota. Wtedy duch pojętym dopiéro będzie w zupełności, jako trójca trzech potęg współistotnych sobie, jako najwyższa doskonałość i rzeczywistość.

Stanowisko, któreśmy obrali, ma tylko umysł, a w szczególności *um* albo wyobraźnię za przedmiot. A że się *we filozofii woli* dobierzemy samego ducha, sądzimy więc, że nas o dualizmi nikt nie posądzi. Ponieważ *um* jest najogólniejszą nazwą potęgi ducha wyobrażającej, na wszystkich jego stanowiskach; przeto filozofią wyobraźni, zamiast ją po grecku nazywać *fantazyologią*, będziemy mogli nazwać stosowniejszym wyrazem *umnicstwa*, czyli *filozofii umniczej*; a że jest na stanowisku

dwójcy ducha, będzie oraz nosić nazwę *filozofii umysłowości*, czyli *filozofii umysłowej*.

Wzięliśmy za pierwiastek wstępny do filozofii wyobraźni słowo „*wyobrażam*”; można było za nie położyć także słowo „*umiem*”, w którym się *um*, jako źródłosłów znajduje. Rzeczywiście myśl, dopiero wtenczas, kiedy przez *um* przejdzie, czyli, kiedy wyobrażoną zostanie, staje się taką, o której powiedzieć mogą, że ją *umiem*, że jest *u mnie*, że jest moją własnością, moją przedmiotowością. Wszelka umiejętność dopiero więc z umysłem się poczyna; ani rozum sam, ani wyobraźnia sama jęj nie daje. *Umienie* jest takim samym ogólnikiem, co wyobrażanie. Niéma człowieka, któryby czegoś nie umiał. Z tego rodzaju umieniem, rodzi się dziecię każde i niepouczone przez nikogo, chwytą pierś i ssie z nięj pokarm. Nietylko zaś człowiek, ale i rzecz każda, i zwierzę każde wypowiada o sobie: „*umiem*”: bo każde ma pewne własności, stanowiące jego umiejętność. W najwyższej atoli potędze umiejętność jest u Boga.

Filozofia umnicza ma krom pierwiastku swego, z którego się wysuwa, inny jeszcze potężniejszy podwał, którego filozofia rozumu mieć nie mogła. Powiedzieliśmy już, że względnie rozum jest pierwszy, a wyobraźnia drugą; następnie, że wyobraźnia daje formę, wyraz, obłocz dla myśli; w końcu, że nie ma myśli bez wyrazu, ni wyrazu bez myśli. Z tego zatém wypada, że cała wyobraźnia jest tylko obłoczą rozumu, że jest kształtowaniem myślenia, że *przeto teoria myślenia, musi być podstawą teoryi wyobrażania*. Umnictwo ogólne niczém inném nie jest, jak tylko obleczeniem w szaty nagięj logiki myślenia. Wszystkie jęj prawidła znaleźć się dlatego

w umnictwie ogólném muszą, bo wiecznotrwałe posady myślenia, muszą mieć odpowiednie, i wiecznotrwałe posady wyobrażania. Już zatem Arystoteles utworował nam drogę do filozofii umniczej, a narodowy do niej ubił nam gościniec Trentowski, w pięknym całokształcie Logiki narodowej. Kładziemy ją téż dlutego jako podstawę naszej filozofii wyobraźni. Umnictwo nasze oprze się na myśleniu, jako na węgielnym swoim kamieniu, i na odwrót. Myślini znajdzie w umnictwie próbę działania. Jedna filozofia przez drugą się utwierdzi i okaże prawdziwość wypadków swoich; będzie to jak gdyby próba mnożenia przez dzielenie i dzielenia przez mnożenie, jeżeli się wielkie rzeczy z małemi porównać godzi.

Myślini bierze na wstępień słówko „*jestem*” jako prawdę najpiérwszą ze wszystkich prawd. Nic nad to ogólniejszego. Kto wypowiada: *jestem*, wypowiada tém słowem wiedzę siebie, a wiedza jest myślą; wypowiada zatem „*myślę*” — początek filozofii rozumu. Kto wypowiada: *jestem*, wypowiada oraz „*wyobrażam*”: bo gdyby siebie nie wyobrażał, nie wiedziałby o tém że jest, — początek filozofii wyobraźni. Kto nareszcie wypowiada „*jestem*”, wypowiada: *mam wolę*, bo gdyby woli wypowiedzenia tego wyrazu nie było, nie przyszłoby wcale do wyrzeczenia „*jestem*” — początek filozofii woli. Słówo *jestem*, jest więc pełném znaczeniem, i zawiera w sobie trzy pomienione pierwiastki: myślę, wyobrażam, chcę. Trentowski kładąc ten wyraz za podstawę logiki, uchwycił za wstępień samój rzeczywistości, za wstępień samego ducha: bo téż rzeczywiście tylko duch o sobie powiedziéć może „*jestem*”, jako Bóg w starym testamencie o sobie wyrzekł „*jestem, który jestem*”.

Tym zaraz początkiem wyróżnił autor filozofią swoją od filozofii niemieckiej czystego rozumu, i położył dla swojej budowy pełny i żywotny fundament. Grunt który obrał, jest gruntem samej rzeczywistości, i niebawem odstoniły mu się na nim trzy wielkie rzeczywistości: *Bóg, świat i człowiek*, dające trzy myśli logiczne, trzy *prawdowości*: *stnienia, istnienia i istnio-stnienia*. Tym sposobem autor Logiki od ducha zstąpił nazad do myśli, od rzeczywistości do abstrakcyi. I musiał to uczynić, bo pisał system myślenia.

Filozofia umnicza, mająca wyświecić sam tylko pierwiastek kształtujący ducha, nie mogła wyjść ze wstępnia, będącego bezpośredniem orzeczeniem się samego ducha. Lecz jako w pełnym pierwiastku ducha, w słówku *jestem*, znalazł się pierwiastek umnictwa; tak naodwrot w słowie *wyobrażam*, musi się odbić pełnia pierwiastku ducha: bo duch w każdej osobnej potędze swojej, w każdym osobnym kierunku wiedzieć się musi jako taki, i dlatego *wyobrażam* znaczy tyle, co *jestem wyobrażającym*. Znane prawidło grammatyczne, rozwiązujące każdy czasownik na łącznik (*kopulę*) i omówcę (*predykat*) wypłynęło z instynktowego, że tak powiem, pojęcia owój pełni ducha, która się wypowiada w słówku: *jestem*.

Rzecz bardzo naturalna, że skoro pierwiastek „*wyobrażam*” mieści się w pierwiastku „*jestem*”, i skoro jest tej samej rozciągłości i ogólności, choć nie tej samej isciżny i głębi; więc nas do tych samych doprowadzić musi rzeczywistości ukształtowanych, i odkryć trzy prawdy umnicze, jako *kształtości*, odpowiednie trzem *prawdowościom* logicznym. Jakoż, pojrzawszy głębiej w znaczenie słowa „*wyobrażam*” i biorąc je w rozumieniu

ogólném, odkrywamy najsamprzód podmiot (*subjekt*) wyobrażający, czyli w ogóle potęgę wyobrażającą, potem przedmiot (*objekt*) przez nią wyobrażony, czyli w ogóle przedmiotowość.

Subjekt wyobrażający, może być tylko jeden, bo gdyby był drugi, każdy z nich byłby tylko albo toż samo wyobrażającym, a zatem byłaby zawsze tożsamość potęgi wyobrażającej subiektywnej, albowy każdy z nich co innego wyobrażał, a natenczas potęga wyobrażająca nie byłaby potęgą bezwzględną, ale względną, częściową. *Przedmiotowość wyobrażona*, może być także tylko jedna, jako całkowity obraz potęgi wyobrażającej, ale w sobie może być nieskończenie rozliczna i następna. Różnica między subjektem a objektem umniczym, jest jeszcze i ta, że w pierwszym jest wiedza wyobrażania nieograniczona; w drugim zaś wiedzy nie ma, jako w dziele wyobrażoném. Ale, że przedmiotowość jest rozlicznością i następstwem, mogą być i takie przedmioty, które są nietylko *wyobrażonemi*, ale oraz *wyobrażającemi*. Przyjęcie tego rodzaju przedmiotowości jest nawet konieczne, albowiem subjekt wyobrażający, nie wyobraziłby się do zupełności, gdyby oraz i potęgi swojej wyobrażenia nie wyobraził. A zatem, obok przedmiotowości tylko wyobrażonej, tylko będącej przedmiotem, obrazem, musi być przedmiotowość i wyobrażona, i oraz względną potęgę wyobrażenia mająca; musi być obiekt względny, będący oraz względnym subjektem; musi być obraz obrazujący razem. Taki *objekt-subjekt*, leży także w znaczeniu wyrazu *wyobrażam*, bo w nim jest i znaczenie czynne wiedzącego się subjektu, i znaczenie niewiedzącego się obiektu, który się tylko przedstawia tém, czém jest, nie

wiedząc o tém, czém jest. Ztąd, że wstępnia naszego rozwijają się trzy możebne rzeczywistości:

I. Podmiot *wyobrażający* bezwzględny, czyli bezwzględna potęga umna, władza kształtowania i obrazowania niczém nieograniczona, nieskończone źródło stwarzania, nieprzebrane morze wszystkich form, wszystkich ideałów, wszystkich *idei Platonowych*, wszystkich *monad Leibnicowych*. Podmiot wyobrażający, sam jeden jako taki, jest w téj bezwzględności wyobrażania niezmierną potęgą kształtów: bo nic nie ma, co by go w téj potędze ograniczyć mogło. Jestto możebna rzeczywistość Boga, bo wyobrażająca się w nieskończonej potędze tegoż wyobrażania. Dlatego tylko możebna, bo Bóg w takiej potędze pojęty, nie jest jeszcze duchem i nie może o sobie wypowiedzieć „*jestem*”. Um boski, dopełniający się z myślą bożą, stanowi tu dopiero *umysł boski*, będący samą tylko możliwością. Dopiero w trójcy duch pojęty, będzie jako rzeczywistość.

II. *Przedmiotowość wyobrażona i wciąż wyobrażana*, czyli kształtowana, będąca potęgi wyobrażającej dziełem, a zatem podmiotu wyobrażającego odbiciem, wszystkich myśli jego wyrazem, znakiem, symbolem, cudną szatą mądrości, roztworzoną księgą wszechwiedztwa; przedmiotowość nieokreślona niczém, ani czasem, ani granicami przestrzeni, tak jak podmiot był nieograniczony. Odwieczna rozliczność obrazów, nieustanna zmiana form i kształtów postaci najmniejszych i największych: zgoła świat pojawów, przedstawiający się w możebności. Bo gdy subjekt o sobie wypowiedzieć nie mógł „*jestem*”, mniej jeszcze to samo wypowiedzieć o sobie potrafi tego subjektu dzieło.

III. *Przedmiotowość wyobrażona i wyobrażająca zarazem*, w której przedmiot jest *przedmiot-podmiotem*, tworem twórczym, myślą Boga myślącą, i wyrazem zdolnym własnego wyrażenia się. Jestto człowiek w możebności kształtu i kształtowania; jako taki, jest jednym tylko wyrazem myśli bożej, i dlatego uwarunkowanym i ograniczonym.

Wyprowadzamy ztąd następujące ważne wnioski. Podmiot wyobrażający nie może co innego wyobrazać, tylko treść swoją; a zatem świat cały w nieskończoności tworów jest wyrazem, symbolem Boga, wypowiada jego mądrość: każdy twór jest jedną myślą bożą, w szatę zmysłową przybraną. Ponieważ niema treści bez formy, ani formy bez treści, a świat treści Boga jest wyrazem; ztąd świat (nie mówimy tu o pojedynczych planetach, lub słońcach, zwykle za światy uważanych), jak Bóg nie ma początku, i końca mieć nie może. Czyli, jak powiada *Spinoza*, zawsze skończoność była przy nieskończoności i zawsze będzie. Możebność świata na naszym stanowisku, jest tylko względna, to jest w stosunku tworu do stwórcy. Gdy się okaże w filozofii woli, byt rzeczywisty Boga, wyniknie ztąd także konieczna rzeczywistość świata: bo świat jest jego wyrazem i koniecznym objawem jego treści. Podobnie możebność istot będących jego wyobrażeniem i wyobrażaniem zarazem, jest tylko względna, przez ten sam stosunek tworu do twórcy. Nie byłoby zupełnego wyrazu treści boskiej, gdyby nie było tworów z częstką samej potęgi wyobrażania. Dlatego Bóg stworzył człowieka na *obraz* swój. Ludzkość zatem jest równie konieczną jak świat. Rozumiemy zaś pod ludzkością, nie samą ludzkość naszego planety, ale i ludzkość każdego innego ciała niebieskie-

go; w ogóle istoty stworzone na obraz i podobieństwo Boga, w różnym tego podobieństwa stopniu. Ludzkość naszego planety, nie jest ostatnim szczeblem stworzenia. Między Bogiem a człowiekiem, jest nieskończony przedział, który wypełniony być może istotami o wiele doskonalszemi od nas ludzi, a jednak jeszcze nieskończenie niższemi od Boga. Wszakże właśnie dlatego, będą to zawsze tylko różne rodzaje ludzkości, w różnych doskonałości stopniach, zawisłych od zewnętrznych stosunków tych światów, na których żyją. Tak jak planeta nasz kiedyś zaginie, tak zaginie i ludzkość nasza; ale ludzkość jako ludzkość, będąca najzupełniejszym wyrazem Boga, bo wyrazem z potęgą wyrażania, nigdy zaginać nie może, albowiem Bóg się przez nią wyraża.

Pozyskaliśmy zatem trzy prawdy umnicze: potęgę wyobrażającą, twórczą i nieograniczoną (Bóg); przedmiotowość wyobrażoną i wciąż wyobrażaną, czyli stworzoną i wciąż stwarzaną (świat); nareszcie potęgę wyobrażania ograniczoną i przedmiotowość uwarunkowaną w połączeniu, czyli wyobrażenie wyobrażające (człowiek).

Z tego się pokazuje dalej, że są dwie potęgi tworzące: jedna nieograniczona i bezwzględna, druga, wypływająca z pierwszej, ograniczona i względna. Pierwsza niestworzona jest *stwarzającą*, druga, będąc sama stworzoną nic stworzyć nie może, ale może *tworzyć*. Bóg sam tylko jest *stwórcą*, człowiek tylko jest *twórcą*. Różnica między *stworzeniem* a *tworzeniem* jest ta, że tam jest działanie nieograniczonej potęgi stwórczej, którą pismo dokładnie oznaczyło, mówiąc: że Bóg stworzył świat z niczego; tu zaś jest działanie ograniczonej potęgi tworu twórczego, który tylko tworzyć może, to jest z materiałów stworzonych przez Boga, wypro-

wadzać twory nowe. Tym materiałem, niekoniecznie jest sama *materyalność*, ciała stworzone; jest nim porównanie i duchowość, myśli Boże, które człowiek wysnuwa na umiejętność.

Ważno nader odkrycie, pokazujące nieskończoną różnicę między Bogiem a człowiekiem, między stwórcą a twórcą; chroniące na zawsze filozofię od panteizmu.

Komu się marzyło o bóstwie, które w każdym człowieku chodziło na ziemi, musi ukorzyć się, uznać się twórcą tylko, i uchylić czoła przed Stwórcą i Panem swoim. Potęga wyobrażająca w człowieku, nie tylko więc jest zawarowana, ale całkiem inną, niższą natury, niżeli potęga wyobrażająca w Bogu. Ta inność nie jest w sprzeczności z powyższą zasadą, że twórczość ludzka ze stwórczości boskiej wypłynęła. Przesztworszy być w człowieku samoistną i nieograniczoną, przeszedłszy w utwór przez siebie do bytu wywołany, musiała koniecznie przez takie powiązanie się wyrazu z władzą wyrażania zmienić istotę swoją. Podobnie myśl ludzka, jest tej samej natury, co myśl boża, uważając rzecz bezwzględnie; a jednak w ograniczeniu przez ciało uległa fałszom, ułudzeniom, niewiedomości. Potęgi ducha jednostkowego choć więc wypływają z potęgi ducha bezwzględnego, i są co do pochodzenia swego, tej samej natury boskiej: w rzeczywistym pojawie są ludzkie i stworzone. *Duch jednostkowy, jest duchem stworzonym.* Umysł będący jego istotą i możliwością, nie jest umysł boski, nieskończony w sobie, ale umysł zmieniony na ludzki i ograniczony w skończoności swojej. Ta, że tak powiem *neutralizacja* duchowa, była konieczną; inaczej Bóg byłby stworzył drugiego siebie, a nie obraz swój:

i byłyby rzeczywiste bóstwa na ziemi, jak niegdyś na Olimpie.

Gdzie są dwie potęgi wyobrażające, tam muszą być dwie przedmiotowości, wyobrażone i wciąż wyobrażane, noszące na sobie piętno swojego początku. Jedna przedmiotowość będzie nieskończona, żadnymi niezamykającą się granicami, podobnie jak potęga, co ją do bytu wywołała; druga będzie skończona i określona, bo będąca wyrazem potęgi skończonj. Dwa więc będą światy: boski i ludzki; chociaż to różnica między niemi względna. Obydwa światy są właściwe boskie, bo świat ludzki będąc dziełem tworu boskiego, jest razem dziełem pierwotnego stwórcy. Lepiej więc będzie nazwać jeden świat *bezpośrednio boski*, a drugi *pośrednio boski*; czém zarazem świat ludzki nie zostaje wyłączonym, ale i owszem poddanym pod rządy Boga, jako pierwotwórcy.

Potęgi wszelkiego kształtowania.

Ze wstępnego pierwiastku naszego „*wyobrażam*” pokazało się zatém, że *um*, czyli ogólna potęga kształtowania, dwojakiój jest natury, wedle tego, czy z istoty ducha nieskończonego, czy z istoty ducha jednostkowego wypływa. W pierwszym razie jest potęgą stwarzającą, w drugim potęgą tworzącą. Obie są nieskończenie od siebie różne, i nieskończenie muszą także być od siebie różne przedmiotowości niemi wyobrażone. Aby poznać i oznaczyć bliżej różnicę obydwóch, to jest świata stworzonego i świata tworzego, albo, świata bezpośrednio boskiego i pośrednio boskiego, dość znowu spojrzeć w znaczenie słowa „*wyobrażam*”. Są w niém dwa znaczenia: *wyobrażam (sobie coś)* jest je-

go znaczenie czynne, i *wyobrażam (siebie)* jest znaczenie jego zaimkowe; oba zaś znaczenia nic innego nie wypowiadają, jak dając, kształcąc, tworząc *obraz*. W znaczeniu czynnym będzie to obraz przedmiotu zewnętrznego; w znaczeniu zaimkowym będzie obraz z siebie. Jeżeli więc potęga umu bezwzględna, wypowiada o sobie „wyobrażam,” wypowiada znaczenie zaimkowe, bo dla niej nie ma przedmiotowości żadnej, którąby sobie wyobrażała; gdyby była jaka, byłaby jej granicą. Potęga stwarzająca może zatem tylko *siebie* wyobrażać. Wszystkość stworzenia, jest więc wyrazem zupełnym Boga, jest jego istoty, jego mądrości obrazem. Świat ten jest przedmiotowością dla nas, ale nie dla Boga. Świat ten jest w Bogu, a Bóg w nim. Cokolwiek dzieje się w świecie stworzonym, przez Boga się dzieje.

Jeżeli zaś potęga umu względna, wymawia słowo „wyobrażam”, wymawia je w obydwóch znaczeniach. Człowiek będąc tylko tworem, ma przedmiotowość boską, czyli świat zewnętrzny swoim przedmiotem, i wyobraża go sobie, czyli zdejmuje z niego obrazy, będące obrazami myśli bożych; a gdyby zdolny był zdjąć obraz z całego świata, miałby obraz wszystkiój umniczej istoty boskiej, to jest wszystkiego umu boskiego. Lecz że skończoność z natury swojej, nigdy nieskończoności ogarnąć nie może; nigdy też człowiek, do utworzenia sobie zupełnego obrazu Stwórcy, nie przyjdzie. To wyobrażanie sobie czynne przedmiotowości zewnętrznej, nie tylko jest właściwe człowiekowi, jako jednej jednostce z niezliczonej tworów, ale musi być właściwe wszystkim tworom, w szczególności zwierzętom, roślinom, a nawet, tak nazwanej nieorganicznej naturze. Albowiem każdy pojedynczy przedmiot, by też tylko źdźbło trawy,

jako twór boży, już samém istnieniem swoim, znajduje się położonym w stosunku do reszty tworów stworzenia. Taki stosunek niczém inném nie jest, jak wzajemnym wpływem jednego przedmiotu na inne, i innych na jeden. To zaś działanie wzajemne tworów na siebie, jest na naszym stanowisku działanie na kształty i formy, jest zatem wyobrażaniem wzajemném, w rozciąglejszém znaczeniu tego wyrazu, w którym wyobrażanie znaczy tyle, co zamienianie na obraz swój, na istotę swoją. Człowiek i zwierzę wyobraża sobie przedmiotowość za pomocą zmysłów, rośliny za pomocą naczyń, ziemia i rzeczy kopalne, za pomocą atrakcyi. Że zmysł obrazu odnosi do wiedzy, do *sensorium* mózgowego, czego nie ma ni w roślinach, ni w kamieniach: okoliczność ta nie zmienia rzeczy. Człowiek tu tylko jest tworem i ma potęgę umniczą wszystkim innym tworom właściwą, ku wyobrażaniu przedmiotowości, bez czego nie byłoby ani jedności, ani harmonii, ani możności form i kształtów we świecie. Chcesz tę władzę nazwać wyobraźnią w ogólności, przyjąć zawsze ją będziesz musiał w całej naturze tak organicznój, jak nieorganicznój. Jestto wzajemne obrazowanie się przedmiotowości, którém utrzymuje się żywot form, kształtów i postaci. A że działanie to odbywa się *przeobrażeniem*, nazwijmy więc um, w takiej jego działalności, przeobraźnią.

Lecz potęga względna umu człowieczego, jest nie tylko *wyrazem*, ale oraz *wyrazem wyrażającym się*, wyobrażeniem wyobrażającym się; i człowiek wymawiając słowo „*wyobrażam*”, wymawia je w znaczeniu, choć nie w skutku, potęgi umu hezwzględnej: jest więc mocen wyobrażać siebie, dawać z siebie samego obraz. Jakież więc obraz duch jednostkowy sam z siebie dać

może? Oto obraz boskiego początku swojego, obraz uwarunkowanój i dlatego zmienionój i zniżaczonój pierwotnój potęgi umu boskiego, co się tworowi swemu udzielił, aby dał wyraz z siebie: atoli zawsze obraz, w którym to boskie pochodzenie przebijać się i jaśnić musi. Idee, będąco w Bogu w zupełności wiedzy, owe najdoskonalsze połyski bóstwa: idee piękna, dobra, prawa, mądrości, sprawiedliwości, pożytku, szczęśliwości (wszystkie są téj natury, że mają żywot swój w żywój wiedzy; bez niój nie istnieją i istnieć nie mogą). W naturze obranej z wiedzy, do pojawu przyjść nie mogły; mogły zatém tylko przyjść do pojawu w tworcach obdarzonych wiedzą, i oraz potęgą wyobrażenia téj wiedzy. Oto więc wielki cel człowieczeństwa, wielka missya ludzkości, aby się w niój i przez nią objawiły i do rzeczywistości doszły owe najwyższe myśli Boga, ideami zwane, wielkie i organiczno w sobie duchowości. Oto świat, który filozofia rozumu *duchem przedmiotowym* nazwała, a który się przez człowieka i przez ludzkość rozwija; przepływ, jakośmy już rzekli, idei bożych przez ludzkość, ku ich pojawieniu i ukształtowaniu się. Potęgą zaś wyprowadzającą te kształty do bytu, jest potęga umu względna, wypowiadająca się w człowieku zaimekownym znaczeniem słowa „wyobrażam”. Umność bożą uwarunkowaną tu widzimy przez umność ludzką, i takato właśnie umność kształtuje przedmiotowości duchowe w rodzinie, państwie, kościele i t. p. Pokazuje się tu jeszcze jaśniej, że postaciowanie się tych przedmiotowości idealnych, dzieje się współdziałaniem umności boskiej i ludzkiej.

Dwie nam się więc odłoniły strony umu względnego, czyli człowieczego: jedna wyobrażająca przedmioto-

wości świata wszelakie, za pomocą zmysłów—*imaginacya*; druga, służąca ku wyobrażeniu tego we formach względnych, co w formach bezwzględnych jest w Bogu i boskiej umności dziełem—*fantazyja*. Obie strony są funkcyami wyobraźni ludzkiej. Zważywszy atoli, że imaginacya stawia nas w związku ze światem materji co nas otacza, i wrażenia tego świata przeobraża na wyobrażenia, czyli własność obcą, na własność ducha; ztąd imaginacya jest tylko przeobrażeniem, i jest z natury swojej *przeobraźnią*. Człowiek będąc *subjekt obje-ktem*, czyli istotą wyobrażającą i wyobrażoną, musi z tego tytułu posiadać dwie funkcyje wyobrażania. Jako obiekt, wyobraża biernie (jest wyobrażonym); jako sub-jekt, wyobraża czynnie, bo wyobraża siebie, jako ducha jednostkowego, zostającego w związku z duchem bezwzględnym. To wyobrażenie siebie, a przez siebie, wyobrażenie ducha nieskończonego, nazywać będziemy *wyobraźnią*, w szczególném tego wyrazu znaczeniu (1); zaś umność boską, będącą tak wyobraźni jak przeobraźni pierwiastkiem, zowiemy *obraźnią*.

Przeobraźnia w człowieku jest warunkiem jego życia naturalnego, skierowana ku zewnętrznej przedmiotowości, ku naturze; wyobraźnia zaś obrócona ku przedmiotowości wewnętrznej, ku istocie ducha ludzkiego, którego początek jest boski, a zatem i twórczość boska. Tą potęgą wyobrażania wyróżnia się człowiek od zwierząt, z którymi pod względem naturalnego życia swego w fizyologiczném a nawet w psychologiczném zostaje podobieństwem. *Psyche* (dusza) jest tylko pierwiastkiem życia,

(1). Wedle niniejszego wywodu rzeczy, możnaby w języku naszym *imaginacyą* zastąpić wyrazem *przeobraźnia*, *fantazyją* zaś wyrazem: *wyobraźnia*.

i jest równie w robaczku niedojrzanym, jak w człowieku; w obydwóch jest czucie tego życia. *Psyche* utajona, nieczuła (latent) jest w roślinie i kamyku, bo nic niema, gdzieby pierwiastku życia nie było (1). Lecz duch jest tylko w człowieku, a stał się nim trzema potęgami, wiodącymi swój początek z istoty ducha boskiego: mądrości, wyobraźni i woli duchowej. Człowiek ma więc z całą naturą wspólną potęgę umniczą przeobrażania, ale sam jeden ma sobie właściwą potęgę wyobrażania, którą stał się względnie Bogu podobnym.

(1) Troje jest, z czego *Arystoteles*, żyjącą istotę człowieka składa: νοῦς, ψυχή, σῶμα (Phys. VII. 2. VIII. 5. De anima I. 4). Wszakże inni filozofowie greccy nie uważali różnicy między duszą a duchem. *Parmenides* wyraźnie powiada τὴν ψυχὴν καὶ τὸν νοῦν ταῦτόν (Diog. Laert. IX. 22). Podobnie *Eurypides* rozkłada człowieka na ciało i ducha, z których pierwsze wraca do ziemi, drugie do powietrza: πνεῦμα μὲν πρὸς αἴθερα τὸ σῶμα δ' εἰς γῆν (Eurip. suppl. 532). Także pismo święte zna tylko podział na duszę i ciało (Eccl. XII. 7). Wszelako zdaje się być różnicą między duszą a duchem, w następujących miejscach: I Cor. XV. 45. Hebr. IV. 12. I Tessa]. V. 23. Luc. I. 46. Jes. XXVI. 9. Z ojców kościoła ś. *Augustyn* nie rozróżnia ducha od duszy (De anima IV. 21). Zaś ś. *Ireneusz* idzie w myśl *Arystotelesa*: *tria sunt, ex quibus perfectus homo constat, carne, anima, spiritu; altero quidem figurante, spiritu, altero quod formatur carne. Id vero, quod inter haec est duo, est anima, quae aliquando subsequens elevatur ab eo, aliquando autem consentiens carni, decidit in concupiscentias* (contr: Haeres. V. c. 304). Nowsza filozofia idealna wyróżnia bez wyjątku duszę od ducha. Stosunek ich najdobitniej wyraża *Schubert*, gdy mówi: *des Geistes ist, was der Phantasie ihre idealisch schaffende Kraft, dem Gefühle ein Empfinden der Kraefte der Ewigkeit, dem Erkenntnisvermögen das Selbstbewusstsein, dem Gemeingefühle die Gestalt des Gewissens, der Sprache das eigentliche Wort gibt. Die herrschende Macht des Geistes ueberkleidet die Seele, wie die magnetische Kraft das Eisen* (Schub. Psychol. 702). Że początkowo téj różnicy nie było, dowodzi wspólny pierwiastek wyrazów duszy i ducha, nietylko w naszym języku, ale i w innych. Łacińskie *anima* pochodzi od *ἀνεμος* i znaczy to samo co *spiritus*. Greckie *ψυχὴν* ma to samo znaczenie co *πνεῦν* (Ilias XX,

Obok trzech prawdoświeci umniczych, wykazały się nam oraz trzy potęgi umnicze, czyli um w trzech różnych działaniach swoich:

1. *Obrażnia*, potęga umu bezwzględna.
2. *Wyobraźnia*, potęga umu względna.
3. *Przeobraźnia*, potęga umu przedmiotowa.

Działania tych trzech potęg umniczych wyróżniają się wedle tego, czy się *bez* materyału, czy *na* materyale, czy *w* materyale wyrabiają. Działanie pierwszego rodzaju jest *stwarzaniem*, czyli wyprowadzaniem form z niczego; formy takie będą *pierwotne*, w nich się objawia potęga Boga, jako Stwórcy wszech rzeczy, potęga obra-

440), zład ψυχή i πνεύμα tego samego znaczenia. Niemieckie Seele pochodzi od gockiego *saivala, saivan*, dąć (Grim, Gram. Cz. II. str. 99), ma więc to samo znaczenie, co hebrajskie *ruah*, znaczące wiatr, tchnienie, dech, duch.

Zc względu na duszę zwierząt, roślin i rzeczy kopalnych, uważamy, że starzy, a między nimi i Arystoteles, tylko zwierzętom przypisywali duszę (ψυχή), w roślinie uważali wewnętrzne jój życie, za ruch sprawujący wzrost i utrzymanie, i nazywali to φύσις; tworom nieorganicznym przypisywali siłę wewnętrzną trzymania się kupy (ἔξις).

Wyraz φύσις znaczy powstawanie, rośnienie, zład φύτον roślina. Pierwotne jego znaczenie jest siła żywotna, która sama z siebie się rozwija w każdym tworze (Arist. Phys. II. 1), która świat utrzymuje i porządkuje (tamże VIII. 1), co wszędzie dąży do pewnego celu (de generatione I. 1) i nigdzie nie działa nadaremnie ni bez przyczyny, ni bez skutku (tamże II. 4); więc i w roślinie jest tylko owa φύσις, którą stoicy pojmowali, jako duszę powietrzną grubszej natury, niż u zwierząt (Galenus). Każda φύσις szuka siebie samą reprodukować; zład w roślinach zbiega do nasienia (Diog. Laert. VIII. 28). Wyraz ἔξις znaczy siłę żywotną nie w ruchu, jak u roślin, ale w napiętości; nazywano ją dlatego ψυχή ἔξις (Sext. Empir. Contradict. lib. IX). Rzecz każda nabiera przez nią trwania i kształtu. Pojmowano ją jako będącą duchowej natury πνευματικός τόπος. (Phil. Jud. de mund. opif. 1169) i przypisywano powietrzu, które ciała przenika (Galenus de Plenitud. c. 3).

źni jego. Działanie drugiego rzędu jest *tworzeniem*, czyli wyprowadzeniem form nowych z danego już materiału; a że tym materiałem są formy pierwotne, będzie to przetwarzanie istniejących już form na nowe formy, które dlatego *pochodnemi* nazywamy. W nich się objawia potęga człowieka, jako twórcy, potęga wyobraźni jego. Nareszcie działanie trzeciego rodzaju, nie jest ani stworzeniem, ani tworzeniem, bo do tego obojga potrzeba woli i wiedzy, które tylko są w Bogu i w człowieku, jako w bezwzględnym i względnym duchu; jest to stan tworzenia się form samych przez się, w materiale stworzonym. Natura niczego nie stwarza, niczego nie tworzy, ale w niej się wszystko tworzy bez wiedzy i woli. Wiedza i wola tego, co się tam tworzy, jest bezwzględnie w Bogu, względnie w człowieku. Tworzenie się, jest nieustającym przeobrażeniem się form raz danych, wedle danych prawideł, jest rozwijaniem się materialnym tworów natury i przechodzeniem jednych w drugie, przez co w całej naturze utrzymuje się życie. Formy te dlatego nazywamy *przechodnemi*. I człowiek, jako obiekt, tworzy się bez wiedzy i woli swojej, nie panuje nad przechodnemi formami cielesnego ustroju swego, któremi powstaje, rozwija się i kończy żywot jego w naturze. We formach przechodnych objawia się potęga natury, potęga *przeobraźni*, będąca nieustającą form metamorfozą.

Tak trzy prawdy naczelne, jak trzy potęgi umnicze, podały nam się z pierwiastku, któryśmy przyjęli za wstępny. Co do prawd samych, czyli kształtowości, jużesmy wyżej wykazali, że w takim stosunku stoją do prawdziwości logicznych, w jakim zostaje działanie umu do myślenia. *Stnienie* to *stwarzanie*, *istnienie* to *two-*

rzenie się, a istnio-stnienie to tworzenie. Podobnie trzy potęgi umnicze odpowiadać muszą trzem naczelnym potęgom myślenia. Różnić się tu tylko będziemy z autorem Logiki narodowej, co do nazw. Filozofia nasza polska dopiero się wyrabia; nim się więc nowe wyrazy utra, nim nastąpi zgoda w pojmovaniu znaczeń filozoficznych dawnych wyrazów, wiele czasu jeszcze upłynie, i dlatego z początku powstanie pewien nieład w filozoficznym słowniku.

Autor Logiki kładzie jako trzy naczelne potęgi myślenia: 1) rozum, król empiryi—jako władza rozróżniania, będąca ogniskiem wszystkich zmysłów; 2) umysł—rodzic spekulacyi, upatrujący w przeciwieństwach jedność; 3) *mysł*—łącznik zmysłu i umysłu, pojmujący zewnętrzną i wewnętrzną razem, czyli organiczną, żywą całkowitość. Nie możemy się zgodzić na to, aby umysł wyrażał to, co Niemiec przezwał *Vernunft*; wyrazy pochodne *umysłnie*, *umysłowość*, wskazują zupełnie inne tego wyrazu znaczenie. Umysłowość, znaczy produkcją duchową, i dlatego przyswoiliśmy wyraz *umysł*, na oznaczenie jedności umu i myśli, w istotę ducha wchodzących i stanowiących jego możność produkowania. Rozum nie bierzemy także w znaczeniu niemieckim *Verstand*, ale w znaczeniu ogólnem władzy duchowej myślenia; i wedle tego, czy jest skierowany na przedmiot zmysłowy, czy na przedmiot duchowy, nazwaliśmy go rozumem, to zmysłowym, to umysłowym. *Mysł* jest wyraz wprowadzony do filozofii przez Trentowskiego, na oznaczenie trzeciej najwyższej potęgi myślenia. Jestto wedle autora, oko w nas boskie, na ujrzenie tego, czego ani zmysłem, ani rozumem dojrzyć nie możemy, co jest natury czysto duchowej, jak jaźń

nasza i jak jaźń boża. Mysł tylko ugląda Boga. Jeżeli zatem myśl jest w człowieku, dla ujrzenia rzeczy boskich, dla pojęcia ducha; musi być w daleko większej rozciągłości w Bogu, który siebie samego jako ducha pojmuje i ogląda, i wszystkie duchy stworzone. *Mysłowi* odpowiada przeto nasza *obraźnia*, najwyższa potęga umnicza, wyprowadzająca zarazem świat ducha i świat materji do bytu, stwarzająca razem wewnętrżność i zewnętrżność. *Rozum* czyli wedle nas *rozum zmysłowy*, który nie nie pojmuje, czego zmysłami nie dosięże, i obrócony jest w samą rozliczność tworców stworzonej przedmiotowości, jest tém w sferze myślenia, czém w sferze kształtowania; jest nasza *przeobraźnia*, jako władza umnicza natury, której działaniem jest przeobrażanie się i tworzenie się coraz nowych form i kształtów. Nareszcie *umysł*, czyli wedle nas *rozum umysłowy*, będący sam ideą, i dlatego zamieniający wszystko w ideę, odpowiada naszej *wyobraźni*, której przedmiotem także idea, bo ją kształtuje, formuje, i uzewnętrżnia.

Widoczne i jasne jestto przeciwstawienie potęg rozumowych i potęg umniczych. Pokazuje się z tego oraz, że *mysl* wprowadzony do filozofii, nie jest czcym wymysłem, jak to ja sum rozumiałem z początku; ale że jest rzeczywistą naczelną potęgą myślenia, Bogu w zupełności właściwą, a człowiekowi w ograniczonej tylko mierze nadaną. Filozofia polska, wprowadzając ten nowy pierwiastek myślenia do umiejętności, posunęła ją widocznie o jeden stopień wyżej, i rozwinęła dalej filozofią niemiecką.

Zwrócić jednak musimy uwagę czytelnika, żeśmy w tém przeciwstawieniu potęg rozumowych i umniczych uczynili zmianę. Autor *Myślini* uważa pomienione trzy

potęgi myślenia, w jednostkowym tylko duchu, to jest w człowieku myślącym, i nie wynosi myślenia, tak jak my umność, do istoty ducha w ogólności. Gdybyśmy więc byli poszli za nim, musielibyśmy byli szukać w samej wyobraźni, jako w umniczej potędze jednostkowego ducha, odpowiednich trzech władz umniczych. Znajdziemy je tam rzeczywiście, bo jak stnienie i istnienie znajduje się w istnio-stnieniu; podobnie obraźnia i przeobraźnia, znaleźć się musi w wyobraźni; ale będą to potęgi ograniczone i zawarowane i dlatego zmienione. My uważamy myślenie za istotę ducha tak jednostkowego jak bezwzględego, i pojmujemy równie myślenie przedmiotowe, które się nam w odwiecznych prawach natury przedstawia. Wedle nas zatem myślenie na najwyższej potędze jest w *stnieniu* (w Bogu) i jest tam *mysłem*, który wraz z *obraźnią* stanowi *umysł* bezwzględnego ducha; myślenie przedmiotowe jest w *istnieniu* (w naturze), jest *rozumem przedmiotowym* w ogólnym znaczeniu, i wraz z *przeobraźnią* stanowi *przyrodzenie natury*; nareszcie myślenie będące w *istnio-stnieniu* (w człowieku) jest *rozumem zmysłowym* i wraz z *wyobraźnią* tworzy *umysł ludzki*, umysł jednostkowego ducha.

Wykazaliśmy trzy różne potęgi naczelne umności; trzeba nam teraz wniknąć w bliższe, acz jeszcze ogólne oznaczenie każdej w szczególności. Nie możemy znikąd inąd wziąć tego oznaczenia, jak ze siebie. Człowiek, będąc pod względem umności istotą stworzoną i tworzącą zarazem, łączy w sobie znamiona tak tworzenia, jak tworzenia się, czyli tak wyobraźni, jak przeobraźni; a że tworzenie niczem innym nie jest, jak ograniczonym

stwarzaniem, będziemy oraz mogli ztąd robić wnioski na oznaczenie obrazni, czyli umności stwarzającej.

Tworzenie się człowieka, jest zupełnie zpod jego wiedzy, zpod jego woli, a zatém i zpod jego twórczej wyobraźni wyjęte. Człowiek pod tym względem jest tylko naturą, tworem, uległym ogólnym prawom tworzenia się. Przeobraźnia, nie mająca organu wiedzy, bo nie będąca istotą ducha, odbywa w nim jak w całej naturze, swoje działania wedle nieodmiennych praw przyrodzenia. Ogólny tych działań charakter, jest nieustanne *przeobrażanie się*, nieustanna zmiana i przemiana form. Od chwili poczęcia się człowieka, aż do rozwiązania się ciała jego w proch ziemi, nie ma i jednej chwili, w którejby pod względem formy był sobie równy. Podobna przemiana form jest we wszystkiém istnieniu, w całej naturze. I kształt żyjątko, którego okiem nie dojrzysz, i którego żywot tysiącami wieków się zakreśla, tój samój ulega form metamorfozie. Przeobrażanie się zatém, przemiana form ciągła, jest umu przedmiotowego charakterem, i dlategośmy go tóż *przeobraźnią* nazwali. *Tworzenie się*, nie innego nie jest, *jak przechodzeniem z jednej formy w drugą*.

Lecz człowiek nietylko jest tworem, ale i twórcą. Jako twór tworzący, potrzebuje świata zewnętrznego do tworzenia, z którym przez zmysły zostaje w stosunku. Przeobrażania się przedmiotów, obrazują się w nim drogą wzroku, słuchu, dotykania i t. d. Te obrazy zewnętrznego świata zwykliśmy nazywać *wyobrażeniami*; stosowniej byłoby wszakże mówić: mam obraz konia, słonia i t. p., zamiast: mam o nich wyobrażenie. Wyobraźnia wyższą już jest potęgą umną; nie jest daguerotypem zdejmującym obrazy, ale twórczą sztuką. Wyobra-

źnia wyobraża myśl człowieka, daje obraz duchowej istoty jego, kształtuje wszystko, co w tej istocie myśląc, jako wiedza i jako pojęcie się objawia i pojawia. Istota myśląca, będąc zarazem istotą jednostkowego ducha, jest jednością w sobie; wyrażona na zewnątrz, przeobrażać się nie może na sposób, na jaki wciąż przeobraża się przedmiotowość. W duchu nie ma żadnej, a tém mniej nieustannej *metamorfozy*, ale jest rozwijanie się. Rozwijanie się nie jest przeobrażeniem. Jedna myśl w drugą się nie zamienia, ale jedna myśl drugą rozbudza, rozwija z siebie. Nie ma metamorfozy wiedzy, lecz jest ciągły jej rozrost w sobie. Wyraz zatem myśli organicznej, nie może być inny. Wyobraźnia, dająca ten wyraz, ma charakter zupełnie przeciwny od przeobraźni: tu była ciągła przemiana form, tam musi być ich ustalenie; tu ich znikomość, tam ich trwałość. Charakterem wyobraźni jest przeto *utrwalenie form*. Jakoby w poczuciu nieśmiertelności ducha swego, pragnie człowiek wszędzie unieśmiertelnić jego wyraz i utwalić jego obraz. Lecz na nieszczęście człowiek tylko jest twórcą, więc unieśmiertelnienie to dzieć się musi na przedmiotowości, a przedmiotowość przeobrażająca się, jest negacją nieśmiertelności. O ile zatem trwałość materiału, na którym się wyraz naszej istoty piętnuje, jest niepożyta; o tyle niepożyta i trwałość form, będących dziełem wyobraźni.

Ten charakter wyobraźni, dający obraz samej istoty ducha, wszędzie ujrzyś, gdzie tylko spojrzysz po dziełach i czynach ludzkich. Spójrzj po izbie, do której wchodziś, a zrobisz zaraz wniosek o gospodyni domu; spojrzj po podwórzu, a zobaczysz odrazu jaki tam gospodarz. Wszystkie sztuki piękne, wszystkie dzieła przemysłu, są

utrwaleniem form wyobraźni. Życie człowieka całe, jest obrazem jego ducha i utrwała się w pamięci małej lub większej liczby współczesnych i potomnych; czasem nie sięga poza pamięć syna lub wnuka, niekiedy dochodzi do najodleglejszych pokoleń i zyskuje nieśmiertelność dziejową.

Ten sam charakter rozwijania się i utrwalania istoty ducha jednostkowego, pokazuje się jeszcze z innej strony. Powiedzieliśmy już wyżej, jaki jest cel stworzenia człowieka, a ludzkości w ogóle. W niej i przez nią, przychodzą do wyrazu i do rozwoju idee, stanowiące myślącą istotę ducha bezwzględnego. Pełnia ich wiedzy i kształtu jest w Bogu, ale pojaw ich zewnętrzny, dzieje się przez człowieka w ludzkości. Idea będąc natury ducha, jest także jednością w sobie; a że jest natury ducha nieskończonego, jest jednością w sobie nieskończoną. Wyraz jój zewnętrzny, tak, jak się w czasie przez jednostkowego ducha pojawia, nie może się przeobrażać, ale się rozwija i rozrasta z siebie do coraz większej pełni, stosownie do tego, jak się rozwija sama wiedza onój idei, czyli jój upostaciowanie się w świecie społecznym i ludzkim; jest zatem konieczną i z samój wewnętrznej natury idei płynącą. Rozwój tych form odbywa się przez całą ludzkość, przez narody. Potęga wyobraźni jednostkowych duchów wyprowadza je do bytu, a w wyobraźni całego narodu, nabierają trwałości i sił żywotnych. Trwałość tych czasowych postaci jest doczesna i przypadkowa, bo jest wyobraźni ludzkiej dziełem. Ale w tych upostaciowaniach przemiennych dyszą nieprzemienne kształty idei samych — ideały, będące samój obrazni Boga dziełem. Idee, będące bezpośredniej natury boskiej, mają dlatego rozleglejszą trwałość, niżeli pomysły, z istoty jednostko-

wego tylko ducha wychodzące. Wiąże się do nich interes całej ludzkości, los i szczęście całych narodów, i dlatego tak niepożyte ich trwanie. Tradycye o początku świata, o początku narodów, sięgające 4—6000 lat, dotąd się utrzymały. Prawo rzymskie dziś jeszcze pouczane i praktykowane. Religie na tysiące lat liczą żywot form swoich. Sztuki i umiejętności z największą przekazywane i przechowywane troskliwością od pokolenia do pokolenia.

Co się więc z rozwoju idei w narodach i w ludziach przez wyobraźnię na zewnątrz pojawiło, utrwaliło się do następnych późnych wieków, utrzymane i rozbudzone na nowo do wiedzy i wyobraźni każdego nowego pokolenia. Bo tym tylko sposobem możebny jest rozwój i rozrost każdój idei, że wszystko poprzednie staje się fundamentem do dalszój budowy. To zarazem przyczyna społeczności ludzkiej. Bez téj jedności społecznej, każdy nowo-narodzony człowiek byłby nowym *Adamem*, każdy byłby początkiem idei i do jój dalszego postępowego rozwoju, przyjszby nie mogło. Ten zaś rzeczywiście jest wyobraźnikiem idei i narzędziem do dalszego jój rozrostu, kto cały jój poprzedni rozwój, wszystkie jój fazy i rozczlonia wiedzą swoją ogarnął, i dopiero krok dalej postawił. Co tu rozum umysłowy pojął i myślą rozwinął, temu wyobraźnia dała wyraz zewnętrzny, wydobyła na jaśnią, na pojaw, *wyobrazila*, i ztąd jój nazwa.

Zróbmy nareszcie wniosek z *tworzenia* i *tworzenia się* na *stwarzanie*, czyli z *wyobraźni* i *przeobraźni* na *obraźnię*. Bóg, jako duch, jest także jednością w sobie, a zatem, podobnie jak duch jednostkowy, przeobrażać się nie może. Istota jego, jako jedność, musi się rozwinąć z siebie, podobnie jak się rozwinęła istota du-

cha jednostkowego. Atoli w tym rozwoju wielka będzie różnica. Duch jednostkowy, jako względny, jest ograniczony czasem i miejscem; w czasie téż i w miejscu odbywa się rozwój jego. Duch bezwzględny, ni czasem, ni przestrzenią się nie ogranicza. Rozwój jego istoty musi zatém być odrazowy i wieczny, wszystko wypełniający. Człowiek jako twór, jako duch względny, mógł tylko *utrwalac* dzieło swoje; Bóg niestworzony *uwiecznia* je. Duch jednostkowy sam jest stworzoną przedmiotowością i potrzebuje zewnętrznej stworzonej przedmiotowości, aby wyobraźnia na niej utrwałała rozwój jego; duch bezwzględny, żadną przedmiotowością nieograniczony, nie tworzy, ale stwarza, z niczego wyprowadza wyraz swój, a wyraz ten musi być jój pojaw. Obrażnia, jako um boski, wyprowadzający myśl bożą do pojawu, jest zarazem jego *uwiecznieniem*, i to jest jój charakterem.

Otóż mamy trzech potęg umniczych, trzy osobne zasady: *przemienianie*, *utrwalanie* i *uwiecznienie* wszelkich form i kształtów. Wszystko co wyprowadza obraźnia, jest wieczne; wszystko co formuje wyobraźnia, jest trwałe w czasie; wszystko co kształtuje przeobraźnia jest przemienne. Te trzy zasady są odpowiednie trzem podstawom wszystkiego logicznego myślenia, które autor Logiki narodowej nazwał *siestrzanami* (1). „Siestrzany, powiada, zowią się dlatego, że są filozoficznymi, iż tak powiem, belkami, na których spoczywają inne belki, to jest zasady logiczne, oraz na belkach tych zbudowane piętra, czyli umiejętne całokształty.” Podobnie i nasze umnicze zasady, można pod tym

(1). Zobacz str. 14. T. I. Logiki.

względem uważać za podwale, na których zbudowane są, nie już umiejętne całokształty, ale całokształty wielkich rzeczywistości duchowych. Sam świat pojavów, jest jednym takim całokształtem.

Trzy siestrzany logiczne są: względna różnica, odpowiednia *przemienności* form, bezwzględna jednia, odpowiednia wieczności form; nareszcie filozoficzna *różnojednia*, odpowiednia *trwałości* form. Tak, jak trzecia zasada logiczna jest zawsze zlewem dwóch pierwszych; podobnie utrwalenie form, jest zmienianiem i uwiecznianiem razem; bo wieczność zmienna, czyli ograniczona czasem, jest trwałością, a trwałość niezmienna i nieograniczona czasem, jest wiecznością. Tak powstają, rosną, dojrzewają, płodzą się i umierają pojedyncze rośliny i zwierzęta, ale ich gatunki nie zmieniają się i trwają. Umierają ludzie, wymierają pokolenia, narody upadają i giną; ale pochod i rozwój idei boskich odbywa się wciąż. Światy same, jedno się rodzą, drugie znikają; ale prawa natury trwają wiecznie i wszystko wedle nich obraca się i toczy.

Słowo „*wyobrażam*”, z któregośmy wyszli, nabiera zatem różnego znaczenia i charakteru wedle tego, kto je wypowiada. Wypowiedziane przez ducha bezwzględnego, znaczy: *wyobrażam na wieczność*, czyli daje z siebie obraz wieczny, żadnym czasem nieograniczony; wypowiedziane przez ducha jednostkowego, znaczy: *wyobrażam na chwilę nieujętą*, czyli daje z siebie obraz zmieniający się nieustannie. Jest zatem ciągła walka między wyobraźnią a przeobraźnią; co jedna buduje, to druga rozwała; trwałość, którą tamta formom swoim nadaje, ta wciąż atakuje i niszczy. Jestto bój zacięty dwóch wrogów—potęg utrwalania i zmieniania, żywota

i śmierci. Z drugiej strony, jestto bóg konieczny; poznamy go jako warunek życia wszelkiego. Nie byłoby życia, gdyby nie było tego boju. Co jest życie? Oto ożenek śmierci i żywota; zaledwie się co poczyna, już téż i śmierć bierze je w swoje objęcia. Wyobraźnia daje żywot, który się staje śmiercią; przeobraźnia daje śmierć, która się staje żywotem. Twory byłyby równe Bogu, gdyby tego ożenku nie było. Przedmiotowość byłaby nieśmiertelna, martwa, wryta na wieczność. Niezłębiona tu mądrość boża. Dwie potęgi umnicze zatracają się nawzajem, i na zawsze pozostają niższe od umniczej potęgi Boga. Nigdy ani świat, ani ludzkość, nie może się zrównać Bogu; w nim samym jest harmonia i zgodność wszystkiego.

O WSPÓLCE HANDLOWEJ PROSTEJ.

(*Association en participation*).

W tłumaczeniu praw, w pojmowaniu ich myśli, celu, rozciągłości, zawsze między prawdą a błędem w niepewności zostawać będziemy, jeżeli nie postąpimy metodą historyczną; jeżeli nie zbadamy ich początku, okoliczności, zakresu; jeżeli nadto, gdy idzie o zgłębienie ustaw kodyfikacją zamkniętych, nie odbędziemy téj samej drogi, jaką redaktorowie kodexu przebyli.

Wprawdzie historia wewnętrzna prawa, polegająca właśnie na wyjaśnieniu i poznaniu pobudek prawa, należy do najtrudniejszych zadań teoretycznych; lecz bez téj umiejętności, pojedyncze ustawy lub przepisy, w ich tłumaczeniu i zastosowaniu, wykrzywiać będziemy, nie wiedząc nawet, że przez to nietylko w zachodzącym przypadku szczególnym niesprawiedliwości się dopuszczamy, ale że nadal torujemy drogę widokom podstęp.

Użycia metody historycznej w tłumaczeniu prawa, nadewszystko wymagają trzy kodexa francuzkie: cywilny, procedury i handlowy, które, jak wiadomo, jedną zgodną całość składać powinny, a są wyciągiem, wypły-

wem, transakcją dwóch wielkich a różnych w duchu i formie prawodawstw dawniejszych: jednego rzymskiego, które dla dobitności i ścisłości w rozgraniczaniu ustaw i przepisów jednych od drugich, nosi na sobie piętno wysokiego wykształcenia; drugiego *zwyczajowego*, mieszczącego w sobie i prawo handlowe, które rozrastając się swobodnie z pierwszych zarodków i związków swoich, dopiero po raz pierwszy we Francji przez tak zwane *ordonnances* w karby ściślejszego porządku prawniczego wzięte, uległo po raz drugi uporządkowaniu prawodawczemu przez nowe trzy kodexa; ale w takim sposobie, że różnica między *pays de droit écrit*, a *pays de droit coutumier* ustała, a jej miejsce zajęło prawodawstwo transakcyjne, pojednawcze, prawa rzymskie i prawa zwyczajowe w jedną zgodną całość zlewające, z mocą obowiązującą dla całej Francji.

Pomimo pojednawczej transakcji, pomimo zlewku tych praw w jedno prawodawstwo systematyczne, przeważa w kodexie cywilnym dobitność prawa rzymskiego, a w kodexie handlowym swoboda prawa zwyczajowego. Skutkiem różnicy tej, text kodexu cywilnego nie tyle kwestyj prawnych wywołuje, ile text kodexu handlowego. Dowodem tego najzupełniejszym jest jurysprudencja kassacyjna francuzka, która w materji handlowej, ogrom wyroków interpretacyjnych przedstawia. Interpretacje te częstokroć są z sobą w sprzeczności, i ztąd niepewność prawa i uwieczniona wątpliwość. Można by nawet bez przesady powiedzieć, że jurysprudencja kassacyjna prawa handlowego w nieładzie pozostaje. Przyczyną tego nieładu wszakże nie jest sama treść kodexu handlowego, lecz również zupełne prawie zaniedbanie przez prawników francuzkich historycznej nauki prawa,

której prawo zwyczajowe, a między niemi handlowe, więcej jeszcze jak prawo rzymskie wymagają: szczególnież dlatego, że pierwsze mało w szczegółach są rozwinięte, i że się nie odznaczają tak ściśłem rozgraniczeniem ustaw lub przepisów jednych od drugich.

Prawnicy francuzcy, prawie nie znając metody historycznej prawa, zwykle poprzestają na wyrozumowaniu myśli, celu i zakresu prawa wprost z samego textu, z związku i porównania pojedynczych ustaw i przepisów kodexowych, nie domyślając się, że *Pothier*, którego traktaty prawa francuzkiego systematycznie z praw rzymskiego i zwyczajowego, dawniej we Francyi obowiązujących ułożone, redaktorom nowych kodexów za bezpośrednie źródło do redakcyi obudwóch kodexów, tak cywilnego jak handlowego służyły: stanowi tém samym bezpośrednio tychże kodexów źródło historyczne, i że przy możności porównania jego traktatów z nowemi traktatami kodexowemi, pewniejszym jest przewodnikiem interpretacyjnym, jak własne z kilku gołych artykułów kodexowych wyprowadzone wnioski.

Co większa, w komentarzach francuzkich, a nawet w jurysprudencyi kassacyjnej, przebija się pewna nieznanomość działań kodyfikacyjnych, czyli uwag, spostrzeżeń, dyskusyj, rozbiorów i motywów redakcyi kodexowej przewodniczących, które *Loché*, jako protokoły dyskusyj legislacyjnych utrzymujący, zebrał. Tym wszakże argumentom i motywom, z których redakcyja ustaw i przepisów kodexowych bezpośrednio wypłynęła, należy się *powaga interpretacyi autentycznej*; bo któż miałby lepiej wiedzieć: co i dlaczego w systemacie kodexowym przyjęto lub postanowiono, jeżeli nie bezpośredni redaktorowie? Któżby mógł dać pewniejsze objaśnienie o zna-

czeniu, celu i zakresie tychże ustaw i przepisów? A gdyby znowu same wykłady i dyskusye redaktorów kodexowych, wyjaśnień wymagać miały; gdzież ich przede wszystkim szukać, jeżeli nie w ich wzorze bezpośrednim, jakim jest Pothier?

Tym sposobem postępując do coraz dawniejszych źródeł, zwyczajów, ustaw, instytucyj lub systematów prawnych, i tym torem wracając się do prawa obowiązującego, przychodzimy do jego pojęcia historycznego, którego żadne inne rozumowanie na samym texcie prawa oparte, zastąpić nie może. Tylko przez metodę historyczną poznajemy tak okoliczności i przyczyny powstania lub tworzenia się zasad i instytucyj prawnych, jako téż koleje ich zmian i ukształcenia, i torujemy drogę do ich najtrafniejszego zastosowania.

Gdyby jurysprudence francuzka komentatorska lub kassacyjna, które się chętnie jedna drugą wyręczają, znały metodę historyczną i chciały były wejść w sprawdzenie, w krytykę historyczną, sprzecznych zdań i opinij w materji spółek handlowych; natenczas byłyby sobie oszczędziły wiele sprzecznych wyrokowań, które jednoznaczność i pewność prawa, a tém samym rzetelny wymiar sprawiedliwości podkopują.

Okaze się to wszystko przy rozbiórce jurysprudencei, odnoszącej się do ustawy kodexowej, którą kodex handlowy w czterech artykułach od 47 do 50 zamknął, i nie spółką, *société*, ale *stowarzyszeniem* handlowém, *association commerciale en participation* nazywał.

Stowarzyszenie to nazywają po polsku spółką udziałową, lub stowarzyszeniem na udział, lub spółką na stosunkowy zysk lub stratę, albo stowarzyszeniem do

uczestnictwa w zysku lub stracie. Wszystkie te nazwania nie mają w sobie nic charakterystycznego, gdy we wszystkich spółkach tak cywilnych jak handlowych, uczestnicy koniecznie udziały mieć i koniecznie zyskiem lub stratą dzielić się powinni. Właściwa więc cecha stowarzyszenia partycypacyjnego leży w czém inném: to zaś z poniższego wykładu się wykryje.

Nic dziwnego, że w języku polskim niema ustalonej nazwy dla stowarzyszenia partycypacyjnego. To zaś zaiste zadziwiać powinno, że jurysprudencya francuzka, acz techniczną nazwą *association commerciale en participation* popisuje się, i od roku 1808 przez lat 40 znaczną liczbą sporów w przedmiocie partycypacji handlowej zajmowała się, dotąd jednakże nie wie: coto za rodzaj stowarzyszenia handlowego, i jakie jego jest właściwe miejsce w systematycznym układzie spółek.

Jurysprudencya ta owszem nastęrcza mnóstwo kwestyj prawnych do rozwiązania, a między niemi te najgłówniejsze: jak należy rozumieć definicyą w texcie kodeksowym, że stowarzyszenia *en participation* stosują się do jednego lub kilku działań handlowych „à une ou plusieurs opérations de commerce”? Czy stowarzyszenie to wyobraża w znaczeniu prawném osobę moralną? czy uczestnicy odpowiadać powinni *in solidum* lub tylko *pro rata*? czy ulega sądom polubownym koniecznym?

Pierwsza z tych kwestyj jest najważniejsza, gdy przez nią chcemy dojść, jakito zakres działalności handlowej dla stowarzyszenia partycypacyjnego jest przeznaczony, i gdy od sposobu jój rozwiązania, zależy rozstrzygnięcie wszelkich innych kwestyj tak wymienionych, jak niewymienionych.

Jurisprudencja kassacyjna prawie we wszystkich kwestiach tych dopuszczała się sprzeczności. Pojedyncze więc i urywkowe spostrzeżenia lub uwagi, nie doprowadziłyby do pewnego jasnego rezultatu, gdybyśmy wprzód nie podali ogólnego i systematycznego rysu wszystkich spółek tak cywilnych, jak handlowych; zwłaszcza, że części odciętej od całości, nigdy dobrze poznać nie można, nie widząc jej w ogólnym obrazie wszystkich części, składnie złożonych.

Podług kodexów cywilnego i handlowego, istnieją dwa główne rodzaje spółek, *sociétés*; a mianowicie: spółki cywilne i spółki handlowe.

Spółki cywilne, kodex cywilny w art. 1835 wprowadzi dzieli na ogólne, *universelles*, i szczególne, *particulieres*; lecz w artykule następnym 1836, rozróżnia znowu dwa rodzaje spółek ogólnych, a w szczególności: spółkę wszelkich dóbr terażniejszych, tak nieruchomych jak ruchomych, i spółkę ogólną *dorobkową*, *société universelle de gains*.

Co do spółek cywilnych szczególnych, tych podobnie dwa rodzaje kodex cywilny zdaje się przyjmować, gdyż w art. 1841 wyrzekłszy: że spółką szczególną jest ta, która się zasadza na pewnych rzeczach szczegółowo oznaczonych, *certaines choses déterminées*, w celu ich używania lub pobierania z nich przychodów; dodaje w art. 1842, że to także jest spółką szczególną, gdy mocą kontraktu, dwie lub kilka osób stowarzyszą się, bądźto dla jakiego przedsiębiorstwa oznaczonego, bądźto dla wykonywania jakiego rzemiosła lub profesyi, *métier ou profession*.

Kodex handlowy pod napisem: *o różnych spółkach*, w art. 19 uznaje trzy rodzaje spółek handlo-

wych, a mianowicie: firmową, kommandytową i bezimien-
ną; a nadto w art. 47 stowarzyszenie się handlowe na
stosunkowy zysk lub stratę, *association commerciale
en participation*.

Ztąd więc w ogólności jest siedm lub ośm spółek,
tak cywilnych jak handlowych.

Namnożenie tylu rozmaitych spółek w systematycz-
nym układzie prawodawstwa kodexowego, pochodzi
z zamierzonego uporządkowania pojednawczego *różno-
rodnych* praw dawnych, przedtém obowiązujących,
znanych pod nazwą prawa pisanego, *droit écrit*, i pra-
wa zwyczajowego, *droit coutumier*.

Podobny obraz tranzakcyi obojga praw, pisanego
i zwyczajowego, widzimy w kontrakcie małżeńskim ko-
dexu cywilnego francuzkiego.

W głównych zasadach, przepisy kodexów cywilnego
i handlowego o spółkach, nie dają się uważać za pa-
sno jednego systematu, gdy w nich prawie dwa odre-
bne systemata panują; tak co do sposobów ich zawiera-
nia i udowodnienia, jak co do skutków prawnych.

Współki bowiem cywilne, bądź ogólne, bądź szcze-
gólne, *słownie* zawierane być mogą; z tém jedynie ogra-
niczeniem, że jeżeli ich przedmiot 150 franków (240
złp) przenosi, dowód ze świadków na wykazanie pra-
wnego bytu spółki nie jest dopuszczalnym, chybaży
przeciw temu, który spółki zaprzecza, walczył *począ-
tek* dowodu piśmiennego: w którymto przypadku, po-
wód domagać się może uzupełnienia dowodu przez
świadków lub przez przysięgę z urzędu. Nadto wolno
mu w niedostatku początkowego dowodu na piśmie, do-
wodzić bytu i warunków spółki deferowaniem przy-
sięgi.

Przeciwnie, spółki handlowe: firmowa, kommandytowa i bezimienna, wymagają bezwarunkowo aktów piśmiennych do exystencji swój prawnej; ostatnia z nich nawet upoważnienia i zatwierdzenia przez rząd. Spółki: firmowa i kommandytowa, nie inaczej, jak tylko aktami urzędownie lub prywatnie sporządzonemi, bezimienna zaś tylko aktem publicznym, udowodnione być mogą.

Spółki cywilne nie stanowią osoby moralnej; owszem, w stosunku do osób trzecich, stowarzyszeni tak są uważani, jakoby żadna spółka między nimi nie istniała.

Przeciwnie, trzy spółki handlowe, uważane są we względzie prawnym za osobę moralną, za jedność prawniczą, *être moral, personne* lub *individualité juridique*, właściwe swe prawa i obowiązki mająca.

W spółkach cywilnych, zobowiązanie się jednego z stowarzyszonych choćby na rachunek spółki, tylko jego samego, a bynajmniej innych współstowarzyszonych nie wiąże; chyba, że go do tego upoważnili, lub że *rzecz poszła na użytek spółki*: w którymto przypadku służy trzeciemu *actio de in rem verso*.

Jeżeli wszyscy stowarzyszeni sami zobowiązali się razem względem trzeciego, lub jeżeli jeden lub kilku będąc przez współstowarzyszonych do tego upoważnieni, dług zaciągnęli; natenczas wszyscy w równych tylko częściach, a jeżeli jest tylko dwóch stowarzyszonych, tedy po połowie, odpowiadają, nigdy zaś *in solidum*. Zawsze jednak stowarzyszeni, *ipso jure*, w równych częściach są odpowiedzialni, chociażby nierówne części we spółce mieli; chyba by zobowiązanie się względem trzeciego, wyraźnie w odpowiednich częściach było zastrzeżone.

W spółkach więc cywilnych, trzeciemu służy tylko poszukiwanie przeciw stowarzyszonym, którzy się w zachodzącym interesie zobowiązali, imiennie, nie zaś przeciwko spółce; i tylko w równych częściach *pro rata*, a jeżeli się niektórzy współstowarzyszeni nie zobowiązali, jedynie z tytułu *de in rem verso*.

Inna teoria prawna panuje w trzech spółkach handlowych. W spółkach firmowej i komandytowej, stowarzyszeni za wszelkie zobowiązania się spółki, osobiście i solidarnie są odpowiedzialni, chociażby jeden tylko z stowarzyszonych, handlem lub przedsiębiorstwami spółki kierujący, imieniem spółki podpisał; wyjąwszy wszakże komandytorów, którzy *ipso jure* tylko do wysokości swych udziałów odpowiadają.

Współki bezimienne sąto kompanie akcyonaryuszów, które ogólnie z całym swym kapitałem zakładowym i dorobionym, przez ustanowionych administratorów, osobom trzecim odpowiadają.

Z trzema temi spółkami handlowemi, prawie nie wspólnego nie mają stowarzyszenia handlowe do dzielenia się zyskiem lub stratą, *les associations en participation*.

Stowarzyszenia te, acz do handlowych policzone, jednak nie ulegając formom ani prawidłom spółek handlowych zwyczajnych, i również nie będąc uważane za spółki cywilne, stanowią poniekąd zagadkę prawną, oczekującą jeszcze rozwiązania.

Zagadka ta leży najszczególniej w tych kilku wyrazach artykułu 48 kod. handlowego:

„Les associations sont relatives à une ou plusieurs opérations de commerce”.

„Stowarzyszenia te stosują się do jednego lub kilku działań handlowych”.

Prawnicy rzymscy mawiali:

„Omnis definitio in jure periculosa est, parum est enim, ut non subverti possit”. Uwaga ta stosując się do definicij prawnych, troskliwie wyrobionych, stosuje się tém bardziej do naszej gołej definicji, która wszelkiéj prawie cechy prawniczéj jest pozbawioną; gdy według niéj, spółka *en participation* nie mając pewnych granic, może w sobie obejmować to *mniej*, to *więcej*, i pojętą być może w szczupłym albo téż w rozleglejszym zakresie działań handlowych, co do przedmiotu, a poniekąd i co do czasu.

Jakoż istotnie w téj niepewnej sferze błąkają się opinie tak komentatorów kodexowych, jak i wyroki kassacyjne francuzkie.

Pardessus (1) czując wątplość nietylko owych kilku wyrazów, ale i innych określeń spółki partycypacyjnej, wysila się aby zbadać i ustalić różnice, jakie między tą spółką a spółkami handlowemi ordynaryjnymi, zwłaszcza firmową, zachodzą, i zbiera uwagi swe w tém ogólniejszém objaśnieniu, że:

„le caractere propre d' une association en participation est qu'elle soit relative à une ou plusieurs opérations de commerce, dont l'objet est né au moment où les parties font leur convention, et qu' elle ne se prolonge pas au de là du temps nécessaire pour les achever”.

Bravard de Veyrières (2) przywodząc historycznie, że stowarzyszenia *en participation*, znane i używane

(1) Cours de droit commercial, nr. 1045.

(2) Manuel de droit commercial, nr. 23.

były w średnich wiekach, objaśnia, że mają tę szczególność w sobie:

qu'elles sont limitées à une ou plusieurs opérations déterminées, et qu'elles ne sont assujetties à aucune formalité. Plus circonscrites que les autres dans leur sphère d'activité, formées en général, instantanément entre les personnes de toutes conditions elles ne relèvent en quelque sorte, que de la convention des parties".

Ostrzega nadto, że bez względu na to, jaką nazwę stowarzyszeni wspólnie między sobą zawartej nadali, do trybunałów należy ocenić: czy w wspólnie *en participation*, przedstawia się:

„ce caractère spécial, de n'avoir pour objet, qu'une ou plusieurs opérations commerciales".

Lubo przeciwko definicyom tym nie ma nic do zarzucenia, a ostatnia prawie za wzorową uważać się daje, jednakże pomimo tych zalet, nic więcej z nich wyczytać nie można, jak co text prawa obejmuje, ponieważ cała interpretacya znowu stanęła na luźnych wyrazach *une ou plusieurs opérations de commerce*, i na trudności wyznaczenia domniemanej kodexem handlowym linii granicznej między spółką firmową, a spółką *en participation*, czyli na zapytaniu: do jakichto czynności, przedsięwzięstw, działań lub obrotów handlowych, nieformalna spółka *en participation* prawnie użytą być może, bez przekroczenia jej właściwych granic?

Sami nawet *Pardessus* i *Bravard de Veyrières* nie przejęli się duchem swych własnych definicyj, ponieważ mylnie przywodzą: jakoby umowy o wspólne kupno i sprzedaż ładunku okrętowego towarów, *cargaison des marchandises*, lub o wybudowanie okrętu, *construction d'un navire*, lub o nabywanie i dostarczanie

przez każdego z uczestników żywności dla wojska albo dla jakiego instytutu publicznego potrzebnych, miały być prostemi spółkami *en participation*.

Podobnież jurysprudencya kassacyjna często wykra-
czała za małą sferę spółki partycypacyjnej, uznawszy,
że spółka rzemieślników dla fabrykacyi i sprzedaży nar-
zędzi, acz pod tytułem firmowej i bez oznaczenia ilości
narzędzi zawarta; niemniej spółka o utrzymywanie ła-
zienek; następnie spółka do użytkowania z domu fabry-
cznego; dalej do ciągnięcia korzyści z kopalń; wreszcie
spółka dwóch osób do prowadzenia handlu winnego
przez lat trzy, w ten sposób: iż jedna z nich, w swém
własnym imieniu wina zakupywać i dostarczać, druga
piwnice swe dawać i wina w własnym imieniu sprzeda-
wać miała, są spółkami *en participation*.

W innych wszakże przypadkach, po dojrzałszych na-
radach, sąd kassacyjny uznawał, że spółki do prowa-
dzenia handlu ogólnie wieprzami, lub winem, wódką,
mydłem, oliwą, są spółkami firmowemi; ponieważ nie
ograniczają się na kilku li działaniach, ani na jednym
szczegółowym przedmiocie, któryby już w czasie sto-
warzyszenia był wiadomym. Z czego ogólna reguła wy-
nika, że spółki handlowe lub przemysłowe w większych
rozmiarach, co do przedmiotu i czasu, wyłącznie, tak
w całości jak w udziałach częściowych, zasadam o spół-
kach handlowych ordynaryjnych, ulegają.

Lecz na niepewnej teorii komentatorów, na kołysa-
jącej się jurysprudencji kassacyjnej poprzestać nie może-
my. Potrzeba nam trwałych punktów oparcia i ujęcia;
potrzeba argumentów do stanowczego rozwiązania w te-
oryi: czém spółka partycypacyjna jest w systemacie
wszystkich spółek, i jaki jest jej ściśle prawny zakres

działalności handlowej? Tych punktów i argumentów tam szukać powinniśmy, gdzie ich komentatorowie i prawnicy kassacyjni nie szukali: to jest w bezpośrednich źródłach historycznych kodexu handlowego, w powołanych na początku *Pothier* i *Locré*.

Pothier wykładając teoryę *du pays de droit écrit et du pays de droit coutumier*, w rozdziale o różnych rodzajach spółtek, dzieli w duchu prawa rzymskiego, wszelkie spółki na ogólne, *universelles*, i szczególne, *particulieres*. Do ogólnych liczy *societatem universorum bonorum*, i *societatem universorum, quae ex quaestu veniunt* (1).

O spółkach szczególnych, *sociétés particulieres*, tak przywodzi:

„Jest kilka rodzajów spółtek szczególnych. Zawierane są bowiem takie spółki, aby mieć wspólnie pewne rzeczy szczególne (*particulieres*) i dzielić się ich przychodami. Są także spółki dla wspólnego prowadzenia jakiego kunsztu lub professyi, *art ou profession*; są nakoniec spółki handlowe.”

Następnie traktuje o tych rozmaitych spółkach szczególnych w trzech rozdziałach, pod następującemi napisami:

§ 1 *de la société de certaines choses*;

§ 2 *des sociétés pour l'exercice d'une profession*;

§ 3 *des sociétés pour un commerce*.

W paragrafie 2, do którego art. 1842 k. c. się stosuje, *Pothier* objaśnia:

„Wiele osób jednéjże professyi lub jednegoż rzemiosła (*profession ou métier*) stowarzyszyć się mogą, dla

(1) Rzymskie wyrażenie jest: *societas omnium omnino bonorum, vel eorum quae ex quaestu veniunt*.

wykonywania swęj professyi lub swego rzemiosła, i ułożyć się między sobą, aby wszelkie zarobki, jakie z jednej lub drugiej strony, skutkiem wykonywania rzemiosła lub professyi mieć będą, wniesione były do jednej wspólnej massy, dla podziału między sobą. Wiele bywa spółek tego rodzaju pomiędzy mularzami."

W trzecim paragrafie *Pothier* przywodzi, że *Suvary* w swém: *Parfait négociant*, rozróżnia trzy rodzaje spółek handlowych, a mianowicie:

„Les sociétés en nom collectif; les sociétés en commandite; les sociétés anonymes et inconnues."

Po wyjaśnieniu pierwszych dwóch rodzajów spółek handlowych, *Pothier* tak się wyraża:

„Współka bezimienna lub niewiadoma, która się także *compte en participation* zowie, wtenczas zachodzi, gdy dwie lub kilka osób umawiają się o uczestnictwo w pewnej jakiej negocyacji, którą jedna z nich pod swém tylko imieniem robi."

Do definicyi téj przytacza następujący przykład:

„Trafia się komu pewna ilość towarów do nabycia. Nie mając sam dostatecznego funduszu, pisze więc do drugiego, czyliby nie chciał być uczestnikiem (*être de part*). Ten drugi na to się zgadza, odpisując, że prześle mu potrzebny fundusz na swój udział. W skutku tego, pierwszy robi kupno w swém własnym tylko imieniu. On więc jest wiadomym, a drugi niewiadomym stowarzyszonym."

Potém dodaje:

„I to także jest rodzaj spółki bezimiennęj, którą współką *chwilową, momentanée*, nazywają. Naprzykład, gdy tandeciarze, *revendeurs*, na licytacji mebli i rozmaitych innych ruchomości, umawiają się o wzaje-

inne uczestnictwo w nabytych przez siebie rzeczach, aby się następnie niemi podzielić.”

Przykłady te odnoszą się oczywiście tylko do pojedynczych lub chwilowych, lub pomniejszych interesów handlarskich; i spółka, którą *Pothier* pod nazwą spółki bezimiennéj objął, niczém innym nie jest, jak spółką *en participation*, nie mającój żadnego podobieństwa do spółki bezimiennéj, kodexem handlowym w art. 29 i następnych ustanowionéj.

Jakoż w rzeczy saméj, wykład motywów przez radcę stanu *Regnaud de St. Jean d'Angely* zgromadzeniu prawodawczemu przedstawiony, przekonywa: że redaktorowie kodexu handl., zapatrując się na *ordonnance* z roku 1673 o handlu lądowym, i znajdując, że w nim dwie tylko spółki, a mianowicie: *la société générale* czyli *en nom collectif* spółka firmowa, i *la société en commandite* są objęte; przydali w swym projekcie jeszcze dwie inne spółki, a mianowicie spółkę akcyonaryuszów, *la société par actions*, którą kodex handlowy wyłącznie *société anonyme*, spółką bezimienną nazwał, i *la société en participation*. W ogólności więc cztery rodzaje spółek handlowych przypuszczali.

Tymczasem rada stanu ograniczyła je do trzech pierwszych:

„parceque la société en participation, n'étant qu'un acte passager, qu'une convention qui s'applique à un objet unique, et ne repose pas sur les mêmes bases, ne peut avoir les mêmes résultats que les trois autres genres d'association.”

Z widokami temi zgadzała się zupełnie opinia trybunatu przez *Jard-Pauvillier* zgromadzeniu prawodawczemu przedstawiona, z której wyraźnie się okazuje, że

współka bezimienna kodexem handlowym objęta, była poniekąd nowym utworem, przez redaktorów kodexowych zrobionym, różniącym się od definicyi przyjętej w komentarzu do *ordonnance* z roku 1673; że nadto spółka *en participation* jedynie do tych wypadków zastosowaną została, które komentator (Pothier) pod nazwą: spółtek bezimiennych objął.

Jakoż po wyłożeniu zasad trzech spółtek handlowych formalnych, Jard-Panvillier przywodzi co następuje:

„Enfin, la loi reconnait aussi une espèce de société qu'on appelle association commerciale en participation; mais comme cette association n'est que *momentanée*, qu'elle n'a pour objet qu'une ou un petit nombre d'opérations déterminées, et qu'elle se règle par les conventions des parties, elle n'est point sujette aux formalités prescrites pour les autres sociétés.”

Dla uzupełnienia obrazu tych działań i zasad prawodawczych, przydać jeszcze należy te spostrzeżenia, jakie i w radzie stanu, i w trybunacie wprzód poczyniono, nim się do zgromadzenia prawodawczego udano.

Na wniosek *Treilhada*, ażeby dla udowodnienia stowarzyszenia *en participation*, wymagany był jakikolwiek dowód na piśmie początkujący, *Regnaud de Saint Jean d'Angely* odpowiedział (1):

„que les sociétés en participation ne se forment pas toujours entre des négocians, qui aient des livres, ni par correspondance. Dans les foires, par exemple, dans les marchés des grandes villes, la convention est verbale. Des marchands de chevaux, de bestiaux, de comestibles etc, conviennent d'acheter en commun, et rien n'est

(1) Locré, tom XVII, str. 194.

écrit. Il est donc indispensable de permettre aux contractans, de prouver le marché par témoins. Au surplus, les tribunaux seront, sans doute, *très réservés* à admettre ce genre de preuve, *quand il ne sera pas appuyé d'un commencement de preuve par écrit*".

Ponizéj *Defermon* zrobił uwage:

„que, peut-être, il conviendrait de rendre plus exactes les définitions contenues dans l'article, afin qu'on ne pût jamais confondre la société en participation avec la société *ordinaire*. Il faudrait dire, qu'indépendamment des sociétés énoncées dans cet article, la loi reconnaît encore la société entre plusieurs *pour une seule affaire*."

Ponizéj znowu, na wniosek *Treilhaarda*, ze artykuł, który tylko trzy rodzaje spółek przypuszcza, zdaje się być niezgodnym z artykułem, przypuszczającym nadto spółkę *en participation*. *Regnaud de Saint-Jean d'Angely* odpowiedział (1):

„qu'il s'agit dans l'article... des sociétés formées pour *une suite d'opérations*, et que la société en participation n'est qu'une association pour *une affaire du moment*".

Podług spostrzeżeń ogólnych trybunatu (2), na pytanie: dlaczego stowarzyszenia *en participation* nie stanowią czwartego rodzaju spółek, odpowiedziano:

„C'est que l'association en participation n'est qu'un *marché d'un moment* relatif à quelque opération passagère, et qu'en cela elle diffère de la *société* dont le lien plus *durable* forme entre les associés une communauté d'intérêts continus".

(1) Loaré, tom XVII, str. 258.

(2) Loaré, tom XVII, str. 293, 309.

Czémże więc jest, podług Pothier i autorów kodexowych, *compte en participation*, lub *association* lub *société en participation*?

Jestto: *une société pour une seule affaire; pour une affaire du moment; un marché d'un moment relatif à quelque opération passagère; un acte passager; une convention qui s'applique à un objet unique; une association qui n'est que momentanée, qui n'a pour objet qu'une ou un petit nombre d'opérations déterminées.*

A czémże nie jest?

Nie jest: *une société pour une suite d'opérations; nie jest une communauté d'intérêts continus.*

W tém więc tylko znaczeniu, tak twierdzącém jak przeczącém, w tém tylko ograniczeniu, w téj ścisłej sferze działalności, wystowienie się prawa *une ou plusieurs opérations*, wzięte być może.

Stowarzyszenia więc partycypacyjne, obejmować mogą tylko jeden przedmiot, jeden szczegół oznaczony, pewny, wiadomy; tylko jeden interes, targ, handel, w którym nie więcej, jak jednego lub kilku obrotów handlowych potrzeba, ażeby handel ten zakończyć i podział wspólki uskutecznić.

Stowarzyszenie partycypacyjne nie może w sobie obejmować wiele rozmaitych towarów, jak np. ładunek okrętowy, *cargaison*; nie może dotyczyć interesu, wymagającego wiele czasu i wiele rozmaitych materyałów, lub wiele rozmaitych układów, jak np. budowa okrętu.

Z porozrzuconych powyżej cytacyj okazuje się nadto, że autorowie kodexu handlowego pojęli te proste wspólki handlowe, z codziennych potrzeb rodzące się i do nich odnoszące się, prawie tylko w stosunku do zwy-

czajnych *handlarzy*, którzy ksiąg handlowych nie utrzymują, częstokroć pisać nie umieją, i słownie o wspólny targ *tych* wołów, *tych* wieprzy, *tych* wiktualów, *tych* towarów, najczęściej w obec innych handlarzy, a zatém w obec świadków *umawiają* się, i jednym lub kilkoma obrotami handlowemi, cały handel i całą wspólkę załatwiają. Dlatego, ku udowodnieniu podobnego rodzaju spółek szczególnych handlowych, nie wymagając żadnych dowodów piśmiennych ani nawet początkowego dowodu na piśmie, poprzestali na prostym dowodzie ze świadków, za dozwoleństwem go jednak dopiero przez trybunał; spodziewając się, że trybunały bardzo rozważnie i oszczędnie z nadaną sobie atrybucją postąpią, i że nadewszystko spółki partycypacyjnej nad właściwy zakres nie rozciągną. Słowem, uważając spółkę partycypacyjną za środek prawny, który jedynie do jednego szczególnego targu towarów lub płodów jednakowej natury służy, i *rychle* kilku najwięcej obrotami handlowemi ukończenie, i rozwiązanie spółki za sobą pociąga: autorowie kodexu handlowego nie mieli tego bynajmniej na widoku, ażeby spółka ta miała kiedykolwiek służyć do wspólnego handlu, lub przedsiębiorstwa znacznemi wartościami, lub co większa, do jakichkolwiek bądź przedsiębiorstw wspólnych, wymagających ciągłego i długiego działania, czyli wykonywania nieprzerwanego pasma rozmaitych i różnych czynności handlowych lub przemysłowych.

Tego rodzaju interesa, w duchu jurysprudencji kodexowej, nie są pozostawione ani swobodnym formom, ani płytkim dowodom, ani skutkom prawnym, jakie spółkom partycypacyjnym służą.

Gdyby jurysprudencja, oparta na kodexach handlowym i cywilnym, była się przejęła duchem tych zgodnych widoków i motywów, tak przez redaktorów kodexu handlowego, jak przez radę stanu i trybunat, na koniec przez zgromadzenie prawodawcze przyjętych; nigdy nie byłaby tyle wątplych kwestyj wywołała, nie byłaby się tylu sprzeczniemi z sobą wyrokami powikłała, i nie byłaby się tylu zbroczeń od teoryi kodexu handlowego dopuszczała.

Z powyższych bowiem wywodów i argumentów okazuje się, że autorowie kodexu handlowego, prostując *ordonance* z r. 1673 i komentatora (Pothier), ustanowili trzy spółki handlowe formalne do wszelkich przedsiębiorstw handlowych, większych i wielkich, trwałych i ciągłych, słowem, do wspólnego prowadzenia handlu w całym znaczeniu tego wyrazu, do przedsiębiorstw, wymagających wiele działań handlowych i wiele czasu. Obok zaś tych trzech spółek formalnych, właściwemi cechami prawnymi uposażonych, pozostawili, na inném podstawie, do pojedynczych, przypadkowych, chwilowych, przemijających stowarzyszeń handlowych owe pierwiastkowe *compte en participation*, *société momentanée*, *société* lub *association en participation*, prosty rachunek zysku lub straty pomiędzy handlarzami, tandeciarzami, kramarzami, którzy, za następczeniem się jakiego korzystnego interesu handlarskiego, lub na aukcyi, licytacyi, lub na jarmarku, na targu, porozumieli się między sobą o zrobienie wspólnemi funduszami i na wspólne ryzyko, jakiej spekulacyi handlarskiej, której początek styka się bezpośrednio z jej końcem.

Takie stowarzyszenie się, jest ze swego zarodku i pierwiastku niczém inném, jak spółką szczególną

rzymską, w art. 1841 i 1842 k. c. przewidzianą, względem pewnych rzeczy, szczegółowo oznaczonych, lub jakiego przedsiębiorstwa oznaczonego, lub do wykonywania jakiej profesyi.

Jak stowarzyszenie się kilku uczestników, dla jakiego wspólnego zarobku i dzielenia się stosunkowo zyskiem lub stratą, jest: pomiędzy niehandlującymi, spółką szczególną cywilną, *société particuliere civile*; tak pomiędzy handlarzami, *compte, association, société en participation*, stanowi spółkę szczególną handlową, *société particuliere commerciale*, spółkę handlową zwyczajną, *prostą*, z tą wszakże różnicą, że w spółkach szczególnych cywilnych ani wielkość przedmiotu lub przedsiębiorstwa, ani czas trwania ograniczonymi nie są; w spółkach zaś partycypacyjnych, handel ograniczyć się powinien na jednym towarze, na jednym targu i na kilku najwięcej obrotach handlarskich, do tegoż towaru, do tegoż targu ściągających się; niemniej, że w spółkach cywilnych nad wartość 150 franków, dowód ze świadków względem istnienia i warunków spółki nie jest dopuszczalnym, gdy nie ma początkowego dowodu na piśmie; w spółkach zaś partycypacyjnych, dowód ze świadków takiemu ograniczeniu nie ulega, i przez trybunał, w miarę jego uznania, dozwolonym być może.

Wszelako, z całej, że tak powiem, operacji prawodawczej powyżej opisanéj, okazuje się, że redaktorowie i autorowie kodexu handlowego, pomimo troskliwego oddzielenia spółki partycypacyjnéj od trzech formalnych spółek handlowych, nie dostrzegli podobieństwa zachodzącego między spółką szczególną *rzymską* a spółką *zwyczajową* partycypacyjną; inaczej by-

liby tę ostatnią wyraźniej z artykułami 1841 i 1842 k. c. połączyli. I oni, podobnie jak późniejsi prawnicy, nie mieli téj wiedzy historycznej, że w prawach zwyczajowych, *droit coutumier*, powstała sama przez się, z codziennych potrzeb społeczeństwa i handlowych, spółka *en participation* zwana, równająca się w zarysach i zasadach swoich, spółce szczególniej rzymskiej: ztądto pochodzi płytka redakcyja czterech artykułów kodexu handlowego od 47 do 50, której następna juryspruden-cya kassacyjna nazhyt wiernie usługiwała.

Jakkolwiekbydz, przyznanie działaniom pod formą spółki *en participation*, większej sfery, większego zakresu działalności handlowej nad widoki i ducha prawa kodexowego, nad literalne brzmienie tych kilku słów: *une ou plusieurs opérations*, nad wyraźne objaśnienia z Pothier i z Loeró wyciągnięte: byłoby *wyszzydzeniem całego systematu o spółkach cywilnych i handlowych i całej teoryi dowodowej*.

Autorowie kodexu handlowego jedynie dlatego tak łatwy sposób dowodzenia umowy, bytu i warunków spółki partycypacyjnej w art. 49 K. II. przyjęli, że spółka ta tylko do małych targów i tylko dla pospolitych handlarzy służyć miała; bynajmniej zaś do wielkich wartości lub wielkich przedsięwzięć handlowych, albo do kilkunastu lub kilkadziesiąt działań handlowych.

Już samo wyrażenie *opérations*, wyłącza z zakresu spółki partycypacyjnej działania handlowe, pod wyrazem *entreprises* objęte.

Gdyby wolno być miało, większe przedsięwzięcia handlowe, za pośrednictwem luźnej spółki *en participation* wykonywać: na cóżby były inne trzy spółki handlowe, ustanowione i uroczystymi formami otoczone?

Nastąpiło to dlatego: ponieważ akta formalne, umowy w pewne karby porządku prawniczego wzięte, interes wszystkich tak samych stron jak osób trzecich zabezpieczają, i skutkom podstępny lub zły wiary lub zmo- wy szkodliwej zapobiegają; i ponieważ prawo chciało, aby, gdy spółki handlowe w nieco większych rozmiarach co do przedmiotu i czasu prowadzone, zwykle wiele osób trzecich dotyczą i do zawitych sporów i rachunków przyczyniają się: nie inaczej tylko za pośrednictwem spółek formalnych były zawierane.

Gdyby przez spółki *en participation*, których byt i warunki, tak łatwo samymi li świadkami, bez wymagania początku dowodu na piśmie, acz za dozwole- niem trybunału, dowodzone być mogły, wolno być miało toż samo zrobić, co przez spółki firmowe lub komandytowe: na cóżby była postanowiona niemożność dowo- dzenia spółek firmowych lub komandytowych, jak tylko formalnym aktem piśmiennym; albo, we spół- kach cywilnych nad 150 franków, niedopuszczalność dowodu ze świadków, gdy nie dostaje początkowego do- wodu na piśmie?

W spółkach małego interesu, w spółkach *en par- ticipation*, w których umowa lub porozumienie się mię- dzy handlarzami, zaczyna się i kończy na kilku słowach, przypominających rzymskie *stypulacye*; w których na- stępnie sam wspólny handel, zupełnie się załatwia je- dnym, lub kilkoma obrotami handlowymi: prawo mogło poprzestać na dopuszczeniu wszelkich sposobów dowo- dzenia bez ograniczeń: lecz większe spółki co do przed- miotu i czasu, wyłączyło zpod téj swobody, słusznie nie dowierzając handlującym i spekulantom, i przywią- zując ich dobrą wiarę do wyraźnych dowodów na piśmie,

nie zaś do zeznań świadków, które może nietyle są niepewne pod względem sumiennosci świadka, ile pod względem tym, jak on to, co było mówione, pojął i rozumiał; czy spółka doszła lub nie doszła do skutku, i pod jakimi warunkami?

Nie byłoby to płytko i niedorzecznie, gdyby jedno i toż samo prawodawstwo wyrzekło, że dla udowodnienia spółki cywilnej nad 150 franków, potrzeba mieć koniecznie kawałek dowodu piśmiennego; inaczej, ani dowód ze świadków, ani przysięga z urzędu nie będą miały miejsca; albo, że dla udowodnienia spółki firmowej lub komandytowej, potrzeba koniecznie i bezwarunkowo okazać zupełny akt spółki na piśmie; a przeciwnie, dla udowodnienia spółki *en participation*, chociażby przez nią poszukiwany był przedmiot na kilkakroć sto tysięcy, lub zysk z kilkuletnich działań handlowych, miałoby być dosyć mieć za sobą goły dowód ze świadków, przez trybunał dozwolony.

Cała zaś płytkość, cała niedorzeczność zniknie, gdy zamknijemy spółkę partycypacyjną w jej właściwej sferze działalności handlowej; gdy w pojmowaniu i tłumaczeniu wyrazów: *une ou plusieurs opérations*, trzymać się będziemy nie komentatorów i sprzecznych wyroków kassacyjnych, ale bezpośrednio samych redaktorów i autorów kodexu handlowego, którzy, jak na początku nadmienilem, najniezawodniejszemi są przewodnikami co do znaczenia litery, co do myśli, zakresu i celu prawa, i którzy spółkę partycypacyjną w szczupłym zakresie tak co do przedmiotu jak co do czasu, zamknęli.

Po rozwiązaniu pierwszego pytania, po zamknięciu spółki partycypacyjnej w jej właściwej, szczupłej sferze

rze działalności handlowej, inne pozostające kwestyc z łatwością, prawie same z siebie się rozwiązują.

Wprawdzie jurysprudencja kassacyjna nie zdołała ochronić się od rażących sprzeczności, uznawszy, np. że spółka partycypacyjna jest osobą moralną, *être, personne morale, individualité juridique*, chociaż częścię uznawała że nią nie jest; albo w jednym wypadku, że chociażby wszyscy uczestnicy spółki partycypacyjnej względem trzeciego się zobowiązali, przecież nie solidarnie lecz tylko *pro rata* odpowiadają; w innym znowu wypadku przeciwnie, ale bez wyluszczenia motywów, że gdy wszyscy się zobowiązali, wtedy *in solidum* odpowiadać powinni.

Co do kwestyi, czy stowarzyszenia partycypacyjne są dom polubownym koniecznym ulegają, jurysprudencja kassacyjna prawie za jednostajną regułę przyjęła, że im ulegają.

Cóż to dowodzi? Zaiste, nie; albo raczej, że jurysprudencja francuzka straciwszy punkt środkowy, *le point de départ*, popadła w nieład sprzeczności i płytkości, z którego wycofać się jęj trudno.

Dowodem tego jest między innymi, Bravard de Veyrières, który pomimo rozumowań konsekwencyjnie prowadzonych, mylnie przypuszczenia przyjąwszy, do mylnego przyszedł rezultatu, wnosząc, jakoby uczestnicy partycypacyjni osobę moralną stanowią i solidarnie odpowiadać powinni.

Możnaby powiedzieć, że im są młodszy komentatorowie tém ich jurysprudencja płonniejsza; gdy np. dawniejszy *Pardessus* przeciwnego jest zdania, czując wielką niestosowność podobnej teoryi.

Rozmaitość zdań nie dowodzi, i rozwiązanie nastreczonych kwestyj szczegółowych zawisło od głównych zasad przez redaktorów kodexu handlowego przyjętych, i textem prawa popartych.

Kodex handlowy w art. 47 z góry ostrzega dobitnym, nie dwuznacznym wyrażeniem: *Indépendamment de trois espèce de société, ci-dessus*, że spółka partycypacyjna prawidłom trzech rzeczywistych spółek handlowych w niczem nie będzie ulegała.

Ale na tém krótkim objawieniu, autorowie kodexu nie powinni byli poprzestać, z uwagi na to, że prawa nie tylko ze względem na ogół społeczeństwa czyli stron, lecz i z nieodłącznym względem na rozmaitość prawników, sędziów, redagować należy.

Powiedziawszy w art. 48 K. H., że stowarzyszenia partycypacyjne we względzie przedmiotów, form działania, stosunku udziałów i warunków, rozpoznawane będą podług zawartych między uczestnikami układów: autorowie kodexu powinni byli wyraźnie wyrzec, jakim zasadom stowarzyszenia te podpadać będą, jeśliby w czém nie dostawało wyraźnej umowy uczestników.

Niedostatek ten wszakże zastąpiony jest główną zasadą, całemu kodexowi handlowemu sterującą: że ile razy kodex handlowy, lub zwyczaje handlowe, nie wskazują szczególnych praw handlowych, tyle razy powszechne prawo cywilne obowiązuje w kwestyach handlowych.

Co do spółek, zasada ta nawet jest powtórzona w art. 18tym K. H., który stanowi: że kontrakt spółki podlega przepisom *prawa cywilnego*, szczególnym prawom handlowym i wzajemnym układom stron.

Gdy dla spółek partycypacyjnych, po wyłączeniu ich (art. 47) zpod wszelkich prawideł trzem spółkom handlowym formalnym nadanych, żadne szczególne przepisy handlowe postanowionemi nie zostały, prócz ograniczenia ich do jednego lub kilku obrotów handlowych i zwolnienia teorii dowodowej cywilnej: przeto oczywiście w każdym innym względzie, zasadom kodexu cywilnego o spółkach podpadają.

Współki cywilne, osoby moralnej nie stanowią, uczestnicy ich nie *in solidum* lecz tylko *pro rata* i *de in rem verso* odpowiadają, ich spory ze spółki wynikające sądom polubownym koniecznym nie ulegają.

Wszystkie więc zasady te znajdują zastosowanie swe do spółek partycypacyjnych.

Na poparcie prawdy téj, służą w szczególności następujące jeszcze argumenta:

Już *Pothier* (1) uważał że w spółkach przez niego bezimiennymi czyli niewiadomymi zwanych, tojest w spółkach *en participation* stowarzyszeni bezimienni wcale wierzycielom za długi spółki nie odpowiadają, tylko swemu współ-stowarzyszonemu ważnie względem nich działającemu, każdy w stosunku swój części z jaką do spółki należał, a w razie strat, stosunkowo, aż do ich pokrycia. Powtóre, *Jard-Panvillier* w powołanym już wyżej głosie swym do zgromadzenia prawodawczego (2), objaśnia: „iż w materji o spółkach było niezbędném aby kodex handlowy oznaczył główne prawidła formowania i prowadzenia spółek, tojest trzech spółek handlowych formal-

(1) *Oeuvres de Pothier*, Paris, 1835, seconde partie. *Traité du contract de société*. Chapitre VI. § II, str. 999.

(2) *Loché*. XVII, 359.

nych, bez uwłaczania wszakże ogólnym zasadom przez kodex cywilny w tej materji ustanowionym, ani nawet tym, które przez *ordonnance* z r. 1673 są ustanowione. Potrzebie, kodex cywilny w art. 1862, wyrzekł: że w spółkach, *sociétés*, niehandlowych (*association* zaś nie jest *société* w ścisłym znaczeniu), stowarzyszeni nie są odpowiedzialni solidarnie, i jeden stowarzyszony innych zobowiązywać nie może, jeżeli go nie umocowali.

I art. 1873 K. C. objawiający: „że przepisy o spółkach cywilnych, stosują się do spółek handlowych w tych tylko punktach, w których prawom i zwyczajom handlowym nie są przeciwne”, wspiera powyższą prawdę zasadniczą, gdy podług przywiedzionej teorii z Pothier, prawa lub zwyczaje handlowe w spółkach *en participation* nietylko nie były przeciwne powszechnemu prawu cywilnemu rzymskiemu, ale owszem z niem się zgadzały.

Nakoniec zastanawiając się nad stowarzyszeniem profesjonalistów, podług art. 1842 K. C., i nad stowarzyszeniem handlarzy, podług art. 48 K. H., do pewnego przedsiębiorstwa, w celu odniesienia wspólnymi staraniami jakiego zysku i podzielenia się nim stosunkowo, lub w razie niepomyślnym, poniesienia stosunkowych strat wspólnie, jakażby tu miała zachodzić ważna różnica co do profesjonalistów i handlarzy, jednych względem drugich, któraby różnych zasad prawa wymagała? Profesjoniści i handlarze, jedni i drudzy skupują materiały, płody; przenoszą, przerabiają je, lub przemieniają według potrzeb w ten lub w inny sposób, i starają się, bądź sami bądź w spółce z innymi jak najdrożej je zbywać.

Co to może trzecich obchodzić, że ktoś sam dla siebie lub też w spółce z kim innym jaki szczególny interes handlowy zrobi? Trzeci wie z kim się wdaje, jego więc patrzeć powinien, a dosyć że mu prawo dozwala akcyi *de in rem verso*.

Niéma więc tu tak ważnych różnic co do stosunków i okoliczności. Różnica bowiem ręcznej roboty względem drobnego handlu kończy się w spółce na ułożonych między stowarzyszonymi stosunkowych korzyściach i stratach.

Lubo co do możności dowodzenia bytu prawnego spółek cywilnych bądź ogólnych bądź szczególnych i stowarzyszeń handlowych *en participation*, kodex cywilny i handlowy odmienne ustanowił teorye, gdy existencya spółki cywilnej nad 150 franków wartości nie może być udowodniona świadkami, bez początku dowodu piśmiennego; existencya zaś spółki partycypacyjnej, acz podobnież jak spółka cywilna szczególna do jednego szczególnego przedmiotu ograniczona, może być bez początkowego dowodu na piśmie dowodem z świadków popieraną, jeżeli sąd *in casu concreto* tego dowodu dopuszcza: jednakże różnica ta, w stosunku do professionistów i handlarzy, nie znajduje dostatecznego usprawiedliwienia w szkole i historyi doświadczeniu. I sami autorowie kodexu handlowego to czuli, pozostawiając dopuszczenie dowodu ze świadków uznaniu trybunałów, i radząc im ażeby w tej mierze z wszelką oględnością postępowały.

Pozostaje do wyjaśnienia mniemana różnica między spółkami cywilnymi, zwłaszcza *szczególnymi*, a spółkami *en participation*, w materji sądów polubownych. Takim sądom spółki cywilne *ipso jure* nie ulegają.

Czyż spółki *en participation* sądom polubownym koniecznym ulegać powinny?

Podług jurysprudeneyi kassacyjnej francuzkiej do art. 51 K. H. odnoszącej się, stowarzyszenia handlowe *en participation* koniecznie sądom polubownym podobnie jak inne trzy spółki handlowe zwyczajne, podlegają.

Wprawdzie z siłą przemagającą trudno walczyć; lecz ażeby spory stowarzyszonych *en participation* miały podlegać sądom polubownym koniecznym, o tém redaktorowie i autorowie kodexu handlowego wcale ani myśleli ani myśleć nie mieli potrzeby.

Albowiem Regnaud de St. Jean d'Angely w imieniu rady stanu objaśniwszy że spółka partycypacyjna jest *un acte passager qui s'applique à un objet unique*, nie może mieć *les mêmes résultats que les trois autres genres d'association*, następnie rozwinąwszy tylko trzy te spółki formalne, wyraża się na końcu w ten sposób:

„Si dans les sociétés ainsi *organisées*, *soumises à des règles précises*..... s'il survient des contestations, la loi en enlève la connaissance aux tribunaux, elle ordonne le jugement *par arbitres*...; elle fixe un mode particulier qui assure la *prompte expédition* des affaires...”

Ze strony zaś trybunatu, Jard-Panvillier powiedział także, że stowarzyszenie czyli spółka partycypacyjna jest tylko chwilową, tylko jeden lub małą liczbę obrotów handlowych za przedmiot mającą, kończy tak: „qu'elle n'est point sujette aux formalités prescrites pour les autres sociétés, qui, d'ailleurs ont toutes un

avantage commun, celui de faire juger par *des arbitres* leurs contestations”.

Nadmienia przytém, że sądy polubowne dla tych spółek handlowych, mają na celu unikanie instrukcy i powolności zwyczajnych wyroków.

Każdy widzi na pierwszy rzut oka że tak rada stanu jak i trybunat, sądy polubowne konieczne jedynie do trzech spółek formalnych stosują, z wyłączeniem spółki *en participation*, która z natury swojej mając szczerpły zakres działań czyli obrotów handlowych, będąc tylko przemijającym, chwilowym stosunkiem stowarzyszonych, do jednego li szczególnego interesu handlowego i jednego lub kilku w nim obrotów handlowych ograniczoną, nie wymaga bynajmniej tego, aby spór między stowarzyszonymi o podział zysku lub straty do sądu polubownego był odesłanym. To owszem w tym przypadku zrzuciłoby zwłokę, której zamierzano unikać w spółkach formalnych, zawsze wielką liczbę działań i rachunków handlowych w sobie mieszczących, przez poddanie ich sądom polubownym koniecznym. Prosty, łatwy rachunek, przez obiedwie strony przedstawiony, *compte en participation*, *compte à demi*, może i powinien być natychmiast w trybunale handlowym, który się przeciw z kupców, z techników, czyli znawców handlowych składa, rozpoznawanym i osądzonym bez odsyłek do innych sądów.

Skręślony w ciągu niniejszej rozprawy obraz jurysprudencji komentatorskiej i kassacyjnej francuzkiej nie przemawia zaiste za jęj chlubą. Jęjto wino, że metodę historyczną zaniedbują: lecz z drugiej strony wyznać przychodzi, że zarodek tęj niepewności i zmienności leży poniekąd w samym kodexie, czyli raczj w tęj

niepokonanej niczém trudności, jaka z nieobliczonych przyczyn i wpływów każdój kodyfikacji prawa towarzyszy.

Autorowie kodexu handlowego układając system spółek handlowych zrobili nazbyt nagły przeskok od krępowanych formami i skutkami spółek zwyczajnych handlowych, do wyzwolonej z wszelkich więzów prawnych spółki partycypacyjnej, nie pozostawiając pomiędzy temi przedziałami żadnego przejścia, żadnej formy pośredniej, którójby się imać mogli handlujący i przedsiębiorcy, w wielolicznych i rozmaitych obrotach handlowych, do zawiązania stowarzyszeń handlowych wprawdzie trwalszych i więcej opatrzonych jak proste spółki partycypacyjne lecz nieulegających tak uciążliwym formom i skutkom jak spółki handlowe zwyczajne.

Niedostatek takiej spółki pośredniczej objawia się w świecie handlowym przez zawiązanie wielu spółek, które podług prawideł kodexem handlowym ustanowionych, właściwie ani do spółek ordynaryjnych, ani do spółek partycypacyjnych nie przystają. Tegoto rodzaju spółki, są w rzeczy samej główną przyczyną sprzeczności wyroków kassacyjnych, tak z prawem handlowém, jak i między sobą.

Nadto w art. 632 i 633 K. II., uważać się dają nader wielkie zboczenia od pierwotnej natury i istotnego stanu stosunków, czynów i działań społecznych. W nich bowiem, podciągnięte są pod pojęcie i skutki *czynności handlowych*, *actes de commerce*, i takie czynności, które bynajmniej do zakresu handlowego nie należą, i tego, co pod wyrazem handel rozumiemy, nie stanowią; gdy owszem, pod względem ogólnego stanu

społeczności, naturę zwyczajnych czynności cywilnych mają, jak np. przerobienie i przekształcenie płodów natury przez rzemieślników, albo budowa statków do żeglugi przez budowniczych.

Przez to każdy rzemieślnik, który surowe materiały kupuje i w inne formy przemienia, przerabia lub przekształca, a następnie sam lub w spółce z innymi sprzedaje, powołany jest przed trybunał handlowy, jakoby handlujący, i skutkom prawa handlowego pozostawiony.

Przez to więc autorowie kodexu handlowego udaremniili prawie zupełnie porządniejszą, bo wziętą w pewne karby prawnicze spółkę szczególną cywilną, w art. 1842gim kod. cywil. ustanowioną, która przecież tak brzmi:

„Kontrakt, mocą którego kilka osób stowarzyszy się, bądź dla jakiego przedsiębiorstwa wyraźnie oznaczonego, bądź dla wykonywania jakiego kunsztu, jest także spółką szczególną”.

Któż bowiem może korzystać z téjże instytucji, acz wyższém ukształceniem prawném, niżeli spółka partycypacyjna opatrzonéj skoro każdy rzemieślnik, gdy nie robi li na obstalunek, lecz i z własnych materiałów i ogólnie na sprzedaż, za handlującego będzie uważany?

Otóż, bądźto niedostatek spółki handlowéj któraby środek między spółką ordynaryjną, zwłaszcza firmową, a spółką partycypacyjną trzymała, bądźto niewłaściwe rozprzestrzenienie pojęć handlowych nad ich naturalny zakres, a tym sposobem udaremnienie ucywilizowanéj spółki szczególnéj, artykułem 1842gim k. c. objętéj, któraby nader łatwo powyższy niedostatek kodexu handlowego mogła była zapełnić: teto wady ko-

dexu handlowego wprowadzie zniewalają do pobłażania nierównemu i niejednostajnemu torowi jurysprudencji kassacyjnej, acz częstokroć za prostą rutyną, lub powierzchniową teorią, żadnym zgłębieniem historycznym nie posilaną, postępującą; lecz nie usprawiedliwiają nigdy rozciągnięcia tak luźnej instytucyi, jaką jest spółka partycypacyjna nad jęj szczupły zakres, wbrew motywowom kodexowym, którym wszakże powaga interpretacyi autentycznej służyć powinna.

Heylman.

SZCZEGÓŁY STATYSTYCZNE, DOTYCZĄCE

WIELKIĘJ BRYTANII.

PRZEZ

Piotra Steinhellera.

Kogóż, co choć cokolwiek zastanawiać się lubi, nie uderzy ogrom tak moralnej, jak i materyalnej potęgi ludu, który osiedlony na skraju Europy, oddzielony od niej głębiną morza; odebrawszy w udziale od przyrody ziemię skąpą, nieurodzajną, bez zasobów bogactw kopalni, wznosił się jednak do tego stopnia pomyślności, jakiej ani nowa, ani starożytna historia nie daje przykładów? Kogóż nie zastanowi ten fenomen w układzie społeczeństwa odwiecznego ludów? komuż obojętnymi być mogą szczegóły jego układu?... Śledziłem je i ja pilnie, i owoc moich badań, w skróceniu czytelnikom daję.

Upprzedzam jednakże, iż ta moja praca nie jest całkowitą, to jest nie obejmuje wszystkich odcieni statystycznego stanu monarchii, której flaga powiewa na wszystkich morzach świata; której przemysł, handel i wpływy moralne i materyalne, tyle przeważnie działają na los nie tylko Europy, ale i innych części świata; której wre-

szcie bezpośrednio panowanie rozciąga się od bieguna do bieguna kuli ziemskiej, tak, że gdzie tylko krok swój poniesiesz, w którą stronę zarzuci cię igraszka losu lub własnej twojej woli, wszędzie widzisz lwa Anglii, majestatycznie wznoszącego swoje ukoronowaną głowę. Widzisz go bowiem na północy i południu Europy nie tylko w swojej odwiecznej dziedzinie Albionie, lecz i na płonnych skałach krainy Homera, w Grecyi; widzisz usadowionego w Italii; a i Iberya go lęka się, ostrym kłębem fortyfikacji błyszczącego na Gibraltarskiej opoce, i Niemcy przy ujściu rodzinnej Elby.

Cóż dopiero inne strony świata!? Gnieździ się w spieczonej słońcem Afryce, w kolebce rodu ludzkiego; w pierwotnym źródle oświaty — Azji, obszerne zdobył ziemie; rozciąga się na kilkudziesięciu tysiącach mil kwadratowych nowego świata Ameryki; a nowa część ziemi, Australia, jak mu odkrycie, złączenie z resztą świata i pierwiastki cywilizacji zawdzięcza, tak i w znakomitej części jego berłu ulega.

Otóż szczegółowa statystyka podobnego narodu tak musi być ogromną, tak zawikłaną, że jej ułożenie przechodzi nie tylko moje, ale siły pojedynczego człowieka; przypuściwszy nawet, żeby jej całe swoje życie poświęcił. Ograniczyć się zatem musiałem na kilkunastu więcej nas obchodzących szczegółach, i to tylko dotyczących europejskiej części monarchii; owszem, będzie to raczej wykaz zamożności finansowej i handlowej Albionu, niżeli ściśle biorąc statystyczny nasz pogląd. Sądzę jednak, że da on dostateczne wyobrażenie tak o ruchu handlowym, jak i finansach tego olbrzyma, który przewodniczył w złamaniu potęgi Napoleona, a niedawno temu, ukorzył garstką wojowników i pieniężną mocą Niebiaś-

skie państwo Chin—tego skamieniałego mocarza Azji, którego nikt dotąd zaczepić, ani obudzić nie śmiał.

Szczegóły zaś, które podaje, są czerpane z najdokładniejszych i najświeższych tak dzieł statystycznych, jako téż akt i ogłoszeń parlamentowych, które mogłem zebrać b. r. na miejscu, i dotyczą upłynionego roku, lub najbliższych lat, których wykazy statystyczne ogłoszonymi zostały.

Następujące tablice okażą szczegółowo stan finansów angielskich; również mogą posłużyć jako dowody statystyczne:

I. Finanse.

W obliczeniach finansowych, ministerstwo skarbu rachuje lata, poczynając od 5 stycznia jednego, do téjże daty następnego roku. Oto jest ogólny zarys dochodów i rozchodów połączonego królestwa Wielkiej Brytanii od 5 stycznia 1847 r., do 5 stycznia 1848 roku.

Dochody.

Cło.....	21,655,662 fs.
Akcyza.....	13,919,652 —
Stempel (włączając patenta, konsensa i t. p.).....	7,671,324 —
Podatek gruntowy i od domów....	4,553,860 —
Podatek od dochodów i własności..	5,612,655 —
Poczta.....	2,181,017 —
Dobra koronne.....	430,763 —
Oplata od urzędów i pensyj.....	4,812 —
Pozostałości od pensyj i oszczędzenia.	106,880 —
Drobne dochody z własności dziedzicznych.....	8,187 —
Do przeniesienia.	56,067,907 fs.

Z przeniesienia.	56,067,907 fs.
Pieniądze wybrane od towarzystwa południowo-wschodniego indyjskiego.	60,000 fs.
Mennica, przebicie i zmiana pieniędzy.	109,463—
Ustąpiona roczna pensya od króla bel- gijskiego	36,000—
Dochód ogólny wynosi zatem.	56,273,370 fs.
Remanent z roku 1846 na 1847 wynosił.	1,444,974 fs.
Znajdowało się zatem w skarbie w r. 1847 na 1848	57,795,249 fs.

Rozchód.

Wydatek na administracyą dochodów.	3,963,539 fs.
Insze wypłaty.	763,926 —
Procenta od stałego długu.	23,799,259 —
Wypłaty terminowe roczne.	3,905,974 —
Długi niestałe	436,298 —
Lista cywilna.	393,983 —
Pensye i dożywocie dla urzędników cywilnych, morskich, wojskowych, lą- dowych, zabezpieczone na stałych do- chodach.	529,804 —
Emerytury i gratyfikacye.	260,811 —
Pensye i gratyfikacye ciała dyploma- tycznego	171,346 —
Sądownictwo	1,046,594 —
Rozmaite ciężary na stałych docho- dach zabezpieczone.	310,976 —
Armia.	7,540,405 —
Marynarka	8,013,873 —
Artylerya	2,947,869 —
Do przeniesienia.	54,084,657 fs.

Z przeniesienia	54,084,657 fs.
Wynagrodzenia jednoroczne naznaczone przez parlament	3,561,067 —
Zapomoga dla Irlandyi	1,525,000 —
Podział dywidendy	59,689 —

Ogólny rozchód wynosi . . . 59,230,413 fs.

Przenosi zatem dochód o 2,956,683 fs. czyli o blisko 110 milionów złotych polskich, który pokryty został pożyczką bankową.

Dochód z poczty z ostatnich lat 8.

do 5 stycznia	dochód brutto	koszta administr.	dochód netto.
1841	1,359,466	858,677	500,789
1842	1,499,418	938,168	561,249
1843	1,578,149	977,504	600,641
1844	1,620,867	980,650	640,217
1845	1,705,067	985,110	719,957
1846	1,887,576	1,125,594	761,982
1847	1,963,857	1,138,745	825,112
1848	2,181,016	1,196,520	984,496

Do tego wykazu nie wlicza się dochód, pochodzący od listów nieprzyjętych, a w części tylko frankowanych.

Pogląd szczegółowy na dochód od stępla w 1847 i 1848, obliczony na trzy królestwa.

	Anglia z Walią	Szkocya	Irlandya
W r. 1847 dochód od legatów	1,087,005	97,198	63,350 fs.
Od konsensów, przyzwoleń i testamentów . .	915,045	67,523	71,995 —
W r. 1848 legaty . . .	1,174,466	83,995	61,061 —
Konsensa i t. d.	978,820	82,147	86,052 —

Niniejsza tabella okazuje, jak wielce, nawet stosunkowo do ludności, Anglia przewyższa w działaniach handlo-

wych i spekulacyjnych Szkocyą, a ta Irlandyą. Różnica między ostatnimi królestwami tém jest więcéj uderzającą, że Irlandya jest przeszło dwa razy ludniejsza od Szkocyi; stosunkowo zatém ruch w niej interesów cztery razy jest mniejszy, a w porównaniu z Anglią, przeszło siedm razy.

Pogląd na dochody i wydatki Komp. Wschod. Ind.

Liczby niniejszój tablicy podane są z lat 1845 i 1846, gdyż te tylko są wiadome; kompania bowiem wschodnio-indyjska co dwa lata składa swój budżet, a ostatni z lat 1847 i 1848, jeszcze nie został przedstawiony.

	<i>Dochody.</i>	
	z r. 1844 na 1845	z r. 1845 na 1846.
Dochód z mennicy....	103,409	72,116 fs.
Poczta.....	170,969	174,940—
Stępel	417,430	408,819—
Akcyza w Kalkucie....	24,888	29,100—
Oplaty i kary sądowe..	121,603	131,894—
Podatki.....	12,397,553	12,549,861—
Różne pomniejsze dochody wydziału skarbowego	57,888	46,542—
Podatek od soli i ob- rządów.....	1,900,949	1,959,339—
Opium i akcyza od niego	2,670,738	3,354,377—
Przedaż soli	2,192,666	1,877,262—
Dochód z Singaporu, Ma- lagi i Prince-Wales-Irland.	63,357	71,160—
Trybut i subsydya....	492,175	470,635—
Do przeniesienia	20,013,625	21,146,045 fs.

	z r. 1844—45	1845—46
Z przeniesienia	20,613,625	21,146,045 fs.
Dochody z Saje Abharry		
Moturpha	856,455	895,627 fs.
Przychody z ziem ustą- pionych przez Burmessów	168,915	176,315—
Przychód z Hindu	256,943	262,567—
Procent od zaległości . .	4,755	4,050—
Ogólny czysty dochód . .	<u>21,900,693</u>	<u>22,484,604 fs.</u>

Od powyższego dochodu odtrąca się na:

	r. 1845	1846
Wydatki administracyj- ne stępla	23,239	24,596 fs.
Wydatki administracji dochodów terytoryalnych	1,603,346	1,565,716—
Wydatki administracji na obrzędy i zwyczaje kra- jowe	185,414	182,709—
Koszta produkcji soli, włączając wynagrodzenia rządowi francuzkiemu i duńskiemu	589,254	517,258—
Wydatki administracji i koszta od tytoniu	625,780	726,237—
Wydatki administracji od opium	21,674	18,873—
Razem wydatki admi- nistracji wynoszą:	<u>3,048,707</u>	<u>3,035,389 fs.</u>

Rozchód.

	w r. 1844—45	1845—46
Wydatki na mennicę . .	72,244	72,187 fs.
Administracja pocztowa	176,682	183,693—
Do przeniesienia	<u>248,926</u>	<u>255,880 fs.</u>

	w r. 1844—45	1845—46
Z przeniesienia	248,926	255,880 fs.
Polityczne i administra- cyjne osady, również nad- zwyczajne wydatki na też:	1,567,066	1,650,903 fs.
Strata w stosunkach pie- niężnych i przesyłkach z Bengalu do Anglii.	42,908	69,555—
Wydatek na królewski sąd najwyższy i inne pod- rzędne, pod jego jurysdy- kcyą zostające.	194,225	194,605—
Sądy w Sudder, Zillah	1,171,210	1,189,097—
Sądy w Seinde.	548,831	640,405—
Wydatki na marynarke i statki indyjskie.	299,126	331,763—
Zabudowania, ulepszenia i zakłady publiczne, wyją- wszy naprawy.	135,294	169,443—
Administ. Singaporu, Malakki i Prince of Wales	63,475	64,628—
Armia.	8,853,595	9,054,098—
Zakłady wojenne.	110,648	108,391—
Procenta od długów.	1,741,028	1,827,189—
Wydatki wojenne, wyją- wszy wyprawę do Chin, której koszta ponosi skarb królestwa, i wyprawy do Hindu.	83,305	109,919—
Koszta poselstwa i ukła- dów z szachem Soja	216	651—
Wynagrodzenie Danii za ustąpienia w terytoryach	—	117,187—
Ogół rozchodów.	15,557,140	16,307,375 fs.

Do tych wydatków, należy wliczyć sumnę płaconą skarbowi angielskiemu, w r. 1845 w ilości fs. 2,485,212; w r. 1846 fs. 3,044,067, która w następny sposób jest rozdzieloną:

	w r. 1845	w r. 1846
Dywidenda właścicielom kompanii wschodnio indyjskiej.	629,009	623,163 fs.
Procent od długów, obowiązujących kompanią. . .	64,339	62,271—
Ścisłe ocenienie amunicyi wysłanej do Indyj. .	341,259	478,657—
Kupno statków parowych i inne wydatki, mające związek z komunikacją Anglii z Indjami. .	12,894	68,535—
Wynagrodzenie towarzystwom komunikacyj parowych w Indjach. . .	20,000	
Wynagrodzenie tymże w ułatwieniu związków wewnętrznych i chińskich	12,578	63,707—
Wynagrodzenie za transport wojska i amunicyi	31,937	38,386—
Furaże i zaległe pensye oficerom lądow. i mors. .	577,636	597,908—
Zaliczenia wojskom do Indyi przesyłanym.	187,500	450,000—
Zaległości żołnierzom. .	60,000	75,000—
Ciężary ogólne.	480,097	518,320—
Zaległe należności cywilnym urzęd. w Indjach. .	46,100	40,342—
Do przeniesienia	2,463,349	3,022,480 fs.

	w r. 1845	1846
Z przeniesienia	2,463,349	3,022,480 fs.
Cofnięte pensye urzędnikom i straży kompanii S. Heleny, które rząd włożył na kompanią wschodnio-indyjską	9,863	7,125 fs.
Posels. perskie (w części zapłacone przez kompanią)	12,000	12,000—
Nadzwyczajne wydatki na ubiór i uzbrojenie wojsk wysyłanych do Ind.	—	2,462—
Ogólny rozchód	2,485,212	3,044,067 fs.

Cyrkulacya pieniężna w Wielkiej Brytanii w r. 1848.

	16 lutego	20 maja	15 lipca	7 paźdz.
Bank angielski miał w obiegu papierów	18,479,769	18,411,886	18,153,986	17,505,718
Banki prywatne	3,663,141	3,846,645	3,569,534	3,681,544
<i>Połączony kapitałowy Bank:</i>				
(Joint Stock-Banks).	2,512,050	2,782,855	2,525,005	2,666,749
W Szkocyi	3,032,320	3,152,319	3,106,645	3,136,515
W Irlandyi	5,220,080	4,840,662	4,478,924	4,506,421
Summa ogólna	32,877,366	33,034,367	31,834,094	31,496,998

Że zaś w przecięciu cyrkulacya pieniężna z tych dat w 1847 r. dochodzi do 34 milionów; ubytek przypisać należy wpływowi zawichrzeń kontygentalnych. Liczby przeciez tegoroczne pomyślniejszy dają rezultat.

Stan banku angielskiego 20 maja i 20 września 1848 r. był następujący:

	20 maja	21 września.
Zabezpieczenia rządowe wynosily	11,713,630	13,400,019 fs.
Inne zabezpieczenia	11,630,523	13,847,210 —
Do przeniesienia	23,344,153	27,247,229 fs.

	20 maja	21 września
Z przeniesienia	23,344,153	27,247,229 fs.
Papiery	8,560,010	8,632,585 fs.
W monecie złotój i sreb- brnej	717,809	570,246 —
Ogółem	32,627,972	32,850,240 fs.

Po szczególe ten kredyt tak można rozdzielić:

	20 maja	21 września
Kapitał zakładowy wy- nosił	14,553,000	14,553,000 fs.
Pozostałości, zyski i t. p.	3,422,078	3,386,565 —
Depozyta publiczne . . .	4,417,182	3,162,909 —
— prywatne	9,189,604	10,660,880 —
Wexle	1,026,108	1,086,886 —

Gdy zaś depozyta prywatne w przecięciu w odpowiednich datach 1847 r. nie dochodziły 6 milionów fs., przekonac się zatem można z zwiększenia ich o połowę, o zaufaniu publiczném w banku, lecz zarazem i o stagnacyi wewnętrznej handlowej, zmuszującej ogromne kapitały do nieodpowiedniego procentowania.

Ile obieg brzęczącej monety zwiększa się w Anglii, dowodzi tego statystyczne jój ocenienie. W 11 ostatnich latach wynosił on:

	złoto	srebro	miedz.
W roku 1837 za fs.	1,253,071	76,111	5,096
— 1838 —	2,855,364	101,168	1,568
— 1839 —	504,303	399,234	7,168
— 1840 —	nieoznacz.	216,414	3,136
— 1841 —	378,472	96,175	7,392
— 1842 —	5,977,015	204,732	1,792
— 1843 —	6,607,850	276,276	15,344
— 1844 —	3,563,949	626,670	8,207
— 1845 —	4,244,506	647,658	6,944
— 1846 —	4,334,697	559,548	6,496
— 1847 —	5,158,440	125,730	4,960

Handel.

Gdy lista wprowadzonych towarów i innych artykułów zbyt jest wielką, aby mogła być w całości podana; ograniczę się na przytoczeniu przedmiotów większą ważność handlową mających. Ta lista pochodzi z ostatniego znanego publiczności roku finansowego 1847 na 1848, do 5 stycznia włącznie.

Zwierzęta żywe. Wołów sztuk 27,311; krów sztuk 35,138; cieląt sztuk 12,389; baranów sztuk 136,527; owiec sztuk 3,349; świń sztuk 1,242.

Prócz tego mięszo. Wołowiny solonej cent. 112,590; niesolonej lub lekko solonej cent. 5,011; wieprzowiny solonej cent. 235,315; niesolonej cent. 101.

Zboże. Pszenicy kwarterów 2,650,050; jęczmienia kwarter. 772,349; owsa kwarter. 1,706,780; żyta kwarter. 68,817; grochu kwarter. 157,245; grochu szablonego kwart. 443,719; kukurydzy kwart. 3,614,037; prosa kwart. 22,938; zimowego jęczmienia kwart. 491.

Mąki pszennej cent. 6,329,546; jęczmiennnej cent. 12,415; owsianej cent. 57,983; żytniej cent. 785,412; kaszy jaglanej cent. 537; mąki bobowej cent. 80; kukurydzowej cent. 1,451,020; tatarczanej cent. 384.

Inne artykuły żywności. Masła cent. 314,066 (ogólna konsumpcya wynosi centn. 315,924); sera centn. 355,253; jaj sztuk 77,550,429, od których cła zapłacono 22,081 fs.

Ryb zagranicznych, jak minogów, łososi, ostryg i t. d. w przybliżeniu cent. 4,500, z akcyzą 1649 fs.; kakao cent. 5,724,092, z cłem 14,673 fs.

Owoców suszonych cent. 395,579; fig cent. 32,420; pomarańczy i cytryn w cenie fs. 363,653; rodzyneków cent. 244,112.

Tłustości, jak tran, olój i t. p. beczek 22,616, z akcyzą 29,409 fs; oliwy palmowej cent. 476,401; oleju kokosowego cent. 30,049; oliwy francuzkiej beczek 8,629; ryżu cent. 1,550,000, w ładunkach okrętowych kwarterów 43,032.

Kawy z posiadłości angielskich cent. 34,242,238; zagranicznej cent. 21,154,238; razem cen. 55,396,471, z której na użytek krajowy wypada cent. 37,470,579.

Herbaty funt. 55,626,765, z której na konsumcyą krajową wypada funt. 46,324,298. Oszacowanie przy akcyzie 5,066,860 fs.

Cukru z posiadłości amerykańskich cent. 3,192,037; z wyspy św. Maurycego 1,194,047; z Indyj Wschodnich i innych osad 1,415,883 cent.; zagranicznego w przybliżeniu cent. 2,500,000. Ogółem cent. 8,196,244, z których na konsumcyą wewnętrzną zostaje cent. 5,791,783. Ogólna wartość podana przy akcyzie 4,382,469 fs. Prócz tego wchodzi cukru tak zwanego *refined* cent. 82,165; lodowatego cent. 1,995; melassu cent. 949,363, za cenę w akcyzie podaną 222,625 fs.

Tytuniu. Niewyrobionego funt. 33,562,232, z którego na produkcyą krajową zostaje 26,543,108, w cenie akcyzy 4,180,263; tytuniu w tabace i cygarach funtów 1,151,407, z których na wewnętrzny użytek 208,943 fs.

Gorące trunki. Rumu (prócz przemycanego) gallonów 6,623,944; z tego na konsumcyą wewnętrzną 3,329,940; wódki gallonów 2,714,973, na konsumcyą wewnętrzną 1,537,762; jałowcówki gallonów 282,340. *Wina* z Kapu gall. 323,111; francuzkiego gall. 548,890; portugalskiego gall. 2,685,157; hiszpańskiego gall. 3,407,078; madery gall. 201,096; reńskiego 67,207 gall.; kanaryjskiego 133,362; sycylijskiego

skiego i w ogóle włoskiego gall. 571,902. Ogółem gall. 7,938,067, z których skonsumowano w kraju gall. 6,253,847. Najwięcej hiszpańs. bo gall. 2,472,178 i portugalskiego, gallonów 2,360,851.

Korzenie. Cynamonu funt. 383,261 (na konsumcyą wewnętrzną 18,075 funt.); goździków funt. 1,041,171; na konsumcyą wewnętrzną 132,828 funt.; kwiatu muszkatelowego funt. 59,933; pieprzu funt. 4,669,879, z którego na konsumcyą wewnętrzną funt. 2,966,803; pimentu cent. 12,128.

Materyały apteczne, chemiczne i t. p. Koszenilli cent. 14,609; indygo cent. 73,862; kampszewego drzewa beczek 15,388; farby czerwonej (madder) 171,270 cent.; gummy elastycznej cent. 5,889; opium beczek 118,332, na krajowy użytek beczek 45,766; terpentyny cent. 316,285; saletry i nitry cent. 512,375.

Metale. Miedzi cent. 51,776; żelaza surowego tonnów 33,260; stali niewyrobionój cent. 13,017; ołowiu beczek 3,603; cyny cent. 23,122, z których tylko 3,258 cent. zostało na użytek wewnętrzny. Żywego srebra funt. 2,542,847; cynku tonnów 12,768.

Drzewo. Mahoniu tonnów 33,979; drzewa budulcowego i opałowego w deskach, splitach i t. p.: z posiadłości angielskich za 495,266 fs.; zagranicznego za 366,008 fs.; w beczkach za 62,102 fs. Prócz tego sprowadzono znaczną ilość bali i klepek, których wartość podaną nie została, jako przeznaczonych wyłącznie na budowę statków morskich.

Skóry. Kozłowych niewyrobionych sztuk 556,921; baranich niewyrobionych sztuk 40,191; wyrobionych szt. 344,194; jagnięcych niewyrobionych szt. 344,194; wyrobionych 1,124,036. Prócz tego rękawiczek skórz-

nych par 2,121,365, z których zostało w kraju par 2,044,783; innych skór bydlęcych, końskich i t. p. w przybliżeniu do 1,000,000 sztuk, po większej części niewyprawionych.

Jedwab'. Surowego funtów 4,123,811; w zwitkach cent. 10,291; w motkach funt. 310,860. Wyrobów jedwabnych: atłasów, axamitów, od których według prawa z r. 1846 cło należy płacić; także tiuli, gazy, koronek, wstążek i t. p. z Europy, funt. 456,897, z których połowa ledwie zostaje na konsumpcją krajową; z osad indyjskich i amerykańskich funt. 593,888, z których zostaje w kraju funt. 176,160. Trzeba jednak przypuścić, że ilość równająca się trzem czwartym akcyzowej, sposobem defraudacyjnym bywa wprowadzana.

Len i konopie. Lnu niewyrobionego cent. 1,049,051; konopi cent. 803,817. Rok 1846 pod względem tych dwóch artykułów był bardzo ubogim, gdyż zwykle dwukrotnie większa ilość tych przedmiotów bywa wprowadzana.

Nasiona lnianego i konopnego kwarterów 433,536; konicznej cent. 225,562, z których na krajowy użytek 176,334; rzepaku kwarterów 47,513.

Wykaz ilości główniejszych przedmiotów handlowych, wyprowadzonych z Wielkiej Brytanii przez rok jeden do 5 stycznia 1848 r.

Masła	za fs.	139,483
Świec	—	46,375
Sera	—	29,525
Węgla i torfu	—	976,337
Bawełny w wyrobic.	—	17,382,293
— w niciach	—	5,957,297

Glinianych wyrobów	—	834,151
Ryb i śledzi	—	185,287
Szklą	—	292,038
Drobnych stalowych wyrobów . .	—	2,346,255
Skór wyprawnych i niewypraw..	—	650,307
Wełny niewyrobionėj	—	284,554
— w niciach	—	1,006,891
— w wyrobach	—	6,870,818
Lnianych wyrobów	—	2,968,895
— nici	—	650,307
Machin	—	1,228,091
Wyrobów metal., żelaz. i stal. . .	—	5,272,942
— miedzianych i bronz.	—	1,467,498
— ołowianych	—	181,771
— cyny	—	159,098
— w wyrobach	—	459,265
Soli	—	260,591
Jedwabnych wyrobów	—	978,114
Mydła	—	165,128
Cukru rafinowanego	—	414,872

Ilość razem wyprowadzonych przedmiotów wynosi fs. 50,897,790, czyli złp. 2,135,707,180. Widzieliśmy przecież, że tabelka podaje tylko głównejsze artykuły; ogółowy wywóz na 4 miliardy naszych złotych obliczyć można. Tak np. samego piwa roczny wywóz z r. 1847 na 1848 wynosił beczek 132,357. Wywóz sposobem tranzyta głównejszych kolonialnych i zagranicznych towarów z Anglii, obliczono w następujący sposób:

Zboża.

Pszeniczy	kwarterów	125,941
Jęczmienia	—	15,200

Owsa kwarterów 9,151

Mąki pszennej cent. 208,709

Towarów aptecznych i farbiarskich.

Koszenilli cent. 8,945

Indygo — 58,753

Gumi-laki beczek 2,221

Metali.

Miedzi niewyrobionej cent. 7,659

Stali — — 13,357

Żelaza — tonnów 5,053

Cyny w sztabach cent. 11,471

Żywego srebra funt. 1,518,614

Korzeni.

Cassia lignea funt. 543,775

Cynamonu — 416,698

Goździków — 588,536

Kwiatu muszkat — 22,119

Gałki muszkat — 260,289

Pieprzu — 2,930,018

Pimentu cent. 7,792

Oleju i oliwy tonnów 673

Kakao funt. 411,421

Kawy z posiadłości angielskich . . . — 553,821

— zagranicznej — 12,804,901

Herbaty — 4,718,138

Cukru nierafin. z posiad. ang. amer. cent. 12

— — z wyspy Maurycego — 9,935

— — z Indyj Wschod. . . — 8,867

— — zagranicznego . . . — 785,210

Cukru rafin. zagranicznego — 57,483

— lodowatego — 1,108

Opium tonnów 68,521

Ryżu	cent.	588,708,
Jedwabiu surowego.	—	436,115
— wyrobionego.	około —	70,000
Spirytusów. Rumu	gal.	974,614
— Wódki.	—	978,860
— Jałowcówki.	—	345,581
Tytuniu niewyrobionego	funt.	11,519,140
— wyrobionego.	—	1,147,955
Win z Kapu	gal.	1,242
— francuzkich.	—	119,007
— innych gatunków.	—	1,377,475
Bawełny	cent.	669,235
Wełny	—	4,809,725

Wykaz statków morskich zagranicznych, które w roku 1848 weszły do portów królestwa (Anglii), nie wliczając tych, które są przeznaczone do handlu nadbrzeżnego i związku z Irlandyą:

Statki narodów	weszło	wyszło.
Rosyjskich.	330	166
Zjednoczonych Stanów.	1,303	879
Szwedzkich.	518	381
Norweskich.	1,316	568
Duńskich	1,701	1,626
Pruskich.	1,351	876
Innych niemieckich	1,765	1,687
Różnych państw ameryk.	20	7
Holenderskich	694	745
Belgijskich.	241	278
Francuzkich	856	2,428
Hiszpańskich	220	142
Portugalskich	82	38
Włoskich państw.	369	195
Innych europejskich państw	24	11

Gdy pod flagą angielską weszło statków 18,771, wyszło 15,535, summa ogólna weszłych wynosi 29,561 statków o ciężarze beczek 6,091,052. Wyszłych statków 25,564 o ciężarze 4,719,241 beczek. Prócz tego, statków przeznaczonych do utrzymania handlu nadbrzeżnego i związków z Irlandyą, weszło 142,525, o ciężarze beczek 12,219,796, wyszło statków 158,922, o ciężarze 13,265,625 (podwójne i potrójne wejścia i wyjścia wliczają się).

Liczba rozbitych statków Wielkiej Brytanii przy brzegach królestwa wynosiła statków żaglowych 533, o ciężarze 95,990 beczek, i parowych 4, o beczkach 1,037.

Następująca tabela pokaże ilość okrętów tak angielskich jak i obcych, lecz przez Anglików do ich handlu użytych, które weszły do portów zagranicznych i z nich wyszły w r. 1848.

Weszło do portów	statków angiel.	zagran.	wyszło angiel.	zagran.
Rossyjskich	2,771	752	1,924	539
Szwedzkich	51	713	53	432
Norweskich	28	903	35	1,105
Duńskich	147	1,726	290	2,989
Pruskich	625	1,688	631	1,322
Niemieckich	1,141	1,451	1,309	1,743
Holenderskich	1,726	1,098	1,589	822
Belgii	807	606	661	458
Francyi	4,822	3,488	4,846	3,205
Portugalii i jój osad..	774	85	762	218
Hiszp. i jój osad.	782	182	919	272
Gibraltaru.	50	—	181	15
Włoskich państw.	626	270	630	232
Malty.	187	17	313	61

Weszło do portów	statków		wyszło	
	angiel.	zagan.	angiel.	zagan.
Grecyi	79	6	80	14
Turcyi	410	61	421	79
Multan	305	130	249	14
Syryi	8	—	31	—
Afryki	748	31	581	90
Azyi	837	6	796	36
Stanów Zjednoczon. .	994	1,361	1,002	1,143
Mexyku	19	1	13	1
Central. Amer. rzecz.	617	21	499	104

Do powyższej ilości włączywszy 2,459 statków pod banderą angielską, weszły do portów kolonii Ameryki północnej (Kanady) i 447 weszły do portów kompanii wschodnio-indyjskiej, również 1,696 statków wyprawionych do Grenlandyi, Islandyi i na ocean Południowy i Spokojny, okaże się, że do portów obcych weszło okrętów pod banderą angielską 24,017, pod cudzą 14,789; wyszło pod banderą angielską okrętów 22,669, pod cudzą 15,256. Pierwsze wchodowe miały ciężaru do 8 milionów beczek, drugie wychodzące, przeszło półosma miliona beczek.

Liczba okrętów należących do mieszkańców Wielkiej Brytanii, w jej portach w r. 1848 dnia 5 stycznia znajdująca się, była następująca:

W Wielkiej Brytanii było żaglowych 21,066, parowych 824; w Irlandyi żaglowych 2,215, parowych 124; na wyspach Gernsej, Jerksej i Man żagl. 786, parow. 5. Ma się rozumieć, że w tę liczbę nie wchodzi statki mniejsze, jak jachty i statki do przybrzeżnego handlu i łowów ryb przeznaczone.

Liczba okrętów handlowych, które wypłynęły z portów Wielkiej Brytanii do Indyj Wschodnich i innych kolonij, jest następująca:

Z portów Wielkiej Brytanii angielskich 5,066, zagranicznych 81; z Irlandyi angielskich 647, zagranicznych 47.

Wpłynęło okrętów z osad do portów Wielkiej Brytanii 5,414, do irlandzkich 499.

Gorzelnie i browary.

Ilość gruntu na uprawę chmielu przeznaczonego, wynosiła w p. r. (1848) 52,327 $\frac{1}{2}$ morgów angielskich; zebrano akcyzą oznaczonego chmielu funt. 45,134,365. Ilość siodu wyrobionego w Anglii, wynosiła 3,690,003 kwart. w Szkocyi 477,025, w Irlandyi 178,369; ogółem 4,345,395 kwarterów, z których użyto 3,663,988 kwarterów. Liczba patent. browarów wynosiła w Anglii 2,184, w Szkocyi 174, w Irlandyi 109. Liczba patentowych szynków była w Anglii 58,725, w Szkocyi 15,903, w Irlandyi 15,224; ogółem 89,852. Prócz tego, trudniło się sprzedażą piwa osób 34,627, a pokątnie 3,463. Spirytusu wypalono w Anglii: dystylowanego gallonów 3,283,103, wódki angielskiej 317,246, spirytusu winnego 227,401, rumu 95,032; w Szkocyi spirytusu 8,542,219, w Irlandyi 5,737,687 gallon.

Ogólna tedy konsumcya spirytusu z rumem w Wielkiej Brytanii wynosi 24,030,227 gallonów, a wliczając przemycany, do 26 milionów gallonów. Konsumcya piwa przewyższa ją podwójnie, a nawet potrójnie; lecz że urzędownie podaną nie jest, oznaczyć ściśle liczbami nie można.

Stosunkowy wzrost ludności i przemysłu.

Spis ludności, odbywający się w Anglii co lat dziesięć, podaje nam najstosowniejsze środki oznaczenia wysokości wzrostu téjże ludności. Wzrost ten, jeżeli jakie niepomyślne powody na niego nie wpłyną, jest prawie ciągle jednostajny. Liczby jego uważane same w sobie, są ciekawe, a często nawet i zajmujące; lecz wartość ich wtedy tylko może być zupełnie poznana, gdy je postawimy obok produkcyjnych sił kraju, ze względu na jego bogactwo materialne. Kwestya ta może być stawioną w następującym kształcie: czy rezultata przemysłu, potrzeby i zamożność wzrastają w większym lub mniejszym stosunku niż ludność? Czy te lub owe rachuby, dotyczące majątku nabytego, są najlepsze? Czy ta lub owa teorya handlowa najskuteczniej prowadzi do pomyślności narodowej? Badania to stanowią same w sobie oddzielną gałąź nauki politycznej, i uwagi naszej zajmować tu nie będą. Przedmiotem niniejszego artykułu jest zebrać i ułożyć kilka faktów, bez odnoszenia się do żadnych teoryj.

Według wyrachowania, zrobionego nader starannie przez zmarłego p. Rickman, opartego w części na spisach z r. 1801, 1811, 1821, 1831, a w części na księgach parafialnych, ludność Anglii i Walii była w rozmaitych peryodach mniej więcej następująca:

1570.	4,038,879	1670.	5,773,646
1600.	4,811,718	1700.	6,045,008
1630.	5,601,517	1750.	6,517,035

W ciągu roku 1801 odbyto już spis regularny. W terażniejszym stuleciu odbyto ich jeszcze pięć, z których każdy przewyższał poprzedzające dokładnością i ścisłością. Rezultaty co do Anglii i Walii były następujące:

1801.....	8,872,080	1831.....	13,897,187
1811.....	10,150,615	1841.....	15,911,725
1821.....	11,987,875		

Co do Szkocyi, tutaj nie mieliśmy dokładnych spisów przed naszym stuleciem. Pięć zaś ostatnich przedstawiają następujące liczby:

1801.....	1,599,068	1831.....	2,365,114
1811.....	1,805,688	1841.....	2,628,957
1821.....	2,093,456		

Ludność Irlandyi nie była spisywaną aż do r. 1821. Odtąd zaś przedstawia następujący rezultat:

1821.....	6,801,827
1831.....	7,767,401
1841.....	8,175,124

Ogólne księgi urodzeń, małżeństw i śmierci, dały sposobność obliczenia przez przypuszczenie corocznego wzrostu ludności, zważając na przewyżkę urodzeń nad śmiertelność i odtrącając ubytek na emigracyą. Biorąc takowe obliczenie z r. 1846, możemy podać cztery następujące liczby, jako przedstawiające ogólną ludność Anglii, Walii, Szkocyi, Irlandyi i pomniejszych wysp, w czterech peryodach:

1821.....	20,903,666	1841.....	26,839,885
1831.....	24,133,412	1846.....	28,487,000

Stosownie do tego obliczenia, ludność w końcu r. 1848 powinna dochodzić do trzydziestu milionów. Jako przykład tego rodzaju obliczania, nie tylko terażniejszej, ale i przyszłej ludności, podajemy tutaj obliczenie ludności stolicy, oparte na spisie z r. 1841 i odpowiednich liczbach urodzeń, śmierci i emigracyi:

1841.....	1,950,526	1848.....	2,172,386
1844.....	2,042,690	1850.....	2,240,289
1846.....	2,106,540		

Zwracając uwagę naszą na wzrost ludności w całym kraju, znajdujemy, że jedno dziesięciolecie, równie jak drugie, dają przybytku czternaście na sto w ciągu lat dziesięciu, czyli, że po danym roku, każde sto osób, w dziesięć lat później rozmnaża się do liczby sto czternastu. W epoce od 1821 — 1831 wzrost ten był nadzwyczajnie wielki, ale przyjęliśmy tutaj ogólną proporcją z pół-wieku.

Nasuwa się teraz pytanie, jak ten stosunek czternastu na sto w przeciągu lat dziesięciu, odpowiada wzrostowi produkcji i konsumpcji płodów.

Ponieważ niema nieomylnego środka oznaczenia liczby płodów wyprodukowanych lub skonsumowanych, jeśli te nie podlegają akcyzie lub cłu; przeto nie możemy dokładnie podać ilości skonsumowanego chleba, mięsa, masła, sέρα i t. p. Wiadomą jednak jest rzeczą, że ilość mięsa skonsumowanego w Szkocyi znacznie wzrosła w ciągu tego stulecia; Irlandya zdaje się zostawać w dawnym stosunku, a w Anglii stosunek ten raczej podniósł się aniżeli zmniejszył. M'Culloch utrzymuje, że w stolicy każda osoba, biorąc jedną w drugą, pożywa około 122 funtów mięsa rocznie, nie licząc w to słoniny, szynki i drobiu. Na inne miasta liczył on: 105 na Manchester, 89 na Bruxellę, i 80 na Paryż. Mięso spożywane w Anglii pochodzi z trzech źródeł: przygotowywane w kraju, sprowadzane z Irlandyi, i sprowadzane ze stałego lądu. Bydło zagraniczne i barany były wzbrowione do wprowadzania na konsumpcją do r. 1842, zatem nie możemy porównać tego artykułu z poprzedniami peryodami. Bydło irlandzkie wprowadzane do Anglii, podniosło się w liczbie od 32,000 w r. 1801, do

180,000 w r. 1844, i 193,000 w latach 1846—7. Trudność oznaczenia stosunku pod względem zboża i chleba, jest równie wielka i pod względem mięsa; lecz nie ulega to żadnej wątpliwości, że gatunek chleba pożywanego w Anglii, znacznie się polepszył od ostatniego stulecia, i że angielska klasa robotnicza używa lepszego chleba, aniżeli takąż sama klasa w każdym innym kraju. Zboża zagranicznego konsumowano w Anglii około trzech czwartych korca (peck) rocznie na osobę, od r. 1831 do 1846; odtąd zaś ilość jego wzrosła jeszcze. Co się tyczy masła, sprowadzanie jego z zagranicy podwoiło się przeszło od r. 1831 do 1846, a nie mamy żadnego powodu wnosić, ażeby je teraz mniej wyrabiano w Anglii jak dawniej. Konsumcyja masła w stolicy wynosi około 16 funtów na głowę. O ile porównać możemy zwyczaj ludności w rozmaitych peryodach, zdaje się prawdopodobnym, że słoniny i séra nie wychodzi teraz więcej na głowę, jak na początku tego stulecia.

Lecz skoro przejdziemy do artykułów codziennego użycia, które po większej części lub też całkownie sprowadzane są z zagranicy, i które ulegają opłacie celnej, jak herbata, kawa, kakao, cukier, tytoń, łój, i t. p., lub które opłacają akcyzę na miejscu, jak np. sól, chmiel, mydło i t. d.: uważamy, że ilość potrzebowanych tego rodzaju artykułów, daleko spieszniej wzrasta od liczby ludności, z kąd wynika większy stosunek na każdą pojedynczą osobę. Ilość niektórych z powyższych artykułów, wprowadzanych na potrzeby wewnętrzne w rozmaitych latach, daje się tak uszykować:

	1801	1811	1821	1831	1841	1846
	m i l l i o n ó w f u n t ó w.					
Herbaty .	23 ¹ / ₂	24 ¹ / ₂	23	30	36 ³ / ₄	47
Cukru . .	310	400	350	420	450	560
Kawy . . .	³ / ₄	6 ¹ / ₃	7 ¹ / ₃	21 ³ / ₄	28 ¹ / ₃	36 ³ / ₄
Tytunu .	17	21 ¹ / ₃	15 ¹ / ₂	19 ¹ / ₂	22 ¹ / ₄	27
Kakao . .	—	—	—	³ / ₄	2	3
Łoju i oli- wy palm.	—	—	—	123	149	179

Konsumpcya cukru jest obecnie dwadzieścia razy większą w Anglii, jak w r. 1700; konsumpcya kawy jest większą pięćdziesiąt razy niż w r. 1801; kakao jest zupełnie tegoczesnym napojem. Jednym rzutem oka przekonać się można, że zebrawszy wszystkie powyższe artykuły, konsumpcya ich wzrosła nierównie prędzej, aniżeli ludność. Co się tyczy łożu do fabrykacyi mydła i świec, należy zaliczyć także oliwę palmową do tego artykułu, ze względu na obszerniejsze użycie tego materiału w mydlarstwie, który jakkolwiek nazywany oliwą, w klimacie angielskim zamienia się na ciało stałe.

Biorąc znowu inne artykuły stanowiące codzienny pokarm massy ludu, znajdujemy, że trunki angielskie i irlandzkie, które podlegają opłacie, w r. 1821 wynosiły 9,750,000 gallonów; w r. 1831, 22,000,000; w r. 1841, 20,500,000, a w r. 1846, 24,000,000 gallo.; że sól który podlegał akcyzie, w r. 1801 wynosił 19,750,000 kor.; 29,750,000 w r. 1811; 29,500,000 w r. 1821; 39,500,000 w r. 1831; 36,250,000 w r. 1841, a 42,000,000 w r. 1846; że sól, która obecnie w takiej używaną jest ilości, została przedmiotem daleko większego wywozu, niżeli w jakim bądź innym czasie; że od zaprowadzenia kolejij żelaznych, ryby i drób daleko są obfitsze i tańsze w angielskich miastach fabrycznych;

i że po zmianie taryfły, owoce i rośliny zagraniczne, które dawniej były kosztowne, zostały tanie, chociaż (ile wiadomo) ich produkcya miejscowa nie zmniejszyła się bynajmniej. Co się tyczy wina i piwa, wysokość opłaty celnej od jednego, i opłaty konsumcyjnej od drugiego (a przynajmniej od najważniejszego artykułu do jego składu wchodzącego, to jest od słodu), przeszkodziły wzrostowi ich konsumcyi w stosunku odpowiednim do innych artykułów pożywienia; ale na nieszczęście, zwiększyła się zato konsumcyja innych napojów gorących. Jestto uderzającym dowodem, jakie skutki prowadzą za sobą wysokie cła, gdy ilość zagranicznego wina używanego w Anglii mniejszą była w r. 1846, niżeli w r. 1801, bez względu na zwiększenie się ludności; ilość ta wynosiła 6,750,000 i 7,000,000 gallonów.

Fabryki szkła tak dalece podupadły skutkiem wysokich opłat, że obecny nagły ich wzrost również służyć może za dowód powyższego wniosku. Przytoczymy tu jednakże trzy artykuły, ulegające znacznej akcyzie: mydło, cegła i papier. Mydło obciążone akcyzą, wynosiło w r. 1801, 55,000,000 funt.; w r. 1811, 80,000,000; w r. 1821, 97,000,000; w r. 1831, 127,000,000; w r. 1841, 170,500,000; a w r. 1846, 186,000,000 funt. Cegła przy nałożonej na nią opłacie, podniosła się z 1,000 milionów w r. 1831, do przeszło 2,000 milionów w r. 1846. Papier również uiszczający opłatę, wynosił w r. 1831, 61,000,000 funt.; w r. 1841, 76,500,000; a w r. 1846, 127,500,000 funtów.

Chcąc przedmiot ten z całą dokładnością przedstawić, potrzebaby piérwój wyjaśnić, ile wyprowadzono z kraju produktów ulegających akcyzie, a dopiero potóm wyliczyć, ile ich pozostało na konsumcyją wewnętrzną; lecz

tyle przynajmniej wiemy, że z pewnością możemy twierdzić, iż pod względem artykułów dopiero co wymienionych, wzrost konsumcyi wewnętrznej daleko był większy od wzrostu ludności.

Jeśli teraz zwrócimy uwagę na te z przedmiotów zagranicznych, które dają zatrudnienie i przynoszą zapłatę angielskiemu robotnikowi, jak np. bawełna, wełna, jedwab, len, konopie, skóry i t. d., ujrzymy rezultaty równie zajmujące jak te, któreśmy widzieli co do artykułów żywności. Następujące liczby przedstawiają owe artykuły, sprowadzane na wewnętrzną konsumcyą w oznaczonych latach:

	1801	1811	1821	1831	1841	1846
	m i l l i o n ó w f u n t ó w.					
Bawełna. . .	56	92	137	273	437	428
Wełna . . .	—	—	10	30	53	65
Jedwab . .	1	1 ¼	2 ¼	4 ¼	5	5 ¾
Len	—	—	55	104	151	128
Konopie . .	—	—	—	56 ½	73	99
Skóry. . . .	—	—	—	26	51	60

Rok 1846 był jednym z najniepomyślniejszych pod względem bawełny i lnu, gdyż w poprzednim roku 1845 przywóz bawełny wynosił aż 722,000,000 funt.; lnu zaś, 159,000,000 funtów. Jedwab, wełna, konopie i skóry, również były więcej sprowadzane w r. 1845, niż w r. 1846. Lecz ponieważ rok 1845 był rokiem przesadzonych spekulacyj, a z drugiej strony, rok 1847 był rokiem znakomitych klęsk handlowych; stosowniej zatem będzie, jeśli do przedmiotu naszego zastosujemy umiarkowańszy rok 1846, jako przykład obecnego postępu.

Urzędownie podawana wartość przywozu i wywozu, wskazuje wartość czyli cenę nałożoną na artykuły nie-

równie dawniej, to jest kiedy ich cena była zupełnie odmienna od ceny dzisiejszej; daleko więc pożyteczniej będzie wskazać tylko stosunkowe ilości przywożone lub wywożone corocznie. Lecz *deklarowane* czyli *rzeczywiste* wartości dają aktualne ceny targowe rok po roku, tak, że z nich można wskazać pieniężną wartość towarów. Po takim objaśnieniu, porównamy teraz urzędowe i deklarowane wartości angielskich i irlandzkich produktów i wyrobów, wywiezionych w pewnych latach:

	Wartość urzędowa fs.	Wartość deklarowana fs.
1801	24,500,000.	39,750,000
1811	21,750,000.	30,750,000
1821	40,250,000.	35,750,000
1831	60,000,000.	36,500,000
1841	101,750,000.	51,250,000
1846	132,250,000.	57,750,000

Wartość deklarowana czyli rzeczywista, przewyższała urzędową do r. 1819, wskazując przez to wysokie ceny towarów; lecz od r. 1819 do 1846 wartość urzędowa przewyższała wartość deklarowaną, i przewyżka ta stawała się z każdym rokiem widoczniejszą, im ceny więcej się zniżały. Różnica ta jawnie okazuje się i w tém, że kiedy pieniężna wartość wyższych artykułów wywozu w r. 1846 niezupełnie dwa razy była większą jak w r. 1811, to *ilość* wywieziona, jako wskazana ceną urzędową, była przeszło sześć razy większą. Tu można przyjąć jedno i drugie wyrachowanie, stosownie do okoliczności o której idzie wyjaśnienie. Względnie wielki wywóz r. 1801, w porównaniu z wywozem r. 1811, wiąże się z tą okolicznością, że w pierwszym roku pokój panował, gdy tymczasem w r. 1811 Anglia była w wojnie politycznej i handlowej z Napoleonem.

Następujący wykaz wskaże *urzędową* cenę towarów wprowadzonych do zjednoczonego królestwa Anglii, oraz ogromne cła pobrane od nich w niektórych latach:

	Przywóz.	Cło.
1811	25,500,000.	—
1821	29,750,000.	23,500,000
1831	48,250,000.	22,000,000
1841	62,750,000.	23,750,000
1846	76,000,000.	22,500,000

Rachując na stopniowe *zniżenie* opłat, pobór cła pozostał niemal taki sam jak dawniej, gdy tymczasem ilość towarów wprowadzonych, potroiła się w ciągu lat trzydziestu pięciu.

Przedsiębiorstwo angielskich właścicieli statków i budujących statki, równie godnym jest uwagi jak rękodzielników. Statków kupieckich angielskich w czterech *peryodach* było:

	Statków.	Beczek.	Z osadą.
1821.	25,036.	2,560,203.	169,179
1831.	24,242.	2,581,904.	158,422
1841.	30,052.	3,512,480.	210,198
1846.	32,499.	3,817,112.	229,276

Jakkolwiek liczba statków wzrosła tylko o 28 na sto od r. 1821 do 1846, ładunek jednak podniósł się o 50 na sto. Postęp żeglugi parowej był nierównie znakomitszy. W r. 1814 był tylko jeden statek parowy, należący do Anglii; do r. 1821 liczba ich wzrosła do 59; do r. 1826, do 230; do r. 1831, do 324; do r. 1836, do 561; do r. 1842, do 831, zaś do r. 1846, podniosła się do 963 statków. Tym sposobem statki parowe stosunkowo pomnażały się z każdym rokiem. W r. 1826 wypadło 106 beczek na jeden statek, w r. zaś 1846 można ich liczyć 136.

Następująca tabelka odnosi się nie do statków i ludności należących do państwa angielskiego, lecz do statków bądź angielskich, bądź obcych, które wpłynęły do portów brytańskich w interesach handlowych:

	Statków.	Beczek.	Z osadą.
1821. . . .	14,066 . . .	1,895,530 . . .	123,528
1831. . . .	20,573 . . .	3,241,927 . . .	178,782
1841. . . .	28,052 . . .	4,652,376 . . .	252,330
1846. . . .	33,821 . . .	6,101,015 . . .	322,751

Przekonywamy się ztąd, że liczba statków przeznaczonych do handlu pomiędzy obcemi krajami a portami angielskimi, podwoiła się przeszło w ciągu lat dwudziestu pięciu, że ludność ich potroiła się niemal, a ładunek pomnożył się przeszło w trójnasób. Handel *nadbrzeżny* pomiędzy rozmaitemi portami zjednoczonego królestwa, nie jest wcale objęty powyższą tabelką. Atoli ładunek jego ogólny podniósł się od 9 do 13,000,000 beczek w blisko dwunastoletnim okresie.

Wszystko cośmy dotąd powiedzieli, odnosi się do artykułów żywności, produkowanych w kraju i za granicą, do materiałów służących do ubrania, do surowych materiałów rękodzielniczych, do ogólnego handlu angielskiego z innemi krajami, do statków i ludności znajdującój korzyść w zatrudnieniach handlowych. To wszystko w ogóle należąc mniej więcej do produkcji przemysłowej, wzrosło nierównie prędzej od ludności krajowej, a nawet w niektórych okolicznościach wzrosło do ogromnych rozmiarów. Tutaj powinniśmy także zwrócić uwagę, że konsumcyi czyli zużyciu tak utworzonego mienia, następuje się wiele przedmiotów, które wymagają najspieszniejszego ulepszenia, zastosowanego do pożytku socyalnego.

Przypatrzmy się teraz kassie ubezpieczeń od ognia. Wartość własności zabezpieczonych w Anglii, wynosiła w r. 1831 przeszło 526,000,000 fs.; do r. 1841 wzrosła ona do summy 682,000,000 fs., tworząc podwyższenie blisko 30 na sto w ciągu lat dziesięciu. Byłoby trudną, może nawet niepodobną rzeczą obliczyć należyte wysokość funduszów, podanych do ubezpieczenia na życie; muszą one być ogromne, a wypływające ztąd korzyści socyalne, nad wszelkie wyrachowanie. Zato inny rodzaj kapitałów składkowych łatwiejszy jest do oznaczenia w liczbach, tojest fundusze składane w kassach oszczędności. Ten system rozpoczął się w r. 1817. Początki jego były nader skromne, lecz później doszedł on do rozmiaru przechodzącego wszelkie przypuszczenia. Do r. 1831 znajdowało się 429,503 uczestników, których składki wynosiły 13,719,495 l.; do r. 1841 było ich 841,204, a fundusze podniosły się do summy 24,474,689 l.; do r. zaś 1846 było 1,108,546 deponentów, których składki wynosiły summę 33,694,642 l., tojest około 30 l. od każdego współuczestnika. Summa ta byłaby jeszcze znacznie wzrosła, gdyby nie ułatwienie zaprowadzone w Szkocyi, przez założenie banków depozytowych (Joint Stock Banks). Banki te przyjmują do depozytu najdrobniejsze kwoty i udzielają od nich procent; przez co kassy oszczędności niewielkie mają powodzenie w Szkocyi. Można przypuścić, że ogólna summa złożona w bankach szkockich niewiele jest mniejszą od 30,000,000 l., tudzież, że połowa uczestników składa się z takiej klasy osób, które mają udział w innych kassach oszczędności.

Roczna wartość własności, obliczona podług taksy z r. 1815, wynosiła około 52,000,000 l.; w r. 1842

podniosła się do 82,250,000; dziesięcina zaś czyniła około 1,670,000 l. Roczne korzyści z handlu w Anglii i Wallii przyniosły w r. 1815 około 35,000,000 l.; w r. 1844 oceniono je na 60,000,000 l. Wysokość kapitału od którego uiszczono opłatę legacyjną w Wielkiej Brytanii, wynosiła pomiędzy r. 1797 a 1831 do 742,000,000 l. Summa ta do r. 1841 wzrosła do 1,163,000,000 l.; tak, że w ciągu lat dziesięciu (1832 do 1841), opłata legacyjna uiszczoną została od kapitału przeszło o połowę większego, niżeli kapitał od którego ją opłacano w przeszłych trzydziestu pięciu latach; czyli, przedstawiając to w innym kształcie, własność legowana wynosiła 22,000,000 l. rocznie od r. 1791 do 1831, a 42,250,000 rocznie od 1832 do 1841. Dochód stęplowy od testamentów i tak zwanych listów administracyjnych w królestwie zjednoczonym, przyniósł 919,000 l. w r. 1831; 1,015,000 l. w r. 1841; i 1,055,000 l. w r. 1846. To są fakta, które pod rozmaitym względem świadczą o wzroście własności posiadanej lub nabytej w Anglii.

Jeżeli zastanowimy się nad kapitałem cząstkowym w ciągu danej liczby lat, a który w każdej kassie reprezentuje jakąś oszczędność, otrzymamy zadziwiające rezultaty. Możemy pominąć drobiazgowy spekulacye r. 1825 i operacye banków depozytowych z r. 1836, gdyż te zasługują więcej na uwagę z wpływu wywieranego na drobne kwoty depozytowe. Co się tyczy 2,700 mil kanałów, budowanych teraz w królestwie angielskim, to należą więcej do przeszłego pokolenia, aniżeli do teraźniejszego; ponieważ blisko 2,000 mil było projektowanych i wykonanych przed końcem wieku zeszłego. Czterdzieści lat od r. 1770 do 1810, były najważniejszemi

latami dla kanałów. Co zaś do dróg bitych, postęp ich był znaczniejszy w ostatniem pokoleniu, anizeli w ostatnich dwudziestu latach. Drogi bite i brukowane w Anglii i Wallii, dochodzą do 20,000 mil angielskich, drogi zaś uboczne do 100,000 mil; wszystkie zaś jakkolwiek pomnażają się corocznie, wzrost ich nie jest jednakże bardzo wielki. Lecz skoro przejdziemy do kolei żelaznych, znajdziemy wtedy dostateczne usprawiedliwienie, że drogi i kanały zostają w stagnacyi. Piérwsza kolej żelazna (pomiędzy Liverpool i Manchester) otworzoną została dla handlu w r. 1830; powodzenie jój było tak wielkie, że uzyskano przeszło sto przyzwoleń pomiędzy tymże rokiem a rokiem 1840, do założenia nowych kolei, a przeszło pięćset w następnych sześciu latach 1841—1846. Około 1,100 mil zostało ukończonych lub było w robocie w r. 1841; około 2,650 mil w r. 1846; około 4,400 otworzono przy końcu r. 1848. Kapitał użyty na te roboty, który przed dwudziestu laty używany był nierozważnie, podniósł się teraz do zadziwiającej wysokości. Ukończone do miesiąca października r. 1845 drogi żelazne, kosztowały 70,000,000 l.; w początku zaś roku 1848, wydatek podniósł się do 170,000,000 l. z których 130,000,000 l. zebrano na akcye, a 40,000,000 przez pożyczkę.

Widoczną jest rzeczą, że sama *możność* obrócenia tak znakomitych funduszów na koleje żelazne, dowodzi wielkiej siły i zamożności kraju; i jasną jest rzeczą, że sposobność przenoszenia się z miejsca na miejsce, musiała także niesłychanie się ułatwić. Czas posiada wartość pieniężną w handlu; a jakkolwiek niepodobieństwem byłoby ocenić go należycie, nie podlega to przecież żadnej wątpliwości, że wartość pieniężna wszelkich czynności,

musiała się także powiększyć przez oszczędzenie czasu w podróżowaniu koleją żelazną. Wszelkie rodzaje czynności ułatwiają się teraz prędkiej, aniżeli dawniej przed założeniem kolej żelaznych. Drobniejszy kupiec nie potrzebuje robić zbyt wielkich zapasów, jako stanowiących martwy ciężar, i ludzie wykonywają w kilku dniach roboty, które dawniej kilku tygodni potrzebowały. Teraz śmiech to w nas obudza, kiedy słyszymy o powozach edyńskich i glosgowskich, które potrzebowały tygodnia czasu do udania się tam i napowrót; o powozach edyńskich i londyńskich, które piętnaście dni przepędzały w drodze; o powozach oxfordzkich, bawiących dwa dni w podróży, i nocujących w High Wycombe; o długich wagonach Roderyka Random, które potrzebowały dwa tygodnie na podróż z Yorku do Londynu; a nawet kiedy się zbliżymy do tych świetnych karet, najpiękniejszych może ze wszystkich krajów—dylizansów, zaledwie możemy sobie utworzyć jakieś wyobrażenie, o tak prędkich naszych podróżach. Z Londynu staniemy w Exeter za cztery godziny i pół, w Edyńburgu w godzin dwanaście, w Dublinie w trzynaście. Ile osób podróżować może zwyczajnymi drogami, trudno jest obliczyć; lecz wiadomo nam, że w półroczu do czerwca 1848 r., było przeszło dwadzieścia sześć milionów podróżnych na kolejach żelaznych w królestwie, czyli około jednego miliona na tydzień. Ponieważ w półroczu jezienném zawsze więcej podróżuje osób aniżeli w półroczu wiosenném, i ponieważ w każdym miesiącu nowe otwierają się drogi; przeto śmiało możemy podać trzydzieści dwa lub trzydzieści trzy miliony podróżnych na drugie półrocze r. 1848, co uczyni 58 milionów czyli dwa razy tyle, ile ludność królestwa angielskiego obecnie

wynosi. A ponieważ uważano, że każda podróż jednej osoby dochodzi około czternastu mil długości; otrzymamy zatem rezultat, że jeżeli przypuścimy, iż każdy mieszkaniec, mężczyzna, kobieta i dziecko w trzech królestwach odbywa dwie podróże rocznie, każdą po czternaście mil, to wyrówna całej długości kolejij obecnie jeszcze budowanych. Dwadzieścia mil corocznie na każdego mieszkańca, stanowi rzeczywiście znakomity stosunek, względem którego podróże w dyliżansach nie mają nic równego. Obawiano się kiedyś, że konie i właściciele koni boleśnie uczują takowy wzrost kolejij; lecz ktokolwiek zastanowił się nad pomnożeniem się omnibusów, doróżek i bryczek, ten znajdzie zupełne wynagrodzenie za dawne powozy i dyliżanse. Nie wdając się w żadne szczegóły, widoczną jest rzeczą dla każdego, kto tylko najmniejszą zwrócił uwagę na tego rodzaju przedmioty, że wielkość kapitału użytego na budowę mostów, doków, bazarów; na oświetlenie, bruk i ulepszenie miast, tudzież na inne przedmioty, zmierzające do zapewnienia wygod ludu, wzrosła daleko prędzej aniżeli ludność; lecz wartość ulepszeń najdokładniej może być oznaczoną wtedy tylko, kiedy ją się porównywa w dwóch odległych od siebie peryodach.

Zmiana urzędzeń pocztowych po znizeniu opłaty, pomnożyła w sposób niezmierny korespondencją w całym kraju, i wzrost ten z każdym rokiem postępował. W jednym tygodniu r. 1839 wydano w całym królestwie około półtora miliona listów; do r. 1848 liczba korespondencyi tygodniowej wzrosła do półsiódma miliona. Używanie poczty w interesach pieniężnych jest jeszcze godniejszém uwagi. Pieniądze przesłane w ciągu trzech miesięcy r. 1839, wynosiły 90,000 fs.; zaś w ciągu trzech

miesiący r. 1848, dosięgły one nadzwyczajnej summy 3,500,000 fs.

Otóż wszystkie te szczegóły skłaniają nas do powtórzenia tego, cośmy już poprzednio powiedzieli: iż niemal wszystkie przedmioty przemysłu krajowego w niniejszym artykule wymienione przekonywają, że wzrost przemysłu w danej liczbie lat większym był od wzrostu ludności. Fakt ten godzien jest zatrzymania w pamięci, byle tylko nie wyprowadzać z niego zbyt skwapliwych wniosków; wniosków, któreby potrzebowały innych dat do swego usprawiedliwienia. Ponieważ celem naszym było przedstawić niektóre tylko cyfry odpowiednie, przeto nie ubiegaliśmy się bynajmniej za zupełnie ścisłą dokładnością; tém więcęj, że roczne sprawozdania w rozmaitych parlamentarnych podawane papierach, w niektórych przypadkach nkładane były do 31 grudnia, w innych do 5 stycznia, w innych nareszcie do 5 kwietnia, tak, że czasami z trudnością przychodziło porównywać je z sobą. Dlatego też czytelnik zechce uważać liczby, jako podane w ilościach okrągłych, zbliżających się dostatecznie do téj ścisłości, jaka do prostego porównowania mogła być potrzebną.

GABRYELA.

POWIASTKA.

PRZEZ

Paulinę z L. Wilkońskiej.

Oczki młode żwir przypruszy,
Ziemia grzmi na trunny desce,
Dajmy jej po szczerój łezce,
I paciorek dla jej duszy.

G.

Wielki post się zaczął, wieczorne zebrania po większej części ustały, o głośniejszych zabawach nie posłyszano wcale; więc téż wszyscy szukający rozrywki z chęcią na przedstawienie *Niemy z Portici* pospieszyli. W łóżach ujrzano kilka piękności ubiegłego karnawału, a obok nich niejedną młodziuchną panienkę, która téj zimy jeszcze w poczet występujących na świat zaliczoną nie została.

Młodzież żółto i biało-urękawiczkowana zajęła piérwsze krzesła, wymierzając dłuższe lub krótsze lornetki kolejno do każdój łoży.

— Czy nie wiesz Józiu, kto jest to śliczne stworzenie w trzeciój łoży po prawój stronie sceny?—zapytał

młodziak w szerokiej *almawiwie*, swojego sąsiada z jasną bródką.

— Nie wiem, nie widziałem jój nigdzie..... Ładne dziecko! Zapytam o nią Anatola, wszakżeż on zna wszystkich — i przeszedł na drugą stronę, a młodziak w *almawiwie* ciągle trzecią łożę lornetował.

W téj łoży siedziały z przodu dwie panie: jedna otyła, rumiana, w czépku *à la paysanne* z mnóstwem różnobarwnych wstążek, a druga chuda, z dużym nosem, ustrojona w biały kapelusz z piórem i szal pąsowy; poza niemi zaś cel lornetek wymierzanych z krzesel — młoda, ładna panienska, w okryciu błękitném, oszytém gronostajami. Włosy jój jasne, złotawe, krótko zebrane, spuszczały się w niewymuszonych, malowniczych zwojach na szyję, dodając nieokreślonego wdzięku białej, lekkie zapłonionej twarzyczce. Oczy wielkie niebieskie, zdobiła brew ciemna i rzęsa. Rysy drobne, miłe, miękkie, wyrażały samą tylko dobroć i słodycz.

— *Bon soir* — powitał znany we wszystkich salonach hr. Anatol Zebrzycki, lornetującego młodziaka w *almawiwie*.

— *Ah, bon soir!*

— Podobno pragniesz, mój Felku kochany, dowiedzieć się, kto jest ta ładna istotka, ta śliczna niezabudka? Niezabudka, *c' est le nom que je lui ai donné*.

— Czy znasz ją?

— Jakżeżby jój znać nie miał! — wtrącił Józef z uśmiechem.

— Gdzież więc wyrosła ta śliczna niezabudka?

— We wsi Tolędzinie, niedaleko miejsca, gdzie *San domierza*. Imię jój Gabryela. Ta rumiana dobrej tu-

szy jéjmość jest *sa chère maman*, pani Ligórsku; ta zaś druga dama w piórach i szkarłacie, *la très noble dame de Nietomiewska*.

— Ach, pani Nietomiewska! Znam ją przecież, alem jéj się nie przypatrzył.

— I jam na nią nie zważał!... Ale dlaczegóż nie widzieliśmy w czasie karnawału panny Ligórskiej?

— Karnawałowała na wsi.

— A jakaż tam fortuna?

— Hm! ładna wioska, ale Gabryela ma brata. Matka w synie zakochana, chłopiec za granicą hula....

— Więc już nie ma ojca?

— Umarł przed dwoma laty.

— *Regardez donc!* Ten jakiś brunet w czarném futrze kłania im się do łoży.

— Zapewne jaki wieśniak!

— *Mais un bel homme!*

— Przystojny. Rysy wydatne, oko pełne, ogniste, wąs kruczy.

— Postawa niezła, dobra; i to futro wcale niezłe go *drapuje*.

— On spogląda ku łoży.

— I niezabudka niby się uśmiecha.

— Śliczne stworzenie! Coś tak eterycznego, zdaje się, że dmuchnąć, to się i rozplynie ten delikatny, uroczy obraz.

— Oj, oj, Felix wpada *w ekstazę!* Do widzenia się z wami, spieszę na miéjsce.

I zaledwie Anatol zajął swoje krzesło, gdy orkiestra uverture zagrała.

Publiczność okłaskiem powitała Fenellę, okłaskami obsypała Masaniella, i zadowolenie z każdą zwiększało

się chwilą, gdy zachęceni tém artyści coraz więcej dokładali starań, by na nie zasłużyć.

Chociaż brunet w ciemném futrze zostawał pod silném wrażeniem muzyki i wystawy najpiękniejszej podobno opery Auber'a, jednakże i częste rzucał spojrzenia ku trzeciej łoży: bo w jaśniejszém spojrzeniu błękitnego oka Gabryeli, w świeższym rumieńcu młodego lica, w całej pełnej wdzięku, wiotkiej postaci dziewczęcia, wyczytał z nieokreślonym uczuciem zachwycenie, w jakie ją niemal ton każdy wprawiał.

Pierwszy akt się skończył, i powstał ruch w krzesłach: jedni wybiegli do *foyer*, drudzy znajomych, będących obecnymi przedstawieniu, witali, i t. p.

W trzeciej łoży drzwi otworzono i wszedł brunet w ciemném futrze: Gabryela się zarumieniła, uśmiechnęła: serce dziewczęcia poskoczyło ku przybyłemu.

— A! jak się pan ma? dawnoś pan przyjechał?—powitała go uprzejmie pani Ligórska.

— Przyjechałem przed godziną. Byłem u pań...

— I cóż tam na wsi słyhać? Bo co ja, to tęsknię do domu. Ale téż i wkrótce wyjadę.

— Któż to jest? — zapytała z cicha pani Nietomiewska, gdy przybyły za krzesłem Gabryeli stanął, i wesolą z nią rozpoczął gawędę.

— Władysław Policki, nasz sąsiad.

— Konkurent do Gabryelki?

— Tak się zdaje—i pani Ligórska uśmiechnęła się.

— I czy dobra partya?

— Hm! ma wioskę wprawdzie niewielką, ale to bardzo *porządny* chłopiec; był i za granicą. Nic jestto naturalnie nic tak wielkiego dla Gabryelki, ale cóż robić?

Młodzieży majątnój mało, a jak który bogaty, to jeszcze i więcej pragnie.

Pani Ligórska po tych wyrazach znowu się uprzejmie do Władysława zwróciła, i rozmowa stała się więcej ogólną.

W jednym z między-aktów, zebrali się Anatol, Felix i Józef znowu w środkowym miejscu, by się lepiej siedzącym w łóżach przypatrzeć. Szeptali sobie różne uwagi, udzielali sobie różnych nowinek, gdy Anatol zawołał:

— Patrzcie, jak barona zajęła niezabudka!

Młodzi spojrzeli na jedną z łóż naprzeciw pani Ligórskiej będących: siedział w niej sam jeden, mężczyzna lat czterdziestu kilku, rysów zwyczajnych, cery niezdrowej, z ułożonym starannie jasnym rzadkim włosem, ubrany wykwintnie, i lornetował ciągle trzecią łożę.

— Spodobała mu się widać.

— Mówił niedawno, że w tym roku koniecznie ożenić się musi.

— Ha! może dla niezabudki stanowcza wybiła chwila.

— Szkodaby jój było!

— Czyżby go chciała?

— *C'est un richard?* chociaż fatalnie notowany...

— Lichwiarz, szuler... Ej, wszystko złe! — zawołał Felix.

— Jużciż wiadomo, że przez swoich agentów po sześć od sta na miesiąc pożyczka, i że na karcikach zbił majątek; ale wszakże przyjmowany wszędzie i wiem kilka matek, któreby mu chętnie swoje córki oddały.

— Ten biedny Staś, *c'est sa victime*: cała fortuna chłopca przeszła w jego ręce.

— Opowiem ja wam sztuczkę o panu baronie!....
Ale gdzież się przejdziemy po operze?

— Ja was proszę do *Marego*.

— Niechaj i tak będzie. *Au revoir!*—i Anatol znowu na swoje miejsce pospieszył. Zasłona się podniosła.

Przez ciąg ostatniego aktu Władysław pozostał się w łoży pani Ligórskiej. Widział zblednienie Gabryeli, gdy Masaniello ginął; widział łzę w niebieskim oku nad śmiercią Fenelli. Zadowolona publiczność grzotnym oklaskiem i powtarzaném wywoływaniem nagrodziła artystów, a *Kuryer Warszawski* doniósł naza jutrz: Pan * w roli Masaniella został wywołany dwanaście razy; pani ** sześć razy, a panna * jako Fenella, ośm razy.

Tłumnie cisnęło się wszystko na korytarze.

— Spieszmy się!—wołała pani Nietomiewska—zanim z piętr wyższych masy nadpłyną. Pochwyciła Gabryelę i naprzód z nią wybiegła. Władysław podał rękę pani Ligórskiej.

Na korytarzu spotkał ich samotnik z przeciwną łoży i uklonił się pani Nietomiewskiej.

— *Bon soir, chère baron!*—i odkloniła mu się mizdząc.

Baron szedł za niemi, przypatrując się Gabryeli.

Na dole przy wyjściu stała młodzież z krzesel.

— *La voilà!*—zawołał zcicha Anatol—śliczna Gabryelo!

— Brunet prowadzi mamę, a baron *eskortuje*.

Zaszedł powóz. Panie wsiadły i odjechały. Gabryela jedném jeszcze mówiącém spojrzeniem udarowała Władysława, który zwolna za powozem poszedł. Baron wskoczył do eleganckiego koczka.

— *Que c'est fringant et véritablement beau, sapristie!* — podziwiał Anatol rzadkiej piękności konie barona.

Baron pojechał ku ulicy Senatorskiej, a trzej przyjaciele udali się przez pocztę na Krakowskie-Przedmieście.

— Ależ nam miłeś opowiedzieć jakąś awanturkę o baronie, Józiu! — ozwał się Anatol, biorąc Józefa pod rękę.

— O, brudnato historyał.... Wicie, że mam wuja mieszkającego pod Siedlcami. Otóż jest temu lat podobno ośm, wujaszek pojechał sobie za interesem do Siedlec, i spotkał się tam w restauracyi z baronem. Wszczęła się gawędka; baron opowiada, że musi tutaj, w téj biédnej mieścinie, na ukończenie jakiegoś interesu i na odbiór pieniędzy czekać; że się nudzi okropnie i nie wie, jak czas swój zabić; że w całych Siedlcach nie ma nikogo znajomego. Wujaszek pocziwy, gościnnie, zaprasza go do siebie na wieś, na polowanie..

— A znałżeź go?

— Ej gdzie tam! po raz piérwszy go widział. A potrzeba wiedziéć, że baron wówczas nie był jeszcze w takim dostatku, jak dzisiaj.... Otóż i przyjmuje on zaprosiny, i jedzie zaraz z wujem. Doznaje w domu wujostwa najserdeczniejszej gościnności, bezwzględnej; przytém, za pośrednictwem wuja, ułatwia i swój interes w Siedlcach. Po trzech tygodniach zabiéra się nakoniec do odjazdu. Wtedyto powiada mu wuj, że i on jedzie do Warszawy, bo chce zaciągnąć pożyczkę 15,000 złp. Baron obiecuje mu być pomocnym, jadą więc wujostwo oboje, a z niemi i baron. Po kilku dniach pobytu w Warszawie, skutecznia się owa pożyczka.

— Czy za pośrednictwem barona?

— Nie inaczej, i to zapewne on był pożyczającym, a jakiś Drajer tylko podstawionym; a procent był dość znaczny...

— *Comme de raison!*

— Wujaszek odbiera pieniądze, idzie z niemi do mieszkania, gdy go baron do siebie na herbatę prosi. Wujaszek dobroduszny wstępuje. Wkrótce nadchodzi kilku znajomych barona; proponują wista; zastawiono stół i podano karty. Nadchodzi znowu kilku, toczy się gawędka, i niby nieumyślnie, jakby dla igraszki nim do wista zasiadają, który się miał po herbacie rozpocząć, zaczyna jeden z nich ciągnąć sztosika.

— Aha!

— Otóż go masz!

— Powoli, ze sztosika robi się sztos. Wujaszek, mający nigdy pewną namiętność do gry, wygadał się był z tém przed baronem...

— *Ça devient intéressant!*

— I koniec końców, wujaszek pociągnął parę razy szczęśliwie. Podano wino, fajki, cygara; *peu-à-peu*, wujaszek zapalał się coraz bardziej, wygrywał, przegrywał, obudziła się dawna namiętność i.... w przeciągu kilku godzin, całe 15,000 przeszły do kieszeni przyjaciół barona.

— *Quelle infamie!*

— Podleć!

— Gdy się to dzieje, wpada lokaj barona do wujenki i opowiada jej o łapce, w jaką wpadł wujaszek, dodając: „Pani! ja tego dłużej znieść nie mogłem! Myśmy tyle gościnności doznali w domu państwa, a mnie sam pan mój kazał karty układać potajemnie i podawać je potem na stół, by mąż Wielmożnej Pani przegrał.”

— Aa!

— I cóż wujenka na to?

— Posyłała po męża raz, drugi, trzeci, ale na nic się to nie przydało, bo go dopiero wtedy wypuścili, gdy już nic w kieszeni nie miał.

— Taki pan baron gorszy od rozbójnika na publicznych drogach!

— I czyżto świat o takich jego sprawkach nie wie?

— Oj wie! Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi.

— Brudy na świecie! Potrzeba, ażeby się ta społeczność nasza choć trochę oczyściła.

I czyniąc podobne uwagi, młodzi towarzysze skierowali kroki swoje do pałacu Uruskich, gdzie ich sute oświetlenie z poza czerwonych firanek wabiło, tojest restauracya znanego w Warszawie *Marego*.

III.

Nazajutrz po obiedzie, wypoczywała pani Ligórska po ranném chodzeniu za sprawunkami, w pół siedząc, w pół leżąc na kanapie, pod nr. 3 w hotelu Krakowskim. Przy oknie siedziała Gabryela, i patrząc na przeciwną mennicę, słuchała opowiadania stojącego przy niej Władysława. Dziewczynka uśmiechała się, szczebiotała wesole, dodawała i pani Ligórska swoje słówko, gdy w przedpokoju jedwabne zaszeleściły suknie i pani Nietomiewska, ustrojona, wyświeżona, ukazała się we drzwiach.

— *Bon jour!*.... Nie przeszkadzam-że?— i wyciągnęła ręce do biegnącej ku niej Gabryeli.

— Prosimy, prosimy! i serdecznie dziękujemy za pamięć o nas— zawołała podnosząc się pani Ligórska.

— Ach zmęczyłam się! Te wschody! Ledwie oddechu zachwycić mogę! — wyrzekła przybyła, rzucając się na kanapę; opuściła aksamitną mantylę, by ładny krój szlafroczka i upstrzenia rękawków i stanika pokazać, i rozwiązała różowe wstążki od kapelusika.

Wszczęła się rozmowa, jak to zwykle bywa, o pogodzie, o wczorajszej operze, o różnych nowinkach, bo nie o nowinach; poczem pani Nietomiewska poszepnęła słów kilka pani Ligórskiej, i wyszły obiedwie do drugiego pokoju.

— Wielką i szczęśliwą nowinę mam kochanej pani do *zakommunikowania!* — wymówiła pani Nietomiewska przymykając drzwi za sobą. — Siadajmy, bom bardzo zmęczona. Uważ sobie pani, że Gabryelka wczoraj konkietę zrobiła, ale to konkietę! *Je vous dis!*

— No? ciekawam!

— Otóż z barona Rzymowskiego. Czy znany?

— Nie, nie znam go.

— *Pensez donc:* jestto ogromna partya! Bogaty, ale to bardzo bogaty! Młody jeszcze, przystojny, miły, *très comme il faut*, bywa w najpiérwszych towarzystwach, *un homme de salon!*.... Cudny ma ekwipaż, mieszka bardzo *élégamment*, w doskonałym tonie! Ma dobra w Augustowskiem, w Płockiem, na Litwie. Niemasz tu panny, którójby mu nie dano!

— No, ale i cóż?.... Gdzież-że Gabryelka taką z niego konkietę zrobiła? — Pani Ligórska nie w stanie była utaić swojej radości.

— O, wczoraj w teatrze! Siedział w łoży naprzeciwko nas.

— Aa! to ten, co tak ciągle lornetował!

— *C'est le même!...* Dzisiaj anonsują mi go, przyjmuję. Gawędzimy o tém i owém, w końcu zapytuje mnie: kto były te damy, które ze mną w łoży siedziały? Oho! zmiarkowałam od razu wszystko.... Mówiłam mu tedy o was; *mais pourquoi vous conter tout cela!* Jestem przyjaciółką kochanej pani, i Gabryelcie serdecznie Kocham!

Pani Ligórska uścisnęła obiedwie ręce pani Nietomiewskiej.

— Dodałam mu większej jeszcze zachęty, *du courage*, bo go nieco razila obecność tego jakiegoś pana Władysława.

— Ej co tam, ten!

— Dziś wieczór będziecie u mnie na herbacie; baron nadejdzie niby nieumyślnie, zaprezentuję wam go, a jutro około drugiej będzie u was z wizytą. Potrzeba tylko tego gacha z parafii oddalić.

— O, naturalnie! Przyjnowałam go grzecznie, bo innego nie było. Niezła to partya w braku lepszej, bo i cóż robić? To tak trudno teraz pannie pójść za mąż, a ja jeszcze i posagu dać nie mogę: mam syna, o którym pamiętać trzeba.

— Baron ani myśli o posagu!

— Władysław dobry, porządny chłopiec, ale oczywiście że ustąpić musi, gdy się coś lepszego trafi. Zaraz ja go odprawię! Byłam mu wprawdzie rada, boć przecież nie chcę, by mi się Gabryelka zestarzała, a mam smutne przykłady: u nas w sąsiedztwie jest sześć starych panien, a dziewięć młodszych, które nadaremnie konkurenta wyglądają.

W tym czasie, kiedy te dwie panie tak przyszłością Gabryeli rozrządzały, młodzi w pierwszym pokoju wcale inaczej marzyli. Wyglądali nibyto oknem, ale szeptali

sobie miłe słówka, i rączka Gabryeli po parę razy znalazła się w ręku Władysława.

— Więc szafirowy kocz? — zapytał patrząc w błękitne oczy dziewczyny.

Gabryela z uśmiechem główką skinęła.

— Wybity suknem perłowego koloru; brzozy białe, konie siwe: czy tak? Liberyi żadnej, żadnej odznaki....

— Żadnej, żadnej!

— Każę obiciem pokoiki wykleić, ale jakiegoż koloru?

— Bawialny blado - popielaty, z szafirowemi arabskimi: lubię bardzo kolor szafirowy; a drugi zielony w pasy — i Gabryela zarumieniła się nagle i umilkła.

Władysław niby wyrzał na ulicę, pogłaskał wąż ciemny i mówił dalej:

— Stołowy pokój potrzeba co rok odświeżać, więc go tylko zwyczajną farbą każę pomalować, bez ozdób. Ale co do małego pokoiku obok bawialnego, do buduaru, najgustowniejsze wybiorę obicie: będzie to pieści-dełko. Jest w nim okno weneckie, każę je bluszczem otoczyć. Meble obstałowałem: do pokoju bawialnego palisandrowe.... a potem i cały garnitur jesionowych. Nadto śliczny fotelik, kozetkę i parę krzesełek do buduaru, bardzo ładnej, lekkiej roboty. Ogrodnika na ten rok przyjmuję z bardzo dobrej szkoły, by ogród ładnie urządził: klomby, trawniki wokoło dworu porobił, kwiatów dużo nasadził, ażeby się pani mojej podobało. Bibliotekę uporządkuję, uzupełnię; pisma peryodyczne zaprenumerowałem, fortepian już zgadziłem, ażeby się moja pani nie nudziła!

Gabryela wdzięcznie ku niemu spojrzała, i rzewno-miły wyraz przebiegł ładne jej rysy.

— A w czerwcu! — i Władysław nie dokończył, pochwycił rękę dziewczyny, i z nieokreślonym wzruszeniem do ust ją swoich przycisnął. Gabryela pochyliła główkę, gdy drzwi od przyległego pokoju stuknęły, i matka jej z panią Nietomiewską nadeszły.

— Gabryelciu, zaprosiłam was na herbatę do siebie; przypomnijcie mamie.

— O, niepotrzeba przypominać! — odparła pani Ligórska, ściskając rękę przyjaciółki.

— Więć do widzenia!

— Do miłego widzenia!

— *Adieu ma charmante amie!* — Pani Nietomiewska jeszcze ode drzwi przesłała Gabryeli na paluszku całus, a Władysławowi zaledwie głową skinęła.

— Panie zapewne wkrótce już na wieczór wybierać się zaczną? — zapytał Władysław po długiej chwili nie-miłego milczenia.

— O tak, bo chociaż tam pewnie nikogo nie będzie, to zawsze wypada jakoś się ubrać — odpowiedziała pani Ligórska.

— A jutro z rana, czy panie nie każą sobie gdzie towarzyszyć? Albo może da mi pani dobrodziejka jakie zlecenie?

— *Mocno* dziękuje! jutro z rana będziemy tylko w kościele, potem u pani Suleckiej na obiedzie, i dopiero około piątej do *stancyi* wrócimy.

— A więc po piątej będę paniom służył.

— Dobrze, po piątej.

I Władysław się pożegnał. Gabryela smutno za nim przez okno popatrzyła. Szybko przebiegł ulicę, od kraty przed mennicą spojrzął ku oknom hotelu i rozjaśniło się ciemne oko i ukłonił się z uśmiechem; na licu dziew-

częcia odpromienił się ten uśmiech lubego, i z miłym wyrazem pokiwnęła główką. — Jutro o tym czasie, mówily jęj myśli pocieszające, zobaczymy się, pomówimy znowu z sobą! O jam szczęśliwa! On taki dobry! tak mnie kocha! — i łezka wdzięcznego rozczulenia zabłysła na niebie jęj oka. — Kocha mnie bardzo! ależ i ja kocham!... Tak go kocham! — i zapłonęły jęj lica, i przycisnęła dłonią serce, jak gdyby jęj zaciężało nadmiarem tego nieokreślonego uczucia. — Jutro, o tym czasie! — powtórzyła sobie raz jeszcze i odbiegła okna, by się na wieczór do pani Nietomiewskiej wybiierać.

Ale nadeszło jutro i owa pożądana chwila, a Gabryela siedziała przy témże samém oknie z pochyloném na dłoń czołem, i smutno dumiała. Na kanapie wypoczywała znowu tak samo jak wczoraj jęj matka, i także po swojemu marzyła.

Gabryela przebiegła myślą wieczór wczorajszy i dzień dzisiejszy, i jakimś niepokojącym przecuciem zadrzało jęj serce. U pani Nietomiewskiej nikogo wczoraj nie zastały, i dopiero o godzinie dziewiątej zjawił się wytwornie ubrany baron Rzymowski. Gospodyni domu przedstawiła go pani Ligórskiej; był dużo mówiący, wesóły, bardzo grzeczny; zwracał często rozmowę swoje do Gabryeli, usiłował być zajmującym, a o godzinie dziesiątej pożegnał panie, bo był proszonym na wieczór do księżnej **. Dziś z rana była Gabryela z matką w kościele u PP. Kanoniczek, a gdy wróciły, kazała jęj matka włożyć czarny mantynowy szlafroczek, tylko co od krawca przyniesiony, w którym Gabryeli ślicznie było. Na obiad do pani Suleckiej nie pojechały: więc matka przed Władysławem nieprawdę mówiła! Około godziny drugiej zatrzymał się piękny powóz, pąsowém su-

knem wybity, przed hotelem krakowskim; liberya suto galonowana, szczególnień piękne konie kare, pełne życia i ognia, w bogatych szorach, zwracały uwagę przechodniów.

Panią Ligórską zapytano: czy przyjmuje wizytę barona Rzymowskiego.

— Przyjmuje — odpowiedziała, a serce Gabryeli boleśnie się ścisnęło.

Wszedł baron w wyszukany stroju, i wonią kosztownych olejków całe zappełnił mieszkanie. Gabryela czuła, że blednieje; szumiało jęj w uszach, i bezprzytomnie odpowiadała na grzeczne zapytania gościa. Matka była dla niego bardzo uprzejmą. Baron niedługo zabawił, a po jego odjeździe, pani Ligórska ani słówka o nim do córki nie przemówiła. Jednakże biedna strwożona dziewczyna z tego wszystkiego przewidywała, co się święci; a jeszcze i Władysław nie nadchodził!

Pani Ligórska zaś w czasie tych tęsknych rozmyślań córki, układała sobie świetne plany na przyszłość, których podstawą było: „Wydam Gabryelkę za barona, nie będę dla niój żadnego potrzebowała posagu, zostanie się więc wszystko dla Oskarka”!

Wreszcie postłyszala Gabryela, że ktoś wchodzi do przedpokoju — i krew cała do strwożonego serca dziewczyny spłynęła. Wszedł Władysław z pogodą w oku a uśmiechem na ustach. Pani Ligórska zimno go tylko, nie tak, jak to dawniej bywało, przywitała. Spojrzał badawczo na Gabryelę, widział smutek w drogich ryśach, i sam zesmutniał. Rozmowa toczyła się jałowo, urywanie. Pani Ligórska nie wydalila się ani na chwilę z pokoju, ztąd Gabryela nie miała sposobności posze-

pnięcia mu i jednego słówka. A gdy Władysław po godzinnej bytności się pożegnał, łzy żalu napełniły jej oczy.

Nazajutrz było tak samo, a trzeciego dnia z rana, wyjechały nad wszelkie spodziewanie Gabryeli z Warszawy.

III.

W kilka dni po powrocie pani Ligórskiej do Tołędzina, odwiedził je Władysław i doznał znowu takiegoż samego przyjęcia, jak w Warszawie.

— Cóżto się mamie stało? — zapytał zcicha Gabryeli, gdy pani Ligórska przyniesiony jej list z poczty przy oknie czytała.

— O mój Boże! — odszepnęła blednąc, bo poznała, że list odebrany, był od pani Nietomiewskiej — pani Nietomiewska.... baron... — i już znowu urwała się rozmowa.

W tydzień potem, zajechał z hukiem i trzaskiem nader piękny powóz przed dworzec tołędziński. Cztery arcypiękne karosze, służba w sutęj liberyi, zamożnego oznajmiły gościa: baron Rzymowski wszedł do pokoju. Biedna Gabryela o mało że nie zemdląła.

— Jadąc do Krakowa, nie mogłem sobie najwyższej odmówić przyjemności, zawudzenia o Tołędzin — mówił z głębokim ukłonem. — Już zdaleka witałem wysłanem naprzód spojrzaniem szarą wieżyczkę kościoła, a potem zajaśniało mi i mieszkanie pań, któreście się zapewne natrętnego nie spodziewały gościa.

Pani Ligórska na te wyrazy barona w również wyszukaniej odpowiedziała mowie; przesadzała się w grzesznościach, a wykwinne przyjęcie gościa dowiodło Ga-

bryeli, że matka jej o tych odwiedzinach naprzód wiadomioną była.

Baron wiele mówił, opowiadał; we wszystkiém widoczną była nie swoboda światowca, ale raczej przewaga, o jakiej był przekonany, że mu ją złoto nadaje. Rozprawiał wesoło, nawet z pewną poufałością, i zabawiwszy krótko, odjechał.

Na trzeci dzień po wizycie barona, przybył Władysław do Tołędzina. Ale pani Ligórska dostrzegłszy konie jego i koczyc jeszcze na drodze wiodącej ode wsi do dworu, przywołała Gabryelę do siebie, a panu Polickiemu kazała powiedzieć, że jest słabą.

Święta Wielkanocne przepędziła Gabryela z matką u jakiejś ciotki, samotnie i smutno. Zabawiły tam dwa tygodnie, i biédaczka słusznie się domyślała, że ten wyjazd i wydalenie się na całe święta z domu, a nawet z okolicy, było obliczoném przez matkę, ażeby uniknąć odwiedzin i spotkania się z Władysławem.

Po ich powrocie w dni kilka, zjawił się znowu baron, wracając z Krakowa. Był jeszcze więcej nadskakującym. Pani Ligórska zatrzymała go na obiad, a przy pożegnaniu ucałował rączkę Gabryeli, przyciskając ją do ust z pewnym znuczeniem. Serce biédnej stroskaniej zapłakało!

Stały w swoich uczuciach Władysław, niezrażony postępowaniem matki, powtórzył jeszcze parę razy bytność swoją w Tołędzinie; ale nigdy nie mógł uchwycić sposobności pomówienia słów parę z Gabryelą.

Na Zielone Świątki, zjechała pani Nietomiewska. Znać przywiozła nader dobre nowiny, bo pani Ligórska była jej bardzo rada; była bardzo wesołą, a Gabryela tém

smutniejszą. Pani Nietomiewska zrobiła nawet tę uwagę, że Gabryelka zbladła, zmizerniała i *jakoś osowiała*.

W drugie święto, w czasie nabożeństwa, zjawił się baron w całej swojej świetności w kościele. Gabryela modląca się z całym wzniesieniem ducha, nie zobaczyła go zaraz; ale gdy sąsiadki w pobliskich ławkach szeptać zaczęły, bo pan nieznanomy w tak wyszukaném ubraniu, a za nim lokaj zgałonowany, obudzić musiał ciekawość całej parafii; gdy matka i pani Nietomiewska odkloniły się przybyłemu i coś do siebie przemówiły zcicha: wyrwana z swoich pobożnych rozmyślań Gabryela, podniosła oczy i zaraz ja głębiej jeszcze spuściła, schyliła głowę, załamane ręce przycisnęła do piersi, i z głębi duszy westchnęła: O Boże, zmiłuj się nademną!

Dominus vobiscum! wyrzekł ksiądz przy oltarzu, i młoda dziewczyna po raz drugi korne schyliła czoło i z głębi serca smutnego westchnęła: Zlituj się, o zlituj się nademną wielki mój Boże!

Msza św. się skończyła. Baron przystąpił do kolatorskiej ławki i powitawszy uprzejmie panie, podał rękę matce Gabryeli. Ciekawość i szepty sąsiadek zwiększyły się w dwójnasób, i wszystko za wychodzącymi z kościoła spieszyło. Błyszczący *ekwipaż* nowego konkurenta panny Ligórskiej, który przed kościołem *paradował*, do reszty *zaintrygował* całą parafię.

Pani Ligórska wsparta na ręku barona szła z wolna, z tryumfującą miną, ku dworowi, a obok niej blada, z spuszczoneym ku ziemi wzrokiem Gabryela, ujęta pod rękę przez panią Nietomiewską.

Wsiadając do pojazdów i bryczek, sąsiadki i sąsiedzi patrzyli się za nimi, różne przytém czyniąc uwagi. I stoją-

ce przed cmentarzem gromadki wieśniaków, podziwiali suty ekwipaż tego jakiegoś *wielkiego pana, co to pewnie kajś z innój okolicy przyjechał.*

— Mój Jezu!—ozwała się mleczna siostra Władysława Polickiego, poczciwa Wojtkowa z Rogożewa—toćto pono kawaler tołędzińskiej panienki, a ja sobie tak myślałam, że to ona będzie naszego pana!... A co ty na to Wojtku?

— Ha!—odrzekł jój małżonek zaszepiony, kiwnął głową i uderzył sękwatym kijem o leżący nade drogą kamień. Kobięta zajrzała mu w oczy, nie pocieszyło ją to *ha!* a mniej jeszcze zmarszczone czoło Wojtka, i milcząc szli sobie miedzą ku Rogożewu.

We dworze tołędzińskim czekało już wyszukane śniadanie na wracających z kościoła.

Pani Nietomiewska, odłożywszy krepowy kapelusik z piórem, wzięta się do jakichsiś łakoci, gdy baron z troskliwością zapytał o zdrowie panny Gabryeli, czyniąc uwagę, że ją nieco zmienioną znajduje.

— Może tęskniła troszkę!—odszepnęła mu zcicha, z uśmiechem pani Nietomiewska, trzymając w ręku kryształowy talerzyk z konfiturami.

Baron wdzięcznie się uśmiechnął i pocałował woniejącą rączkę damy.

Gabryela nie dosłyszała odpowiedzi pani Nietomiewskioj, ale ją prawie odgadła: kochająca kobięta staje się domyslną, przenikliwą, cokolwiek się uczucia jój dotyczyć może.

Wieczorem baron odjechał, mówiąc, że przez całą noc pojedzie, że najbardziej lubi w nocy podróżować—pański gust! A po jego odjeździe wniesiono wielkie

pułdo do pokoju, pełne najwykwintniejszych cukrów, na jakie się tylko tego rodzaju sztuka zdobyć może.

Pani Ligórska była zadowolona, a pani Nietomiewska nie mogła się temu słodkiemu darowi dosyć *naadmirować*, jak się wyraziła.

— Gabryelciu, on, pocziwiec, chciałby całe życie twoje tak słodyczami ziemskimi obsypać, jak obecnie temi przecudnemi cukrami! — zawołała, napoczynając ananas w szklanym słoiku, syropem zalany.

Nazajutrz pani Nietomiewska, zabrawszy większą połowę owych słodyczy baronowskich (Gabryela byłaby jój chętnie wszystko oddała), po serdeczném pożegnaniu odjechała do Warszawy. Pod wieczór odebrał Władysław list następujący:

„Widzę się obecnemi okolicznościami zagnoną, prosić Pana, ażebyś swoich miłych sąsiedzkich odwiedzin w Tołędzinie nateraz zaniechał. Zechcesz Pan wytłumaczyć troskliwość matki.”

Tołędzin, 10 czerwca 1847.

Zawsze życzliwa, *Anna Ligórska*.

Władysława list ten jakby piorun uderzył. Oddawna już wprawdzie, oziębłość pani Ligórskiej powinnaby go była do podobnego przysposobić wypadku; a jednakże te jój lodowe wyrazy, ten jój wyrok, okrutnie go dotknęły. Jakże często można usłyszeć to zdanie: że niepewność jest gorszą od samego złego. A jakież to mylne zdanie! W niepewności żywimy jeszcze nadzieje, i to nas tylko dręczy, że ta nadzieja jest wątpliwą; a gdy się szala złego przeważy, gdy niepewność w rzeczywistość zamieni się nieszczęście, to i ostatnia pociecha, nadzieja, uleci!

Jak w obłądnie przetrwał Władysław dzień długi; godziny się wlokły, jak życie nędzarza. To chciał do-
siąść konia, z wiatrem popędzić do Tołędzina, rzucić się
do nóg matki, prosić, błagać; to znowu szlachetna du-
ma zawrzała w piersi młodzieńczej, i szaleł nazywał
ten swój zamysł, bo do czegożby go to doprowadziło?—
Chyba do większego tylko upokorzenia!

Blady, zmieniony wybiegł Władysław w pole. Mnie-
mał, że w samotności, pod tém czystém niebem, w obec
młodej przyrody, wśród tych wielkości stworzenia, umysł
jego nowój nabierze rzeźwości i otuchy, nowój siły
i wiary. Wyrwać Gabryelę zpod tyrańskiej władzy ma-
tki, nie dozwolić, by się stała ofiarą jej niegodnych pie-
niężnych widoków: to była myśl, która go całkiem
owładła, która mu szczęśliwszą przyszłość obiecywała.
A Gabryela, czyliż ona zechce? Ona, tak łagodna, ule-
gła, cierpliwa; tak przywiązana do matki, tak przejęta
uczuciem dziecięcém!... I nagle rozwiął się obraz uludny,
i wrzącym bólem ścisnęło się serce. Ależ Gabryela ko-
cha!... I począł w myśli przyzywać całą moc wymowy
namiętnie kochającego serca, opartój na silném przeko-
naniu, że ją uszczęśliwić potrafi; i raz był pewnym, że
ją błaganiem swoim skłonić zdoła, to znowu najsmu-
tniejsze zwątpienie tamowało polot uroczych marzeń.
I gdzież się z nią zobaczyć, by jój to wszystko powie-
dzić? Jakżeż zbliżyć się do niój?

— Niech będzie pochwalony!—przerwał mu głos nie-
wieści te rozmyślenia.

— Na wieki wieków amen!—i zobaczył przed sobą
wieśniaczkę, poczciwą Wojtkową.

— Dobry wieczór Wielmożnemu paniczкови.

— Dobry wieczór, moja Wojtkowa.— Władysław się odwrócił, chcąc jęj się pozbyć, bo kobięcina jeszcze z lat jego dziecinnych nawykła pogawędzić z nim czasami.

— Co tężto tu za śliczne żytko! gdyby na nowinie.

Władysław posunął się naprzód, a Wojtkowa za nim.

— A pszenica tam pod lasem, toby się i wąż nie przedarł! Jużto-bo tego lata, dzięki Ojcu w niebie, to się i wszędy urodziło... Jaki tężto na Tołędzinie groch! i wieśniaczka spojrziała na pana, który jak gdyby zelektryzowany wzmianką o Tołędzinie, nagle przystanął.

— A sialić go w maju i wej niesprawdziło się ono przysłowie: że kto groch sieje w marcu, będzie go gotował w garncu, a kto go sieje w maju, ugotuje go w jajku. Tołędzka pani, bo i zgniewała się ogniście na ekonoma, że rychlęj nie zasiał, jak moja krewniaczka mówiła, co tam jest we dworze.

— Gdzie? — zapytał z naglęm zajęciem Władysław.

— A w Tołędzinie.

— Kto taki?

— Baska, córka mojęj stryjecznej, służy tam za kawiarkę.

Władysław posunął się szybko naprzód, potarł ręką czoło, przystanął: to mu Opatrzność tę kobietę zesłała!

Władysław wierzył w Opatrzność.

— A bywacież wy czasem u tēj waszēj krewniaczki?

— A jużci.

Władysław znowu podumał.

— Słuchajcież, moja Wojtkowa.... Otóż jutro.... A widujecież, będąc tam, pannę Gabryelę? — i mniemał, że mu tchu w piersi zabraknie.

— O dla Boga!

— Otóż jutro pójdziecie do Tołędzina... Dam wam list do panny Gabryeli... Ale upatrzycie sposobność, by jój go bez świadków do własnych rąk oddać.

— Samusieńkiój go oddam, choćby mi przyszło i dzień cały poczekać. Niech się tam Wielmożny panicz o to nie frasuje, już w tém moja głowa.

— To przyjdzieź po ten list dziś wieczór do mnie.

— Dobrze Wielmożny Panie.

I Władysław pobiegł ku dworowi z swobodniejszą myślą i lżejszém sercem, układając w głowie wyrazy, które miał Gabryeli przesłać.

IV.

Następnego dnia wieczorem, pani Ligórska zajęła się jakąś sprawą domowo-gospodarczą, a Gabryela, korzystając z téj chwili, udała się do ogrodu. Szybko przebiegła bliższe ulice, dążąc w stronę ponad jeziorem. Serce jój biło gwałtownie, a na tém sercu spoczywały wrzące wyrazy Władysława, bo Wojtkowa jak najrzęcznień wywiązała się z swojego poselstwa. Gabryela w obec chłopki dwa razy list przebiegła, bo litery, jakby potworki, przed jój oczyma skakały; a potém nakreśliła ołówkiem na oddartym kawałku papieru: *Dziś wieczorem w ogrodzie, od strony jeziora, przy jaśminowej altance.* Tam do téj altanki teraz spieszyła: Władysław już czekał. Powitanie ich było nieme, ale tém bardziej wymowne: usta milczały, bo serca zbyt wiele mówiły. Usiedli w milczeniu na ławeczce, i wkoło nich, w całej naturze panował spokój i cisza: i także cisza wymowna, bo wszystko wielkość stworzenia śpiewało. U stóp ich jaśniało gładkie, jak tło zwierciadła, jezioro, a w téj czy-

stój przezroczy przeglądał się zalotnie księżyc, rzucając srebrne światło na liczne krzewy i ciemne drzewa ogrodu, nadając kształtom ich i cieniom dziwaczne postaci.

Wreszcie przerwał Władysław milczenie: wynurzył jój swój zamiar. Mówił dużo, chociaż wypowiedział tylko część tego, co w młodej wrzało piersi. Wystawił jój, jaka ją czeka przyszłość; potem wyrazy namiętnego uczucia z ust mu płynęły. Błagał, zaklinał, a Gabryela ze złożonemi rękoma na piersiach, milcząc słuchała.

— Gabryelo! sama nad sobą miej litość: wysłuchaj błagania mego!—i rzucił się do stóp dziewczyny, i spłotł jój ręce do swych ust przycisnął, i z bolesnym niepokojem czekał jój wyroku.

— Ujechać potajemnie? — wymówiła drżąca, i łyzy przepełniły niebieskie oczy — Dać się wykraść? ściągnąć na siebie gniew matki?... A przecieżto matka moja, którą sercem córki kocham!... Nie, nie! o nie, mój Władysławie!...

— Władysław niecierpliwie jój przerwał, i znowu błagał; ale dziewczyna przy swoim postanowieniu została.

— Matka mnie nie zmusi — wyrzekła po chwili — zmusić mnie nie może do nienawistnego mi związku. Dzisiaj rodzice nie gwałcą już woli dzieci: więc czekajmy spokojnie chwili szczęśliwszej. Czas wszystko wytrwać potrafi. Ja tobie wierną pozostanę do grobu, a zarazem wierzę i w niezmiennność uczuć twoich. Stale oprę się wszelkim namowom, przetrwam wszystko; nic mnie nie zniewoli. Ze czcią dla matki mej, spokojnie, ale stanowczo powiem jój: że rękę z sercem tylko oddam, a ty oddawna masz serce moje. Skrzyżuje to widoki matki; będzie się gniewała... dużo będę musiała znosić... ależ to wszystko przeminie. Matka moja cię ceni, musi cię

cenieć, nie tobie nie ma do zarzucenia, więc powoli zmiękczy się jój upór i zezwoli na połączenie się nasze.

— Ja wierzę w świętość uczuć twoich, ale czy zdołasz tyle przetrwać, czy wytrwasz w zamiarze twoim?

— Światowe stosunki mogą nas rozłączyć, ale serc sobie oddanych nie rozerwą. Bóg mi dopomoże przetrwać wszystko, cokolwiek mi przyszłość gotuje: bo zna duszę moje i zamysły, a Bóg jest sprawiedliwym!... Hańbą, podłościąby było, oddać się za złoto, a występkiem, serce matki zakrwawić.... Ja ci na zawsze wierną pozostanę, wierzę w ciebie; a ty, czyliż powątpiewasz o mnie?

— O i ja, i ja wierzę w ciebie, jak w istność Boga!

— Władysławiel z ogniw składa się łańcuch: prawa społeczne przeznaczyły dwa pierścienie na godło dwóch serc połączonych; niechże i nas wiąże łańcuch. W obec Boga i wielkości jego zamienmy pierścionki.

— Bożeł aniele mój!—zawołał z uniesieniem, przyjmując z ręki Gabryeli pierścionek z turkusikiem — Obrączka matki mojej, jako droga pamiątka po niej na mojej piersi noszona, tém świętszem będzie dla mnie ogniwem, łączącym mnie z tobą!—i włożył na drobny palec dziewczyny prostą złotą obrączkę.

— A teraz pożegnajmy się, by mojej nieobecności nie dostrzeżono—i Gabryela powstała—Pożegnajmy się, może na długo.... na zawsze może!....—i złamała się moc duszy niewieściej, i zakryła dłońmi oczy, i wsparła głowę na jego piersi, i głośno zalkała. Terazto Władysław znowu ją przyszłością pocieszać zaczął:

— Wszakżeż jesteśmy pewni siebie!—zawołał—chocemy wiarę w sercach, mamy Boga nad nami, i jedna

ziemia nas nosi! Nie nas nie rozrywa; a chociaż wielka oddal nas rozdzieli, słyszcć codzien o sobie będziemy!

— Bóg nad nami!..... Ach! ale ileż cierpień wokoło nas!..... I myśmy może na całe życie cierpień skazani!

— A więc przełam wszystkie zapory? Uchron się od téj walki, która ci grozi! Dziś jeszcze ztąd cię uwiozę, dziś jeszcze żoną moją zostaniesz!

— O nie! nie, mój kochany! Mam siłę oprzeć się żądaniom matki; mam dość siły nie dozwolić, by mnie zapredano.... Ale jestem kobietą!.... Ty mnie rozumiesz, Władysławie! Ja nie mogę zdeptać praw natury, nie mogę sponiewierać uczuć córki.

— O moja Gabryelo!...

— Nie trać słów daremnych! Nie miejmy sobie nic do wyrzucenia!..... A teraz żegnam cię! Do widzenia się, jeżeli nie tutaj, to tam!

— Tutaj, tutaj! Kazałaś mi mieć nadzieję, a sama ją straciłaś?!

— Więc do szczęśliwego widzenia się wkrótce! — i podała mu obiedwie ręce.

Władysław spojrział w jéj oczy — długo, jak gdyby urok tego spojrzenia chciał z sobą unieść, ażeby mu po smutnym rozdziale, smutną samotność rozjaśniał. I zalsniło w jego oku, i przyciągnął kochaną do siebie, przycisnął ją do gwałtownie uderzającego serca: głucho jęknęło w nieżkiéj piersi; dotknął się ustami białego czoła. „Do widzenia się!” — powtórzył, posadził nawpół omglałą na ławce, a sam zniknął w cieniach nocy.

Gabryela długo jeszcze siedziała, odurzona tém rozdzierającym głębię jéj duszy pożegnaniem.

Chmurka zamglita blask księżycy, zasiniąta szklista powierzchnia jeziora, lekki wietrzyk zaszumił w gałę-

ziach drzew ogrodu, kilka listków jaśminowego kwiecica zawiąło na pochyloną głowę dziewczyny—i ocknęła się z odretwienia, i uprzytomniło się wszystko w jej myśli. „Władysławie! Władysławie!”—poszepnęła w rozpaczliwém przeczuciu, załamała ręce i zapłakała głośno. Gdy następnie wróciła do domu, zapytała ją matka: gdzie tak długo hawila?

— W ogrodzie—odpowiedziała nieśmiało. Matka spojrzała na nią badawczo; biédaczka zarumienila się, zbladła: świeżych łez ślady były widoczne na jej licu. Matka pokręciła głową.

— Jutro jedziemy do Warszawy na kilka tygodni—wyrzekła—każ swoje rzeczy upknować.

Zimno mroźne przebiegło całą postać Gabryeli.

Nazajutrz, bardzo rano, pożegnała sercem łzami oblaném, Toledzin; pożegnała dalekiem spojrzeniem wzgórze ponad jeziorem; pożegnała poza lasem biejącą się Rogożew, i poleciła Bogu Władysława i siebie.

V.

W eleganckiem ranném ubraniu, wyszłem zpod ręki paryzkiego krawca, w rękawiczkach żółtych lionskich, baron Rzymowski z wesołym wejrzeniem wyszedł ze szklarni obok zakładu wód mineralnych w ogrodzie Saskim, trzymając w ręku prześliczny bukiet rzadkich kwiatów, i zmierzał w ulicę środkową.

Od strony Saskiego placu nadchodził właśnie Anatol i dwaj jego zwykli towarzysze: Felix (właściciel *almawiny*), i Józef (blondyn, z kozią bródką).

— *Eh voilà le baron!* z bukietem w ręku, zapewne dla Gabryelli!—zawołał Anatol.

— Chodźmy go trochę podrażnić—dodał Felix—
Biędna niezabudka!

— Nie zrobisz mu wielkiej krzywdy, choć mu się
trochę żółci uleje; zje zato z większym apetytem śniada-
nie—zauważył Józef.

— *Bien le bon jour, chère baron.*

— *Votre serviteur, messieurs.*

— Jakież śliczny bukiet! i dla kogożto baronie?

— *Pour un être plus charmant encore que ces fleurs!*
odpowiedział baron z uśmiechem niby dowcipnym.

— A, baron się żenisz?

— Czyż mu już nie czas!—pochwyił Józef z złośli-
wym uśmiechem, że aż się baron zarumienił; ale niby
nie słysząc téj przymówki, wyrzekł:

— *Il faut faire une fin!*

— *Et vaut mieux tard que jamais!*—dorzucił Anatol.

— I kiedyż-to tam, baronie, kiedy?

— Podobno maleńka się wzdraga, nie chce?

Baron się znowu zaczerwienił.

— Czy doprawdy?—zapytał Józef, obracając się do
Felixa.

— Wszędzie o tém mówią.

— Jeżeli tak, to żałuję barona; zbyt bolesno doznać
zawodu w miłości!

— A jeszcze będąc już w pewnym wieku!

— *Messieurs!...* moi panowie!... mogę wam zaręczyć,
moi panowie—jąkał się baron—że... że fałszywe macie
wieści.... Nie zasługuję bynajmniej, aby mnie żalowano
z racyi nielaski panny Gabryeli.

— A, to winszujemy!

— Już może wkrótce, gdy mnie odwiedzić zechcecie,
ujrzycie ją robiącą honory w moim domu.

— Pospieszmy, pospieszmy złożyć uszanowanie nasze!

— Bardzo proszę. A teraz *adieu!*

Per dove chiarissimo mio?—zapytał Anatol i zatrzymał barona.

— Do ogrodu Dückerta.

— Aa! pani Nietomiewska pije tam wody, a te panie towarzyszą jój niekiedy.

— Zgadłeś. Panowie zapewne tutaj zostaną.

— Idziemy zobaczyć, kto też w tym tutaj zakładzie kuracyi używa.

— Więc do widzenia się! *adieu!*

— *Au revoir!*

Baron pobiegł przez dziedziniec Brühlowskiego pałacu, a młodzi śmiejąc się, w przeciwną udali się stronę.

Ogródek Dückerta i przyległy temuż ogród Krasieńskich, mnóstwo przebiegało osób. Pod wystawą, odbierając napełnione kubki z rąk zwinnych i pamiętnych posługaczek, popijali coraz nowi przychodnie przepisane sobie wody: to pogwarzyli pomiędzy sobą, to rozmawiali z właścicielami zakładu, to żartowali z Hebamami tego mineralnego nektaru. Orkiestra Rajczaka ochoce wygrywała Krakowiaki, wszędzie trwał ruch wesóły, jak gdyby każdego nie tylko nadzieja, ale raczej pewność odzyskania zdrowia, pozbycia się cierpień, cieszyła.

Na kanapce, gdzie gorące wody wydają, siedziała w wyszukany rannym stroju pani Nietomiewska. Trzymała w ręce mocno pierniczkową rękawiczką ściśniętą i strojną w karbowaną mankietkę, złożony kubek, i krzywiąc się i dmuchając, parzyła sobie usta wrzącym

Sprudel. Wtém zjawił się baron z bukietem. Dama podaniem mu ręki wdzięcznie go powitała. Baron zajął próżne obok niej miejsce.

— *Quel magnifique bouquet!*

— *Puis-je vous l'offrir?*—i baron podał jój przeznaczone dla Gabryeli kwiaty.

— *Mille grâces!.... elles sont admirables ces fleurs!*—i pani Nietomiewska zalotnie pieściła się z bukietem, co dwie opodal stojące panienki szczerze rozśmieszyło.

— Pani Ligórskiej tu dziś niemasz?

— Nie.... nie wiem dlaczego. Obiecała mi się... Ale rzeczy dobrze stoją!

— I jakżeż?

— Matka oświadczyła się stanowczo za baronem.

— A Gabryela? — zapytał baron widocznie niespokojny.

— Gabryela!.... hm!..... *elle fait la précieuse, voilà tout!* Ale to nic nie znaczy, *laissons la faire!*

— Byłbym skompromitowany, cała Warszawa już wie o tym stosunku.

— Bądź baron spokojny!

— Wiedzą i o tych fochach panny.... *On m'attaque de toutes parts, on chuchote, on m'agace,* doleciały mnie i tutaj jakieś uwagi, szept, jestem pikowany.... *Et comme je suis à mon aise,* więc mam i zazdrosnych.

— *C'est le mot:* zazdroszczą baronowi, i ztąd takie gadaniny. *Mais fiez vous à moi.*

— Oh, Gabryela musi być moją, choćby się temu niebo i piekło sprzeciwić miało! Skompromitowałbym się szkaradnie: *et je ne veux pas être basoué!*... Zresztą, podoba mi się; mogę się nawet i zakochać!

— *Ecoutez.....*

I ciszej poczęli mówić, bo kilka osób opodal usiadło. Jednakże bliżej nich będący dosłyszeli, jak baron ścisnąc rękę pani Nietomiewskiej, coś jej miłego musiał powiedzieć, bo uśmiechając się wdzięcznie, odpowiedziała:

— *O, je sais parfaitement bien, comme vous savez être aimable!*

Po chwili pani Nietomiewska złączyła się z jakimiś paniami, a baron stanął przy wyjściu spod wystawy, popatrzył się na lewo i na prawo, spotkał niejedno zwrócone ku sobie ciekawe spojrzenie, dosłyszał imię Gabryeli, pani Nietomiewskiej i swoje—i igrając szpicrutką, i nucąc jakiś ustęp z *Stradelli*, rzucił dumnym wzrokiem na otaczających go i udał się do ogrodu Krasieńskich. Minął i tutaj licznie przechodzących się, i wprost poszedł na kawę do Haberkanta. Ależ i kawa, jakkolwiek podobno jedna z najlepszych w Warszawie, nie smakowała mu dzisiaj, bo mniemał, że i tutaj jest przedmiotem ogólnej uwagi, że i tutaj mówią: iż od Gabryeli arbuza dostał—on, baron, pan milionowy!

— „Ona musi być moja!—powtórzył wychodząc od Haberkanta—musi być moja!—powtórzył raz jeszcze, opuszczając ogród.

VI.

Błada, smutna, z założonemi na piersi rękoma, przechadzała się Gabryela po pokoju bawialnym; to przystanąła, i jak gdyby ciężarem wewnętrznego przyciśnięcia bólu, pochyliła się ku ziemi; to wzniosła oczy i wydobyte z głębi rozżalonej duszy westchnienie, zasiała do nieba. Bo i dzisiaj miała znowu zbyt przykre z matką zajście: pani Ligórska wyrzekła, że stanowczo przyjęła

oświadczenie barona; że w tym związku widzi jej szczęście, którego ona, zaślepiona, ocenić nie umie. Na co jej Gabryela, jakkolwiek z wszelkimi względami przynależnymi matce, znowu powtórzyła: że nigdy się do tego związku nie skłoni, że się nie zaprzęda, że nienawidzi barona.

Rozgniewana matka zagroziła jej niebłogosławieństwem swoim. Gabryela do nóg jej upadła, błagała, płakała; ale żaden wyraz, wołający z głębi serca dziecięcego o litość, ani łzy, któremi skropiła stopy matki, nie potrafiły nieubłaganą przejednać. Gniewnie odepchnęła córkę od siebie, nazywając ją *szaloną, rozromansowaną dziewczyną*.

— Ależ mamu ukochana! przyjmowałaś Władysława w dom swój, wiedziałaś, że się o mnie stara....

— I cóż z tego?

— Sprzyjałaś mu, dozwoliłaś, by sobie serce moje zjednał... Mamol ja go Kocham!

— Gadasz, jak bohaterka romansu. To wszystko jest *egzaltacją* bezrozumną, i radzę ci zaprzestać tych scen teatralnych: wola moja jest nieodmienną! — i pani Ligórska wybiegła z pokoju, trzasnąwszy drzwiami całą siłą.

Jeszcze Gabryela nie była ochłoneła z bolesnego wrażeń, gdy jej przybycie barona oznajmiono. Jakiś nagły pomysł ożywił rysy dziewczęcia. Baron wszedł do pokoju. Z wdzięcznym ułożeniem i uśmiechem zbliżył się do niej, ujął jej rękę i do ust przycisnął.

— Szczęśliwy, nad wyraz szczęśliwy przybywam — wymówił — Pani Nietomiewska oznajmiła mi, że mama przyjęła moje prośbę o rękę pani. Serce moje...

— Panie baronie! — i Gabryela cofnęła się o parę kroków — chciej mnie pan wysłuchać... Zlituj się nademną —

i złożyła z bolesném błaganiem dłonie.—Zaniechaj pan starań swoich! Ja nigdy żoną pana nie będę!... Nie dręczcie mnie napróżno: inny serce moje posiada!

— Ha! ależ ja mam przyrzeczenie matki!

— I cóż ono znaczy bez woli mojej!... Panie baronie! do szlachetności pańskiej się odzywam: nie dręczcie mnie nadaremnie!

— Ja panią kocham!

— O mój Boże, mój Boże!

— Będę się starał pozyskać serce pani! Otoczę wszystkiém...

— Oh mój panie!—i Gabryela ze wstrętu zadrżała.

— Pani mnie nienawidzisz!—zawołał ze złośliwém skrzywieniem ust—wiesz pani, co wywołać może miłość wzgardzona?

— O mój Boże, litości!—błagała Gabryela.

— Czy wiesz pani, co wywołać może miłość wzgardzona?—Twarz barona potworny przybrała wyraz.

— Litości!—powtórzyła biedna udręczona, blednąc coraz bardziej.

— A któż nademną ma litość! Ja panią kocham!... Mam słowo matki... Łudzono mnie, wystawiono wszystko inaczej!... Matka pani uprzedzała moje chęci... Byłbym skompromitowanym: odstąpić nie mogę i nie odstąpię!

— A jednakże nic mnie zmusić nie zdoła!—zawołała Gabryela z całą odwagą, na jaką się zdobyć mogła.

— A ja nie pozwolę bezkarnie z siebie żartować!... Namysł się pan! nie igraj z uczuciem mojem! Ja potrafię zemścić się na owym jakimś panu Polickim. Do widzenia się!

W godzinę potém wpadła zadyszana pani Nietouiewska do pokoju.

— Ach Gabryelo, cóżeś zrobiła! — zawołała — *le baron est en rage!*... Ty nie wiesz, cały los Polickiego jest w ręku jego!... Zaprzysiął mu zemstę... W tobie szalenie się kocha... Ach to nieszczęście!... Czy mama jest u siebie?

— Jest.

— To przynajmniej dobrze! — i wbiegła do pokoju pani Ligórskiej.

Gabryela w bolesném drzeniu oczekiwała następnych wypadków. Niezadługo przywołano ją, a po chwili weszła blada jak cień grobowy, chwiejąca się jak martwy listek, do swojego pokoju. Upadła na kolana, wzniosła z rozpaczą załamane ręce ku niebu, ale modlić się nie mogła.

W kilka godzin potém, wśród ciszy nocy, siedziała Gabryela przy stoliku, a drżąca jej ręka, szybkim, gorączkowym ruchem, nawpół nieczytelném pismem welinowy wypełniała arkuszyk. Przyćmiony blask lampy, zostawiając cały pokój w półcieniu, oblał tylko wdzięczną postać młodej dziewczyny w śnieżnej białości odzieniu, jej blade anielskie rysy, miękkie zwoje jasnego włosa: byłto światły obraz na tle przyćmioném, pełen nieokreślonego uroku. Niekiedy nagłym rumieńcem zapłonęły jej lica, to łzy je zalały; to znowu zbladła i ładne usta bolesnym zadrzały wyrazem. Niekiedy gwałtowniejsze uderzenia zranionego serca widocznie białą poruszały obstonę: ona pisała do Władysława:

„Teraz dopiero poznałam nieszczęście w całym jego ogromie. Władysławie! obrączkę matki twojej zwrac-

cam: za dni kilka zostanę żoną barona. Los twój jest w jego ręku! Miałam wybierać pomiędzy zgubą twoją a moją — i mogłażem się jedną chwilę wahać?! Tybys dla mnie chętnie życie swoje oddał; ja, ocalając cię, chętnie siebie poświęcam! Tybys nigdy téj ofiary nie przyjął wiém o tém; ależ, Władysławie! jam podobna do owego kwiatka, który bez użytku na naszej niwie zakwita, i więdnie. Twoje zaś przeznaczenie, powołanie mężczyzny z taką duszą i sercem, jak twoje, o ileż jest inném! Ty żyć powinienes mój szlachetny Władysławie: bo życie twoje nietylko do ciebie należy!... Ty bądź wzorem dla drugich! Ty wiele dobrego zdziałać możesz. A ja? — O, jam tylko słabą kobietą! — Przejdę nieznaną, poznana i żalowana jednakże przez ciebie, mój miły, nieprawdaż? I dosyc mi na tém! Ty jeszcze będziesz szczęśliwym: bo w wykonaniu powinności cnotliwego człowieka, znajdziesz spokój serca, znajdziesz bogostawieństwo. — Władysławie! pamiętaj, że to moje ostatnie do ciebie są słowa.”

„Rozpacz moja jest wielką, nie taję tego przed tobą; ale poddaję się wyrokowi z wysoka. Rozpacz przejdzie w rezygnacyą, a rezygnacya i życie kobiety, bywają często jednoznaczne. Łzy i ciche cierpienia, częściej są kobiety udziałem — cierpliwość jój cechą. I w tém jest nasza wyższość: że cierpieć umiemy!”

„Powinnabym już kończyć, ale wszakże ja po raz ostatni z tobą rozmawiam. Już tak nigdy z nikim rozmawiać nie będę. Część duszy mojej w to przelewam wyrazy. Wkoło mnie cisza jak w grobie. O! bo czyż mnie nie otacza grób szczęścia mojego?! Przetrwałam chwile okropne — okropne chwile, mój Władysławie, bom już i o Bogu zwątpiła!... I wtedyto, czy uwierzysz,

byłabym chciała mieć sobie jaki występki do wyrzucenia, powiedzieć sobie: że teraz zań sprawiedliwą, zasłużoną karę odbieram, by tylko wiary w sprawiedliwość Bożą nie utracić! — Całą siłą moralną przytrzymałam niknącą, ulatującą, jakoby mgliste, niewyraźne widziadło.... Ależ, Władysławie, Bóg jest! i wielkim jest Bóg! — Jest wymiar sprawiedliwości! jest inne życie! — Wierzę!... Całe moje jestestwo wielka przejmuję wiarą! — Ziemia ta dla nas jest tylko czasem próby — tam nas czeka nagroda! — Ziemski wieniec cierniowy tam się w światłokrąg zamieni! Tam jest kraina szczęścia dla cierpiących tutaj. — Błogosławiony, kto z męczeńskim wiankiem na skroni, duch czysty, do niej zawita! — Po nim tutaj zostanie się pamięć: wzór do naśladowania — i zbawienie!”

„Ja może gorączkuję, ale ty mnie zrozumiesz! Dla ciebie tylko te myśli moje wylewam, i znajduję w nich ulgę.”

„Wytrwałości, mój miły! Rozsiewaj po drodze twojej ziarno dobrego, tak, jak ci to wskaże szlachetne serce twoje i dusza. — I ja! o, i ja!.... wiesz? całą garścią będę jego złoto biédnym rzuciła; złoto, Bóg wie, jakim sposobem nabyte! — Dla mnie szara, jak najtańsza sukienka, najskromniejsze utrzymanie; a dla biédnych złoto! — Takim będzie cel mojego życia, okupiony łzami, rozpaczą i — hańbą!

Miłosierdzie Boże nademną!

Błogosławię Tobie Władysławie!

Gabryela.”

Już czerwone światło jutrzeńki, wpadając przez odsłonięte okno, jakby różowym pyłkiem posiało wszystko w pokoju: i białe odzienie Gabryeli, i jej włosy,

i rękę podpierającą głowę, i drobne palce, które się w miękkie zwoje wplotły; gdy lica i białe czoło, i łzami przyémione niebieskie oczy, jeszcze ostatni blask dogorywającej lampy rozwidniał. Skończyła pisać i przycisnęła pismo do serca, jak gdyby w niem niespokojne uderzenia jego załączyć chciała. Złożyła welinowy arkuszyk, przeżegnała, przycisnęła pieczętkę, i chowając list przy sobie, rzuciła się na łóżko. Ale sen nie nadszedł.

Około godziny ósmej opowiedziała się matce, że z panną służącą idzie na mszę do kościoła ks. Karmelitów na Krakowskiem-Przedmieściu. Przechodząc przez pocztę, wrzuciła do skrzynki list do Władysława. Zbladła przy tym czynie biédaczka i zadrżała: zdawało jój się, że wszyscy na nią spojrzeli, że ją wszyscy za to potępia. Niepewnym krokiem przeszła ulicę, a potem uklekła przed obrazem Matki Zbawiciela, będącym w trzecim oltarzu po lewój stronie, załamała ręce, i gorąca modlitwa, nie z ust, ale z pełnego serca, uniosła się do Boga. O! czemuż jój matka tego serca zrozumieć nie chciała!

VII.

Kościół św. Jana był napelniony, nie pobożnemi nateraz, lecz ciekawemi; nawet i przed kościołem dużo stało osób.

Od Krakowskiego-Przedmieścia, mijając zwolna plac Zygmunta, nadeszli Anatol, Józef i Felix.

— Już ósma dochodzi, powinnyby więc zaraz nadjechać— wymówił Felix, spojrzawszy na zegar zamkowy. — I któżby to był myślał, że baron jednakże niezabudkę zerwie!

— At, mój Felku, nie znasz kobiet! Pięniądze... oj pieniądze...

— „Kobięto! puchu marny, ty wietrzna istoto!” wygłosił Anatol.—Ale szkoda dziewczynki: ładne dziecko i dobre dziecko!... Żeby aby dom otworzyli, przyjmowali suto, byłoby przy najmniej gdzie bywać.

— Moznaby się nawet i w pięknej pani baronowej zakochać; nieprawdaż Felku?

— Złośliwyś, mój Józefie! — odparł Felix, rumieniąc się zlekka.

— Przecież ona męża swojego nigdy nie pokocha: a każda kobięta, jeszcze tak czule stworzenie jak Gabryeła, musi kogoś kochać!... Byle tylko pan baron nie zamknął się w swoich złoconych ścianach.

— Wszakże nas już do siebie zapraszał — zawołał Anatol.—Ręczę wam, że to śliczny będzie domek: wieczorki, baliki, wyśmienite kolacyjki.

— Mieszkanie bardzo pięknie urządził; i może tóż to *perspektywa* owego życia wystawnego, skłoniła wreszcie niezabudkę.

— To takie skromne, ciche, łagodne stworzenie! — wtrącił Felix.

— Ależ zawsze kobięta! mogły ją więc błyskotki złudzić, a mama z panią Nietomiewską dopowiedziały resztę. Ot sobie kobięta!

— *A propos* kobiet—zawołał Anatol—zjawiła się tu jakaś pani z Podola z córką jedynaczką, brzydką wprawdzie, ależ jak bogatą! *Je vous dis: riche comme une heritiere du Mexique.*

— Słyszałem o niej: ma podobno dwadzieścia sześć wiosek, miasteczko i masę gotówki.

- A ileż taka wieś czyni? — pytał Felix z zajęciem.
- Od piętnastu do trzydziestu tysięcy.
- Aj! parłya cacana!... Anatolku czy znasz te panie?
- Byłem im *prezentowany*.
- A toćże mnie wprowadź do nich, bój się Bogal
Jestem gotów zakochać się szalenie w Podolance.
- *Fas si bête*, ażeby ciebie wprowadzać: pomyszę ja
pierwój o sobie.
- Dajcież sobie pokój: żaden z was jój nie dostanie...
Ale otóż ósma bije, a weselnego orszaku nie widać.
Może się ten *maryaż* jeszcze i rozchwieje...
- Ej gdzie tam! widziałem karety stojące na Tlumackim przed mieszkaniem pani Ligórskiej.
- *L'équipage du baron est magnifique!*
- Wczoraj oglądano u Nejbauera brylanty, które
dzisiaj otrzymała w darze od barona panna Ligórska.
- U Nejbauera?
- Nadeszły z zagranicy, podobno z Berlina; ale coś
tam jeszcze naprędce zmieniano czy naprawiano. Podobno
warte sto kilkadziesiąt tysięcy.
- *Sapristi!*
- Pani Nietomiewska także otrzymała sznur brylantów.
- *Ah oui, une superbe rivière!* mówiła mi o tém pani
Henrykowa.
- Oby ją za ten handel wszyscy.....
- Judą!
- Od ulicy Senatorskiej nadjeżdżało w pełnym kłusie
kilka karek.
- Spieszmyż do kościoła!
- I młodzi licznymi kulkami na lewo i na prawo,
i wprost, utorowali sobie drogę przed kościołem, a po-

tém i przez kościół aż do kaplicy Pana Jezusa. Weselne grono nadeszło. Jakiś starzec z orderem wprowadził pannę młodą, bledszą od kwiecica pomarańczowego, które jój czoło wienczyło, wiotką i chwiejącą się, jak jój koronkowa zasłona, która po białej z ciężkiej mory sukni, spływała.

Anatol, Józef i Felix precisiżeli się tuż za niemi.

— Biédna niezabudka! — poszepnął Felix — wygląda jak anioł śmierci.

— A jednakże się sprzedala! — odrzekł ciszéj jeszcze Józef — Oj złoto! oj piéniádzel!

— Biédna! za ledwie nawpół żywa...

— *Je n'y comprends rien...*

— Aż mnie jakiś dziwny przestech ogarnia patrząc na to blade stworzenie.

— *Pst!* baron patrzy na nas.

— Z tryumfującą miną.

— Ale...

W téj chwili zrobił się ruch przy wejściu do kaplicy: młody mężczyzna, strasznie blady, Władysław, rozpychał tłoczących się i spieszył ku ołtarzowi. Ksiądz właśnie do ślubującej sobie pary przemawiać zaczął. Władysław spojrział na oblubienicę, zachwiał się, wyciągnął rękę i na ołtarzu mały położył pierścionek. Gabryela podniosła głowę; oczy jój spotkały wejrzenie jego, a w tém wejrzeniu przemawiała rozpacz i wzgarda. Krzyknęła okropnie, ścisnęła dłońmi głowę, potoczyła błędnym wzrokiem wokoło i dziko się rozśmiała. Poczęła urywane, niezrozumiale rzucać wyrazy; zerwała z czoła ślubny wianek, zdarła koronkową zasłonę, poszarpała ozdoby morowej sukni; raz jeszcze, głośnieój, przeraźliwieój, strasznieój krzyknęła — i jak nieży-

wa na ziemię upadło. W mgnieniu oka, jakby lekkie piórko, wyniesiono ją z kościoła; szeroko przed nią rozstępowali się przerażeni widzowie.

Jak ścigająca ją mara przedarł Władysław ciżbę, wskoczył do powozu i kazał pędzić na Tłumackie, co koni mógł wyskoczyć.

W mieszkaniu pani Ligórskiej przestach był wielki: rozesłano po doktorów na wszystkie strony. Władysław przystanął na wschodach; on nie mógł iść dalej: mniemał, że się nogi pod nim łamią. Wsparł się na wschodach, tchu mu w piersi zabrakło — gdy w téjże chwili drzwi otworzono i opierając się na rękę jakiegoś mężczyzny, ukazała się strojna pani Nietomiewska. Na wschodach było już ciemno i tylko z górnego okna jeszcze czerwonawe, pozachodnie biło światło; ono padło na jęj głowę, a gdy brylanty zdobiące czarne włosy nagle zabłyśły, wydawały się jak niebieskawe płomyki, i coś piekielnego ostrym rysom nieszczęśnej swatki nadały.

— *Ah, madame, quel spectacle!* — wymówił sprowadzający panią Nietomiewską.

— *Mais elle est folle!* — odpowiedziała, w téj chwili zupełnie do furyi piekielnéj podobna. Władysław chciałby ją był zabić.

Lekarze przybywali jeden po drugim. Czasem dolał krzyk okropny czuwającego Władysława; i wtedyto, w szale strasznój rozpaczy, nieszczęśliwy rwał włosy i paznogciami szarpał sobie piersi.

Okolo północy rozjechali się doktorzy, i mówiono mu, że Gabryela zasnęła.

Nazajutrz oddano Władysławowi list ukochanej: nadszedł był do Rogożewa, gdy jego tam już nie było, bo

na pierwszą wieść, że panna Ligórska idzie za barona, pospieszył do Warszawy. Z jakimże teraz rozdzierającym uczuciem odczytywał jój wyraz! Wyjaśniło się wszystko; i oużę ją o wiarołomstwo, o zmianę mógł posądzać i onżę mógł potępić aniola!

— Całe niebo ciemne, gęste zawlokły chmury; powietrze było tak ciężkie, że aż piersi tłoczyło. Dzwony na kościele OO. Reformatów // głuchy rozniosły odgłos, a od strony Tłumackiego rozległ się żalobny, jednotonny śpiew księży. Długie szeregi zakonników zwołana nadsunęły przez ulicę Bielańską. Ukazało się sześć kirem pokrytych koni, karawan z ozdobami srebrnymi, i biała nad nim trumna, a obok pochodnie, smutnym jaśniejące światłem. I karawan się zbliżył; trumnę otaczały wieńce: długa, biała morowa zwieszala się suknią, blondynami oszytą. Za trumną dużo szło osób, ale jeden tylko wysoki młody mężczyzna, blady, jak przychodzi z innego świata, szczególną nad siebie zwracał uwagę. Dalej następował liczny szereg pojazdów.

— I na cóż ona umarła? Taka młoda, ładna, szczęśliwa—pytano.

— Uderzyła jój krew na mózg i skończyła w obłąkaniu umysłów. Cała choroba trzy dni tylko trwała. Zapewne wielki upał był tego powodem.

— A narzeczony?

— Bardzo się zmartwił. Niemasz go tu na pogrzebie, tylko jego karetę żalobną widziałem.

Gdy orszak pogrzebowy był na Nalewkach, błyskawica ognistym gzygzakiem przedarła szarą nieba powłokę, i ciężko zagrzmiało. Żar następował po żarze, huk

po huku, uderzały pioruny, i wreszcie kroplisty deszcz lunął. Idący za trumną rozpierzchni się w mgnieniu oka: jedni puciekali do domów, drudzy powiadali do pojazdów. Jeden tylko Władysław, nie słysząc trzasku piorunów, nie widząc krwawych błyskawic, nie czując ulewy, ze spuszczoną ku ziemi głową, zwolna szedł dalej. A z trumny poodpadały deszczem splukane kwiaty — ostatnie kwiaty Gabryeli.

W kilka dni potem, Władysław Policki rozporządził ostatecznie majątkiem swoim: wieś całą oddał na równy podział pomiędzy chłopów, zastrzegłszy sobie tylko 5,000 złp. rocznie dożywotniego czynszu.

Wieczorem udał się na Powązki, ukląkł przy grobie Gabryeli: „*Będę wiernym twojej woli ostatniój!*” — poszeptał, przycisnął się twarzą do zimnego piasku, i jęk głuchy przedarł ziemię, która pokryła tyle kochaną!

Potém się podniósł: „*Na pamiątkę!*” — poszeptał znowu, i zabrał garść ziemi; schował ją starannie, i chwiejącym oddalił się krokiem. Za nim powiało westchnienie grobowe; cichy szmer krzewin cmentarnych.

W następnym roku włościanie Rogożewa już więcej nie opłacali czynszu 5,000 z. Ale ich ta puścizna bynajmniej nie cieszyła; i nieraz, westchnąwszy, powtarzali sobie: „*Mój Jezu, gdzie téżto tam nasze poczciwe panisko schowane było!*”

ROZMAITOŚCI.

Pieśni ludu weselne.

10.

Od Rozwadowa, Tornobrzega, Rudnika, Leżajska, Sokółwa, Głogowa i Rzeszowa. Wsie: Jamnica, Zatrzeźnie, Demba, Jedlice, Przyszów, Burdzów, Stany, Kojanów, Zagrody, Kamień, Górno, Mazury, Raniszów, Pogwizdów i t. d.

Tu obchodzą wesele prawie na sposób powyżej opisany. Mało znaczące różnice, wykażą same pieśni przy porównaniu ich z poprzedzającemi.

Starając się o rękę dziewczyny, kiedy przychodzą swatowie z wódką:

210. A dzień dobry panu ojcu,
Narządził nam gorzałki w kojeu;
oj gorzałki—gorzałki!
A dzień dobry pani matce,
Narządziła nam gorzałki w flaszcze,
oj gorzałki—gorzałki!

Kiedy panna-młoda mając siadać na dzieży do rozplecin, znikła z izby:

211. Oj na rozplecinach—oj Marysi niéma.
Oj posłała ją—nadobna matula,
oj grzebyczka pożyczać.
Oj grzebyczek doma—a Marysi niéma,
oj na rozplecinach.

Sprowadzają młoduchę, a starsza druchna śpiewa:

Rozplećże ją rozpleć, najstarszy družebko,
przy dzisiejszój niedzieli.

Już-ci ona już-ci, swojój matulońco,
nie pomoże kądzieli.

Starszy družba rozplata warkoczce, wiąże u końców wstążkę, wśród śpiewu:

212. Chodzi družebka po sieni—nosi grzebyczek w kieszeni,
Kasia się o warkocz bała—zieloną wstążką go owijała;
Zieloną wstążką owijała—sama się łzami oblewała.
Zieloną wstążką go nie owijaj—sama się łzami nie
oblewaj.

Nazajutrz przed wybraniem się do ślubu, przy zrękowinach, dają się słyszeć (p. nr. 81), niekiedy wszakże po ślubie dopióro:

213. Jaworowe kółka—dębowa rozwórka,
Spodobala mi się, dobrej matki córka,
ale mi jój nie chcą dać.
Dadzą ci ją dadzą—jeszcze odprowadzą,
tylko po nią zajechać.
Straciłem se pluzek—com wyrabiał dtużek,
ale mi jój nie chcą dać.
Dadzą ci ją i t. d.

Straciłem se woly—co chodziły do niój i t. d.

Straciłem dwa radła—i dwa prześcieradła i t. d.

A na święty Jacek—w Dzikowie jarmaczek i t. d.

Kiedy już wozy zajechały, i przeprosiny (p. nr. 156) nastąpiły:

214. Siadaj-że ty na wóz—warkoczki se załóż,
ja po ciebie przyjechał.

Czy cię główka boli—czy nie masz téj woli,
czy ci matuli żal?

Matuli mi nie żal—główka mnie nie boli,

Z tobą nie pojedę—bo nie mam téj woli.

Siadaj-że ty na wóz—warkoczki se załóż,
ja po ciebie przyjechał.

Czy cię główka boli—czy nie masz téj woli,
czy ci tatula żal?

Tatula mi nie żal—główka mnie nie boli,

Z tobą nie pojedę—bo nie mam téj woli.

Na progu družba:

215. Upadły śniegi, leżą na błoniu,
A nasz pan-młody, uziął na koniu;

Wyszła do niego, Maryśka jego,
I wyniosła mu szklanę wina, dwie miodu,
I rozgrzało go—pana-młodego na koniu.

Pocém chórem:

216. Kowane wozy brzęczały,
Kiedy z panną-młodą do kościoła jechały.
Kowano wozy nie brzęczcie,
Tylko państwo-młode do kościoła zawieźcie.

Po wyjściu z kościoła:

217. Cztery świece zgorzało—niż Marysi ślub dało,
Da i piątą połowa—wychodź Maryś z kościoła.

Gdy się zbiorą na śniadanie do karczmy, staroscina oddając różgę starszemu družbie, śpiewa (Wojcicki T. II, str. 13):

218. Piękną różgę mam družbowie—piękną różgę mam,
Kto mnie będzie pięknie prosił—temu ją oddam.
Niemalóm trudów użyła,
Niżlim tę różgę uwiła.

Chodziłam po barwinek między dąbki,
Podarłam u fartuszka obrąbki:

Piękną różgę mam družbowie—cudnej roboty,
Obiecał mi starszy družba—czerwony złoty.

Po ucieczce młoduchy do matki, prześpiewawszy pieśń o przepióreczce (nr. 202), dodają jeszcze (p. nr. 131):

219. Przeleciał sokół—przez dworski okół,
Padł—siadł w ogródeczku—przy bujnym ziółteczku
roztoczył ogon.

A puk, puk, puk w okieneczko—wyjdźże Maryś kochane-
sama jedyna. czko

Maryś nie wyszła—siostrę wysłała:

Siostró moja siostró—staw się za mnie ostro
jakby ja sama.

Brzmia wozy brzmia po bukowinie,
Któż tam sieje tatareczkę na tej nowinie?

A w tej tatareczce, któż tam przebywa?

Parobeczek Szczepanów konie pętywa.

Marysia jego płoty łamała,

Oglądała niżej—wyżej—aż go ujrzała.

W czasie czepienia, śpiewają druchny zdejmując jej wianek (także w okolicy Wąchocka i Szydłowca; p. Wojcicki T. II, str. 11):

220. Kołem wianeczku, kołem,
Nad Marysinem czołem,

Do jamy myszko do jamy,
 Z twoim wianeczkiem rucianym.
 Ty wianeczku na kołeczek,
 Dla innych dzieweczek.
 Nie wdowa Maryś, nie wdowa,
 Siedzi w czepku jako sowa.
 Jedźcie druchuy lipową drogą,
 Gdzieście podziały pannę młodą.

Druchny: Czyście jój to ślepe byty,
 Kiedyście ją oczepity?

Następnie nuca po oczepieniu, gdy młoducha mając
 obdzielić chleb przez siebie upieczony, chowa się do komory:

221. Poszło trzech braci—poszło trzech braci
 zieloną łączkę kosić,
 Kazali sobie—najstarszej siostrze
 śniadanecko przynosić.
 Najstarsza siostra—najstarsza siostra
 wzięła konika puściła,
 Sama w Dunai—sama w Dunai
 we wodę bystrą skoczyła.
 Pływaj siostruniu—pływaj kochana,
 jak lawendowy wieniec,
 Płacze siostrzyczka—płacze braciszek
 ciesz się cię twój młodzieniec.

Później w tańcu, kiedy młoducha udaje kulawą i nie chce
 z mężem tańczyć, on wykrzykuje puszczając ją:

222. A cóżto za kobiécisko,
 Moja nie tak chodzi nisko;
 Ta kulawa i czubiasta,
 Stara to jakaś niewiasta.

Poczém druchny odzywają się:

223. Panie-młody nasz, czy cię tu nie masz?
 Wyjdźże, wyjdźże z buteleczką,
 Poczęstuj nas gorzałeczką,
 Panie-młody nasz!

Młody wykupuje ją wtedy gorzałką. Przybywszy do do-
 mu młoduchy, siadają do stołu.— Przy uczcie weselnój po-
 dają placki i kołacze:

224. A nasz pan-młody chędogi,
 Zebrał pszeniczki trzy brogi,
 Trzeba będzie rano wstawać,
 Co do kłoska wymiacać.

Nie mogę ja wstać—nózek owijać,
Bo mi matka zakazała—abym z wami nie gadała
trzeba jój się bać.

Matki się nie bój—siadaj na koń mój,
Pojedziemy w cudze kraje—tam są inszo obyczaje
malowany dwór.

Przez wieś jechali—wszyscy patrzali,
Co to, co to za dziewczyna—co to, co to za jedyna
i kawaler z nią.

W okolicy Szydłowca i Przysuchy, taż sama pieśń tak się zaczyna, acz tutaj na poprawinach weselnych dopiéro słyszana bywa:

230. Na onój górze—stoją rycerze,
Stuk puk w okieneczko — otwórz, otwórz kochaneczko
koniom wody daj i t. d.

Żegnając się zaś z domem rodzicielskim (p. Ż. Pauli P. I. Gal. str. 141, oraz nr. 156):

231. Stoją konie, stoją wozy,
Już ci ten płacz nie pomoże,
Siadaj-że ze mną.

Nie będę ja z płaczem siadała,
Bo ja jeszcze swemu bratu nie dziękowała.

Stoją konie, stoją wozy:
Już ci ten płacz nie pomoże,
Siadajże ze mną.

Nie będę ja z płaczem siadała,
Bo ja jeszcze siostrze nie dziękowała:

Dziękuję ci pani siostrze,
Żeś gadała na mnie ostro,
Teraz nie będziesz.

W ten sposób żegna się z ojcem, matką, ławkami, stołami i progami, jak to już przy nr. 156 miało miejsce.

11.

Celem dokładniejszego przedstawienia ogółu pieśni weselnych, widzę się w obowiązku przytoczyć i warianty tychże, zebrane przez Wacława z Oleska i Żegotę Pauli w Galicyi. Nikt bowiem nie zaprzeczy, że to, co skrzętni ci pracownicy wnieśli, porównane i dopełnione niniejszóm, postuży do tém lepszego wyświeccenia rzeczy w mowie będącej. Ten więc ostatni (Pauli) tak opisuje obrzędy weselne tamże (p. P. I. pols: w Gal: str. 35):

„Dni kilka przed weselem chodzą *druźbowie*, których *pan młody* wysyła po wsi od gospodarza do gospodarza. *Starosta* (pierwszy swat, marszałek weselny, na którego obierają gospodarza w męzkim wieku, wymownego i żartobliwego), zaprasza na wesele całą rodzinę w imieniu pana młodego mową żartobliwą. Przed ślubem rano, schodzą się goście do rodziców *panny młodej*; tu *swaszki* (swaszki, swachy albo druchny, sęto dziewczęta, które sobie panna-młoda obiera; najstarszą swazką czyli *starościna* bywa zazwyczaj mężatka), sadzają pannę-młodą najczęściej na dzieży, rozplatają jej warkocz i stroją głowę w kwiaty i wstążki.

Ubrana panna-młoda rzuca się śród płaczu rzewnego wraz z panem-młodym do nóg rodzicom, którzy nowożeńców błogosławia. Starosta prosi wszystkich do ślubu. Siadają na wozy, i jadą z muzyką do kościoła, druźbowie zaś wyprzedzają ich konno. Po ślubie, chowa się panna-młoda za ołtarz, zkąd ją druźbowie wyprowadzają. Z kościoła udaje się cały orszak weselny do domu rodziców, albo najczęściej bo karczmy, gdzie się ucztą i tańce odbywają. Późno w nocy następuje najważniejszy akt weselny: *czepiny*. Stara się panna-młoda zemknąć, lecz druźbowie ostro ją pilnują i ułapioną sadzają na stołku. *Starościna* zdejmuje jej z głowy wianek z wstążkami (które panna-młoda muzykantom rozdaje), bije ją stłuczonym garnkiem po plecach, aby się jej w nowym stanie naczynie nie tłukło, i uderza ją ręką po licu. Rozebraną z ozdaków panięstwa prowadzą ze śpiewem do łożnicy, a panna-młoda rachuje się odtąd między mężatki. W kilka dni po weselu, schodzą się znów wszyscy na ucztę i tańce, co *paprawinami* zowią. Druźbowie zapraszając na wesele śpiewają (zapewne z obwodu tarnowskiego i bocheńskiego):

232. Szczęśliwa była godzina, jak się Bóg narodził, (1)

I ta szczęśliwa, co ja was nawidził.

Mamy affekt z przyjścia swego

Do domu Waszecinego.

(1) Lud używa tu jak w Wielkopolsce i Mazowszu tak zwanego *mazurzenia*, które zasadza się na zamianie spółgłosek gardłowych: *sz, cz, szcz, dż*, a niekiedy nawet: *rz, ż* na językowe *s, c, sc dz i z*; np. zamiast: *szczęśliwy* mówią: *scęśliwy*. Zgad każdy kto chce mieć dokładne wyobrażenie o sposobie mówienia w tych okolicach, czytając te pieśni, wszędzie gdzie spółgłoski gardłowe wchodzi, zamianę ich na językowe w myśli uskutecznić sobie winien.

Jeszcze z większym affektem,
 Od Boga w Trójcy Świętej jedynego,
 Prosi pan ojciec, pani matka,
 Pan-młody, panna-młoda
 na to wesele.

Co się znaczy (*zapowiała*) przez trzy niedziele.

Chcąc my tóż to stadło przyozdobić,

Jako Bóg przyozdobił niebo

Słońkiem, miesiącem, gwiazdami,
 wodami, rybami,
 liściami, kwiatami,
 i cały świat trawnikami.

Oto wy mój panie ojczy, pani matko,

Chciejcie to stadło przyozdobić,

Do kościoła Bożego przywodzić,

do kościoła Bożego,

do stanu małżeńskiego,

do stołu Piotra świętego.

A z kościoła Bożego,

Prosi pan ojciec i pani matka w dom swój,

na krotofilę (*zabawę*) grzeczną;

na muzykę skoczną,

na beczkę piwa lub na dwie,

na baryłkę wódki lub na trzy,

na tego jelenia (*wół*)

a go (*którego*) z obory wyprowadzemy,

na te jarzębie,

co siedzą na grzędzie;

na te gadziny (*gęsi*),

co rzuca pierzynę (*pierze*);

na te krzyki,

co siedzą u rzeki (*kaczki*);

na te korzenie,

co się ciągną ze ziemi (*ziemniaki*);

i na te gibco,

co bywają na sliwce,

na te flaki,

toć to najlepsze przysmaki;

na te liście (*kapusta*),

co się składają czyście (*pięknie*);

na te koła (*kolacze*),

co się toczą do stoła;

A do tego co nam pan Bóg obiecał darować
 i kucharz zgotować,

byście też nami
 wszelkiemi sługami
 nie gardali (*gardzili*);
 my też Waszeciom potrafić będziemy
 wszelkiemi sposobami.
 Chciejcie się nam też nie wymawiać,
 my też wam lub Waszeczynym dziatkom
 wymawiać się nie będziemy,
 jeśli wam tego będzie potrzeba.
 Prosemy o przebaczenie,
 bo kiepsko umiemy;

bakalarza (*nauczyciel wiejski*) my kiepskiego mieli,
 do karczmy nas puszczał,
 różgą nas nie chlustał (*bił*);
 kałamorz z kołka spad,
 uciekł z piórem ptak.

Inne zaproszenie (p. tamże, str. 37):

233.

Od pana i młodej pani,
 Jesteśmy do was wysłani:
 Was prosić na wesele,
 Gdzie jeść trzeba śmieie.
 Ta śmiałość jest przyrodzona,
 Podczas wesela zdarzona.
 Zaproszamy na te kwiki (*świnie*),
 Co zarywają chodniki (*drogi scieszki*);
 Na te ryki i dziki (*krowy i woły*),
 Co chodzą pić do rzeki;
 na tę pannę w kacie,
 w czerwonym kabacie (*kaftanik, gorset*),
 a kto idzie w taniec ku niej,
 Swornie (*pięknie*) się onęj ukłoni;
 na te żytnie kołoczce,
 okrągłe jak worowce;
 na ten groch zob (*potrawa*),
 Co się toczy wartko w skop (*skopiec*);
 na te kwaśne kapusty,
 któremi się trują glisty;
 na te moskalce (*kartofle*),
 cierpkie jak kierpce (*chodaki górali*);
 na to smołsko (*gorzałka*),
 co rozdyma głowsko;
 na krakoską kaszę,
 którą jadamy czasem;

na te krowie sérki,
klinowate jako nyрки;
na orzechy liskowne,
do kulieb (*okrągłych*) gałek podobne;
na te kwaśne barszczysko,
na zgładzenie gorzałczyska;
na muzykę ktemu od zucha,
co zacina, zarzyna od ucha;
na to wielkie zgromadanie,
gospodarskie pogadanie.

Proszę mi to nie odmówić,

Proszę nie gniewać, młodzienic,

Jacy (*lecz*) się ze mną zbierajcie,

Moim honorem nie łunaćcie (*nie gardźcie*).

Jadąc do panny-młodój (p. tamże str. 39; Wacł. z Oleska P. I. str. 42 i nr. 213):

234. Jużem przepił konie—co chodziły do nie,
i tak mi ją nie chcą dać i t. d.

Wybierając się do ślubu, śpiewają družbowie i družki
(p. Wacł. z Oleska str. 43):

235. Wychodź Marysiu z izby—nie rób matuni ciżby,
Dosyć-ęś jój narobiła—kiedyś malušką była.
Siadaj Marysiu z nami—nie zalewaj się łzami.
Siadaj-że Maryś, siadaj—ojcu, matce żalu zadaj;
Niech się jój serce kraje—że cię młodą za mąż daje.

Dalój (p. tamże str. 130, jak również nr. 131 i 219):

236. Wyleciał sokół na ten nowy dwór,
Stuk, puk w okieneczko:
Wyjdź, wyjdź kochaneczko,
daj koniom wody i t. d.

Patrz tamże str. 140, jako i nr. 231:

237. Stoją konie—stoją wozy,
Już ci ten płacz nie pomoże,
siadaj-że ze mną.
Nie będę ja z płaczem siadała,
Bo ja jeszcze ojcu nie dziękowała:
Dziękuję ci panie ojczu,
Żeś dostawał często gościu,
teraz nie będziesz i t. d.

Panna-młoda do pana-młodego (tamże str. 40):

238. Oj hola, moja hola—jeszcze nie twoja;
Wtedy będę twoja—jak pójdę z kościoła.

Państwo młodzi do rodziców przed błogosławieństwem
(p. str. 40 i Wact. z Oleska, str. 43):

239. Już idemy do kościoła,
Błogosławże nas matusiu moja!
Błogosław matuleńko,
To twoje dzieciąteńko;
Pobłogosław oboje,
Te dzieciąteczka twoje.

Panna-młoda:

240. Ostajcież z Bogiem te mateczne progi,
Już tu nie postoją nigdy moje nogi.

Matka: Boże cię ta prowadź—Boże cię błogosław,
A ino mi chusteczkę, na uciechę zostaw.

Jadąc do kościoła:

241. Prowadź-że nas Boże,
Po téj szczęśliwój drodze;
Żebyśmy tam zajechali,
Kędyśmy się obiecali:
Do kościoła świętego,
Do stanu małżeńskiego.

Starosta:

242. A ja nie wiem po co jadę,
Czy po dziewczkę—czy po babę;
Jak po dziewczkę—ucieszę się,
Jak po babę—zasmucę się;
Jak po dziewczkę—chwała Bogu!
Jak po babę—zarna djabłu.
Bo za dziewczką—krowy ryczą,
A za babą—dzieci krzyczą.

Po ślubie družki (p. nr. 16):

243. Gdzieżeś się nam panna-młoda podziała?
Powróćcie mili swatowie, powróćcie,
Pannę-młodą z za ołtarza wykupcie.

Wracając od ślubu:

244. Podziękujmy Panu Bogu—wzieliśmy ślub chwała Bogu!
I Najświętszej Panience—przy dzisiejszej niedzielnce.
Zkąd idziecie?—z kościoła,
Co wieziecie?—sokoła.
Będzie się matusia pytała:
Komuś Maryś ślubowała?
Ołtarzowi wielkiemu,
I Jasiowi swojemu.

Oj leciały czarne kawki przez morze,
 Padły, siadły u pana ojca na dworze.
 Wyjdź-że do nich pani matko proszący:
 Czyście nie widziały mojej Marysi jadącej?
 Widzieliśwa twoją Marysię jadącą,
 Ocierają swoje oczęta płaczący.

W karczmie:

245. Stawiaj karczmarzu ławeczki,
 Niech sobie posiedą družeczki;
 Stawiaj karczmarzu i ławy,
 Niech sobie posiedną sąsiady;
 Stawiaj karczmarzu i stół,
 Gdzie swachniczka (*družka*) idzie samo-wtór.

Podczas uczyły:

246. Oj cóżto za kaszeczka—da jagła jagłę goni,
 Lepsza była u Bartosza—góral przeszedł w kirpcach
 Przy kołaczu: po niéj.

247. Przywieziono nam ziele—od Węgier na wesele;
 Przez Dunaj go wieziono—w kołacze go sadzono.
 A to ziele rodziło—dwie jagody na nim było:
 Jedna była jagodeczka—młodziuchna jak nasza swa-
 Pan družba kołacz siecze, czeczka.
 aż mu z czoła ciecze;
 Pan družba kołacz kroje,
 sąsiadom go rozdaje;
 Pan družba człowiek młody,
 choć se nie golił brody,
 Panna swaczka ogoliła.

Po uczcie:

248. A wychodź-że panno-młoda z za stoła,
 Podziękuj-że pani matce z wesola.

Sorom swatkwie! sorom! (*wstyd*)
 Zbierajcie się do dom;
 Do dom się zabierajcie,
 Nocować tu nie będziecie.

Idąc z karczmy:

249. Macham swachniczkę, macham,
 Nie stój tam pod tym dachem;
 Dosyć-eś się tu nabyła,
 Beczkęś piwa wypila,
 I dwa spusty gorzałeczki,
 Na poły (*wespól*) z družeczki.

A na moście—trawa roście (*rosnie*),
 da pod mostem ślaz;
 Mówiła mi grzeczna panna,
 Żebym z konia zszl.
 A ja tego nie uczynię,
 Bo się boję o dziewczynę,
 Jużem tu był raz.

Na drodze do domu rodziców (p. n. 192):

250. Od samėj karczmy, do samego pana ojca ścieżeczką,
 Nasadziła nadobna Jatrystia ziołeczka;
 Posadziła żółty kwiatek przy drodze,
 Którędy nadobny Jasieńko pojedzie.
 Nie zrywaj kochanku Jasieńku kwiateczka,
 Bo ja sobie u swojej matuli dzieweczka.

251. Założono nam wrotka,
 Szabelecza ze złotka;
 Któż nam je odkładać będzie,
 Kiedy Jasieńka nie będzie?
 Przyjedzie Jasieńko z Rusi,
 Otworzyć wrota musi.
 Albo nas tam puściecie,
 Albo lepiej załóźcie;
 Słoténka na nas bije,
 Sukmanka na nas gnije;
 Nie nasza—pożyczana,
 Ze wstydem oddawana.

Wchodząc do izby:

252. Oj! pomaga Bóg panie gospodarzulu
 czyście nam rad, czy nie rad,
 Nie prosieś nas na śniadanie,
 prośże nas na obiad.
 Pomaga Bóg! stoły, ławy,
 i ty piecu malowany!
 Któż go tu malować będzie,
 kiedy Marysi nie będzie?
 Jest-ci tam siostrénka mniejsza,
 to do tego podobniejsza (*zdatniejsza*).

Przed czepinami (p. n. 27 i 23):

253. Jak ci będą pannę-młodą czepić,
 Będą mieć starościny co jeść i pić.
 Jak-ci będziemy mieć panią-młodą w czépcu,
 Będziemy mieć gorzałeczkę w skopcu.

*

254. Baby nie piły matusiu—baby nie piły matusiu!
Trza ich pognać do jeziora—będą piły do wieczora.

*

A mój panie młody—dawaj gorzkiej wody (*gorzałki*),
A my ci za wodę—dziwękę jak jagodę.

*

255. Kiejżeś się podział drużba najbliższy,
Skoro do czepin zjadły cię myszy.

Oj chmielu, oj niebożel!

To na dół, to po górze,

Chmielu niebożel!

W czasie czepin: (podobnej treści p. n. 48 i 109):

256. A w tój nowój komóreczce—w tój nowój,
Czesa sobie Marysia nadobna len biały.
Przyszedł do niej nadobny Jasieńko, zapukał:
A puśćże mnie moja Maryś do siebie.
Ja ciebie mój Jasieńku nie puszcze,
Miałeś-ci ty mój Jasieńku czasu dosyć,
Było sobie matuli poprosić.

*

257. Szła sobie dziewczyna—do góry dąbrową,
Znalazła Jasieńka—z potraskaną głową.
Jak ci się uwzięła—poszła do szynkarki:
Na twoją główeczkę—każę dać gorzałki.
Nie pomoże wódka—ani żadne maści,
Bo w mojej główeczce—potraskane kości.

Panna-młoda:

258. Kukółka kukąła w sadeczku,
Główkę chowając w listeczku,
A kukając powiedziała:
Że nie tak mieć będę,
U świekrochy mojej (*matki męża*),
Jakom miewała
U matki mojej.

Staroscina:

A wy stążeczki, już zwijajcie się,

A ty czépeczku, rozwijajże się.

Po czepinach panna-młoda:

259. Wianeczku ruciany—jużeś się mi zmienil,
Już się mi nie będziesz—na głowie zielenil.
Oj pięknie, pięknie—trochę pochyło,
Ten niech się patrzy—komu niemilo.

Po czępinach:

260. Wilczyisko się ożeniło,
Potém sobie rozmyśliło,
czego żonce trzeba!
Trzeba żonce poliwecki,
A dziecięciu kolébeczki,
a mamce chleba.

Jadąc przez wieś do swaszek:

261. Przez wieś—jeśmy jechali,
Niziuteńkośmy się kłaniali;
Wszystko to Marysiu dla ciebie,
Bo rwałaś ludzi do siebie.
Teraz nie będziesz miała,
Boś niemi pogardała.

Druźbowie przed pomieszkaniem pani-młodój:

262. A wyjdźże przed nas,
A przywitajże nas,
czego będziesz płakała?
Czy nie do twój woli,
Czy cię główka boli,
czy ci ojca, matki żal?

*

263. Oj wyjdźże, wyjdźże Marysiu—nadobna!
Przywitajże pannę swazkę—z drużyną,
I swego pana-młodego—z rodziną;
Przywitajże pannę swazkę—przywitaj,
A swojemu Jasieńkowi—rączkę daj.

Panna-młoda:

Nie będę pannę swazkę—witała,
Bo ja w niej przyjaciołkę—zyskała;
Lecz przywitam mego Jasia—rączkę dam,
Bo on teraz mojem życiem—jeden sam.

Podczas poprawin:

264. Oj już to nie wesele—oj już to poprawiny,
Oj już to nie Marysia—oj ino gospodyni.

Druźki gdy pan-młody tańczyć zaczyna (p. n. 201):

265. Oj w mieście, w mieście—w sławnym Krakowie,
Wzięli mi wianek—kawalerowie;
Nikt mi go nie wziął—tylko Franciszek,
Obiecał mi dać—srebrny łańcuszek.
Łańcuszka nie dał—wianeczek stracił,
Czekaj Franciszku—będziesz go płacił.

Prócz tego śpiewają przed weselem, a niekiedy po czepinach lub wśród tychże (p. Ż. Pauli, str. 138 i porównać z nr. 171 i 308):

266. Tam na tyczynie, tam chmiel się chwieje;

Oj zła godzina, mąż żonę bije;

Przyjedź, przyjedź matuleńko,

Oglądajże pożądęńko,

Pożaluj-że mnie!

Matunia jedzie, wrota uchyla,

Na swego zięcia rączęnką kiwa:

Bijże zięciu córkę dobrze,

Niech się na niej skóra podrze,

To będzie dobra.

(W takiż sam sposób przechodzą tatuleńka, siostrzyczkę i t. d.; nareszcie):

Tam na tyczynie, tam chmiel się chwieje,

Oj zła godzina, mąż żonę bije.

Przyjedź, przyjedź młodszy bracie,

Oglądaj mię pożądęńko,

Pożaluj-że mnie.

Braciszek jedzie, wrota uchyla,

Na swego szwagra pałaszem kiwa:

Widzisz pałasz szwagrze ostry,

Nie wybijaj mojej siostry,

Głowę ci zetnę!

W czasie zaręczyn słyść się téż dają te pieśni (p. Ż. Pauli str. 127 i 128):

267. Tam na łące, tam na zielonój,

Leży kawaler bardzo zraniony.

Przyszła do niego, mamunia jego,

Płacze, żałuje go.

Idź precz inamuniu ode mnie,

Bo już umiera serdeńko we mnie.

(Dalej tak samo przechodzą tatunia, braciszka, siostrenkę i kończą):

Tam na łące, tam na zielonój,

Leży kawaler bardzo zraniony:

Przyszła do niego —kochanka jego,

Płacze, żałuje go.

Nie chodź kochanko ode mnie,

Bo się już serdeńko ożywia we mnie.

Inna téjże treści (Ż. Pauli str. 127):

268. Ej ludzie, ludzie—zład wy to jedziecie,
Czy wy o mojm kochaniu nie wiecie?
Widzieliśmy go w cieniu cyprysowym,
Cesał sobie włosy grzebieniem perłowym.

Przyszła do niego własna matka jego:
Jasiuniu kochany, co ci to takiego?
A moja mamuniu, nie gadajże do maie,
Bo się smutne serce, od żalu rozpęknie.

(Tak przechodzą ojca, siostrę, brata; wreszcie):

Przyszła do niego—kochaneczka jego:
Jasiuniu kochany, co ci to takiego?
A moja kochana, siądź-że sobie przy mnie,
To się rozweseli, smutne serce we mnie.

Oj moja mamuniu, spraw-że mi wesele,
To się rozweseli, smutne serce we mnie.

Oj mój Jasiuniu, sprawię ci wesele,
Ale nie przedź, aż za trzy niedziele.

Kończą zaś niekiedy:

269. Co to za wesele—co ludzi niewiele,
Jeno odrobina—co sama rodzina.
Rodzina, rodzina—marnie wyginęła,
Brata mi zabili—siostra utonęła.
Brata mi zabili—na wojnę idący,
Siostra utonęła—wianka szukający.

Wacław z Oleska w swoim Zbiorze Pieśni ludu w Galicyi przytacza następująco używane przy weselu (P. l. G. str. 42 do 46), zapewne z obwodu bocheńskiego i sandeckiego.

Prosząc o pannę-młodą:

270. Przysłali téż nas nasi do waszych,
Abyście nom dali swoją bryzelichę
Za naszego chlustacza.
Jak nom dacie, to odkręciewa,
A jak nie dacie, to nie odkręciewa (*flaszki*).
A jak nom nie dacie,
To nam prędko odpowiedzcie,
To daléj pojedziewa,
A tam dostaniewa.

Družba zapraszając na wesele:

271. Niech będzie Chrystus pochwalony!
Nie z smutną, tylko wesołą nowiną
Wstępując w progi, państwa zapraszając:

Jako to z wyroku Bożkiego,
Z natchnienia ducha Najświętszego,
Zabierają się do stanu małżeńskiego.
(Ten i ta).

Przeło państwo młodzi upraszają na acht (*akt*) weselny,
Żebyście państwo nie byli wymowni, (*nie odmówili*)
Do kościoła świętego,
Do achtu sakramentalnego,
A z kościoła do domu tego.

W czasie poobiedniego tańca:

272. Jak pojedziesz przez wieś, zdejmźta magiereczkę
(*czapkę węgierską*),
Pokłoń się matusi, dostaniesz córeczkę.
Teraz będę wiedział, jak córeczkę dostać,
Matusię za nogi—po gorzałkę posłać.

Od Skawińy :

273. Poczęście przyjechali moi mili goście,
Jeślim wam się podobała,
Ojca matki proście,
A ja sobie pójdę za piec,
niby będę płakać;
A wy na to nie zważajcie,
Tylko targu dobijajcie
a będziemy skakać.

Rano w dzień ślubu: (*mieszczanśka*)

274. A wstawajże jagódeczko,
Póki nie wstanie słoneczko:
Bo jakby cię w śnie zastało,
Mocno by się sfrasowało:
Słabe w gosposi nadzieje,
Co śpi jeszcze gdy kur pieje.
A wstawajże w równe nogi,
Bo cię wita dzionek błogi!
Twój Jaś jak rozmaryn świeży,
Wnet stęschniony tu przybieży:
Jak cię zastanie w pościeli,
To się zbliżyć nie ośmieli.

*

275. Jużto Jasiu wstałeś Bogu dzięki,
Toś wart serca ślicznej lubieńki.
Już ona ci wianeczek uwiła,
I pozdrowienie przez nas ci przysyła.

Oj! będziesz miał dziewczkę jak jagodę,
 Co ci szczęściem napelni zagrodę;
 Słodsze jak miód usteczka rumiane,
 Ciało śliczne jakby malowane!
 Pamiętajże byś się zacie sprawił,
 Ażeby wam Pan Bóg błogosławił.

Matka córkę błogosławi: (patrz i n. 10).

276. Wybierajże się moja Kasiu, maszci czas,
 Wdziewaj na się spodnicę, opasuj srebrny pas.
 A Bóg-że wam zapłać moja pani matko, za piękne wystrajanie:
 Boże cię prowadź, Boże cię błogosław, moje dziecię kochanie.

Podziękuj w izbie, podziękuj w sieni, podziękujże w komorze,
 A podziękujże tym wszystkim ludziom co stoją na dworze.
 Błogosławże mnie Jezusie,
 Od tej kochanej matusiel!
 Błogosław rinnie jeszcze raz,
 Najświętsza Panno, trzeci raz.

Powinszowanie najstarszego družby przy wyjeździe do kościoła:

277. Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony wszędzie,
 A proszę niechaj tu zaraz cicho będzie!
 Dziś korona rozkwitła w kawalerskich rękach,
 Która będzie na acht wspaniała, gdyby w dyamentach;
 Mościa panno-młoda, wiwat!

Teraz podnieś oczy swe—spojrzyj na korony,
 Które rozmarynowemi różeczkami przyozdobione,
 Gdy na ten acht wspaniała będą tryumfować,
 A za tém gronem tu pannie-młodej będziema winszować.
 Winszujemy dziś za tém gronem tego państwa,
 Gdyż od ojca i matki żąda błogosławieństwa.
 Przystap ojeze do córki i ty matko miła,
 By swą głowę panięską pod wasze nogi ukłoniła.
 Teraz państwo młodzi padnijcie pod rodzicielskie nogi,
 Stopy całujcie, i za wychowanie, za pielęgnowanie dziękujcie.
 A wy także państwu młodym drogi nie tamujcie.

Do panny młodój:

Niechże cię Bóg Wszechmogący koronuje,
 Tą samą koroną, którą prezentuje!
 Prezentuj oku twemu dziś miłe wolności,
 Byś chciała odemnie przyjąć życliwości:
 Odbieraj, odbieraj urodliwa damo,
 Kiedyć Bóg przeznaczył, czyli niebo samo,

Iż w ogrodach najśliczniejszych, który kwiat wydaje,
 I w towarach najśliczniejszych, co przez oko staje.
 Ach! korono rozkwita, o kwiecie różowy!
 Tyś uwiniony na panieńskie głowy:
 Gdyż kwiatem twój wolności rozkwita się serce,
 Leć sama! tę koronę oddaję dziś w ręce.
 Teraz zaś do kościoła Bożego zabierać się trzeba;
 Tam co przysięgniecie, dochować potrzeba:
 Miłość, wiarę, uczciwość, wszelkie powinności,
 Zostając w tym stanie bez wszelakięj złości.
 Co wam daj Boże! ażebyście w zgodzie żyli,
 A po skończoném życiu z Bogiem się cieszyli.

Wiwat! wiwat! kapela,

Niechaj całe bando rozwesela.

W czasie pochodu do kościoła (p. n. 153):

278. A jedzie, jedzie mój kochaneczek po zielonéj dąbrowie,
 Rozpuścił strusie pióreczka konikowi po głowie.
 Nie tak mi żal strusich pióreczek, com je rozpuścił,
 Bardziej mi żal mojej Kasieńki, com se ją opuścił.
 A kiedyś bywał, mój ty Jasieńku, kiedym po cię stała?
 Czyś nie był doma, czyś nie miał konia, czy pani matka

nie dała?

I byłem doma, i miałem konia, i matka nie bronila,
 Ino mi pierwsza, moja najmilejsza, dróżkę zastąpiła.

Wracając z kościoła, gdy młoducha uciekła do matki
 (p. n. 202):

279. Uciekła mi przepióreczka w proso,
 A ja za nią nieboraczek boso;
 Każą mi się pani matki spytać,
 Czy pozwoli przepióreczkę schwytać.
 A chwytajże mój syneczku, chwytaj,
 Tylko jej się pióreczek nie tykaj.
 A jakże ją pani matko schwytaś,
 Żeby jej się pióreczek nie tykaś?
 Trza zastawić mój syneczku siéci,
 To ci sama przepióreczka wleci.

Przy wyprowadzeniu państwa młodych do łożnicy. *Śpiew*
 družbów (p. n. 226):

280. Wyjdę sobie za górcezkę, aż tam wilk tańczy,
 Zapewne on żonki nie ma, że się nie frasuje.
 Wilczysko się ożeniło, uszy opuściło,
 Awu, awu, awu, awu! przedtóm tak nie było.

Pieśń do tańca (p. W. z Oleska P. I. str. 95) od Myślenie (p. n. 35):

281. Oj przeleciał ptaszek — przez tutejszy laszek,
piórka na nim zdrząły.
A rozmyślając się — ty moja dziewczyno,
albo ci czas niemały?
Czyżś rozumiała — ty moja dziewczyno,
żeś ty jedna na świecie?
A jabym mógł przysiądz — że was jest nie tysiąc,
co w tém kole stanicie.
Alboś rozumiała — ty moja dziewczyno,
że ci będą zawsze grać?
Oj trzeba to trzeba — dorabiać się chleba,
trzeba miła rano wstać.

d. c. n.

O. K.

Spominki historyczne i artystyczne.

I.

Najdawniejszy opis pielgrzymki do ziemi stój przez Palaka. Przy dziele Jana ze Stobnicy: *Introductio in Ptolomei Cosmographiam, Cracoviae, impressum per Florianum Unglerium, 1512, 4to*, zamieszczone są dodatkowo różne inne pisma, między temi znajduje się: *Terrae Sanctae et urbis Hierusalem aptior descriptio fratris Anselmi ordinis minorum de Observantia*. Wydanie powtórne w Krakowie u Hieron. Wietora, 1519. 4to. W dziele zbiorowém Henryka Canisiusa z Nimegi, mnogie materyały historyczne zawierającóm, wyszłóm pod tytułóm: *Antiquae lectiones*, w tomach sześciu, a w latach 1601 do 1603 wydanóm, w tomie 5tym jest pismo następujące: *Descriptio terrae sanctae auctore Anselmo ord. minorum*. Jestto tenże sam wyżej przytoczony opis ziemi stój. O owym ojcu Anzelmie powiada ks. Ludwik Moréri (*Le grand dictionnaire historique*, Paris, 1759, fol. I, 137), że był zakonnikiem śgo Franoiszka i żył w początku XVIgo wieku; że zdaje się

był Polakiem, a urodzonym w Krakowie, co z treści pisma jego okazuje się. Roku 1506 odbył on podróż do ziemi śtėj, a za powrotem opis onėj uskutecznił, który w dziele *H. Canisiusa* jest drukowany. Będzieto więc najdawniejszy opis pielgrzymki do ziemi śtėj przez Polaka napisany. Przytoczone dzieło *H. Canisiusa*, przedrukowane zostało w 7 tomach r. 1725 w Antwerpii przez Westensów, staraniem i z komentarzami Jakóba Barnage, pod tytułem: *Thesaurus monumentorum ecclesiasticorum et historicorum. sive lectiones antiquae.*

Netscher Gaspar malarz i ojciec jego *Jan* rzeźbiarz i inżynier w służbie polskiej. Jeden z uczonych badaczy dziejów sztuk dawniej Polski utrzymuje (Dziennik Krajowy warsz. z r. 1843 nr. 121), że *Netscher Gaspar* czyli *Kasper* sprowadzony na dwór polski od Jana III, bawił długo w Warszawie i wiele robót swoich zostawił w miejscu; że malował całą rodzinę królewską w naturalnój wielkości, z którychto obrazów kilka znajduje się w galeryi willanowskiej. Szkoda, że szanowny autor nie wskazał źródła, z kądby tę wiadomość wyczerpał; wszyscy albowiem biografowie *Netschera* najmniejszej nie czynią wzmianki o pobycie jego w Polsce; owszem z opisów życia jego okazuje się przeciwnie, iż w Polsce nigdy nie był. Pochodzenie atoli jego nie czyni go dla naszego kraju zupełnie obcym: ojciec *Gaspra Jan Netscher* był rzeźbiarzem i inżynierem, wszedł był w służbę rzeczypospolitėj polskiej jako budowniczy forteczny, i tutaj umarł. Przyjście samo na świat *Gaspra* dosyć jest wątpliwie oznaczone. Urodził się on r. 1639, podług jednych w Heidelbergu (J. D. Fiorillo 1818. III, 211; G. K. Nagler X, 194), podług zaś innych w Pradze (Rog. de Piles Abrégé de la vie des peintres; L. Moréri le gr. dict. hist. 1759 fol. VII, 981; M. Huber, 1787 str. 460) Matka jego z domu Vetter, córka burmistrza miasta Heidelbergu, po śmierci męża wyniosła się była z Polski do Pragi czeskiej; ale będąc religii katolickiej, zagnoną była uciekać z tego miasta wraz z trzema małemi synami swemi. O kilka mil ztąd w jakimś zamku zatrzymaną została, nagłym

jego obłąčeniem; dwaj starsi synowie jęj pomarli tu z głodu. Unikając podobnego losu dla siebie i ostatniego dziecka, zdołała nocą wynieść się z nięm z zamku, a unosząc synka na rękach, doszła tym sposobem do miasta Arnheim, gdzie pewien doktor wziął małego *Netschera* w opiekę, i dalszóm jego wychowaniem zajął się. Takie były początki żywota *Gaspra Netschera*. Następny bieg życia jego, szczegółowo przez wielu pisarzy opisywany, nie wskazuje żadnego śladu pobytu jego w Polsce. Stałęm jego zamieszkaniem była Holandia, a gdy raz wybrał się był na zwiedzenie Włoch, dopłynąwszy do Bordeaux, upodobał sobie tu córkę pewnego kupca i ożenił się z nią, poczēm zaniechawszy dalszēj podróży, do Holandyi wrócił i w mieście Haadze osiadł, gdzie tēż i umarł r. 1684. Nagler mniema, że z Holandyi udał się był na jakiś czas dla pracowania do Anglii. W galerii willanowskiej znajduję się rzeczywiscie dwa jego dzieła: *portret króla Jana III na koniu*, w całej postaci, małego rozmiaru, nr. 184, i podobnēj wielkości *portret królowej Maryi Kazimiery na koniu*, w całej postaci, nr. 192. O ojcu *Gaspra* rzeźbiarzu i inżynierze *Janie*, w służbie polskiej zostającym, co do jego pobytu i zatrudnień w tym kraju, nie posiadamy bliższych wiadomości. Czyliby zaś syn tegoż, znamenity malarz *Gaspar*, przebywał istotnie kiedy w Polsce, tēm mniej jest wiadomo. Szczegół ten jednak zasługuje na wyjaśnienie, a dla badacza dziejów sztuki kraju naszego nie może pozostawać obojętnym. Byćby mogło, że o tych obu *Netscherach* ojcu i synie, który z światłych czytelników Bibl. Warsz. posiada jakowe pewniejsze szczegóły; ogłoszenie ich byłoby przydatne, na co zwrócić tu uwagę ósmielam się. Wspomnę i to wreszcie, że za czasów panowania króla Sobieskiego, twory malarstwa wielce u dworu i zamożnych panów były cenione i pożądane; dowodem tego jawnym są zabytki sztuki z tēj epoki w kraju dochowujęce się. Atoli z nazwisk artystów, którzy pod te czasy u dworu polskiego pracowali, poszukiwania dotychczasowe bardzo mało wykazały; wiele onych

do wykrycia pozostaje. Trzech tylko lepszych malarzy przywieść dziś niewątpliwie można, którzy dla króla Jana III w Polsce pracowali; tymi są: Altamonti Marcin, Eleuter Jerzy i Desportes Franciszek.

Kardynałowie z duchowieństwa polskiego. W ciągu czterech ubiegłych wieków, zaszczyt godności kardynalskiej spływał nieraz w udziale i na polskie kościoła rzymskokatolickiego duchowieństwo. Wykaz kardynałów rodem Polaków lub do polskiego duchowieństwa należących, nie był dotąd ogłoszony z dokładnością co do dat, bez pomyłek co do samych osób; przedstawia się więc tutaj zupełniejszy, z ścisłym wyszczególnieniem dat, nazwisk i tytułów:

Wiek XV.

R. 1408.—1) *Mateusz z Krakowa.* Professor i rektor uniwersytetu pragskiego, później biskup Wormacyi, kanclerz cesarza Roberta i poseł tegoż do papieża; pisarz kilku dzieł teologicznych. Kardynał presbiter pod tytułem S. Curyaka, mianowany przez papieża Grzegorza XII r. 1408, d. 19 września.—† r. 1410, d. 5 maja w Worms.

R. 1439.—2) *Izydor.* Grek z urodzenia, zakonnik bazylikański, opat S. Demetriusza z Carogrodu, potem metropolita kijowski, mianowany przez papieża patriarchą konstantynopolitańskim. Kardynał presbiter pod tytułem Ś. Marcellego i Ś. Piotra, mianowany przez papieża Eugeniusza IV, r. 1439.—† w Rzymie r. 1463.

R. 1439.—3) *Zbigniew Oleśnicki.* Biskup krakowski, wysyłany w różnych poselstwach przez Kazimierza Jagiellończyka do papieża, cesarza, Krzyżaków. Kardynał presbiter pod tytułem Ś. Akwilei i Ś. Pryszki, mianowany 1439 r. przez papieża Eugeniusza IV, niemniej przez antypapę Felixa V, który chciał przyciągnąć ku sobie Oleśnickiego; lecz przyjął kapelusz dopiero od papieża Mikołaja V r. 1447.—† w Sandomierzu, r. 1455 d. 1 kwietnia, licząc lat 66; pochowany w Krakowie w kościele katedralnym.

R. 1440.—4) *Alexander książę mazowiecki.* Syn Ziemowita księcia mazowieckiego na Płocku, biskup trydencki, potem patriarcha akwilejski, administrator biskupstwa

w Chur, proboszcz kościoła Ś. Szczepana w Wiedniu od r. 1442. Kardynał presbiter, pod tytułem Ś. Wawrzyńca in Damaso, mianowany przez anty-papę Felixa V, r. 1440.— † r. 1444 d. 2 czerwca; pochowany w Wiedniu, w kościele Ś. Szczepana.

R. 1444.—5) *Wincenty Kot*, arcybiskup gnieźnieński, prymas. Mianowany przez anty-papę Felixa V r. 1444.— † r. 1448 w Uniejowie, pochowany w kościele katedralnym gnieźnieńskim.

R. 1493.—6) *Fryderyk Jagiellończyk*, królewicz polski, syn króla Kazimierza Jagiellończyka; biskup krakowski, arcybiskup gnieźnieński, prymas, kardynał diakon pod tytułem Ś. Łucyi; mianowany przez papieża Alexandra VI r. 1493.— † r. 1503 d. 14 marca, przeżywszy lat 35; pochowany w katedrze krakowskiej.

Wiek XVI.

R. 1561.—7) *Stanisław Hozysz*, biskup chełmiński, potem warmiński, legat papieża Piusa IV do cesarza Ferdynanda; legat papieżki i prezydujący na soborze trydentyńskim; wielki penitencyaryusz, doktor prawa i pisarz kilku kardynał presbiter pod tytułem śtj Sabiny, śgo Wawrzyńca in Perna, śgo Pankracego, śgo Klemensa i śtj Maryi z Transtevere; mianowany przez papieża Piusa IV r. 1561.— † w Caprarola niedaleko Rzymu r. 1579, d. 5 sierpnia, licząc lat 76 wieku; pochowany w Rzymie w kościele P. Maryi Transtevere.

R. 1583.—8) *Jerzy Radziwiłł*, biskup wileński, potem krakowski, kardynał presbiter, pod tytułem śgo Xysta; mianowany przez papieża Grzegorza XIII r. 1583 d. 13 grudnia.— † w Rzymie r. 1600 d. 21 stycznia, licząc lat 44; pochowany tamże w kościele XX. Jezuitów.

R. 1584.—9) *Andrzej Batory*, synowiec króla Stefana, biskup warmiński (otrzymał indygenat na sejmie r. 1588); kardynał diakon, pod tytułem śgo Adryana, potem śgo Anioła; mianowany przez papieża Grzegorza XIII r. 1584.— † r. 1599 d. 28 października, licząc r. 33 życia, zabity przez Wołochów w ucieczce po przegranej bitwie, gdy przy dzie-

dziczném księztwie siedmiogrodzkim utrzymać się usiłował.

Wiek XVII.

R. 1604.—10) *Bernard Maciejowski*, biskup łucki, następnie krakowski, potem arcybiskup gnieźnieński, prymas. Kardynał pod tytułem śgo Jana i śgo Pawła, mianowany przez papieża Klemensa VIII r. 1604.— † r. 1608 d. 19 stycznia, licząc lat 60 wieku; pochowany w kościele katedralnym krakowskim.

R. 1632.—11) *Jan Albert*, królewicz polski, syn Zygmunta III i Konstancyi arcyksiężniczki austryackiej; biskup krakowski. Mianowany kardynałem przez papieża Urbana VIII r. 1632.— † w Padwie r. 1634 d. 22 grudnia, mając lat 23.

R. 1646.—12) *Jan Kazimiierz* królewicz polski, syn Zygmunta III i Konstancyi austryackiej, następnie sam król polski. Naprzód Jezuita r. 1643, mianowany kardynałem przez papieża Innocentego X r. 1646, złożył wkrótce sam dobrowolnie kapelusze, i r. 1648 królem obrany został. Po złożeniu korony r. 1668, opat we Francyi śgo Germana in pratis i śgo Marcina z Nevers.— † we Francyi w Nevers r. 1672 d. 16 grudnia, licząc lat 63 wieku; pochowany w grobach królewskich katedry krakowskiej r. 1676.

R. 1686.—13) *Michał Stefan Radziejowski*, herbu Junosza, biskup warmiński, podkanclerzy koronny, arcybiskup gnieźnieński, prymas. Kardynał presbiter, mianowany od papieża Innocentego XI r. 1686.— † w Gdańsku 1705 r. d. 13 października, licząc lat 60 wieku; pochowany w Warszawie, w kościele śgo Krzyża.

R. 1686.—14) *Jan Kazimiierz Denhoff*, kommandor szpitala Śgo Ducha w Rzymie, biskup Karpentras i Cezeny; kardynał presbiter, mianowany przez papieża Innocentego XI r. 1686. d. 2 września.— † w Rzymie r. 1697 d. 20 czerweca, licząc lat 48 wieku; pochowany tamże w kościele śgo Karola.

Wiek XVIII.

R. 1737.—15) *Jan Alexander Lipski*, biskup łucki, potem krakowski, podkanclerzy kor., kardynał presbiter, mianowany przez Klemensa XII r. 1737 d. 20 grudnia.— † w Kielcach r. 1746 d. 19 lutego, licząc lat 52 wieku; pochowany w katedrze krakowskiej.

Do powyższego wykazu przydać należy, iż jeden z arcybiskupów polskich o mało że nie został papieżem. R. 1417 na soborze konstancyjskim do obrania papieża, złożone było conclave z kardynałów i deputowanych prałatów z różnych katolickich narodów. W tych gronie znajdował się *Mikołaj Trąba*, przedtém arcybiskup halicki, nateraz gnieźnieński i prymas królestwa polskiego. Otrzymał on sam przy głosowaniu wiele krósek, lecz gdy od wybrania siebie na papieża odstąpił, obrany nim został kardynał Otton Colonna, papież Marcin V. Opowiada to Długosz w te słowa: „Et licet *Nicolaus archiepiscopus gnesnensis* plures voces cardinalium et praelatorum, in electione hujusmodi sortitus fuisset, de omnibus tamen Othoni de Colonna cardinali diacono cessit. Qui ex hujusmodi cessione, vocibus contra alios singulos praevalens, in die S. Martini in papam, conformiter electus et publicatus est, et Martinus V appellatus.” (Wydanie lipskie 1711, fol. I. 384). Takoz w inném miejscu: „Cujus virtus in Concilio Constantiensi adeo vulgata erat, ut ad summum Pontificium a plerisque electoribus deposceretur” I, 467. Podobnie mówi o tém Jan Albertrandi w dziele: 26 lat panowania Władysława Jagiełły, Wrocław 1845, str. 221. *Atoli Mikołaj Trąba* arcybiskup, kardynałem nigdy nie był.— † r. 1422 d. 4 grudnia we wsi Lubicza; pochowany w kościele katedralnym gnieźnieńskim.

Ed. bar. *Rastawiecki*.

Krótką wiadomość o drukowanych przekładach całej Biblii na różne dyalekty słowiańskie.

1). W języku polskim Biblia ks. Jana Leopoldy (Lwowszczyka), wydana w Krakowie r. 1561, 1574 i 1577. Drugi

przekład katolicki jest ks. Wujka w Krakowie 1599, w formacie arkuszowym, kilka razy później przedrukowany, a mianowicie: w Wrocławiu 1740 w 8ce, 1771 w 4ce, 1806 w 4ce, w Warszawie 1821, we Lwowie 1840, w Lipsku roku 1846.

Inny jest przekład dla Socynianów przez Jana Łaskiego i pomocników jego, wydany w Brześciu Litewskim 1563 r. fol., kosztem księcia Radziwiłła, i dlatego zwany biblią Radziwiłłowską; inny dla tegoż wyznania przez Budnego, roku 1570 w Nieświeżu, i bez miejsca druku w roku 1572. Inny jest przekład i wydanie biblii dla Ewangelików r. 1632 w Gdańsku, powtórzone w Amsterdamie r. 1660, w Halli magdeburskiej 1726 r., w Królewcu 1738, 1779, 1823 r., w Brzegu Ślązkim 1768 r.; w Berlinie 1810 r.; w Wrocławiu 1836 i w Lipsku 1840 roku.

2). Pierwsza całkowita biblia w języku starym słowiańskim czyli cerkiewnym t. j. kościelnym, dla wyznawców kościoła wschodniego, wydana w Ostrogu kosztem księcia Ostrońskiego, i dlatego Ostrońską zwana, 1581 fol. W drugiej połowie wieku zeszłego i z początku bieżącego wielokrotnie drukowana, a mianowicie podług nowój recenzji w Moskwie 12 razy, począwszy od 1751 r. (1), w Kijowie 1758, 1779 i 1788 r.; w Budzie węgierskiej 1804 roku; w Petersburgu kosztem Biblijnego towarzystwa od 1816 do 1821 r., 13 razy. Jest także wydana w Supraślu (pod Białymstokiem) 1743 r. i w Poczajowie (na Wołyniu) 1796 r.

3). Na ruski język, inaczój wielkorosyjski, przełożony jest tylko nowy testament, i drukowany z tekstem słowiańskim kosztem Biblijnego towarzystwa w Petersburgu po kilka razy. Wydanie 5te 1822 w 8ce i ostatecznia w Lipsku sam text ruski. Jest także psalterz ruski w Petersburgu 1822 roku w 8ce.

4). Na małorysyjski dyalekt jeszcze w r. 1551—1561 przełożył 4 ewangelie Michał Wasilowicz arcykapłan sanocki.

(1). Wydania moskiewskie są z lat: 1603, 1751, 1757, 1762, 1766, 1778, 1784, 1790, 1797, 1802, 1806, 1810. Są także biblii z roku 1756, 1759, ale podobno drukowane w Petersburgu.

Nie wiadomo czy drukowane. Całej biblii niemasz.

5). Biblią Skoryny wydaną w Pradze czeskiej 1517—1519 roku, liczy Szafarzyk do dyalektu białoruskiego. Niektórych jej ksiąg podobno nie dostaje.

6). W bułgarskim dyalekcie całej biblii niemasz. Nowy testament drukowany był w Londynie 1828 roku i w Smyrnie 1840 r., lecz obadwa wydania zakazane.

7). W serbskim dyalekcie dla wyznawców kościoła Wschodniego całej biblii niemasz. Czytają Serbowie i inni Słowianie południowi tego wyznania Biblią staro-słowiańską, tak jak Rosyianie i Rusini. Nowy tylko testament drukowany był w Petersburgu. Lecz w tymże samym języku, illiryskim w zachodniej części katolickiej zwanym, przełożona biblia dla katolików przez ks. Kałandzycza i drukowana łacińskimi głoskami i z textem łacińskim wulgaty, w Budzie 1831 roku. Dotąd mieli katolicy illiryjscy tylko ewangelie i lekcyę na niedziele i święta, których najdawniejsze wydanie w Wenecyi 1495 roku głoskami gotyckimi, znajduje się w bibliotece profesora Kucharskiego w Warszawie. Jedyńy exemplarz teraz znany.

8). Na kroacki dyalekt przełożony jest nowy testament dla Ewangelików przez Antoniego Dalmatę i Stefana Konsula, i drukowany przez prymusa Trubera, w Tybindze r. 1562, literami glogolickimi, i 1563 r. literami cyrylicckimi, w 4ce. Ale wydania te zostały zakazane. Dla katolików przełożony także niebco później nowy testament, ale dotąd znajdują się w rękopiśmie w bibliotece biskupa zagrabskiego (Agram). Psalterz drukowany 1816 r., a ewangelie i lekcyę na niedziele i święta 1651 r. i nast.

9). W dyalekcie krainiskim, którym mówią w południowej części teraźniejszego królestwa illiryskiego w ces. Austr. gdzie miasto główne Lublana (Lajbach), mamy dwa przekłady biblii całej: ewangelicki Dalmatyna, drukowany w Wittenbergu 1584 r. fol. i katolicki przez różnych, w Lublanie 1791—1800 r., tomów 9 w 8ce.

10). W styryjsko-słowiańskim dyalekcie, jakim mówią w Styryi południowej, jest tylko nowy testament dla Ewan-

gelików, przełożony przez Kuznicza w Halli, 1771 roku, i w Presburgu 1818 r. 8ka.

11). Cała biblia czeska wyszła po raz pierwszy w Pradze już w 1488 r. podług wulgaty. Następnie drukowana biblia dla Utrakwistów na Horach Kutnach (Kuttenbergu) 1489 r., w Wenecyi 1506 r., w Pradze 1529 r. i 1537, w Norymberdze 1540 r. Biblia Melantrycha w Pradze 1549, 1556 (1561) 1570 i 1577 r. Biblia kralicka braci czeskich w Kralicach (w Morawii) od 1579 do 1593 r.; tudzież 1596 i 1613 r. biblia Berneńska (Brünn) 1611 r. Adama z Welesławina w Pradze 1613 r. Dla katolików Swato-Wacławska w Pradze od 1677 do 1715 i od 1769 do 1771 r., tudzież od 1778 do 1780 i r. 1804. Dla Ewangelików w Halli magdeburskiej 1722, 1745 i 1766., w Presburgu 1787 i 1808 r., w Berlinie 1807 i 1813 r. w 8ce.

12). W słowackim albo raczój w słowiańskim dyalekcie jakim mówią Słowacy w Węgrzech północnych, wyszła biblia dla katolików, przekładu Bernolaka, dopiero 1829 roku; Ewangelicy trzymają się biblii czeskiej.

13. W dyalekcie serbskim górno-łużyckim w królestwie saskiem, około Budyszyna (Bautzen), wydana biblia cała dla Ewangelików w Budyszynie 5 razy, t. j. 1728, 1742, 1797, 1821, i 1823 r. Ks. Swietlika przekład dla katolików, pozostaje dotąd w rękopiśmie w bibliotece biskupa budyzynskiego.

14). W serbskim dolno-łużyckim dyalekcie około Chocibusu (Kottbus) do pruskiego państwa należącego, wydana cała biblia dla Ewangelików przez towarzystwo biblijne w Berlinie, 1824 r. Dotąd mieli ciż Serbowie nowy i stary testament osobno drukowane.

Z tego się pokazuje, że cała biblia przełożona jest na 9 dyalektów słowiańskich: polski, starosłowiański, białoruski, illiryjski, krański, czeski, słowacki, górno i dolno-łużycki.

Chronologicznie tak idą pierwsze wydania po sobie: 1488 r. czeska; 1517 r. białoruska Skoryny; 1561 r. polska Leopolicy; 1563 r. polska Brzeska; 1570 r. polska Budnego; 1579 r. czeska Kralicka; 1581 r. starosłowiańska

ostrogaska; 1584 r. krańska Dalmatyna; 1599 r. polska Wujka; 1632 r. polska Ewangelicka; 1728 r. górnołużycka; 1791 r. krańska katolicka; 1824 r. dolnołużycka; 1829 r. słowacka; 1831 r. illiryjska Katanczyca.

Wszystkich wydań całej biblii: starostwianńskich 34, czeskich 27, polskich 23, górnołużyckich 5, krańskich 2, białoruskie 1, illiryjskie 1, dolnołużyckie 1, słowackie 1.

Andrzej Kucharski.

Kilka słów do Wspomnień koncertowych p. Sikorskiego z dnia 3 maja 1849 r. w Bibl. Warsz. str. 383.

Nie weźmie nikt tego za złe, że nawykła więcej do smyczka niż do pióra ręka, skréśli tu słów parę na poparcie prawdy, którą zbyt arbitralne pióro w dość niejasnych kolorach wystawić potrafiło.

Matematycznie chyba, bo nie logicznie wymierzył szanowny krytyk odległość przejścia do punktu, ku któremu za ledwie pół drogi zaliczyć mi zechciał. Nie wiem także czy przez zbytnią skwapliwość i miłość dla rodaka, pragnie p. S., by tenże stał się kiedyś olbrzymem na skrzypcach, lub też może w obawie, by nie podupadł przedwcześnie na siłach, nie będąc stanowczo przekonany, że osiągnął już wysoki szczebel doskonałości. Może być p. S. upewnionym, że pomimo tej małej zachęty i skrupulatnej ujm, godnie odpowiem jego życzeniom, nie poprzestając hynajmniej popędzać mych pegazów ku coraz wyższej doskonałości, nawet w razie takim, gdyby mię do piérwszej klasy był policzył. Mówiąc o mechanizmie obu rąk, gdzie szanowny krytyk wymaga go daleko więcej, nie mogę mimo najsurowszego examinu i stokrotnego przejrzenia się w zwierciadle sumienia jak tylko wbrew zaprzeczyć; naprzód, że w odwracaniu smyczka, jak się p. S. wyraża, zachodzi ta jedyna tylko przyczyna wady, iż pociągam go wtedy do góry, kiedyby p. S.

żądał go widzieć idącym na dół; ze samego wszakże tematu i drugiej waryacji w fantazy Alard'a, gdzie jednowiązane nuty całą długością smyczka *tirez* pociągane, lub też po trzy na cały smyczek *spiccato* w tempie dość żywém podwójnemi tony odcinane, można było dostatecznie utworzyć sobie wcale inne przekonanie, dalekie od zarzutu, jaki mi p. S. uczynił. Przypuszczam jeszcze, że podobny rodzaj pierwszy raz słyszał p. S.; nie mógł wszakże zaprzeczyć dobremu smyczkowaniu w nadzwyczaj trudnych passażach mego *Caprice Poétique*, o którym nie raczył w swym opisie nawet wzmianki zrobić. Lewej ręce można było tyle zarzucić, że nie potrafiła swobodnie wywiązać się *à la Paganini*, wstawieniem tonów czystych tam, gdzie na przestroj idące struny, cokolwiek je niżej wydawały, odstroiwszy się przy końcu jednej sztuki. Dla téj jedynéj przyczyny, nie zechce p. S. obstawać, jakoby to miało być winą fałszywéj intonacji: bo tém upoważnilby mię do zarzucenia mu nawzajem fałszywości jego ucha, lub też szczupłój bardzo znajomości organizacji skrzypiec. Dobre bowiem ucho żadną miarą nie mogło temu zaprzeczyć, że oprócz tego małego zboczenia, którego jeszcze nie mnie należy winę przypisywać, wszystkie moje wykonania nie zostawiły po sobie żadnego dźwięku fałszu. Nie moja zatem wina, że mało aprobowana praktyka p. S. nie zdołała odróżnić biegu palców, od fizycznych własności strun. Pod względem ducha wykonania, niestety! nie zdołałem wzbudzić śpiącój sympatii p. S. dla duszy méj gry. Pojmuję ja, jakich wrażeń potrzeba p. S. dla napojenia jego żądz wybrédnych; oto coś w podobnym rodzaju, aby palce nieustannie sprawiały drżenie częstém pociąganiem, i tym febrycznym trylem wydawały nieudolne jęki, nakształt śpiewów hebrajskich, których niepewna i bojaźliwa melodia z początku drażni ucho słuchacza, lecz wkrótce znudzić go tylko potrafi. Pójdźmy lepiej do p. Frankenstein'a, on w tym rodzaju wysoko wygórował, a p. Chojnacki przewyższył go jeszcze. U nicta trzeba nam czerpać te nadobne powaby, słodsze nad karmelki; te parodye nieznaných uczuć, co tak ohydnie mijają się z tkliwą,

acz niesystematyczną grą Ernsta. Tu nie objawił p. Sikorski samoistności pojęcia w odróżnianiu dobrego stylu, i mocnych odcieni od łechcących tylko jęków niepewności. Założyłbym się, że u p. S. znalazłaby pierwszeństwo gra Haumana nad grą Vieuxtem'a, choć w istocie tamten sam przyznaje, że mu daleko do tego wielkiego mistrza.

Ostatni tylko numer mego koncertu podobno nieco zdołał ożywić p. S., ale tylko na chwilę; gdyż według jego matematycznych obliczeń, znalazł Cygana zbyt dla siebie mistycznym, aby mógł dostatecznie zrozumieć i pojąć właściwy mu charakter i barwę: czyby to był rodzaj górala z okolic Karpat? czy z okolic Pyreneów? lub wreszcie, czyby to zaiste miało być dziecko jednego z plemion azyatyckich? Czemż p. S. nie poprzestał na jednym, zowiąc ten epizod nomadą, lub najadą, albo też biesiadą; wszak oszczędziłby sobie był czasu na niepotrzebne wyszukiwanie ubioru dla tego biednego tułacza. Zarzut, jakoby rysy Cygana były zbyt niepewne czyli nieliczne, mimo woli wprowadza mię w powątpiewanie, czy p. S. zna cokolwiek erudycyi kompozycyjnej, lub czy też na samęj tylko polemice wszystko opiera; bo np. mogą być mniej liczne odcienia, jak czteromiarowy szkic naszego Kujawiaka, z którego wszakże łatwo jest ująć i odgadnąć właściwy typ Kujawiaka zpod Radziejowa, a Kujawiaka zpod Inowrocławia? Tém łatwiej jeszcze jest odróżnić narodowość jaką, gdy jej odcienia są naturalnej wielkości, i w kilku przedstawiają się obrazach. W Cyganie starałem się tego dopełnić, malując niejako dramat życia jego: oddałem w nim tęsknotę, wesołość, smutek, zabawę; w jakąż jeszcze szatę miałem go przyodzierać? Jeżeli więc niestety! nie zdołało to trafić do przekonania p. S., to winuję go w tym względzie jedynie za to, że lenił się zbliżyć nieco ku sferze poetyckiego życia, aby hojniej zaczerpnąć bogatych imaginacyi owoców... Czyż mi nie przyzna p. S. że niezawsze i niewszystko winniśmy sądzić podług fantazyi jakowegoś materializmu? Wszak niekiedy znajdujemy nieodzowną potrzebę oddania się też fan-

tazyi duszy naszej! Dlatego prawie niepodobna wszystkiego zarówno stosować do jednej formy, jak niepodobna jest mierzyć tego kwartą, co się mierzy łokciem.

Coby też p. S. na to powiedział, że kiedy Bethowen napisał swoje arcydzieło, Symfonią Pastoralną, z której zaledwo kilka taktów potrzeba nam usłyszeć, a już naprzód zdolamy odgadnąć przedmiot przezeń obrany, a cóż dopiero gdy go poczyna rozwijać, malować każdą jego drobnostkę: owę różność zwierzątek, którym nadaje życie, to ptastwo śpiewające, ten szmer natury, lub ów nawałniczy przestrach: czy to wszystko nie przedstawia nam harmonii żywego obrazu jakiegoś wiejskiego życia? A jednak (powtarzam) co ona to powie p. S. że znalazł się tak surowy, albo raczej tyle ograniczony krytyk, który śmiał bez zarumienienia radzić Bethowenowi, aby przestał rościć sobie pretensją do kompozycyi, a raczej, by oddał się zupełnie grze fortepianowej. Nie sądzę, żeby kto mógł mniemać, iż ja tu robię jakieś przystosowanie; bynajmniej nie w tym celu przytoczyłem przykład tego dziwnego kontrastu; raczej mniemałem go być potrzebnym dla tych, którzy czują w sobie popęd stania się kiedyś czémsiś, i którzy potrafią oraz być względem siebie samych surowemi sędziami, aby mało zważali na opinie i krytyki obce, po większej części stronnicze, a zawsze od swego sądu nieskończenie różne.

Nadmienię też kilka słów o artystach, dających jednocześnie koncerta w Warszawie, o których p. S. za jednym zamachem także coś powiedział. P. Koman występujący z dwoma solami fortepianowemi na koncercie moim, według p. S. równie tą razą miał być nieszczęśliwym, jak w r. 1846 na koncercie pani Franchetti; według mego zaś zdania, jeżeli przeszłą razą sprawił tyle przyjemności ile tą razą, to prawdziwie jest mu czego powinszować. Jego wysoką zaletą są: owa rzadka równość w grze, jaką posiada, i te perełki tonów na sposób Herza lub Wolfa, z nadspodziewaną łatwością wybierane, które czynią mu prawdziwie wielką zasługę.

Nie wątpimy, że przy dobrych wzorach i niejakićj jeszcze pracy, niezadługo stanie się znakomitym artystą.

Grę p. Gnadendorfa, osiadłego między nami fortepianisty, dzielną nazwać można (powtarzam to za p. S.), bo na to starczą: wysoki w niektórych rodzajach trudności mechanizm i ciągła energia. Ale też zbyt ciągła energia jednostonnością nuży nakoniec, delikatności pragnienie budzi, a pewność zyskana pracą, mechanizm wyprężonym czyni i ciężkością go znamionuje. Tu zgadzam się zupełnie z p. S. że rodzaj gry p. G. najlepiej przypada utworom dawniejszych niemieckich autorów: Humla, Webera i Bethowena nawet, gdyż więcej potrzeba do dokładnego ich oddania posiadać dobrego stylu i smaku, niżeli czczych błyskotek i przesadzonych efektów.

Co zaś do gry p. Frankensteina, w wielu względach nie pogodzimy się z p. S. w zdaniach naszych. Prawej jego ręce brakuje powności, siły i elegancyi, czego przy dobrych tylko wzorach nabyć można; lekkie zaś stakatta, jakie drganiem ręki dosyć wprawnie robi, panu S. czynią wiele efektu; lecz dalekie one są od jędrnych stakattów samowładnie i czuciem ręki wybijanych, mogących w każdym razie być zwolnionemi lub pospieszonymi; jedném słowem, powolnemi fantazyi skrzypka. Te ostatnie można tylko przy wielkićj pracy nabyć; tamte zaś, pićrwszy lepszy uczeń obficie jest w stanie posiadać. Nie wiem co p. S. nazywa pojęciem? nie wiem również o jakićm czuciu mówi? nie wiem nakoniec czćm jest u niego mechanizm, że tak tćm wszystkićm (nie bez jakićjsz jeszcze opozycyi) udekorował p. F. stawiając go (na tćj zasadzie) w swoim rzędzie. Ale niech i tak będzie. Pozwoli mi tylko p. S. zrobić tu wzmiankę o drugim podobnym talencie, o którym, dziwi mię bardzo, że będąc zwolennikiem dobrej szkoły, a przytćm tak skrupulatnym znawcą, nie zechciał nawet cośkolwiek nadmienić, wspomnieć; czybyto dla tćj przyczyny, że o koncertach nie o artystach chce jedynie mówić? czy też dlatego, że nie chce konfundować salonu Skwarcowa ze skromną izbą domu Boka. A wszakże tam znajduje się ta-

lent, talent niezaprzeczenie równy w exekucyi, czuciu, i pojęciu talentowi p. F.; tém chyba tylko różniący się od ostatniego, że jest twórczym. Wszak nie będąc nim, zdaje się być prawie niepodobnym dostatecznie pojmować inne utwory. a zatém stawiając w zamian twórczości nieco wyższy mechanizm, możemy śmiało wyrzec: że p. Frankenstein i p. Chojnacki są dwaj bracia rodzeni na skrzypcach, i że obydwa przy swój wielkiej pracy, zajdą kiedyś daleko.

Nie pozostaje mi zatém, jak tylko życzyć p. Sikorskiemu wytrwałości na stanowisku opozycyi i krytyki, jakie sobie obrał, w czém wysoko się już posunął; ale może zająć daleko wyżej, zadając sobie więcej pracy w czytaniu dobrych partytur i dzieł klassycznych, jako téż słuchaniem z rozważą i bez uprzedzenia dobrych mistrzów muzyki. Radzę mało zdawać się na sąd współzawodniczy, a raczej kombinować i badać głęboko każdą rzecz z logiką i sumieniem, a natenczas każde jego zdanie, każde nawet słowo, stanie się gruntowném i trwałém jak opoka.

K. Łada.

Wiadomości literackie i artystyczne.

Jana hr. Potockiego podróż do Turcyi i Egiptu. Pod tym tytułem wyszła w Krakowie książeczka, zawierająca listy tego znakomitego w naukach męża, pisane z różnych miejsc na przestrzeni od stepów Oczakowa do piramid egipskich. Styl tych listów nadzwyczaj uroczy i malowniczy, istna panorama pokazująca brzegi morza Czarnego, Bosforu, morza Egipskiego, wyspy Archipelagu i Nilowe wybrzeża. W jednym Konstantynopolu zatrzymuje się podróżny nasz cokolwiek dłużej, a i ten pobyt urozmaicić umie powtórzeniem kilku wschodnich powiastek, słyszanych w kawiarniach od wędrownych bazarzy, którzy rzeczywiście tam zstępują nasze czytelnie. Żeby dać wyobrażenie jak wdzię-

czny jego pędzel, jaka plastyczność w oddaniu każdego przedmiotu, przytaczamy list o piramidach, z Kairu 1784 r.

„Najpierwszy raz postrzegłem piramidy, kiedy płynąc z Rozetty do Kairu, stanąłem u brzegu Deltę. O dziesięć mil byłem od nich odległy, gdy mi się zdawały jak góry, których białość oznaczała wielką bardzo wyniosłość. Straciłem je z oczu przybliżając się do Kairu, i nie odkryłem je jak przy Gizach. Odległość wsi tej od piramid jest o trzy mile, a zdaje się, że niemasz więcej jak sześćset kroków. Doskonale rozeznawać mogłem różne ich spojenia aż do rozdziałów nawet kamieni, które zdawały mi się naówczas wielkości naszych cegieł, i oczy moje mierząc wysokość tych gmachów na tej fałszywej skali, nie w nich nie znajdowały dziwnego. Toż samo zdarzyło mi się u świętego Piotra w Rzymie, i zdarzyć się koniecznie powinno na widok każdej budowy, kiedy doskonała proporcya części onęj, nie zostawia obiektu porównania, podług którego możnaby sądzić o wielkości gmachu całego. Żeby więc poznać wielkość piramid, trzeba przystąpić aż do ich podstawki czyli basis; natenczas szczyt ich znika powoli i nie widać jak tylko stosy niezmiernych kamieni, o których z początku tak się źle sądzi. Natenczas jeżeli chcemy objaśnić rachubą niemylnie już zmysłów świadectwo, znajdziemy, że liczba tych kłoców wynosi trzykroć trzydzieści trzy tysiące, trzysta sześćdziesiąt i siedm, które składają masę z sześćdziesięciu tysięcy sześćset stóp kubicznych. Natenczas choćby się człowiek najbardziej oddalał, umysł uderzony tą liczbą samęj niezmierności, wystawuje sobie obraz i zachowuje go na zawsze. Arabowie wiedząc, że przejeżdżający radzi są pisać imiona swoje na wnijsciu do piramidy, przynieśli mi kolec, którym ja wyryłem ten wiersz z poematu ogrodów.

„Gmachy te niewzruszone sam czas zmordowały”.

„Jakimże budowlom bardziej jest ten napis właściwy? Trzydzieści wieków zaledwie kilka ich ukruszyły kamieni; a trzęsienia ziemi ani jednego nie rozdzieliły spojenia. Kąt ich pochyłości też samą mocą ciężarną, którą się psują wszystkie ludzkie budowle, coraz ich bardziej utwierdza. Złączo-

ne uśiłowania całej Egiptu ludności, nie wystarczyłyby do zrównania ich z ziemią, która je dźwiga, i kto wie, jeśli sama natura z zazdrością patrząc, że dzieła sztuki w trwałości dziełom jej wyrównują, do zniszczenia ich miałyby dosyć sposobów? Takie wrażenie widok piramid sprawił we mnie. Znajdźcież może, że z nadto wielkiem mówię o nich uniesieniem, i łatwo się na to zgodzę; ale któraż jest dusza dość nieprzystępna uczuciom zadziwienia, któraby się od nich na widok ten wzbronić mogła, i kiedyż uniesieniu temu łatwiej darować można?"

Wszędzie tak autor rzuca tylko rysy przelotne i szkice, ale po mistrzowsku; bo uobecnia prawie miejsca i obrazy życia.

Podziękować należy panu Żegocie Paulemu, że literaturę podróży pomnożył wydaniem tych listów.

* Uczony Palacki w czasie pobytu w Bazylei miał odkryć rękopis Jana z Raguzy, pod tytułem: *Tractatus quomodo Bohemi reducti sunt ad unitatem Ecclesiae*. Rękopis ten oprócz dziejów od r. 1431 do 1433, obejmuje wiele listów: Rokiczana Łysego, Prokopa, Macieja Laudy z Cblumczan, i innych współczesnych.

* Czytelnicy Biblioteki Warszawskiej obznajmieni z postępem literatury w Europie, chętnie zapewne przyjmą następne wiadomości o ruchu piśmiennictwa u nowożytnych Greków, którzy starożytną sławę naddziadów swoich i w tém przypomnieć sobie teraz starają się. Oto co pod tym względem w jednym z dzienników zagranicznych wyczytaliśmy:

Zastanawiając się nad ruchem piśmiennictwa w teraźniejszej Grecyi, śmiało powiedzieć można, iż tam nietyle belletrystyka, ale więcej ściśle naukowe dzieła popłacają; już bowiem w latach 1842 — 1846 najbardziej ceniono znakomite a naukowe w swój literaturze dzieła. Widzimy także postęp w dziełach, do nauki obcych języków wydawanych. I tak: *Samur Kassis* ogłosił grammatykę francuzką *Στοιχεῖα γαλλικῆς γραμματικῆς*. *Antoniadis* tłumaczył archeologią starogrecką z angielskiego, Irwinga; zaś *Kumasa*

Ethykę wydała jego córka *Helena Katakosini*. *Chryssorwegisa* grammatyka starogrecka wyszła w drugiem wydaniu. *Landerer* napisał botanikę; *Joanis Minotos* skreślił krótki rys literatury francuzkiéj; *Wafus* wydał arytmetykę, algebrę i geometryę. Znany już w lexykografii ze swego w roku 1835 ogłoszonego słownika nowogreckiego *Λεξικόν τῆς καθ' ἑμᾶς ἑλληνικῆς διαλεκτοῦ* *Skarlatos Wyzantios*, który później większą sobie zjednał sławę słownikiem starogreckim (1839), napisał i wydał obecnie *Λεξικόν ἑλληνικόν και γαλλικόν*. Szanowny ten pisarz znając dokładnie język starożytny grecki, stara się ile możności o utrzymanie czystości w dyalekcie dzisiejszym, i chroni się wyrazów obcych brzmień i źródeł, nie wstrzymując wszakże rozwijania się języka na zasadzie czysto greckiej. Dalej professor przy uniwersytecie ateńskim *Konstantinos Asopios*, napisał dwa ważne dzieła, literatury starożytnej dotyczące się, które ze wszech miar na uwagę zasługują: to jest wstęp do *Pindara* *Εἰσαγωγή εἰς Πίνδαρον*, a następnie historją literatury greckiej *Ἱστορία τῶν ἑλληνικῶν γραμμάτων*; wszakże gdy oba te pisma w poszytach wychodzą i dotychczas nie są ukończone, nie można ostatecznie o nich wyrokować; znakomita atoli nauka autora i dotychczasowe prace rokują i dla pism wspomnianych najpiękniejsze nadzieje. Współtowarzysz *Asopiusa* przy uniwersytecie w Atenach, *Konstantinos Schinas*, napisał dzieje starożytne, których pierwszy tom wyszedł z druku pod tytułem: *Ἱστορία τῶν ἀρχαίων ἔθνῶν* w sześciu rozdziałach; przechodzi dzieje Assyrii, Medyi, Persyi, Egiptu i Libii. W tymże uniwersytecie professor teologii *Kontogonis* ogłosił ważne dzieło: *Patologią* a *Misais Apostolidis*, teologią moralną.

Przy takim wzroście literatury dziwić się nie można, iż synowie *Fidiaszów*, *Lisippów* i *Praxytelsów*, i teoryi sztuk pięknych odłogiem nie zostawiają. Pod tymto względem szczególnie odznacza się szkoła politechniczna w Atenach. Jakoż dyrektor tego pięknie urządzonego zakładu *Kautaneoglu* i nowo powołany professor architekttoniki *Pappadopulo* dowodzą tego w mowach drukiem ogłoszonych;

obie w jednym napisane są duchu i rozwodzą się nad sposobami, jakiemiby można przez architektonikę, plastykę i malarstwo kształcić uczucie piękności w swoim narodzie. Professor uniwersytetu *Kumanidis* w tymże samym przedmiocie przemawia w swój rozprawie „O obecnym kierunku sztuk pięknych w Grecyi Ποῦ σπεύδει ἡ τεχνη τῶν Ἑλλήνων τὴν σήμερον, do której dodane są w tłumaczeniu dwie rozprawy Winkelmana: „Rady dla zapatrujących się na sztuki piękne, i Uwagi nad wdziękiem sztuk pięknych.” I w wymowie nie zaniedbują Grecy zapatrywać się na świetne wzory swych ojców. Znakomity poeta *Panagistes Sutsos* w świetnym panegiryku okazał wiele wymowy, żywości uczucia i niepospolitej władzy nad swoim rodowitym językiem. Panegiryk ten wyszedł pod następnym tytułem: Π Σούτσου λόγος Παναηγυρικὸς τῶν ὑπὲρ πατριδος πεσοντων κατα τον Ἑλληνικόν ἀγῶνα. Ważne również pod względem geografii jest dzieło *Stamatakisu*, pod tytułem: Πίναξ χωρογραφικὸς τῆς Ἑλλάδος. Jestto statystyczny wykaz stanu obecnego wszystkich greckich miast, wsi, posad, wysp; ich ludności, odległości od Aten; wszystko to uporządkowane i oparte na źródłach i urzędowych dowodach. Z piśmiennictwa belletrycznego najwięcej na uwagę zasługuje Zbiór przysłów *Weniselosu*, które wyszły pod tytułem: Παροιμιαὶ δημοῶδεις a zawierają 1500 przypowieści i przysłowiów. Utrzymują jednak, że *Weniselos* mógłby był znając dawniejsze podobne zbiory, jak na przykład pod tytułem: Ἡ Σφινξ przez *Maniarisa* w roku 1832 w Tryeście wydany, daleko dokładniej celowi swemu odpowiedzieć. Podobnie odznaczające są poezye *Karaczuczasa*, pod tytułem: Ἐωθινὰ μελωδία, które mają być pełne uczucia i rzewności nad moralnym upadkiem Grecyi. W ogóle zatem literatura nowogrecka piękne na przeszłość rokuje nadzieje, aczkolwiek minionych wieków nikt już podobno pod tym względem Helladzie nie wróci.

F. Max. Sobieszczański.

WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

CHEMIA.

Niektóre postrzeżenia tyżące się kulowatości (1) (sferoidalności) ciał, doświadczeń z ogniem, niepalnością ciała ludzkiego i t. d. przez pana Boutigny. Przy końcu IIIgo wieku naszój rachuby, religia Zoroastra uległa znakomitym nadwerżeniom; w skutku czego magowie zwołani zostali na naradę, dla wynalezienia sposobu ożywienia chwiejacój się wiary swych współwyznawców. Mimo tego jednak, 80,000 odszczepieńców, pozostało uporczywie przy swém niedowiarstwie.

W roku 241 Sapor rozkazał magom, ażeby niczego nie zaniedbali dla przywrócenia odszczepieńców do wiary swych przodków. Wtedyto jeden z naczelników wiary pa-

(1) Kula—sfera, kulina—sferoida, jak wół—wołowina, zwierż—zwierzyna. Jak wołowina—rzyna—oznaczają coś nakształt wółu; tak kulina oznacza bryłę nakształt kuli, lub mającą podobieństwo do kuli; stowem, znaczy taką postać, jaką ma bryła ziemiska. Ztąd do kuli; kulny albo kulowy, sfericus, należący do kuli, lub mający postać kuli, i kulisty, sferoidalis, mający podobieństwo do kuli. Ztąd także kulinowy, sferoidalis, czyli podobny do kuli. Dlatego bardzo do brze pospółstwo mówi, że ziemia jest kulista; nie znali zaś ducha języka polskiego ci, co Trigonometriam sfericam, trygonometrią kulistą a nie kulną lub kulową ochrzcili. Nauka ta bowiem nie ma podobieństwa do kuli, lecz jest własnością kuli, czyli należy do kuli, bo uczy o kuli.

J. B.

nującej, nazwiskiem *Adurabad Mabrasfand*, okazał gotowość do poniesienia próby ogniowej... „Zażądał on, aby na jego gołe ciało, wiano 18 funtów miedzi stopionej, a skoro nie oparzy się, niedowiarki uledez mają pod tak wielkim cudem. Mówią, że to doświadczenie ogniowe tak się udało, że wszyscy zostali nowróceni”. W tém miejscu dodaje historyk przy pewnego rodzaju powątpiewaniu: „Widać ztąd, że i wyznanie Zoroastra także miało i swoje cuda i podania”.

To jednak doświadczenie ogniowe, nadzwyczajnie łatwo wykonywać się daje.

Wielu uczonych uważają Zoroastra jako jednego z największych prawodawców—moralistów starożytności; podług Voltair'a było szarlatan: ten jednak ostatni pisarz przywodzi zdarzenie, które tu przytoczyć muszę (*Dictionnaire philosophique*, tom XIV, str. 179):

„Naczelnik magów rozkazał przyprowadzić przed siebie dziecko (Zoroastra) i chciał je rozciąć na dwoje, ale w téjże chwili uschła mu ręka. *Rzuciono więc je w ogień, lecz ten zmienił się na kąpiel z wody rózanéj*”.

Jakkolwiek powyższy sceptyk uważa tę okoliczność za wzór bajek, przepraszamy jednak za ubliżenie jego pamięci, utrzymując, że jeżeli to nie jest prawdą, to przynajmniej jest rzeczą prawdopodobną i możliwą. Mówimy tu o ogniu niepalącym.

We Francyi, Włoszech i Anglii, zgoła wszędzie gdzie miałem sposobność mówić o ciałach kulowatych, czyniono mi to pytanie: czyby nie było jakiego związku między temi zjawiskami, a przedstawieniami ludzi chodzących bosymi nogami po roztopionym i rozżarzonym surowcu, zanurzającemi ręce w roztopionym ołowiu i t. p.? (1). Odpowiadałem na to:

(1). Doktor Montagne znany w uczonym świecie przez swe rozliczne prace botaniczne, przetłumaczył już przed czterdziestu latami pamiętnik profesora Sementini z Neapolu, o mniemanych zjawiskach niespalności. W tym pamiętniku znajduje się opis wielkiej liczby doświadczeń z ogniem, czynionych częstokroć w obecności doktora Montagne. (*Buletin des sciences médicales*, juillet 1809).

iż sędzę, że ściśle zachodzi związek między niemi. Nawzajem zaś zapytywałem się: czy czyn o którym mowa, był naocznie sprawdzany? Odpowiadano mi wtenczas, że nie.

Przyznaje, że te opowiadania i cudowne opisy doświadczeń ogniowych i ludzi niespalnych, które przez jednych podawane były za prawdziwe, a upornie zaprzeczane przez drugich, żywo pobudziły moją ciekawość i pragnienie sprawdzenia powyższych zjawisk.

Pisałem najsamprzód do mego przyjaciela doktora Roché, mieszkającego w okolicy, w której znajduje się dużo wielkich pieców, i leczącego część ludności tych okręgów, prosząc go o objaśnienia w tym względzie.

Wszystko co od niego mogłem się dowiedzieć, jest: „że pewien człowiek nazwiskiem Laforge, mający od 35 do 36 lat, dosyć otyły, chodzi zwyczajnym krokiem, bosy, *po gęsiach* wypuszczanych z pieca“; ale powyższy doktor, rzeczowego człowieka nie widział. To przeto nie było dostateczne do potwierdzenia mych wątpliwości.

W tém położeniu rzeczy zażądałem objaśnień od topiących metale w Paryżu; ale wysztydono mnie. Takto jest trudno sprawdzić nawet najprostsze doświadczenie!

Nieco później p. Alfons Michel, mieszkający w okolicy wielkich pieców, obiecał mi zająć się przytoczoną przezemnie okolicznością, a nawet sprawdzić ją w razie potrzeby; i w d. 26 marca r. b. zawiadomił mię w następnj treści:

„Powróciwszy do siebie, starałem się dowiedzieć od hutników, jakim sposobem zanurza się palec w stopiony rozpalony surowiec, ale mnie wysmiali; to jednak mię nie zraziło, i owszem, drugi raz w inném miejscu powtórzyłem moje zapytanie. Jeden z hutników objaśnił mię, że to jest rzeczą bardzo łatwą, i dla przekonania o tém, w chwili wypływania z pieca surowcu, włożył palec w strumień rozżarzony, a gdy i druga osoba powtórzyła toż doświadczenie bez uszkodzenia ciała, odważyłem się i ja na nie... Robię tutaj uwagę, że przy tém, żaden z nas palców nie wilgocił.”

„Pospieszam zawiadomić pana o téj okoliczności, która zdaje się popierać jego wyobrażenia o kulkach cieczy; po-

nieważ palce będąc zwykle mniej więcej wilgotnemi, ciecz z nich wracając do postaci kulowatěj (sferoidalnej), robi je chwilowo niespalnemi”.

Zgadzam się na wyobrażenie p. M.; pragnąc jednak kilkakrotnie przekonać się o czynie przezemnie dochodzonym, takie wykonałem doświadczenie:

Rozdzieliłem czyli przeciąłem ręką strumień surowcowy 5 do 6 centymetrów średnicy mający, wypływający z otworu: następnie zanurzyłem drugą rękę w tygiel napełniony roztopionym surowcem, na który spojrzeć było okropnie. Mimowolnie zadrżałem, ale i jedna i druga ręka nie doznały uszkodzenia. Teraz zaś to jedynie mnie zadziwia, że powyższe doświadczenia nie upowszechniły się.

Gdyby się mnie spytano, jakie przedsiębrać ostrożności, aby się uchronić od działania niszczącego rozpalonego ciała, odpowiedziałbym, że żadnych; nie bać się, robić doświadczenie z pewnością, zanurzać rękę szybko, ale nie z nadzwyczajną prędkością, w surowiec zupełnie roztopiony.

Inaczej postępując, gdyby wykonywano doświadczenie z obawą lub bardzo szybko, możnaby zniszczyć się odpychającą, znajdującą się w ciałach rozżarzonych, a przez to przywrócić zetknięcie z ręką, i wszystkie ztąd dalsze okropne następstwa.

Doświadczenie wtedy szczególniej się udaje, gdy skóra jest wilgotna: a przestrach na widok takiej masy ognia, zawsze prawie robi ją taką; skoro jednak jeszcze zachowamy pewne ostrożności, będziemy niezranionemi.

Następny sposób najlepiej mi się udawał. Pocierałem rękę mydłem, ażeby miały powierzchnią gładką; dalej w chwili robienia doświadczenia, zanurzałem je w roztwór zimny soli amoniackiej, nasyconej kwasem drugim siarkowym, albowi téż we wodę, zawierającą sól amoniacką, a w braku téż, można nawet i w zimną wodę.

W hutach szklanych, jak to słyzałem od p. Dumas, robią często takie doświadczenie: wlewają w wiadro wody szkło roztopione, i chociaż jest rozpalone, ugniatają je rękami.

W tém doświadczeniu na dwa okresy zważać potrzeba: w pierwszym massa szkła jest wśród wody odosobniona, w drugim pokryta jest warstwą zsiadłą przezroczystą, dozwalającą widzieć massę rozpaloną. Pierwszy okres trwa bardzo krótko, a podczas drugiego, można dopiero bez uszkodzenia ugniatać szkło roztopione.

Bez wątpienia przy powyższém doświadczeniu ręka nie styka się z metalem, a ztąd rozgrzewać się ona może jedynie przez promieniowanie, które tutaj jest ogromne. Skoro jednak to promieniowanie przez odbicie będzie zniszczone, co rzeczywiście tu następuje, uważa się za nie być; a więc doświadczający nie ma nic do zwalczenia.

Już oddawna okazałem, że woda w postaci kulowatej, posiada szczególną własność odbijania ciepłika promienistego, i że wtedy jej temperatura nie dochodzi punktu wrzenia; ztąd wynika, że palce lub ręka zwilgocone, nie mają temperatury $+ 100^{\circ}$ C., a doświadczenie nie trwa tak długo, ażeby wilgoć całkowicie ulotnić się mogła.

Innemi słowy tłumacząc rzecz, powiem, że wkładając rękę w metal roztopiony, odosabnia się ona, wilgoć ją pokrywająca przechodzi w postać kulowatą, odbija ciepłik promienisty, i nie ogrzewa się tyle, aby się mogła zagotować.

Powyższe doświadczenie wykonywałem często z ołowiem, spizami i t. p., a zawsze z jednakowém powodzeniem.

Wreszcie, nie wspominam więcej o paleniu się stoczka w ustach i wielu innych tego rodzaju doświadczeniach, bo to są rzeczy małe w porównaniu z wyżj przytoczonymi.

Przypominając teraz zaczęcie naszej rozprawy, dodajemy, że zapewne starożytni znali wiele rzeczy nam dziś niewiadomych. (Treść z rozprawy zamieszczonej w piśmie: *Annales de Chimie et de Physique, Septembre 1849*).

J. B...a.

HISTORIA NATURALNA.

Zoologia.

P. Oskar Schmidt z Jeny, ogłosił przez dziennik *Notizen v. Froriep* (nr. 177 b. r.) swoje nowe postrzeżenia o wymoczkach. „Poznanie wymoczków (mówi on) tak mało w ostatnich latach na drodze rzeczywistych postrzeżeń uczyniło postępu, a przeciwnie takie nastąpiło zachwianie się wiarygodności badań dawniejszych, że zdania o stanowisku tych zwierząt w układzie, o stosunku ich powinowactw z innymi gromadami, więcej teraz niż kiedykolwiek podzieliły się mogły. Dziś prawie powszechnie czujemy, że ich nie można odnieść do żadnego zwierzęcego zworza w Kiuwierze, lubo wahanie się może zachodzić tylko pomiędzy zwierzętami promienistemi, a pierściennicami. Niegdyś, zbliżony do Ehrenberga, zajmowałem się badaniami wymoczków; następnie udałem się do pierściennic; naostatek po ogłoszeniu moich badań na wyspie Färöe czynionych (1), powróciłem znowu do wymoczków, ażeby uzasadnić i dalej śledzić to co okolicznościowo ważnem się dla mnie stało, to jest zależność pomiędzy wymoczkami a Turbellaryami.

Okazawszy iż tak nazwane ciała kijowate powszechnie się znajdują w skórze okrywającej turbellarye, wielce byłem ciekawy dojsć, czy te same utwory są i u wymoczków. Śledziłem je najprzód u dużego gatunku *Bursaria leucas*, który w wielkiej liczbie w listopadzie i grudniu miałem. Przy bardzo jasnym oświeceniu zwykle nic nie widać; ale gdy światło się przytłumi, można dojrzeć na wielu doroslejszych indywiduach, że skóra ich gęsto jest nabita podłużnemi, z obudwu końców zaostrzonymi ciałkami, na 0,0003 cal. par. długimi. Nie jest to bynajmniej złudzenie, ponieważ za rozgnieceniem zwierzęcia, ciała w wielkiej liczbie odosobniają się od niego i dają się wymierzać. Znajdowałem niekiedy też ciała i u *Paramaecium caudatum*

(1) Porówn. Bibl. Warsz. 1840, tom II, str. 655.

i *Paramaecium aurelia*, gdy rozmaite gatunki wirzykowate nie podobnego nie przedstawiły. Właśnie téż te niewątpliwe przykłady stanowią punkt ztykania się dwóch powyższych grup zwierząt. Często się téż zdarzało że owa *Bursaria* albo *Paramaecium* naciśnięte, wydzieliły z siebie śluz ciągnący się nitkowato, którego źródłem zdawały się być kijkowate ciała. Jeśliby to sprawdziło się, przybyłby dowód utwierdzający zdanie Leuckarta, że ciała kijkowate są narzędziami do wydawania jadu.

Drugie, a jak mi się zdaje, ważniejsze odkrycie, również na *Bursaria leucas* uczynione, ściąga się do oznaczenia funkcji znajomych, przez Ehrenberga najprzód postrzeżonych pęcherzyków, o których dotąd tyle tylko wiadomém było, że się w mierzytelnych lub niemierzytelnych czasu odstępach ściągają. Sprawdziałem na stach exemplarzy u *Bursaria leucas*, że ściągający się pęcherz ma stałe ujcie na zewnątrz, że ściągając się ku temu ujściu, wydaje z siebie przezroczystą ciecz, i że się nią znowu od zewnątrz napełnia; słowem, że ten pęcherzyk z licznymi swojemi promieniami i naczyniowatemi przysadkami, jest narzędziem oddychania, takiém jak opisany przezemnie u turbellaryów układ naczyń wodnych. Nowy to jest dowód powinowactwa tych z tamtymi zwierząt. Potrzeba tu wprawdzie niemało jeszcze dochodzeń, spodziewam się jednak, że utorałem do nich drogę. U wielu wymoczków dlatego nie można dostrzedz zewnętrznego otworu w ściągającym się pęcherzyku, że ten w zagłębienie pyszczka wchodzi, jak to np. u niektórych Stentorów zdawało mi się prawdopodobném.

W końcu donosi autor, że i on widział to, co już przed nim postrzegał i opisał jego przyjaciel Eckhard (Arch. Wieg. 1846), to jest jak z ciała większych stentorów wychodziły kulistego i stożkowatego kształtu młode, jeżeli tylko ten rzadki wypadek nie jest podobny wydobywaniu się ze zwierzęcia pasorzytów, jak np. małych motylic. Nierównie bowiem częściej rozwija się *Stentor caeruleus* z drobnych zarodków wolno pływających wśród wody; i to tak

dalece, że od przezroczystej gąsienicy ledwie ukazującej błękitnawy odcień i długimi opatrzoną rzęsami, a u której się potem pyszczek i jego zakręt z rzęsami tworzy, wszystkie przejścia aż do zwierzęcia dorosłego śledzić się dają.

* Szybkość z jaką wymoczki przesuwają się przed okiem uważającego je przez mikroskop badacza, nie dozwala organizacyi ich należyte widzieć. Pouchet starał się téj niedogodności zapobiedz nakrywając przedmiotową tabliczkę płatkami najcieńszego batystu. W okach jego, na 0,10 do 0,12 milim. wielkich, z pomocą naciskacza (compressorium) dają się zatrzymać zwierzęta; w każdym oku zwykle po jednym tylko zostaje zwierzęciu. Mógł wtedy autor uważać przyjmowanie pożywienia, rozdzielanie się jego w rozmaite pęcherzyki żołądkowe, i naostatek odłączanie wyrzutów; widział przytém ścisnąć się pęcherzyków do krążenia przeznaczonych, i przerwy między działaniem ich oznaczyć.

Zebrana przez autora treść jego postrzeżeń, w następujący sposób opisana jest w n. 776 dziennika *L'Institut* z r. 1848.

1. Wymoczki pod nazwiskiem wielożołądkowych przez Ehrenberga opisane, mają większą lub mniejszą liczbę pęcherzyków żołądkowych.

2. Liczba i średnica tych pęcherzyków jednakowa jest u każdego gatunku, skoro zwierzę zupełnie wyrośnie.

3. U wirzyków (*Vorticella*) bywa 30 do 40 pęcherzyków żołądkowych, których średnica, gdy pożywieniem są wypełnione, 0,008 do 0,010 milim. wynosi. U ścieglików (*Kolpoda*) znajduje się zawsze 20 do 30 pęcherzyków żołądkowych, które, gdy są wypełnione, 0,010 milim. wynoszą.

4. Pęcherzyki żołądkowe nie spływają się zetknięte z sobą wzajemnie; ściany ich są raczej wyraźnie widoczne. Mniemany obrót tych żołądkowych pęcherzyków, był złudzeniem; nie oddalają się od naznaczonego sobie miejsca bardziej niżeli sprężystość ich ścian dozwala.

5. Pożywienia nie polykają na raz bryłami, raczej je zwolna przyjmują; widać jak pęcherzyki najprzód nieco go tylko przyjmują, potem całe się niemi wypełniają.

6. Ściskające się pęcherzyki zwierząt małych, są narzędziami krążenia, i zastępują serce zwierząt większych. Niepodobna je uznawać za przyrządy do oddychania albo rodzenia, jak to już nieraz się stało.

7. Te ściskające się albo sercowe pęcherzyki, zwyczajnie są pojedyncze; zawierają ciecz krwi odpowiednią, mają kolor żółty i są zupełnie przezroczystymi, przez co je łatwo rozeznawać można.

8. U wirzyków jest tylko jeden pęcherzyk sercowy, niezmierniej u nich wielkości dochodzący; u wirzyków średnicy 0,080 milim. sercowy pęcherzyk, całkowicie rozszerzony ma 0,020 milim. miary. Zdaje się że u tych zwierząt ma swoje osobne ściany, i że go od przodu żółtawo zafarbowany kanał zakończy. I u ściąglików jeden się tylko sercowy pęcherzyk znajduje; wszakże średnica jego u zwierzęcia wielkiego na 0,10 milim. tylko 0,015 milim. wynosi. U gatunków z rodzaju *Glaucoma*, również tylko 0,010 milim. dochodzi. U gatunków z rodz. *Dileptas* są dwa pęcherzyki sercowe, które się jeden po drugim ściskają; jeden leży w środku, drugi w części tylniej ciała.

9. U wirzyków pęcherzyk sercowy napęcznieje bardzo powoli, a wypróżnia się najprzód w długich przedziałach czasu, a potem nagle. Ściska się podług temperatury i czerstwości zwierzęcia, co 2 do 6 minut. U ściąglików i u gat. z rodz. *Glaucoma* ruch pęcherzyka odpowiada ruchowi serca, ściskania się szybko następują po sobie; jak tylko pęcherzyk się rozszerzy, napęcznieje się krwi cieczą. W temperaturze 20° ściśnienie się następuje co 7 do 10 sekund.

Powyzsze postrzeżenia czynione były na następujących zwierzętach: *Vorticella infusionum* Duj., *Kolpoda cucullus* Muld., *Glaucoma scintillans* Ehr. i *Dileptas folium* Duj. (*F. N. n.* 182).

* Dr. J. F. Weisse przyniósł do domu mnóstwo wymoczków gat. *Cryptomonas curvata*, a gdy one przez pół dnia na stole postaly, spostrzegł jak wszystkie zwierzątka poprzemnosily się w ocienioną część flaszki. Wylał wodę wraz z wymoczkami na talerz i tak go postawił, że w je

dnój tylko połowie oświetlany był przez słońce. Już po kilku godzinach ocieniona połowa talerza odznaczyła się brudno-zieloną obwódką, która w największej części składała się ze zwierząt pomienionego gatunku; wszystkie wymoczki na tę stronę przeszły; woda strony oświetlonej pozostała zupełnie czystą. Wtedy Weisse z ostrożnością talerz obrócił, i uzbrojony mocną lupą, czekał na poruszenia zwierząt. Z początku widział on tylko zakłócenie roju, który myriady składały, wkrótce jednak wszystko zaczęło się przelewać w ocienioną część talerza i wzdłuż brzegu wody zgęszczać; znowu utworzyła się znowu czarniawa obwódka, gdy strona przeciwna stała się jaśniejszą; we 3 lub 4 godziny cała masa zwierząt znajdowała się już na stronie ocienionej. W porannych godzinach rzeczona obwódka znikła, ale skoro dzień postąpił, znowu się tworzyła: zdało się, jakoby zwierzęta na noc po całym polu się rozpasały. Przez trzy dni autor przymuszał światła unikające zwierzęta do powtarzania wędrówek; nakoniec z podziwieniem jego zatrzymały się na stronie światła; zagadka wnet rozwiązana została: zwierzęta, jak okazał mikroskop, były częścią wycieńczone, częścią nieżywe. Autor uważał przytém poprzeczne dzielenie się u *Cryptomonas curvata*, gdy Ehrenberg naznacza podłużne; oddzierające się kawałki są nierówniej wielkości. (*F. N. n.* 196 z *Bulletin de la classe physico-mathém. de St. Petersbourg*, n. 164, tome VII, n. 20).

* W ostatnim zeszycie pisma *Revue zoologique par la Société Cuvierienne* z r. z., wydawca jego p. Guérin Méneville zawiadomia, że *Revue zoologique* po przeżyciu lat 11 w dotychczasowej formie swojej, łączy się odtąd z inném pismem tegoż wydawcy: *Magasin de zoologie*, a tém samém obudza wydawanie ostatniego, już od wielu lat zawieszone.

Tę zmianę z radością przyjmuje każdy kogo dwa pomienione pisma obchodziły. Magazyn zoologiczny był dziełem zbyt kosztowném, ażeby się mógł upowszechnić; korzyści jego w połączeniu z Przeglądem zoologicznym pozostaną te same, a pismo będzie w ręku każdego. Wydawca usku-

teżnia połączenie dwóch pism pod następującymi warunkami. Każdy numer będzie się składał z 5 ark. druku, co czyni prawie trzy razy tyle, ile dotąd miałwał numer Przeglądu; cena rocznego zbioru podwyższa się tylko o 2 franki (z 18 na 20). Jeśli wyniknie potrzeba wizerunków, tablica kolorowana zastąpi półtora arkusza, czarna arkusz druku.

W skutek tego zamierzenia, wyszedł na styczeń b. r. pierwszy numer pism połączonych pod tyt. *Revue et Magasin de zoologie pure et appliquée*. Przy sześciu numerach z r. b. które mamy przed sobą znajduje się 5 tablic czarnych, a 3 kolorowane przed sobą, znajduje się 5 tablic gazynie. Koloryzowane przedstawiają wizerunki nowych ptaków, i wykonane są równie dokładnie jak ozdoby. Na tytule tych kilku zeszytów, położone jest nazwisko p. Focillon, którego p. Guérin, udając się z polecenia rządowego na podróż naukową w okolice kraju od Paryża odległe, ogłasza zastępcą w redagowaniu pisma.

* Od r. 1845 do 1847, zjednoczenie naturalistów w Rydze (*Naturforschender Verein zu Riga*) wydawało w niemieckim języku pisemko (po jednym ark. in 8vo na miesiąc) dla porozumiewania się względem swoich działań na polu nauk przyrodzonych. W połowie drugiego roku wydawanie tego pisemka dla niedostatku funduszu ustać musiało. Od 1go stycznia r. b. pisemko znowu wychodzi w dawniejszej obszerności i z tytułem *Correspondenzblatt des naturforschenden Vereins zu Riga*. Treścią jego są małe wypracowania członków zjednoczenia w przedmiocie nauk przyrodzonych, ze szczególną uwagą na kraj w którym zjednoczenie działa. W nrze 3cim jest artykuł dra Sodofskiego rozróżniający gatunki rodz. jesiotra Kaspijskiego i Czarnego morza, z litografowaną tablicą wystawiającą cztery ryby: wyza, jesiotra, siewrugę i czeczugę czyli sterleta. Zjednoczenie Ryzkie jest towarzystwem naukowym, złożonem z członków czynnych, korespondentów i członków honorowych, odbywającem cztery do roku posiedzenia stałe w Rydze, a jedno lub dwa nadzwyczajne w Dorpacie albo Mitawie. Stanowi je pięć działów; jakoto: zoologiczny, botaniczny, mineralogiczny, fizyczny z astronomicznym, i chemiczny. Ma swój księgozbiór i t. p. słowem szybkiemi przybliża się kroki do możności działania tak użytecznie, jak inne naukowe różnych krajów towarzystwa.

A. W.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1849.

WARSZAWA.

56. Geometrya wykreślna, poprzedzona wstępem, obejmującą teorię linii prostej i płaszczyzny, uważanych w przestrzeni, przez Lefebure de Fourey.... podług wydania piątego, przełożył August F. Bernhardt M. T. Professor Gimnazjum Realnego..... Tom I i II, z dwiema tablicami figur. Warszawa. 8ka. 1849. Druk Tomaszewskiego. Str. 297.

57. Kodex rolnictwa i zarazem uwagi dotyczące ogrodów, sadów, lasów i plantacyj (,) przez John Sinclair, Baronet, założyciela Kommissji Rolniczej (;) z dodatkami, wyjętymi z tłumaczenia Dombasla Illgo wydania. Z angielskiego. Tom pierwszy z czterema tablicami, przedstawiającymi niektóre narzędzia rolnicze i plan folwarku, tudzież zabudowań gospodarskich. 8ka. Warszawa. 1849. Nakład redak. Roczników Gosp. Druk Strąbskiego. Str. 484.

58. Uwagi nad pytaniem (:) czy wielkie lub też małe własności ziemskie dla ogólnego dobra są pożyteczniejsze, przez J. G. Koppe królewsko-pruskiego radcę rolniczo-ekonomicznego. Berlin (,) 1847. 8ka. Warszawa. 1849. Nakładem redakcyi Roczników Gosp. Kraj. Druk Strąbskiego. Str. 83. Złp. 3 gr. 10.

WILNO.

59. Bracia Morawczycy, dramat we 3 aktach, ozdobiony śpiewem i tańcami, i Hrabia i Listy, komedia w jednym akcie. oryginalnie napisana przez Emila Derynga, A(rtystę) D(ramatycznego). Wilno, 12ka. 1849. Druk A. Dworca. Str. 142.

60. Gościńce dla dzieci, to jest prawdy i zdania moralne dla pożytku uczących się obojęj płci, wydane przez Ignacego Piotra Legatowicza. Wilno. 1849. 12ka. Nakład autora, druk J. Zawadzkiego. Str. 51.

61. List pasterski Wacława Żylińskiego z łaski Ś. Stolicy Apostolskiej Biskupa Wileńskiego, do duchowieństwa i wiernych Chrystusowych rzymsko-katolickiej Dyecezyi Wileńskiej. Wilno, 1849. 4ka. Druk A. Marcinowskiego. Str. 20.

62. Nabożeństwo odpustowe za dusze zmarłych i inne modlitewki. Wilno. 1849. w 32. Druk J. Zawadzkiego. Str. 29.

63. Przy kominku, przez Wincentego Kollupaję. Wilno. 12ka. 1849. Druk T. Glücksberga. Str. 96.

64. Wyciąg z grammatyki polskiej Art(ura) Odrowąza Kamińskiego. Wilno. 16ka. 1849. Drukiem J. Zawadzkiego. Str. 21.

L I P S K.

65. Śpiewy choralne kościoła rzymsko-katolickiego w bazylice katedralnej krakowskiej używane, a w harmonii na organy dla kościołów parafialnych przez Wincentego Gorączkiewicza Dyr. M. K. K. i org. K. K. ułożone. Część druga. 4ka. Kraków. (1849.) Nakładem D. E. Friedleina. Stereotypia Breitkopfa i Haertela w Lipsku. Napisów kart 2 i str. 50.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Drugie wydanie: „W Alpach i za Alpami”, przygotowuje księgarz Merzbach w 3 tomach, ozdobione rycinami. Tenże wydał dwa dziełka dla młodzieży, w nowym wydaniu: 1) Powieści starego nauczyciela, p. T. Dziekońskiego, i 2) Powieści dla dzieci przez autorkę Pam. po dobrej matce.

U S. Orgelbranda ukazały się następne nowe dzieła: 1) Artykuły literackie krytyczne, i artystyczne, p. M. Grabowskiego, w 12ce. 2) Mój dziennik, albo pamiętniki Ludwika Filipa b. króla Francuzów. 2 tomy w 12ce. 3) Rafael, czyli karty pisane w 12tym roku życia, przez A. de Lamartine. 4) Starożytniej Polski p. T. Lipińskiego i M. Balińskiego poszyt 32gi. Wydawca postanowił dodać do tego dzieła mapkę Polski, za osobną dopłatą złp. 6 gr. 20.

Nakładem J. Bernstejna wychodzić będzie, począwszy od 1go grudnia r. b. dzieło p. t.: „Życiorysy znakomitych ludzi wstawionych w różnych zawodach”, w 2 tomach, 8ka wielka, z 72 rycinami. Przedpłata wynosi złp. 60.

Cesarska Akademia sztuk pięknych w Petersburgu na ogólnym posiedzeniu w dniu 30 września, przyznała zwykłe nagrody uczniom tejże akademii. W liczbie innych otrzymali: medal srebrny 2ej klasy, Karol Wierzbicki, za obraz z natury malowany. Stopnie akademików, za postęp w sztukach pięknych, a mianowicie: w architekturze: Xawery Skarzyński; w malarstwie historycznym, Andrzej Zieliński; w malarstwie portretowym, Apollon Mokrzycki; zaś stopień artysty 14 kl., Tadeusz Gorecki, za postęp w malarstwie historycznym.

† Dnia 20 października r. b. w Warszawie: ks. Jakób Piasecki gwardyan klasztoru XX. Franciszkanów warsz. oraz prokurator

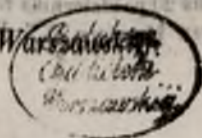
provincyi. Był on autorem kilku dziełek treści religijnej i zamieszczał w Pamięt. relig. mor. ważne opisy kościołów i klasztorów XX. Franciszkanów w Polsce. Żył lat 55.

† Dnia 5 listopada r. b. w Warszawie: Franciszek Zatorski, starszy nauczyciel gimnazjum siedleckiego.

Szopen umarł! — Wleść ta jak hasło smutku oblega dziś z ust do ust nasze miasto; znajomy czy obcy, każdy je powtarza; każdy współboleje nad stratą ukochanego plewcy, zgasłego tak wczesnie na obcej ziemi, wśród nie swolch. Szopen umarł! A więc stało się; gienlusz muzyki smutnie zwiesił skrzydła nad trumną swego ulubieńca, a w ślad za nim zapłakali i ludzie artyści, ujrzawszy swoje sieroctwo. O! bo też żaden mówca silnie nad niego nie wstrząsał umysłami słuchaczy, żaden lekarz skutecznie nie koił ran sercu zadanych, żadna ręka od śmierci Bethowena dzielnie nie dźwiała berła muzyki, a wszakże nikt łagodnie, nikt wdzięcznie nie władał. Komu troska zaległa serce, ten go szukał jak zbawcy; kto potrzebował pociechy, szedł do niego po balsam; wszystkie serca dziecinne i dziewicze lgnęły do niego jak do współkochanka; — i każdemu to źródło pociechy zawsze i chętnie się otwierało. Bo łzy, które zrazu wyciskał, zamieniały się w łzy szczęścia, a tęsknota, która się budziła ze dźwiękiem jego lutni, w ślad za sobą nosiła pocieszenie, tuląc do snu osierociłe serce. A teraz, kiedy ostatnia nit wążąca go do życia pękła, a struny jego arfy zamilkły na zawsze, czyliż znikąd dla nas pozostałych nie zejdzie pociecha? czyliżby ten cudowny zródł muzyki miał wyschnąć bezpowrotnie? — Nie! bo ulatując ku krainie do której za życia wdychał, jako promienny ślad po sobie, rzucił z wienca swego garść kwiatów na tę ziemię, sobie ku chwale, a nam ku osłodzie. Do nich więc, do nieśmiertelnych dzieł jego niech się zwróci, kto teraz ulgi w smutku pragnie; niechaj zasłędzie do forteplanu, niech otworzy księgę jego dumań, a za dźwiękiem instrumentu każda nuta odpowie mu: zaprawdę przyjacielu porzuć tę żalobę — Szopen nie umarł!

O. K.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej



	mm.	c.	°.
Średnia wysokość barometru miesięczna	750 965	27	8.900
Najwyżej dochodził — d. 22 o g. 10 w.	761.72	28	1.669
Najniżej — — d. 13 o g. 6 r.	738.12	27	3.205
Średnia zmiana dzienna barometru	2 966		1.31
Największa zmiana dzienna barometru d. 6—7 o g. 4 w.	10.15		4.49
Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 23 lat poprzedzających	0.183		0.082
Średnia temperatura Września wynosi: +12° 21 C.	750.782	27	8.818
i ta jest niższą o	1.66	"	1.42
od stanu normalnego z 23 lat poprzedzających	+ 13.87	"	+ 11.90
Największe ciepło dochodziło d. 12 o g. 4 w.	+ 25.0	"	+ 20.0
Najmniejsze d. 29 o g. 6 r.	— 1.5	"	— 1.2
(Termometromi wskazał: Maximum: + 22.° R. d. 12 po połud. Minimum: — 1.° R. d. 29 z rana.			
Średnia zmiana dzienna temperatury	3.06	"	2.45
Największa zmiana dzień. d. 27—28 o g. 6 r.	8.0	"	6.4

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 80,6 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 9,19 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest blisko o 2 setne większa, niż w stanie normalnym.

Wody z deszczu spadło wysoko na 41.0 millim. czyli 18.18 linii parzykch.

Dni pogodnych było 6; napół pogodnych 14; pochmurnych 10.

— deszczu 10 (d. 7, 12, 13, 14, 15, 17, 18, 19, 26, 27).

— mgły 4 (d. 1, 18, 20, 27).

— grzmotów i błyskawic 1 (d. 12).

Wiatry panujące były: Północne i Zachodnie.

Wichrów nie było.

Wrzesień zwykle bywa u nas pogodny, ciepły i suchy; w tym roku przeciwnie był chłodny, wilgotny i zmienny, o 1.31 stóp R. zimniejszy jak zwykle. Przy końcu miesiąca poranki były mroźne, co się u nas rzadko zdarza. Dnia 12 między godz. 8 a 10 wieczorem. były błyskawice powtarzane z grzmotem i deszczem jak wśród lata. Najcieplejsze dni były: d. 1, 2, 3, 4, 12, 13; najchłodniejsze d. 8, 9, 17, 19, 20, 21, 23, 24, a osobliwie d. 27, 28, 29, 30. Najwilgotniejsze d. 1, 13, 14, 15, a osobliwie d. 17, 19, 21, 26, 27; najsuchsze d. 8, 10, 11, 23. Liście na drzewach już w połowie miesiąca zaczęły żółknąć, a w końcu tegoż opadać; tak wczesne opadanie liści rzadko się u nas przytrafia.

D. 10 i 11 plamy na słońcu były widzialne.

D. 29 koło białe otaczało słońce.





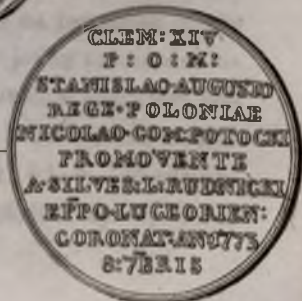




19.



21.



WIADOMOŚCI HISTORYCZNO-NUMIZMATYCZNE

O KORONACYCH

OBRAZÓW MATKI BOSKIEJ

W DAWNĘJ POLSCE.

PODARŁ

Tymoteusz Lipiński.

(Z 4 tablicami na miedzi).

Grzechem jest w własnym kraju być cudzoziemcem.

I.

Szczegóły obrzędów religijnych, dotyczące się koronacy cudownych obrazów, nader są ciekawe i zajmujące; malują one żarliwą pobożność ojców naszych, ducha czasu, a tém samém niemają mają związek z dziejami narodu. Dotąd nie zwrócono należytej uwagi na ten ustęp historyczny; nie zajęto się zebraniem w jedną całość dokładnego spisu miejsc: gdzie obraz cudami słynący był koronami uwieńczony? kiedy? przez kogo? czym nakładem? jakie towarzyszyły ceremonie? i t. p. Wydawano wprawdzie odrębne dzieła, czasem sporzej nawet

objętości, opisujące koronacją obrazu, z zamieszczeniem kazań, mów, panegirycznych wierszy, drobiazgowych szczegółów o bramach tryumfalnych, a nawet i o przezrocach z napisami, do herbów znakomitych rodzin zastosowanemi. Przy niektórych takich monografiach, dołączone są wizerunki Matki Boskiej i Zbawiciela, ryciny koron, przybrania kościoła, ogniów sztucznych, i t. p. Ale dzieła o tych obrzędach mówiące, noszą częstokroć tytuły, które bynajmniej nie naprowadzają na domysł, że w nich zawiera się opis jakowej koronacyi. Zachodzi przeto trudność przejrzenia wszystkich w téj mierze źródeł, ażeby uzupełnić przedmiot niniejszy, który zostaje w styczności nietylko z dziejami, ale i z numizmatyką. Mozolne czyniąc poszukiwania, nagromadziłem poniżej przytaczający się poczet koronacyj cudownych obrazów; nie jestem wszakże pewny, czylim wszystkie objąć zdołał. Jakkolwiekbydz, pochlubić się mogę, iż pierwszy wzruszyłem tę odlegiem dotąd leżącą niwę, która ważną jest częścią obrazu religijno-duchowej przeszłości naszej.

II.

Od epoki zaprowadzenia wiary chrześcijańskiej na ziemi Lechitów, przywiewywali przodkowie nasi szczególniejszą cześć i nabożeństwo do Matki Zbawiciela. Udowodnimy to faktami, postępując koleją czasów. I tak nasamprzód: ów najdawniejszy, według powszechnego mniemania, pomnik polszczyzny, pieśń: *Boga Rodzica Dziewica, Bogiem sławiona Marya*, napisana być miała przez śgo Wojciecha, w pierwiastkach zaszczepienia u nas wiary objawionój. Przez przeciąg kilku wieków odśpiewywano ją z nieograniczoną pokorą, nietylko w świąty-

niach, ale i przed rozpoczęciem bitwy (1). Gdy zaś owa pieśń szła w zapomnienie, hasłem hufców Stefana Czarnieckiego stał się hymn na chwałę N. Panny: „O gospo-dzie uwielbiona!” (*o gloriosa Domina*). Każdy rycerz no-sił pod pancerzem szkaplerz z imieniem P. Maryi, po-cierał nim kule dla trafniejszego celu, szablę zaś, aby jój cięcie było pewne i ciężkie, a nadto ryl święte imię na orężach. Wznoszono po całym kraju domy Boże na cześć N. Panny, przybierano Jój wizerunki w szaty z bo-gatąj materji i w kosztowności wszelkiego rodzaju; liczne składano hymny, pisano księgi pochwalnemi pienia-mi N. Panny brzmiące, odprawiano wigilie do każdego Jój święta, przekazując z ust do ust owo wyrażenie: „kto kocha Maryą, pamięta wigilią”. Od wieków przeto ry-cerstwo i lud nasz ziemiański, tajemnice matki natury przywiązał do imienia Maryi, i pojął po swojemu mi-styczne wyrazy; „a słowo stało się ciałem”. Jakoż ob-chodził poczęto tajemnicze święta Maryi Panny: Gro-mnicznój, Poczęcia, Siewnój, Zielnój, Bolesnój; szczegó-lniejsza atoli Jój cześć upowszechniła się od czasu usa-dowienia się w XVI wieku Jezuitów, którzy założyli kongregacye czyli bractwa: Niepokalanego Poczęcia, Na-rodzenia, Zwiastowania, Nawiedzenia, Siedmiu boleści, Oczyszczenia i Wniebowzięcia N. Maryi Panny. Prze-strzegali najmocniój prajcowie nasi, ażeby nie wazono się córce na chrzcie dawać imienia Maryi — „obawiając się, aby imię to niepokalanie poczętój i zawsze N. Panny, żadnemu i najmniejszemu grzechowi nigdy niepodlegają-

(1) Śpiewa ją dotąd duchowieństwo w Gnieźnie w święta i nie-dziele, przy grobie tegoż świętego. Słyszałem ją śpiewaną w ko-legiacie łowickiej; nie bez tego, żeby i po innych kościołach w kraju, też pamiętka przechować się nie miała.

céj, aby to imię w ułomnych ludziach przez traŝające się niedoskonałości i występki, bynajmniej nie było skazone i zelzone" (1). Dziejopis Vasseberg podaje: że senat wzbraniając się zezwolić na małżeństwo Władysława IV z księżniczką mantuńską i Nevers, wziął i to za powód, że zwała się Maryą; a że miała inne imię na chrzcie dane, Ludwiki; potraŝono przeto usunąć tę przeszkodę, a królowa odtąd podpisywała się zawsze: Ludwika Marya. Doznawane cuda przy obrazach N. Panny, pobudzały wdzięcznością pałające i nabożeństwem przejęte serca, do czynienia znacznych zapisów w gotowiznie, lub dobrach nieruchomych. Józef Jęd. Załuski: bis. kijowski, wylicza w swoim rękopisie 1768 r. do stu cudownych Jój obrazów w Polsce, w końcu zaś dodaje:

„Znać, że Polskę Marya kocha, gdyż w krainie Naszej, na tylu miejscach z łask i darów słynie” i t. d.

III.

Władysław IV, dla tém większego uczczenia Bogarodzicy, umyślił był ustanowić duchowno-wojskowy order: Niepokalanego Poczęcia N. Panny (*Conceptionis Immaculatae Virginis Mariae*). Ułożony statut, zatwierdzony 5 lipca 1634 r. przez papieża Urbana VIII, ogłosić kazał król drukiem 1637 r., jako téż i opis obrządku, podczas przyjmowania członka zachować się mającego. (*Modus praeficiendi, sive ordinandi Militem incliti ac heroici ordinis equitum Immaculatae Virginis*) (2). Gdy

(1) Ob. „*Hold królowej nieba i ziemi, t.j. kazanie w oktawę uroczystej koronacyi N. Maryi P. Berdyczowskiej w r. 1756, dnia 23 lipca miane, od ks. Ant. Zamojskiego S. J.*”

(2) Ob. *Bractwa jezuickie i akademickie w Krakowie, przez Józ. Muczkowskiego*. Dwutygodnik Literacki II, s. 206. Autor rozprawy, prostując Janockiego mówi: iż statut nie 70, ale 72 członków ustanowił.

różne okoliczności stanęły na przeszkodzie w przywiezieniu do skutku zamierzonego dzieła, wpisał się król 1645 r. jako prefekt do bractwa Niepokalanego Poczęcia N. Panny, u Jezuitów warszawskich zawiązanego; bracia zaś jego: Jan Kazimiérz i Karol Ferdynand biskup łódzki i wrocławski, urząd asystentów sprawowali. „Szło za przykładem królewskim, i wpisało się w poczet téjże kongregacyi z biskupami i księżętą, panów i pań wiele, ślubem się obowiązując na bronienie niepokalanego poczęcia Matki Boskiej” (1).

IV.

Jan Kazimiérz udając się na wyprawę przeciw Bogdanowi Chmielnickiemu i Tatarom, wziął z sobą cudami słynący obraz M. Boskiej z Chelma. Całe wojsko przy odgłosie nabożnych pieni, postępowało z uroczystą processją; gdzie tylko się zatrzymano, odbywały się modły i spowiedz. Powszechnie przypisywano, iż za sprawą tego obrazu, który wśród boju ukazał się w powietrzu, pamiętne odniósł król zwycięstwo pod Beresteczkiem, na Wołyniu, w d. 29 i 30 czerwca 1651 r. W lat kilka potem, nie mogąc się tenże monarcha oprzeć orężowi Szwedów, schronił się był do Szlązka; a kiedy coraz więcej stygł i upadał duch w narodzie, dany odpór przeważnej sile nieprzyjaciela, oblegającego przez pięć tygodni 1655 r. klasztor Jasnogórski, przyznawano łasce Matki Boskiej. Zaledwo potem związek tyszowiecki sprowadził Jana Kazimiérza do Lwowa, bogobojny monarcha, aby ducha podnieść i krajowców ubezpieczyć, siebie i cały naród opiece N. P. Maryi polecił, podczas

(1) Kwiatkiewicz, *Roczne dzieje*, str. 897.

uroczystego nabożeństwa, odprawionego w katedrze 1 kwietnia 1656 r. przez nuncjusza apostolskiego Piotra Vidoni. Wyrzeczony przez króla ślub w obliczu świętego zgromadzenia, w obec wojska i tłumu ludu, pociechę i nadzieję pośród niedoli powszechnej w tym religijnym akcie upatrującego, nader jest ciekawym zabytkiem ówczesnego wieku. *Votum* to, przełożone z łacińskiego, opiewa: „Wielka Boga Człowieka Matko i Panno najświętsza! Ja Jan Kazimierz z łaski Syna Twego, Króla królów i Pana mojego, i z łaski Twojej król, rzucając się pod Twe święte stopy, Ciebie za patronkę moje i państw moich królowę dziś obieram, siebie i moje królestwo polskie, W. ks. litewskie i t. d., wojska obojga narodów i lud cały Twojej szczególnej opiece i obronie poruczam; Twojej pomocy i miłosierdzia, w tak oplakanym i do upadku nachylonym stanie królestwa mego, przeciw nieprzyjaciołom ś. kościoła rzymskiego najpokorniej błagam. A ponieważ Twojemi wielkimi dobrodziejstwami przejęty jestem wraz z narodem moim: przeto nową i najgorętszą żądzą służenia Tobie ślubuję. Przyrzekam mojemu, panów (*satraparum*) i ludu mego imieniem, Tobie i Synowi Twemu, Panu naszemu Jezusowi Chrystusowi, cześć i chwałę Twoją po wszystkich stronach królestwa mojego z całą usilnością rozszerzać. Ślubuję nadto: że kiedy za przewaźnym wstawieniem się Twojém, a wielkiem miłosierdziem Syna Twego, otrzymam zwycięstwo nad nieprzyjaciółmi, osobliwie nad Szwedami, będę się starał u stolicy apostolskiej, aby dzień ten, na podziękowanie Tobie i Twojemu Synowi, wiecznemi czasy był miany za święty i uroczyście obchodzony. Dołożę starania z biskupami moimi, ażeby to, co przyrzekam, spełnioném było i od ludu mojego.

Gdy zaś z wielką boleścią serca widzę, że za łzy i ucisk (*propter gemitum et oppressionem*) ludzi stanu włościańskiego, zesłane są na królestwo moje przez Syna Twego, sprawiedliwego Sędziego, od lat siedmiu kary, jakoto: morowe powietrze, wojny i inne nieszczęścia: przyrzekam więc i ślubuję po zawarciu pokoju obmyśleć ze wszystkimi stanami skuteczne środki, ażeby od niesprawiedliwych ucisków i uciążliwości, lud mego królestwa uwolniony został. Spraw o najłaskawsza Pani i Królowo! aby, jakoś natchnęła mię, panów koronnych i wszelkie stany do uczynienia tego ślubu: tak do uiszczenia się z niego, racz uprosić łaskę u Twego Syna. Amen" (1). Poczem, obecni senatorowie i dygnitarze, w podobnymże prawie sposobie ślub spełnili. Wyrugowanie Szwedów z kraju, przypisywano pomocy niebios, a pobożność ku Maryi, jeszcze więcej wszystkich owładnęła serca.

V.

Za rządów Augusta II, powtórnie Szwedzi kraj najechali. Stanąwszy król obozem pod Sokalem 1704 r., oddał się w opiekę Bogarodzicy, cudami słynącej w tamecznym kościele Bernardynów. Po ustąpieniu nieprzyjaciół i przywróceniu wewnętrznej spokojności, na okazanie publicznego zawdzięczenia Opiekunce królestwa, zjawił się niewidziany dotąd w Polsce obrząd, t. j. koronacyi obrazu Maryi Panny. Monarcha spólnie z narodem, pomny tylokrotnie doznanych łask, wyprawił poselstwo do Klementsa XI, upraszając o insignia monarchiczne dla Mat-

(1) Ob. Rudawski: *Annales regnante Joanne Casimiro*, str. 241; i Kochowski: *Climacter II*, str. 106.

ki Boskiej cudami słynącej w kościele na Jasnógórze. Ojciec Święty dogadzając tym pobożnym życzeniom, nadesłał poświęcone przez siebie dwie złote korony wraz z bułą, bawiącemu podówczas w Dreźnie Augustowi; nuncyusz zaś w Polsce Hieronim Grimaldi arcyb. Edessy, otrzymał polecenie ukoronowania wizerunku Bogarodzicy.

VI.

Nim powiemy o tej i następnych koronacjach, wypada wprzód podać wiadomość, gdzie i kiedy nastął takowy zwyczaj. Najpierwszy o tém napotyamy ślad pod 732 r., w chwili powstania na Wschodzie sekty Ikonoklastów czyli Obrazobórców. Grzegorz III pragnąc utrzymać cześć obrazów, a oraz uprosić pomocy Niebios przeciw grożącej Rzymowi wojnie, szczerozłotą, dyamentami ozdobioną koroną, uwieńczył t. r. w obrazie głowę Matki Boskiej, a nad ołtarzem drugą podobnąż zawiesił koronę. Grzegorz IV, dla uproszenia łaski od Boga i odpuszczenia ludziom grzechów, ofiarował 848 r. dwie srebrne korony N. Pannie w kościele ś. Kalixta i Korneliusza. Kiedy podczas toczących się wojen we Włoszech, srogie około 1500 r. nastąpiło morowe powietrze; obywatele miasta *Recanati* pragnąc przebłagać gniew Boski, uroczystą odprawili processyą do blisko będącego domku Loretańskiego. Gdy wkrótce prośby swój pożądany otrzymali skutek, na zawdzięczenie powtórnie tamże udali się, niosąc w ofierze złotą koronę, którą, za otrzymaniem zezwoleniem papieżkiem, ozdobili głowę Królowej Nieba. Juliusz II przychyłając się do prośby mieszkańców Rekanatu, postanowił: ażeby ta, raz włożona koro-

na, nigdy zdjętą nie była. Te jednak, lub inne, jeżeli się zdarzały koronacye, nie były z takimi obrzędami i uroczystością obchodzone, jak później, gdy podciągnięto je pod stałe i niezmiennie prawidła. Nastąpiło to dopiéro, kiedy hr. Alex. Sforza Pallavicini, chcąc nowym sposobem cześć ku obrazom, osobliwie Chrystusa i Maryi pomnożyć, ustanowił 1630 r. fundusz na wieczne czasy, ażeby z niego kapituła watykańska nadawała szczerozłote korony, skoro mieć będzie autentyczne dowody o rzetelnie cudownych łaskach Boskich wizerunków świętych. Piérwszy podług ułożonych przepisów obrząd, odbył się 25 sierpnia 1631 r. w bazylice Watykanu, za rządów Urbana VIII. Zmarły fundator 1639 r., świadkiem był ukoronowania w 13 kościołach Rzymu cudownych obrazów. Odprawiały się następnie koronacye po różnych miastach, a nawet i wsiach włoskich; dwie w Brünie w Morawii, jedna w Czechach, jedna w Ameryce 1740 r. Maryi P. de Guadalupe i t. d. Wszystkich obrazów do 1760 r. włącznie, koronami przybrano 216, w samym zaś Rzymie 104 (1). U nas rok 1717 stanowi epokę odbywania podobnych obrzędów, których przytaczamy chronologiczny poczet, dołączając ryciny medalików, świadczących o miejscu koronacyi.

VII.

R. 1717, dnia 8 września, Krzysztof Jan na Słupowie Szembek biskup chełmski, upoważniony od nuncjusza, dopełnił w *Częstochowie* u Paulinów obrzędu ko-

(1) Wiadomości te czerpałem z dzieła: *Ozdoba i obrona Ukraińskich krajów*. Znajdują się one wprawdzie i w innych dziełach, opisujących koronacye obrazów, lecz mniej zawierają szczegółów.

ronacyi obrazu N. Panny na królowę polską, przy pomocy Konst. Brzostowskiego bis. wileńskiego i Krzysztofa Szembeka bis. poznańskiego. Napływ pobożnych nietylko z Polski, ale i z ościennych krajów tak był wielki, iż od dnia 5 do 16 września, rozdano 148,300 komunikantów w samym kościele Jasnogórskim, nie licząc przyjmujących ciało Pańskie na cmentarzu, na rynku i w kościele nowicyackim (1). Koronacja ta, była z rzędu ogólnego 159ta.

R. 1718, dnia 4 września, Konst. Kazimierz Brzostowski bis. wileński, przy pomocy Ludwika Ogińskiego smoleńskiego i Aleks. Horaina żmudzkiego biskupów, tudzież dwóch sufraganów, ukoronował w *Nowych Trokach* w kościele farnym obraz, słynący łaskami od czasów Witołda W. ks. lit. Na przybranie obrazu i sukienki M. Boskiej w srebro, złoto i drogie kamienie, wyłożyła Teresa z Brzostowskich Ogińska, żona Marcyana kasztel. witebskiego, przeszło 40,000 imperyałów; korony zaś oszacowane były więcej niż 4,000 imperyałów (2).

R. 1723, dnia 13 czerwca, Stefan Rupniewski bis. łucki: w koś. farnym w *Kodniu* nad Bugiem w b. Wtwie brzeskiem litewskim. Dla niedostatku funduszu, z powodu, iż w tymże czasie odbywały się w innych krajach

(1) Ob. *Relatio coronationis Thaumaturgae Claro-Montanae. Typis Clari Montis Czestochov. in fol. bez roku.* Opis tej koronacyi znajduje się także w dziele: *Odrobiny z stołu królewskiego, Królowej Nieba i Ziemi, przez ks. Ambrożego Nieszporkowicza, 1720 r., od str. 448.*

(2) Ob. *Solennitas coronationis B. V. Mariae in antiquissima sua ad praepositalem Palatino Trocensis civitatis basilicam, etc. feliciter celebrata. Vilnae typis univers. S. J. 1719.* Autor nie jest wyrażony, ale Załuski w rękopisie mówi: że Adam Minkiewicz Jezuita, wydał w Wilnie opisanie aktu tej koronacyi po łacinie.

podobne obrzędy, korony nie były dane z Watykanu, lecz nadesłany tylko został tak zwany *instrument*, t. j. zezwolenie na koronacyą, którą przywiódł do skutku dziedzic miejsca Jan Fryderyk hrabia Sapieha kaszt. trocki, sprawiwszy korony (1). Obraz tutejszy de Guadaluppe zwany, otrzymał przodek tegoż Sapiehy w darze od papieża, i w Kodniu 1636 r. złożył.

R. 1724, dnia 8 września, Jan Skarbek arcyb. lwowski: u Bernardynów w Sokalu nad Bugiem w b. Wtwie bełzkiem. Józef strażnik w. k. i Michał pisarz w. k. bracia Potoccy, sporządzili ołtarz z hebanu, suto srebrem ozdobny; korony zaś złote, drogiemi kamieniami osadzone, szacowane 120,000 zł., sprawione zostały w Rzymie kosztem kardynała Annibala Albani, protektora król. polskiego (2). Niesiecki wyraża: „Koronacya ozdobnie, bogato, pompatycznie z Michała Potockiego szkatuły zakończona”. Na pamiątkę tego obrzędu, wybito dwa, o ile nam wiadomo, medale odmiennego stępla; opis ich jest następujący:

S. G. Matka Najśw. z koroną na głowie, trzymając ukoronowane Dzieciątko Jezus na lewej ręce; w otoku napis: VIRGO MIRACULO. (sa) B. (eata) V. (irgo) M. (aria) SOCAL. (iensis) AB INNOC. (entio) XIII PAPA IN REGNO POLON. (iae) PALAT. (inatu) BE. (lsensi) 8 SEPT. (embris) CORONATA.

(1) Ob. *Ozdoba i obrona*, fol. Y 2.—Na rycinie M. Boskiej kodeńskiej, zamieszczony jest napis: *Coronata ab Innocentio XIII anno 1723.*

(2) Ob. *Actus coronationis Miraculosissimae Imaginis Socaliensis B. V. Mariae*; i: *Sluszna sprawa koron Jezusa i Maryi przez całą oktawę tryumfalnego aktu koron. cudow. Sokalskiego obrazu.* Lwów, 1727 r. 4to.

S. O. Ukoronowany orzeł polski ma na piersiach dwupolową tarczę z herbami saskimi, w szponach zaś piastuje korony; ogon orła przedziela rok 17-24. W otoku napis: SUB. BENED: (icto) XIII. PONT: (ifce) MAX. (imo) & POTENT: (issimo) AUGUST (o) II POLON (iae).. REGE.

Znajduje się w warszawskich zbiorach (te tylko będą i w dalszym ciągu przywoździł) senatora hr. Fran. Potockiego i Karola Beyera; oba w odlewie cynowym. (Ob. rycinę Nr. 1 oznaczoną).

S. G. taka sama jak na poprzedzającym; w otoku napis: B. V. M. SOKAL. AB INNOC. XIII. 1724. 8 SEPT. CORONATA.

S. O. Na wezglowiu dwie korony, powyżej w owalnej tarczy dwie ręce po ramiona na krzyż złożone (godło seraficzno-religijne ś. Franciszka), unoszą Pilawę (herb Potockich), nad tarczą zaś rozwieszona wstęga (1). W odcinku napis: SUB BENEDIC. XIII P. P. (Papa). Srebrny bity w moim i innych zbiorach, brązowy zaś u K. Beyera. (Rycina Nr. 2).

R. 1727, dnia 15 sierpnia, Stefan Rupniewski bis. łucki: u Dominikanów w *Podkamieniu* w b. Wtwie wołyńskim (teraz w Galicyi). Nakład łożył wspomniony Michał Potocki naówczas już Wda wołyński i Cetner starosta korytnicki, dziedzic miejsca, który przywiózł z Rzymu korony, od Benedykta XIII poświęcone i *instrument* pod d. 5 listop. 1725 r. dany. Obecny na tej koronacyi świadek, wyraża: „To też *inter miracula numerari* powinno, że trzeciego dnia nad samym kościołem *appa-*

(1) *Duae coronae in cussinis repositae, supra quas duae manus in modum crucis, hoc est stemma Seraphicae religionis S. Patris Francisci. Z dzieła wyżej przytoczonego: Actus coronationis.*

ruit na niebie korona w obłokach czerwona, podobna właśnie téj, jaka na obrazie cudownym, i trwała blisko godziny, którą potem zasłoniło słońce. Na co wszystek lud zgromadzony na odpust i wojsko o pół milę obozem stojące, patrzyło" (1).—Opis medaliku:

S. G. Imię Marya w monogramie, z różyczką we środku; po obu bokach gałązki, u spodu rok 17—27.

S. O. W czterech wierszach, nad któremi różyczka, napis: BENED XIII | CORONA (vit) IMAG (inem) | IN PODKAMIEN | XV AUG. (usti). U dołu w armaturze na ukoronowanej tarczy Cetnerów, herb Przerowa (2). (Medalik z kompozycyi, jest w moim i Ign. Zagórskiego zbiorze. Rycina Nr. 3).

R. 1730, dnia 19 września, Atanazy Szeptycki metropolita kijowski i halicki obrządku unickiego: u Bazyljanów w Żyrowicach, o 1½ mili od Słonima w b. Wtwie nowogrodzkiem, lubo *instrument* datowany już był 1726 r w kapitule watykańskiej. Dwie korony w Rzymie zrobione i od papieża poświęcone, przywiózł Hier. Radziwiłł; koszta zaś koronacyi, po większej części poniosła matka jego Anna z Sanguszków Radziwiłłowa kancl. W. L., która korony drogocennymi kamieniami ozdobić kazała (3).

R. 1739, nuncyusz Kamil Paulucci arcyb. ikoński u Kapucynów w Warszawie. Czynione przezemnie po-

(1) Franciszek na Pułaziach Pułaski podczasy Wtwa podlask. pułkownik i t. d. w dziele pod tytułem: *Krótką annotacya sejmów, publiczniejszych dziejów*, i t. d. 1740 r. str. J i 2.

(2) Herb ten tak opisuje Niesiecki: „Kopia z proporcem złotym, w prawy bok tarczy nakłoniona powinna być, w czerwonym polu; koniec proporca na kopią zawinięty, w pół złamana”. Medalik zaś, nieco odmienny kształt herbu przedstawia.

(3) Uroczystość tę opisał Teofil Jętkiewicz Bazyljan, kaznodzieja żyrowicki, w dziele: *Aquila grandis magnarum alarum*.

szukiwania, wykryć nie zdołały dnia koronacyi, ani czyim nakładem skuteczną została; co większa! rok jej nawet, jak to wykazemy, nie jest pewny. W księdze historyi klasztoru, między 1739 a 1743 r. (trzy bowiem lata są opuszczone), zapisano: „Obraz N. Panny półbiustowy, darowany był od p. Fischera syndyka klasztoru, obywatela warszawskiego. Obraz ten jest ozdobiony koroną srebrną pozłacaną, przez nuncjusza papieżkiego Kamillego Paulucci, w obliczu mnogiego ludu pobożnego.” W drugiej zaś księdze pod tytułem: *Annales Provinciae Polonae ordinis nostri Fratrum Minorum S. P. Francisci*, którą sporządził mający pod swym dozorem archiwum, a oraz i annalista prowincyi Kazimiérz z Dolopłazu, rodem Czech, i pracę swą do 1772 r. doprowadził, napomyka tenże o koronacyi, jako: że slysział o niej od dwóch zakonników, którzy uroczysty ten obrząd pamiętają. Oto są jego wyrazy: „*Anno 1720 data fuisse videtur nostrae ecclesiae Varsav. imago B. V. Mariae a D. Fischer cive varsov. nostro pro tunc amico spirituali. Successu temporis huic sacrae imagini Nuntius apost. Camillus Paulucius, coronam argenteam inauratam in frequentia copiosissimi populi, suis manibus imposuisse perhibetur; de qua quidem coronatione nihil notatum in archivo reperio, sed tantum traditionem 2 antiquiorum patrum teneo, illamque refero.*” W archiwum główném w Warszawie są akta nuncyatorskie, prowadzone pod imieniem tegoż nuncjusza od 1728 do 8 listopada 1738 r.

R. 1740, dnia 8 września, Franciszek Kobielski bis. łucki: u Dominikanów w Łucku na Wołyniu. Malowany przez ś. Łukasza Ewang. obraz, otrzymawszy Bernard Maciejowski bis. łucki podczas swego poselstwa

w Rzymie 1590 r. w darze od Grzegorza XIV, ofiarował tutejszemu klasztorowi. Szczerozłote korony w Rzymie sporządzone zostały, nakładem Michała Potockiego Wdy wołyńskiego, który przyczynił się i do kosztów koronacyi, jako téż: Piotr Drzewicki podczaszy wołyński, Paweł Sanguszko marszałek W. L., Lubomirscy i inni obywatele. Bogato przybrany kościół, okryty był wizerunkami, herbami, licznymi łacińskimi i polskimi napisami. Pod portretem Wdy wołyńskiego wyrażono:

„Przezacnych dom Potockich z honorów złożony,

Urzędami w Koronie pierwszemi wstawiony,

Na Królowy Niebieskiej władzy dobrze wsparty,

Skarbem też dla Jój chwały i sercem otwarty” (1).

R. 1750, dnia 8 września, Michał Jan Zienkowicz bis. wileński: w koś. Bernardynek ś. Michała w Wilnie. Kościół z klasztorem wymurowawszy sławnój pamięci Lew Sapieha kanclerz W. L., przeprowadził uroczyscie 29 kwietnia 1596 roku z dawnego ich klasztoru, niosąc sam cudowny obraz N. Panny, który był uprosił od Bernardynów, i w nowój swój fundacyi złożył (2). Obrząd koronacyi długo był zwleczony, albowiem już pod d. 8 września 1732 r. dane było przyzwolenie kapituły wotykańskiej (3). Obywatele litewscy czynili składkę na sprawienie koron. Medalik owalny srebrny,

(1) Ob. *Abrys koronacyi Najsw. Nieba i Ziemi królowej w stołecznem mieście przesw. Wtwa Wołyńskiego Łucku*, przez X. Tom. Czelejowskiego S. T. lektora zakonu. Kaznodziejskiego. Kraków 1757 r. Opisuje téż koronacyą i *Kuryer Polski* 1749 r.

(2) Ob. *Wilno przez Kraszewskiego*, 1841 r., II, 332.

(3) Autor dzieła: *Ozdoba i obrona*, umieścił datę instrumentu za rok koronacyi, mówiąc: że w koś. Franciszkanek, których nie było nawet w Wilnie. Lubo na medaliku nie zamieszczono dnia, jest on wszakże wymieniony na sztychowanym wizerunku N. Panny święto-michalskiej: „*Koronowana 1750, 8 września*”.

w zbiorze Ign. Zagórskiego autora dzieła: *Monety dawnej Polski*, wyobraża:

S. G. na ukoronowaném sercu monogram Marya; w otoku napis: CORONATA CORDA CORONAT.

S. O. na ukoronowanej wyginanej tarczy w trzech wierszach napis: QUIS UT DEUS. W otoku: SCUTO: CORONATI NOS. PS: 5. VILNE 1750.: (Rycina Nr. 4.)

R. 1751, dnia 2 lipca, Mikołaj Ignacy Wyżycki arcyb. lwowski: u Dominikanów we *Lwowie*, na mocy pozwolenia papieżkiego pod d. 10 grudnia 1749 r. danego. W wigilią obrzędu, złożono korony na błoniu za miastem, pod obszernym i bardzo wspaniałym namiotem, od Michała Radziwiłła hetmana W. L. z Nieświeża przysłanym; koronacja zaś obrazu odbyła się na wystawioném pod gołém niebem rusztowaniu, poczem starostowie: kołomyjski i Mikołaj kaniowski Potoccy, fundatorowie koronacyi, rozrzucali między zgromadzonych: złote, srebrne i miedziane medaliki, na tę pamiątkę bite. Po nie-sporach, obnoszono uwieńczony koronami obraz po mieście (1). Opis dwóch medalików pod Nr. 5 i 6.

S. G. Korona w kształcie rozłożystej czapki, przedzielająca rok 17—51; pod nią w pięciu wierszach napis: BENED: XIV: CORON | IMAG: B: V: MARIAE | LEOP. APUD P. P. | ORD: PRAED: | 2 JULII |

S. O. W armaturze tarcza ukoronowana z herbem Piława, nad tém w łuku napis: GLORIA. DECUSQ. (ue) CORONAE.

Drugi zupełnie do poprzedzającego podobny, tylko mniejszy. Oba srebrne, są w moim zbiorze i u innych w Warszawie.

(1) Ob. *Kuryer Polski* 1751 r. i: *Hasło słowa Bożego* i t. d. *Lwów*, 1754 r. in fol.

R. 1752, dnia 4 czerwca, Wojciech Leski bis. chełmiński: u Reformatów we wsi *Łąki Bratyańskie*, tuż przy Nowémieście nad Drwęcą (*Neumark*) w b. Wtwie chełmińskim. Kościół z klasztorem wśród pięknej równiny, okoloniej wzgórzami, fundowany 1624 r. przez Pawła Działyńskiego Wdę pomorskiego, Sstę bratyańskiego, posiada obraz N. Panny, jeszcze za czasów krzyżackich z drzewa wyrzynięty. Skoro nadszedł z Rzymu instrument, podpisany 7 grudnia 1750 r., znakomitsi obywatele ziem pruskich zajęli się sprawieniem koron. „W wigilię aktu koronacyi, była solenna processya exportacyi dwóch szczerozłotych koron, klejnotami sadzonych, z koś. farne-go nowomiejskiego, gdzie komenderowani z garnizonu elbląskiego paradowali, i z ręcznej strzelby, tudzież z armat rżęsto ognia dawano, przy różnych kapel rezonancyi. Podczas tego aktu, P. Bóg niektórymi nowemi cudami to miejsce wsławić raczył” (1).

R. 1752, dnia 8 września, Wacław Hieronim Sierakowski bis. przemyski: u Bernardynów w *Leżajsku*, w b. Wtwie ruskiem, ziemi przemyskiej. Korony nie były nadesłane z Watykanu, tylko zezwolenie na ukoronowanie obrazu, datowane 1751 r.; cały zaś nakład łożył Stanisław Potocki Wda kijowski, wraz z żoną Heleną z Zamojskich (2). Dlatego téż obu małżonków herby mieszczą się na medaliku, którego opis:

S. G. Matka Boska trzymająca P. Jezusa na lewój ręce; w otoku napis: IMAG: B: M: V: COR. A. BEN: XIV.

(1) *Kuryer Polski* 1752 r. Rycina przedstawiająca M. Boską, ma napis: iż ukoronowaną została 1752 r. dnia 4 czerwca.

(2) Ob. *Relacya o koronacyi obrazu N. M. Panny Pocieszenia w Leżajsku. Lwów, 1752 r. fol.* *Kuryer Polski* pod 4 lipca 1759 r. donosi: że w Leżajsku skradziono koron szczerozłotych dwie, sygnety, perły i wszystkie złoty ornament obrazu N. Panny.

LEZ (*aisci*) APUD F. F. (*Fratres*) S. (*ancti*) F. (*rancisci*) OBS. (*ervantes*) A. 1752.

S. O. W armaturze dwie tarcze: na prawej herb Jelita, na lewej Pilawa, a nad niemi korona; w otoku: DANT. ASTRIS. CASTRISQUE. CORONAM.

Medalik ten z miedzi bity, znajduje się w zbiorach Fr. hr. Potockiego i Teodora Dembowskiego. (Nr. 7.)

R. 1754, dnia 22 maja, w kościele farnym w *Chełmnie*, stolicy b. Wtwa t. n. Nie wiadomo kto był koronatorem, również nie jestem pewny, czy zamieszczony tu podług dzieła: *Ozdoba i obrona* dzień i rok, jest datą koronacyi, czy téż wydanego instrumentu; autor bowiem wspomnionego dzieła, częstokroć jedno za drugie bierze. Roku 1757, po śmierci królowej Maryi Józefy żony Augusta III „przybył do Chełmna Jmć X. biskup (Wojciech Leski), z intencją zabawienia się przez dni ośm, dla czynienia pomocy przez ofiary święte przed słynącym cudami obrazem N. Panny Bolesnej, do którego koronacyi taż N. Pani znacznie się przyłożyła” (1).

R. 1755, dnia 18 maja, Józef Eustachy Szembek bis. plocki, książę pułtusi: u Bernardynów w *Skepem*, w b. ziemi dobrzyńskiej. Zezwolenie dane było w Rzymie 4 grudnia 1754 r., lecz korona sprawiona została ze składek obywateli; obraz bowiem wyobraża samę M. Boską, i pochodzi z daru 1496 r. Kościeleckiej kasztelanki kruświckiej. „Mikołaj Kościelecki bis. chełmski, dziedzic dóbr Skępskich, zważywszy zacność miejsca i liczne przy tym obrazie cuda, i widząc codziennie zbiegające się tłumy ludzi: żeby więc nabożeństwu ich dogodził, postanowił 1498 r. kościółek obszerniejszy z klasztorem wy-

(1) *Kuryer Polski* z r. 1757.

murować, i zakonników zwanych Bernardynami sprowadzić, co wkrótce skutkiem wypełnił" (1).

R. 1755, dnia 8 września, Wacław Hier. Sierakowski bis. przemyski: u Jezuitów w *Jarostawiu* w b. Wtwie ruskiem, ziemi przemyskiej (2). Król Lewic Jakób Sobieski, z swą córką Maryą Klementyną, zaślubioną Jakóbowi Stuart pretendentowi korony angielskiej, prosili 1731 r. stolicę apost. o korony dla tutejszego obrazu, i wyjednali je wraz z bułą. „R. 1732 stanął w Jarostawiu król Lewic Jakób, który dwie bogate korony dyamentami sadzone przywiózł i oddał do XX. Jezuitów w polu mieszkających: jedną *ex voto* dla P. Jezusa, drugą dla N. Panny" (3). Z powodu zamieszek w kraju po zgonie Augusta II, nastąpiła zwłoka koronacy; czas prawem przepisany upłynął i musiano powtórnie starać się o wyjednanie pozwolenia w Rzymie, które podpisane zostało 8 września 1753 r., a obrząd odbył się hojnością domu Potockich, mianowicie Stanisława Wdy kijows. i Mikołaja Ssty kaniowskiego.

R. 1756, dnia 16 lipca, Kajetan Ignacy Soltyk, bis. kijowski: u Karmelitów Bosych w *Berdyczowie*, w b. Wtwie kijowskiem. Ant. Tyszkiewicz bis. żmudzki, Ant. Lubomirski Wda lubelski, Michał Radziwiłł hetman W. L. Wda wileński i różni obywatele, czynili starania o pozwolenie ukoronowania obrazu. Benedykt XIV kazawszy swoim kosztem sporządzić dwie złote, szmaragdami ozdobione korony, nadesłał je 1753 r., które 31

(1) *Wiadomość pewna o obrazie N. Maryi P. w ziemi dobrzyńskiej, w koś. Skępskim. Warszawa, 1827 r. Piąte wydanie.* Autor dzieła: „Ozdoba i obrona”, zowie: miasteczko *Merva Skąpe*.

(2) *Kuryer Polski* 1755 r. zamieścił opis tej koronacyi.

(3) *Kuryer Polski* 1732 r.

października z wielką uroczystością złożone zostały w świątyni (1). Obywatele i wojsko na Ukrainie stojące, sprawili 1754 r. w Wrocławiu sukienkę szczerozłotą, w kwiaty misternie szmelcowaną za 50,000 zł., i ramy srebrne do obrazu za 500 czer. zł. Koronacya odbyła się w polu za miastem, w wystawionym budynku *szopą* zwanym, który przybrany był w bogate obicia i zawierał 12 ołtarzy. Wracając z ukoronowanym wizerunkiem do kościoła, przebywano ośm bram tryumfalnych, rzesisto oświetlonych, na każdej zaś przygrywała muzyka. Słowem, okazałość niezwykła przy podobnych u nas obrzędach miała tu miejsce, a to dlatego, iż: „obraz Maryi w Berdyczowie, tym jest w szczególności przyozdobiony zaszczytem, że z osobliwej papieżkiej łaski i pobożności, z własnego zrobionemi wydatku jest koronami udarowany, czego inne nie mają obrazy” (2). Na ten akt nie szczędzili znacznych wydatków: Stan. Lubomirski podstoli kor., Stanisław Potocki Wda kijowski i Antoni Lubomirski miecznik kor., który w czasie trwania kilkodniowej uroczystości, dowodził jako regimentarz nad 6000 zgromadzonego wojska. Uświetniony został ten obrząd nad wszystkie inne w kraju i tém: że rozdawano złote, srebrne i mosiężne medaliki, siedmiu odmiennych stępli; był i ósmy, ale go zapewne na czas sporządzić nie zdołano, gdyż zamilcza o nim dzieło, ko-

(1) Szczegóły przeniesienia koron z katedry żytomierskiej do Berdyczowa, i cały ten pobożny pochód, mający na czele biskupa, opisuje *Kuryer Polski* 1753 r.

(2) *Ozdoba i obrona Ukraińskich krajów, przecudna w Berdyczowskim obrazie Marya, watykańskimi koronami ukoronowana. Berdyczów. 1767 r.* Z aprobacji okazuje się, iż autorem jest ks. Karmelita Grzegorz od ś. Ducha (Trześniewski.). Grube to *in fol.* dzieło, ozdobione jest wielą rycinami, które robili: Teodor Rakowiecki i Teofil Trockiewicz, jedną zaś J. Filipowicz.

ronacją tę opisujące. Oto jest szczegółowy każdego z tych numizmatów opis:

1) S. G. Matka Boska trzymająca Dzieciątko Jezus na lewej ręce; głowy obojga ukoronowane i jasnością (*nimbus*) otoczone. W otoku: B. V. M. BERDICZOV. A BENEDICTO XIV. 1756 16 JULII. CORONATA.

S. O. Orzeł ukoronowany z cyfrą Maryi na piersiach, trzymający jabłko królewskie w prawych, koronę zaś w lewych szponach; u góry po obu stronach głowy: orzełek i takieżże wielkości pogoń; u dołu na dwóch wyginanych tarczach: góra z krzyżem, mająca trzy gwiazdy (godło zakonu Karmelu) i herb elektorsko-saski (Augusta III). W otoku: REGNO POLONIAE ET CARMELI FAMILIAE. (Miedziany w zbiorze K. Beyera, srebrne zaś u Fr. hr. Potockiego i Jerzego Gaugera. Nr. 8).

2) S. G. jak na poprzedzającym, ale odmiennym stępem bita.

S. O. Na wezłowiach dwie korony z osóbkami wewnątrz, nad niemi na dwóch skrzyżowanych kluczach tarcza owalna, z trzema prostopadłemi pasami, przykryta tyarą. W otoku: HINC FLUUNT GRATIOSA HIC FULGENT. PRETIOSA. (Srebrny w moim i innych zbiorach. Nr. 9).

3) S. G. jak poprzednie, nieco wszakże odmiennym stępem bita.

S. O. Na paludamencie mitrą uwieńczonym, obok której infuła i pastorał, mieści się tarcza z orłem, trzymającym w ręku pałasz nad głową (herb Soltyk, koronatora Soltyka); wszystko przykryte kapeluszem kardynalskim z kutasami. W otoku: VINCIRE. ET. VINCERE. NATA.

(Srebrny w moim i innych zbiorach, miedziany zaś u K. Beyera. Nr. 10).

4) S. G. Toż samo i tenże stępel co pod N. 3.

S. O. Na tarczy armaturą ozdobioną i ukoronowaną, Pilawa (herb Potockich); w otoku: DECUS. ET FORTUNA. CORONAE. (Nr. 11).

Medalik ten przytacza Bentkowski N. 607 i katalog R. S. Rejchla w Petersburgu N. 2775; wyrytowany zaś jest w dziele: *Ozdoba i obrona*, jako też i u Raczyńskiego N. 471.

5) S. G. Toż samo co na poprzedzającym, i tegoż samego stępla.

S. O. Na paludamencie z koroną książęcą: tarcza owalna w bogatych ozdobach, mająca Szreniawę (herb Lubomirskich). W otoku: GRATIAE. DE. FLUMINE. MANANT. (Bronzowy w zbiorze Fr. hr. Potockiego. Nr. 12).

W dziele: *Ozdoba i obrona*, wyrytowany jest ten medalik, ale z napisem w otoku: DUM FLUIT UNDA, FLUUNT ET CORONAE.

6) S. G. Jak na poprzedzających.

S. O. Herb Leliwa (Tyszkiewiczów, fundatorów klasztoru) w tarczy wyginanej, ozdobionej armaturą i koroną uwieńczonej. W otoku: CRESCIT MUNIFICENTIA AD ARAS. (Podług ryciny w dziele: *Ozdoba i obrona*. Nr. 13).

7) S. G. Jak na poprzedzających.

S. O. Na paludamencie armaturą ozdobionym i mitrą książęcą przykrytym, tarcza wyginana i ukoronowana z herbem Radziwiłłów: trzy trąby na piersiach orła. W otoku: FORTIUS IN DIES NUNTIANT FAMAM. (Podług ryciny w dziele: *Ozdoba i obrona*. Nr. 14).

8) S. G. Tymże stęplem co pod N. 2 bita.

S. O. Tarcza ukoronowana w armaturze, z herbem Rawicz (panna na niedźwiedziu); napis w łuku wewnątrz obwódki: DECUS CASTRORUM, w otoku zaś: PRETIUM. TULIT.

VIRGO. CORONIS. (Unikat ten w miedzi bity, jest w zbiorze K. Beyera. Nr. 15).

Medalik ten zapewne sporządzić kazała rodzina Oźgów, pieczętująca się Rawiczem; na poparcie naszego twierdzenia, przytaczamy wyrazy dzieła *Ozdoba i obrona*: „Nad ósmą bramą był portret Ojca ś., w górze na kolumnach herby JW. Zaręby i Oźgi biskupów kijowskich, z których pierwszy: obraz za cudowny ogłosił, drugi kommissyą do wyprowadzenia doznanych łask i cudów nazначył”. Jakoż, na rycinie przedstawiającej tę bramę, wyrażone są herby obu tych pasterzy (1).

R. 1761, dnia 20 września, Jerzy Mikołaj Hülsen bis. smoleński: u Karmelitów w *Białyniczach* w b. Wtwie witebskim, pow. orszańskim. Majętność ta należała do Sapiehów, z których Lew kanclerz W. L. osadziwszy 1623 r. Karmelitów, wybudował kościół z klasztorem, i znacznie uposażył. Gdy miejsce to cudami słynąć poczęło, zaczęto czynić starania o uwienczenie Bogarodzicy koroną; jakoż: „podpisana w Rzymie *bul-la coronationis*, do rąk ks. Rubczyńskiego prowincyała białoruskiego karmelitańskiego, *die 16 aprilis 1756* oddana została. A zatém w Białyniczach, za należytem przysposobieniem się, ma nastąpić solenna i ozdobna Matki Najśw. koronacya” (2). Do sprawienia koron ze składek obywateli, najwięcej się przyłożyli: Michał Radziwiłł Wda wileński H. W. L., i Ignacy Ogiński marszałek W. L. wraz z małżonką Heleną z Ogińskich, dziedzice miejsca (3).

(1) Samuel Oźga herbu Rawicz, od 1722 r. bis. kijowski, zmarł na początku 1756 r.

(2) *Kuryer Polski* 1756 r.

(3) Ob. *Majestas super omnes coronas, dignissima omnibus coronis, in augustissima coelorum terrarumque Imperatrice...in sua*

Opis medaliku, którego nieznaną dotąd exemplarz w srebro, w moim tylko znajduje się zbiorze:

S. G. Matka Boska trzymająca na lewej ręce P. Jezusa z globem ziemskim, w prawej berło; głowy obojga ukoronowane i w promieniach. W otoku: D. (IVA) V. (IRGO) BIALY — NICENSIS.

S. O. Na postumencie węglowie z koroną; w otoku: REGNUM IN — MANU EJUS. W odcinku: ROMA. — (Nr 16).

R. 1762 u Franciszkanów w *Przemyslu*, w b. Wtwie ruskiem. Wzmianka o tej koronacy, bez wyrażenia wszakże roku, znajduje się w książce pod tytułem: *Geographia, albo dokładne opisanie królestw Gallicyi i Lodomeryi*. 1786, (1) a jedyny znany nam exemplarz medaliku na tę pamiątkę, ślicznie w srebro wybitego, przechowuje bogaty i wielce szacowny zbiór Fr. hr. Potockiego.

S. G. Matka Boska siedząca na tronie, trzyma P. Jezusa na prawej ręce, w lewej zaś książkę; głowy obojga ukoronowane i jasnością (*nimbus*) otoczone. W otoku: B. V. M. PRAEMISLI — EN. CORONAT. 1762. W odcinku: ROMA.

S. O. Tyara, na której wstęgach dwa klucze sznurami powiązane wiszą; w otoku: INSIGNE CAPI — TULI VATICANI. (Nr. 17).

R. 1763, dnia 8 września, Wacław Hier. Sierakowski arcyb. lwowski: u Bernardynów w *Rzeszowie*, w b. Wtwie ruskiem, ziemi przemyskiej. Instrument pozwalający ukoronować obraz, dany był od kapituły watykańskiej pod d. 5 grudnia 1753 r.; korony sprawione

Bialynicensi imagine, vere angelico opere Thaumaturga, i t. d. Vilnae 1761; i: Kuryer Warszawski 1761 r.

(1) Autorem utajonym, jest Ewaryst hr. Kuropatnicki b. kasztelan bełzki.

ze składek obywateli i domu Lubomirskich, dziedziców miejsca, koszta zaś w czasie obrzędu podejmowała Joanna de Stein Lubomirska, wdowa po Jerzym chorążym W. K. (1).

R. 1764, u Karmelitów na Piasku w *Krakowie*. Luboznaczona była na ten rok koronacya i stosowne w części poczyniono przygotowania, nie przyszła jednak do skutku. Być może, że zebrane 5,000 zł. okazały się niedostateczne na opędzenie niezbędnych kosztów, lub téż inne okoliczności, a mianowicie bezkrólewie i zamieszki w kraju, stanęły na przeszkodzie. Obraz wszakże tutejszy uważany jest za ukoronowany, gdyż otrzymał na to przyzwolenie z Rzymu (2). Posiadam piękną rycinę wielkości półarkusza, która wyobraża N. Panne trzymającą w prawej ręce glob ziemski, na lewej zaś P. Jezusa z książką w ręku; u spodu orzeł, unoszący w szponach tarczę z herbem zakonu Karmelu, i napis: *B. V. Maria in ecclesia PP. Carmelitarum Antiquae Regularis Observantiae, Cracoviae in Arenis miraculis a seculis clariss^a corona Vaticana a Clemente XIII P. M. redemita. A. 1764—Alexius Giardoni del. et sculp. Romae, 1765*. Medaliki zaś srebrne na tę pamiątkę bite, mają w swych zbiorach: Fr: hr. Potocki i Ign. Zagórski.

S. G. Matka Boska, na lewej ręce P. Jezusa, w prawej kulę ziemską trzymająca; obie głowy w koronach
W otoku: B. V. MARIA—CRACOVIAEN. ROMA.

S. O. Stół kobiercem przykryty, na którym wężłowicie z koroną; w otoku: CLEMES. (sic) XIII — P. M. CORONAV. 1764. U spodu: ROMA. (Nr. 18).

(1) Wypis z Kuryera Warszawskiego 1763 r.

(2) Powyższe objaśnienie udzielił mi łaskawie 1839 r. ks. przeor klasztoru krakowskiego.

R. 1765 u Dominikanów w *Przemysłu*. Alabastrowa statua M. Boskiej, podczas napadu Tatarów 1240 r. z Kijowa przez ś. Jacka Odrowąza uniesiona i tu złożona, cudami słynąć poczęła. „Dnia 26 stycznia 1761 r. odprawiła się chwalebna z koś. OO. Reformatów introdukcyą przywiezionych koron przez ks. Karola Kopińskiego, na przyszłą koronacyą N. Panny Kamiennój w koś. OO. Dominikanów. Nazajutrz była wotywa, aby P. Bóg natchnął JW. i WW. Dobrodziejów, aby dopomogli do przyszłej koronacyi” (1). Jacy byli ci dobrodziejowie, kto dopełnił obrzędu, i którego dnia? nie wiadomo. Mówi wprawdzie o koronacyi u Dominikanów w Przemysłu dzieło wyżej przytoczone: *Opisanie królestw Gallicyi i Lodomeryi*, 1786 r., lecz jój daty nie podaje. Powzięliśmy atoli rok odbycia tego obrzędu z medaliku w srebro wybitego, w zbiorze K. Beyera znajdującego się, który, lubo nie jest właściwie koronacyjnym, ale że z owych pochodzi czasów i wyraża datę, o co nam głównie idzie, zamieszczamy przeto jego opis i rycinę pod Nr. 19.

S. G. Matka Boska w całej postaci, stojąca na półksiężycu w obłokach, z Dzieciątkiem Jezus na ręce; głowy obojga ukoronowane i ośmią gwiazdami otoczone; w środku przedzielonym tą figurą: *Anno—1765*. W otoku: B. V. M. IM. (*maculatae*) CON. (*ceptionis*) IN ECCL. CONV. PREM. (*isliensi*) CORONATA A CLEM. XIII.

S. O. Święty Franciszek z lewej strony, przed nim krucyfiks; lewą ręką dotyka trupiędz głowy, prawa zaś na

(1) *Kuryer Warszawski* 1761 r. Doniesienie to, na osobnej wytłoczce, wymienia kto niósł korony, i inne zamieszcza szczegóły.

sercu spoczywa. W otoku: S. FRANCISCUS FUNDATOR TRIUM ORDINUM.

R. 1765, dnia 15 września, Herakliusz Lisański arcyb. smoleński i siewierski: w katedrze grecko-uni-ckiej w *Chelmie*, stolicy ziemi b. Wtwa ruskiego (1). Medalik na tę koronacją bity, należy zaiste do rzadkości tego rodzaju numizmatycznej; nie posiada go, jak mi wiadomo, katedra chełmska, lecz unikat onego mieści się w zamożnym zbiorze Fr. hr. Potockiego. Jest on ze srebra, niewytwornój wprawdzie roboty, ale nosi na sobie cechy zupełnie odrębnego od innych typu.

S. G. Matka Boska z P. Jezusem na prawém ręku, lewą zaś ma do góry wzniesioną; głowy obojga ukoronowane. Po obu stronach głowy N. Panny głoski greckie, oznaczające w skrótenu METER—THEU (Matka Boska); nad głową zaś Zbawiciela, takiemiż głoskami w skrótenu: JESUS—CHRISTOS. W otoku: S. (ancta) M. (aria) CH—ELMENSIS.

S. O. Korona królewska pośrodku, z napisem w otoku: CORONATA. ANNO. 1765. DIE. 15. 7BRIS, (Nr. 20).

R. 1767, dnia 7 czerwca, Ignacy Krasicki bis. war-miński, przy pomocy Józ. Jędrz. Załuskiego bis. kijow-skiego: u Reformatów we wsi *Miedniewiczach*, w ziemi sochaczewskiej b. Wtwa rawskiego. Dla braku fundu-szu, korony nie zostały nadesłane z Rzymu, lecz tylko zezwolenie papieżkie dane pod d. 8 lipca 1764 r.; ko-rony zaś sporządzono ze szczodrobliwosci Izabelli z Fle-mingów Czartoryskiej jener. ziem podolskich, Alexan-dry z Czartoryskich Ogińskiej hetm. W. L. i innych

(1) Ob. dzieło in fol.: *Koronacja cudownego obrazu N. M. Pan-ny w chełmskiej katedrze obrzdku greckiego*, i t. d. Berdyczów, 1780 r.

znakomitych rodzin (1). Zamiast wybijania medalików, przestano na wylączaniu rycin, które przedstawiają stół przykryty obrusem, a na nim świeca, dwa talerze i owoce: siedząca N. Panna trzyma w ręku gruszkę, siedzący zaś naprzeciwko Zbawiciel, przytyka do ust pubar, utrzymywany przez ś. Józefa. U spodu napis: PRAWDZIWE WYOBRAŻENIE OBRAZU JEZUSA, MARYI I JÓZEFA Ś. W KOŚCIELE MIEDNIEWICKIM ZAKONU Ś. O. FRANCISZKA XX. REFORMATÓW, OD ROKU 1674 SŁYŃĄCEGO CUDAMI, UKORONOWANEGO OD KLEMENSA XIII, 8 LIPCA 1764 — RICHTER SC. YRAT. Zamieszczona data zezwolenia, wprowadzić może nieświadomych w błąd, że wtedy odbył się obrząd koronacji.

R. 1773, dnia 8 września, Sylwester Lubieniecki-Rudnicki bis. łucki i ostrogski obrz. grecko-unickiego: u Bazyljanów w Poczajowie na Wołyniu (2). Małej objętości wizerunek N. Panny trzymającej P. Jezusa, otrzymawszy 1550 r. Anna z Kosińskich Gojska, dziedziczka Poczajowa, od metropolity z Corogrodu jadącego, złożyła w świątyni, a 1597 r. uczyniła zapis na pola, poddanych, i inne pożytki dla Bazyljanów (3). Mikołaj Potocki Ssta kaniowski, od lat kilku pokutujące w klasztorze wiodący życie, nakładem swoim ukoronował cudowny obraz, w kaplicy z drzewa na ten cel zbudowanej,

(1) Ob: *Źródło cudów i łask Przenajdosłojniejszój M. Panny cudotwornego Miedniewickiego Jój obrazu, ukoronowanego i t. d. przez x. Onufr. Mysłkowskiego Reformata. Warszawa, 1793 r. 8ka.* Autor mówi: że w Polsce i W. ks. L. odbyło się 20 takich koronacji, licząc w to i miedniewicką; podług mojego zaś spisu, liczba ich wynosi 23; a zatem oprócz krakowskiej, dwie jeszcze inne nie doszły do skutku.

(2) Gazeta pod tyt: *Wiadomości Warszawskie 1773 r.* zamieszcza opis téj koronacji.

(3) Wiadomość tę powziąłem w samym Poczajowie.

opodał wznoszących się jego kosztem murów kościoła, i uwiecznił ten obrząd medalem.

S. G. Matka Boska trzymająca P. Jezusa na rękach; głowy obojga w koronach. W otoku: SANCTA. MARIA -- POZCZAIOWIEN: ORA. P: (ro) N: (obis). W odcinku: ROMAE.

S. O. Napis w dziesięciu wierszach: CLEM: (ente) XIV | P: (ontifice) O: (ptimo) M: (aximo) | STANISLAO. AUGUSTO | REGE. POLONIAE | NICOLAO. COM: (ite) POTOCKI | PROMOVENTE | A. SILVES: (tro) L: (ubieniecki) RUDNICKI | EFPO. (Episcopo) LUGBORIEN: (si) | CORONAT: (a) AN: 1773 | 8: 7 BRIS|.

Medal ten z brązu, jest w moim i innych zbiorach, srebrny zaś posiada Fr. hr. Potocki. (Nr. 21).

R. 1778, dnia 5 października, Stanisław Rajmund Jezierski bis. bakoński: u Dominikanów w *Latyczowie* na Podolu (1). „Obraz wyobraża N. Pannę, na lewej ręce dzieciątko Jezus piastującą, na płótnie malowany, ale od kogo i kiedy? nie masz pewności. Dominikanie fundowani 1600, czy 1606 r. przez Potockich. Podczas powstania Chmielnickiego 1648 r., obraz uprowadzony został, klasztor przez większą połowę obalony, kościół zaś złupiony z ozdób, w chlew i stajnię obrócony. Wnet Turcy zajmują Podole; wróciwszy zakonnicy 1703 r., zastali tylko miejsce, gdzie świątynia stała; wojna szwedzka wstrzymała sprowadzenie obrazu ze Lwowa. Przywieziono go dopiero 1722 r. do wsi Kopaczówki, zkąd uroczysta nastąpiła introdukcya 1 lipca do kaplicy przy nowo wznoszącym się kościele. Opatrznie zaczęła gospodarstwo, powrócona do swego domu, tyle w nim lat nie będąca gospodyni N. M. P., nowe codziennie ła-

(1) Doniesienie o odbytych obrzędzie, znajduje się w Gazecie Warsz. 1778 r.

ski i cuda przyczyniając. W lutym 1777 r. wyznaczona została kommissya do uznania cudów, celem wyjednania pozwolenia ukoronowania obrazu. Adam hr. na Krasnem Krasiński bis. kamieniecki, w ojcowską pieczołowitość przyjąwszy zakonne i powszechne ludu dyecezyi żądanie: aby obraz był złotemi z Rzymu koronami ozdobiony, zaniósł do Piusa VI kapituły watykańskiej prośbę na ten koniec. Taż kapituła pod d. 11 stycznia 1778 r. zezwoliła: ażeby koroną złotą, kosztem Dominikanów latyczowskich sporządzoną, ukoronował bis. Krasiński, lub jego koadjutor Jan Dembowski bis. drażneński, lub kto inny upoważniony. Korona d. 4 października t. r. ma być obrazowi oddana" (1).

R. 1779, dnia 15 sierpnia, Franciszek Komarnicki bis. cezareopolitański, sufragan łucki: u Franciszkanów w *Międzyrzeczu Ostrogskim* na Wołyniu. „Koronacya łaskami od niepamiętnych czasów słynącego obrazu, odbyła się przy licznej assystencyi wojska, przy gęstém biciu z ornat, z iluminacyami i ogniami tryumfalnemi, w obecności licznych urzędników, obywateli i niezliczonego pospólstwa. Uroczystość trwała przez całą oktawę, z przyzwoitém temu aktowi nabożeństwem i okazałością" (2).

R. 1786, dnia 8 września, Stefan Jan książę Giedrojc bis. żmudzki, w kościele farnym w *Szydłowie* na Żmudzi. Tadeusz Bukaty biskup tespieński, sufragan żmudzki, infułat szydłowski, sporządziwszy własnym kosztem szczerozłotą koronę, posłał ją do Rzymu, którą

(1) *Głosy do korony wzywające, czyli: cuda i łaski przy obrazie N. M. Panny w kościele latyczowskim cudownej świadczoną. 1778 r.*

(2) *Gazeta Warszawska, 1779 r. Nr. 73.*

Pius VI poświęcił. Obrząd koronacyi z wielką odbył się okazałością na rynku. Wyrytowany wizerunek tu-tejszej N. Panny, ma napis łaciński, mówiący o tym akcie religijnym (1).

VIII.

Owoż podałem dwadzieścia siedm uwieńczonych koronami cudownych wizerunków Bogarodzicy. Stosownie do przepisów koronacyjnych obrzędów, wytłaczano wizerunki ukoronowanych obrazów na papierze i bławatach, przesyłając pewną liczbę exemplarzy dla członków kapituły watykańskiej, wraz z historią drukowaną o początkach, cudach i koronacyi obrazu. Na uwiecznienie zaś pamiątki tych pobożnych obrzędów, rozdawano obecnym w kościele, jako téż i na cmentarzu, z różnego kruszcu medaliki, *koronatkami* zwane, zwykle w Rzymie bite i poświęcane.—Z załączonych tu rycin 21 medalików, 12 tylko odnosi się do właściwych sobie miejscowości; inne bowiem 9 są wariantami koronacyi sokalskiej, lwowskiej i berdyczowskiej. Z niejaką pewnością utrzymywać można: że nie bito medalików na koronacyą w Częstochowie, Trokach i Kodniu; przy opisach bowiem tych uroczystości niemasz wzmianki, żeby były rozdawane. Sokalska przeto koronacya rozpoczyna poczet tego rodzaju religijnych upominków, dziś tak starannie od lubowników numizmatyki poszukiwanych. Czemuż to przypisać należy, że koronatki hojną dobrodziejów szafowane ręką, a tém samém po całym upowszechnionemu kraju, stały się rzadkością, lubo niedawny od ich po-

(1) Ob.: *Wspomnienia Żmudzi, przez x. Ludw. Jucewicza, 1842 r.*

jawienia się czas upłynął? Powtarzam rzadkością, gdyż nie ma zbioru numizmatycznego, coby je choć w podanej przez nas liczbie 12 posiadał. Zadanie to, w ten może sposób dałoby się rozwiązać: przy rozdawaniu koronatków, ogłaszano udzielany od Ojca Świętego odpust zupełny na ostatnią chwilę tym wszystkim, którzyby je mieli, lub nosili przy sobie (1); póki przeto żyli ojcowie nasi, póty istniały i owe medaliki, czyli tak zwane *mentaliki*; znikają zaś wraz z życiem pobożnych, którzy z zupełną wiarą piastując te świętości na piersiach, wnosili je z sobą do grobu, i w łonie ziemi ukryli.

IX.

Ażeby dać wyobrażenie, jakie ceremonie towarzyszyły koronacyom obrazów, podaje opis takiego obrzędu w Chełmie odbytego. — Obywatele ziemi chełmskiej i przyległych województw, wdzięczni za cudowne łaski i dobrodziejstwa od M. Boskiej doznawane, umyślili dopraszać się stol. apost. o dozwole nie koronacyi obrazu: co uskuteczнили na sejmiku w Chełmie 1738 r. Prośbę tę podpisali: Michał Potocki Wda wołyński, Wacław Rzewuski Wda podolski, Jan Zamojski Wda lubelski, Karol Sapieha pisarz W. L., Seweryn Rzewuski referendarz K., Kunicki podkomorzy chełmski, Fran. Węgleński sędzia ziemski, Wiktor Wereszczyński sędzia grodzki i inni. Filip Wołodkowiez bis. chełmski dał świadectwo o słynącym oddawnu cudownym obrazie, i upraszał z swój strony o powyższy zaszczyt, co wręczono jadącym do Rzymu Bazylianom. Przed nadejściem buli,

(1) Tak się wyraża autor dzieła: *Ozdoba i obrona*.

umysłono rozszerzyć katedrę; lecz postrzegłszy, że odwieczne mury grożą zawaleniem się, postanowiono do szczytu rozebrać świątynię, a nową wymurować. Do kończywszy fabryki bis. Maxymilian Ryłło, ogłosił z ambony 25 maja 1765 r. przy wystrzałach z dział na wałach zamku, koronacją na d. 15 września, oraz list pasterski: zapraszając pobożnych M. Panny *klientów* na tę uroczystość. Tymczasem ozdabiać poczęto wewnątrz katedrę axamitem, lustrami, galonami; allegoryczne zaś obrazy, napisy, przezrocza i liczne herby, okryły cały przód zewnętrzny świątyni, a nadto wystawiono trzy tryumfalne bramy, z stosownemi do okoliczności napisami. Na dwa dni przed obrzędem, nadsięgnęło kilka chorągwi wojska, któremi dowodził jako regimentarz Wojciech Węgłński pułkownik husarski buławy polnej koronnej; Fran. Potocki Wda kijowski przysłał 20 własnych dział z Krystynopola, 10 zaś ordynat Klemens Zamojski Ssta tarnawacki, jako też i inżynierów dla robienia ogniów sztucznych. „Dnia 14 września JW. Regimentarz z całą dywizją od kościoła ś. Ducha z wielką okazałością marsz swój ku zamkowi zaczął; a najprzód przednia straż poprzedzała, poważne chorągwie paradnie uzbrojone maszerowały, za któremi 4 dzielne konie, bogato przez masztalerzów po turecku ubranych, prowadzone były; sam zaś Regimentarz na dzielnym koniu, złotym dywdykiem przykrytym i bogato przybranym, w srebrnej zbroi husarskiej, z kameryzowanym katkanem postępował, a za nim mnóstwo dworzan paradnie przybranych, na dzielnych koniach, piękną kalwakatę czyniło. Szła potém karetą 6-konna, w której JW. Stefan Kunicki kaszt. chełmski, z JW. Bąkowskim podkomorzym chełmskim, złożone na bogatych węgłowiach korony,

do miasta wprowadzili. Gdy zbliżali się do tej bramy tryumfalnej, JW. x. bis. Ryłło *pontificaliter* ubrany, z licznym klerem, wysiadających z karety JW. kasztelana i podkomorzego spotkał, i zaraz wyborną mowę JW. kasztelana zaczął" (1). Odbierając biskup korony od Klemensa XIII nadesłane, stosownie przemówił, poczem wprowadzono je do katedry. Korony przybrane były drogiemi kamieniami od Anny Potockiej wojew. kijowskiej. Wotywę odprawił Lisański arcyb. smoleński, panegiryczne zaś kazanie miał Pisarski Jezuita z Łucka. W czasie niesporów artylerya słyszeć się dała, muzyka zaś przygrywała na wieżach. Dnia 15 przybywszy arcybiskup do katedry, zasiadł na tronie, a będąc tamże ubrany w pontyfikalne szaty, udał się do kaplicy, gdzie złożone były korony. Pobłogosławiwszy je, usiadł na *faldisterium*, i, jak wyraża ówczesne pismo: *facundissimo ore* miał mowę; poczem wysłuchał przysięgi prowincyała i superyora zakonu Bazyliańców, zeznających: że te są, a nie inne korony złote, nadesłane z Watykanu; że zawsze przy tutejszym obrazie chowane, pilnie strzeżone i nigdy z miejsca ruszane nie będą. Zeznanie to, zobowiązali się podpisać: bis. chełmski, duchowieństwo i znakomitsi obywatele, oraz do ksiąg ziemskich zaciągnąć. Odczytano następnie *breve* papieżkie, nadające odpust zupełny na dzień koronacyi i na całą oktawę, jako téż i na rocznicę tego obrzędu przez lat dziesięć. Wracając ku wielkiemu ołtarzowi, niosła dla M. Boskiej koronę Anna z Potockich Rzewuska, a dla Zbawiciela: z Rzewuskich Ledóchowska kaszt. wołyńska. Złożywszy je arcybiskup na ołtarzu, odprawił mszę, poczem przystą-

(1) Dostownic z dzieła wyżej pod Chełmem przytoczonego.

pił do aktu koronacyi. Kładąc koronę na głowę P. Jezusa, wyrzekł: *sicut per manus nostras coronaris in terris, ita et a Te, gloria et honore coronari mereamur in coelis.* (Jako przez ręce nasze jesteś koronowany na ziemi: tak i od Ciebie chwałą i godnością niech będziemy godni być ukoronowani w niebie). Wieńcząc zaś koroną skronie N. Panny, mówił: *sicut per manus nostras coronaris in terris, ita et a Christo coronari mereamur in coelis.* (Jako przez ręce nasze koronowaną zostajesz na ziemi: tak i od Chrystusa niech będziemy godni być ukoronowani w niebie). Rozdawano w kościele i na cmentarzu medaliki złote, srebrne, mosiężne i cynowe, na tę pamiątkę wybite, tudzież wizerunki obrazu cudownego, na różnych materyach i na papierze wyciskane. Z ukoronowanym obrazem nastąpiła procesya; poprzedzały ją magistraty i bractwa z różnych miast i włości przybyłe, za nimi zaś duchowieństwo i biskupi; zatrzymywano się przy każdej z 3 bram tryumfalnych, dla słuchania mów na cześć cudownego obrazu mianych. Za powrotem do katedry, umieszczono obraz w oltarzu; wieczorem oświecono kościół, wieżę ratusza, bramy tryumfalne i miejskie, i puszczano ognie sztuczne. Przez cały tydzień solenne odbywało się nabożeństwo, na zakończenie zaś Bazylianie wileńscy odprawili z Jezuitami krasnostawskimi dysputę, tyczącą się tajemnic N. Maryi. Takim sposobem odbył się obrząd ten uroczysty, nakładem obywateli ziemi chełmskiej, do czego najwięcej przyłożył się Fran. Salezy Potocki Wda kijowski.

X.

Skreśliwszy rys czci przodków naszych ku Bogarodzi-
cy, zamknijmy pracę naszą odświeżeniem w pamięci stu-

letniego jubileuszu koronacyi ś. obrazu Jasnogórskiego. Za upoważnieniem Piusa VII, zapowiedziana została na d. 8 września 1817 r. uroczystość ta religijna, z przywiązaniem do niej odpustem. Gdy się ów wielki dzień zbliżał, niepoliczone tysiące ludów wszelkiej płci i wieku, nietylko z polskich krajów, ale z Szlązka, Czech, Morawii i Węgier dążyły z oznakami pielgrzymstwa do Częstochowy. Szanowny w religijnym i literackim względzie Jan Paweł Woronicz bis. krakowski, w towarzystwie trzech bis. sufraganów, zjechał dla przewodniczenia ś. obrządkowi. Otworzył wzmiankowany pasterz uroczystość nieszporama, przy udgłosie dzwonów, mōdzierzy wałowych i dobranej muzyki. Przez cały tydzień solenne trwało nabożeństwo, komunikantów zaś rozdano przeszło sto tysięcy. „Jeżeli kto zapyta: zkąd ta cześć i ufność ku temu ś. obrazowi urosła?, każdy prawy chrześcianin znajdzie odpowiedź w księgach Bożych i nauce kościoła podaną: że Bóg, acz wszędzie obecny i wszechmocny, przywiązał jednak podług woli swojej świętej do pewnych czasów, czynów i miejsc, szczególniejszy udział dziwów dobroci i potęgi swojej, któremi wiarę i ufność szczerych wyznawców Imienia swego nagradza” (*Gazeta Warsz.* 1817 r., Nr. 78).

O KORSARZACH

ARCHIPELAGU WSCHODNIEGO (*).

Już od wielu wieków Europa ciągnie niezmierne korzyści z handlu, jaki prowadzi ze wschodnią Azyą. Drogie korzenie wysp Moluckich; heban, perły, pióra strusia z Nowej Gwinei; dyamenty, kumfóra i złoto z Borneo; ryż i pieprz z Jawy i Sumatry; cukier, tytoń i kawa z wysp Filipińskich; воск, jaskółcze gniazda i żywice wonne, które znajdujemy na tych wszystkich wyspach: niezaprzeczenie już od najdawniejszych lat, grają najgłówniejszą rolę w handlu Europy z innymi częściami świata. Lecz nikt jeszcze nie chciał zbadać i poznać geografii niektórych z wysp tego archipelagu, postępować za Fosterem w jego awanturniczej podróży do Balambangan w Nowej Gwinei, roztrzasać szacowne, chociaż nieco dziwaczne badania Dalrympla, i odważyć się na śledzenie rozwlekłych opowiadań żeglarzy holenderskich, ażeby przynajmniej nabyć ogólnego wyobrażenia o tych wiecznie zielonych wyspach i rozległych morzach Indyjskiego archipelagu. Jednakże jestto zaj-

(*) *Edinburgh Review.*

mująca nauka. Jest tam z górą czterdzieści milionów ludzi, przeznaczonych do wstąpienia w ściślejsze stosunki z Europą, i oczekujących na rozwinięcie moralności i zdolności za pomocą oświaty. Ci mieszkańcy archipelagu nie są bynajmniej owemi dzikimi ludźmi, żyjącemi niedbale z gotowych darów przyrodzenia, nie myśląc o przyszłości. Przeciwnie, są oni bardzo obrotni, bardzo przemyślni i wiecznie zajęci: to na lądzie, to znów na morzu, zbiorem, przechowywaniem i rozwożeniem płodów swój bogatą ziemi. Na brzegach, niezliczone mnóstwo rybaków zajmuje się połowem i przyrządzaniem *trepangu*, zbiorem *agar-agar*, lub połowem pereł. W głębi krajów, całe pokolenia pracują nad zbiorem ryżu, kawy, cukru, tytoniu i korzeni; uprawiają kokosy, betel i inne rośliny, które nigdzie nie są tak obfite, jak tam. W tymże samym czasie, bałwany mórz przyległych, zatoki, odnogi, cieśniny, są ciągle przerywane przez Malajczyków, Papusów, Bajowsów, Jawajczyków, Bużysów i innych, którzy ze swojemi kupieckimi statkami, krążą od jednej wyspy do drugiej.

Najpiérwsze wiadomości o téj cudownej krainie, winniśmy sławnemu weneckiemu podróżnemu Marco Polo, który ją zwiedził około 1290 r. W następującém stuleciu, John Mandeville również przybił do tych wysp w czasie swojej długiej podróży. Lecz dwieście lat upłynęło, zanim Europa zwróciła na nie swoje handlowe widoki. W przeciągu tego czasu, inny naród pochodzenia azyatyckiego odkrywszy archipelag, zwiedził go we wszystkich punktach w celu handlowym i religijnym. Byli to Arabowie, którzy wypłynawszy z zatoki Perskiej i brzegów morza Czerwonego, ominęli archipelagi Atolski i Maldywski, okrążyli południowy przylądek wyspy

Cejlan, a potem przebywszy odnogę Bengalską, śmiało się rzucili pomiędzy tysiące wysp, i dosięgli aż do brzegów państwa Niebieskiego. Następnie odważni awanturnicy z półwyspu Arabskiego, Persyi, Syryi, Egiptu, przybywali do tego archipelagu, osiadali na wyspach najurodzajniejszych, i opowiadali naukę Mahometa. Przez nich i przez żeglarzy, którzy zwiedzali te bogate brzegi, zebrane zostały materiały do cudownych powieści Tysiąca i jednej nocy, które rozlały się po całym świecie. Ożywieni religijnym fanatyzmem i żądzą zysku, kupcy mahometańscy przenikając pomiędzy narody bałwochwalcze, byli przygotowani walczyć z ich przesądami, i podbijać ich pod swą władzę. Koran stał się węzłem braterstwa. Prawowierni zmuszeni byli zobopólnie sobie pomagać, tworzyć ogólne przedsięwzięcia i wynosić na tron uczniów proroka. Nie mamy dokładnych wiadomości o wyprawach pierwszych Muzułmanów; nie wiemy, jakie były ich pierwsze postępy: możemy tylko zrobić sobie o tém wyobrażenie z tego, co zaszło przy końcu XV wieku. W téj epoce, w której Europa układała plany względem tych krajów, królestwo Hindu, którego Moja Pahit było stolicą, wpadło w ręce awanturniczych Muzułmanów z wyspy Sumatry.

W 1509 roku, po upływie jedenastu lat, jak Vasco de Gama odkrył drogę do Indyj około przylądka Dobrzej Nadzi, don Lopez de Sequeira odkrył archipelag Indyjski, dosięgnąwszy z małą flotylą brzegów Pediru na wyspie Sumatra. Udał się do Malakki na półwyspie malajskim, wydał bitwę sultanowi Mohamedowi, który go pobił i przymusił do odwrotu. We dwa lata potem, odważny Alfons Albuquerque popłynął do Malakki. Pod pozorem pomszczenia się przegranej Saqueiry, powziął

zamiar rozprzestrzenić jak można najdalej panowanie Portugalczyków. Nie będziemy wchodzić w szczegóły tej wyprawy i opisywać wojen, które za sobą pociągnęła. Portugalczycy przebiegali archipelag, szukając wysp obfitujących w korzenie; osiedli przemocą na wyspach Moluckich, i ośmieleni powodzeniem oręża, najstraszliwszych dopuszczali się okrucieństw. Niespodziewane współzawodnictwo dało nowy popęd ich chciwościom. Hiszpanie pod przewodnictwem Magellana, rodem Portugalczyka, lecz służącego Karolowi V, podeszli ich przybywając do archipelagu, w 1519 roku, inną drogą, t. j. przez cieśninę, która od tego żeglarza, Magellańskiej otrzymała nazwisko. Magellan odkrył Manille, ażeby na nich umrzeć. Hiszpanie tak byli zajęci w innej części świata, iż nie objęli w posiadłość tych wysp, aż dopiero w 1564 r. w imieniu króla Filipa II, od którego nazwane zostały Filipińskimi. W piętnaście lub szesnaście lat potem, zmiany polityczne, które wzburzyły Europę, miały swoje echo nawet w tych oddalonych strefach. Filip połączył Hiszpanią i Portugalią pod swoje berło, a prawie w tym samym czasie (1579 — 1580), Holandia wybiła się zpod panowania hiszpańskiego. Te wypadki, odjęły sposobność kupcom holenderskim zaopatrywania się w Lizbonie towarami Wschodu. Ażeby nie utracić tak ważnej gałęzi przemysłu, trzeba było spróbować podbić część kraju, zajętego przez ich nieprzyjaciół.

Po raz pierwszy flaga holenderska ukazała się na wyspach Azji w roku 1596; na kilka lat przedtém, Anglicy starali się także na nich osiąść. Lecz wówczas, kiedy Holendrzy cierpliwie pracowali nad rozszerzeniem wpływów, utwierdzeniem handlu i zakładali fundamenta

przyszłej swojej władzy; Anglicy przeciwnie, zrobiwszy świetny początek na Jawie i w kilku innych miejscach, porzucili to przedsięwzięcie, gdyż zwrócili całą swą uwagę i usiłowania na ląd stały Indyj. W ciągu wieków XVI i XVII, Holendrzy pracowali nad utwierdzeniem swojego panowania na archipelagu, nad wygnaniem z niego Hiszpanów i Portugalczyków, i pochwycili w swoje ręce monopol towarów kolonialnych. Po mału, Portugalczycy usunięci zostali z pola handlowego współzawodnictwa; Hiszpanie zachowali wyspy Filipińskie, zagarnęli pod swoją władzę północne wyspy tego archipelagu, wzniesli zakłady fabryczne w Magindano, i rościli prawa do wyspy Palawan i północnych wybrzeży Borneo. W tymże czasie, Holendrzy rozciągali swe panowanie na wschód i zachód Jawy, podbili wyspy Moluckie, przeniknęli wewnątrz Borneo, i zakładali faktorie w Celebes.

Kiedy czytając historią rozbojów morskich w starożytności, spostrzegamy tam nieraz bandy korsarzy dosyć silne, ażeby mogły walczyć z rzeczypospolitą rzymską w dniach jej największej świetności: przypisujemy ten wypadek szczególnym i nadzwyczajnym okolicznościom. Zapominamy, iż stowarzyszenie bukanierów zniszczonych przez Pompejusza, nie było więcej niebezpiecznym dla handlu ówczesnej epoki, jak to, które istnieje w naszych czasach, w okolicach angielskich kolonij, i że tak powiem, w samym ognisku posiadłości holenderskich w Indyach. Lecz jest rzeczą niezaprzeczoną, że korsarze, którzy niegdyś walczyli z starożytnym Rzymem o panowanie na morzu Śródziemnym, byli w bardzo szczupłej liczbie, w porównaniu do całych wojsk mor-

skich, trudniących się témże samém rzemiosłem na oceanie Wschodnim. Co większa, te ostatnie władają posiadłościami i całemi państwami, gdzie rozpościerają przepych królewski. Historyn, która w swoich obrachowaniach rzadko zmniejsza liczbę sił walczących, podaje na 80,000 liczbę korsarzy, pobitych przez Pompejusza. Możemy bez przesady przypuszczać, że jest ich cztery razy więcej na archipelagu Indyjskim. Wprawdzie nie podlegają oni jednej władzy, nie są skierowani do jednego celu, i nie mają jednego ogólnego charakteru.

Wszyscy ci, którzy zajmowali się tym przedmiotem, zapewne spostrzegli, iż stowarzyszenia korsarzy są rozsiądane podług praw natury. Wszędzie, gdzie napotykamy gromady wysp, rozdzielone wązkiemi cieśninami, przecięte kanałami i zatokami, bronione mieliznami i skałami; gdzie w jedném miejscu znajdujemy głębokie jaskinie, tam znowu przerażające przepaści: można być pewnym, iż natrafimy na siedzibę rozbójników morskich.

Pierwsi korsarze o których historia wzmiankuje, ukazywali się wśród wysp i skał morza Egejskiego; Normanowie wypłynęli ze swych ciasnych i napół zmarzniętych zatok (*fjords*); bukanierzy i filibustery amerykańscy, rozpościerali swe napady w odnodze Meksykańskiej; żuawizmisowie obrali sobie za siedlisko niezliczone zagłębienia i wysepki, ciągnące się wzdłuż brzegów wschodnich Omanu; Malajczycy, Bajowsy, Sulerowie, Papusy i inne barbarzyńskie hordy, zapełniały archipelag Indyjski, ciesząc się z niezmiernego labiryntu skał, raf, zatok, odnóg, cieśnin, które przerzynają i zapelniają cały przestwór dwóch tysięcy wysp.

Żeglarze zwiedzający te strony nie mogą pojąć, z kąd się biorą te miryady statków wojennych, snujące się

wszędzie w przejściach najniebezpieczniejszych, pływające w górę rzek i krążące wokoło przylądków i zasp piaszczystych.

Na wschód i zachód Sumatry, w Nowej Gwinei, Jawie, Bali i Lombok aż do ostatnich krańców Magindanao i Palawan, nie ma wyspy, któraby nie była gniazdem korsarzy; lecz nie takich korsarzy, jakich napotykamy w naszych strefach, ani takich, jakich sobie z poematów Byrona wystawiamy; nie korsarzy bez rodziny i własności, blakających się po morzach, jak rozbójnicy w lasach. Ci przeciwnie, pewną część roku przepędzają na ziemi, zajęci rybołówstwem, handlem, uprawą gruntu, jak ludzie uczciwi i przemysłowi. Niektóre ich siedziby są położone w miejscach najprzyjemniejszych, jakie tylko na Wschodzie napotykamy.

Płyniesz w górę rzeki jeszcze nieznaną, wśród żywnych równin, wśród niezmiernych dziewiczych lasów i malowniczych dolin, odzianych najświetniejszą roślinnością, może najpiękniejszą na całym świecie; wtém przybywasz do małej romantycznej wioski, złożonej z kilkuset domków lekko zbudowanych, opartych na słupach, otoczonych ogrodami, tak starannie utrzymywanych, jak chińskie. Pytasz zdziwiony: kto są szczęśliwi mieszkańcy tego ziemskiego raju? Odpowiadają ci: rozbójnicy morscy! Widzisz kobiety i dzieci pracujące lub igrające na nadpowietrznych gankach; wśród nich szonowny starzec z siwą brodą siedzi zadumany. Ten starzec, który co dzień zanosi do Allaha modły, który dopełnia z największą ścisłością wszystkich obrzędów przepisanych przez jego religię, ten starzec jest rozbójnikiem. Wchodzisz wewnątrz jednego z tych domków, i widzisz w nich ślady cywilizacji Azji zachodniej,

nacechowanęj żarliwym fanatyzmem półwyspu Arabskiego. W téjże chwili może spostrzeżesz niedaleko drzewi wieńce, utworzone z czaszek ludzkich, zawieszane u pułapu, lub zebrane w sieci, mające służyć do jakich obrzędów pogańskich. Wokoło mieszkania spostrzegasz grunt doskonale uprawny; ze wszystkich stron wznoszą się drzewa kokosowe, które upiększają krajobraz, stanowią bogactwo właściciela i orzeźwiający cieniem, wabią do siebie strudzonego podróżnego. Lecz w pewnej epoce roku, z tego zachwycającego ustronia, z tego małego raju podzwrotnikowego, wymyka się horda bukanierów, i uzbrojona w muszkiety, dzidy, zatrute strzały i swoje straszne *lelahs* (rodzaj mieczów), daleko postrach i mordy roznosi.

Floty korsarskie różnią się bardzo między sobą, co do powierzchowności. Flotyllę Dyaków i niektórych innych pokoleń, składają się z małych lekkich statków, prostęj roboty, lecz żeglujących szybko wzdłuż brzegów, za pomocą wiosel i żagli. Nie będąc w stanie przedsiębrania dalekich podróży, lub wstępowania w bój ze statkami większego kalibru, nie zajmują się niczem więcej, jak tylko obdzieraniem łódek krajowców prowadzących handel, lub porywaniem niewolników. Przeciwnie, floty Illanunów i Balaninów, przy wyprawie przedstawiają widok daleko wspanialszy. Składają się niekiedy ze stu statków wojennych, *prahusów*, z których każdy opatrzony jest wielką liczbą ławek wiosłarskich, podwójnym pomostem, wysokimi masztami, wielkimi żaglami; a na nich, znajdują się rycerze przybrani w świetną szkarłatną odzież, uzbrojeni w długie włócznie, błyszczące miecze, i bardzo często zaopatrzeni w bronzowe armaty.

Badając obyczaje, potęgę i charakter tych korsarzy, pomimowolnie przywodzą one na myśl starożytnych Wikingów północy, tych królów morza, którzy, jest temu około tysiąca lat, prowadzili na brzegach Norwegii, Danii, Szwecyi, Niemiec, Francyi i Anglii, także samo rzemiosło, jakim teraz korsarze archipelagu Indyjskiego zajmują się, i popełniali także okrucieństwa. W obu tych narodach, jednakowa nieszczęsna organizacya, wpływała z jednakowych okoliczności: z rządu niedostatecznego, z niedokładnych wiadomości o sztukach i rzemiosłach, z wychowania błędnego, z przewagi wyobrażeń sparaliżowanych i przewrotnych, rozlanych na łonie społeczeństwa. Normandowie pogardzali przedsięwzięciami spokojnemi. Dzieła siły, wydawały się im być daleko szlachetniejszymi, niż dzieła przemysłu i sztuki. Zamiast zachęcania synów lub poddanych do rolnictwa, handlu lub do jakiegobądź uczciwego rzemiosła, królowie Żarlowie skandynawscy, podbudzali ich do budowy i uzbrojenia okrętów, i szukania szczęścia w oddalonych morzach. Nawykli do walki z żywiołami, do wytrzymywania niedostatku, i do życia w obec ciągłych niebezpieczeństw; przyzwyczajali się mało dbać o życie, i tłumili w sercach swoich wszelkie uczucie ludzkości. Przyzwyczaili się patrzeć bez najmniejszego wzruszenia na zakrwawione rany, na bolesne tortury, na nędzę niewoli; a kiedy na nich przychodziła kolój, szli na śmierć obojętnie: *Ridens morior.*

Terazniejsi korsarze indyjscy, mają tenże sam charakter. Tak, jak ich poprzednicy z Północy, pogardzają zajęciem spokojnym, a ich dowódcy starają się jedynie o wzbogacenie za pomocą rabunków i gwałtów. Bez litości i wyrzutów sumienia, jak Normandowie, w nocy pod-

palają wsie, mordując wszystkich tych, którzy chcą stawić opór; kują w kajdany jeńców, rzucają ich razem na spód swych wojennych prahusów i sprzedają na targach. Lecz nie napadają oni tylko na tych, którzy są słabi i bezbronni; przeciwnie, również jak starożytni mieszkańcy Skandynawii, śmiało wysiadają na brzegi napełnione liczną ludnością, burzą wsie, miasta, i często oblegają stolice. Illanunowie i Balaninisowie, napadają fortece książąt, i obracają w perzynę całe miasta. Kiedy Anglicy zawarli przymierze z sultanem Omad-Ali, ażeby wraz z nim starać się o uśmierzenie korsarstwa; Balaninisowie grozili napadem na Brunę, ażeby ukarać sultana za zawarcie tego przymierza.

Taka jest siła, taka jest śmiałość tych ludzi, iż na przestrzeni kilku tysięcy mil kwadratowych, żaden statek krajowców nie jest bezpiecznym, żaden mieszkaniec tamecznych krajów, równie książę jak i poddany, nie może spocząć spokojnie na swém łożu. Ci nowi władcy oceanu zniecka ukazują się w najodleglejszych okolicach, od zachodniego krańca Sumatry, aż do prowincyj południowych Nowej Gwinei, i od wysp Filipińskich, aż do wysp Drzewa Sandałowego. Historycy uważali z zadziwieniem, iż korsarze skandynawscy mogli zaopatrywać się w żywność na podróż całoroczną; lecz ich wyprawy były ścieśnione w pewnych ogólnych granicach, i z łatwością przychodziło im zaopatrywać się w wodę i żywność. Bukaniery archipelagu, przepędzają niekiedy po dwa lata na morzu, i w przeciągu tego czasu odbywają tysiące mil. Ostatnią razą widziano ich na północno-zachodniem pobrzeżu Borneo, prowadzących jeńców z Papua i łupy z półwyspu Malajskiego.

Jak Wikingsy z Północy, korsarze archipelagu mają świetne powodzenie. Niejeden wschodni Rollon, mieczem swym podbił przepyszne prowincye, i własną jedynie siłą, osadzał się na mniej lub więcej trwałym tronie. Prawie każda wyspa, tak większa jak i mniejsza, jeźczała przez pewien czas, pod panowaniem któregośkolwiek z tych korsarzy. Od niedawnego zaledwie czasu, historycy zaczęli zwracać uwagę na to pokolenie korsarzy; gdy przeciwnie liczni pisarze, starali się skreślić wyprawę Wikingsów północnych.

Jeżeli zechcemy osądzić bezstronnie naszych nieprzyjaciół pogańskich Azji wschodniej, znajdziemy pomiędzy nimi także same przykłady odwagi i heroizmu, jak pomiędzy awanturnikami Skandynawami. P. Brooke, który jest w stanie sprawiedliwie ocenić odwagę, przeciwko której walczył, przytacza z pewnym rodzajem pochwały bohaterstwo prawdziwie spartańskie, jakie okazał Illanun Panglima w przystani Serawak.

„Przybywając, mówi on, do Siru, znalazłem na wybrzeżu Potingę, czekującego na Pangerana i Illanun Panglima. Ażeby oddalić wszelkie podejrzenie, moi ludzie skryli się do łodzi, z kąd uważali poruszenia korsarzy. Pangeran i Illanun wysiedli na brzeg, obadwaj dobrze uzbrojeni, a ostatni przybrany w rozmaite ozdoby. Gdy już znajdowali się na ziemi, wszelki sposób do ucieczki był im niepodobny: gdyż moi ludzie otoczyli ich, nie czyniąc jednak żadnych kroków nieprzyjaznych. Na widok niebezpieczeństwa jakie im zagrażało, Pangeran pozostał spokojny, milczący, nieruchomy; dziecię mogłoby go było ująć. Lecz Illanun Panglima, uniesiony rozpaczą, drżącą jedną ręką uchwycił włócznię, a drugą ściskając rękojeść miecza, wzywał swych przeciwników,

Zaczął swój taniec wojenny, twarz jego zbladła, oczy zapalily się. Był przygotowany umrzeć, lecz umrzeć nie sam jeden. Trzeba było z nim skończyć, gdyż stawał się niebezpiecznym i nie można było myśleć o jego uwięzieniu. Patinga Ali przyskoczył doń, i pchnął go włócznią pomiędzy ramiona z taką siłą, iż ostrze wyszło piersiami. Nigdy nie słyszałem, ażeby po takiem uderzeniu, człowiek mógł oddychać: Panglima jednakże zrobił jeszcze kilka kroków i rzucił swą włócznię na drugiego przeciwnika. Lecz sił mu zabrakło i jego broń upadła na ziemię. W kilka sekund, wszystko było skończone (1).”

Inny wyjątek z tego zajmującego dziennika dowodzi, że niewszyscy korsarze okazują tukiż sam stoicyzm, i że bojaźń śmierci może wziąć górę nad odwagą i nieza wsze da się pokryć udawaniem:

„Korsarz Bedrudeen był zaprowadzony do jednego ze swoich krewnych, który zezwolił na jego śmierć, i został uduszony przez Pangeran Bakore. (Ten sposób śmierci, ulega pewnym prawidłom. Skazanego umieszczają przed gęstą zasłoną, i za tą zasłoną skracają powróz). Zatwardziały ten rozbójnik, widząc śmierć tak blisko, zawołał z rozpaczą: „Ach! czyż muszę umrzeć za to, że zamordowałem kilku Chińczyków! Łaski! łaski!” Jego teść został zamordowany uderzeniem *krisza* w serce. Spojrzał z uśmiechem wzgardy na fatalną broń, i w tej chwili skonał” (2).

Odważni ludzie umierają takimże samym sposobem, kiedy ich namiętności są wzburzone, lub kiedy muszą uleść losowi. Uczucie krwawego życia, nie zastrasza ich, i żaden z uczniów Zenona, karmiony zimnemi syl-

(1) Mundy's Narrative of events in Borneo and Celebes.

(2) Tamże.

logizmami, nie wyrzekłby się życia z większym spokojem, jak niejeden z tych bandytów, który otrzymał śmiertelną ranę w bitwie. „Wypadek, mówi Keppel, którego byliśmy świadkami na pomoście wziętego statku korsarskiego, daje trafne wyobrażenie o charakterze tych energicznych ludzi. Pomiędzy tymi, którzy byli śmiertelnie ranieni, znajdował się młody dowódca prahusu, jedna z najszlachetniejszych twarzy, jaką mi się kiedykolwiek zdarzyło widzieć; piękny jak bohater romansu, pełen wdzięków i godności. Rażony w czoło i w pierś, oczekiwał ostatnich chwil swoich. Chciał przemówić, lecz krew płynąca ustami, tłumila głos jego. Po kilka razy starał się przezwyciężyć tę przeszkodę, i za każdym razem był zdradzonym w swoim usiłowaniu. Ci, którzy go otaczali, z żalem spoglądali na niego, i podnieśli go, chcąc przynieść ulgę jego cierpieniom. On, załamał ręce na poszarpanych piersiach, spojrział obłąkanym wzrokiem na otaczających go Anglików, rzucił ostatnie spojrzenie na ocean, który był teatrem jego podbojów i wypraw, i umarł nie wydawszy ani jednego jęku”.

Słowa, któreby ten dowódca korsarzy wyrzekł, gdyby mu potok krwi nie był przeszkodził, znaleźlibyśmy zapewne w skandynawskich sagach. Sagi te, przedstawiają nam często umierających rycerzy, podobnie jak korsarza z Borneo, lub rzezie jeńców wojennych. Jedną z najwięcej zadziwiających jest saga o fortecy Jomsborg, gdzie każdy w godzinę śmierci starał się być spokojnym i wesołym (1).

(1) Imię tej fortecy, o której podanie sięga aż czasów bajecznych historii duńskiej, jest wzmiankowane w kilku sagach islandzkich. Pod panowaniem Heralda Blaatand, bohatera

W roku 924, w jednej ze swych niebezpiecznych wycieczek, garnizon tój cytadelli był pobity przez flotę Hakon Jarla, króla Norwegii. Zdaje się, że przesąd był główną przyczyną tój przegranej. Wystawiali oni sobie, iż na przodzie okrętu Hakon'a, widzą Thorgard'a Hordabrud, który wyrzucał na nich chmury zabójczych strzał. Sigwald wypłynął na pełne morze, powtarzając, iż chce walczyć z ludźmi, a nie z czarnoxięźnikami. Kiedy Bue Gruby (Bué le Gros) spostrzegł, że wszelki opór byłby bezskuteczny; wziął dwa kufry pełne złota, rzucił się z niemi w morze i zginął. Wager bił się dalej odważnie, aż nakoniec zwyciężony przemagającą liczbą nieprzyjaciół, był wzięty w niewolę wraz z trzydziestoma swojemi. Zmienić podobnych ludzi na niewolników, było niepodobna; albowiem Duńczycy, mówi Adam z Bremy, przenosili raczój śmierć jak niewolę. Tak jak Muda Hassim ukarał śmiercią korsarza Berdrudeen i jego szwagra; podobnie Hakon Jarl', cięciem sickiery postanowił uwolnić się od tych niebezpiecznych jeńców. Z rana po śniadaniu, kazał im stanąć przed sobą. Oto jak Mallet opisuje ten wypadek:

„Pierwszy, którego prowadzono na śmierć, rzekł tylko bez najmniejszego widocznego wzruszenia i oznaki bo-

i przedsiębiorczy Palnatoke, otrzymawszy od Borysława posiadłości w kraju Wendów, wybudował tam fortecę, której dał nazwisko Iomsborg. Była ona położona w sąsiedztwie portu tak obszerne-
go, iż ten mógł pomieścić, jak mówi kronika, trzysta okrętów. Stała się sławną na całej Północy. Zwycięstwo Hakon Jarla zadało cios niewynagrodzony załodze morskiej, która ją zajmowała; jednakże długo jeszcze istniała ona, raz wpadając w ręce królów duńskich, to znowu uzbrajając się przeciwko nim. Nakoniec straszny ten arsenał wzięty został przez Magnusa Dobrego. Zrobimy tu uwagę, iż założyciel Iomsborgu, Palnatoke, o którym legenda napisana została przez Saxo Grammatyka, przedstawia zastanawiające podobieństwo do rysów życia Wilhelma Tella.

jaźni: „Dlaczegożby nie miało mi się przytrafić to, co memu ojcu? On umarł, i ja muszę umrzeć także”.

„Wojownik nazwiskiem Thorkild, który miał uciąć głowę drugiemu, zapytał się go: jakich uczuć doznawał na widok blizkiej śmierci? Odpowiedział: że zanadto dobrze pamiętał prawa Julin'a, ażeby miał wymówić chociażby jeden wyraz, oznaczający bojażń”.

„Trzeci, odpowiedział na to samo zapytanie: że cieszył się z tego, że umiera śmiercią bohaterską, i że przenosi śmierć, nad życie tak nikczemne jak Thorkild'a”.

„Czwarty, dał dłuższą i więcej zajmującą odpowiedź: „Znoszę chętnie śmierć, rzekł, i ta chwila jest mi bardzo przyjemną. Proszę cię tylko, dodał obracając się do Thorkild'a, ażebyś mi uciął głowę jak można najprędzej; niepokoi mię bowiem pytanie, któreśmy często zadawali Julin'owi: czy pozostaje nam jakiekolwiek uczucie po ścięciu głowy? Dlatego wezmę nóż do rąk; jeżeli po odcięciu głowy podniosę go na ciebie, będzie to znakiem, że niezupełnie utraciłem zmysły; jeżeli zaś go wypuszczę, będzie to przeciwną oznaką; śpiesz się zatem”.

„Piąty, okazał podobną spokojność, i skonał naigrając się ze swych nieprzyjaciół”.

„Szósty, zalecił Thorkild'owi uderzyć go w twarz. — „Będę stał nieruchomy, rzekł, i ty będziesz uważał, czy okażę jakim bądź sposobem bojażń, i nawet czy zmrużę oczy. My bowiem jesteśmy przyzwyczajeni nie cofać się, nawet wtenczas, kiedy nam ciosy śmierci zadają, i ćwiczyliśmy się w tém w częstych naszych zwycięztwach”. Umarł dotrzymując swęj obietnicy, w obec licznych widzów.”

„Siódmy, mówi historyk, był młody człowiek w kwiecie wieku, i uderzającej piękności. Gdy się go Thorkild

zapytał: co myślisz o śmierci? — Przyjmuję ją chętnie, odrzekł, ponieważ wykonałem najglówniejszą powinność życia: widziałem umierających tych wszystkich, których nie mógłbym przeżyć” (1).

Lecz wróćmy do Wschodu. Od czasu jak mahometanizm został wprowadzony na archipelag, awanturnicy arabscy bez innego sposobu do życia, prócz miecza i odwagi, rozproszyli się tam w nadziei zjednania sobie władzy, nad pokoleniem mniej oświeconém i mniej energiczném. Dla zwiększenia wpływu, jaki wywierali na dzikich mieszkańców, udawali się za pochodzących w prostéj linii od Mahometa, i przyjęli nazwisko Szerifów. Pod tém nazwiskiem, poznaliśmy ich w dzienniku p. Brooke. Dotychczas mieliśmy tylko niepewne wiadomości o tych odważnych ludziach. Zapetrzając się na nich ze zwyczajnego stanowiska, uważamy ich zwykle jako indywidua niebezpieczne i obrzydłe. Onito zagrażają nam drogę i sprzeciwiają się wysileniom, jakie czynimy dla wykształcenia archipelagu. Lecz nie powinniśmy zapominać, iż był czas, kiedy Szeryfowie wywierali na tych brzegach wpływy zbawienne. Przynosząc na łono ludności napół dzikiéj prawa koranu i pierwsze zasady towarzystwa i cywilizacyi, z łatwością otrzymali przewagę nad Malajczykami i Dyaksami, którzy poddając się im, i robiąc ich bogatemi i mocnemi, nabywali tymże samym sposobem pewien stopień wielkości, którójby nie mieli bez tego współdziałania cudzoziemców.

Nic nie wskazuje, ażeby postępy cywilizacyi archipelagu, sięgały czasów poprzedzających naukę islamizmu. W Borneo, Celebes i kilku innych wielkich wyspach, wszystkie państwa, które osiągnęły pewną potęgę i które

(1) Introduction à l'histoire de Danemark, pag. 186.

miały pewną trwałość, zdają się być założone przez uczniów koranu. Bez wątpienia, skutki islamizmu miały tam również, jak i gdzieindziej, charakter materyalny, który się wzniosł do pewnego stopnia i rozwinął w świetnym zbytku; potem wyrodził się, gdyż polegał na zasadzie niedoskonałej. Pomimo tego jednakże, Arabowie oddali niegdyś wielkie przysługi Dyaksom i Malajczykom, wrywając ich z obojętności, nadając im popęd często wprawdzie do złego, lecz niekiedy do dobrego celu skierowany.

Teraz jeszcze trudno nam nie uwielbiać wytrwałości, z jaką mała liczba Arabów oddalona od wszelkiej pomocy, utworzyła sobie źródło bogactw w Borneo i na innych wyspach. Obey przybysze bez majątku, wpośród pokoleń nieoświeconych i dzikich, potrafili wpoić w nich uszanowanie dla swój odwagi i zęczności; nauczyli ich budować domy, wsie, uprawiać grunta, zakładać ogrody i otaczać się wszelkimi przedmiotami wygody, które można było znaleźć w tej strefie. Na nie-szczęście, nie w pracy szukali oni sposobu zebrania majątku; przeciwnie, szukali władzy za pomocą gwałtów, i oddali się rozbojowi, jako najkorzystniejszemu rzemiosłu. Tak więc z jednej strony Szeryfowie mogą być uważani jako dobroczyńcy pokoleń, któremi rządzą, gdyż im nadają trwałą organizacją i powiększają sposoby dobrego bytu; z drugiej strony, wywierają na nie zgubny wpływ. Złoto, które z rozbojów uzbierają, używają w sposób najniegodniejszy; płacą niém z góry Illanunom, Balaninom i Dyaksom za broń i proch, a pieniądze te przychodzą im z korzyści, jakie im rozbój i sprzedaż jeńców przynosi. Szeryfowie są takim sposobem najgłówniejszymi motorami rozboju i handlu niewolnikami, który ró-

wniez z rozboju wynika. P. Brooke ma zatem zupełną słuszność, gdy wymienia Szeryfów jako najniebezpieczniejszych nieprzyjaciół wszelkiej cywilizacji na archipelagu; gdyż jeżeli doszli do pewnego stopnia wykształcenia, nie postępują dalej, a upoważniając czyli raczej zaszczeniając w umyśle tych, którzy ich otaczają, zasady najnie-moralniejsze; stawiają przeszkodę postępom zbawien-nym dla społeczeństwa.

Niektórzy pisarze utrzymują, że korsarze oceanu Wschodniego są muzułmanami, i przypisują tę zgubną namiętność nauce koranu. Jestto błąd. Na Borneo i niektórych innych wyspach, ujściu wielkich rzek są w istocie zajęte przez muzułmanów; jedni pochodzą od Arabów, a inni są Malajczykami, wyznającemi islamizm. W skutek, że tak powiem, własności instynktowej, wszystkie te narody czują skłonność do budowania statków, do zajmowania się handlom, i przepędzania na morzu większej części swego życia. Płynąc z jednej wyspy do drugiej, napotykają łodzie obciążone bogatym ładunkiem, pod przewodnictwem spokojnych kupców. Pokusa jest zbyt wielką, ażeby można było jej się oprzeć. Przy swych wojennych obyczajach, zapominają o spokojnym rzemiośle kupca, zajmują bezbronny statek, i tak wstępują na drogę rozbojów. Kiedy im stawiają opór, mordując, mszczą się za to; a tych, którzy ujdą ich zabójczego żelaza, uprowadzają w niewolę. Na każdej wyspie, na każdym brzegu, napotykają miasta i wsie, gdzie łatwo sprzedają swój tym sposobem nabyty łup. Żaden prawie handel nie jest tak zyskownym, jak handel niewolnikami. Dlatego też korsarze, pogardzają zwyczajnym ładunkiem, a starają się zrobić jak można najwięcej jeńców; szczególnie zabierają kobiety i dzieci, których można bez tru-

dności trzymać w niewoli; mężczyźni zaś, jako więcej niebezpieczni, zwykle są mordowani.

Korsarstwo bez wątpienia wzięło początek w kilku pojedynczych wyprawach; lecz obecnie jest uorganizowane w niektórych częściach archipelagu, mianowicie w Sula, na wielką skalę.

Państwo Sula, któremu dawniej można było dać nazwisko cesarstwa, rozciąga panowanie swoje nad obszernemi grupami wysp, odznaczających się płodnością, i przytém występniemi skłonnościami i męztwem mieszkańców. Rozpusta, haniebny handel niewolnikami, okrutna zemsta i mordy; stanowią zwykle zajęcie tych ludów, które poświęcając się rozbojom, uprawiają przytém swoje ziemie. Chociaż posiadłości ich były zmniejszone w skutek rozmaitych okoliczności, nie widać jednak, ażeby te waleczne pokolenia uległy się siły europejskiej. W różnych czasach walczyli oni z Hiszpanami, i okazali zawsze niezłomną odwagę; przymuszeni nakoniec zawrzeć pokój, z trudnością tylko zgięli głowy pod jarzmo nowych panów, gotowi za każdą okolicznością rzucić je i krwawo się zemścić swój niedoli.

Ku końcowi XVIIIgo stulecia, sultanat Sula, oprócz czterech grupp z których się obecnie składa, obejmował jeszcze część północną Borneo, Palawan i kilka osad w Magindanao. Marynarka ich była wówczas silna, i Holendrzy, którzy w tym czasie sami tylko mieli udział w sprawach archipelagu, unikali wszelkich zajęć z temi odważnemi ludami. W tym czasie, ani Anglia, ani Holandya nie były w stanie zadać ostatecznego ciosu ich ciągłym bezprawiom.

W kwietniu, flota ich składająca się z dwóchset, lub trzechset dobrze uzbrojonych prahusów, odplywa

z portu. Rozdzielona na dwie eskadry, okrąża wokoło wyspę Borneo, przybija do lądu w pewnych odległościach, paląc wsie, zabierając ludzi w niewolę, niszcząc, pustosząc wszystko na drodze. Dzieci ci niszczą nawet mieszkania, ogrody; ścinają drzewa, jak gdyby probowali ostrza swych mieczów. Kiedy spustoszyli wszystko, oddalają się jak ćmy szarańczy, z bogatym łupem i licznymi jeńcami. Następnie udają się do cieśniny Sond, później zwróciwszy się na wschód, napadają na brzegi Jawy, często nawet zabierają Holendrów i ich żony, i sprzedają przy pierwszej zrzęcnosci. Tak posuwają się póty, aż póki nie spotkają na drodze oporu. Lecz w Nowej Gwincei, spotykają Papusów, którzy są zbyt dobrze uzbrojeni i zbyt się mają na bacznosci, ażeby ich śmieli zaczepić. Wracają później przez wyspy Moluckie, zabierają podatek z poddanych Holandyi, i wracają z dyamentami, złotem, korzeniami i niewolnikami, ażeby używać w pokoju w swych pięknych stronach plody, pochodzące z zaborów.

Sulasowie, pochodzący z mieszanej rasy, uważają się sami i są uważani przez inne pokolenia, za najodważniejszych korsarzy archipelagu. Nie poprzestają oni wcale na rozbijaniu prahusów krajowców i żak chińskich, lecz walczą nawet przeciw uzbrojonym okrętom europejskim. Pewien podróżny, który przepędził sześć miesięcy w tej okolicy, daje nam ciekawe wiadomości o zdobywcach, których był świadkiem.

Pierwszą zdobyczą którą widział, był bryk hiszpański z ładunkiem towarów kolonialnych z Manilli. Po nim nastąpiły dwa statki mniejszego rozmiaru, należące do tegoż narodu; potem kilka prahusów przyprrowadziło tysiące jeńców, którzy zostali sprzedani w Sula;

po nich statek z Madagaskaru, dowodzony przez Holendra, który zapłacił okupu 12,000 dolarów hiszpańskich; potem sześć małych statków noszących flagę Wielkiej Brytanii, i jeszcze bryk angielski, którego cała osada została wyrzniętą.

Kiedy Sir Edward Belcher zwiedzał Sulę w 1844 r. spotkał dwa prahusy korsarskie, wracające z wyprawy do wysp Filipińskich, i wiozące gromadę kobiet, które zapewne zostały sprzedane na targu.

Probowano wielokroć obliczyć porty na wyspie Sula, z których korsarze wypływają na swoje wyprawy. Nie będziemy wchodzić w te szczegóły; nadmienimy tylko, iż na wyspach składających państwo Sula, nie znajdziemy ani jednego przystępnego portu lub zatoki, któreby w pewnej epoce roku, nie służyły za schronienie korsarzom archipelagu. Nietylko bukanierowie tych wysp są znani z odwagi, lecz również ich prahusy odznaczają się mocą i budową.

W państwie Sula, Balaninisowie posiadają małą grupę wysepek, gdzie sprowadzają swoje żony i dzieci, kiedy chcą przedsięwziąć wyprawę. To pokolenie pochodzi, jak mówią, od Bazusów czyli cyganów morskich, którzy w pewnej nieoznaczonej epoce, zjawili się na archipelagu. Pochodzenie ich równie jest ciemne i niewiadome, jak cyganów europejskich.

Napotykamy na całej przestrzeni wysp azyatyckich ludzi do tego pokolenia należących, którzy żyją z płodów, jakie im rybołówstwo lub uczciwa uprawa gruntu przynosi; Balaninisowie porzucili to spokojne zatrudnienie, ażeby oddać się rzemiosłu korsarzy.

Parę lat temu, kilka statków parowych hiszpańskich wypłynęło z Manilli, ażeby napaść na Balaninów w ich

własnych siedzibach. Twierdza wznosiła się w końcu wązkiej i głębokiej zatoki. Zatoka była broniona stupaściami, ziejącemi zabójczy ogień. Hiszpanie przypuścili szturm do tego przejścia, i po długiej i krwawej utarczce, udało im się opanować baterią, a wraz z nią prahusy, będące w przystani. Znieśli następnie cytadelę, i przez to odjeli na pewien czas korsarzom możność napadania i obrony.

Podobną śmiałością charakteru, odznaczają się Illanunowie z Magindanao, którzy własnym orężem opanowali kilka prowincyj na wyspach Borneo i Palawan. P. Edward Belcher zebrał ciekawe wiadomości o bandytach wielkiej odnogi Illanun, pierwotnego ich siedliska, od którego otrzymali nazwisko. Utrzymują, iż są niezależni od sułtana z Magindanao; gdy przeciwnie, są oni mu podlegli. Kiedy obce państwa chcą z nimi wchodzić w układy, odbywają się one za pośrednictwem tego władcy. P. Belcher opisuje w tych słowach ich wielką zatokę Illanun:

„Brzegi téj zatoki, której prawa strona tworzy półwysep, są pokryte gęstemi drzewami; wspaniałe mangolie, wznoszące się na 6 do 8 stóp nad powierzchnią morza, służą za schronienie lekkim statkom. Na całej przestrzeni zatoki, połączonej z kanałem, Illanunowie urządzili przejścia, któremi w razie niebezpieczeństwa wciągają statki do kanału. Odbywają tę czynność z taką szybkością, iż nieraz w chwili, gdy moi ludzie zbliżka nacierali na nich, i kiedy zdawało się, iż im ujsć nie potrafią, nagle znikali im z oczu. Jeżeli zaślepieni pogonią, zbliżyli się do któregośkolwiek z tych skrytych przejść, byli przywitani gradem kartaczy. Wzdłuż brzegów zatoki, wznoszą się małe domki, zamieszkane przez

strażników, którzy za najmniejszym znakiem niebezpieczeństwa, rozsiewają trwogę w okolicy. Natychmiast mężczyźni przedsiębiorą środki ostrożności. Jeńcy, którym się udało uciec ztamtąd, opowiadają, iż nad kanałami znajdują się mocne fortyfikacye, które służą za potężny środek obrony. Stare prahusy służą tam za domy. Korsarze umieszczają w tych budynkach swoje żony, dzieci, bogactwa, i przenoszą je w dalsze okolice w razie wielkiego niebezpieczeństwa."

W ogóle, mają w Europie bardzo słabe i niedoskonałe wyobrażenie o korsarstwie malajskim. Mało osób potrafiło zasięgnąć wiadomości o rozległości i stanie archipelagu; bez których jednak, liczba stowarzyszeń korsarskich, siła ich floty, porządek ich wypraw, są zaledwie wiarogodne. Po licznych i skrupulatnych badaniach, trudno sobie zdać sprawę z wielu okoliczności, ściągających się do korsarstwa, a które są jednak niezaprzeczenie prawdziwe. Statki np. kupców europejskich i prahusy tamecznych mieszkańców, są napadane przez korsarzy, których schronienie jest niewiadome. Wielka rozciągłość otaczającego ich morza, pokryta jest wielką liczbą wysp; możemy nawet powiedzieć całą gromadą wysp, które znamy zaledwie z nazwiska. Bez wątpienia z tychto nieznanych wysp, wychodzą gromady korsarzy. Na brzegach wschodnich Celebes, Radżowie i ich poddani są wszyscy korsarzami, i posiadają znaczne floty. Naczelnik Kili, ma sam, jak twierdzą, tysiąc prahusów; lat temu kilka, podług najpewniejszych wiadomości, miał ich siedmset pod swemi rozkazami. Wielu Radżów, których twierdze leżą na południu od Kili, posiadają od stu pięćdziesięciu, do dwuchset prahusów. Na brzegach przeciwległych Borneo, i na wschód przylądka

Usang, na przestrzeni tysiąca mil, każda rzeka, każda zatoka jest zajęta przez gminy korsarskie; ich prahusy zebrane razem, stanowiłyby bardzo możne siły morskie. Prahusy te, od ośmiu do dziesięciu tonn, wybudowane sztucznie, są bardzo mocne, lekkie, i biegli wiosłarze nadają im szybkie ruchy. Są one zwykle na pomoście i przodzie uzbrojone armatkami małego kalibru.

Kiedy za pomocą téj broni pokonali swego przeciwnika, przy dźwięku gongu i tamtam wszyscy wojownicy uzbrojeni w szerokie krysze, włócznie, siekiery, miecze, muszkiety i maczugi, rzucają się na ostatnią utarczkę.

„Statki Illanunów, mówi p. Belcher, są wysmukłe, więcej jak na dziewięćdziesiąt stóp długie. Opatrzony podwójnym rzędem wiosła, niosą około stu wiosłarzy niewolników, którzy walczą tylko w ostateczności. Wojownicy są zwykle w liczbie trzydziestu lub czterdziestu. Statek w całej swojej długości jest opatrzony niszami, z których wyglądają armatki. Na pomoście odbywa się zwykle bój; tam ukazują się wojownicy w swych szatach szkarłatnych, pokrytych pancerzami. Ich broń zwykła, są włócznie i krysze, lecz noszą oprócz tego długie miecze, które w średnich wiekach nazywano mieczami oburęcznymi.

Kiedy pomyślimy o wielkiej ilości prochu, znajdując się na statkach, dziwić się należy, iż przypadki pożarów nie są tak częste, jakby się spodziewać należało. Najmniejsze z nich mają po dwie baryłki prochu; największe dźwigają do czternastu lub piętnastu. Dziwiono się nieraz, jakim sposobem dostają oni tę amunicję. Każdy prawie naród europejski jest współnikiem w tym występny handlu. Liczne statki niosące banderę angielską, przyjmują udział w tym handlu; lecz mamy ważne

powody utrzymywać, iż to są szczególnie Francuzi, Chińczycy i Amerykanie, którzy dostarczają prochu korsarzom. Co się tyczy Amerykanów, pewien autor robi uwagę, iż ludzkość powinna być im wdzięczną, gdyż sprzedają proch tak zły, iż jest tylko niebezpiecznym dla tych, którzy go używają.

Rząd holenderski, surowo sprzeciwia się sprzedaży tego artykułu.

Epoki, w których korsarze ukazują się w rozmaitych miejscach archipelagu, są dość dobrze znane. Wypadłoby więc, aby w tym czasie statki kupieckie i prabusy, znajdowały się w miejscach bezpiecznych; lecz kupcy nie mogą przez kilka miesięcy zostawiać w bezczynności swoje kapitały. Zresztą ruch handlu kieruje obrotami korsarzy; od dnia w którymby kupcy zmienili peryod zwyczajny swój żeglugi, korsarze uczyniliby to samo.

Teraz bukanierzy krążą w cieśninie Malakka, w miesiącach października, listopadzie, grudniu i styczniu. W przeciągu trzech miesięcy, t. j. w lutym, marcu i kwietniu, zostają w domu, oddając się rybołówstwu i gotując się na nowe wyprawy. W czasie lata, udają się na brzegi wschodnie półwyspu Malajskiego, i do małych wysp, wznoszących się wokoło Syngapur, aż do cieśniny Banka. W innych częściach archipelagu, ukazują się w różnych peryodach, stosując się do wypraw kupieckich. W ogóle nie zaczepiają płynących statków, lecz korzystają z chwili, gdy je zaskoczy cisza w pewnym oddaleniu od brzegu; natenczas kryją się za skałami i wysepkami, i zniecka napadają na nie. Obawiają się mgły, która mogłaby stać się przyczyną fatalnych pomyłek.

Dnia jednego, pewien Panglima z Radżahu Raża, sławny korsarz Koti, spostrzegł przy pierwszym blasku ju-

trzenki, statek na kotwicy. Dészcz ulewny zaciemniając atmosferę, zdawał się dopomagać zamiarom Panglimy. Chciał przybliżyć się zupełnie do tych, na których miał napaść nie będąc widzianym. Przy dźwięku gongu, jego osada składająca się ze stu czterdziestu ludzi, gotuje się do bitwy. Lecz w téjże saméj chwili Panglima poznał swoje omyłkę. Z boków okrętu, którego uważał już za swą zdobycz, zagrzmiały straszne wystrzały. Napróżno Panglima wołał, iż nie miał żadnej złéj myśli, i że się mylono; wystrzały armatnie powtarzały się bezprzestannie, zniszczyły prahus i zgniotły wszystkich na nim znajdujących się, wyjąwszy pięciu ludzi, którzy potrafili ratować się ucieczką. Nieszczęśliwy Panglima, natrafił na statek wojenny angielski.

☞ Ażeby uniewinnić taką surową karę, dość będzie opowiedzieć jeden z wielu występków, które ją wywołały. Niedawno przedtém angielski statek pod flagą holenderską, opuścił cieśninę Malakka z kosztownym ładunkiem z brzegów Sumatry, gdzie zrobił z mieszkańcami handel zyskowny, i zarzucił kotwicę w rzece Benzarmassin. Tam kapitan tego statku Gravesome, miał to nieszczęście, iż spotkał Radżę, który dowiedziawszy się, iż okręt ten wiozł ładunek ryżu i opium, więcej niż na 24,000 dollarów wartości, użył wszelkich sposobów namowy, ażeby go zniewolić do udania się do Koti. Gravesome przyjął bez najmniejszego podejrzenia to zaproszenie, podniósł kotwicę i popłynął wzdłuż spiekłych pobrzeży, które się ciągną na południo-zachód Borneo. Tam, często na przestrzeni całej ćwierci mili kwadratowej, nie widać ani źdźbła trawy. Grunt pokryty jest rudą żelazną, która w czasie nocy, gdzieniegdzie wydaje światło dziwne i fantastyczne. Wysepki i skały niezli-

czone, wznoszą się wzdłuż tego niegościnnego wybrzeża, lecz tak są spadziste i niebezpieczne, że najodważniejsi korsarze, nie śmiały się do nich zbliżyć.

Nakoniec kapitan Grawesome, wpłynął na rzekę Koti i posunął się w górę tej rzeki na 70 do 80 mil. Radza namówił go do zarzucenia kotwicy, gdy tymczasem on miał się udać do sultana, ażeby wyrobić u niego pozwolenie prowadzenia handlu. Zamiarem jednakże jego było porozumieć się z sultanem, ażeby mógł łatwiej wymordować nieszczęśliwych Anglików i opanować ich mienie. Mówią, iż stanął pomiędzy nimi układ, podług którego sultan miał otrzymać trzecią część zdobyczy, a reszta miała należeć do Radzy. Wszystko zostało ułożone; Radza powrócił na statek, zeszedł do kajuty kapita-
na, i zaczął wyliczać Grawesomowi wszelkie korzyści, jakie może osiągnąć w Tonganrru. Rozmawiając od niechcienia, zdradziecki Malajczyk zdjął ze ściany piękny krysz, który wisiał w kajucie, i zniemacka utkwił go w sercu kapitana. Jego ludzie z ręcznie rozsiani po całym statku, rzucili się w tej samej chwili na osadę i do szczytu ją wyrzneli. Pięć tylko osób unikło tej rzezi, pomiędzy którymi znajdowała się kobieta i dziecko, które rozbójnicy otruli w Tonganrru, w nadziei łatwiejszego ukrycia tej strasznej zdrady.

Kiedy Dalton w czasie więcej przyjaznych okoliczności, zwiedzał Koti i inne miejsca; znajdował wszędzie szczątki europejskich statków rozbitych i złupionych przez rozbójników, jak na przykład: kompasy morskie, teleskopy, chronometra, krzesła, stoły i t. d. Na jednym z nich, Dalton pisał opowiadanie śmierci Grawesom'a i jego towarzyszy. W kilku domach znalazł rozmaite przedmioty, należące do ubioru kobiet europejskich. Pewnego

dnia spostrzegł przed domem jednego z naczelników, kobietę białą, która za jego zbliżeniem, z bojaźni lub skromności schroniła się natychmiast do domu. Dowiedział się tajemnie, iż wielka liczba niewolników białych, jest rozproszona w głębi kraju. Niektórzy z nich są skazani do robót najcięższych i najhaniebniejszych, pod niebem, gdzie upał samym nawet krajowcom staje się przeszkodą, do jakiegokolwiek bądź pracy. Wzdrygać się trzeba jedynie na myśl męczarni, jakich ci nieszczęśliwi doświadczają, pod jarzmem swych dzikich władców, zanim śmierć przedwczesna oswobodzi ich od życia tak nędznego! Taki jednakże był los kilku tysięcy Europejczyków w rozmaitych punktach archipelagu.

Co zaś do krajowców, którzy znieśli tę okropną niewolę, ilość ich jest nierównie większa.

Ażeby położyć koniec tym rozbójniczym stowarzyszeniom, których obraz staraliśmy się przedstawić przed oczy naszych czytelników, trzeba chwycić się środków zupełnie różnych od tych, do których się dotąd uciekano. Zgadamy się w zdaniu zupełnie z tymi, którzy utrzymują, iż najlepszym do tego sposobem, będzie zamknąć korsarzom wszelki przystęp na targi, na które przybywają, dla sprzedaży swych jeńców i złupionych towarów; lecz jestto rzecz nie tak łatwa do uskutecznienia. Często, złupiwszy jaki cudzoziemski statek, lub indyjski prahus w okolicach Syngapur, przenoszą swoje łupy w małych statkach i udają się jak uczciwi kupcy do rozmaitych portów; sprzedają swój ładunek, zakupują broń i amunicję, poczem spokojnie wracają do swych siedzib. Jeżeli podobny handel z łatwością odbywa się w miejscach, często odwiedzanych przez okręta wojenne angielskie;

jakże musi być tolerowany w innych stronach archipelagu, gdzie niewolnicy są potrzebni i gdzie rząd tak dla interesu, jak i ze zwyczaju upoważnia korsarstwo.

P. Broocke sposobami, które użył w Sarawak i w przyległych prowincjach, dał przykład, jakim sposobem trzeba się do tego wziąć, ażeby wykorzeńić złe. Niedość jest znieść zły rząd, trzeba na jego miejsce zaprowadzić dobry: inaczéj zarodki występku, podobne do roślin pasyżnych, rozwiną się z nadzwyczajną prędkością, i ażeby je wytepić, znowu trzeba byłoby użyć siły. Sarawak jest spokojny, gdyż pozostaje pod wpływem Anglików. Zajęcie Labuanu, posłuży do utrzymania bezpieczeństwa w sultanstwie Borneo, od Reżang aż do zatoki Maluda. Tam było niegdyś jedno z najdawniejszych i najznamienitszych schronień korsarzy. Brune, było jedném z ich stanowisk, rodzaj składu niewolników i towarów, które następnie przenoszone były w głąb kraju, lub w bardziej oddalone strony. Targ ten jest odtąd zamknięty; a ponieważ wpływ Anglików rozciąga się na północ i na południe téj wielkiej wyspy, niedługo niepodobieństwem będzie dla bukanierów, ukrywać się w tych portach.

Ażeby zapewnić pewny skutek temu przedsięwzięciu, konieczném jest zaprowadzenie stanowisk wojennych w ważniejszych ogniskach handlu, a ztąd i korsarstwa. Gdy to raz dopiętém zostanie, tameczni mieszkańcy ufając protekcyi flagi Wielkiej Brytanii, podwoją starania, użyją całej energii, i rozwiną wszelkie usiłowania, dla odpedzenia téj plagi.

Słyszeliśmy filantropów, którzy potępiają te sposoby, jako środki gwałtowne i samowolne, i oskarżających nas o korsarstwo na wielką skalę, dla pogńębienia małych

korsarzy i dla usunięcia wszelkich przeszkód, w zbieraniu pieniędzy. Niech ci filantropowie zechcą dokładniej zgłębić historią archipelagu, a poznają wtedy, iż wszystkie inne łagodniejsze środki, będą próżne.

Od czasów Dżyngishana, wszystkie wyspy azyatyckie, wyjąwszy cesarstwo Japońskie, były pogrążone z powodu korsarstwa w najgłębszém barbarzyństwie. Przybycie Europejczyków zamiast położyć koniec korsarstwu, na nieszczęście dodało mu nowych źródeł. Przed przybyciem Portugalczyków w te strony, istniało w Borneo kilka państw dość silnych, ażeby się oprzeć korsarstwu. Natenczas korsarze tameczni byli na téjże saméj stopie, co i korsarze europejscy. Byli to awanturnicy bez przytułku, pokładający cały swój byt i sposób utrzymania w mieczu i kradzieży. Lecz gdy władcy tameczni ulegli pod intrygami i okrucieństwem Portugalczyków, Hiszpanów i Holendrów; na ich miejsce powstałi rządcy, nieprzyjaciele oświecenia i porządku: ci połączyli się z rozbójnikami morskimi, w nadziei odbicia dawnych swych własności od ogólnego nieprzyjaciela, Europejczyka! Korsarstwo rozwinęło się wtedy pod maską patryotyzmu; największe występki, uwięczone zostały imieniem cnoty. Rozbójnicy przyjęli charakter bohaterów. Występek, fanatyzm, chciwość, znieważenie praw gościnności i ołtarza: wszystko było użyte w téj walce dwóch nieprzyjaznych żywiołów. Ta opłakana walka trwa od dwóch wieków, a nałóg stał się drugą naturą. Każdy Europejczyk, który przybywał w te strony, uważał się być upoważnionym do obdzierania i uciemężania krajowców. Ci zaś ze swéj strony, całemi siłami wywdzięczali się swym tyranom. Korsarstwo wydaje im się jako rzecz pochwały godna. Korsarze schwytni na gorącym

uczynku, i karani śmiercią w Syngapur, protestowali przeciwko swym wyrokom, jako niewinnie karani za czyny pochwały godne, nakazane im przez naczelników i przez zwyczaję ich kraju. Powinniśmy więc uważać, iż zasady moralności są odmienne w rozmaitych krajach, i że często byłoby okrucieństwem nadawać jednokowe prawa ludom różnych zasad i pojęć.

Nie chcemy jednakże tępić miecza sprawiedliwości, kierowanego uczciwą ręką przeciwko bukanierom archipelagu. Trzeba, ażeby gniazdo os było ujęte. Nie jest naszą winą, jeżeli nie możemy prowadzić uczciwego handlu, nie wyłupiwszy tych nieszczęśliwych. Już wielu z nich zniosło najstraszliwsze kary; będą znosić nowe, dopóki przykład nie uczyni dobrych skutków na całej przestrzeni archipelagu. Jednakże zawsze powtarzamy, iż nie powinniśmy uciekać się do siły, kiedy można toż samo uczynić za pomocą łagodności. Powiedzieliśmy już raz, iż nie chcemy powiększenia posiadłości; jeżeli jednak powiększamy nasze ziemie, niech to będzie tylko w celu zajęcia punktu oporu dla tych, którzy są przesładowani. Interes nasz łączy się z bezpieczeństwem wyspiarzy. Żadna okolica tak obszerna, nie przedstawia zarazem tyle źródeł dla handlu, tyle artykułów tak rozmaitych, począwszy od najkosztowniejszych, jak: złota, drogich kamieni, aż do najpospolitszych produktów, potrzebnych do utrzymania życia. Wspaniała zaś roślinność tych wysp, ich malownicze położenie, ich żyzność, łagodny i zdrowy klimat: wszystko sprzyja do uczynienia ich najmiłym pobytom. Jak tylko je lepiej poznają kupcy i kapitaliści, pospieszają natychmiast osiedlić się na tych pięknych brzegach; gdzie pośród pysznych ogrodów, będą mogli zajmować się najzyskowniejszemi przed-



siewzięciami. Krajowcy zajmą się najcięższymi i najniebezpieczniejszymi robotami, będą na swych prahusach przywozić płody z głębi wysp, z pomiędzy pokoleń dzikich, i rozwozić je w oddalone strony. Wszyscy potrzebują opieki; jeżeli ją będą mieli, nie pozostaną długo w ubóstwie i ciemnocie.

Ci, którzy wiedzą, jakie zmiany sprowadził handel na archipelagu, ocenią trafność naszych przepowiedni. Przeniknąwszy wewnątrz tych krain, na każdym kroku napotykamy nowe bogactwa: tu kosztowne drzewa, tam znowu owoce lub ziarna. Jednakże nie przeszliśmy za pewną linią w Borneo, Celebes, Palawan, Magindanao i Nowej Gwinei; wszystko co dalej rozciąga się od brzegów, jest nam niezuwane, i chociaż szerokie rzeki otwarte są dla statków parowych, wiele jednak ziem pozostało nam do odkrycia. Wewnątrz Borneo wznoszą się góryste kraje, gdzie Europejczyk może znaleźć schronienie przed skwarem. Podług wszelkiego podobieństwa, góry te mogą być uprawione aż po sam wierzchołek, i nie tylko mogą być zamieszkałe przez liczną ludność, ale dostarczą do handlu nowych płodów. Ich teraźniejsi mieszkańcy, są w stanie pierwotnej dzikości. Nie noszą innej odzieży prócz téj, którą własną ręką sobie zrobili.

Teraz, gdy tylko poznają płody naszego przemysłu, pewnie zechcą je posiadać i dadzą nam nawzajem wosk, jaskółcze gniazda i kamforę. Ludzie nie będą chodzić nago, widząc, iż mogą się przyodzierać; a zresztą kadjanlu-diak, który zamienia swoje towary na miarkę wódki lub soli, jest więcej oświecony od tych, którzy nie znają takiego handlu.



Natrafiamy w tój rozprawie na wiele miejsc, któreby nas zanadto daleko zaprowadziły, gdybyśmy chcieli rozbiierać je drobiazgowo. Dla rozwiązania tych pytań, radziliśmy się wielu dzieł starożytnych i nowych. Jedno z nich, z któregośmy najwięcej czerpali, był dziennik Jamesa Brooke. Ten biegły i uczony badacz, skromnie zamilczał o wszystkich ważnych usługach, które oddał swemu krajowi. Lecz jego opowiadanie pozostanie pomnikiem odwagi, wytrwałości i bezinteresowności, jakie rozwinął w ciągu swego zadziwiającego zawodu. Wiele także winniśmy pracom Edwarda Belcher, chociaż w tym artykule mało czerpaliśmy z ważnych wiadomości, jakie w sobie zawiera. W wielkiej liczbie swych wycieczek, p. Belcher bardzo rzadko miał styczność z korsarzami. Kończy on obecnie inne dzieło. To, które już ogłosił, jest dla nas rękojmią głębokiej nauki i biegłości, które także rozwinie w swój nowój pracy.

X. B.

WSPOMNIENIE SZOPENA.

PRZEZ

Josefa Sikorskiego.

(Z wizerunkiem).

Taka pieśń moja o Aldony losach;
Niechaj ją anioł muzyki w niebiosach,
A czuły słuchacz w duszy swęj dośpiewa.

Konrad Wallenrod.

I.

A więc już tylko wspomnienie!... Nikt nie miał litości, by odwołać nieszczęsną wiadomość, która nam oddawna groziła! Raz już mniemano że skołał; może i teraz zasnął tylko!... Ach! snać to sen nieprzespany, gdy go tyle żalów przerwać nie zdoła! Szczęśliwy przecież, kto tak zasypia, kto przed skoneu uwolnił ducha swego z więzów ciała, kto jak Szopen żył oddawna w krainie nieziemskiej, nawiedzając nas tylko niekiedy, jak podróżny ze stron odległych, by nam przynieść o nich kilka wieści, pocieszyć w smutkach, lepszą zapowiedzieć przyszłość. Ach ta przyszłość! której śmierć początkiem, a wieczność granicą; którą człowiek w uczuciu swęj wielkości, albo w potrzebie wiary w miłosierdzie Boże, nieśmiertelnością nazwał, gieniusze nam ją odsłaniają,



Rys z wstępu T. Kwiatkowskiego w Brazylii

w Litografii Pruskiej Wł.

FRYDŁYCH CHOPIN

Rys na kamieniu E. Polczaszynski.

niby natchnione proroki. Bez ich pomocy, zaledwie byłoby nam podobném ruszyć się pod ciężarem jarzma doczesności, gniotącego karki nasze; nie być muszlą, która nie wie o kosztownej perle, w swój skorupie zamkniętej. Gdy mrą proroki, jakżeż ludzkość płakać nie ma? Ich i tak zbyt mało zawsze! Szczęściem, że natchnione ich głosy niestłumioną mają siłę, nie przepadną w przestrzeni bez granic; bo w polocie dotknąwszy niebios, na ich błogosławieństwo do serc naszych przypłyną; najlepsze nasze uczucia echem je powitają i ciągle potęgę natchnionych głosów zwiększać będą, aż przyjdzie czas, że w jednym odgłosie wszystko utonie. I będzie nazawsze i na jawie, jak nam się marzy tylko niekiedy, gdy rany nasze balsamem religii goimy, w filozofii szukamy tarczy od pocisków nieszczęścia, albo się chronimy przed boleścią pod opiekuńcze skrzydła sztuki. W nich ratunek, pociecha, współczucie. Więc szczęśliwy, kto jednej z trzech siostrzyc przyjaźń i opiekę sobie zjednał; więc wielki, kto dobrodziejstw jednej dla ludzi został szafarzem: tém większy, że pod jej znamieniem i dwóch innych, skarby rozrzuca. Źródło ich jednakowe i przeznaczenie; z nich człowiek czerpie to przekonanie, że jest stworzony na obraz i podobieństwo Boże. Tak go uczą wiara, rozum i uczucia, a daremnie zkądinąd szczęścia dla siebie wygląda. Za czyjém więc pośrednictwem ludzkość je ze skarbnicy łaski odbiera, tego zwie gieniuszem; i prędzej czy później uznawszy go, po stracie jego łązy wylewa: jak po przewodniku, który niósł przed nią pochodnię zbawienia w ciemnicach żywota; jak po proroku, który znękanym duszom okazywał mające je wkrótce przyjąć nieśmiertelności przestworza. Błogosławione pokolenie, z którego wyszedł łona; błogosławiona

i ziemia, która go swemi kołysała pieśniami, swoim karmiła chlebem, a nowy dar do tyłu innych dodawszy, ludzkości go posłała! Bogate są krainy nad Wisłą rozłożone, gdy takie mają płody; pełen to życia naród, gdy proroki jego przodkują innych narodów wysłańcom, w wielkiej o wielkiej przyszłości nauce. A bogactwo to najlepsze! Wszyscy go używać mogą; a przybywać go będzie w miarę używania, jako wina w Kanie Galilejskiej; rozmnoży się cudownie, jak owe pięcioro chleba na pustyni. Od czasów Piasta, na polską zamożność cud to już nie pierwszy, a da Bóg i nie ostatni!....

I oto dziś za upadłym naszym prorokiem świat się od płaczu zanosi; bo Szopenowi się zdarzyło, co się mulej liczbie gieniuszów zdarza:—uznany był za życia. Niech nikt nie mówi, że to dowód jego niższości od tych, których dopiero coraz dalej postępująca potomność pojęła, a współcześni nie rozumieli; niech nikt nie krzywdzi nieszczęśliwych gieniuszów, którzy Szopena poprzedzili, przyznając mu wyższość, potęgę, która nad marnym współubieganiem się współczesnych, górę wzięła. Raczej czasowi naszemu należy przyznać przy wielu i tę zaletę, że gieniuszów w zawodzie artystycznym przynajmniej nie zapozna; tyle już postąpił w życiu wewnętrznym, że zacność uczuć pojmuje i rozumie znaczenie słów Boskiego prawodawcy: „Królestwo moje nie z tego świata”. Snać Szopen przyszedł w szczęśliwym dla siebie i swój sztuki czasie, skoro go powszechnie uznano; snać zastał ją już dosyć ukształconą, by za jej pomocą mógł cuda opowiadać ludziom, i snać za jego sprawą mocno się rozrosła, gdy niedoścignionym został, choć go tylu naśladowe. Że z naszego narodu łona wyniósł wszystko czém świecił; że połowę swego żywota z nami przepędził, połowę,

w której wszystko wzrasta, co na przyszły składa się owoc; że w tym owocu plód własnej ziemi poznajemy: jest nam chlubą i pobudką do łez tém obfitszych. Ale nie jest on naszym wyłącznie: bo gieniusz jest całego świata własnością, i jakkolwiek narodowy będzie, wszystkich narodów ludzie, jak w zwierciadle przejrzeć w nim się mogą; dlatego po Szopenie wszyscy dziś żałobę w sercach noszą. Śmierć podobnego jemu człowieka, zbyt jest wielkim dla ludzkości wypadkiem, by między największemi zdarzeniami rozgłosu silnego nie zrobił. Dziś też o artyście i człowieku liczne odzywają się głosy; jakby wielki chór uwielbienia powszechnego nie śmiał się zbudzić, aż po skruszeniu śmiertelnej powłoki tego, co był serc bożyszczem:

A nie wstanie dzwon, aż póki

Forma wprzód nie pójdzie w sztuki (1).

Niewygastłej pamięci wielkiego ziomka składując tu kilka wyrazów, czujemy niezmierną trudność przedsięwzięcia. Trudność ta leży w miłości rodzinnej, w wielkości człowieka, i niepodobieństwie wytłumaczenia zwyczajnym językiem boskiej mowy, którą Szopen serca poruszał.

Zanadto wielka dla nas Polaków jest świeża strata, którąśmy przez zgon jego ponieśli, i to, czém był, zbyt mocno nas jako ludzi dotyka, byśmy podwójnej miłości wpływom, dla narodowych rzeczy i sztuki, obronić się z łatwością mogli. Lękać się należy, by łzy, które po nim do ogólnej łez wylewamy krynicy, nie przyćmiły nam badawczego spojrzenia. Mamyż więc zostać katanami samych siebie, wydrzcć sobie serce, by nam natrętnie

(1) Szyller w Dzwonie; tłumaczenie ś. p. J. D. Minasowicza.

nie przypominało, co czuło tyle razy? zostawić zimnej rozwadze rozumu ocenienie wielkości sercem stworzonej, dla serca wzrosłej, sercem najlepiej pojmwanej? Nie zaiste!.. Raczój narazić się na zarzut zbytniego przywiązania do wszystkiego, co do Szopena należy, boć to i nasze, niż pozbawiać się tak dzielnego, jak serce przewodnika; by jeśli nie ocenić, dać zrozumieć przynajmniej serce naszymi uczuciami karmione, naszymi podlewane łzami. Wielki nasz poeta nam to radzi:

„Miěj serce i patrzaj w serce” (Romantyczność).

Szopen, jako wielki wypadek dla muzyki bieżącej i przyszłej, stanowiąc epokę w historii tej sztuki w Polsce i Europie; tém trudniejszy jest do ocenienia w czasie, który sam jeszcze do historii nie należy, bo go jeszcze nowa warstwa nie pokryła. Wielkość historyczna tylko w rozległe dziejów ramy ujęta, przedstawić się może dokładnie. I z drugiej strony, podstawa do sądu o czasach bieżących gdzież się znajduje, gdy dziś na polu estetyki dawne mniemania uwiędły, a nowe nie wiadomo czy dojrzeją? gdy pomysły 'nowe nawet chwieją się sobą wzajemnie? A jakże bez tych dwóch podstaw: estetyki i historii, mówić o człowieku, który pierwszą rozszerza, a drugą dalej prowadzi? Zmuszeni więc oprzeć się na mniemaniach, które podzielamy, i zbyt szerokich, by nowa przypadłość nie znalazła w nich dla siebie nici wiążącej z poprzedniami; zmuszeni co do historii oprzeć się na tém, co już wiemy, i tylko rozumowaniem a przeczuciem sięgać w przyszłość, rozświecaną niekiedy błyskawicami, jakie sunąca się w nią terazniejszość na zwiady wysyła: czujemy z góry niedokładność obrazu, któryby dziś nakreślić zamierzono. Rzucimy raczój tylko kilka rysów, wzywając na pomoc uczucie, go-

towi nawet zupełnie mu się oddać, jeśli się podejmie rozum objaśnić.

To samo uczucie i przekonanie wewnętrzne, nie dzisiejszemi dopiero studjami stwierdzone, oby nam sił dodało do napomknienia przynajmniej czarów muzycznego języka!...

III.

Fryderyk Franciszek Szopen urodził się dnia 1 marca 1809 roku w Żelazowej Woli, wiosce około dwóch mil od Sochaczewa, a około sześciu od Warszawy odległej. Gieniuszom przypisują zwykle nadzwyczajny w niemowlęctwie niemal jeszcze pociąg do tego, co je z czasem ma odznaczyć. O Szopenie nic podobnego powiedzieć nie można; chyba to jedno, że wąż i słabowita dziecina, płaczem okazywała drażliwość niezmierną na dźwięki muzyczne. Wrażenie to zbyt silne na jego nerwy, wczesnie dostrzegane przez rodziców, nie było pewnie bolesne; i niedługo objawiać się zaczęło tak widocznym pociągiem do fortepianu, że już w siódmym roku dano dziecku nauczyciela, a przez wzgląd na wielką jego młodość, siostra starsza godzinę lekcyi z nim dzieliła. Żywny, Czech rodem, jeszcze od czasów Stanisława Augusta w Polsce zamieszkały († 1840), był pierwszym i jedynym przewodnikiem rozwijającej się tak wczesnie u Szopena zdolności do muzyki, że wkrótce na prośby młodego ucznia, spisywał jego pomysły. Nieraz je potem dziecię zmieniało, jakby szukając najlepszego do oddania swych myśli środka; przepowiednia to staranności, z jaką wielki z czasem artysta dzieła swoje wykończył. W dziewiątym roku życia tyle już postąpił, że grał publicznie na ubogich koncert Gyrowetza. O tém pierwszym

jego wystąpieniu pisma ówczesne: *Gazeta Warszawska* i *Korrespondent* zawierają wzmiankę pod dniem 24 lutego 1818 roku. Do tego czasu należy marsz, ułożony przezeń na fortepian, wydany w Warszawie, bez wymienienia jednak nazwiska autora. Policzony w rządy cudownych dzieci, bywał odtąd jako osobliwość muzyczna częstym gościem w znakomitych domach Warszawy, mianowicie: księżnej Łowickiej, kks. Czartoryskich, Sapiehów, Lubeckich, Zajączka, hr. Skarbków, Wolickich, Okołowa i wielu innych. Tam wczesnie przywykł do wystawności, która go później w Paryżu otaczała. Niemal równe muzycznym, okazał i w innych naukach zdolności: oddany do czwartej klasy b. Liceum Warszawskiego, przy którym jego ojciec był nauczycielem języka francuzkiego, mógł okazać dwie nagrody publiczne, jako dowód pracy gorliwej i nienagannego postępowania (w latach 1824 i 1825). Prace muzyczne z niepołamowaną prowadził dalej gorliwością; nawet słaby z łóżka nie wstając, pieścił się z podsuniętym sobie fortepianem. W zapale własnym jedynego już miał przewodnika, a ten go wiódł tak dzielnie, że w roku szesnastym swego życia, znowu publicznie wystąpił. W *Kuryerze Warszawskim* z r. 1825 z dnia 27 maja i 10 czerwca, znajdujemy wzmiankę o występującym Szopenie na koncertach amatorskich, dawanych w sali b. konserwatorium muzycznego. Z jaką zapamiętałością pracował nad pokonaniem mechanicznych fortepianu trudności, niech za dowód posłuży, co opowiadają świadkowie ćwiczeń jego ówczesnych. Uderzony pięknnością akordu z decymą u góry (decyma, interwał o dwa tony rozleglejszy od oktawy), gdy dla szczupłości dłoni objąć go i uderzyć nie mógł: szukał sposobu, jakimby dla swój ręki pożą-

daną rozciągłość uzyskał, i w tym celu między palce kładł rozpierające je przedmioty, niby kliny, i z tym przyrządem noc przepędzał. Zaiste, nie dla czczej chlubny z rozległości ręki to robił; nie dlatego zapewne, by innych przewyższyć w pokonywaniu nowych dla fortepianistów trudności, palce swoje na dobrowolne męczarnie wskazywał: ale powiodła go do tego różnica, jaką dostrzegał w piękności między brzmieniem zwięzłych a rozległych akordów, które w kompozycjach swoich upowszechnił, a które świat muzyczny zapewne już dawno oceniając, teraz już przykładem Szopena podzgnięty, do praktycznych policzył; dziś bynajmniej nie są uważane za niezgodne z naturą ręki. Wytwność zmysłu muzycznego Szopena, w dążności téj do daleko sięgających akordów, jasno się okazuje; więcej niżby mniemano, przedstawiają one niezmierność ducha przestrzeń obejmującego, wdzierającego się w nieskończoność: wszystko to cechy dzieł Szopena. Więcej o tém na właściwem miejscu.

Sława jego muzyczna z każdym dniem rosła, bo też każdego dnia na nią pracował. Mić Szopena u siebie, słyszeć go grającego: należało do najlepszych rozkoszy, jakie wówczas Warszawa dać mogła; a Brunner i Hoffmann, wynalazcy eoli-melodykonu (patrz Bibl. Warsz. z r. 1848 tom II, str. 367) dla podniesienia jego wartości w oczach Cesarza Alexandra, Szopenowi przedstawienie go powierzyli. Lecz ani pierścień brylantowy od Monarchy otrzymany, ni powszechne uwielbienie, nie zdołały go w pracy zatrzymać; dowód to wielkiej skromności i potrzeby zdobycia świata, dotąd nikomu jeszcze nieprzystępnego. Już téż i prace kompozytora wydierały go czysto mechanicznym; prócz Ronda ofiarowanego

pani de Linde (op. 1) i Ronda à la Mazur (op. 5) wydanych w Warszawie u Brzeziny, napisał to wszystko niemal, z czém i na pożegnalnych u nas koncertach, i na pierwszych w Wiedniu, Mnichowie i Paryżu występował. Te prace zajmowały go już całego, a namawiającym go do wytnienia odpowiadał, że nie może przerywać tego, co o jego przyszłości ma stanowić. Znalazł też i pobudzających niemało w otaczających go przyjaciółach i miłośnikach muzyki, z których tu jednego Tytusa Wojciechowskiego wymieniamy, bo go jako najdroższego przyjaciela, w ostatnim swoim do rodziny liście i Szopen wspomina. Co najznakomitszego posiadała Warszawa w zawodzie muzycznym, żyło z Szopenem; prócz wielu innych, wspominamy tu zmarłego w r. 1826 fortepianistę Alexandra Rembielińskiego, i żyjącego dziś w Nowym Yorku Fontane, b. nauczycieli w Konserwatorium muzycz. Warsz.: Ernemanna, Czapka i Jawurka, znacznej pamięci starca, który częstym gościem w domu rodziców Szopena bywał. Rady i przykłady jednych, rywalizacya drugich, zastępować musiały poniekąd przewodnika stałego w pracy około instrumentu. Naukę kompozycyi wykładał mu Józef Elsner, nauczyciel wszystkich niemal, którzy muzykalność polską podtrzymują. Wprawdzie gieniusz najlepszym sam sobie jest nauczycielem; ale żeby wcześniej doszedł tam, gdzie wysilenia poprzedników nas doprowadziły; by mógł zacząwszy tam, gdzie inni skończyli, dalej świat poprowadzić, stać się nauczycielem: sam piérwój uczniem być musi. Że więc przez pośrednictwo Elsnera, prace i nauki z ubiegłych wieków streszczone w system, dostały się do pojęcia Szopena: uważamy za szczęśliwe dla ucznia, chlubne dla mistrza. Być uczniem Elsnera, byłoby mieć pewność, że

się nie opuści, co istotę nauki stanowi; być nauczycielem Szopena, jestto osiąść prawo do pamięci historyi, równe niemal innym, które imię Elsnera na jój kartach zapisały.

Zbierając wszystko, coby można uważać jako wpływające na kształcenie się o własnych niemal siłach idącego młodzieńca, nie możemy pominąć i jego wycieczek za granicę Polski. Piérwszój, odbytej w r. 1826 do wód w Reinertz na Szlązku, liczyć tu nie można: bo ją tylko dla poratowania zdrowia słabego od urodzenia, a pracą więcj jeszcze nadwątłonego, przedsięwzięto. W wycieczkach do Berlina w r. 1828, a do Wiédnia i Pragi w r. 1829, nigdzie Szopen publicznie nie występował; a chociaż już podobno stał na równi z piérwszemi, a od wielu był wyższym: nikt o tém nie wiedział, dla braku sposobności porównania. Indywidualność jego muzyczna połowy już dojrzałości doszła, a wzory, które mógł gdzieindziej spotknąć, niewiele go nauczyć zdołały. Co w nich dobrego dla siebie znalazł już dawno był sobie przyswoił, a w wielu rzeczach własną poszedł drogą. Wycieczka do Berlina tém najwięcej pamiętna, że zatrzymawszy się w Poznaniu, Szopen jednego więcj zyskał miłośnika w osobie ś. p. księcia Antoniego Radziwiłła (autora muzyki do Fausta Goethego i znakomitego wiolonczelisty), i w jego dobrach Antoninie bawiąc czas jakiś, pracował około Tria (op. 8), które mu potem dedykował.

I oto w opowiadaniu Szopena dziejów, jużeśmy przyszli do przysionka ery, w której zaczął życie, że tak powiemy publiczne, pożegnalnemi koncertami w r. 1830 w Warszawie danemi. Wystąpił jako wirtuoz i kompozytor niezrównany w swym rodzaju; oba te przymioty

uznała już w nim Warszawa, nim jeszcze głosy zagraniczne wielkość jego okrzyknęły; jakby na przekorę zbyt niestety prawdziwemu zdaniu, że dopiero to cenimy, co inni rozślawią. Z Kuryera Warszawskiego dnia 16 marca 1830 r. (a więc w wigilię koncertu) dowiadujemy się, że ciekawość posłyszania Szopena tak była wielką, że nie starczyło łóż dla zgłaszających się miłośników. Na tym koncercie znajdowało się 880 osób. „Co dowodzi, że prawdziwy talent nasza publiczność zwykła nagradzać. Młody wirtuoz zadowolnił obecnych; przyznano mu, że należy do rzędu znakomitych mistrzów” i t. d. Na drugim koncercie, o którym mówi tenże Kuryer z d. 23 marca, słuchaczy było 900. „Powitano wirtuoza rzesistemi oklaskami i ciągle je ponawiano; szczególnież po wykonaniu ronda krakowskiego”. Doniesienie to mówi dalej o improwizacyi Szopena ze śpiewek znanych: *Świat srogi, świat przewrotny, i: W mieście dziwne obyczaje*. „Obecni powszechnym odgłosem przywołali wirtuoza, a jeden z lubowników muzyki zawołał: Ej! zmiłuj się, jeszcze przed odjazdem daj choć jeden koncert”. Zapal, jaki muzyka Szopena wzbudziła, różnie się objawiał; to tworzone mazury i walce z motywów koncertu, fantazyj, ronda krakowskiego; to pisano wiersze na cześć artysty⁴ Sonet, zamieszczony w Pamiętniku dla płci pięknej (tom II, poszyt 2) Leona Ulrycha, przedrukowany w Kuryerze, przytaczamy tutaj:

Do Fryderyka Szopena, grającego koncert na fortepianie.

Achl jakaż to pieśń szczytna śpiące serce budzi

I tyle razem uczuć ożywia w mém łonie?

Czuję, jak krew się burzy, oko żarem płonie,

I myśl wśród tłumu ludzi, zapomina ludzi.

Nagle piosnka nadziei smętną duszę ludzi,
 I w rzewnym upojeniu łzę tęsknoty ronie;
 To znowu pieśń ojczysta wszystkie czucia studzi,
 I jedno święte czucie w polskiém wskrzesza łonie.
 Dusza siłą tych pieśni porwana do góry
 Na harmonii skrzydłach w niebiosą ulata,
 Aby się tam pobratać z anielskimi chóry;
 Lecz jedno ją uczucie krępuje do świata,
 I jeszcze z niebios granic powraca do ziemi,
 Żeby się jeszcze pieścić z pieśniami twojemi.

Na ostatnim koncercie spadły wieńce rodzinnych kwiatów do stóp artysty, a jeden z nich dotąd familia Szopena przechowuje, jako pamiątkę wróżby, co się tak świetnie spełniła. W jesieni r. 1830 opuścił Szopen Warszawę, która reprezentowana przez swe znakomitości artystyczne i amatorskie, odprowadziła go do Woli, i swe serdeczne życzenia, w umyślnie przygotowanym dla niego upominku, złożyła. Pierwszém miastem zagraniczném, gdzie się zatrzymał, był Wiedeń. Popularność w nim zyskał słynnemi waryacyami (op. 2.) z tematu ulubionego zawsze Wiedeńczykom Mozarta: *La ci darem la mano* i Polonezem z wiolonczelą (op. 3). Dopiero późno w r. 1831 opuścił Wiedeń i przez Mnichów, na końcu tegoż roku, do Paryża przybył. Już go tam sława z Niemiec, a szczególnie z Wiednia poprzedziła; przecież lubo ten gród ostatni nie przestał być jeszcze wyrokować o artystach, muzykach szczególnie: Paryż jednak zbyt wysoko już cenil własne zdanie, by natychmiast obce przyjąć; zbyt wielkim był odmetem, w którym wyprężone rywalizacye walczyły, by łatwo było cudzoziemcowi dać się w nim poznać. Jeden z koryfeuszów ówczesnych fortepianu, Kalkbrenner, tam stałe miał mieszkanie, i panował nad wszystkiemi, którzy się temu instrumentowi odda-

wali. Jego więc uznania i poparcia szukał Szopen; i tyle przecież zyskał, że wielkość paryzka podjęła się protegować przybyzsa, jeśli tę trochę niesfornego talentu, który przyniósł z Polski, uda się w kluby francuzkie ująć trzechletnią nauką. Skromny w rozumieniu o sobie młodzieniec, wdzięczny za ofiary mistrza, złożył mu w hołdzie jedno ze swych arcydzieł (koncert op. 11), a po radę do swoich się udał. Ale znający dobrze wartość i byłego swego ucznia, i tego, który mu się za nauczyciela narzucał, Elsner energicznie go od tego kroku odwiódł; i tym sposobem, jeśli nie można powiedzieć, uratował indywidualność Szopena jako już zbyt wybitną, by przepaść miała: to przynajmniej wstrzymać ję w pełnym biegu nie dozwolił. Tymczasem téż w muzycznych salonach Zimmermanna i Pleyela poznany już zaszczytnie Szopen, wkrótce stał się rozkoszą miłośników sztuki, wzorem artystom, a niebawem wszystkich niemal bożyszczem, jak dziś wszystkich serca przedwczesnym skonem żalobą nappełnił.

Pobyt jego w Paryżu, małemi tylko przerywany bywał wycieczkami: to do południowej Francyi, to do Rouen, to do wód karlsbadzkich, a przy okazji do Lipska i Drezna (w r. 1836); to do Hiszpanii i jednej z wysp Balearskich (w towarzystwie Jerzego Sanda), to do Londynu, który dwukrotnie odwiedzał. Zdobywszy sobie holdy muzycznój dziś stolicy świata, udał się i do handlowej; ale ję swęj wielkości publicznie poznać nie dał, aż dopiero w r. 1848, gdy wybuchy polityczne Paryża i Francyi, przeszkadzając jego nawykniomom, wypłoszyły go do Londynu. Po wyborze 10 grudnia, znów powrócił do miasta, które z 16 na 17 października 1849 r., o go-

dzinie 26j po północy opuścił, by zamieszkać nazawsze światy, tyle razy w dziełach swoich opisane.

Skręślenie jego stosunków z ludźmi wysokimi gienuszem, znaczeniem lub majątkiem; jego opinij, drobnych szczegółów życia i ubocznych okoliczności: obowiązkiem będzie przyszłego biografa Szopena. Tutaj wymieniamy niektóre z osobistych jego przymiotów, przez znajdujących go zblizka powszechnie mu przyznawanych. Posiadał wszystkie nieodbicie potrzebne, by być ukochanym od ludzi: hojną dobroczynność, dla której sam nieraz bywał w potrzebie, usłużność szukającym jego poręki i rad, delikatność, wysoki rozum, godność w obejściu się; a co zapewne zadziwi znajdujących jego dzieła, chwilową wesołość z pustotą graniczącą, i Garrikowską zdolność naśladowania osób z mowy, ruchów i fizyonomii, co dowodzi bystrości postrzegacza (1). Publicznie rzadko występował; a i wtenczas najwięcej drobniejszego rozmiarem utwory swe wykonywał. Żałować tego należy, bo tradycya o pojmwaniu i oddawaniu dzieł większych mało się rozszerzy, i może pokrzywiona do naszej ziemi, pierwszego j6j źródła, dojdzie. Jednak wielu uczniów i uczennic Szopen pozostawił, a więc nie licząc innych, tyluż wielbicieli i przyjaciół. Któż nie rozumie t6j cudown6j sympatyj, jaka wi6że ucznia z nauczycielem, gdy pierwszy jest pojętności6 i uczuciem, a drugi tylko przewodnikiem być potrzebuje! W6zeł to słodki jak ów, który rodzice z dziećmi sprz6ga. Czulość i troskliwość z jedn6j, ufność i wdzi6czność z drug6j strony, zlewaj6 się we wspólnym żywiole miłości dla sztuki. Dwie istoty w jednym utopione ideale, mog6 z egoisty-

(1) W domu rodzicielskim bawi6c, mało się wdawał w huczne r6wienników igraszki, ale lubił ciche figle, drobne psoty.

czném pokochać się wzajem uczuciem. Gdy na jedną nadejdzie kolej przenosin do wieczności, druga staje się jej pieniem łabędzia, i na skrzydłach sztuki wspólnie ukochanej, podnosi ją na nieśmiertelne wyżyny; a jakby żalona z czasowego rozdziału, zimne reszty gorącemi usiłuje wskrzesić łzami. Tak skończył mistrz, który sam także dawniej opłakiwał ucznia. Imię Karola Filtsch, zmarłego w 15tym roku życia, często z uczuciem głębokiego żalu na ustach jego błądziło.

III.

Niewiele szczegółów biograficznych, któreśmy tutaj spisali z podań to familijnych, to przyjacielskich, to doniesień pism peryodycznych; należy po większej części do połowy żywota, która Szopenowi między nami ubiegła. Od drugiej połowy rozdzieleni przestrzenią, chwytałyśmy z rodzinną ciekawością szczegóły, rodzinném do nas przyniesione zajęciem. Ale mętnym tym wieściom to brak pewności, to związania ze wspólnie biegnącemi wypadkami jego życia, a które zapewne to mniej, to więcej wpływały na artystyczne jego prace. Z czasem, gdy rozproszone ułamki zbiorą się w jedną całość, i te, co dziś wiadome, i te, które wyswobodzenia spod pieczęci tajemnicy od niejednej może wyglądają śmierci: wtenczas wstanie światło jasne i całą postać obleje. Dziś tonie ono w przerwach licznych; a coby miało wewnętrzne objaśnić życie, samo od niego podniecania wymaga. Bo jest biografia ręką samego autora skreślona, po jego rozłożona dziełach. Dzieło sztuki, jak niemal każde człowieka dzieło, jest odbiciem chwili, pod której wpływem stworzone było; więc szereg dzieł czyli

dzieło zbiorowe, jest skupioném echem różnych chwil żywota; ktoby je umiał czytać, odgadnie całą przebieżną drogę, policzy szczyty na sercu; taka biografia nigdy nie myli, choć się pod niezwykłą tai formą. Wszak twarz człowieka, daremnie larwą się kryje; oko bystrego postrzegacza schwyca jedną, dwie błyskawice oblicza, i wie czego się trzymać. Wyraz daremnie myśl w kostium obłóczy; niech raz tylko osłona spadnie, już prawda dojrzaną zostanie; i że ostatnie damy tu porównanie: daremnie ziemia nasza historiją swoje warstwami przygniotła, pokładami minerałów zasła królestwo roślinne i zwierzęce, które zmarnowała, pobudowała na nich piętra skał niebotycznych, a nawet je niekiedy dla niepoznaki morzem zatopila; — przyszedł człowiek i wszystkie te sztuki zrozumiał, lata jój policzył, nieporządne opisał sceny, i z dowodami w ręku, oskarżył o zatracenie ogrodów i strumieni i zaludniających je stworzeń. Przecież na ocenienie i rozbiór dzieł Szopena, ważyć się tu nie śmiemy; praca to olbrzymia, wielkich sił wymaga, i łatwo tomy wypełnić może. A nawet owa biografia serca, o której mówiliśmy, że ją z dzieł jego wyczytać można, byłaby zawczesną. Czasu na to potrzeba, by wczytywaniem się powtarzaném, wyrobić w sobie przekonanie, że się nietylko pojedyncze dojrzało chwile, ale i wiążący je łańcuch dostrzegło; by wykazać, jak jedna z drugiej się rodzi, by następnej dać początek. Taka genealogia uczuć rozgałęzionych w odcienia, może jeszcze w ukrytych i niewydanych utajona dziełach, nie może być rozwiniętą pospiesznie. Pozostaje więc krótki pogląd na najwydatniejsze chwile; z nich wypłynie natura gieniuszu Szopena, i częściowo przynajmniej zasługa jego dla ludzkości i sztuki.

Jako wirtuoz i kompozytor, Szopen prawie wyłącznie oddał się fortepianowi, o którym utrzymywano, że ze wszystkich narzędzi muzycznych, najmniej jest zdolny przemówić do duszy. Szopen ten sposób widzenia rzeczy na zapomnienie skazał, ucząc, jak z natury jego korzystać, i za jej pomocą cuda niemal czynić można. Zawód więc jego artystyczny tak ściśle z historią fortepianu jest związany, że ją tu pokrótce opowiedzieć należy; mianowicie w czasach tylko co poprzedzających zjawienie się Szopena. Niewiele wyrazów na to starczy.

Od czasów Clementego (1) zwanego ojcem fortepianistów, i współczesnego mu Mozarta, datują szkoły, z których pierwsza Fieldem (2) i Cramerem (3), druga Hummlem (4) się szczyli. Wkrótce też i inne rywalów do

(1) Muzio Clementi urodzony 1752 r. w Rzymie. W r. 1780 po sześcioletnim w Anglii pobycie dał się słyszeć w Paryżu, a potem Wiedniu, gdzie rywalizował z Mozartem. Powróciwszy do Londynu, po dwudziestu latach znów w r. 1802 podróż po Europie od Paryża począł, wożąc z sobą Fielda, którego w Petersburgu zostawił. Drugim jego znakomitszym uczniem był Ludwik Berger, który chwilowym duchem niektórych prac swoich, do Szopena się zbliża. Clementego *Gradus ad Parnassum* (1817) streszcza wszelkie trudności fortepianu i okazuje, że autor za kształcącym się instrumentem postępował.

(2) John Field uczeń poprzedniego, urodz. około 1780 w Anglii, w Rosyi się osiedlił. W wykonaniu nawet drobiazgów tak był zachwycający, że, jak utrzymywali znawcy, nawet Hummla za sobą zostawił. W harmonii był słaby. W 1832 z Moskwy udał się do Londynu, Paryża, południowej Francyi, Włoch, i do Rosyi powrócił.

(3) Urodzony w 1771 r. w Manheim. Wpływu na wirtuozów nie wywarł wielkiego, bo siedząc ciągle w Londynie, dopiero w 1834 r. i to na krótko do Paryża przyjechał, i na niego też postęp muzycznej ekzekucyi nie wpłynął. Rozstawił swe imię ćwiczeniami na fortepian, które długo jedyne, od wszystkich używane były, i dziś nawet jeszcze są konieczne.

(4) Jan Nepomucen Hummel w końcu kapelmistrz na dworze W. ks. wejmarskiego, urodzony w Presburgu 1778 roku. Uczeń Mozarta jako fortepianista, a od r. 1795 Albrechtsbergera słynne-

walki wysłały; ze szkoły paryzkiej (konserwatoryum) wyszedł uczeń Adama, Fryderyk Kalkbrenner (1), a z pragskiej, Moscheles (2), uczeń Fr. Dyon. Webera. W czasie gdy Szopen o dojrzałym już talencie miał się na świat muzyczny wychylić (1830), Field i Hummel poczynali schodzić już z pola, a o Cramerze prawie nie było słychać; rywalizacja zaś Kalkbrennera i Moschelesa do rozpacz przywozowała znawców, gdy szło o przyznanie jednemu z nich pierwszeństwa; zwykle ostatni posłyszany je otrzymywał. Co się tyczy mechanizmu, oba współzawodnicy pracowali nad nim z zaciętością, jakby im chodziło dopiero o uzyskanie sobie imienia; a gdy Moscheles, by drogiego nie stracić czasu, a raczej podwójnie z niego korzystać, w podróży nawet palcom wytchnąć nie dozwolił, mordując je na niemiej klawiaturze; Kalkbrenner zalecał Europie, jego mechanizmem zdumionej, swego przewodnika ręki (guide-main), na którym sam pracował z uporczywością, by wyswobodzić palce, zrównać ich siłę różną z natury. Te i tym podobne wysilenia, posunęły mechanizm palców (nietylę dłoni, bo to, wyjąwszy oktawa, nowsza już sztuka) do ostateczności, równie godnej

go ostatnich czasów kontrapunkcisty, później Saliergo; pod ich przewodnictwem stał się jednym z najznakomitszych kompozytorów, szczególnie na fortepian. Od roku 1820 znany był w całej Europie jako wirtuoz i improwizator.

(1) Fryderyk Kalkbrenner, w kompozycji uczeń Catela. W r. 1802 jako chłopiec czternastoletni dostał dwie pierwsze nagrody Konserwatoryum paryzkiego, za grę i kompozycją na fortepian. Od r. 1823 podróżował po Europie, i mimo rywalizacji innych, za pierwszego uważany. W r. 1834 podróżował po Niemczech.

(2) Ignacy Moscheles urodzony w Pradze 1794 r.; prócz Dyonizego Webera, który był rektorem Konserwatoryum pragskiego, równie jak Hummel uczeń Albrechtsbergera i Saliergo. Jako fortepianista słynny prawie tyle, co Kalkbrenner, a w kompozycji wyższy od niego.

podziwienia w epoce dwóch koryfeuszów, jak dziś bohaterские nowych wirtuozów zdobycze. Sztuka ówczesnych, jak i za ich poprzedników Clementego i Mozarta, hołdowała najwięcej tego rodzaju utworom, w których się najlepiej okazać mogła; a każdy dobierał sobie trudności, mogące usposobienie jego mechaniczne najkorzystniej wydać. By stopniowanie tych trudności, a raczej ich ducha wykazać, można powiedzieć w ogóle, że je zrazu kalkowano na gammach i zwykłych arpedziach; dalej posunięto się do passażów podwójnych; Kalkbrenner nawet pełniejszych akordów rad używał, Moscheles zadziwiał zuchwałemi skokami. Wprowadzeniu większych nad oktawę interwallów, tak się zrazu opierano (choć ich od czasu do czasu kompozytorowie, Dussek naprzykład używali), że pierwsze z dzieł Fielda dla nich właśnie nie zyskały wziętości. — Tyle o stronie mechanicznej; że była znakomitą, to widać; a pomnąc na zastosowanie tego wszystkiego w kompozycjach, łatwo odgadnąć ich świetność i brawurę; któż ich nie pamięta? Zastosowanie to jednak nie działo się tak nieszczęśliwie, jak dzisiaj; nie przesadzano do tego stopnia, by jak to dzisiaj miejsce najczęściej miéwa, z podrzędnej główną rzecz uczynić: staranniej wybierano stosowną porę. A jeśli w kompozycjach na publiczne wystąpienie obrachowanych, hojną nieraz dłonią przypraw narzucano: to z drugiej strony gruntowne i długie nieraz studia, pod surowemi z dawniejszej daty mistrzami w kontrapunkcie odbywane, zamiłowanie w innych rodzajach kompozycji i uzdolnienie do nich uczyły, że błyszczenie nie jest celem muzyki, i ciż sami wirtuozi pozostawiali w innych rodzajach znakomite dzieła. Po ich fakturze, znać jeszcze nałóg błyszczenia, wielką świetnością pomysłów i wię-

zadeł się odznaczający, ale nie brak i ustępów z serca istotnie wysnutych, a tak nieraz przeważnie dzieła cechujących, że im nadano nazwę muzyki towarzyskiej. Nazwa ta tak dokładna, że znając ówczesne towarzystwo (pod tym jednym wyrazem rozumiemy i niemieckie *Gesellschaft* i francuzkie *salon*, choć między nimi są różnice), ducha téj muzyki odgadnąć i z muzyki ducha towarzystwa wyczytaćby można.

W ciągłym niemal pokoju Europy od kongressu wiedeńskiego, aż do roku 1830 (epoka wystąpienia Szopena), po uregulowaniu stosunków politycznych, wszystkie stany jeły pełną oddychać piersią; po długich zaburzeniach wojny, nastąpiła ufność w nowy porządek rzeczy. Pojęcie siły własnej przypomniało się wszystkim narodowościom, bo wszystkie w długiej walce kolejach choć zwyciężane nieraz, i zwyciężkie bywały. Skłoniło to dumę narodową do popierania wszystkiego, co w domu u siebie zaczęm znalaziono, by i na tém polu stawić czoło rywalom. Szperanie we własnym skarbcu, znalazło tam wiele obcego: to zadawniałego, to nowemi zaniesionego burzami; nastąpiły czasy rozległych historyczno-oczyszczających badań, nową ozłocone filozofią. Co one odosobniały, to łączyły: przemysł, handel i sztuki, odpowiadające ogólnym potrzebom ludzi, których doświadczeniu rodzinna grzęda za ciasną już była. Przyszedł czas uczonych i artystów, długim pobytem w cieniu zniecierpliwionych, a cześć i nagrody, dotąd ludzi wojny i polityki najwięcej spotykające, do nich teraz przechodzić zaczęły: wszystko się nawet łączyło, by im je na długo zapewnić. Prace rolnicze, przemysłowe i handlowe, poprawiły wkrótce nadwężone fortuny, albo nowe na silnych wzniosły podstawach; a błogiego stanu rzeczy nie zdołały zakłó-

cić ni odzywające się głosy alarmistów, ni poczynające się już zabiegi nielicznych malkontentów. Miasta poczęły kosztować dobrego bytu i przyjemności życia, w których sztuki, jako mocno się do nich przykładające, rozległe zajmowały miejsce. Młodzież i starsi, zamiast jak dawniej stawać pod skrwawione sztandary, albo łamać sobie głowę nad polityką, biegli raczej w ulubione schadzki, by to tańcem, to muzyką, urozmaicić jednostajność spokojnych zatrudnień. Słodkie uczucia miłości, przyjaźni, zadowolenia, nadziei, ocienione lekką tęsknotą powłoką, kołysały życie, na którego tle różowém, niekiedy tylko zdawała się przesuwać chmurka wspomnienia, raczej westchnieniem, niż łzami wydęta, i znów ją jakiś podmuch tryumfu czy radości przeganiał.

Oto wątek, z którego muzycy ówczesni obraży swe tkali; byłto czas najsilniejszego rozwinięcia się muzyk zbiorowych, od duetu i tria począwszy. Kwitnący już i uznany, choć niezupełnie jeszcze pojmowany Beethoven, całym wpływem przeważnego gieniuszu kierunek ten popierał. Wielu mu pomagało i tak skutecznie działali, że do dziś, szczególnie w Niemczech jest ulubiony: lubo już i duch tych kompozycji, wpływem Onslowa nadewszystko, zmienił się jak i duch czasu.

Beethoven, człowiek do żadnej nie należący szkoły, co się dzieł jego późniejszych dotyczy, koryfeusz muzyki instrumentalnej, sam jeden prawie coraz głębszy, czyli jak mówiono, coraz większy sceptyk i dziwak, był poniekąd reprezentantem niedowierzania, z jakim ludzie o bystrzejszém spojrzeniu, a może i pewnych zamiarach, na różowe patrzyli czasy, i dlatego stał odosobniony. Ale myśl, którą przedstawiał, nie na długo śmiercią jego (1827) zerwana leżała.

IV.

Ujął ją Szopen i wiódł przez swoje czasy; im bliższy Beethowena, tém mu podobniejszy, (choć wiecej samowolny od razu niż tamten, widocznie z Hajdena i Mozarta wypływający), im odleglejszy od niego, tém odrębniejszy, tém dokładniej obraz swój epoki w dziełach swych oddawał. Jój cechą: pokój wewnątrzniemi nurtowany burzami, zuchwalstwo pomysłów i powszechnie nakoniec skruszenie stawideł, powściągających ludzkość ku wielkiemu oceanowi płynącą. Więc Szopen na krąwędziach dwóch er stanąwszy, kołysany jedną, drugiej zamętem porwany, zostawił w dziełach swoich ślady obydwóch; a tój głębsze, która go dłużej rozwiniętym widziała. Tak zaś dalece był jój wychowawcem, że upadł z nią razem, nie bez proroczego w przyszłość spojrzenia. Przyszłość ta jednak nie może być przepowiednią dalszych kolei, i nie jest: bo sztuka nie fakt, ale wrażenie idące z niego odbija. Przyszłość owa jest raczej przed-sionkiem wieczności, w której opiekuńcze lono rade tuli się wszystko, co w doczesności nie widzi dla siebie pociechy.

Niepodobna tu rozgraniczać kierunków o których mówimy, jak nie można ująć niknącego ciągle czasu, w tój samej chwili nurzącego się w przeszłość i w przyszłość zagląającego. Żeby je dopatrzeć, dosyć porównać pierwsze Szopena dzieła ze środkowemi; młodzieńca, ze skończonym człowiekiem. Wprawdzie łączy je ta sama indywidualność zawsze wierna sobie, przecież praca czasu kierowana; i na témto właśnie polega owa możność, o której wyżej była mowa, wydobywania wewnętrznych dzieł artysty z dzieł jego. Duch ludzki dwoja-

kiego świata ulega wpływom: zewnętrznego, co jest złożony ze wspomnień, pamiątek, ogólnych i szczególnych dążeń, przyjaźni, rodziny i wielkiej rodziny, co się ludem zowie; drugi świat wewnętrzny, zaludniony władzami umysłu i serca, ów pierwszy reflexą odziewu. Wpływ obudwu zmieszany, daje indywidualność człowieka, czułą na wpływ nieustanny dwóch tych światów: czynu i myśli. Nie może ona uchronić dzieła swego od tego wpływu, ani się sama zmienić; bo gdyby nawet działanie dwóch wyżej wspomnianych światów, nowy kierunek przybrało: to utworzone z niego amalgama, gotową już budowę okryje, ale form jej dawnych nie straci. Ślad dawniejszych wpływów na zawsze pozostanie, jak pozostaną skutki zamieszania organizmu, sprawione ciężką, choć wyleczoną już chorobą; zło usunięte zostało, ale doświadczenie zapisało swoje bytność i nowemi coraz kartami swój dziennik powiększając, na najpierwsze się ogląda; z nich bowiem urosło. Z tej strony uważane, dzieła Szopena mają jedność, z postępem czasu w niezmierną przedzierzgamą się różnorodność.

Ciekawy jest widok, jak się duch jego wywijał stopniowo z pod wpływu szkół, na których się jako kompozytor kształcił. Niepoddany wyłącznemu kierunkowi żadnej z uświęconych ówczesnie muzykalnych wielkości, dobrowolnie wyrabiał z nich wzory dla siebie. Znać to w pierwszych jego dziełach: to w formach ogólnych, to w układzie budowy, to w fakturze pomysłów. Tu należą jego koncerty, rondo, waryacje, fantazyja z pieśni polskich, polonez z wiolonczellą i trio. W nich jednak zarazem widać śmiałość i nowość pomysłów, niezależność prowadzenia, wielkość wynalazku, które go odrazu na pierwszym miejscu między kompozytorami postawiły.

Indywidualność jego mieszała młodzieńczą elegancyą z tkliwością, pieszczotę z energią, pod niebiosą bieżącą nadzieję ze smętnością; a to wszystko z rozrzutnością, pokazującą odrazu niewyczerpane prawie skarby, ledwie napoczęte. I w istocie, zamożność jego w myśli tak była niezmierną, że podobno niktby nie znalazł w licznych jego dziełach dwa razy téj samój; wyjąwszy kilku passażów własnego pomysłu, a i to nie bez pewnych zmian i rzadko się powtarzających. W pierwszych to już pracach Szopena znać samoistnego wirtuoza, potężną wolą rozsuwającego szranki, o które się dotąd zapędy poprzedników jego rozbijały. Roztworzywszy drogę chciwym swobody, okazawszy im sposób, jak się na nią dostać (etiudy op. 10), gdy szaleńcy dalej pobiegli, on ją leżącą przy niej skarby ludziom pokazywać. Wątpliwości nie ulega, że te pierwsze dzieła były nieco wypadkiem ogólnej ówczesnej muzycznej dążności; pod znanymi i wziętymi formami, miały mu otworzyć świątynię, w której się magowie fortepianu rozsiedli, a nadto wprowadzić w świat pomysły nowe, jakby za paszportem ogólnego przyzwolenia. Ale dokazawszy swego, Szopen i z tych owładniętą formą niedługo się wyswobodził, i tak ją nową uczynił, jak i odrębna treść, którą jój powierzał. Nie chcemy tu utrzymywać, że całkowicie nowe wynalazł formy; to niepodobna, bo wszystkie z jednej się rozwijają, a ta pierwsza na filozofii sztuki oparta, zawsze jedyną będzie, i wystarczy, jako nadzwyczaj elastyczna. Chcemy tylko nadmienić, że rozległość fantazyi Szopena, sięgającej i dalej i głębiej niż dotąd bywało udziałem kompozytorów, którzy swoje w pewne, że tak powiemy, przegródki formułkami opasane wciskali, nie mogła się w takich karbach rozwijać. Więc je Szopen skruszył nie-

dlatego (jak utrzymywali nierozumiejący jego myśli), by się okazać oryginalnym, niepospolitym; ale, że oryginalność i niepospolitość pomysłów do tego go zmusiła. Dosty tu przytoczyć na dowód *Larghetto* w patetycznym koncercie drugim (op. 21), albo *andante spianato* przed polonczem (op. 22). Nawet formę szczupłą mazura Szopen złotem myśli wypełniając, na fantazyą zamienia; np. w dziele 58. A dzieje mu się jak każdemu, co z pełności uczucia przemawia; im więcej mówi, tém więcej ma do wypowiedzenia: bo gdzież przedmiot serdeczny, któryby się dał wyczerpać? W tym nawale myśli i wyobrażeń, jedno prze drugie, zmienia się niekiedy w ściśliwość zagadkową prawie (ballada op. 38, polonez pierwszy op. 26); takim potokiem potężnych wali się pomysłów, że powtarzaniem uporczywem dopiero się wcielić w dzieło trzeba, by je osiąść, rozdzielić, by pojedynczo obejrzawszy, objąć całość. Przecież w tém wzburzeniu niema zaburzenia: jest logiczność utajona, mimo śmiałych wyrzutni całych myśli. Jest granica nawet uczuciu, o którém wiemy z tego, cośmy posłyszeli, że jest bez granic; koniec materialny raz być musi, ale słuchacz pojąwszy treść, długo ją jeszcze w tym samym duchu prowadzi.

Duch ten zagląający już i do pierwszych dzieł Szopena, czarujących czystością poglądu na świat Boży, a przenikających przecież tu i owdzie żalości głosem, zamienia się stopniowo w coraz głębsze szperanie, i zdobyczą jego bogaty, przechodzi przez wszystkie odcienia boleści: od smętności do rozpacz, trapiącej się z ascetyczną rozkoszą pokutnika. Czyto doświadczenie, czy rozdział z rodziną i samotność wśród zgiełku, czyto cierpienia

niszczącego się organizmu, a może to wszystko razem; dość, że z dzieł Szopena widać stopniowe odłączenie się od świata, zamykanie się w sobie samym. Dobrowolne lub przymuszone wyrzeczenie się jednego, musiało drugi świat rozszerzyć; czyn w myśl się przedzierzał, ideały niepodobne do urzeczywistnienia w fantazją przeszły, dramat w liryzm, który tłumacząc się na pełnym zasobów instrumencie, pomnożonych wynalazkiem Szopena, rozpierał się coraz potężniej. Ztąd tworzące zrazu chórem akkorda, rozwiązują się na samoistném życiem drgające głosy (np. mazur 3ci op. 50, albo drugie nokturno op. 55); jak ów robak, co w kawałki pocięty, siłą boleści każdemu osobnego dostarcza życia. Ztąd ta gwałtowność polotu, odrzucająca wszystko, co głównemu czynnikowi dźwięku (melodyi) na zawadzie stoi (*unisono* w finale sonaty op. 35); ztąd owa miśtyczność po tylu kartach rozsiana; ztąd chmurność błogich obrazów; ztąd wykwintny ideał pieśni macierzyńskiej (*Berceuse* (Kolysanka)? op. 57), albo marzenie, może wspomnienie o rozkoszach gondoli (*Barkarola* op. 60). Sam autor musiał dostrzegać tego ducha swych tworów; naznaczywszy niektóre tylko formę wskazującym wyrazem, np. rondo, koncert; mieszcząc w innych i formę i treść, np. mazur, Bolero: większą ich liczbę charakterystycznym obdarzył nazwaniem, jak Nokturno, Ballada, Scherzo, Barkarola.

Reflexyjny charakter Szopena, wczesnie rozwinięty w nim musiał i rozwinął istotnie skłonność do szukania poufnego towarzysza w fortepianie. Zaród rozbratu dwóch światów: czynu i myśli, tak niezmiernie później rozwinięty, już wczesnie nim kierował; i ta to nielą-

czność jest powodem, że się nie jął kompozycji wokalnój, która zmusza fantazją do poddania się woli cudzego natchnienia, chociaż tego w początkach swego zawodu kompozytorskiego, próbował. Są jeszcze między nami, w posiadaniu uprzywilejowanych osób, jego piosnki najwięcej do słów Witwickiego; autor śnać niewiele je cenił, domagając się u rodziny, skazania ich na zapomnienie. Mniej jeszcze mógł się zajmować kompozycją dramatyczną, bo prócz wspomnianej już niedogodności textu, dramat rozwiesza uczucia na szkielecie istotnego życia, jakby na wystawę, i zależy od wielu indywidualności tak w stworzeniu, jak w wykonaniu; zbyt to ciężka solidarność dla zamykającego się w sobie Szopena. Pełna otuchy młodość, choć do użycia orkiestry dała mu odwagę; później ledwie jedną wiolonczelę o elegicznym dźwięku przyzwać do pomocy raczył. Fortepian ukochał jako narzędzie pełne powubów i pojętności, które tyle mu dostarczyło rozkoszy, że je podniósł do swój wielkości, które w uświęconych godzinach pozwala obejść się bez ludzi. Niebardzo też rad im grywał, wtenczas wyjąwszy, gdy szczególném usposobieniem z nim się zrosli; co jednak nie często mogło mieć miejsce i raczej przywoływał duchy, niezbadany świat zaludniające. W ich to towarzystwie, coraz głębszy, coraz oderwawszy, upodobał sobie; i na świecie jeszcze, coraz go częściej i na dłużej opuszczał. A przecież tamten drugi świat nie dał mu ani jednej chwili prawdziwej wesołości, ani jednego błysku dowcipu, ani jednego rysu humorystycznego; a raczej ziemskość tego wszystkiego uszlachetnwszy cierpieniem, podniósł je do ideału, zgodnego z indywidualnością artysty. Wesołość u niego jest pieśniem nad gwiazdy ulatującym, myślą matki, z modlitwą

i nadzieją nad kolebką dziecięcia pochylonój; jakimś tryumfem z cierpienia wyrosłym; niekiedy jestto uśmiech melancholii: wesołość to nic niemająca wspólnego z hucznym naszego świata życiem. Taką między innymi tchną polonezy i mazury niektóre. Dowcip zmienił się w jasnowidzenie, rozpoznające wpływy świata duchowego, którym się tak rad poddawał; stworzył on niektóre nokturna i ballady. A humor, owa cecha ducha postrzegającego, tak mocno rozwiniętego u Szopena, nie przeszedł w satyrę, ironią lub sarkazm: bo to są praktyczne podniecone humoru wypadki. U niego, skozującego się dobrowolnie na rozdzierające cierpienia, niełączności tego za czém wzdychał, i tego co mu się w podziale dostało, zmienił się w krwawe szyderstwo, urąganie ze świata, rojem cierpień zaludnionego; i urosły Scherza, nazwa tylko dla braku innój użyta (bo i sonaty mają podobne rysy). Jestto walka dwóch pierwiastków, dwóch sił sprzecznych, niemogących się pokonać, ale rozdzierających każde serce, do wiru ich walki wciągnięte. Rysy tego rodzaju zbyt są widoczne w dziełach Szopena i podniesione do tém większej potęgi, że niekiedy tuż przy rysach anielskiej łagodności, młodzieńczej czułości i pieszczoty, leżą, by je tu palcem wytykać. Oneto coraz gęściej cechują jego kompozycye, szczególniej przedostatnie, i uczą, że charakter ich ogólny w wyobrażeniu:— walka, leży.

Zasada umniactwa na miejsce dawniejszych dziś się rozpościerająca: sztuka dla życia i przez życie, tém rozpatrzeniem się w dziełach Szopena, wiele poparcia znajduje. Z powodu niełączności dwóch światów: rzeczywistego, w którym jest życie, i fikcyjnego, do którego nas

wielki artysta prowadzi, zdaje się, że zastosowanie owęj zasady miejsca mieć nie może; sprzeczność to jednak pozorna tylko. Szopen w swém widzeniu artystycznym był pod wpływem świata zwyczajnego, jako ciałem do niego przykuty; i jakiegokolwiek tworzył sobie ideały, nie mógł wstępując w ich krainę, na jęj progu indywidualności swojej zostawić. Świat to istotny wymarzone-mu dodaje żywiołu: drugi jest pierwszego odbiciem. Pływające w eterze ponad głowami naszymi jasne kręgi, i w cięższym żywiole bliżęj nas rozwieszzone chmury, utoną obrazem w przepaści wodnego zwierciadła, gdy w nie spojrzymy, mniej tam może świetnie iskrzyć będą, chmury może posępniejsze się wydadzą, a zależeć to będzie albo od dna tego zwierciadła, albo od atomów w niém roztworzonych: dosyć, że obraz tak, a nie inaczej się objawia. Wszakże ideał nie jest oczyszczeniem rzeczywistości z tego, co nas razi: nie ma być kłamstwem, podobieństwem tylko; ale oczyszczeniem z osłon fałszu, prawdą jasną, jakhy do potęgi podniesioną. Takie tęż idealne życie widzimy w dziełach Szopena; wzory znajdujemy w rzeczywistém, na jego powierzchni, tuż przy nas. Cywilizacya, czyli to, co tak zwiemy, wszystko stopniowo podnosi a raczęj przemienia. Jęto sprawą niesłychane już rzeczy ludzie porobili: zbadali ziemię i w niecho zujrzeli; zwięzali powietrze i ogniem władają; splondrowali wód głębins, a nawet promienie słońca ważyć umieją! A cóż na tęp zyskali dla serca, dla bytu nawet? Mędrzec mówi: znać samego siebie, to najwięk-sza mądrość; a więc ludzkość niezmiernie w mądrości postąpiła. Już coraz jaśniej nędzę swoje widzi; coraz jęj okropniejsza przepaść. To jest rzeczywistość! a jęj ideał

w Szopena dziełach, któremi podobno więcej uczynił przysługi ludzkości (byle je tylko nauczyła się rozumieć), niż kruszące chwiejące się za każdym uderzeniem młotka praktyki, teorye filantropów. Gdybyśmy kochali bliźniego jak siebie, nie byłoby tak źle na świecie; więc ludzie bez serca, idźcie do dzieł wielkiego artysty po jedną kroplę miłości, on wam pokaże co to cierpienie, co to rozpacz; własnym nauczy jęj was przykładem. Idźcie i patrzcie na to, czego nie znacie; poznawszy, cudzą rozbolejcie rozpaczą i pokochacie gieniusz, który wasze serca uszlachetni. Wszyscy cierpiący już go kochają jak brata!

Tu jest tajemnica tego ubóstwiania niemal artysty przez tych, którzy go pojęli choć nie znali: bo tu dowód tój dobroci serca i wylania, o których się nie mogą narozpowiadać ci, co go zblizka widzieli. Zaiste! człowiek tworzy na obraz i podobieństwo swoje. Tu także najistotniejsza zdobycz muzyki za Szopena sprawą. Tak głęboko w uczucia nikt jeszcze z muzyków przed nim nie zabrnął: jakby nie chciał pozbawić się uludnych rzeczywistości rozkoszy, jakby nie śmiał podnieść sromoty i zgrozy rozestanej po świecie, po których, jak po miękkim stąpamy kobiercu. Szopen go wzruszył i pokazał, że ze żmij jadowitych utkany; oddał się im na pastwę, by przestrzedz ludzkość. Więc odkupienie, które już nam raz religia przyniosła, poprzec należy odkupieniem przez sztukę?

Już Beethoven w swym Fidelio dojrzał był tę samą drogę, i zaszedł nią nad przepaść oderwanego nieszczęścia; ale go się uląkł i nie poszedł więcej je zaklinać. Został więc samotny, niehistoryczny pod tym względem i niezrozumiany; przykuł się do dramatu, który jako rze-

czywistość na scenę przeniesiona, nie zdołał go wyjaśnić, a sam autor nie miał już widać sposobności komentarza swój myśli zostawić. Czysty. liryzm Szopena rozświecił poprzednika pomysły, i do historii umysłowych skrętów je przymocował; a pokrewieństwem ducha z nim spojony i dostatecznie rozwinięty, i sam już w historyczność idei wstąpił. Nie widzimy jeszcze, komu by to posłannictwo po nim się dostało. Owiani duchem czasu, podżęgnięci jego przykładem, liczni muzycy chwytają za czarodziejską laskę, ale się kruszy w dłoni, ziemskich zabiegów błotem skalanej. Ich głos jest przedrzeźnianiem jęku, przewrotem boleści, chorobliwem tchnieniem uczucia zahukanego przez ciało i siłacego się na odzyskanie praw swoich. Nie im to być prorokami!

Utonąćby niemal trzeba w natłoku spostrzeżeń, z przyglądania się dziełom Szopena płynących, popierających się wzajemnie, i na ogólny składających się pogląd! Kilka tylko rysów rzuciliśmy tutaj; na wyszczególnienie i dowiedzenie wszystkich, gdyby je obliczyć podobnym było, księgaby nie starczyła. Wskazawszy niektóre, których źródło wskazać się dało, pomijamy dowodzenie. Niedeterminowany język muzyki i fantazja osobista każdego z głębiej zapatrujących się, są ku temu przeszkodą; ułatwieniem będą wszystkim, co z wiarą do użycia arcydzieł przystąpić zechcą. Wiara do rozpatrzenia się w każdym dziele sztuki tak konieczna, najkonieczniejszą jest w muzyce, z powodu nieopisaną jej głębokości, romantyczności wrodzonej, jeśli tak się godzi powiedzieć; tajemniczości nieodslonietej tętemu zwykłej praktyki wej-

rzeniu. Komu wiara jest obcą, ten nie ma myśli zdolnej zstąpić pod warstwy zwykłego widzenia rzeczy, ni serca wykształconego na rozpatrywaniu się w cierpieniach serca; nie pojmie Szopena tam właśnie, gdzie najwyższy.

Jeśli pogląd ogólny na dzieła naszego rodaka licznym dostarcza pomysłów; nie mniéj ich, a dotykalszych nieco nastęrcza przyglądanie się rodzajom, powiedzmy trafniej, formom w których się rozwijał. Najwięcej jest tych, które są *pieśni* krewieństwem, jak z tanecznych wzięte formy: mazura, walca, poloneza, krakowiaka, taranteli, bolera; tu téż należą etiudy, preludye, improwizacye (*impromptu*), nokturna. Zastanawianie się nad niemi pojedynczo, okazuje, jak przerastały drobne swego typu rozmiary; rytmy np. bolera, krakowiaka taneczne i ograniczone, zmieniały się w fantazyę mniéj więcéj szeroko rozwiedzione. Widzimy to najlepiej na rodzinnym mazurze; czém się stał, niech powie kto umie. Do wypełnienia rozleglejszój formy zrazu wezwany (*Rondo á la mazur op. 5*), w następującém zaraz dziele (1), i odtąd bardzo często na własną rękę występując, jest zawsze z ducha poematem prawie; a tak treściwy i rozmaity, że na samych mazurów Szopenowskich opisanie, grubéj książki potrzebaby było. W tych formach taneczno-rodziny najczęstsze rysy jasnego wesela, a hu-

(1) Przypuszczamy, że Szopen w miarę tworzenia i wykończenia dzieł, wydawcom je przesyłał; choć wiemy, że od tego być mogły i były istotnie wyjątki. Tak np. koncert 2gi dopiero później jako dzieło 21 wydany, przed piérwszym jeszcze (op. 11) był zaczęty, ale nieskończony. Ztąd nieraz pochodzić może, że przegłądają dzieła jak je liczyła kolejna oznacza, chwiejemy się w mniemaniu, jakie o stopniowój przemianie ich ducha wyrabiamy w sobie. Innych powodów przypuszczalnych tego pomieszania cech nie wymieniamy; każdy na nie trafi.

morystycznych istotnie, tylko w niektórych podobno mazurach szukać należy. Mamyż tu jeszcze powiedzieć, czém nas i świat czarują? Gdybyśmy wiedzieli jakimi to uczynić wyrazami, nie radziłyśmy tym sposobem ujmowali innym rodzajom. Usiłując cechy niektórych odsłonić, czynimy to dlatego, by się popisać przed bracią wielkością brata; bo płacząc po stracie ukochanego, niepodobna zaprzec w sobie pojęcia o tém, co go ukochanym czyniło.

Preludye Szopena (op. 28) jestto garść myśli, z których niektórym brak rozwinięcia, by samoistną stanowiły całość (np. Nr. 2, 7, 20); inne zbliżają się do samodzielnej pieśni (jak nr. 15), te są rapsodyą (18, 22), te etiudą (3, 5) czasem rozleglejszą (19, 24), to znów trenem (6), a wszystkie bez wyjątku nie są tém, czém preludya zwyczajne, to jest wstępem, przygotowaniem słuchacza do tego, co ma nastąpić. W preludyach Szopena jest zbyt wiele znaczenia, bo ono w naturze myśli jego leży; treść tam zbyt głęboka i charakter choć nierozwinięty, zbyt silnie nas podbija, byśmy od niego bez żalu odejść mogli, przejść obojętnie pod rozkazy innego ducha. Tylko niewykończenie artystyczne jakimś smutkiem nas przejmuje: jestto tęsknota za okrągłością formy, rozległością jój nawet stosowniejszą do wielkości pomysłów.

Tę samą różnorodność charakteru mają Szopena etiudy, a do wielu zastosować łatwo różne nazwy pieśni, któreśmy przy preludyach wymienili; np. do Nr. 11 op. 10, albo do 7 op. 25. Uderzające jest podobieństwo niektórych etiud wykończonych, z pomysłami w preludyach rzuconymi; tak np. preludye Nr. 1 i 8 widocznie są pokrewne etiudzie 3 op. 25.

W nokturnie, z dawniejszych kompozytorów upodobał sobie Field najwięcej, i niejedną rozkoszną chwilą miłośników muzyki obdarzył. Gdy się pokazały nokturna Szopena, krzyknięto, że z Fielda bierze; utrzymywano nawet, zapewne na mocy niejakiego podobieństwa i sąsiedztwa Polski z Rosyą gdzie Field mieszkał, że był uczniem jego (Uniwersal-Lexicon der Tonkunst v. Schilling, pod nazwiskiem: Chopin); a mierność i zazdrość idące w ślad za młodym a skromnym gieniuszem, śmiała wyrazem lekceważenia naznaczyć to (Irys. Berlin), co z drobniejszych form muzycznych wcześniej Szopenowi ulubionych, ściśliwie, małą liczbą rysów najlepiej odślaniało ducha jego poezyi, z innych form później dopiero zupełnie emancypowanego. Porównawszy nokturna Fielda z Szopenowskimi, widzimy tam nie wyższość jednego nad drugim, ale oddzielne dążności: lubo zaprzeczyć nie można, że niektóre z pierwszych nokturnów Szopena, zbliżają się mocno duchem do plodów tamtego; nie bez różnicy przecież, idącej za właściwą Szopenowi głębokością i właściwszemi mu jeszcze omamiającemi zwrotami, których cudowność jednym dosadnym rysem, odkrywa głębokość uczucia po którym się ślizga. Ale ogół nokturnów Szopena nie może być równany z Fieldowskimi, co do liczby i ducha. Gdyby można wyrazami określić treść muzyczną, powiedzielibyśmy, że nokturno Fielda w ogóle jestto obraz cichy, słodki, łagodny; rozmyślanie spokojne, kiedyniekiedy tylko błyskawicą fantastyczności zakłócone, prawie bez żalu przygasłe. Nazwa serenady nokturnom niekiedy dawana, pieśniom tym Fielda bardzo przystoi. Szopena zaś nokturna w większej części to obraz o tle ciemném; tajemniczo zjawiają się i znikają zeń duchy, nocą na uspioną

ziemię spływające. Rozstrojona fantazyja w niepojętych zwrotach, prowadzi nas jakby we śnie od przedmiotu do przedmiotu, od myśli do myśli. A jak we śnie ulegamy niepojętej nam na jawie sile, która wiążąc nigdy się nie-wiążące, okazuje wzajemne splątanie wszechrzeczy: tak porwani marzeniem Szopena, mimo oporu czuwających zmysłów, idziemy z nim po przepaściach i wyżynach; poddani magicznemu wpływowi, rozumiemy logikę uczucia, rozumiemy fantastyczność w rzeczywistość zamienioną. Po przebrzmieniu czarownych dźwięków marzymy jeszcze w tym samym kierunku, i z trudnością wydzierając się świata tajemniczego władzy, której nas poeta poddał, pytamy się zbudzeni, senli-to czy prawda? W krótkiej formie bogactwo niezmierne; z każdego dźwięku roje innych powstają, jak z rozprysniętej kropli tuman atomów. Jest tam całość, choć niewypowiedziana; a gdy dźwięki posłuszne ziemskim materji prawom ustać musiały, zamęt nieskończoności nas owładnie, i w oczekiwaniu zawiesza.

Każde niemal dzieło Szopena ten sam wpływ na nas wywiera, albo podobny temu; szczególniej dlatego, że się wyłamać zpod niego nie można; uwierzyć trzeba jego dowodom, poddać się im przynajmniej, mimo postanowienia oporu. W tym oporze, stawiają słuchacza niektóre miejsca w jego dziełach, najmocniej ballady. Weźmy np. pierwszą lepszą, dzieło 38, jedno z tych, któremi Szopen najgłębiej w tajemniczość wkroczył. Pyszna to legenda! nie jak nasze narodowe gieniuszem Mickiewicza z ust ludu wyjęte, łagodne, igrające; ale groźna i przemożnie naciskająca, jakby fatum nieodbite. Rys to charakterystyczny ballad niemieckich, u Bürgera naprzykład; zabytek twardego feudalizmu u nas nieznanego

prawie, zabobonności z charakteru germańskiego zrodzonój. Jest tam konieczność przewidziana, a nieunikniona — u nas wypadek; tam żałoba i trwoga — u nas poddanie się, a w niém nadzieja. Bo tam cierpienie tajemniczości: u nas jawność fantazyi; tam trucizna, grób, szkielety, widma: u nas rusalki, płąsy, a najwięcej kusy Niemczyk, którego łatwo oszukać; i by już skończyć, tam rozpacz bezwładna — u nas czująca się wiara. Obraz naszych legend w niejednym tkwi mazurze Szopena; ballady jego nic z niemi wspólnego nie mają i tylko objaśniają drogę, po której się błąka zamykająca się w sobie wyobraźnia, cierpieniem do tego więzienia zmuszona. Onato stworzyła *Fantazyę* (op. 49), rodzinnym tematem łagodząca czarny koloryt, a połączona z boleściami *Scherza*, dała początek sonatom, jakie i co do odrębności pomysłów, ani co do śmiałości w ich przedstawieniu, podobnych sobie jeszcze nie miały.

Głębokość Szopena, niezmierna rozmaitość myśli, śmiałość ich wylewająca się prawie za obręb formy podmuchem nieskończoności: czynią go jedynym prawie kompozytorem na fortepian z pomiędzy tysiąca współczesnych mu muzyków, których imiona, jako kompozytorów na ten instrument, katalogi księgarskie przechowują. Miał naśladowców, ale ci po pierwszych próbach opuścili ręce, zmuszeni zostali powrócić do fabrykatów. Fantazyje, czyli zszywanie cudzych pomysłów; transkrypcye czyli przepisywanie ich żywcem; aranżowania czyli ubranie w inną modniejszą sukienkę: zostały współubiegania się ich polem. Produkcynność i nowość Szopena, nieraz im były bodźcem; napisał np. sonatę, balladę, scherzo, nuż inni pisać sonaty, ballady, elegie, scherza, i ktoby uwierzył? — mazurów nawet się imali! Niekiedy

cechą prawdy naśladowania te są oznaczone: boć to także zrobili ludzie; ale częściej tak dalece ludźmi są tylko, że się nie zdołali do wzniosłości Boskich podnieść uczuć. Przecież przykład dany z góry wstrzymywał powódź ramot nowoczesnych, i nadlugo jeszcze groblą jej będzie.

VI.

Odkrywszy ileśmy zdołali ducha całych poematów Szopena, radzibyśmy na części je rozebrać; użyteczne to być może, dla tém lepszego tamtych pojęcia. Zaiste, niech tu nikt nie czeka wyjawienia środków, któremi gieniusz do pewnych dochodzi wypadków; gdyby to kto potrafił, światby go pewnie za dobroczynnego czarownika okrzyknął, za ostatniego i najwyższego gieniusza: wtenczas każdy mógłby gieniuszem zostać. Ale tak nigdy nie będzie. Natura dała muzykowi dźwięk i ruch; by zaś ich stosownie do swych potrzeb używał, a w użyciu się nie zbłąkał, w jego organizmie przepisy złożyła: to w głosie, to w słuchu, to w biegu krwi ku sercu dążącej. W sercu tém osadziła uczucia, by je malował, a przez połączenie serca z mózgiem, siedliskiem władz wszystkich, sąd o uczuciach pierwszego, drugiemu powierzyła; smakiem zwany tak jest pobłażający, że wszystko uzna czego serce potrzebuje i sobie przysposobi, a czém za pośrednictwem dźwięku i ruchu, do innych serc o współczucie kołacze. Oto i cała naturalna teorya kompozycyi muzycznej. Jak sobie człowiek ma począć, to już rzecz jego; pod warunkiem, że wiernym będzie natury prawom. Zna je tóż ludzkość już dawno, i w miarę potrzeb swoich, używa; pojęcie ich najwyższe i najlepsze zastosowanie, stanowi człowieka, gieniusz. Więc myli się kto mniema,

że gieniusze, jak Beethoven i Szopen, wszelkie przepisy skruszyli; nie przepisy to były, ale przywidzenia, do innych potrzeb swe tyraństwo rozciągające. Oni tylko z wyczerpanej już roli, sztukę usychającą, na nowe, dziewicze wprowadzili łany, które odkryli jak Kolumb Amerykę, parci przekonaniem o ich bytności, i wedle kompasu uczuć lepiej pojętych. Kto wie? może i te nowe łany z czasem zjałowieją, wycieńczy je głód ludzkości i chciwość bogatych plonów; wtenczas za przywodem późniejszych gieniuszów, znów ludzkość nowe, nietknięte wynajdzie obszary: bo natura więcej ma, niż rozdała. Ale nim do jej hojności uciec się będzie potrzeba, jeszcze długie urodzaju lata obfitym zbiorem, błogosławieństwo dla Szopena powtarzać będą. — Spróbujmy obejrzyć dzieła jego na czynniki rozłożone.

Melodya jego wedle natchnienia różnego rozmaita, zawsze jest szlachetna. Zrazu hasająca swobodnie, przyskajająca jak czujące się młodości siły, wykwinna elegancją, świetna a chętnie błyszcząca: wypełnia najpiękniejsze Szopena dzieła. Ale niedługo już więcej poważna, raczej tkliwa niż namiętna, śpiewnością i rozwinięciem do włoskiej często zbliżona, wygina się w powabne kształty, wdzięczne zwroty; to się rozpryskuje pieśczołliwie w kroplisty deszcz *melismów*, to na dłuższej zaduma się nucie; zwykle pogodna i przezroczysta wtenczas nawet, gdy ją zuchwały rytm potraci, gdy się na nią harmonia zachmurzy. Taka melodia odbiciem jest najcudniejszej w życiu człowieka pory: gdy serce na wszystko, co piękne i wielkie się zdaje, silniej uderza; gdy umysł gorzkim doświadczeniem nie spoeępniał jeszcze, chociaż już wydzierającemu się w objęcia świata sercu, wątpliwość i nieśmiałość rodzące argumenta poszeptuje.

Bogatym takiej melodyi składem jest pierwszy koncert (op. 11), pierwsze nokturna i niektóre później wydane; nadto mazury, a szczególnie w rondzie z mazura (op. 5). Tu jest także czas zjawienia się humorystyki, bo umysł coraz więcej doświadczony lepiej postrzega, a serce niedosyć jeszcze cierpiało, by się we łzy rozplwać. A więc melodia bywa kapryśna, przedrzeźniająca, rubaszna; a tak się nieraz zapomina, że ją aż umiarkowana harmonia musi wziąć pod rękę (op. 17, nr. 4), bo Bóg wie gdzieby zaszła. Ale cechy to coraz rzadsze; smętność przeważa, chmury się gromadzą, huczą burzą, a wysyłają pioruny; melodia się rwie, jęczy już i łez jej zabrakło, łknie tylko słyhać, a skarga już z trudnością przez nie się przeciska (sonata op. 35). To też się mści za odebraną swobodę, za wycierpiane męczarnie, i sama się staje zapalczywa, gwałtowna, okrutna (scherzo op. 39); niekiedy z wyczerpania już omdlewa (op. 54), ledwie znać, że nie skoła jeszcze.—Historja melodyj Szopena jest historją dzieł jego, samego nawet.

Ale ogólną, przeważną, lubo niewyłączną barwą tęg melodyi jest jej narodowość. Byłby w błędzie jednak ktoby mniemał, że melodia, powiedzmy ogólniej, że muzyka Szopena, zawsze jest polską. Szopen w swém widzeniu zbyt często był kosmopolitą, by się przynajmniej poglądem, gdy nie duchem, od wyłącznych nie uwalniał wpływów; chybabyśmy zgodzili się z jednym z autorów, że postępowanie oparte na cząstkowym duchu jakiego ludu, już jest narodowém. Ale zato muzyki polskiej nie tylko w mazurach, krakowiakach, polonezach Szopena szukać należy. Nietylko rytm nasz domowy znajdzie się tam, gdzie go najmniej się spodziewamy, np. rytm mazura w waryacyi drugiej op. 12, i tamże w finale rytm ku-

jawiaka (obertas); ale znajdzie się pieśń polska tu i owdzie utajona, spleciona z ogólnej barwy ustępami: takim np. jest temat fantazyi op. 49, albo ta, raczej słowiańskiej niż wyłącznie polskiej natury melodya, w nokturnie op. 62, str. 10. Po czém je poznać? Któż umie powiedzieć, po czém poznaje pieśń ludu (nietaneczną), choćby na marmurową posadzkę zbląkaną? Kto wie, na czém polega woń fiołka? Ale mniejsza o to, że powiedzieć nie można, gdy się czuje. Gdy Szopen u obcych się zjawił i po naszymu im zagrał, słuchające go ludy z zadziwieniem pytały: coto za pieśń tak urocza, tak silna, prosta, tak wzniosła i nowa? I dowiedziały się ludy, że to pieśń polska! O! nie nowa już ona; znać ją świat powinien!...

Harmonia w dziełach Szopena dzieli losy jego melodi. Naturą muzyki na drugą w niej skazana rolę, zaćnością, że tak powiemy, gorliwością w popieraniu melodi, głębokością kombinacyj z naturalnością prostoty się snujących, bo usprawiedliwionych duchem całości, wydobywa się z podrzędnego stanowiska i na równi z melodyą w pierwszym niemal rzędzie staje. To jój służy, to ją podpira, to obwija opiekuńczem ramieniem, to ją po swój oprowadza dziedzinie; to nurtując jój państwo, we wszelkich kierunkach skarby zeń wydobywa. Nieraz ją objaśnia, a często bardzo z nią walcząc, potężnemi raniąc ją ciosami, do rozpaczcy ją przywodzi; uczy ją gwałtowności, w daremnych zapasach zużywa jój siły, zabija ją prawie, i z tryumfem na jój wdziera się miejsce. A wtenczas rozżalona wrusza łagodnie swą ofiarę nieruchomą, albo z rozpaczą targając, wskrzesza ją z letargu. Króćej, ale podobno mniej dosadnie powiedzieć można, że harmonia Szopena posiada szlachetność, siłę, głębokość, czyuność, śmiałość i inne przymioty tak wy-

soko posunięte, jak ich od czasu wielkiego Bacha (1), nikt, wyjąwszy Beethowena nie rozwinął. Beethoven nawet nie dochodzi Szopena, co do obfitości użycia wszystkich pomocy, jakie harmonia dać może: lubo jako kompozytor przeważny na orkiestrę, wyżej stoi od niego wyswobadzaniem pojedynczych harmonii głosów (*polyphonia*), w czém go znowu Bach przeszedł, lubo w innym duchu. Bach, ów twórca harmonii, ojciec jój raczój, bo jój nie stworzył, ale ją wychował, stan jój niejako zapewnił; Bach był jedynym z kompozytorów, którego dzieła na fortepianie Szopena nadługo przed jego zgonem leżały. Uważał go za najgodniejszego studyj, za źródło najgłębszych kombinacyj, za surowego stróża wykończenia artystycznego. Że korzystał z niego, to widoczne, przecież nie w tym samym rodzaju (choć tu można policzyć kilka ze wskazanych dawniej przykładów); bo nie oddawał się wyrabianiu pojedynczych głosów, ale ich drogę całym grupom przebywać kazał, a więc naturalnie z mniejszą łatwością i nie tak uporczywie utrzymaną dążnością. Więc co u Bacha niby zwikłane, rozjaśniają sznury głosów wydatnie prowadzonych: to u Szopena niby pogodne, chmurzą, piętrami, niby z jakiejś przepaści wstające akkorda, a po nich duch harmonii, jak Tytany po górach, pnie się do walki z melodyą. By jój podolać, wszystkie swego państwa siły porusza: to ją dojmie boleśnie, że aż się z jój łona jęk wydziera: to stracony w przepaść, zdradziecko się poddaje wrąc

(1) Zpomiedzy wielu znakomitych muzyków tego imienia i do jednej rodziny należących, najznakomitszym był Jan Sebatyan kantor lipski, urodzony w Eisenach w 1685 r., zmarł 1750. W r. 1736 mianowany został kompozytorem dworu elektora Saskiego, a króla polskiego Augusta II.

niechęcią, a nowych sił nabrawszy, do nowego wspina się szturmu.

Chromatyczność (1), jedna z przypadłości harmonii, stanowiąca burzliwość jej życia, mocno wpływająca na kierunek a więc i ducha melodyi, z wielkiem bogactwem w kompozycjach Szopena jest roztoczona. Onato wiecznym dyatonice oporem, klóci spokój melodyi na tej ostatniej rozwieszonój; jestto wieczne przeczenie pogodzie głównego głosu, jęk towarzyszący rozkoszy, boleść wykrzywająca usta do uśmiechu ułożone. Zmniejszone i zwiększone interwalle, to melodyjnie, to harmonijnie użyte, skrecając gwałtownie dążność spodziewaną od ucha najbliższego rozwiązania czekającego, za jego właśnie pośrednictwem ślą gwałtowne razy do serca, raniąc je niemiłosiernie. Dodajmy do tego przemieniające się często i niezdecydowane *dur* i *moll*, a będziemy mieli obraz ciągłych zapasów, nadających, mianowicie późniejszym kompozytom Szopena charakter, w jedném wyobrażeniu: — walka, streszczony.

Do tyłu potężnych żywiołów trzebaż nowego jeszcze? Oto rytm przybywa, i nie uboższy, nie słabszy od innych. Stanowi go cząstka wieczności, czas, w drobne przedziały pokrajany; on jest tętmem muzycznego żywota, on prowadzi zgodne lub walczące wyżej wymienione siły; on sam nieraz waśni i godzi, podżega, szarpie, łamie i koi. On najprzeważniój stanowi, czy melodia harmonią odziana będzie mazurem, krakowiakiem albo inną pieśnią. A Szopen filozoficznie znał jego własności: w Sonacie (op. 4, dotąd niewydane) (2) Elsnerowi ofiarowa-

(1) Sprzeczność z dyatoniką, polegająca na tonach, do obranej za zasadę gammy należących.

(2) W rękopiśmie także pozostały w Warszawie już napisane waryacje na 4ry ręce, z oryginalnego tematu.

nój, uwiecznił swoje badania w Andante na $\frac{5}{4}$, a w ogólności w jego dziełach wielką różnorodność rytm różni. Onto kołysze śpiącą dziecinę w takt do macierzyńskiej pieśni (op. 57), on kochającą się parę, wprawnił wioślem na morskie wywodzi lazury i w burzy ją ratuje, (op. 60), on niekiedy sam prawie do panowania się wydiera, albo z zaprzeczającymi mu tego prawa, dwoma dźwięku czynnikami, do uporczywej staje walki i nieopisane wyprawia harce. A gdy mu braknie chętnego zapaśnika, to na samoistne rozpada się części i bić im się z sobą każe. Walka wtenczas straszliwy przybiera charakter: bo sprzeczne rytmy, jak ogień i woda, nieubłaganą artysty wolą jednoczone, ani jeden drugiego pokonać, ani ze szponów przeciwnika wyrzucić się nie mogą (sonata op. 58), dopóki myśl, którą mają przedstawić, skończoną nie będzie.

Nie tu koniec studyj ciekawego badacza dróg wielkiego kompozytora; wyczerpać ich niepodobna prawie, bo badanie im głębsze, tém więcej odkrywa nowych szczegółów, by się im dziwić: jednego jeszcze dotkniemy. Oryginalność i świeżość pomysłów Szopena, by oddaną była we właściwym duchu, często téż oryginalnie i w sposób niezwykły się objawia. Patrzymy np. na początki niektórych dzieł jego: jeszcze nie zaczął, kilka dopiero przygotowawczych rzucił rysów, a już wiemy, czego się spodziewać. To znów się zdaje, że początku wcale nie było, a to, co słyszymy, jest już dalszym ciągiem poprzednio zajmujących artystę myśli. Niekiedy i końca ich niema; daremnie nienasycony słuchacz po ostatnim akkordzie dłużej się przerwie dziwi i czeka; daremnie! Strumień wychodzi z łona góry, a któż wie, gdzie jego istotny początek, jak daleką przebył drogę podziemną,

zanim na jaw wyszedł? Któż wie, gdzie się obrócił, czy daleko jeszcze pobiegnie, gdzie się wleje ów strumień, nagle, jak w grobie, w łonie ziemi tonący? Myśl wielka, temu strumieniowi podobna: tylko częścią się wynurza. Myśl Szopena poczęta i skończona, w jakąż formę się zmieści, skoro nie jest oddzielna, samotna, ale pokrewna innych wielkich myśli, a nieraz ich rodzicielka?

VII.

Przedstawione żywiły muzyki, w dziełach Szopena z wielkiem bogactwem i fantazyą roztoczone, wspólnym głosem obwołują charakter, jakiśmy w całości wykazać się starali. Ale ten głos trzeba słyszeć, by cudom uwierzyć. Jak poruszać czarodziejską laskę, by jej skinieniom duchy posłuszne były?—uczył Szopen szczęśliwych, którzy go słyszeli. Podług nich, gra jego w ogóle łagodną była. Wierzymy w to, ale nie bezwarunkowo. Łagodność, pieszczota, mniejszym tylko (i to niewszędzie) przystoją dziełom; zepsućby musiały wszystko, co jest nawalne, popędliwe, gwałtowne (1). Wnosimy raczej, że dla sił coraz więcej słabnących (2), nie chciał się narażać na podwójne wyczerpienie ciała i ducha, i dlate-

(1) Zwracamy uwagę czytelnika na podwójne pojęcie *siły*: bezwzględne, w zajmującym nas tutaj wypadku jest dzieciństwem; względne, zasługuje na uwagę nietylko przy wykonaniu dzieł Szopena, ale każdego kompozytora. Siła względna, zależy może od sił osobistych grającego, jego stanu zdrowia, rodzaju który wykonywa, ducha utworu, a nawet od natury lokalu, że już złudzeń akustycznych nie liczymy.

(2) To mu było najważniejszym powodem niespełnienia życzeń, w jednym z listów do rodziny objawionych, by choć raz Polskę odwiedzić.

go nie grywał przy świadkach przynajmniej wielkich swych poematów; może też mniemał, że pojęty nie będzie, i nie chciał poniewierać swych najszczytniejszych myśli. Bądź co bądź, nietrudno spotkać opowiadających, jak Szopen grał mazury, nokturna, nawet polonezy; nikt nie mówi, że słyszał balladę, scherzo lub sonatę.

Słyszało go wiele osób w Warszawie przed i w czasie ostatnich jego koncertów (1); ale to czasy już tak odległe! Wreszcie Szopen ówczesny jakże różny w kompozycjach od późniejszego! Różnica to młodzieńca i dojrzałego człowieka; zatem i w wykonywaniu dzieł własnych

(1) Należymy także do ich liczby; przecież z powodu zbyt młodości, tylko mętne pozostało nam wrażenie. Lepiej pamiętamy zdarzenie (a znajdują się tacy, co je także pamiętają), które w tym wspomnieniu o genialnym ziomku naszym, jako legendę przechować pragniemy.

Za czasów byłego uniwersytetu warszawskiego, co niedzielę i święto uroczyste, odprawiało się dla uczniów jego, nabożeństwo poranne w kościele PP. Wizytek, około godziny 11tej. Chór, złożony z wychowalców i elewów ówczesnego konserwatorium, pod przewodnictwem Elsnera, to z organem, to z orkiestrą wykonywał śpiewy religijne. Szopen mianowicie w ostatnim roku swego pobytu w Warszawie, częstym na chórze był gościem, i chętnie grywał na organach, to fugi różnych mistrzów, to własne improwizacje. Trudna część grania na organach, to jest użycie pedału z ręczną a bogate, zupełnie mu łatwą była i wiodła go niekiedy do popisywania się prawie, co znów prowadziło do stosownego rozbudzenia głosów klawiatury. I zdarzyło się raz w przerwie między ustępami mszy wykonywaną z orkiestrą, że Szopen siadł do organu i za temat wzięwszy zwyczajem stawnych organistów, motyw ostatniego ustępu, jął wylewać z niego bogactwo pomysłów tak wielkie i nieprzerwanym płynące potokiem, że wszyscy, od najstarszych do najmłodszych, ściśnięci około ławki grającego, zadumani, porwani, zapomnieli o miejscu i obowiązkach, na których spełnienie się zebrałi. Aż ich rozbudził pospieszny krok zakrystyana, w biegu już zaczynającego perorę: „A cóż u licha państwo tu robicie? ksiądz już dwa razy *dominus vobiscum* zaczyna, chłopcy dzwonią a dzwonią przy ołtarzu, a organy nie ustają! Panna starsza okrutnie się gniewa.”

być musiała. Więc stracone już są skarby, które pokazywał?—Nie zaiste! Od tylu lat jak chwała jego brzmi po świecie, i w naszym zakątku duch jego przebywał, wypisany muzycznymi głoskami; kochano go i wielbiono, nie ze sławy, ale z dzieł jego; więc je rozumiano. Wprawdzie o drobnych to tylko powiedzieć można; przecież, by i wielkie zrozumieć, tylko chcieć trzeba, a do pracy z pewnym przygotowaniem przystąpić. Nie mówimy tu o środkach czysto mechanicznych, bo one się same przez się rozumieją, a potrzeba zwykle znakomitych. Mowa tu jest o przygotowaniu zdolnym rozebrać na części, co jeszcze w całości pojętém być nie może; zwolna treść jej widoczną się stanie, ustępy się wyróżnią, sprzeczności na jaw wyjdą, i całość wstanie jasna, niezmierna, zrozumiała. Poznamy ją po mocniejszym uderzeniu serca, po krwi na lica wybiegającej, po mrowiu przebiegającym ciałem.

Co do czysto mechanicznej części grania na fortepianie, Szopen niemniej prawie jak w kompozycji był wynalazczym. Natura jego pomysłów powiodła go do odkryć, o których mówimy. Tak np. to, cośmy wspomnieli wyżej o usiłowaniu dla objęcia decymy czynioném, dalej jeszcze zawiodło i nauczyło lewą szczególniej rękę sięgać do odległości, a z nich tworzyć akkorda i arpedžia, rozmiarów nieużywanych dotąd. Nowość właściwych mu i ulubionych passażów, zmusiła go do dobierania i porządkowania starannego palców, które często tu i owdzie naznaczał w swych dziełach, by ułatwić pokonanie i tak jeszcze niezmiernych trudności. I pod tym względem także łamał dawniejszej rutyny zwyczaje; postępował na pozór wbrew naturalnemu układowi palców, a przecież znakomite ułatwienia poczynił. Przykład te-

go choć jeden wskazujemy w etiudzie 6tej op. 25. Niekiedy całe szeregi tonów jednym kaze wykonywać palcem, a tym sposobem lepiej niż wyrazami i znakami objaśnia akcent, którym to miejsce chce odznaczyć. Pomijamy tu inne szczegóły tego rodzaju; mogły one być skutkiem nawyknienia rąk jego i osobliwych ćwiczeń, jakim je kiedyś poddawał; ale najwięcej oparte są na trafnych spostrzeżeniach nad naturą dłoni i palców. Jako nauczyciel, nieraz pewnie miał sposobność udzielania rad podobnych, a przedmiot ten tyle go obchodził, że przygotował nawet rękopism, mający odślonić jego sposób pojmowania mechanizmu, i ułatwienie jego zdołbycia. Ogłoszenie przecież odkładał aż do tak treściwego skrócenia swych myśli, by się na kilku stronicach zmieściły. Jeśli, jak mniemamy, miał na celu ujęcie ich w system rozumowany, byłoby to jednym jeszcze jego wynalazkiem więcej, bo dotąd nic podobnego niema, ile nam wiadomo.

Co się tyczy ogólnego środka, jakim Szopen ducha swych kompozycyj urzeczywistniał, jaki do wszystkich stosował, mniemamy, że się nie mylimy spostrzegając go w użyciu pedału, podnoszącego tłumiki. Szopen pierwszy udarował go zastosowaniem tak bogatém, że go przez całe kompozycje do nieustannego działania wyzywa, a w niektórych ustępach co nuta prawie zmieniać go kaze, wedle zmian harmonii. To oswobodzenie, że tak powiemy, pedału, dowodzi, że odgadł naturę instrumentu (zaiste wielu dowcipnych ulepszeń, jeszcze pod tym względem czekającego), i korzysta z niej dla oddania swych pomysłów. Cóż, jeśli nie pedał podtrzymujący brzmienie tonu, gazą tajemniczości odziewa nokturna? Zdaje się, że widać cienie mknących duchów, słychać ich

szelest. Cóż, jeśli nie padał odziewa pojedyncze dźwięki tęsknotą, zadumaniem? Co śpiewność uwydatnia? co zbiera rozstrzelone tony, szykuje je jak żołnierzy pod chorągwią jednego akkordu i do śmiertelnej z melodyą wysyła walki, a czasem i na pomoc?—pedał i zawsze pedał. Rola, jaką odgrywa w dziełach Szopena, tak jest ważną; pomoc, jaką pokrywa niedostateczność instrumentu tak znakomita, że po odrzuceniu jego współdziałania, duch muzyki staje się podobny do bladonarysowanego obrazu. Jest tam charakter, fantazya, siła, ale bez pokonywającej materjalności wydatności; w fortepianie zostaną dźwięki, ale zesłabłe, nikłe, rozproszone.

VIII.

Niech tu będzie koniec naszego poglądu na Szopena. Zaczęliśmy w imię jego i w imię sztuki, której był i zostanie jednym z patronów; a chociażśmy się starali nic nie opuścić, coby pośrednio lub bezpośrednio przedmiot obchodziło: czujemy, żeśmy go ledwie z kilku stron dotknęli, a siły nasze już wyczerpane. Więc ostatniem jeszcze wysileniem pragniemy streścić w naszej myśli pojęcie o duchu pozostałych po nim pomników sztuki, by mu wyszukać między innemi naszymi prorokami podobieństwo, jeśli nie obraz wierny—i autor Maryi na myśli nam staje.

Dzieła Szopena i Malczewskiego poemat, jednakowem owiewają nas tchnieniem. Ta sama w nich chmurność obrazów i tkliwość pieśczone, ta sama boleść w najrozkoszniejszych ustępach, ta sama tajemniczość wiejąca zewsząd nieszczęściem, ta sama dzielność, trwoga, odmęt walki, i przerażające złych wpływów działanie. Mal-

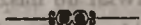
czewski skończył, a namby jeszcze końca potrzeba: nie dlatego, by należało ciągnąć dalej osnowę dramatu, lepiej uczucie rozwinąć; ale nam potrzeba czegoś, by wzburzenie, którym nas poemat owładnął, ukoić. Bo niema rozpacz Miecznika i do naszój wkradła się duszy, która niestety! po rozwiązanie do nieba odnieść się musi. Tak i Szopen w zawieszeniu nas zostawia. I zaprawdę, boleści jakie przed nami roztacza tak są prawdziwe a niezmiennie, tak ze wszystkiém, co jest rozkoszą, splecione: że gdy bojaźliwa nadzieja do końca dobiegłszy, nic dla siebie nie znajdzie, wraca na przebieżoną już drogę, by nowe szperania zaczynać, dopóki z wysilenia nie padnie, oddając się woli Przedwiecznej.

Porównanie to głównemi rysami tu przedstawione, aż do szczegółów rozciągnąćby się dało; przecież je tu zaniechać musimy, boby nas powiodło do licznych cytacyj obudwu gieniuszów, a z powodu niedeterminowanego znaczenia wyrażen muzycznych, do subtelnych i często na znaczeniu żywiołów muzyki opartych dowodzeń. Czujemy, że to nawet nie doprowadziłoby do pożądanego celu; rzeczy bowiem uczucia, tylko do pewnego stopnia wskazane, nigdy wypowiedziane być nie mogą, i tylko uczuciu są widome. Tutaj tylko wspomnimy, że to podobieństwo rozciąga się aż do drobnych przypadłości formy, co i o duchu wnosić pozwala; np. zuchwałego wyrażenia, niespodziewanych, nieznanych prawie dotąd językowi (obudwom) zwrotów, energii, co kilkoma wyrazami jak błyskawica przepaść uczucia nurtuje; i tych drobnych niejasności, które znawca obu języków, mimo pojęcia, radby przejrystsze widział, co zbite w jedno, radby rozsunięte znalazł, by tylko lepiej się wpatrzeć zdołał: — aż do tych nawet wyrażen, którym dziwić się

chce smak dobry, zakrzyczany efektem i zatopiony leją-
cém się z niego pojęciem.

Porównanie to ma przecież granice; Malczewski je-
den zostawił poemat, Szopen kilkanaście; a jako oryginalny
zawsze, i zawsze nowy, mógł na liczniejsze wylać
się strony, dokładniej się objawić. Ztąd w licznych je-
go dziełach są rysy, których Marya Malczewskiego nie
posiada, albo nietyłe rozwinięte. Mimo to przecież, ogół
ducha pozostałych po obudwu tworach, w braterskie
uściśnienia biegnie; i mniemamy, że gdyby Szopen poezją
swoję w wyrazach zamieścił, a Malczewski muzyką się
tłumaczył, podobieństwo pozostałoby toż samo, i tylko mo-
żeby stosunek rozwinięcia obudwu się zmienił.

W zewnętrzne ich żywota przypadki nie wglądajmy.
Szopen tém szczęśliwszy, że za życia był uznany i prze-
mawiał językiem, który cała ludzkość rozumie; przecież
my najlepiej. O! bodajby głos jego zawsze napełniał na-
sze dusze wzniosłością, równą boleści, jaka po jego stra-
cie serca nasze przepelnia!



NA ŚMIERĆ SZOPENA.

PRZEZ

Severyna Kaplińskiego.

Umarł Szopen! z nim razem wstąpił do mogiły
 Władca tonów, co wstrząsał sercami naszymi;
 Ludzie wieszczą, niebiosą kapłana straciły,
 Co o lepszej krainie rozpowiadał ziemi!

Szopeniel tyś nieznaną śmiertelnym potęgą,
 Podstuchił śpiewy niebios, archaniołów chóry;
 Tyś się zbratał z serc naszych tajemniczą księgą,
 Tyś z niej wyczytał skryte tajniki natury.

Żegnamy was melodye, któremi tak błogo
 Pieścił serca; napróżno serce dzisiaj słucha:
 Mogą nas inni zdziwić—zachwycać nie mogą,
 Boś ty jeden przemawiał do naszego ducha.

Jego natchnienie, jakby magicznemi słowy
 Rzuca w krainę wspomnień: młodości, tęsknoty!
 I czujesz uścisk matki, ojczyste pieśczoty,
 I uśmiech przyjaciela, i z lubą rozmowy.

To znowu, jakby wiarę obudzi z kolei,
 Wiarę naszą dziecięcą, tak prostą, tak jasną;
 Zmilknie rozum, zwątpienia płomienie przygasną,
 Czujemy pełność szczęścia w pełności nadziei.
 I gdyby taką wiarę chować można długo,
 Wiara byłaby zmysłem, jak dziś jest zasługą!

Z Kopernikiem cię łączy kolebka i sława;
 On, siłą swojej myśli prawa słońcom pisał:
 Tyś duszą dla dusz bratnich słodkie kreślił prawa,
 Któremi serca wzruszał, rozrzewniał, kotysał.

On czuje gwiazd harmonią, lecz cyframi ziębi:
 Ty, harmonią niebieską wlewasz do serc głębi.
 Twój gieniusz, jego bratem: on wziął wiedzę w podział,
 By nieskończoną prawdę, stawić nam przed oczy:
 Tyś piękność nieskończoną w boskie formy odział.
 Od obudwóch gieniuszów, bije blask uroczy:
 Ty sercom, on rozumom, jak słońce przyświeca.

Bez chwały poprzednika, bez sławy dziedzica,
 Hołd wam wielcy mężowie—jednej matki syny!
 Nieśmiertelność was obu, na swe skrzydła wzięta;
 Dla obu ludzkość cała przynosi wawrzyny,
 Podziwia święty ogień, wielbi wasze dzieła.

CISZA.

Niedawno jeszcze żyłem ciągłym bojem,
 Z losami, z ludźmi, z przeznaczeniem mojem;
 A choć pierś miałem hartowną na ciosy,
 I w walkach siłę wyrobiłem męża:
 Jednak mię często przemagały losy,
 I dłoń nie mogła dotrzymać oręża.

A wtedy z raną zadaną głęboko,
 Zpośrodku wrogów, co sztydziłi w oko,
 Wołałem: Boże! otocz mię pokojem!
 Daj mi gdzieś ustroń daleką od świata,
 Gdziebym odpoczął, i styrane lata
 Spędził pod skrzydłem opiekuńczem Twojem!

Bóg mię wystuchał: otom dziś spokojny,
 Pędzę dni moje bez gromów i wojny,
 I cisza w życiu mojem nieodmienna...

Lecz to dla piersi młodej zgubna cisza!
 Pęka moc duszy, bodajby kamienna,
 W tém dziś jak wczoraj, w tém jutrze jak dzisiaj.
 Nie chcę téj ciszy!..Skrzydeł mi—a wzleceć,
 Skąpię się w burzach, i w słońcu rozświecę!

Zenon Fisch.

O POŻYCZCE NA PROCENT U RZYMIAN.

Na posiedzeniu paryżkiej Akademii Napisów z dnia 17 sierpnia 1849 r., czytał p. Naudet następującą rozprawę o pożyczce na procent u Rzymian:

W historii pożyczki na procent u Rzymian, epoka ustalenia się cesarstwa, stanowi przejście od walk i ciągłych zatargów między dłużnikami i wierzycielami, do porządku i stanu prawnego. Aż do téj chwili w rozterce przesadzonych uroszczeń obu stronnych, panowały tylko niesprawiedliwość i gwałt; widzimy nielitościwą chciwość jednych, obok niewdzięczności do szalbierstwa posuniętej drugich. Ludzie pieniężni odzierali bez miłosierdzia potrzebnych; dłużnicy myśleli tylko o zrzuceniu się z zobowiązań, uroczyście na siebie przyjętych. Położenie było tém rozpaczliwsze, że złe wynikało ze źródła, w którym czerpać należało lekarstwo: mówimy tu o władzy sądowej, wahającej się ciągle między prawem i słusnością, między jurysprudencją zwyczaju, a jurysprudencją prawa.

Zbyt skorzy do przyjmowania najuciążliwszych warunków w prywatnych umowach, dłużnicy stawali się ciemiężcami nieubłaganymi, gdy zgromadzeni na ko-

micyach, stanowili uchwały ludu (plebiscyty), przeciw wierzycielom; i tak od reformy do reformy, od ulepszenia do ulepszenia, przyszło do tego, że zakazano zupełnie obrotów pieniężnych pod karą ostrzejszą od kary za złodziejstwo. Zapomniano tylko postanowić, że nikt już nadal nie będzie w potrzebie zapożyczania się, i że wy pożyczający będą nadal bezinteresowni. Taki cud sprawił trybun Gemucius roku 414 założenia Rzymu.

Jak wszystkie prawa przechodzące miarę, sprzeciwiające się naturze rzeczy i potrzebom społecznym, prawo Gemucjusza przełamano, po większej części bezkarnie. Kilku młodych edylów równie tyle, a może więcej dla odznaczenia się osobistego, co dla obrony zasad prawa, oskarżało kilkakroć przed trybunałem ludu, i przewiodło skazanie na wysokie kary pieniężne kapitalistów, działających wbrew prawu. Wszakże to prawo formalnie nieuchylone, poszło jednak w głębokie zapomnienie, a po śnie więcej niż stuletnim ocucając się, wywołało krwawą tragedią.

W roku 665 dłużnicy niechęący płacić, ścigani przez wierzycieli zbyt natarczywych, użyli przeciw nim broni dawnego plebiscytu. Pretor miejski Sempronius Asellio nie chciał żadnej ze stron sobie narażać, i nie wiedział co począć. Postąpił, jak czynią ludzie bez stałego charakteru, chwiejący się między stronnictwami; zamiast zająć silne stanowisko, bronić na niem swój niepodległości i utrzymać z sobą drugich w równowadze prawa i sprawiedliwości: pozwalał wytaczać procesa, to według zwyczaju pozwalającego brania procentu od pożyczek pieniężnych, to znowu według prawa, które ich zakazywało. Wierzyciele zamordowali go na placu publicznym, w czasie religijnego obchodu.

Odtąd sądy miały to sobie za punkt niewątpliwy; nikt nie śmiał podnieść głosu przeciw ludziom, mającym w ręku tak mocne argumenta. Rzeczy poszły zwykłym torem; zamilkło przedawniałe prawodawstwo, sądy przyzwoliły na handel pieniężny, czyn przemógł prawo, które jak próżna groźba zawisło w powietrzu.

W tych okolicznościach, narada senatu (senatus consultum) z r. 701, nowe zrządziła pogmatwanie, pozwalając brać 12 od sta procentu, chociaż senat nie mógł znieść uchwały ludu.

Nietrzeba mniemać, żeby tak wysoka stopa była zwyczajną w umowach; zbyt wiele ludzi przyszłoby w krótkim czasie do upadku. W istocie rzeczy, stosunek obfitości kapitałów do potrzeb miejscowych, regulował wysokość stopy procentowej. Zdarzyło się, według świadectwa Cycerona, że stopa procentu podskoczyła ze 4 na 8 od sta, za zbliżeniem się wyborów. W czasie wyborów bowiem pieniądze bardzo były poszukiwane, kréski nie dawały się za darmo, a wyborców było tak wielu do przekonania!

W cztery lata po téj naradzie senatu, Cezar wszedł do Rzymu skutkiem ludowej rewolucyi, a ta rewolucya zrobiła go dyktatorem.

Wojny domowe i burze na forum wprawiły w zamęt interesa prywatnych, zarówno z interesami państwa. Głęboki niepokój trapił Rzym i Włochy. Tysiące głosów, tych właśnie, które najmocniej słyszcć się dawały, zgodnie żądało umorzenia długów, czyli inaczej mówiąc, uprawnienia bankructwa.

Dyktator starał się rzecz złagodzić: kazał sporządzić ocenienie dóbr nieruchomych według wartości, jaką miały przed wojną, i postanowił, że wierzyciele w téj cenie

przyjmować je mają, po potrąceniu z całości długu kwot upłaconych lub przyznanych tytułem procentu; czwarta część wierzytelności ginęła tym sposobem. Byłoby wskrzeszać dawną uchwałę ludu przeciw pożyczce procentowej, z wyjątkiem kar przyrównywających lichwiarza do złodzieja.

Rozmaicie oceniono ten akt dyktatorski. Niektórzy uważali go za roztropne pojednanie w drażliwym i trudnym procesie; inni ganili go, jako środek samowolny, ucisku pełny, nadający prawu moc wsteczną, a tém samém niebezpieczny. Najmniejszym złem mocy wstecznej prawa jest jeszcze to, że unieważnia umowy dobrowolnie z obu stron zawarte, i opierające się bądź na prawie obowiązującym, bądź na jurysprudencji powszechnie przyjętej; że z musu wkłada warunki odmienne, nieprzewidziane, których nie było się wolnym przyjąć lub odmówić.

Nadanie mocy wstecznej prawu, czyni więc; przy najlepszych niekiedy zamiarach obraża prawa wszystkich, tych nawet, którym chce przyjść w pomoc: poświęca przyszłość, terażniejszości.

Wiadomą jest rzeczą, że Cezar nie stanowił prawa z własnej swojej i pełnej woli. Wszechwładność jego uległa tu koniecznościom zasady, z której była wyszła. W gwałcie poczęta, gwałtowną być musiała. Zwycięzca wszedł do Rzymu zbrojną ręką, i po reakcyi, sprawionej przez trybunów. Przed nim, jako następcą Moryusza, uciekał wychowaniec Sylli. Tłum rządził.

Trzeba było zadowolić starych i nowych przyjaciół, przywiązanych do jego szczęścia, tyle przynajmniej, co do jego osoby. Cezar otworzył drzwi publicznego skarbu, i wspomógł dłużników kosztem wierzycieli.

Ludzie trudniący się obrotami pieniężnymi, zwykle mało znajdują sympaty; dobrze byłoby przecież, nie przez wzgląd na nich, lecz dla interesu ogólnego, żeby w odwecie za twarde ich postępowanie i złośliwe podstępny, nie okazywano się zbyt skłonnym do samowolnego ich obdzierania.

Mniej w tém złego, zostawić ich w posiadaniu majątków niesłusznie nabytych, co upowszechnić opinią, że stojący u władzy, mogą, gdy tak się podoba, zabierać ludziom to, co mają, aby naprawić zrządzone przez nich krzywdy.

W Rzymie mianowicie, nie wszyscy bez mała dłużnicy, składali się z nieszczęśliwych właścicieli, rolników lub rzemieślników, przywiezionych do upadku przez nieprzewidziane wydarzenia i przesilenia handlowe. Byli to po większej części próżniacy, co zjadłszy ojcowiznę, wyczerpawszy wszystkie sposoby używane przez darmozjadów, kupowali bez pieniędzy, lub pożyczali na życie zbyt kosztowne.

Na wszystkich szczeblach społeczności rzymskiej, widziano ludzi zabawą zajętych, których pierwszym i ostatnim zasiłkiem była pożyczka; pożyczka niszcząca, bo lichwa rosła w miarę ubywającego kredytu, a żadna téj lichwy wysokość, zastraszyć nie była zdolną nagłości ich potrzeb i zaciekłości ich chuci. Zresztą, gdyby nawet godniejszymi byli politowania, nigdy pomysłność ogólna nie powstała z bogaceniem jednych tém, co wzięto drugim, i zniweczeniem zawartych umów.

Władza dająca prawa, może uwolnić dłużników od zobowiązań; lecz sprawić nie zdoła, aby wiara handlowa przez to zgwałconą nie była, aby kredyt się nie zachwiały, a z nim pomysłność ogólna. Choroby kredytu nie leczą

się gwałtownymi środkami. Łatwo go zabić; zmusić niepodobna. Jest on natury delikatnej, dziki, trwożliwy i awanturniczy zarazem, umierający z postrachu, za dotknięciem; aby go wskrzesić, trzeba cudów cierpliwości i zręczności, a ludzie robiący cuda, są tyle prawie rzadcy, ile obiecujący je zrobić są liczni.

Z nadużyć władzy wyradzają się nowe nadużycia: jest to fatalne następstwo. Po edykcie Cezara skarżono się, że bogaci ukrywali pieniądze, i Cezar musiał zakazać posiadania większej ilości w złocie lub srebro, nad 60,000 sestercyjów (około 11,000 fr.). Nowy ten edykt powitano okrzykiem radości na forum, i zażądano nagród dla niewolników, którzyby donosili swoich panów. Rządzący, którzy wdają się w interesa prywatne, winni być zawsze mieć na względzie, oprócz bezpośredniego zastosowania, skutki, jakie ich rozporządzenia wyrzucić mogą na obyczaje.

Można było mniemać, że doświadczenie zrobione przez Cezara, będzie ostatnim przypomnieniem uchwał ludu przeciw pożyczce na procent. Tyberyusz, niestarający się tyle co Cezar o popularność, ponowił jednak jego prawo względem układów wierzycieli z dłużnikami. Powstał ztąd niezmierny zamęt; niesłychanie pomnożyły się skargi i procesa.

Wszakże August zostawił swemu następcy inne przykłady; lecz z charakteru swego ten ostatni więcej był skłonny do ostrzej surowości dyktatora, pomimo, że nie znajdował się w tej samej potrzebie. Posiadał on jednak w wysokim stopniu znajomość interesów, kiedy podejście i zemsta nie cięły jego wzroku; i pojął niebawem, że było z korzyścią okazać się ludzkim i liberalnym. Tak jak ojciec jego przybrany, otworzył Tyberyusz bank

pożyczki bezprocentowej, z kapitałem stu milionów sestercyów (około 18 milionów franków); udzielano pożyczek na 18 miesięcy, za zabezpieczeniem podwójnej wartości na nieruchomościach. Z przywróceniem zaufania, wrócił i pieniądz, a z nim łatwość życia i wszelkich obrotów.

Przyznać należy, że panujący ówcześni, łatwe mieli środki do okazania się wspaniałemi. Łupy świata do nich należały, i nie potrzebowali obliczać się z podatku-jacemi.

Prawodawstwo Cezarów, usuwając zastarzałe przesady uchwał ludu, uznało nieodzowną potrzebę, a tém samém i prawność umów, opartych na prywatnej korzyści, do istnienia społeczności cywilnej. Runęło zużyte rusztowanie zakazów i kar. Z trudnością tylko przychodzi nam pojąć, dlaczego mądrość prawników rozświecająca ustawy cesarów orzeczeniami swemi, uświęciła lichwę 12 od sta, tę krwawą setnicę (1) (centesima), jak ją nazywali historycy i filozofowie. Wszakże, jak już powiedzieliśmy, nie było to prawidłem zwyczaju, lecz ostateczną granicą, do której rzadko dochodzono, której przekroczenie, pociągało za sobą upadek całej ceny najmu piędę-dzy. Tak wysoki procent, sądy przysądzały tylko od biorących na skład lub od przeniewierzających się zawia-dowców publicznego czy prywatnego grosza, skazanych na zwrot tego, co nieprawnie zatrzymali.

Antoninowie i Alexander Sewerus uczynniejsi od Augusta i jego następcy, pożyczali biednym, nie żądając zastawu, na 4 od sta; najniższy procent, jaki był w użyciu,

(1) Setna część kapitału czyli 1 od sta na miesiąc. Procenta płaćcy się miesięcznie na kalendy lub idy.

dodaje dziejopis. Ten lombard cesarzów nietyle trwały co dzisiejsze, mniej od nich był drogi.

Stopa procentu zwyczajna, wahała się między stopą najwyższą prawną, a stopą najniższą, na jaką pożyczki udzielano; procent średni najwięcej w użyciu będący, procent, który Pliniusz uczciwym nazywa, a satyryk Per-syusz umiarkowanym, wynosił 5—6 od sta.

W tém, jak w wielu innych gałęziach zarządu, zachodziły różnice według miejscowości krajów. Było zasadą tolerancyi rządu cesarskiego, szanować w życiu prywatnym zwyczaje narodów, jego władzy uległych.

Zasługuje na uwagę, że dochód od kapitałów mało lub wcale nie przewyższał dochodu z ziemi. Pisma agronomów starożytności, równie jak kontrakta zastawne w wielkiej ilości nas doszłe, nie zostawiają w tym względzie żadnej wątpliwości. Zkąd taka różnica od nowoczesnych stosunków? U Rzymian mniej było przedsięwzięć handlowych, a przemysł prawie zupełnie został w ręku niewolników.

Chrześcianizm tyle i tak wielkie zmiany zaprowadzając w obyczajach i prawach rzymskich, nie zdołał wykorzystać setnicy więcej niż przez stulecie po pierwszym chrześcijańskim cesarzu. Teodozjusz młodszy przyjął ją do swego kodexu wraz z dekretem, ustanawiającym na 50 od sta procent od pożyczki w naturze na wsi. Chłop zapożyczający dwa korce do wysiewu, winien był oddać trzy po zbiorach. Tak był postanowił Konstantyn.

Reforma chrześcijańska dopiero za Justyniana zaprowadzoną została. Wydał on prawo dla całego cesarstwa, uchylając zwyczaje miejscowe, mogące się przeciw powszechnemu jego zastosowaniu. Prawo to ustanowiło

skale odmienną wysokości procentu, według rangi i stanu wypożyczających, którzy podzieleni zostali na trzy kategorie. Stopa godziwych zysków, wzrastała w odwrotnym stosunku do godności osób.

Panowie i szlachta nie mogli wymagać więcej nad 4 od sta. Kupcy i rzemieślnicy mieli pozwolony procent ósmy; prywatni niehandlujący, szósty; od chłopów niewolno było pobierać nad pięć od sta. Zdało się Justynianowi, że przez to zapewni korzyści małym rolnikom. Jakżeż przecie nie spostrzegł, że jeśli nie było dość pobożności w sercach, aby zachęcić do pożyczek na tani procent, prawo jego zamykało kiesę trudniących się pożyczkami samolubów.

System ten, nowy przez swoją jedność i panowanie wyłączne, uświęcał wyobrażenia, które nowymi wcale nie były. Już cesarz Alexander Severus stanął w sprzeczności z opinią rzymską, gruntującą przywileje hierarchii społecznej na majątku. Chciał on, by pieniądze przynosiły mniej zysku tym, których położenie towarzyskie było wysokie; zakazał senatorom pożyczki na procent, pozwalając im tylko przyjęcia *daru wdzięczności*. Opoźniał się przecież później, i pozwolił im brać 6 od sta, lecz bez podarunku. Domyślać się godzi, że w tym względzie senatorowie wezwyczaili biednych swoich dłużników do nadmiernej szczodroliwości.

Justynian pomnażając i ścieśniając szranki lichwy, zmniejszył karę za przekroczenia. Zagrożenie poczwórnych sztrafów i oznak bezcześci w niektórych przypadkach, znikły z prawodawstwa pożyczek, i wykraczający już tylko mieli się obawiać straty wypożyczonej summy.

Nie posunę się dalej w tym rysie ustaw cesarskich, w przedmiocie pożyczek wydanych. Prawo rzymskie

ustaje, prawo duchowne zawładnie bez podziału. Wtedy innym idąc torem, z czystszeami zamiarami, dojdzie się do punktu, na jakim rzeczy były za dawniej rzeczypospolitój, to jest do zupełnego zakazu pożyczki na procent; i znowu następstwem nieuniknioném i odśrodkowo przeciwném zamiarowi prawodawcy, wyniknie z tego tylko podwojenie chytrych zabiegów i nieubłaganej chciwości lichwiarzy, a ucisku i nędzy zapożyczających. Żle zrozumiana miłość chrześcijańska sprawiła to po przerwie dziesięciu wieków, co przedtém było godłem demagogicznej filantropii. Tak rodzaj ludzki wiecznie się wysila w jednym okręgu złudzeń. Często to, co bierzemy za postęp, jest tylko powrotem do dawnego błędu, który zmienił swe znamiona.

Z.

ZOFIA ZARĘBIANKA (*).

PRZEZ

Ferdynanda Biesickerskiego.

Już w XIIIym wieku w krajach Europy, gdzie tylko prawo rzymskie obcém nie było, przy inkwizycjach tortury używano.

W Anglii aż do roku 1772 za Henryka VIIIgo i jego dzieci, nie tylko głodem i zrządzoném pragnieniem na oskarżonym zeznanie wymuszano, ale i właściwą torturą.

We Francyi między wielu innemi historia głosi, że hrabia Montgommery w roku 1574 przed wykonaniem wyroku śmierci, musiał torturę wytrzymać. W XVIIym wieku, kiedy ten piękny kraj szczycił się w Europie wyższą cywilizacją, miał przecież nieludzki kodex karny,

(*) Wyrok na karę śmierci roku 1776 niesłusznie zapadły, z przyczyny użycia przy inkwizycjach tortur, spowodował, iż w Polsce roku 1780 (zatem prędkiej, jak w innych krajach Europy) w zupełności torturę zniesiono. Niniejsze opowiadanie jest Antoniego Biesickerskiego, byłego senatora kasztelana, a w owym roku sędziego sądów asesorskich, który podpisał rzeczony wyrok, pod prezydencją księcia Stanisława Lubomirskiego, marszałka wielko-koronnego.

a obok tego, cóżto za okrutne postępowanie z oskarżonymi dzieje przywodzą za ministerstwa kardynała Richeliego i Krysztofa Fouquet! Ludwik XVIty w roku 1781 piérwszy krok we Francyi dla ludzkości uczynił, gdyż torturę w większej części skasował, pozostawiając straszenie tą męczarnią, które nazywano *Territion*. Oskarżonego w takim razie do męczeńskiej izby wprowadzano, poddając go napozór katuszom. Tu kat straszliwe narzędzia okazywał, a boleści, jakie miał zadawać, jeżeli świadkami stwierdzonej winy nie przyzna, wystawiał w jak najokropniejszym obrazie, chociaż miał polecenie, ani dotknąć oskarżonego. Jeżeli przyznał i znów zaprzeczył, poddano go większemu zastraszaniu, zwanemu *Realterrition*. Wtenczas katowi oddany, po obnażeniu, wszelkie narzędzia męczarni oskarżonemu przykładał, na torturze go rozpinął, wszystkie członki śrubami rozciągał, z tą jednakże względnością, aby mu wielkiego bólu nie zadać. Rewolucya francuzka roku 1792 i to w zupełności zniosła.

W Niemczech roku 1769, Marya Teressa wszelkie męczarnie tortury w czterdziestu pięciu tablicach, dla inkwizycyjnych sądów w rycinach kazała rozesłać. Wzdryga się natura, widząc tak okropne męczarni obrazy. Zgoła aż do końca XVIIIgo wieku nie było zakątka Niemiec, ażeby skazany na śmierć, przez torturę nie przechodził.

W Polsce używano tortury do końca XVIgo wieku, lubo straszenie w sposobie *territion* do r. 1780 miało miejsce. J. Sonnenfels profes. prawa przy uniwersytecie wiedeńskim, zostawił w swém dziele zaszczytne powinszowanie Polsce, że wyrzuciła w usunięciu tortury inne narody. Ale nic dziwnego: bo tak, jak Włochy

miały przyjaciół ludzkości, powstających w swych piśmiennych przeciw tak barbarzyńskiemu dochodzeniu prawdy, w osobie Beccaryi, roku 1764 w wydaném dziele: „Du traité de delits et des peines”, a w Neapolu Filangerego roku 1780, w Niemczech w osobie Tomasiusza i Hommela, we Francyi w osobie Woltera: tak Polska miała swego pisarza, który o dwa wieki prędjiej, włoskich nawet pisarzy wyprzedził. Tym był *Jan Kirsztyn*, rodem z Krakowa, i tamże adwokatem przy sądach zostający; słynny za Stefana Batorego z prawoznawstwa przyświeconego filozofią, co było u postronnych jeszcze rzadkiem zjawiskiem. U nas z owego wieku także z Pilzna Jana Glickiego do niego zaliczyć można. W dziele wydaném roku 1580 pod tytułem: „O prawie i foldrowaniu” piérwszy Kirsztyn w Europie powstał przeciw barbarzyńskiemu dochodzeniu prawdy torturą. Gdyby nasz pisarz był skreślił swe zbawienne dla ludzkości myśli w języku łacińskim, jego rzucone ziarno, byłoby rychlój swe błogie owoce w Europie wydało; a w świecie literackim byłby miał tę palmę chwały przyznaną, jaką dziś szczycą się Beccaria i Filangery.

Przytoczę tu dosłownie z dzieła naszego ziomka na stronnicy 159 jego światło zdanie, gdzie z taką mocą na korzyść ludów, ze sławą piśmiennictwa naszego, powstał przeciw praktykującym się we wszystkich krajach torturom. „Mocny góral da się męczyć, a nie przyzna prawdy; zaś słaby piecuch opowie grzech, którego popełnić nawet nie miał śmiałości. Tu kat piérwój karze za suspicyą o grzechu, nim sędzia uzna iż zgrzeszył; a kto wróci ból i sromotę? kto za to karanym będzie, że w błędzie katować kazał? Lepiej zatóm niech sędzia bierze w probacyą Boga, świadków, i wyznanie, a nie oprawców”.

Ten pierwszy za ludzkością głos naszego ziomka, nie mógł jak zostawić pewne zarody w umysłach; i dlatego w Polsce z początkiem XVIIgo wieku, jeżeli oskarżony miał przeciw sobie świadków, torturę wskazywano mu jedynie na postrach, ale męczarnie zupełnie *de facto* usunięto. W doświadczeniu przecież pokazało się, że i ten środek nieludzki nie odpowiedział celowi. Wypadek, jaki tu zamierzyłem opisać, pochodzący skutkiem rzucenia postrachu katuszą, celem dojścia prawdy dręczyć oskarżonego bezsennością, środkami wzbudzającymi pragnienie, nie pozwalając kropli wody dla tegoż ugaszenia: zgoła użycie jakiegokolwiek terroryzmu, wykazuje, że oskarżony niekiedy dla położenia końca przykrój inuagacyi, nieznośnego więzienia i obawy męczarni, to przyznał, czego nigdy nie popełnił.

Przekonamy się o tém zaraz ze zdarzenia, które mi ojciec opowiadał w następującej treści: „Niestety! synu, kiedym zasiadał jako sędzia w sądzie assessorskim, podpisałem na niewinną kobietę wyrok śmierci. Wprawdzie wszystko się działo wedle przepisów prawa, cały komplet sądu skrupulatnie przestrzegał, i nie był skory do podpisania wyroku. Ale się pokazało, że wówczas procedura karna, nie odpowiadała słuszności i zadaniu, jakie już nam słynni pisarze prawoznawstwa rozwiązali. Szczęście, że Bóg odkrył jój niewinność, i jeszcze dość czasu było, wyrok wstrzymać i skasować.”

„W roku 1775 dnia 15 marca, oskarżona została o dzieciobójstwo panna Zofia Zarębianka, zajmująca się gospodarstwem we wsi Niwkach, położonej w ziemi łęczyckiej, dziedzicznej stryja swego, który dla urzędowania, nie mógł się gospodarstwem trudnić. W ciągu jój uwięzienia liczni świadkowie zeznali, że zamordowanego

i w ogrodzie dworskim w ziemi znalezionego dziecka była matka; że jako dorodna i rządna gospodyni, miała ubiegających się o jej rękę, a z tych jednemu, gdy została wzajemną, wydała na świat skutkiem ich wzajemnej miłości, tę nieszczęśliwą ofiarę."

„Gdy mimo tak dowodnych zeznań świadków, uwięziona przy kilkakrotnych indagacjach stale zaprzeczała, oddano ją katowi, aby postrachem przyznanie winy wymusił. Wprowadzona została niebawem do tak zwaną izby męczarni; tam srogięj postawy kat zagroził, że jeżeli nie przyzna to, co liczni świadkowie udowadniają; włoży na jej głowę okazaną czapkę pomorską, i tak ześrubuje, że żyły krwią nabiegłe pękać będą, a oczami krew się dobędzie. Następnie zagroził jej ześrubowanie palców, co niesłychany ból sprawia. „Mógłbym ci włożyć hiszpańskie bóty, ale te raczej mężczyźnie przystoją; spróbujesz więc oto tej sznurówki, w której spodziewamy się, że ci dobrze gorąco będzie. Wreszcie użyję przypalania boku, palcy tak rąk, jako i nóg; a jeżeli to wszystko na twój upór mało będzie, tedy rozpiętą zostaniesz na zwykłej torturze, którą powolnie natężając, gdy się nie przyznasz, do tego stopnia dośrubuję, że aż ze stawu wszystkie członki wyjdą. Nie sądz, żeby te zadane męczarnie śmierć ci zrzędziły; jeżeli je z zaciętością zniesiesz, i nic nie zeznasz, lekarz więzienny wyleczy, i znów przyjdiesz na moje ręce: ale pamiętaj, że jeszcze sroższe z długimi cierpieniami męczarnie przechodzić będziesz.” Zofia z przerażeniem wysłuchawszy kato, rzekła: „A więc mi tu śmierci odrazu zadać nie myślisz?” „Bynajmniej; mam tylko polecenie powolnemi męczarniami zmusić, abys przyznała, świadkami utwierdzoną, a przez siebie spełnioną zbrodnię.”

„Otóż uczynię to, czego po mnie wymagacie. Nieodwołalnie zatem oświadczam i przyznaję, że jestem matką zamordowanego dziecka.” Takie protokolarne Zofii przyznanie, zgodne z zeznaniem świadków sąd odebrawszy, wydał wyrok, skazujący ją na ucięcie głowy.”

„Już rusztowanie w rynku Starego Miasta wystawiono, pułk Działyńskich otrzymał rozkaz utrzymywania przy egzekucyi porządku, a téj publicznej i uroczystej karze dla przykładu drugich, tysiące widzów miało być razajutrz świadkami: kiedy w wigilią spełnienia odczytanego skazanej wyroku, Zofia widząc swój blizki koniec, pragnęła złożyć brzemię swych błędów u stóp namiestnika Chrystusa. Tym celem, wezwała w owych czasach słynnego ze światła, wymowy i pobożności kapłana z zakonu OO. Kapucynów. Za jego pomocą, po odmówieniu ze skruchą modlitw, przystąpiła z pokorą do wyznania grzechów, z których otrzymawszy rozgrzeszenie, gdy spowiednik kończył z nią odmawianie psalmów pokutnych, przyszło mu z podziwieniem na myśl, że Zofia główny grzech, o jaki ją sądy ludzkie potępiły, na odbytej spowiedzi przemilczała. Pragnąc ją mieć na drodze zbawienia, i śmierć przez pociechę lepszego w przyszłości życia znośniejszą uczynić; przedstawił w téj mierze o jęj zbawienie swą obawę, którą Zofia w usprawiedliwieniu swoim, w ten sposób starała się czcigodnego kapłana zaspokoić. „Ojczy duchowny! jutro mam stanąć przed sądem Boga. Ta trwoga przed śmiertcią, ta bojaźń sądu przed wielkim Stwórcą, ten żal, wreszcie pokora: wszystko to naprzemian mego ducha przejmuje. Gdybym tedy tego zarzutu zbrodniczego była winna, miałabym przed namiestnikiem jego przemilcząć,

i nie błagać o rozgrzeszenie przez wzgląd już tu wycierpianego więzienia i kary śmierci?" Na to kapłan: „Ależ moja duszo, zeznanie tylu świadków, i twoje przyznanie się do zbrodni?" „Świadkowie, sąto poddani w służbie dworskiej, odrzekła Zofia, którym nienawistną byłam ztąd, że ich źle żywiłam, a ekonomowi poblażałam surowe z nimi się obejście. Przez zemstę tedy zarzucono mi tę zbrodnię, a świadkami, składającymi się z nieprzyjaznych domowników, utwierdzono. W takim smutném położeniu, uprzykrzywszy sobie dokuczliwe więzienie, przejęta zgrozą zawziętych a niesprawiedliwych ludzi, nakoniec zagrożona powolną męczarnią tortur: aby raz skończyć, przeniosłam szybką śmierć, nad przewlokłą męczarnię. Dlatego przyznałam to, czego po mnie kot wymagał, w tém przekonaniu, że Bóg mię niewinną widzi, a ludziom już trudno usprawiedliwić się będzie."

„Z uwagą wysłuchawszy bogobojny kapłan, wziął sobie za obowiązek ratować niewinną; zapewnił Zofią, że jeżeli tak jest, użyje wszelkich środków, by uniewinnoną została. Zofia podziękowała za pociechę, którą kapłan wlał w jęj zboliałe serce, polecając się zresztą Bogu. Prosto z jęj więzienia udał się do księcia prymasa arcybiskupa, a ten do marszałka wielko-koronnego, nawet gdy czas naglił, do króla Stanisława Augusta. Kazano zaraz exekucją wyroku wstrzymać, świadków wziąć pod ścisłą straż i inkwizycją, w toku której zeznali, że na cmentarzu wykopane dziecko w dworskim ogrodzie zagrzebali, i ażeby się pozbyć nieznośnej dla nich pani, oskarżyli ją o zbrodnię dzieciobójstwa. Po takim odkryciu fałszywego świadectwa, wyrok zapadły na Zofią Zarębiaukę skasowano. Król polecił ogłosić ten wypadek w całym państwie, by zwrócić uwagę sądów,

(Co téż właśnie sprawiło, że z rokiem 1780 nawet straszienia mękami tortur, w zupełności zaniechano). Aby zaś Zofii publicznie przyznać dobrą sławę, monarcha zaprosił ją do swego stołu, a za tegoż przykładem poszedł książę prymas i wszystkie domy magnatów." Tym sposobem wprawdzie zwrócono jej dobre imię; ależ zapytajmy się z naszym pisarzem Janem Kirsztynem, kto wróci Zofii cierpienia w więzieniu, trwogę torturami zrządzoną? Kto za to karze ulegnie, że w błędzie kazał więzić i terroryzmem wymusił wbrew prawdzie zeznanie? Lepiej zatem niech sędzia bierze w probacyą Boga, świadków, i przyznanie, a nie oprawców.

Co tak właśnie spawilo, to y tokiem 1780 naswe staz-
 xanna mslam korlar, w zapobozni zniechanoj. Aby
 nas, Xofii publicznie paryzied dohry slawy, monachim
 wozeni je do swego zjedlu, a za tegoz przykladem po-
 zedli kadzie przemas i wazyklic domy magdow. Tym
 spozobem wprawdzie tworzono jej dohry imiez alez typp
 tajmy sie. A to wro:
 ci Xofii tworzona, w wiazaniu, tworeg talitrami xiz-
 dronej. Kto za to karze, ongiest, to w dlektio katal
 wipid i ferortyximem wyznasi, wprawd prawdnie xona-

KRONIKA LITERACKA.

Opis Królestwa Polskiego pod względem historycznym, statystycznym, rolniczym, fabrycznym, handlowym, zwyczajowym i obyczajowym; przez Józefa M. Wiślickiego. Z dwunastu rycinami, Tom I. Warsz. 1850. 8ka. Str. 72.

Znany autor powieści historycznych dawniej wydanych: *Starosty Rabsztyńskiego, Zborowskich, i pani Orzelskiej*, ogłosił pod powyższym napisem część pierwszą swego opisu, w którym obejmuje powiat olkuski, czyli dawną ziemię krakowską.

Zaledwie wspomniawszy o *Częstochowie*, zatrzymuje się naprzód przy ruinach sławnego w dziejach naszych *Olsztyna*. Pójdziemy w ślady za naszym, często wymownym, przewodnikiem.

Zaprawdę, ruiny zamku olsztyńskiego, z którego dwie wieżyce dotąd krzepko się trzymają, godne są zwrócić każdego uwagę. Dwa głównie zdarzenia, należą do wspomnień historycznych tego miejsca. Za Kazimierza Wgo, Maciej Borkowie wojewoda poznański, skazany na śmierć głodną, osadzony w lochu wieży, mając kubek wody i wiązkę siana, umarł wśród okropnych męczarni; i obrona tego grodu przez Kacpra Karlińskiego, w początkach panowania Zygmunta III.

Żałować trzeba, że p. Wiślicki nie zna dziejów krajowych: bo nie byłby tak lekkim wspomnieniem zbył postaci

ciekawej Macieja Borkowica. Pan tak bogaty jak Borkowic, znakomity dostojnością wojewody poznańskiego, mający na rozkazy liczne zbrojnych hufców naczelnik bratersko-szlacheckiego związku; posadzony o tajemne miłostki z żoną Kazimiérza Wgo, którą ten król osadził w zamku żarnowieckim, nie był prostym zbrodniarzem, wedle pojęcia naszych czasów. Postać to historyczna, ciekawa, godna pióra i pędzla artysty.

Wspomnienie obrony *Olsztyna* jest tak słabo oddane, że czytając z uniesieniem opisano zakłady górnicze, a do tego wymownie, daje nam prawo p. Wiślicki do sądzenia, że tylko dym fabryczny może w nim zapał obudzać. Jeżeli ten cudny ustęp dziejowy, nie mógł go natchnąć: to radzimy mu przeczytać *Obronę Olsztyna*, arcydzieło Alexandra Fredry. Znalazłby tam dość zasobu, do oddania godnie tego wspomnienia, przywiązanego do ruin Olsztyna.

Sprostować tu musimy mylne zdanie autora. Opisując jaskinię wpobliżu olsztyńskiego zamku, mówi, że walczy ona o palmę pierwszeństwa z *Królewską jaskinią* niedaleko *Ojcowa*. Znamy obiedwie, i możemy zaręczyć, że każda godna uwagi; ale olsztyńska jest tak szczupłą i małą, że za ledwie może dać wyobrażenie o wspaniałości i ogromie *Królewskiej* w *Ojcowie*.

Daléj następują opisy: *Złotego-potoku*, gniazda znanéj w dziejach naszych rodziny Potockich; fabrycznych *Żarek*, własności bankiera Piotra Steinkellera; *Starój-Kuźnicy*, *Koziegłów*, *Mijaczewa*, *Mrzyglodu*, *Siewierza*, owéj niegdys stolicy księstwa siewierskiego: *Mirowa*, *Bobolic*, *Pilicy*, gniazda sławnego rodu *Pileckich*, z którego wdowę po *Wincentym Granowskim*, król *Jagiello* pojął za żonę; zamku *Smolenia*, zamku *Ogrodzieńca*, obu w ruinach: *Okradzionowa*, *Strzemieszyc*. Przyhywamy nareszcie do sławnych zakładów górniczych naokół *Dąbrowy* rozsianych. Autor mówi, że w miarę jak się zbliżał do téj okolicy buczącój i dymnéj, „*jakieś go mite, a zarazem tęskne uczucie ogarnęło*”. My tylko podziw i poklask dla fabryk takich, i rozwinionego w kraju przemysłu, dać możemy.

Obszorny, nawet szczegółowy opis zakładów Dąbrowy, skroślił p. Wiślicki dokładnie, i wdzięcznie urozmaicił ciekawymi ustępami o samych kopalniach, i wypadkach tam zdarzonych.

Przywiedziemy tu mały wyjątek, z pięknego opisu *o rabunku górniczym*:

„Wszyscy górnicy gromadzą się do jednego domu, gdzie przełożony nad nimi sztygar, wzywa każdego po imieniu. Z drugiej strony stoją nowi zapastnicy z narzędziami w ręku, na czele starsi ze swym dowódcą. Przyłączmy się do nich; nas ciekawość, a ich ochota i powinność tam wiedzie.”

„Otóż uderzono w dzwonek, zapalono kagańce, szyki ustawione. Przed obrazkiem Śtej Barbary, patronki od nagłej śmierci, wszyscy ugięli kolana: i starcy i młodzież, naczelnicy i podwładni, i ci, co raz pierwszy pójdą, i ci, co setny raz zanurzają się w głębie ziemi. Z ubielonym włosem starzec czyta poważnie modlitwę, wszyscy za nim powtarzają z pokorą i wylaniem ducha: uroczą to chwila wzniesienia myśli do tego, co trzyma w ręku losy i życie każdego człowieka. Naczelnik dał znak do pochodu; idzie śmiało zastęp górników, pokrzepionych modlitwą”.

„Korytarzem szerokim, nieznacznie w głąb się zapuszczającym, postępujemy przy blasku kaganków, bez trudu, wygodnie do wnętrza kopalni.”

„Tułając się jakiś czas nie bez bojaźni wśród słabo oświetlonych manowców, stajemy u kresu podróży. Po zmówieniu jeszcze krótkiej modlitwy, dowódzca rozpoczyna walkę z siłami przyrody; najodważniejsi i najprzezorniejsi górnicy, pierwsi do dzieła się rzucają. Idzie tu bowiem o przyspieszenie zwalania się wiszącego nad głowami pokładu skały i ziemi. Poprzednio wycinano w węglu korytarze, prowadząc je z pierwszej ławicy czyli kondygnacyi; następnie pozostałe ściany, albo tak zwane filary węglowe wybrane były, a zatém strop tego kanału pozbawiono naturalnej podpory. Aby masa skały i ziemi, nie mająca oparcia i cisnąca na wątłe już boki, nie oberwała się w czasie robót, kiedy górnicy w tém miejscu wycinają węgiel; urządzają

powałę z drzewa grubego, do czego służy średniej cienkości budulec na kawałki porznięty. Strop ułożony z takich belek, ma niejaki podobieństwo do piszczałek w organach, i dlatego je też *organami* nazywają. Powąta taka z powodu wilgoci w kopalni, długo istnieć nie może. Zawaliby się ona zwłaszcza wtenczas, kiedyby w niższym piętrze węgle wydobywano; dla usunięcia przeto przeszkód, i ochronienia od nieszczęśliwego wypadku, tak obecnie pracujących, jako i przyszłych pracowników: postanowiono przyspieszyć oberwanie stropu, i zarazem oszczędzić tyle w kopalniach użytecznego drzewa, przez podcięcie belek, sufit stanowiących, i uprowadzenie ich w miejsce bezpieczne. Ponieważ to dzieje się szybko, lecz zarazem bardzo ostrożnie; przeto robotę taką nazywają *rabunkiem*".

„Mimowolnie jesteście świadkami rabunku, wprowadzicie niewinnego, ale zawsze grożącego śmiercią rabującym. Najdzielniejsi zapastnicy stojąc na drabinach, rąbią belki wśród panującego milczenia; tylko naczelnik liczy uderzenia siekiery, i wprawne ucho nadstawia na sziner usuwającej się skały. Jedno uderzenie więcej nad potrzebę, a mściwy głaz za poruszenie go z odwiecznego siedliska, ukarałby zgnieceniem najbliżej niego stojących zuchwalców”.

„Znowu milczenie! Każdy oddech w sobie tamuje, bojaźń mimowolnie ogarnia. Lecz młodzi idąc za przykładem starszych górników, i chcąc doświadczyć swęj odwagi, wyrwają belkę za belką; coraz wyraźniejsze zgrzytanie słysząc się daje, nareszcie dowódzca nakazał odwrót: wszystko co żyje ucieka, a tuż z okropnym trzaskiem i łoskotem obrywa się skała. Ciśnienie powietrza tak jest wtenczas wielkie, że wszelkie światła zagasły, ludzie jakby niewidzialną siłą zostali w głąb odepchnieni, zupełna ciemność zaległa kopalnię”.

„Zabłyły światła na nowo; dzieło uzupełnione, robotnicy jednogłośnie wykrzyknęli: *Glückauf* (1). Ale cóżto za widok? W miejscu pieczary, leżą i zapełniają takową odlamy

(1) Jest to zwykłe pozdrowienie górników,

skały kolosalnej grubości, najcięższe belki, jakby krótkie żdźbła stomy, pogruchotane wyglądają zpod zwalisk, wszędzie chaos i zniszczenie, ręką człowieka działane”.

Autor daje nam następnie obszerny opis Bendzina, miasta nad granicą Szlązka, i starożytnego zamku, który od zagłady uratowanym został przez znanego w literaturze naszej i tyle zasłużonego męża, Edwarda hr. Raczyńskiego. Dalej idzie *Grodziec, Gołonóg, Gzichów*; kopalnie węgla i buty cynkowe w Niemcach, Zagórze, Niwkach, a w ostatku przystępuje do opisu i charakterystyki ludu, zamieszkującego te okolice, to jest rolników i górników.

„Włościanin tutejszy (mówi), chociaż zamieszkuje ziemię dawniej do krakowskiego należąca, zupełnie się jednak różni od istotnie rzeczywistego Krakowiaka, to jest od mieszkańca Proszowic, Skalbmierza i Miechowa; a różni się nie tylko pod względem stroju, ale i życia. Odcień tak jest wielki, że już na kilka mil między Wolbromem a Olkuszem zaczyna się stopniowanie, które zbliżając się ku *Dąbrowie* i granicy Szlązka, staje się coraz wyraźniejsze, aż narazie od Dąbrowy do Częstochowy, tożsamość ludu ginie, i zdaje się, jakbyśmy odległą krainę, nienależącą dawniej do ziemi krakowskiej, zwiedzali”.

Odznaczywszy taką różnicą lud stron tutejszych, od prawdziwych Krakowiaków, przechodzi w opisie swym nieurodzajność gleby, brak rozwinięcia się siły, życia i urody ciała, lichotę ubioru, a co godniejsza uwagi, brak pieśni i ochoty do śpiewu, tak przyrodzonej cechy rodowej ludu naszego.

Zachwala siłę, pracowitość, odwagę i zręczność naszych górników, i przywodzi przykład, że sprowadzeni w znacznej liczbie 1839 r. górnicy ze Szlązka, pomimo wszelkich zapomóg i ułatwień, pomimo wyższego zarobku i regularnej wypłaty, nie mogąc wytrzymać współzawodnictwa polskich robotników co do wytrwałości i zdolności, częścią potajemnie usunęli się za granicę, a część wkrótce wyemigrowała napowrót do Niemiec.

Żałować trzeba, że część najważniejsza charakterystyki ludowej, nie jest należycie obrobiona. Snadź autor pozornie badał, i to lekko i pospiesznie naszkicował: a przecież to ustęp mógłby być najwięcej nas zajmujący, jako obecnie żywotny.

Mimo wskazanych usterków, przy dobrych chęciach, szlachetnych pobudkach, które wiodą myślą i piórem p. Wiślickiego, nie wątpimy, że zechce lepiej poznać dzieje krajowe, a osobliwie miejsc, które opisuje, i w następnych zeszytach da nam poznać dalsze okolice naszej ziemi. Każda w tak pięknym zawodzie praca, z współczuciem będzie przyjęta.

Radzimy w końcu autorowi, aby unikał przesady w stylu; prawda i prostota — to właściwe cechy prawdziwego talentu polskiego pisarza.

Wł.

Monastyr Skit w Maniawie, przez D. J. Wągilewicza. Z dwiema rycinami. Lwów, nakładem Kajetana Jabłońskiego, 1848, drukiem zakładu Stauropigianskiego. Ska.

Stronnic 24.

Jużto nie pierwszy raz pan Wągilewicz obznajmia nas z przeszłością, przez troskliwe zbieranie i ogłaszanie pomników lub badań o minionych wiekach. Przejęty całą ważnością tego przedmiotu, posłuchajmy co sam mówi: „Starożytność jest dla nas świętą spuścizną czeigodnych przodków, z której wspólnie ze wspomnieniami o zamierzchtëj przeszłości, rozwija się przerażająca nauka o znikomości rzeczy ziemskich. Przedmiot jęj wielce ważny, bo w nięj, że tak powiem, poczęła się terazniejszość ze swoim życiem, łamiącęm się w zwyczaję i obyczaję. Odgadnięcie starożytności mozolne, lecz zato wynagradza podjęte trudy wewnętrznęm zadowoleniem”.

Takimto zabytkiem starożytności są gruzy monastynu Skitu w Maniawie, o milę odległości wyżej Sołotwiny, nad bystrym potokiem Skitcem. Szczegółowy opis przetrwałych dotąd ruin lub napisów, charakterami słowiańskimi wykonanych, dla nieznawców małą ma wartość; ale zato opis historyczny, oraz załączone dwa dyplomaty na końcu, podwyższają o wiele zaletę tej małej rozprawki.

Autor przytacza dwie legendy (kazki), które o założeniu tego monasteru słyszał. Pierwsza powiada: „Dwaj czernice z Kijowa, po opuszczeniu pieczerskiego monastyra, powrócili do swój ojczyzny halickiej Rusi, z postanowieniem założenia tam monastynu. Na co wzięli wodną wagę, aby znaleźć taką wodę, jak w Kijowie”. Po długim szukaniu, znaleźli narreszcie to miejsce i założyli początkowo kaplicę, a później i monastyr.” Druga mówi: „Jeromonach ze świętej góry, po odbytej pielgrzymce do Jerozolimy, przyjechał na halicką Ruś w odwiedziny do swoich krewnych w Haliczu, zkąd młodzieńcem się wydał. W Haliczu przez niejaki czas bawiąc się, gdy się napowrót wybierał, nagle zachorował. Choroba była długa i ciężka, i aby wyzdrowiał, uczynił ślub zostać pustelnikiem w Karpackich górach”; jakoż wyzdrowiawszy puścił się z Halicza, osiadł tutaj, zbudował sobie kaplicę, i w pieczarze zamieszkał karmiąc się tylko korzonkami i grzybami. Wtém powtórnie zachorował. „W chorobie jednego razu ujrzał przed sobą postać starca. Byłto pustelnik dyakon, który zabłąkawszy się w puszczy, dziwnym przypadkiem zaszedł do kamienia progu, właśnie wówczas, kiedy jeromonach chory leżał bez przytomności. Gdy go dyakon ocucił, jeromonach mniemając, że to widmo jakie, zakrył sobie oczy. Nakoniec znakiem krzyża świętego obaj się przywitali”. Odtąd mieszkali razem, aż dopóki pewnego razu w zimie, pasterz spostrzegłszy na śniegu ślady stóp, ciekawością zdjęty, odszukał ich mieszkanie; później zaczął się i lud gromadzić, a wkrótce cerkiew i monastyr zbudowano. O ile te legendy są prawdziwe, trudno dziś odgadnąć, gdy pierwsze zdarzenie na 500 lat przed ostatecznym

zniesieniem monasteru, a drugie na 300 lat podają; różnica więc tylko o 200 lat!!!

Szczupła jest kronika tego klasztoru, bo autor jeden tylko napad Tatarów, nie wymieniając jednak daty, przywodzi. A i data samego zniesienia, lubo niezbyt oddalona, nie jest z pewnością podana.

Główną przyczyną zniesienia tego klasztoru, które w latach między 1774 i 1781, a w rzeczy samej 1783 przypadło, był opór czerńców w połączeniu się z unitami. Czerńcy wiele mieli czasu do przygotowania się na opuszczenie téj siedziby; bo na dwa lata przedtém igumen jeździł do Wiednia w celu dowiedzenia się, jaki ich los czekał, a powróciwszy ogłosił, że będą wydalen. Odtąd ciągle gotowali się do wyjścia; a gdy przyjechał kommissarz rządowy, o czém na dwa tygodnie wprzód mieli wiadomość, oddali mu inwentarz i odprawivszy służbę bożą, wyszli z krzyżem w rękę i tém, co na sobie mieli. Z drogi wrócił igumen, a oddając kommissarzowi panu Straser klucz, rzekł: „Oddaję wam klucz: jeśli znajdziecie zamek we drzwiach tego klucza, to się nie wrócimy; jeśli nie znajdziecie, to się wrócimy”. Nie objaśnia nas autor, czyli jakie drzwi tym kluczem otworzone zostały, ale to pewna, że czerńcy nie wrócili.

Autor porównywając obie legendy, kładzie epokę założenia monasteru w XIII wieku; być może, iż około tego czasu powstał ten monaster, lecz nie znajdując bliższych na to dowodów, czas z pewnością oznaczyć się nie da. O Tatarach powiada, iż napadli przed XVIIym wiekiem, kiedy ich napady były straszniejsze liczbą i uzbrojeniem, lecz na to żadnej powagi nie przywodzi; a tak oprócz podań i legend, pozbawieni jesteśmy badania krytycznego, zasadniczego, jakie jest niezbędne przy opisywaniu starodawnych pomników. Prócz tego czerńcy dwukrotnie na dżumę wymarli; ale na jeden fakt tylko przywodzi datę 1652 roku, lubo i ten więc na legendę zakrawa, a umieszczony jest w dziele J. Galatowskiego, p. t.: „Nebo nowoje” (Lwów, 1665, 4ka, str. 194). Brzmi zaś jak następuje:

„W księztwie ruskiem, w powiecie halickim, w monasterze Skitskim panowało wielkie powietrze, od którego wielu zakonników pomarło. Wtenczas pobożny Jeromonach Filaret, który następnie był Igumenem w Skicie, na trzy dni przed Bożem Narodzeniem, widział we śnie Najświętszą Pannę, w szkarłatny płaszcz przyodzianą, która przez bramę wszedłszy do monasteru Skitskiego, udała się do cerkwi Zwiastowania, i tam mówiła do zakonników — „Od téj chwili już u was powietrze panować nie będzie, baczcie tylko, abyście swój żywot mniszy poprawili”. To wyrzekłszy, weszła za carskie wrota. Poczém Jeromonach Filaret ze snu się ocknął, a według obietnicy Matki Bożej, od tego czasu powietrze więcéj w Skicie nie było”.

Na marginesie zaś dodano: „Działo się to roku 1652, d. 22 grudnia”.

Otóż to jest cała powaga, na jaką się autor powołuje.

Z aktem zniesienia monasteru łączy się równie legenda o zakopanych skarbach przez mnichów, i w przypisie 11 autor przywołując geografią Kuropatnickiego, wydaną w Przemyślu 1786, str. 172, powiada. „W minionych dziesięcioleciach, pod kamieniami znaleźli kilkanaście ksiąg cerkiewnych i kociołek czerwonych złotych; prócz tego jednej nocy ktoś w skarbcu wylupał na czterech kątach cztery kociołki”. Zapewne, że niemałe skarby ksiąg i pieniądze ukryto w lochach pod monasterem; zważając, że tak bogaci czerńce, nielada co zamurować mogli w przeciągu dwóch tygodni.

Taką jest treść i obrobienie rozprawki p. Wagilewicza, która pomimo całej ważności przedmiotu jakiego dotyka, niedostatecznie jest wykończoną; przyczém wcale niekorzystno wywiera wrażenie, przytaczanie wyrazów powszechnie nieużywanych lub niezrozumiałych; np. *jak śladno z rumu schodów rozsypanych kamiennych*, zamiast: jak widać z gruzów rozsypanych schodów kamiennych; *oszczątki*, zamiast: ostatki lub szczątki; *„obok swojej kaliby pomieszka-*

nia, wybudował sobie kaplicę". Coto jest kaliba? W opisie napadu Tatarów używa wyrażenia: *Tu Tatarzy z zasiaków zrobili przymiot i wdarli się na mur obwodowy. Cózto jest przymiot: czy drabina? i t. p.*

Dla uzupełnienia dodano dwa dyplomata; piérwszy z r. 1667, którego treścią jest wyznanie wiary Jana Szumlańskiego biskupa lwowskiego, posądzonego o sprzyjanie unii. Drugi zawiera darowiznę wsi Mamajowiec i Rewny w Jassach przez Eliasza Alexandra wojewodę mołdawskiego tegoż roku 1667 uczynioną; oba te dyplomata błędnie z oryginału przepisane, i niedziw, bo autor sam przyznaje, iż wielu wyrazów nie rozumie, jak np. w I: „podej, uczitiatstwu, powictisia”, czego istotnie odgadnąć trudno, cohy znażyć mogły. W IIgim, *za ugi, i za kamian i bezmian*; piérwszy wyraz *za ugi* autor nie rozumie, dwa drugie *za kamian i bezmian* autor rozumie, lecz nie umie odgadnąć. Wedle naszego mniemania, może to być podatek *od wagi, od kamienia i bezmianu. Angerya*, sato i w naszych dyplomatach spotykane *angarya*. *Chotas* tłumaczy przez granicę; naszém zdaniem jestto *chutor*, tojest *chata, chałupa*, przez zepsucie zmienione na *futor*. Słowem, wiele usterków, nad któremi dłużej się zastanawiać zakres niniejszego pisma nam nie pozwala.

Z dołączonych dwóch rycin, jedna przedstawia rozwaliny monasteru Bazylionów Skitu, druga zaś nagrobek Schimona-cha Jowa w r. 7129 czyli w 1689 od narodzenia Chrystusa zmarłego, oraz Jerozchi monacha Feodosija w r. 7138 czyli 1698 zmarłego, na jednym kamieniu po obu stronach w środku umieszczonego krzyża wyrobiony, literami wklęsło wykutemi. Krzyż w środku był niegdyś wypukły, teraz zrównany.

Na tém kończymy stów kilka o téj rozprawie, która nieporównanie większą przyniosłaby korzyść, gdyby zamiast legend i przypuszczeń, więcej w sobie zamykała faktów, mogących wpłynąć na objaśnienie nieznanych ustępów z historyi minionych czasów.

St. Lisowski.

Światło i Cienie. Powieść nieboszczyka Pantofla, wydana przez Eleonorę Szyrmer. Petersburg, 2 tomy, 1848.

Wszyscy krytycy przyznali pani Szyrmer „wyłączny” powieściopisarski talent. Obok tej odrębnej zdolności malowania miejsc, a więc i charakterów i osób; twórczenia z nich dramatu, pociągającego nowością i obrobieniem, również powszechnie przyznano, że autorka ta, obdarzona niezwykłym talentem, zapatruje się na życie tylko z „ujemnej” jego strony. To zdanie, powzięte o niej, od pojawu pierwszego jej utworu w noworoczniku petersburskim Barszczewskiego, pod nazwą: „Niezabudka” wydawanym, aż do dziś w niczem się nie zmieniło. Chociaż bowiem różnorodność przedmiotów, charakterów, osób, miejsc i kraju, odznaczała późniejsze jej powieści; chociaż duch czasu, duch usposobienia publicznego położył na nich nader dokładne piętno: to przecież, pomimo wielkiej artystyczności pędzla, widoczny tam wszędzie: jednostajny sposób zapatrywania się na rzeczy, jednakowe, szybkie dostrzeganie najsubtelniejszych odcieni; a co większa, widać tam tę samą rękę obojętnej na wszystko choć doświadczonego człowieka, rękę, co zadaje ciosy, rozbięra, anatomizuje z zimną krwią, lecz nie podaje ulgi, nie udziela lekarstwa na zepsucie, które tak doskonale w ciele społecznym odkryć potrafiła.

W istocie, zaczynając od powieści: „Pantofel, historia mego kuzyna”, a kończąc na „Kataleptyku”, jedno wszędzie widzimy tema, chociaż na różne wariacje. Pełno tam humoru, łatwości opowiadania, dobitności w skreślaniu niektórych położań, jasnowidzenia, czarów, ułudy, fantastyczności, jaskrawych barw, pogardy życia, rozczarowania, znikomiej nadziei, fatalizmu, scen efektowych, ironii, szyderstw, rzewnych obrazów, gorzkich sarkazmów, staroświeckiej poczciwości i uprzejmości; lecz główna tam, wyłączna, konieczna tkanka, tło, na którym w najrozmaitszych kształtach układa się ta mozaika, jest tajemniczość, połączona z koniecznością, pietystyczną pokorą, wreszcie poddaniem

się wyrokom przeznaczenia. Żaden tam bohater nie działa samowolnie; nie jest wyższym nad okoliczności, jak np. stary Bartosz w „Budniku” Kraszewskiego; nie wychodzi z rzędu tych pospolitych, codziennych ludzi, między którymi jednak tak trudno znaleźć człowieka, w prawdziwym tego wyrazu znaczeniu. A jednak są tacy ludzie na świecie. Oni, jak owe bajeczne salamandry w ogniu, żyją tylko uczuciom; żyją czynem, poświęceniem się bezstronnem. „Oni to jedni są jawnym dowodem bóstwa w człowieku, samego nawet bóstwa obrazem”; jak powiedział znakomity nasz krasomówca. A jak iskra elektryczna, rzucona w suchą stepową trawę, niezmiernie obszary obejmuje niszczącym, a razem nową roślinnością życiodajnym potopem płomieni: tak ci wybrani ludzie swoim przykładem, poświęceniem się czynami, cierpieniem za innych i przez innych ludzi, rzucają wkół siebie najplenniejsze nasiona.

Uprawdopodobnić taki charakter wśród innych, rzucić takiego człowieka w tłum zwykły, choć najrozmaitszy, jest tylko wielkiego artysty dziełem. Piśmiennictwo nasze znakomitą ma przewagę w tym względzie nad innemi. U pani Szyrmer, pomimo odrębnego stanowiska jej bohaterów, nie widzimy odrębnego, wielkiego człowieka. Każda tam główna osoba działa jak machina; działa wprawdzie nie bez indywidualnej różnicy, lecz zawsze tę samą nawet różnicę narzuca jej los, czy przeznaczenie, które ją, jak maryonetką, kieruje. Bo, czy weźmiemy niedołężnego Pantofla, którym wszyscy rządzą, począwszy od żony; czy w „Trupiej główce”, Jerzego, którego jakaś wyższa władza prześladuje i popycha do zguby; czy nareszcie excentrycznego zupełnie Ghryzantego w „Czarnych oczach”, którego wiedzie do celu przepowiadnia niańki i t. d.: wszędzie znajdziemy figury podrzędne, które na to się tylko ukazują na scenie, aby dowieść o tajemniczej mocy, która je stawia w takim a nie innym położeniu. Nadzwyczajna ilość opisów, myśli, nastrojących nowe myśli, nowy szereg uwag, łagodzą ostrość tego głównego rysu; jednakże zanadto jest on wyraznym, aby unikał przed czyjémkolwiek okiem. Zdaje się

nawet, że to jest wyłącznym celem autorki, główném jej założeniem; wszystkie zaś ustępy, cały zbiór osób, wydatniejszych w jej obrazach, a nawet i mniej wydatnych, służą tylko na poparcie tego głównego dowodzenia.

Duch czasu, jak wspomnieliśmy, zostawił swój ślad w utworach pani Szyrmer. Epoka lekkiego z drobnymi uwagami opowiadania, odbiła się w „Pantoflu”, „Trupiej główce”, w „Urywkach, z pamiętników oryginalnie wychowanej kobiety”; duch postępu dotknął późniejsze powieści, z przemagającym jednak pietyzmem; ostatnia powieść: „Światło i Cienie” uległa wpływowi epoki „Tajemnic”, poczynawszy od paryzkich, aż do niekształtnej lepianki bajek, noszących nazwę: „Małe tajemnice Warszawy”.

Trzeba przyznać, że ten ostatni utwór, w obszerniejszych rozmiarach połączył wszystkie cechy dawniejszych płodów pani Szyrmer. Wszystko, co „Pantofel” miał oryginalnie-dobrodusznego, „Trupia główka”, fatalistycznego, „Czarne oczy”, rzewnego i fantastycznego; co „Urywki” piętnowało sarkazmami, „Suchoty duszy”, rozczarowaniem i nowością pomysłu, a „Kataleptyka”, prawie dotykającą chorobliwością; wszystko to, mówię, ułożyło się w niejednostajnych kształtach w „Świetle i Cieniach”. Widzimy tu życie w całej jego prozaicznej nagości... Czy takie poznanie i odkrycie dolegliwości i ran społecznych, bez poznania zaradczych przeciwno nim środków, wyrze zbawienny wpływ na ludzkość? Czy skłoni nas, wedle chęci autorki, do téj gnuśnej abnegacyi, tego pozbawienia się woli i zupełnego zaparcia się nadziei, coby nawet było wbrew religii, której pani Szyrmer niepospolitą okazuje się szermierką; do tego spuszczenia się na los i przeznaczenie, do uwierzenia w fatalizm? — wątpić potrzeba. Jakież więc cel osiągną te utwory? Doprowadzą na chwilę do zniechęcenia, bo talent znakomity usposobić do tego potrafi. Zachwieją przekonaniem, ale na krótko, bo przekonanie inne wyszliśmy z piersi macierzyńskich; skłonią nawet przez czas niejakiś wahające się umysły do przyznania fatalnej konieczności, ale późniejsza rozważa wszystkie te posępne dumy rozchwieje; a kiedy

wskaże inny cel, inném światłem okoli przedmioty otaczające nas, i rozwidni krainę duchową; dawne przekonanie jeszcze się więcej w nas utrwali, wrośnie i wkorzeni. Talent taki jak talent pani Szyrmer, może tego tylko dowieść, że jego płody będą chwywane skwapliwie, że nastreczą wiele uwag, że zaplątają w dziwną tkankę wypadków, pociągną uroczym stylem, umiejętnością dyalogowania, wyrzuciwszy prowincjonalizmy, scholastycznością dowodów; lecz obudzimy na pewny czas ciekawość, nigdy współczucia nie obudzą.

Powieść: „Światło i Cienie” zaczyna się w Warszawie, jak prawie wszystkie tej autorki powieści, w 1805 roku. U pana Szymona Rawicza, mieszkającego niedaleko poczty, zbiera się niespodzianie liczne towarzystwo. Powodem tego zgromadzenia się mężczyzn, a większej jeszcze liczby kobiet był wypadek, o którym całe miasto mówiło: wypadek, jaki miał Ludwik, synowiec naszego gospodarza z pierwszą śpiewaczką ówczesnej trupy włoskiej. Prima-donna Floryani, tak pokochała Ludwika, że koniecznie chciała się wydać za niego. Gdy jednak młodzieniec nie chciał odplacać wzajemnością na gwałtowną namiętność córki południowych krajów, Floryani, doprowadzona do rozpacz, trucizną odebrała sobie życie. Ludwik, dowiedziawszy się o istotnej przyczynie zgromadzenia się gości, i dla uniknięcia licznych znajomych natrętów, którzyby chcieli, aby im ze wszelkiemi szczegółami opowiadał swoją awanturę, wyjeżdża na wieś.

Ludwik, który po wczorajszej zabawie spał w drodze, wysiada z dylizansu w Pleckiej Dąbrowie. Tu zastaje liczne grono osób, grających w faraona, których wziął za podróżnych, czekających na konie. W tém towarzystwie napotyka Kaspra Łaszcza, kommisarza p. Łobzowskiego w dobrach Rozalińskich, który z pańskich pieniędzy przegrawszy 5,000 talarów, ma *przezwycię* (sic), iż w młodym podróżnym znajdzie swego wyhawcę. Rawicz, zarzucony prośbami nieszczęśliwego starca, przystępuje do stolika i odegrywa wszystko z wielkim procentem; a potem, przez nieuwagę

konduktora, zostawiony na stacyi, puszcza się pieszo w dalszą drogę. Przebywszy spacerem trzy tęgie mile do Kutna, wzięty od żydów za Napoleonowskiego szpiega, a od dam miejscowych za bardzo interesującego człowieka, znajduje gościnność u burmistrza, a raczej u pani burmistrzowej, która w imieniu męża całym grodem rządziła. Będąc bardzo pięknym mężczyzną, a przytém dowcipnym i dobrze ukształconym, wkrótce zjednał serca wszystkich, oprócz doktora Notkiewicza, hebrajskiego pochodzenia, który, uchodząc w Kutnie za najdowcipniejszego człowieka, musiał od pierwszego poznania złożyć palnę pierwszeństwa u stóp nowoprzybyłego; a przez to odrazu go zniemawidził. Nikt jednak nie wie o stanie młodego gościa; i dziesięcioletnia córka kapitanowej Kostyńskiej, siostry Łobzowskich, dziedziców Rozalina, równie o tém nie wie. A przecież nie śmie go badać tak jak wszyscy, tém bardziej, że od pierwszego spotkania w kościele, pokochała go namiętnie. Nie jedną Helenki podbił on serce: córka burmistrza, Kasia, płonie ku niemu wielkiem, tajemnym uczuciem. Jestto jedna z tych nieszczęśliwych ofiar miłości, w malowaniu których pani Szyrmer tak wielkie ma upodobanie.

Kapitanowa Kostyńska, widząc gwałtowne przywiązanie córki do Ludwika, która z *przeczcucia*, (zobaczymy niżej, że i to przeczcucie sprawdzi się w okropny sposób) nie cierpi doktora Notkiewicza do tego stopnia, że będąc chorą, nie mogła znieść jego widoku, a sama obecność młodego Rawicza uleczyła ją; kapitanowa wywiaduje się przez listy o tajemniczym nieznanym: w takim bowiem charakterze Ludwik aż dotąd w Kutnie zostaje. Powziąwszy o nim dokładne wiadomości, dobra matka stara się z nim zbliżyć. Uczta, którą burmistrz wyprawia na cześć swego gościa, nastęrcza jej do tego pomysłu sposobność. Owszem, jakby uprzedzając życzenia kapitanowej, Ludwik sam oświadcza, że pragnąłby zostać nauczycielem Helenki; a naturalnie otrzymawszy chętno zezwolenie, zaraz nazajutrz do niej się udaje.

Przez czas niejaki Ludwik bawi w Kutnie i zajmuje się wychowaniem Helenki, która się rozwija pod okiem młodego nauczyciela w piękną i enotliwą dziewczę. Gościa z Warszawy wszędzie dobrze przyjmują, bo wielu ma w tém interes, a między innemi kassyer, każdemu swatający swoje córke, Urszulę. Mnóstwo tu wypadków i wydarzeń toczy się szybko przed oczyma czytelników; że wspomnę jedno o Kubie, który psa utopił w studni za to, że go często kąsał za nogi. Wypadek ten, mało znaczący w wielkiem mieście, nabiera niezwykłego zajęcia u mieszkańców Kutna. Burmistrz i wszyscy urzędnicy asystują śledztwu, po ukończeniu którego, naczelnik miasta, za wstawieniem się litościwej Helenki, taki wydaje na delikwenta wyrok:

„Za taką *niełudzkość*, jakiej dałeś dowód, wypadaloby cię odesłać do sądu kryminalnego, a tam, wiesz, nie żarty! Oko za oko, ząb za ząb, głowa za głowę i kwita! Ale, ponieważ i ten pies był bardzo złośliwy, więc za karę wyniesiesz go tylko za miasto i w jakim dole sam zagrzebiesz”.

Wkrótce przybywa Wojciech, konduktor, i przywozi rzeczy Ludwika. Z jego opowiadania całe Kutno dowiedziało się o stosunkach i położeniu Rawicza, który „był szczęśliwym, może przez wrodzony człowiekowi pociąg do nowości, a może téż i przez powab ciszy, po rozłargnioném życiu warszawskiem. Tak mu dobrze było w gościnnym domu burmistrza, z taką przyjemnością spotykał się z Kasią, że gotów był, jeżeli nie zupełnie podzielić zdanie Russa, iż cywilizacya jest przyczyną wszystkich cierpień i zdrożności towarzystwa: to przynajmniej uwierzyć temu, że dla szczęścia człowieka mniej potrzeba oświecenia, niż sobie wyobrażamy”. Jedno go tylko bolało: obejście się z nim kapitanowej. Ta czuła matka, widząc w sercu swój córki szybko powiększającą się namiętność do nauczyciela, znajduje się w okropnym położeniu. Nie postąpiła przecież tak, jak teraz wiele wyrodných matek postępuje: dla oddalenia miłości, niezgadując się z ich widokami, rzucają córki w świat, malują jego szumowiny w najpiękniejszych farbach; jego szych wystawiają za czyste złoto, jego czczość,

szum, zgiełk i odurzenie, za najwyższą rozkosz; zepsucie, za potrzebę; a zamykając oczy niewinnój dziewczyny grubym materjalizmem, moralnie ją zabijają. Ale kiedy czas, gorzkie doświadczenie, rozczarowanie, dadzą jój uczuć, gwałtem obudzą wspomnienia o tém niewinném szczęściu, o przyjacielu lat piérwszój młodości; wówczas cierpienie, żal i rozpacz aż do grobu towarzyszą nieszczęśliwym istotom, które jeszcze nie zdołały strupiesznością wewnętrzną i błotem świata zarzucić ostatniej iskielki cnoty. Nie, Kostyńska tak nie postąpiła. Ta bogobojna, rozumna i enotliwa kobieta, wiedzona szlachetném uczuciem prawdziwój, a nie prosto zwierzęcej, macierzyńskiej miłości i zdrowym rozsądkiem, że rozłączenie Helenki z Ludwikiem nietylko by nie przytłumiło, lecz przeciwnie rozszerzyłoby jeszcze ten gwałtowny pożar; postanowiła spokojnie czekać, póki Helenka nie dojdzie do czasu, kiedy będzie jój mogła przełożyć potrzebę rozstania się na kilka lat z przedmiotem jój sereca. Tymczasem starzy Rawiczowie, nie mogąc obejść się bez widoku ukochanego synowca, przybywają do Kutna; kapitanowa zaś wyjeżdża na wieś, gdzie jój dom po pożarze, na nowo został odbudowanym. Smutne, lecz pełne nadziei było rozstanie Ludwika z Helenką; smutne, lecz bez rozpacy, bo młoda dziewica była już do tego oddawna przygotowana roztropnemi uwagami matki. „Jednej osoby, mówi autorka, nikt się nie zapytał, nikt nie przygotowywał do spotkania smutku, który wkrótce miał się stać jój udziałem i nigdy jój więć nie opuścić. Tą osobą była biedna Kasia”.

Na tém się kończy piérwsza część powieści: „Światło i Cienie”, czyli jój piérwsza połowa. Opowiadanie płynie pięknie i zwolna. Jest tu dosyć efektu, wiele wypadków, skreślonych stylem, pani Szyrmer tylko właściwym; stylem, odznaczającym się jasnością, łatwością zwrotów i powabem wyrażen treściwych, zwięzłych, logicznych. Zdaje się, że cały zasób dowcipu i spostrzeżeń pełną garścią rzucała tu autorka. Rozrzewnienie i ciekawość przywiązują się tu do każdego, by najmniejszego szczegółu. Intryga rozwija się

dosadnie, prawdopodobnie, a niekiedy praktycznie, ominąwszy fantastyczność i tajemniczość, którą autorka tak lubi; tajemniczość, która, będąc widoczną w samym tytule książki, w jej godle, w ustępie o starłej nieszczęśliwej kobiecie, utrzymującej się w Warszawie z łaski Ludwika, w dalszém rozwinięciu powieści jeszcze widoczniejszą się staje. Kilkanaście kart w tym celu poświęcono opisowi pobytu młodego Rawicza w Kutnie, który dla wszystkich był zagadką. Dowodów na poparcie władzy, jaką na nas wywiera przeznaczenie, pełno, nietylko w małych anegdotach, w rodzaju ustępów tu i owdzie porozrzucanych; lecz nadto i w położeniu osób, główną rolę grających w tym dramacie. Gdyby cała powieść tak była napisaną, jak ta jej pierwsza połowa, niezawodnie mogłaby się nazwać jednym z najlepszych utworów pani Szyrmer, z przypuszczeniem nawet fatalistyczności i gry, niekiedy za śmiało posuniętej fantazyi. Nie razi tu nic przynajmniej tak boleśnie, jak to gorzkie szyderstwo, rzucane na słabość natury ludzkiej, na niedołężność czynów każdego bez wyjątku człowieka, w „Frenofagiuszu i Frenolestym”, „Suchotach duszy”, „Kataleptyku” i innych. Jest tu ironia, ale ironia lekka, żartobliwa, bez złości i jadu zimnych sarkazmów. Jest fantastyczność, ale po większej części fantastyczność, jakiej rzadko który z dobrych nawet pisarzy ustrzedz się potrafi; niekiedy tak naiwna, że trudno w nią nie uwierzyć. Tę pierwszą część można porównać do owjej świetnej jutrenki, która pogodny dzień zwiastuje, pomimo lekkich gdzieniegdzie chmurek, jakby ciemnych plamek na przezroczystym tle błękitu. Helena głównie, to dziewica, światłem matki, radami jej, pieczołowitością, obłana. Cała nawet dotychczas rozbierana powieść bierze swoje farby, blask i urok od światła rozumu, poczciwości i cnoty. Małemi plamkami na tym jasnym widokręgu są: doktor Notkiewicz i złośliwy Kuba; lecz to jeszcze cienie tylko, które mogą zniknąć w porównaniu do innych osób.

Rzeczywiście, nie poczciwszego nad tego Szymona Rawicza; nie czulszego, nie bardziej zbliżającego się do ideału

poważnej, a jednak tkliwej i kochającej matrony, nad jego żonę. Charakter pierwszego jest więcój wydatny; charakter drugiej mniej widoczny, a przecież pociągający tą swoją cichą enotą i przywiązaniem do synowca. Pan Szymon, to prawdziwy nasz poważny pradziad; pani Rawicz, to typ naszych najgodniejszych prababek. Oboje bogobojni i religijni, cały zasób, jaki tylko Bóg wlał w serce człowieka, chcieliby wylać na głowę Ludwika. Rzewna to scena zaraz na początku, kiedy po jego odjeździe, oboje jednym celem wiedzeni, zeszli się w jego pokoju. Tu wspomnę o ich boleści, kiedy go już mieli za straconego, o ich niecierpliwości oglądania go; o ich radości, kiedy po trudach podróży, tak przykrych dla osób, w podeszłym wieku będących, ujrzeli dawno niewidzianego synowca. Podobne miejsca, cudnie oddane, są bezsprzecznie najlepszą tej powieści stroną. A lubo przypominają już dawniejsze charaktery, jak np. majora i matki Rózi w „Czarnych oczach”, niemniej przeto pod piórem pani Szyrmer i z przyczyny współczucia naszego do takich rodzinnych charakterów, mają niezaprzeczony powab nowości.

Ludwik, to istny obraz młodości, jeszcze nieoziebnionj powiewem doświadczenia. Z sercem pełnem zapału, z głową należycie uporządkowaną, z wiarą nieskażoną powątpiewaniem, z nadzieją lepszej przyszłości; niezepsuty obcowaniem w złém towarzystwie, litościwy i szlachetny, kocha wzajemnie stryjostwo. Lecz popęd inny, który lata poranne nadają każdemu szlachetnemu, rzuca go w przyszłość; a jego wyobraźnia, ukrywając niebezpieczeństwo, w najpiękniejszych barwach maluje mu pole walki, odznaczenia się, sławy. Nic oryginalniejszego, nie trudniejszego nad rolę, którą odgrywa w Kutnie. Głuche przecucie, a raczej niepewno wieści donoszą o zbliżaniu się wielkiej epoki w naszych dziejach. W takiém usposobieniu zostający mieszkańcy małego miasteczka, biorą Ludwika za osobę tajemniczą, dyplomatyczną. A choć ten urok potem zniknie, kiedy Wojciech wygada się przed wszystkimi ciekawemi, których wszędzie, a szczególnie w takiém jak Kutno miasteczku,

nigdy nie zabraknie; zostanie przecież ta gościnność, która się tylko u nas praktykuje, zostanie przyzwyczajenie do ulubionego gościa, pełnego humoru, dowcipu i wesołości; zostanie nareszcie dla młodzieńca wspomnienie tego cichego szczęścia, tak sprzecznego z bucznym życiem stolicy. Ta sprzeczność tём mocniejsze na nim zostawi wrażenie, kiedy z tём spokojności, z objęć kochających go osób, rzuci się, w zawód, co krok najeżony niebezpieczeństwem, trudami, ogniem, dymem, hukiem dział, krwią i pożogą. Szczęśliwy bo pozostawi kochające serca; bo zostawi dziewczę, która jak gwiazdka czci i nadziei, będzie mu przewodniczyć w najokropniejszych zapasach z ludźmi i naturą.

Helenki wszakże charakteru nie można uznać za prawdopodobny: Trudno bowiem przypuścić, aby pierwsze spotkanie choćby najpiękniejszego mężczyzny, mogło dziesięcioletnie dziecko tak zająć, że nawet jego nieobecność sprawiałaby chorobę, a samo ukazanie się, leczyło. Autorka wprawdzie stara się poniekąd jakby usprawiedliwić tę sytuacją ciągłym patrzeniem dziewczyny na umieszczony w otarzu obraz archaniola, do którego Ludwik bardzo był podobny; ale dowód ten do wzbudzenia w młodzieńkiem sercu tak silnej miłości, starszym dopiero latom właściwej, uznajemy za słaby. Pamięć pierwszego wrażenia może zawsze pozostać; lecz serce, kochające tylko rodziców i lalki, tak wielkiego udziału w tём nie weźmie, aby nawet na zdrowie zły wpływ wywierać miało. Dziewica dopiero, której łono przeczuwa już cel życia, z przyzwyczajeniem łatwo połączy uczucie mocniejszego przywiązania. Natomiast inne odcienia, charakteryzujące córkę kapitanowej, z rzadką sztuką są oddane. Mile towarzyszy uwaga tёмu obrazowi życia, niezmacanego żadną brudną namiętnością; tym słowom dziewczyny, które tylko niewinność i swoboda duszy natęchnąć i włożyć w usta zdołają. W ogóle towarzystwo w domu Kostyńskiej, z trzech osób tylko złożone, mogłoby już utworzyć odrębną powieść: taki zasób wyobraźni posiada pani Szyrmer. Matka rozsądna i bogobojna, z prawdziwie macierzyńską bacnością śledząca naj-

mniejszy ruch ulubionego dziecięcia; córka, przeczuwająca chwilowe nawet zachcenie matki, niewinnym umysłem czytająca w jej sercu, jak w otwartej księdze; wreszcie młodzieniec, pełen innych nadziei, zapalający się na samo wspomnienie boju, ciągle trawiony żądzą chwały, a jednak z największą pracą, z prawdziwem powołaniem pedagoga oddający się nauczaniu dziecka: jakiżto piękny obrazek! Ile tu domowego szczęścia, poświęcenia, poczciwości i cnoty!

Helenka jednak szczęśliwszą jest od Kasi, córki burmistrza. Opieka matki ostania jedną, kiedy druga zwierzyć się nie ma komu, bo rodzice jej nie pojmą. Miłość tajona jest silniejszą, głębszą, aniżeli otwarte przywiązanie. Kasia rzadko widuje Ludwika, urządza jego pokoiik, ustraja go w to wszystko, w cokolwiek możność kochającej kobiety ustroić, i czémkolwiek pobyt w nim choćby najkrótszy przyjacielowi serca uprzyjemnić zdoła. Helenka nie tak swego przywiązania i nie doznaje gwałtownych wzruszeń, bo ciągle przy sobie ma Ludwika. On jak brat kocha Kasię, płaci jej szczerem uściśnieniem ręki; Helenką więcój się zajmuje. Najtkliwsze, najrzewniejsze jest rozstanie się Kasi z Ludwikiem. Pożegnał Helenkę z nadzieją zakosztowania z nią innego szczęścia nad samo przywiązanie; Kasię, tylko jak siostrę, czule ukochaną.

Burmistrz, jego żona, stary Łaszcz i kilka innych osób zostaje tu na boku. Każda we właściwej sferze działa tak, jak w owój epoce było prawdopodobnem. Naczelnik miasta jest niezbyt światłym, jego żona zarozumiałą parafianką. Łaszcz sumienny i doświadczony, służy poczciwie, nie oglądając się na przyszłość. Nastręcza się tu mimowolnie pytanie: czemu, będąc praktycznym i oględnym, dał się wciągnąć do gry hazardownej w Pleckiej Dąbrowie i postawił na kartę pieśniadze pana, któremu był wiernym jak rzadko, a przytém los żony i jedynaka synu? Nie można żadną miarą przypuścić, aby człowiek skąpy na własne potrzeby, zawsze ze wstrętem zbliżający się do zielonych stolików, dał się uwieść zgubnemu pociągowi i zapomnieć o wszystkiém. Ta więc scena pewno jest napisana dla większego dowodu władzy

przeznaczenia, które sprowadza Ludwika, aby ten raz po raz, bez żadnej przerwy odegrał talary Łaszczu, znajdujące się w ręku bankiera. Zresztą te wszystkie podrzędne osoby wprowadziła autorka, jak się czasem dodają drzewa lub krzaki na krajobrazie, zkadınąd zgodnym w całości z naturą.

Rozszerzyliśmy się nad pierwszą, lubo mniejszą połowę powieści. Chcieliśmy, o ile możności, pokazać jój zalety i niektóre uchybienia, a raczej drobne usterki. Z przyjemnością jeszczebyśmy się przypatrywali cudnie namalowanym obrazkom towarzyskim, ukazującym się nam w ramach przeszłości; zwłaszcza, że zalety przeważnie zacierają w nich wady obficie je wynagradzając. Ta światła, że tak się wyrażę, część powieści, miłe wrażenie pozostawia w umyśle, i każe się spodziewać, że i druga jój część „ciemna”, lubo smutniejsza, nabierze tyle ożywiających promieni z pierwszej, że te potrafią często przedzierać się przez gęste chmury, a oświecając ponure widowisko, odejmą mu nieco okropności. Tymczasem rzecz się ma zupełnie inaczej.

Ewa Łobzowska, jedna z tych piękności, jakie tylko twórca poety wyobraźnia może porodzić, a razem zbiór najgorszych obyczajów i skłonności, jakie są zaledwo pokarmem czarnej duszy zbrodniarza; w najwyższym stopniu zalotną kokiетка, aktorka przebiegła i czująca wpływ swoich wdzięków na innych, kapryśna i uporczywa, jest bohaterką drugiej części. Przez słabość matki i niedbałość ojca, który tylko marzy o wydaniu jój za jakiego udzielonego księcia i o zapłaceniu długów, pozaciąganych na zbytki, a przewyższających jego dobra Rozalińskie; oddana samej sobie, zła z natury, jeszcze się gorszą staje w późniejszym wieku. Niema w niej serca, tylko chwilowe jakieś odurzenie; niema uczuć cnoty i moralności, są tylko pozory. Nie czuje ona szacunku, a tém mniej przywiązania do rodziców: bo matką, jako służącą istotą, pogardza w duszy, a mało dba o ojca, którego rzadko widuje. Jeszcze w młodszych latach bezwstydyje rzucająca się w objęcia pierwszego lepszego mło-

kosa, którego za tydzień porzuciła, w chwili ukazania się w powieści, kocha Walerego, niebardzo majątnego sąsiada. Nie mogąc jednak wstrzymać wyuzdanych namiętności, podbija zalotnością tylko co ze szkół przybyłego syna Łaszcza, Stanisława, który wieczorami czytując dla niej książki, prawdziwie do niej się przywiązał. Nie spodziewając się zezwolenia rodziców na ślub z Walerym, udaje chorą, podejściem i szatańską przebiegłością wikła w swoje sieci Notkiewicza, bierze od niego opium i układa plan odegrania z małemi odmianami dramatu: „Romeo i Julia”. Rozwiązanie nawet prawie jest takie same jak w tym utworze Szekspira, z tą jednak różnicą, że tam kochankowie razem padają ofiarą miłości, a tu piękna i kochająca Ewa, poczęstowawszy matkę i służącą porządną porcją opium, staje się przyczyną śmierci Walerego. Długo bowiem młodzieniec, wyglądając przybycia ulubionej na umówione miejsce, w celu jej wykradzenia, zziębnięty wchodzi do jej pokoju; dla pocieszenia się wypija szklanekę zabójczego napoju, w imbryku przygotowanego, i owładnięty snem letargicznym, zasypia w wygodnym fotelu. Cnotliwa przecież dziewczyna nie zraża się tym wypadkiem; kładzie ciało kochanka do wielkiego *paku* czyli skrzyni, a nazajutrz potęgą swych wdzięków skłania Stanisława do wyciągnięcia skrycie pozornie umarłego Walerego i pochowania go w przyległym lasku. A gdy młodzieniec z boleścią to wypełniwszy, ucieka do pobliskiej karczmy, gdzie byli zebrani jego znajomi, końcem wyjścia za granicę, i wstąpienia do wojska francuzkiego, Ewa posyła im przez kuchcika butelkę wina z wielką dozą opium, następnie własną ręką podpala karczmę, i grzebie nieszczęśliwych pod jej gruzami i popiołem. Potem, dowiedziawszy się o złym stanie majątku rodziców i o niewielkiej wiosce Walerego, przestaje go żałować, i stosownie do woli ojca wychodzi za starego hrabiego, który ją polubił tylko z miniatury i połowicę uważał tylko za piękny sprzęt do domu, nieodbitnie potrzebny do wystawnego życia. Ten pan hrabia Olborski zaraz po ślubie, spostrzegłszy przez omyłkę położony w jego pokoju wykaz długów,

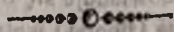
zaciągniętych na Rozalinie, zaczyna wyrzucać podejście Łobzowskiemu, który, w czasie kłótni tknięty apopleksją, wkrótce umiera. Niedługo potem i jego żona idzie za nim do grobu. Hrabia jednakże nie opuszcza Ewy; płaci długi, bierze ją do Warszawy, gdzie, nie zważając na nią, romanсуje z innymi kobietami. Młoda żona pragnie zostać cnotliwą.

Tymczasem zbliża się pamiętny dla całej Europy 1812 r. Z wojskiem francuzkiem przybywa do stolicy oficer Stanisław Łaszcz, sam jeden prawie cudem z pożaru karczmy ocalony; już obżałowany przez matkę i ojca, który utracił miejsce w Rozalinie, zostaje woźnym w trybunale. Z młodym Łaszczem przybywa jego przyjaciel i towarzysz, również oficer, Ludwik Rawicz. Za pierwszym jego poznaniem, Ewa zapomina o swoim postanowieniu i kocha go namiętnie; młodzieniec odplaca się jęj wzajemnością. Kostyńska, z córką mieszkająca dla większego bezpieczeństwa w Warszawie, dowiaduje się o przybyciu dawnego jęj znajomego. Helena, która już urosła w cudnie piękną dziewczęcę, pragnie się z nim zobaczyć, i z matką udaje się na bal do stryjecznej siostry. Tam spostrzegłszy oznaki przywiązania, jakiemu Ludwik i Ewa oddają się, słabnie do tego stopnia, że matka musi rozpaczającą odwieźć do domu. Zjawia się Notkiewicz, teraz już bogaty doktor, kochający namiętnie Helenę, i ofiaruje swe usługi hrabinęj Olborskięj; a przytęm opowiada jęj o dawnęj miłości Ludwika i młodej Kostyńskiej w Kutnie. Hrabina, trawiona zawiścią, każe mu przygotować opium dla zgładzenia siostry. Gdy doktor nie chce przystać na to, grozi mu, że wyda przed sądem jego, Kubę i całą bandę złodziejów i rabusiów miejskich, a przytęm odkryje jego związki z fałszerzami francuzkiej złotęj monety, której skład Notkiewicz ma u siebie; w przeciwnym zaś razie, obiecuje już nie stracić, lecz wydać za niego Helenę. Ale tu koniec zbrodni tęj potwornęj kobiety. Pomimo jęj zabiegów, Ludwik dowiaduje się o mieszkaniu byłęj uczennicy swojęj. Hrabia Olborski widzi miłość żony; napomina ją, zachęca do poprawy, a w razie nieusłuchania tęch jęgo

przestróg, zapowiada zemstę. Ewa daje mężowi truciznę; lecz ten przez niedowierzenie, jakie się w nim do niej zrodziło, unika tego ciosu. Złodzieje, którzy, podpaliwszy dom kapitanowej, porwali już Helenę z rozkazu Notkiewicza, razem z nim wpadają w ręce żołnierzy, pod dowództwem Ludwika i Stanisława zostających. Nareszcie młody Łaszcz staje ze swoim towarzyszem przed zdumioną hrabiną, która go miała za zginionego w pożarze karczmy, i w obecności jej męża, wyrzuca zbrodnię całego jej życia. Olborska, przyjąwszy truciznę, którą zawsze przy sobie nosiła, w konwulsjach umiera. Po skończonej kampanii Ludwik żeni się z Heleną, a Stanisław wstępuje do klasztoru.

Tak więc druga część, o której mówić dłużój ani ochoty, ani cierpliwości nie mamy, ta część „ciemna” zostaje w zupełnej sprzeczności z pierwszą. Tu najmocniej się odbił ten zimny pogląd, jaki najwięcej cechuje „Duszę w suchotach” i „Kataleptyka”. Co krok spotykamy zbrodnię, co krok doznajemy przykrych wrażeń. Ze zgrozą i wstrętem przyglądać się musimy wyrodnój córce, niedołężnej matce, głupiemu ojcu, najpróżniejszemu Olborskiemu, podłemu Notkiewiczowi, bandzie złoczyńców, podobnych do hordy, zalewającej „Tajemnice Paryża”. Dziwimy się i ubolewamy, że tyle zasobów i talentu zmarnowano na tak szkaradne opisy; a dziwimy się jeszcze więcej téj cierpliwości, z jaką anatomista rozbiera zgniłego i zaraźliwego trupa, i pokazuje go widzom wówczas, kiedy ten w ohydzie powinien zawsze pozostać w głębi ziemi ukrytym. Przykre uczucie, począwszy zaraz od ustępu, noszącego nazwę: „Rozalin”, nie ustaje aż na ostatniej karcie, u dołu której, jak port zbawienia dla majtków, długo błakających się po burzliwém i błotnistém morzu, ukazuje się z niecierpliwością oczekiwany „koniec”.

Jan Ryszard Szymański.



ROZMAITOŚCI.

Jeszcze słówko o przetwarzaniu starych druków, czyli o drukach anastatycznych.

Znakomity i pożyteczny wynalazek, zawsze ma to znamię, że jest prosty, i nader prędko się upowszechnia; co większa, jeśli wynalazek taki objawia się we właściwej porze, odpowiadając powszechnie czuć się dającej potrzebie, częstokroć się zdarza, że jednocześnie w kilku odległych od siebie miejscach odkrytym bywa, lub też oprócz prawdziwego wynalazcy, inne osoby za najłżejszą wzmianką wpadają na tenże lub podobnyż pomysł, i starają się go uskutecznić, jednakowemi lub różnemi sposobami. Zda się, jakby potrzeba i możliwość tego wynalazku, rezlaną była w daniej chwili po całym społeczeństwie ludzi jednakowego stopnia wykształcenia. Cześć zaiste i wdzięczność należy się równie temu, kto pierwszy odkrycie zrobił, jako i temu, kto pierwszy je w jakim miejscu w użycie wprowadził; a tém bardziej temu, który samodzielnie po nieznanym drogach, do jednego z wynalazcą doszedł wypadku.

Jednym z takich najnowszych wynalazków, jest: rozmnażanie przez odcisk na kamieniu lub cynku, wszelkich druków czyto nowych, czy kilkaset lat wieku mających. Rodzaj ten litografii u Niemców i Anglików *drukiem anastatycznym* zwany, a we Francyi pod nazwą *Litho-typografi*

znajomy, obiecuje przynieść wielki pożytek naukom i sztuce. Już nawet korzystać z niego we Francyi poczęto: czytamy bowiem w jednym z dzienników francuzkich (1) „Sposób ten świeżo odkryty, daje się mianowicie wybornie zastosować do przetłaczania starych ksiąg i drzeworytów; wiele wydań rzadkich i kosztownych, już w ten sposób powtórzonych zostało, i niejedną biblioteka będzie się mogła w nie zaopatrzyć, albo téż dopełnić za pomocą litotypografii brakujące części, karty, lub ryciny w dziełach rzadkich, które dotąd jako niekompletne, bez wartości i użytku leżały. Już przeszło stu księgarzy i wydawców, korzystało z nowego tego wynalazku, którego wypadki są całkiem pewne i zadowalające, ażeby pozostało zapasy wydań swoich niekompletne, jak to zwykle bywa, dopełnić nader tanim kosztem, w obieg pomiędzy czytelników puścić, a odłogiem leżący dotąd pieniądz, handlowi powrócić”. Wyroby tego rodzaju, zwróciły uwagę powszechną na tegorocznej wystawie paryskiej.

Warszawa nigdy nie pozostaje w tyle za innymi miastami, gdy chodzi o rzecz, pożyteczną dla ogółu. Po niezmiernie wytrwałej pracy, po licznych doświadczeniach, udało się p. S. Oleszczyńskiemu, dojść do tychże wypadków, jakie za granicą otrzymano, i to prawie współcześnie. Prędko, dokładnie i nader małym kosztem, umiė on przetłaczać stare druki, jak o t€m już w piśmie niniejsz€m doniesiono.

Oparty na własnościach druku, sposób ten w istocie swój jest nader prosty. Farba drukarska tłusta, z czasem twardej; wszakż€ zawsze w sobie cząstkę tłustości zawiera. Rozmiękczyć ślady druku na papierze będać, napoić je nową tłustością, tak jednak, ażeby okoliczny papier nie na t€m nie ucierpiał: oto cała manipulacja. Reszta jak w kaźd€m przenoszeniu rysunku litograficznego, ogranicza się tylko na starann€m odcisnieniu przygotowanego w powyższy sposób druku, na kamieniu lub cynku. Jeżeli zasługa wynalazku

(1) *Presse*, z d. 10 list. 1849. *Exposition des produits de l'industrie*. XXX. article, p. Jobard et Moigno.

zagranicznym się należy, p. Oleszczyńskiemu dojscie jego i wprowadzenie u nas; niedługo wyjść mające dzieło z tego rodzaju rycinami przetłaczanemi, będzie oczywistym dowodem pracy i starań biegłego naszego litografa. Miłując cynk jako produkt krajowy, p. Oleszczyński i do tego nowego użytku przetłaczania nie zaniechał go zastosować, i to niezaprzeczenie wprzód przed zagranicznemi; ci bowiem tylko na kamień przenoszą. Użycie cynku do litotypografii jest oszczędniejsze, łatwiejsze, a równie dobre pod względem ostatecznego wypadku, jak użycie kamienia litograficznego.

Życzyćby tylko należało, ażeby światli miłośnicy starożytności i księgoluby, wspomogli usiłowania p. Oleszczyńskiego, dając mu pole zastosowania tego pięknego odkrycia, na drodze pożytecznej dla ogółu nauki; i nie dopuścili, ażeby jak przemyślnik, nabywszy ten sposób obrócił go jedynie na przedrukowywanie książek, dziś z zagranicy sprowadzanych, czyniąc niebezpieczne współzawodnictwo, tak powszechnie osławionemu belgijskiemu przemysłowi.

Druki przetłaczane niczém od oryginałów się nie różnią: bo i farbę można odpowiedniego koloru dobrać, i papier łatwo mieć można podobny. Jedyńą tylko oznaką mogłaby być gładkość przetłaczań; one bowiem nie mają wklęsłości, jakie są w prawdziwych drukach od uciskania liter i linii; wprawdzie i niektóre nowsze druki, między wałkami gładzone, nie mają podobnie tych wklęsłości. Dodać jeszcze tylko wypada, że oryginał bynajmniej się nie psuje, owszem odczyusza się nieco, i przybiera trochę połysku, który wszakże z czasem ginie.

Warszawa, d. 20 listop. 1849.

B. Podczaszyński.

Spominki historyczne i artystyczne.

II.

Wieś Wiewiórka, własność i zamieszkanie Jana hrabiego Tarnowskiego kasztelana krakowskiego, hetmana

W. kor.— W rzadkiem dziś dziełku: *Tranquilli Andronici Dalmatue: Ad Optimates Polonos admonitio. Cracoviae, in officina Lazari, 1584, 4ka, str. 53*, poprzedza przemowa Jakóba Gorskiego do Stanisława hr. z Gorki wojewody poznańskiego; następnie jest list samego autora do Andrzeja hr. z Gorki kasztelana poznańskiego, datowany z Krakowa d. 2 maja 1545 r. W liście tym powiada, że dziełko swoje napisał bawiąc krótki czas u Jana Tarnowskiego kaszt. krakowskiego, we wsi *Wiewiórce*. „*Quod quidem fecimus, et Posnaniae nuper abs. te liberaliter accepi, quum quaedam de philosophia commentaremur, et proximis diebus in meo accessu ad Illustriss. Joannem Comitem a Tarnov Castellatum Cracovien. omui genere laudis cumulatissimum, quem ego (nec me fallit amor) judico cuius praestantissimorum hujus aetatis ducem scientia rei militaris, consilio, virtute (ut modestissime dicam) aequandum, tractavi quaedam de nostris temporibus cum ipso Comite, viro alioqui gravissimo, tibi que tum affinitate, tum studiis in Rempub. coniunctissimo: ac per illud brevè tempus, quo apud ipsum in villa Wiewiórka fui, pauca quaedam de Repub. scripsi successivis horis ad vestros Optimates, quae vestra omnium interesse arbitratus sum*”..., str. 21. Stanisław Orzechowski w *Żywocie Jana Tarnowskiego* wspomina kilkakrotnie wiejskie to mieszkanie hetmana, niedaleko miasta Tarnowa leżące; tutaj zapadł on ostatecznie na zdrowiu, i d. 16 maja 1561 r., pełen chrześcijańskiej skruchy, ducha Bogu oddał: zład zwłoki jego uroczyście przeprowadzone były do tarnowskiego zamku, a następnie w grobie tamiecznego kościoła złożone (*Żywot i śmierć Jana Tarnowskiego*, przez Stanisława Orzechowskiego, wydanie T. Mostowskiego. Warsz. 1805, str. 121—124). O téj własności i rezydencyi wielkiego w dziejach krajowych męża hetmana Jana Tarnowskiego, wsi i pałacu *Wiewiórka*, nie znajdują najmniejszej wzmianki w opisach historyczno-geograficznych dawniej Polski; jestto przecie historyczne miejsce, na wiadomość i wspomnienie zasługujące. Wydobyte z zapomnie-

nia przeszłości, wskazują tu je badaczom do poszukiwań dalszych.

Józef Ursyn.—R. 1661 myśliwi polujący w lasach litewskich, natrafili na stado niedźwiedzi, między którymi rozoznali dwa małe, postać i twarze ludzkie mające. Puścili się przeto w pogoń za niemi, i jednego z nich złapali, pomimo oporu, jaki czynił krzykiem, zębami i pazurami, niby dziki niedźwiadek. Jakoż w istocie byłoto dziecko ludzkie w stanie zupełnej dzikości, z niedźwiedziami hodujące się. Związano je, a następnie odstawiono do Warszawy, do samego króla Jana Kazimiérza i królowej. Dwór i całe miasto zbiegało się, żeby oglądać to szczególne dzikie dziecko. Byłto chłopiec więcéj nad lat 9 wieku nie wydający, miał skórę bardzo białą i podobneż włosy, twarzy pięknej, oczu niebieskich; ale zmysły jego tak były bydlęce, tak ogołocony był z wszelkiej umysłowej władzy, iż zdawał się nie mieć nic człowieczego, prócz ciała. Nie posiadał też wcale zdolności mowy, dzikie tylko głosy wydając, a wszystkie skłonności jego były czysto zwierzęce. Uznano go przecie za człowieka; jako taki został ochrzczony przez biskupa poznańskiego, i otrzymał imię Józefa, a nazwisko nadano mu Ursyn, od swego zpośród niedźwiedzi pochodzenia. Chrestną matką jego była sama królowa Ludwika Marya, ojcem zaś chrestnym ambasador francuzki. W dalszym czasie trudno było złagodzić i obłaskawić drapieżne skłonności tego chłopca, ani też nauczyć go cokolwiek z zasad religii; nie mógł bowiem nigdy mówić, chociaż w języku nie miał żadnej wady. Przecie okazało się w nim niejakię poznanie, bo gdy mu mówiono o Bogu, podnosił ręce i oczy ku niebu. Król oddał go potém jednemu z panów polskich, który go między sługi swe zamieścił. Nabytego wpośród zwierząt dzikiego i drapieżnego usposobienia, pozbyć się on nigdy już nie mógł. Nauczył się wprawdzie chodzić na dwóch nogach, i szedł gdzie go posyłano; smakował zarówno w mięsie surowém, jak gotowaném; nie cierpiał odzieży na ciele, ani też obuwia na nogach, a głowy nie nakrywał ni-

gdy. Czasami uciekał do okolicznych lasów, a tam pazurami darł z drzew korę, z której wysysał soki. Razu jednego rozhukany niedźwiedź zabił był dwóch ludzi, poczem przy padł do owego chłopca; lecz nietylko że mu nic złego nie zrobił, ale owszem pieścił się z nim, lizał mu twarz i ciało.

Anegdotę powyższą opowiada Jan Redwits, Carm. Alc., za nim zaś ks. Ludwik Moréri w słowniku historycznym, wyd. 20tém z r. 1759, fol. X, 726. Oba nie mówią jak długo żył ten *Józef Ursyn*, ani téż, co się z nim dalej stało.

Obraz allegoryczny malowany w Krakowie w drugiej połowie XVIgo wieku. — *Grzegorz Pauli* minister aryańskiego kościoła w Krakowie około r. 1560 — 1566, kazał odmalować obraz, wyobrażający *kościół, którego dach rozwala Luter, mury Kalwin, a fundamenta on sam Pauli*. O tym Grzegorz Pauli daje wiadomość Sponde pod rokiem 1560, 33 i pod r. 1566, 30; również za tamtym L. Morérego słownik 1759 fol. VIII, 140. Byćby mogło, że przywiedziony obraz przechowuje się gdzie dotąd w Krakowie; zwracam nań uwagę miejscowych badaczy, a ciekawą byłoby rzeczą wiedzieć, który artysta krakowski malował go i jaka jego pod względem sztuki wartość.

Nowo wykryte dzieło snycerskie Wita Stoss. — W dochodzeniach moich utworów sztuki malarskiej z przeszłości kraju naszego, poczytywałem za najważniejsze pole do poszukiwań Kraków i jego okolice, kościoły zwłaszcza tamże gęsto rozsiane, a potąd pomników sztuk najwięcej od zniszczenia czasu dochowywać mogące. Nie mając sposobności sam okolicę owę szczegółowo zbadać, umyśliłem uprosić na ten koniec pełnego zdolności a zamiłowania przedmiotu, krakowskiego archeologa, pana Józefa Łepkowskiego, ażeby okoliczne miejsca historyczne Krakowa przeszedł i pod względem wszelkich starożytnych zabytków i sztuk pięknych one opisał. Pomysł ten przyjęty został z ochotą, wykonany z gorliwością. Pan Łepkowski wygotował opis archeologiczny okręgu byłej rzecypospolitej krakowskiej, który, jak się spodziewam, wkrótce drukiem ogłoszony, zadowolni w wielorakim względzie nauki téj badaczy i mi-

łośników. Nie należy mi tu wyjawiać rękopiśmiennego dzieła liczne ciekawości; o jednym przecie szczególnie pozwolę sobie podać wiadomość, to jest o odkrytych szczątkach ołtarza snycerskiej roboty, jak się wydaje tworu słynnego krakowskiego mistrza Witz Stossa. W kościele w Rudawie, wynalazł p. Łepkowski zawieszono na ścianie reszty ołtarza gotyckiego z drzewa; w nim w pośrodku umieszczony jest Chrystus na krzyżu, którego „pysnie rzeźbiona twarz, pełna wyrazu, zasługuje na szczególną uwagę artysty.” Po obu stronach Chrystusa są dwie grupy osób, z których św. Stanisław przedstawia Chrystusowi pokutę z grzechu obmytego Bolesława. Twarz Bolesława, przydaje p. Łepkowski, przypomina uderzającym podobieństwem twarz Kazimiérza Jagiellończyka na pomniku w katedrze krakowskiej, który, jak wiadomo, dziełem jest *W. Stossa*. Na zewnątrz tegoż kościoła, od strony wielkiego ołtarza, umieszczone są małe wypukło-rzeźby na drzewie, które do składu ołtarza owego jako drzwi przedtém należały. Z żalem dowiedziéć się przychodzi, że te tablice w ilości sztuk pięciu, przez oberwanie się poddasza ochraniać je inającego, znacznie uszkodzono zostały; deszcze splukaly farby, a robaki toczą drzewo. Rzeźby te przedstawiają zdarzenia z życia Chrystusa Pana; jedna z nich osobiwiej zastanawia badacza: jestto Chrystus w Ogrójcu, dzieło będące najwierniejszém powtórzeniem znanéj w Krakowie wypukło-rzeźby na kamieniu, którą znawczy sąd uczonego Ambrożego Grabowskiego, za dzieło *Stossa* uanał i ogłosił. Życzyć należy, ażeby szczęty pomienionego ołtarza, jako zdaje się dzieło znamienitego naszego artysty, od ostatniej zagłady czasu uratowane być mogły; jak niemnień, żeby opiekuńczą ręką w ochronne miejsce przeniesiono, stały się przedmiotem bliższego znawców sztuki rozpoznania i ocenienia.

Ed. Rastawiecki.

Wiadomości literackie i artystyczne.

Dwa nowe dokumenta do pierwotnych dziejów chrześcijaństwa u Słowian. Dokumenta te znalezione zostały w klasztorze Cystersów Śgo Krzyża w Niższej Austrii (*Monasterium Sta Mariae ad Sta Cruoem in valle nemorosa*). W tym klasztorze zachował się bogaty zbiór rękopismów i starych dokumentów; niektóre z nich oddawna znane są historykom, ale dwa o których mowa, dotąd były nieznanne. Dokumenta te odkryte zostały przez członka korespondenta Towarzystwa staro-niemieckiej historii *Wilhelma Wattenbach*, którego imię, zdaje się, po raz pierwszy przy tej okoliczności wśród badaczy Słowiańszczyzny zjawia się. W miesiącu grudniu 1847 roku, kiedy bibliotekę pomienionego klasztoru przeglądał bibliotekarz jój, professor A. Reindl, i właśnie dopełnieniem dawniejszego katalogu zajmował się; p. Wattenbach dopomagając mu w tej pracy tak odpowiedniej jego własnym naukowym badaniom, znalazł w rękopiśmie ówiartkowym, zawierającym w sobie zbiór kościelnych i świeckich praw, do XIgo wieku należących, dwa artykuły pod tytułem: *Epistola Stephani Pape ad Zwentopolcum Regem* i *Edictum Boleslai Ducis*. Zważając na pisownią i charakter głosek, p. Wattenbach odnosi te dokumenta do dziesiątego stulecia, i żadnego nie znajduje powodu do powątpiewania o ich autentyczności. Wskutek tego napisał przegląd krytyczny dziejów wprowadzenia religii chrześcijańskiej do Słowian, w dziełku pod tytułem: *Beiträge zur Geschichte der Christlichen Kirche in Mähren und Böhmen*. Wien, 1849. Verlag von Carl Gerold; 40 str. w 8ce i w dodatku do tej broszury str. 42 — 54, i wydał obadwa pomienione rękopiśmienne dokumenta, z których list papieża zajmuje około 6 stronnic, edykt zaś Bolesława zaledwie kilka wierszy. Spodziewamy się następnie poznać czytelników Biblioteki Warszawskiej z treścią obu tych dokumentów i pracą pana Wattenbacha. Autor poświęcił swoje dziełko uczonemu Szafarzykowi, znanemu badaczowi dziejów Słowiańszczyzny.

Greckie rękopisma w Hiszpanii. Bibliotekom hiszpańskim oddawna obowiązani są uczeni za przechowanie zabytków w rozmaitych piśmiennictwach, między którymi szczególnie pożądaną było rzeczą wiadomość o greckich rękopismach, tamże znajdujących się. Dopełnił tego właśnie uczeń sławnego Hellenisty Haasego p. E. Müller, który z polecenia ministra oświecenia publicznego we Francyi, p. Vilmain, w r. 1843 odbył w tym celu naukową podróż po Hiszpanii, i wydał opis rękopismów greckich, znajdujących się w najbogatszej pod tym względem bibliotece w Eskuriale. Dzieło to wyszło we francuzkim języku pod tytułem: *Catalogue des manuscrits de la bibliothèque de l'Escorial par E. Müller. Paris, 1848, XXXI i 563 str.* in 4to majori (przedawane w Paryżu po 30 franków). Wstęp zawiera w sobie wiadomość o podróży autora, która trwała trzy miesiące (str. I—III); dalej idą wiadomości o pochodzeniu opisywanych rękopismów (III—XIX), o pisarzach tychże (XIX—XXI), nakoniec o dawniejszych katalogach, str. (XXVI—XXXI). Katalog p. Müllera obejmuje 382 numerów rękopismów greckich, z których największa liczba należy do XVI stulecia, następnie znaczniejsze są z XVII wieku; reszta zaś, a mianowicie ze 171 rękopisów, są: z XIII do XV wieku, 59; z XII stulecia 31; z XI 9, z IX 1; oprócz rozmaitych pisarzy starożytnej przedchrześcijańskiej Grecyi, kopij ewangelii i ksiąg starego testamentu, dzieł ojców świętych i słowników, znajdują się w bibliotece eskurialskiej kilka rękopisów bizantyjskich, pisarzy średnich wieków, na które szczególnie teraz uczeni uwagę zwrócili. W tym rodzaju zabytków najdawniejszy tam rękopis jest Latopis Jerzego Amartoła na pergaminie z XI stulecia, pod nr. 176 opisany, z innych Bizantyjczyków są mniej lub więcej obszerne wyjątki, całkowitych albowiem kopij tam niewiele znajduje się; wszystkie zaś należą do XVI stulecia, wyjąwszy Kinnama z XIII stulecia, Zonary z XIV, Manasia z XIV i Nikodema Chokiata z XVI i niektórych innych. Niemniej zasługują na uwagę dwa rękopisma: jeden pod nr. 262 z XIII stulecia, a drugi pod nr. 121 z XIV wieku. Pierwszy za-

wiera w sobie znaczny zbiór rozpraw i mów naukowych, które dotąd we współczesnych dziełach bizanckich nie były znane, a z których nauka historyi wiele zyskać może. Jakoż p. Müller porobił z nich wypisy i zamierza je wydać osobno pod tytułem: *Anecdotorum Escorialensium*, dodając do tego dopełnienia do pierwszego katalogu biblioteki madyryckiej. Drugi rękopis bez początku i końca, zawiera kronikę, której autorem przepisywacz mianuje jakiegoś Laomedona Lakapena, nazwisko dotąd zupełnie pomiędzy bizantyjskimi historykami nieznanne. Nakoniec godne są także wspomnienia cztery dyplomata imperatorów bizanckich z lat 1284, 1440, 1301 i 1406, odnoszące się do prowincyi Monemwelii w Peloponezie. Dyplomata te z powodu wielkiej rzadkości tego rodzaju zabytków, p. Müller wydrukował w całości w swoim katalogu.

Pismiennictwo w Norwegii. Pan *Nissen* dozorca biblioteki uniwersyteckiej w Chrystyanii wydał niedawno dokładny katalog dzieł i ksiątek norweskich, które od r. 1814 do 1847 z druku tamże wyszły. Z przeglądu ruchu piśmiennictwa w tym kraju przekonywamy się, iż w ciągu tych lat wyszło tam w ogóle 2,812 dzieł. W średnim stosunku wychodziło tam w pierwszych siedemnastu latach corocznie po 57 dzieł, a w ostatnich siedemnastu po 108; postęp jak widzimy dość znaczny. Ze względu na przedmioty, uważamy, iż najwięcej wychodzi tam dzieł teologicznych i w ogóle nabożnych, bo w liczbie 591. Niektóre z tych nawet doczekały się kilku wydań, jak naprzykład *Hersleba*: Krótka historia biblijna, której dwanaście edycyi już wydrukowano. Sztuki piękne i umiejętności, drugie po tych zajmują miejsce, bo w tym oddziale wyszło 441 dzieł. Najwięcej wydań pomiędzy takowemi miało dzieło pod tytułem: *Flora*, czyli mowa kwiatów, dotąd w pięciu edycjach drukowana. Następnie idą nauki historyczne, w których wyszło 440 dzieł. W wydziale prawa wyszło dzieł 365, pomiędzy którymi podręczna księga do znajomości prawa przez *Holsta*, siedmiu wydań doczekała się. Dzieł pedagogicznych wyszło 176. Technologicznych 157. Politycznych i Ekonomii Polić

tycznej 140. Filologicznych 110; w przedmiocie gospodarstwa wiejskiego i domowego 99. Medycznych 73. Filozoficznych 69. W historii naturalnej 87. Matematycznych 89. Nakoniec dzieł rozmaitej treści i przedmiotów 41. Pomiedzy niemi Andersena Katechizm umiarkowania, drukowany był w liczbie 80,000 exemplarzy.

Tłumaczenia i przedrukowania dzieł dawnych są w stosunku do oryginalnych i nowych jak 1 do 4,05; najmniej znaczny stosunek pod tym względem jest w dziełach matematycznych i prawnych, tłumaczenia albowiem do oryginalnych są jak 1 do 50, albo jak 1 do 39, 5. Najznakomitszy zaś w oddziałach teologicznym i medycznym; tam bowiem jest jak 1, 2, 4, lub 1, 1, 5. Nowe wydania, raczej przedrukowania dzieł dawniej wyszłych, są w stosunku do całego ogółu jak 1 do 11. Wszystkie dzieła wyszłe w Norwegii od roku 1817 do końca 1847, można nabyć, rozumie się po jednym exemplarzu każdego, za 1925 talarów i 20 szylingów, a wychodzące w jednym tylko roku w średnim przecięciu za 56 talarów i 67 szylingów. Zresztą podług obraćowań wyżej wymienionego autora, który przypuszcza, iż każdego dzieła rozeszło się 300 exemplarzy, w ogóle sprzedano za sumę 600.000 talarów, a zatem średnia cena handlowa przedawanych w Norwegii książek, wynosi corocznie około 17 do 18 tysięcy talarów.

Dziennikarstwo podobnież w Norwegii od roku 1814 rozwinęło się; tak, iż gdy w tym roku wychodziło tylko 6 codziennych gazet, w 1840 r. liczono już 40 i corocznie od-
tąd liczba ich pomnaża się.

W ogóle liczą w tym kraju 622 ludzi autorstwem trudniących się, z których 120 wyłącznie tylko tłumaczeniem i wydawaniem zajmują się. Liczba drukarni w Norwegii w roku 1814 dochodziła do sześciu, a teraz jest ich w ogóle 35, z których w samej Chrystyanii 14 znajduje się.

Medal na cześć Goethego bity. W dniu 28 sierpnia bieżącego roku, przypadł jubileusz stuletni urodzin tego sławnego poety niemieckiego. Wszystkie znaczniejsze miasta przygotowywały się odbyć go uroczyście, i na ten cel, oraz

dla uwiecznienia nieśmiertelnej pamięci germańskiego wieszca, odbity został śliczny medal, wyobrażający na głównej stronie wizerunek Goethego z laurowym wieniec na głowie i napisem: *Jo. W. Goethe. Nat. d. XXVIII Aug. MDCCXXXIX*. Na odwrotnej zaś stronie przedstawiona jest apoteoza poety, łabędź ku gwiazdom wznoszący się i napis: *Ad astra rediit, d. XXII. Mart MDCCXXXII*.

Pomniki dla Diukanza i Monza we Francyi. Niedawno wystawione, a świeżo odkryte zostały dwa pomniki tych znakomitych uczonych francuzkich: Diukanza w mieście Amiens, a Monza w małym miasteczku Beaune pomiędzy Chalons a Dijon leżącym; pomnik dla tego ostatniego wzniesiony, składa się z bronzowej statui na podstawie z czarnego marmuru stojącej. Na jednej stronie podnóża znajduje się następujący napis: *A Gaspard Monge ses élèves et ses concitoyens*. Na drugiej zaś stronie *Gaspard Monge né à Beaune le X Mai MDCCXLVI mort à Paris le XIX Juillet MDCCXVIII. Fonte des canons MDCCXCIII Ecole Polytechnique MDCCXIV*.

* Wydawanie pisma peryodycznego pod tytułem: *Zeitschrift für die Alterthums Wissenschaft*, z powodu zamieszek politycznych z początkiem bieżącego roku przerwane, teraz redakcyja ogłasza znowu nową prenumeratę, i dalsze wydawanie dla wielu zgłoszeń i życzeń objawionych, miłośnikom nauki starożytności przyrzeka. Atoli miasto 12 numerów, corocznie będzie tylko wychodzić 6, i stosownie do tej objętości i liczby, cena prenumeracyjna niższą zostanie.

* We Frankforcie nad Menem wydają teraz korespondencyę papieża Adryana VI z Erazmem Rotterdamszym, zaś w Wiedniu, drukuje się korespondencyja księcia Eugenia sabaudzkiego.

* Alexander Humboldt, zajmuje się teraz drukiem trzeciego wydania swoich obrazów natury, *Ansichten der Natur*. Znakomity ten uczony ukończył właśnie w dniu 14 września b. r. ośmdziesiąty rok swego, tyle czynnego i zasłużonego życia. W roku 1850 akademія nauk berlińska

będzie obchodzić uroczystie 50letni jubileusz, wybrania jego na członka téjże akademii.

* Gerwinus ukończył już teraz swoje wielkie historyczno-literackie dzieło o Szekspirze, które ma wyjść pod tytułem: *Shakespear, sein Leben und seine Werke*.

* Doktor medycyny, znany w uczonym świecie p. I. H. Reveillé-Parise, wydrukował nowe wydanie listów Gui Patina, wzbogacone wielu dotąd niewydanemi i nieznanemi, które szanowny wydawca troskliwie zebrał; wyszły one pod tytułem: *Lettres de Gui-Patin, nouvelle édition augmentée de lettres inédites, par I. H. Reveillé-Parise*. Wiadomo, że Gui Patin był znakomitym lekarzem, oraz niepospolitym autorem, za panowania Ludwika XIV żyjącym. Wydane zaś listy zawierają mnóstwo szczegółów charakterystycznych, a nader zajmujących, które współczesny stan społeczeństwa francuzkiego doskonale malują.

* W dniu 26 maja r. b. zmarł w Bonn, Wawrzyniec Lert, professor tamecznego uniwersytetu, znany w piśmiennictwie ze swoich poezyj, tudzież badań w przedmiotach filologicznym, i starożytności. Wspomnimy tu o szczególnie znakomitým jego dziele, jakim jest bez wątpienia: *Die Sprach-Philosophie der Alten*, które w trzech tomach, od roku 1838 do 1841 z druku wyszło.

F. Max. Sobieszczański.

* W tych czasach wyszło w Moskwie bardzo ważne dla historii rossyjskiej dzieło w języku niemieckim, pod tyt.: „Dziennik generała Patryka Gordon, pisany podczas jego służby wojskowej u Polaków i Szwedów od r. 1655—1661 i podczas pobytu w Rossyi od r. 1661—1699; wydany po raz pierwszy przez ksjęcia M. A. Oboleńskiego i Dr. M. Posselt.” Wiadomo, że Szkot Gordon był jednym z najczynniejszych pomocników Piotra W. we wszystkich jego reformach wojskowych i administracyjnych, i onto przyłożył się najwięcej do przytłumienia tak nazwanego buntu strzelców. Niektóre ułamki z tego dziennika, były już oddawna znane historykom rossyjskim.

* O Kalifornii i jej bogatych skarbach, ukazało się w Anglii do czerwca b. r. 31 większych i mniejszych pism, pomiędzy którymi zastępuje na większą uwagę dzieło znanego geologa Dawida Ansted. Do tej epoki niemiecka literatura posiadała w tym przedmiocie pism 26, a francuzka tylko 14. Niemcy spodziewają się bardzo dobrego opisu przez Fryderyka Gerstaecker, który opatrzone dostatecznym wsparciem ze strony Władzy Centralnej, w dniu 12 marca b. r. udał się do Kalifornii.

* Dziennik paryzki „*Le bien-être*”, kosztujący 10 fr. rocznie, w skutek wygórowanego współzawodnictwa, przyobiecwał swoim prenumeratom: 1) dożywotnią pensją w razie, jeżeli który z robotników ulegnie ciężkiemu kalectwu, lub nieuleczonej chorobie; 2) pensją emerytalną po 30 latach ciągłej prenumeraty; i 3) zwrot kosztów pogrzebowych po nastąpieniu jego śmierci i 100 franków wdowie lub pozostałym spadkobiercom.

* Pod tytułem: „*Biographie universelle des Contemporains*” wychodzi w Paryżu dzieło, które w krótkich zarysach obejmuje żywoty wszystkich znakomitszych tegoczesnych mężów, wsławionych w różnych zawodach.

* „*Dix mois et dix-huit ans*” p. Liadières, w przeciągu 8 tygodni wyszło 6 wydań.

* Od stycznia b. r. wychodzi w Londynie nowa gazeta, pod tytułem: „*The Phonetic News*”, która obok innych reform, jak np. co do parlamentu, ogólnego pokoju i t. d. obraca sobie za główny cel, aby za pomocą wyrozumowanej metody, usunąć wszelkie trudności, jakie zachodzą w czytaniu pisma angielskiego, nawet dla rodowitego Anglika. Wynalazcami tej nowej metody są pp. S. Pittmann i A. J. Ellis.

* Paryzki zegarmistrz Piotr Dubois pracuje nad dziełem: „*Histoire de l'horlogerie*”, które ma zawierać życiorysy najslawniejszych zegarmistrzów Europy od najdawniejszych aż do naszych czasów. Całe dzieło ma się składać z 50 zeszytów z rycinami.

* W Madrycie wychodzi w ciągu 1849 r. 56 pism periodycznych. Te tak się rozdzielają: 19 jest gazet politycznych; 5 literackich i teatralnych; 9 medycznych; 2 prawne; 3 teologiczne i tyleż wojskowych. Reszta jako zbiorowe, nie mają właściwej jednéj barwy. Główniejsze polit. dzienniki są: „*El Clamor publico*”, „*El Herald*”, „*El Expectador*”, „*El Observador*”, „*La España*”, „*La Esperanza*”, „*La Ley*” i „*La Reforma*”. Z pism literackich: „*El Diablo*”, „*La Lunetta*” i „*El Pensamiento*”.

* Augusta Roberta wyszło w Paryżu nowe drama, pod tyt.: „*Le Connétable de Bourbon*”.

* Pawła de Kock ukaże się nowy 6tomowy romans p. n.: „*La Gaillarde*”.

* Dzieło F. Valentin'a: „*Peintres célèbres*” doczekało się już 5go wydania.

* Alex. Dumas'a nowy dramat: „*Le chevalier d'Harmental*” grany był po raz pierwszy d. 26 lipca b. r. w „*Théâtre historique*” i prawie w jednym czasie został drukiem ogłoszonym.

* Zapowiedziano oddawna Pamiętniki pani Dudevant, mają się wreszcie w przyszłym miesiącu ukazać.

* Karola Didier pisemko: „*Une visite à Monsieur le duc de Bordeaux*” rozeszło się w ciągu 14 tygodni 14 wydań. Miałożby to służyć za dowód, jak wielki interes przywiązuje jeszcze Francya do rodziny Burbonów?

* „*La petite Fadett*” nosi tytuł najnowszy romans George Sand'a.

* Jak wiele przyczyniają się do ruchu literackiego niektóre miasta Niemiec, może posłużyć za dowód miasto Augsburg, w którym wychodzą następujące gazety i pisma periodyczne literackie:

- | | |
|--|-----------|
| 1) Augsburger Allg. Zeitung | Ex. 9,500 |
| 2) Augsburger Abendzeitung | — 5,300 |
| 3) Deutsche Constitutionelle Zeitung | — 1,200 |
| 4) Postzeitung | — 3,500 |
| 5) Archiv für Pastoralconferenzen | — 500 |
| 6) Ausland, | — 1,800 |

- | | | |
|--|---|-------|
| 7) Gimnasialblätter | — | 750 |
| 8) Predigtmagazin | — | 1,000 |
| 9) Repertorium d. paedagog. Journalistik | — | 500 |
| 10) Schulbote | — | 1,000 |
| 11) Sion | — | 1,200 |
| 12) Neue Sion | — | 1,200 |
| 13) Zollvereinsblatt | — | 500 |

* W zupełnej sprzeczności z dążeniem wielkiego kongresu pokoju, który odbył się w tym roku w Paryżu, a który mianowicie zmierza do usunięcia wszelkich wojen, ukazała się w Bruxelli broszura, pod tyt: „*Éloge de la guerre, ou réfutation des doctrines des amis de la paix*”.

* Do wielu wyszłych biografij Ludwika Filipa b. króla Francuzów, przybyła jeszcze jedna, przez L. G. Michaud.

* Najnowszém dziełem Guizot'a, które ma się ukazać w Paryżu, jest: „*Introduction à l'histoire de l'Angleterre*”. Tegoż dzieło: „*De la démocratie en France*” wyszło równocześnie w przekładzie polskim w Lesznie i w portugalskim w Paryżu.

* „*Ce qui plait au filles*” nosi tytuł nowy 2tomowy romans Max. Perrin, napisany z wielkim humorem.

* „*Dix ans de la vie d'une femme*” ma tytuł nowy romans p. Rabou.

* Na uwagę zasługuje ważne dzieło Alf. Bonnardot'a: „*Histoire artistique et archéologique de la gravure en France. Dissertations sur l'origine, les progrès et les divers produits de la gravure. Liste des graveurs français rangés par ordre de régnes, de Charles VII à Louis XIV inclusiv.*” 8vo.

* W r. b. wyszła pierwsza część ważnego do historyi sztuk pięknych dzieła, p. t.: „*Histoire des beaux arts, ou les grands hommes de l'Italie, par Mèrault-Daussy*”.

* Macauley'a: „*History of England*” tom 1 i 2, wyszło do końca przeszłego roku aż 5 wydań. Nawet Ameryka wydała ich kilka; gdzie sądząc po taniości tamtejszych przedruków i znanėj chciwości do czytania Amerykanów, sądzić można, że się tam jeszcze więcej rozeszło ex., jak w An-

glii. Jedna z angielskich gazet obliczyła sprzedaną ilość exemplarzy na 80,000—100,000.

* W. M. Thackeray, ta świetnie wschodząca gwiazda w literaturze angielskiej, którego sławę ogłaszają wszystkie dzienniki połączonych trzech królestw W. Brytanii, napisał dotąd trzy humorystyczne romanse: „*Vanity fair*”; „*The History of Pendennis*” i „*Doctor Birch and his Young friends*”. Jest on przytém od lat 3 redaktorem gazety „*Punch*” i zamieszcza w niej swoje „*Snob-Papers*”.

* Za osobliwość literacką może posłużyć biblia, niedawno w Londynie wydana, p. t.: „*The Thumb Bible*”. Biblia ta jest tak małego formatu, że zaledwie pokrywa powierzchnią dłoni (około 2 cali kwadratowych).

* Życie Oliwera Goldsmitha, napisane przez Washingtona Irvinga, wyjdzie równocześnie z druku w Londynie i w New-Yorku.

* Z lepszych angielskich romansów wyszły: W. G. Kingston, „*The Albatros or: Voices of the Ocean*” i Valerie an *Autobiographie*, kapitana Marryata.

* Z nowości amerykańskiej literatury zasługują na uwagę: „*Benjamin Franklin, his Autobiography, with a Narrative of his Public Life and Services*”, przez H. Hastings Weld, i „*European Life and Manners*” w listach, przez H. Colman'a.

* W Pradze czeskiej opuściła prasę: „*Bibliotheka staroceska, wydawana nakładem Ceského Museum. Cislo III. I. A. Komenského didaktika*”.

* Romans Oliwera Goldsmith „*Wikary Wakefieldski*” wyszedł w tłumaczeniu kroackim w Agram, pod tyt: „*Zabavna Citaonica prevodi iz inostranoh Kniztvach*”.

β.

Użyteczność istot mianych zwykle za szkodliwe.

Nawet w szkodliwych roślinach, nauka potrafiła wynaleźć użyteczność: najjadliwsze trucizny są często najlepiej

działającym lekarstwem; obok złego znajdziemy i dobro które to złe zrównoważa. Nauki przyrodzone tysiące tego dałyby dowodów, gdyby nauki przyrodzone więcej zajmowały wszystkich. Bez jaskółek, chmury owadów wkrótceby nas opanowały; ileż ptaszków żywi się gąsienicami, któreby inaczej jak zima drzewa nasze liści pozbawiły. Sowa w wojnie zawsze z myszami; nietoperze nieprzyjaciele chrząszczów, jęże ślimaków. Ale chrząszcze największą klęskę zadają rolnikowi w stanie gąsienicy; całe zasiewy giną od tych żarłocznych gąsienic, a człowiek nie jest w stanie im się obronić, owszem najczęściej szkodzi sam sobie, wytopięjąc jedyne zwierzę które go od podobnej klęski uchronić może. Kto z nas nie wymyślał, nie próbował tysiąca sposobów na wygubienie kretów? a jednak to zwierzę nigdy nikomu szkody nie zrobiło; kret żyje tylko owadami, gąsienicami, nigdy nie uszkodził żadnej rośliny; my tymczasem zupełnie przeciwne o nim mamy dotąd wyobrażenie. Kretowiny, tylko nieprzyjemne oku, jakże łatwo zarównać, a ta rodzajna ziemia, rozrzucona jako nawóz, ulepszy pole, łąkę, na której ją rozrzućmy. Jeśli to na trawnikach przy domach sprawia szpetny widok, doś w tych miejscach kilku krzaków rącznika (*Ricinus communis*) zasiać, a krety wyprowadzą się zaraz; ale wygubiać je, jestto oczéwista strata, pozbawienie się użytecznego zwierza. We Francyi niejeden rolnik przekonany o téj prawdzie, szanuje kreta, chciałby jak najwięcej tych zwierząt mieć na swém polu; my zaś krety wygubiamy. Bociany, choć już nikt nie wątpi że tylko nam szkody robią, przecież szanujemy i za jakieś błogosławieństwo uważamy ich gnieźdzenie się na naszych stodołach, które czasem podpalają, nie mówiąc już o tém, że wyjadają jaja ptaków po błotach się gnieźdzących, a które samemi owadami i muszkami się karmią. Ale my, radzi jesteśmy gościom co nas objedzą, a sobie i swoim odejmujemy co jest koniecznie potrzebém.

W. P.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Na artykuł w listopadowym numerze Biblioteki Warszawskiej z r. b. na karcie 404, pod tytułem: „Netscher Gaspar, malarz i ojciec jego”, w sposobie zapytania umieszczony, odpowiadając, mam honor oświadczyć, iż wiadomo jest z wielu autorów, którzy się wszyscy w tym punkcie zgadzają, że ojciec Gaspara, Jan Netscher zostawał w służbie polskiej jako inżynier. Nie czytałem jednakże nigdzie, aby czas jego pobytu w Warszawie, na epokę panowania Jana III przypadła, i porównanie dat, każe mi o tém wątpić. Jeżeli bowiem to jest pewne, że Gaspar przyszedł na świat między rokiem 1636 a 1639, bo i w tém biografowie nie zgodni, zaś matka jego po śmierci męża wyniosła się do Pragi, lub raczej do Hejdelberga, ztamtąd prześladowana uciekać musiała, jak się bezimienny, w dziełku: „*Abregé de ce qui concerne la Peinture. Paris, 1752*” wyraża: „*elle se sauva une nuit, tenant Gaspar entre les mains*”: to, z tego wypływa następstwo, że ojciec Netschera dzieckiem go odumarł, a więc śmierć ojca nastąpić musiała około roku 1650; i z tego wnoszę, że tenże jeszcze za Jana Kazimierza jako inżynier był tu sprowadzony.

Co do Netschera malarza, jednego z najprzyjemniejszych artystów szkoły Flamandzkiej, że ten nigdy w Warszawie nie znajdował się, nieledwie z pewnością twierdzić można: już dlatego, że ówczesni biografowie, nie o tém nie wspominają; już też, że niemasz śladów jego pobytu, bo prawie nikt w Warszawie, a nawet na prowincyi, nie posiada znakomitego malowidła, pędzla jego. Młoda amatorka w roku zeszłym nabyła wprawdzie obrazek Netschera, w małym formacie, przedstawiający dwoje młodych ludzi, zajętych czytaniem listu; ale obrazek ten piękny, świeżo z zagranicy był przywieziony. W innych zbiorach prywatnych, nie spotyka się Netschera.

Co do wilanowskich portrecików, przedstawiających Jana III i Maryą Kazimirę, to albo były za granicą robione,

albo wcale nie są pędzla artysty, o którym mowa. Oddalenie Wilanowa od Warszawy jest przyczyną, iż nie można się natychmiast przekonać o rzeczywistości twierdzeń, szanownego autora artykułu; o ile zaś pamięcią objąć jestem w stanie, w całej galerji wilanowskiej czuć się daje brak szkoły Flamandzkiej, a portrety Netschera, zwłaszcza w małym formacie, tyle mają powabów, że każdego zwróciłyby uwagę. Jeżeli zdanie powyższe o galerji wilanowskiej mylnémby się okazało, pochodzi to ztąd, że zbiór ten choć tak liczny i wiele znakomitych dzieł obejmujący, umieszczony został bezużytecznie w pałacu od miasta odległym, i dla publiczności nieotwartym, tak, iżby młodzież ucząca się i amatorowie, korzystać i wzory czerpać z niego mogli. Gdyby przeto zacięni właściciele Wilanowa, arcydzieła, które posiadają, przenieśli do Warszawy i wstęp do nich dozwolili; wysokie imiona ich, wspomnianyby były z równą czcią i wdzięcznością, z jaką wspomina i wspominać będzie Warszawa, imię Józefa hrabi z Tenczyna Ossolińskiego, który z niemałym kosztem, jedynie zainitowaniem sztuki powodowany, zebrał kolekcją obrazów pierwszych mistrzów europejskich, a otworzywszy ją dla publiczności, utalentowanej młodzieży ułatwił przez pół wieku powzięcie pierwszych zasad sztuki.

Wracając do rzeczy, niech mi się godzi zapytać tych, co utrzymują, że Netscher w Warszawie przebywał: gdzie widzieli ślady jego pobytu? gdzie są obrazy jego pędzla? gdzie owe w naturalnej wielkości portrety Jana III i królowej Maryi Kazimiry, kiedy ich niema w Warszawie, ani w Wilanowie? Dlaczegoż wiemy, że Stanisław August sprowadził Jana Pillement i innych; że hr. Belloti Bernard, nie tylko był w Warszawie, ale nawet że umarł w hotelu Wileńskim; że Myrysa trzymał na swym dworze hetman Branicki w Białymstoku, i ci wszyscy wiele bardzo dzieł własnych w kraju zostawili, a nie mielibyśmy wiedzieć jakiegokolwiek tradycyi o Netscherze? Nadto wiadomo jest dobrze, że artysta ten spędził młodość w Arnheim, pod okiem doktora medycyny Tulkens, który z początku na lekarza kształ-

cię go zamierzał. Wiek średni swój przepędził w Bordeaux, gdzie się też ożenił; resztę zaś życia dokonał w Hadze. Myli się Nagler twierdząc, że wezwany przez Karola II, udał się do Londynu; czyniono mu wprawdzie przez konsula sir Temple propozycją, ale ją odrzucił, nie chcąc się oddalać od licznej swój rodziny, której jedyną stanowił podporę.

Że tedy Netscher nie był do Warszawy sprowadzany, przemawia za tém jeszcze i to: iż okoliczności ówczasowe, nie sprzyjały rozwinięciu się u nas sztuki; i dlatego młodzież nasza doszedłszy do pewnego wykształcenia się, pozostawała dla chleba za granicą i tam dalszej kariery szukała. Przykłady tego są następujące:

1) Trzej bracia Bielscy, Jan, Alexy i Joachim, uczniowie Waleryani i Peressinotego, osiedli w Petersburgu, gdzie około r. 1780, w włoskim guście, olejno i al-fresco pracowali.

2) Mikołaj Chodowiecki ur. 1726 † 1801, był dyrektorem akademii sztuk pięknych w Berlinie. Znakomity artysta malarz i uczoney.

3) Gotfryd Chodowiecki, brat poprzedzającego, ur. 1728 † 1781 nie zrównał mu; malował jednak sposobem bardzo do Rugendasa zbliżonym. Życie spędził w Berlinie.

4) Karol Kubiński, nie ucząc się od nikogo, doszedł własną metodą wysokiego stopnia, i około roku 1792, był umieszczony na dworze hr. von Stolberg.

5) Anna Dorota Liscewska 1722 † 1782, znakomita artystka, była przyjęta jako członek Instytutu Bolońskiego. Wiele obrazów historycznych zostawiła w Stutgardzie, Bruxelli, Paryżu i Manheimie.

6) Liscewska Fryderyka Julia.

7) Liscewska Anna Rozyna.

8) Liscewski Grzegórz. Cała ta familia artystów, malarzy znakomitych XVIIIgo wieku, życie spędziła w Niemczech.

9) Krysztof Lubieniecki 1659 † 1729, wielką w owym czasie posiadał sławę, a brat jego Teodor 1653 † 1720,

uczeń Lairessa, był dyrektorem akademii malarstwa w Berlinie.

10) Franciszek Ignacy Oefele, urodzony w Polsce, uczeń Nogarego, mieszkał w Monachium około r. 1797.

Te przykłady zaiste są dostatecznym dowodem, dlaczego kraj nasz nie był obfitym w malarzy.

Jeżeli artykuł niniejszy redakcyja uzna za godny pisma swego, niech go każe zamieścić; w każdym zaś razie zechce go podać do wiadomości autora artykułu, któremu służy za odpowiedź na jego pytanie. Być może, że szczegóły, jakie tu znajdzie, posłużą mu za pomocnicze wiadomości w użytecznych i ciekawych zawsze pracach jego.

Warszawa, d. 20 listopada 1849 r.

Józefowicz.

WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

FIZYKA.

Dawniej już dostrzeżono, że po drutach telegrafów galwanicznych w czasie trwania zorzy północnej, krążą strumienie elektryczne. Baumgartner wstawiając bardzo czuły multiplikator w obwód utworzony przez druty telegrafu, idącego z Wiednia do Pragi, przekonał się, że po drutach płyną strumienie stałe i przypadkowe: pierwsze podczas dni pogodnych, drugie w czasie burzy.

Wypadki tych obserwacji są następujące: Iгла magnesowa multiplikatora po zamknięciu obwodu telegrafu, nigdy prawie nie staje na 0° , lecz zawsze wskazuje pewne zboczenie, świadczące o wpływie na nią strumieni elektrycznych. Zboczenie niekiedy dochodzi 50° , zwykle jednak oscyluje między $\frac{1}{2}$ i 8° . Przypadkowe zboczenia są zmienne co do położenia, i dotąd przynajmniej nie dają się podciągnąć pod żadne prawo; drugie słabsze zdają się wskazywać, iż strumień elektryczny dniem płynie z Wiednia i Graetz do Sennering, nocą zaś w przeciwnym kierunku.

Gdy niebo jest pogodne i suche, bieg strumieni jest bardzo regularny; w czasie chłodnym i dżdżystym, różne przytrafiają się anomalie. Baumgartner przywodzi, że robotnicy użyci do układania drutów telegrafu, często się użalali na kurcze w rękach, które ustawały po odjęciu rąk od drutów.

Dowiedziona już jest rzeczą, że w miarę posuwania się chmur zapowiadających burzę, igła wskazująca znaki na telegrafie zawsze zbacza stale; przyczém kierunek zależy od natury chmur i od kierunku, w którym postępują chmury. Gdy chmura zbliża się ku stacyi, zboczenie trwa póty, póki trwa posuwanie; skoro zaś chmura się oddala, zboczenie następuje w przeciwnym kierunku.

Baumgartner przytacza mnóstwo przykładów dotyczących szkód sprawionych przez pioruny, uderzające w telegrafy. Między innemi, słupy utrzymujące druty przedstawiły szczególne zjawisko, że drzazgi z uderzenia piorunu powstałe, odlupane były w jednym kierunku z góry na dół i wisiały za swe dolne końce. Na uszkodzonych słupach dostrzeżono przytém, że ślady przez drzazgi utworzone, posiadały zawsze kształt spiralnych.

Pogendorff śledząc obracanie się masy merkuryusza zostającej pod wpływem biegunu elektromagnesu strumieni elektrycznych, przekonał się, że ruch masy metalu słabnie, a po pewnym czasie (15—20 minut), zupełnie ustaje, jakkolwiek w silę strumieni elektrycznych, żadna nie zaszła zmiana. Wstrzymanie więc ruchu było jedynie skutkiem zmiany, jaką doznał metal na swęj powierzchni; zmiany, powodującej zmniejszenie płynności tego metalu. Podobno zgęszczenie ma miejsce, skoro metal jest w zetknięciu z eterem, różnemi olejami, a nawet gazami. Kwas węglany i wodoród, czyste, zachowują się zupełnie obojętnie; przeciwnie, kwasoród daleko prędzej aniżeli powietrze sprawia ustanie krążenia merkuryusza. Merkuryusz w próżni zachowuje przez czas nieokreślony swą płynność.

Pogendorff, przeciwnie twierdzeniu chemików, utrzymuje, że zjawiska przez niego badane są skutkiem ukwasorodnienia warstwy merkuryusza, stykającej się z powietrzem.

Zdaje się, że w ukwasorodnieniu merkuryusza, szukać należy przyczyny obserwowanych przez Frankenheima nierogularności w wysokości słupa merkuryusza w rurkach wło-

skowatych, i zmian uważanych przez Dulong'a w wysokości termometru.

Wielu fizyków dostrzegło, że w żelazie magnesowaném, następuje zmiana w układzie cząsteczek tego metalu. Naturalny ztąd wniosek, że przy takiém nowém układaniu się cząstek, musi między niemi nastąpić zetknięcie, tarcie, a więc powstawać ciepło.

Stwierdzenie tego wniosku, połączone jest z wieloma trudnościami, szczególnie z tego względu, że ciepło wywiązane w elektromagnesie, przez strumienie elektryczne, krążące po drucie obwijającym spiralnie elektromagnes, modyfikuje, a więc i zagłusza ciepło, wzbudzone przez same magnesowanie. Grove usunął przynajmniej w części tę niedogodność, otaczając kotwicę z miękkiego żelaza, flanelą lub warstwą wody, i wtedy dostrzegł, że rzeczywiście magnesowanie i szybkie odmagnesowywanie, sprawia podniesienie temp. w miękkim żelazie stanowiącém zbroję elektromagnesu, o kilka stopni nad temp. samego elektromagnesu.

Zamiast żelaza, biorąc nikiel i kobalt na zbroję magneso-
wą, zwiększenie temp. jakkolwiek w niższym stopniu, ma jednak miejsce. Zbroje z innych metali niemagnetycznych, nie wskazały najmniejszej zmiany w swój temperaturze.

Tak więc Grove przekonał, że *magnetyzm może bezpośrednio być przyczyną podniesienia temperatury.* (Bib. de Gen. 1849 Jouillet).

S. P.

CHEMIA.

Srodek na odkwaszenie starego ustalego wina reńskiego. Do powyższego celu radzi Liebig używać winianu obojętnego potażu. Sól tę należy w roztworze stężonym do wina dodawać, przez to utworzy się w niém trudno rozpuszczalny winowy kamień; bo wolny kwas winowy łączy się z solą obojętną, i wyłącza się z cieczy w postaci soli kwa-

śnej. Wynalazca niniejszego sposobu widział jak w ciągu dni ośmiu, po dodaniu 7 gramów chemicznie czystego wianu potażu do dwóch kwart wina z r. 1811, znaczna ilość kamienia winowego się wydzieliła, a wino w smaku i przyjemności stało się podobnym do win okolic południowych, nie straciwszy nic z przymiotów odznaczających wina reńskie. (*Journal für praktische Chemie* nr. 9 i 10 z r. 1849)

* *O złocie z Kalifornii* (1). (Wyjątek z listu Dra Hoffmann do p. J. L.). „Kalifornijskie złoto pod względem swęj dobroci uważane, nie jest jednakowe; toż mówić i pod względem jego wydobywania; znajduje się bowiem albo w postaci drobnego piasku, lub też w kawałkach wielkości orzecha dochodzących. Widziałem kawałki ważące od dwóch do trzech uncyj; w ogólności jednak najwięcej znaleziono mającego postać niekształtnych listków wielkości główki od śpilki; te listki pomieszane są z większą lub mniejszą ilością żelaza, które przez magnes odłączyć można. Do mych doświadczeń użyłem złota udzielonego mi przez p. Forbes ze skrzyni znaczną ilość go obejmującej; było ono prawie wszystko w postaci małych blaszek z gruzełkami wielkości ziarna jęczmiennego.

Przy rozbiórce oddzieliłem ziarka złota od żelaza, a złoto strąciłem kwasem szczawiowym; składało się ono:

ze złota 89,61

— srebra . . . 10,05.

Ilość do 100 brakująca jest miedzią i żelazem.

(1) W piśmie L'Institut nr. 818 z r. b. znajduje się umieszczona obszerna rozprawa p. Dufrénoy o *piaskach złotych*; w niej czytamy ciekawe szczegóły następujące: 1) Że obfitość piasku złotego wmywanego w Kalifornii, nie przewyższa teraz bogactwa innych znanych płóczkarni, tegoż metalu. 2) Że w ogólności w kopalniach złotych wszystkich krajów i Kalifornii, jeden robotnik otrzymuje dziennie złota za 7 franków i 70 centymów, a zatem, że przedsiębiorstwo hut żelaznych, większy we Francyi zysk przynosi. 3) Z tego autor wyprowadza wniosek, że odkrycie złota w Kalifornii nie zrobi zmian ogromnych ani w przemyśle metalurgicznym, ani w innych stosunkach, ale jedynie stanie się nowym źródłem bogactw związku amerykańskiego.

Ziarna więc są spżem złożonym ze złota i srebra, co potwierdziły powtarzane przezemnie rozbiory. (*Annalen der Chemie und Pharmacie* Maj 1849).

* W piśmie *Annales de Chimie et de Physique*, Juin 1849, znajduje się rozprawka p. Fresenius o ilości ammonii zawartój w powietrzu atmosferycznym, z której to pracy wypadki w treści przytaczamy.

1) Dotychczasowe oznaczenia ilości ammonii zawartój w powietrzu były zanadto wysokie, bo różnice pomiędzy rozbiorami są tak wielkie, że nie można ich przypisywać zmianie składu powietrza, chyba gdyby ta zmiana pochodziła od przyczyn szczegółowych czysto-miejscowych. Dodaje nadto (p. F.), że zapewne się nie pomylił w wadze więcej jak o 0^{gr}, 00005.

2) Dla oznaczenia ze ścisłością ammonii zawartój w atmosferze, potrzeba robić doświadczenia z ilościami powietrza większemi jak to dotąd uskutecziano. Należałoby brać do tego celu 12000 do 15000 kwart powietrza.

3) Do czasu wykonania doświadczeń na wielką skalę, niniejsze spostrzeżenia mogą być uważane za wypadki przybliżone.

Jeżeli jest prawdą, że powietrze nocne jest bogatsze w ammonią od dziennego; można to wytłumaczyć przez zjawiska wyływające z żywienia się roślin; równie jak i przez to, że ammonia zbierająca się w powietrzu w ciągu dnia i w nocy, rozpuszcza się i opada z rosą przy wschodzie słońca.

Przyjąwszy z panem Marchand, że atmosfera waży 5 263 623 000 000 000 000 kilogramów, i że jej skład jest wszędzie jednakowy, wypadnie z powyższych doświadczeń, iż powietrze zawiera 4079 042 kilogramów ammonii.

J. B...a.

HISTORIA NATURALNA.

Zoologia.

W kanale kiszkiowym ryb łakliwych (*Selaciens*) postrzegł J. van Beneden robaki nowego rodzaju, odznaczającego się kształtem głowy i licznymi cierniowatymi przysadkami u szyi.

Ażeby temu rodzajowi naturalne w układzie stanowisko naznaczyć, autor spowodowany był ścisły uczynić przegląd wszystkiego co dotąd mieszczono w rodz. *Bothriocephalus* (tasiemców), którego jest najbliższym i jego nowo stanowiony rodzaj.

Robaki wstęgowate (*Cestoideae*) kilkokrotnie kształt zmieniają: gatunku nie wyobraża w nich samo zwierzę dorosłe, lecz także kilka jego odrodzeń, które z siebie przez oczka powstają; dopiero ostatnie z tych pokoleń opatrzone jest przyrządem płciowym; do należytego więc poznania indywiduum potrzebną jest dokładna znajomość jego rozmaitych stanów, to jest zmian jego rozwijania się. Sądzi autor że każdej takiej zmianie osobno i stałe nazwisko dać potrzeba: pierwszą, to jest gdy zwierzę z jaja wyszło, nazywa *Scolex*, drugą *Strobila*, trzecią *Proglottis* (1).

Nowy swój rodzaj tak charakteryzuje autor:

Rodz. ECHINOBOTHRUM.

W pierwszym pokoleniu *Scolex*?

W drugim pokoleniu *Strobila*: ciało podłużne, gładkie, z wyraźną głową, dwa wieńce haczyków mającą; głowa ta ma kształt młota; trzy rzędy rogowatych cierniów zbroją na każdym boku szyję. Prącie (le lemnisque) wynika na linii pośrodkowej; robak na 5 do 6 milimetrów jest długi.

W trzecim pokoleniu, *Proglottis*, ciało jest podłużno-okrągłe, oprócz otworu na prącie, niema żadnego innego na zewnątrz; rzeźbiony otwór jest rurkowaty. Prącie przy podstawie szorstkie, prawie téj co ciało długości; długość robaka dochodzi milimetra; niesie on jaja bardzo drobne, tylko na 0,01 milimetra wielkie.

(1) Zob. Bibl. Warsz. str. 212 tego tomu.

Echinobothrium typus znajduje się zwykle z wielu innymi robakami w kioskach płaszczki ciernistej, a to przy początku klapy spiralnej (bursa entiana); tylko dlatego, że jest drobny i delikatny, mógł on dotąd ujść wzroku badaczów.

Zwierzę to w drugim swojego życia okresie, rozdzielone jest wyraźnie na trzy części osobne: na głowę, szyję i kądłub. Głowa jest tak ruchliwa jak u greża (*Tetrarhynchus*); przedłuża się ona jakby ostrze strzały, albo też w kulę się ściąga; poruszenia te następują po sobie z taką szybkością, że nie używszy środka na odurzenie (opium), prawie niepodobna dojść właściwego jej kształtu. Jest ona płaska równie jak ciało, lecz górują nad nią dwa mięsiste, nader kurczliwe, stykające się z sobą płatki. W jakimkolwiek głowa ułożeniu zostaje, zawsze wewnątrz niej widać gruczoł (bulbe), który, gdyby kanał pokarmowy był widocznym, należałoby za gruczoł do trawienia uważać; jest on nieco przezroczystszy od otaczającej tkaniny, ma na sobie dwa rzędy haczyków, które, patrząc na głowę ze strony płaskiej, ponad sobą leżą. Gruczoł ten nagle się otwiera, głowa rozszerza się wpoprzek, i przybiera kształt młota jak u ryby zwanej kuszą; wtenczas haczyki, które się przedtém wewnątrz widzieć dawały, przechodzą na stronę zewnętrzną, i odtąd przypadają tam, gdzie u kuszy leżą oczy; haczyki stoją rzędami na końcu każdego przedłużenia. Pomiędzy blisko stu indywiduami, które autor badał, u kilku jedynie haczyki pokazały się na stronie zewnętrznej; stawało się to w ogólności wtenczas tylko, gdy zwierzę leżało na płaskim boku, a haczyki dawały się widzieć z przedłużeniem od przodu.

Haczyki usadzone są szeregiem, końcami naprzód albo nieco na zewnątrz zwrócone; autor liczył ich po każdej stronie 9; miały po większej części długość i kształt jednokowe. Ostatnie, przy podstawie cokolwiek szersze niżeli przy wierzchołku, zakrzywiały się nieco ku wewnątrz; w $\frac{2}{3}$ wysokości każdy haczyk ukazywał małe nabrzmienie; haczyki bardzo łatwo odłączały się od głowy. Wewnątrz głó-

wy, pod rzeczonym wyżej gruczolem, widać było cztery zwinęte sznurki, przez całą długość szyi aż do ostatnich ogniwek biegnące. U wielu tasiemcowatych znajdują się zupełnie te same sznurki; Blanchard nastrzykiwał je u niektórych. Część następująca po głowie sprawiedliwie zasługuje na nazwisko szyi, ponieważ równie z jednego jak i z drugiego końca ogranicza ją mocne przeciśnienie; jest ona podobnie jak głowa i kadłub płaska i z obudwu stron trzyma rzędami cierniów osadzona. U wszystkich innych robaków daremniebyśmy takiego uzbrojenia szukali. Ciernie te, mało między sobą odmienne, są jednakowej długości, proste, u podstawy kończące się trzema nabrzmiałościami, któremi na miękkich częściach zwierzęcia siedzą. W każdym rzędzie jest ich 12 do 13, tuż przy sobie leżące, nieraz nawet jeden po drugim poprowadzone, z zakrzywieniami zawsze w tył zwróconemi; i te ciernie łatwo się odrywają. Szyja jest tak długa jak i głowa, lecz nierównie węższa; gdy się wyciąga, ciernie oddalają się nieco od siebie.

Kadłub składa cała część ciała pod szyją leżąca: ukazuje na sobie płytko narysowane rowki poprzeczne, które się coraz wyraźniejszymi stają, a nakoniec przechodzą w tyleż ogniwek dobrowolnie odłączających się od siebie. Ogniwka te tworzą dojrzałe zwierzę, czyli ostatnie przerodzenie się jego: stają się one wolnemi oczkami, które już przed odłączeniem się, zupełny wzrost otrzymały. Cztery przez środek ciała biegnące sznurki, należą wspólnie do macierzyńskiego zwierzęcia, jako i do potomstwa jego. Organa płciowe, które są u ostatniego tylko, rozwijają się w każdym ogniwku osobno. Tworzenie się ogniwka odpowiada, według zdania autora, tworzeniu się oczka.

Ostatnią zmianę, *Proglottis*, stanowią wolne ogniwka, podobne robakom rozgniotkowatym (*Trematoda*); dojrzałe zwierzę może być przyrównane do chelbi, która wyszła z postaci stanowiącej to co nazwano *Strobila* (1). Zdaje

(1) Tak nazwał Sars pewną fazę w przemianach chelbi, biorąc zrazu ten kształt za osobny rodzaj zwierząt.

się że to uchodziło dotąd badaczów oka, że to doskonałe, od matki swojej odłączone zwierzę, dalej jeszcze rośnie i może przybrać znaczną objętość: autor widział indywidua, które były tak długie, jak wiele innych ogniw razem wziętych; z wielkością zmienia się zazwyczaj i kształt: płaska taśmowatość przechodzi w okrągłą rurę. Poruszenia zwierzęcia są zupełnie takie jak wyplawek; autor mniema, że to dotąd za robaka rozgniotkowego miano. Skóra pokrywająca organa rodne, nie przedstawia nic szczególnego: organa wewnętrzne ściągają się, jako w związku z nią zostające nie ma na ich powierzchni ani rzęs, ani fałdzistości; najwięcej jeżeli widać niejaki lekkie marszczki; wszędzie powierzchnia jest zamknięta, nawet aż do miejsca przeznaczonego na wysuwanie się organu, który dotychczas uważano za prącie. Nie ma nic coby odpowiadało pyszczkowi albo narzędziu oddychania.

Uważany dotąd za prącie (*lemniscus*, *cirrhula*, *penis*) organ, podług autora wcale inno ma przeznaczenie. Jest on odpowiedni ryjkom u gręza (*Tetrarhynchus*) i dany na to ażeby zachodził w śluzową błonę lub miękkie części na których zwierzę siedlisko ma swoje. Miejsce tego organu, podług rodzaju, rozmaicie się zmienia: u robaków leży na pośrodkowej linii, przy dolnej ciała połowie; można go już wtódy rozeznaczyć, gdy jeszcze pochwą jest odziany. Przysadka ta, jak u wszystkich tu należących zwierząt, przy podstawie jest grubsza i małemi wywyższeniami okryta. Całkowicie wysunięty organ ten jest prawie jak ciało długi, leży w zamkniętym dokoła pokrowcu, podobnym zupełnie do pochwy ryjka u *Tetrarhynchus* i zupełnie w ten sam rozsuwający się sposób. U podstawy tego pokrowca przyczępiony jest muskuł do wciągania, na całą przysadkę zachodzący.

Autor zgadza się z Sieboldem, że i u robaków wstęgowatych, równie jak u rozgniotkowatych i nitkowatych, znajduje się organ przeznaczony do kształcania zarodka, i inny do kształcania żółtka. Żółtek otula najprzód zarodkowy pęcherzyk. Organ kształcający zarodek leży z boku, pra-

wie wzdłuż całego ciała; jest on prawie kształtu wieńca: najlepiej wtedy go widać, gdy już ma zarody. Organ żółtka składa się z wielu okrągławych, częstokroć prawie przezroczystych przegród, które w środku ciała leżą. Autor nieraz uważał ukształcanie się jaj wewnątrz; sądzi on, że te pęcherze pękają, i że żółtkowe kule wylewają się w jamę ciała i tam otaczają zarodkowy pęcherzyk, gdy ten zetknął się już ze spermatozoami.

Przypatrując się z uwagą robakowi dorosłemu, spostrzedz można wewnątrz ciała organ wpadający w oczy swoim zamglonym kolorem. Za naciśnięciem zwierzęcia występuje on w kształcie długiego skręconego sznurka, podobnego jądrom owadów. Sznuerek ten czyli przewód, ma swoje własne ściany, i daje się całkiem rozkręcić. Autor nie wątpi że to jest organ kształcący nasienie; lecz że nie widzi w nim najmniejszego otworu na zewnątrz, przypuszcza więc rozlewanie się płynu wewnątrz ciała i stykanie się go tam z pęcherzykami zarodkowemi; tym sposobem zupełną obupłciowość zwierzęciu przyznaje. U rozmaitych innych robaków ma się znajdować otwór płciowy, którego tu niezawodnie nie ma. Jeżeli indywiduum naszego robaka jajami napełnione, pod mikroskop włożymy, ujrzymy jak się na nim skóra rozdziera, i przez te rozdarcia jaja wyptywają. Jaja są tylko $\frac{1}{10}$ milim. długie i odznaczają się przezroczystością która pozwala widzieć jak się w nich komórki tworzą.

Echinobothrium musiałby należóć do gatunków tasiomca kolcami opatrzonych, ale się nie da do żadnego z dotychczasowych rodzajów odnieść. Autor usiłując miejsce jego wskazać, zdumiał się nad wielkością zamieszania, jakie rodzaj *Bothriocephalus* u autorów przedstawia; mniema że dokładne obrobienie tego rodzaju jest koniecznie potrzebne. Pierwszą w ich klasyfikacyą cechę wprowadza obecność lub brak haczyka u głowy; dzieli potóm wstępowate na cierniogłowe (*Acanthocephala*), i bezcierniogłowe (*Anacanthocephala*). Pierwszy, nierównie liczniejszy oddział, tworzą dwie zupełnie naturalne familie, z których jedna przedstawia wieńiec z haczyków, otoczony czterema nader ścia-

galnemi bańkami (*ventouses*), druga zaś cztery nader ściągające płatki; familia pierwsza obejmuje soliterowate (*Taenioidae*); druga tasiemcowate (*Bothrioidae*). Bezierniogłowe zaś składają jedno tylko pokrewieństwo, w którym się wszystkie bezierniowe gatunki tasiemców mieszczą. Podług tej zasady, tak nakoniec to co dotąd jest znane, przedstawia:

Wstęgowe (*Cestoidae*).

Pierwszy oddział: kolcogłowe (*Acanthocephalae*).

Familia pierwsza: *Taenioidae*.

Rodzaj *Taenia*. *Taenia solium*

„ *Halysis* *H. genetae* Gerv.

„ *Trienophorus*. *T. nodosus*

Familia druga: *Bothrioidae*.

Rodzaj *Acanthobothrium* n. gen. . *Bothr. bifurcatus*

„ *Echinobothrium* n. gen. . . *E. typus*.

„ *Dibothriohynchus* *D. lepidopii*

„ *Tetrarhynchus* *Rhynchus corollatus*

Drugi oddział: bezkolcogłowe (*Anacanthocephalae*).

Familia pierwsza: *Bothriocephalidae*.

Rodzaj *Phyllobothrium* n. gen. . . *Bot. tumidulus*

— *flos*.

„ *Fimbriaria*. *Taenia malleus*

„ *Bothridium*. *B. megalcephalum*.

„ *Bothriocephalus* *B. latus*.

B. punctatus.

„ *Schistocephalus* *B. solidus*.

„ *Cryptocephalus* n. gen.

(*Fror. Nat.* 1849 n. 214 z *Bullet. de l'Acad. roy. de sc. de Belgique* n. 2.1849).

†† Przy końcu zeszłego roku dotkliwą stratę historya naturalna poniosła w zgonie dwóch mężów, którzy nieporównaną pracowitością swoją wiele się do jej postępu przyczyniali. W Berlinie umarł znany entomolog dr. *W. F. Erichson*, który założone tamże przez Wiegmanna pismo peryodyczne pod tyt. *Archiv für Naturgeschichte*, z wielką pilnością wydawał, rozjaśnił naukę entomologii kilku dziełami znacznego zakresu, a u najpóźniejszej potomości wdzięczność sobie zapewnił wydobyciem z mętu zamieszania rodzajów krótkopokrywych (*brachelytra*), jedynej grupy owadów chrząszczowatych, która gwałtownie wymagała krytycznego przerobienia. Tej mozolnej pracy, której wy-

padku wszyscy entomologowie długo i niecierpliwie oczekiwali, dokonał Erichson w dziele pod tyt. *Genera et species staphylinorum ins. coleopter. familiae*, part. I—II, w Berlinie wydanem.—W Norymberdze umarł (28 listop. z. r.) znany wszystkim naturalistom i pełen zasług w zakresie ich działań, *Jakób Sturm*, który przez ciąg 77letniego życia swojego, długi poczet dzieł literaturze zoologicznej i botanicznej przyniósł. Jako naturalista opisywał on bez z mordowania, a jako kunsztmistrz wizerunkował różne, najwięcej zaś nowo-poznawane, historyi naturalnej przedmioty: mianowicie rośliny we Florze, owady w Faunie niemieckiej, dwóch bardzo miłych i szacowanych dziełach. Młodzieniec, już w 1787 r. okazawszy uczonemu światu swój gust i talent, ciągle odtąd pracował: był pomocnikiem Panzera w jego Faunie owadów niemieckich, i nieustannie mnożąc dzieła własne, niósł chętną pomoc mnóstwu cudzych, a z tą ofiarą wszystkich sił swoich, od przedostatnich lat wieku jednego, zapęłzał w środkowe drugiego!

† D. 29 marca b. r. umarł w Wiedniu *Stefan Ładysław Endlicher*, głęboki filolog i razem botanik, którego imię, ze wszech względów doskonale dzieło pod tyt. *Genera plantarum*, przy opisie każdej rośliny z wdzięcznością powtórzyć nakazuje, a sławę autora w najpóźniejsze wieki przeniesie.

A. W.

Rejestr abecadłowy wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych, z r. 1849.

ASTRONOMIA I FIZYKA KULI ZIEMSKIEJ.

	Tom	str.
Gwiazdy zakrycie przez księżyc.	I,	193
Koło białe obwodzi słońce i księżyc	tamże	
Kometa Enkego w r. 1848.	I,	190
Komety nowe	III,	195
Księżyc obwodzi białe koło	I,	193
Księżycowo wulkany.	II,	392
Luneta wielka w Cambridge.	I,	408
Mikrometr oświecany stosem Wolty.	III,	196
<i>Nébuleuses</i>	tamże	
Obłoczek wielki w Oryonie	II,	391

	Tom, str.
Obłoczków spis na 1 styczn. 1850 r. p. Laugier III,	196
Planeta nowa	III, 194
Planety teleskopowe	I, 191
Słońce w jasnym kole	I, 193
Zjawiska w r. 1848 w Warszawie uważane ...	<i>tamże</i>
Zorza północna w Warszawie	I, 194

FIZYKA.

Akustyczne odkrycia	I, 632, 633, II, 650
Ciepłik i światło w ciałach rozgrzewanych do czerwonoci.	II, 648
Ciepło jako siła fizyczna	I, 200
Draper, doświadczenia z ciałami rozgrzewanemi do czerwonoci.	II, 648
Dróta platynowego ziębnienie w gazie wodorodnym.	I, 633
Dyamagnetyczne doświadczenia.	III, 409
Elektryczność jako siła fizyczna	I, 201
„ przyspiesza osady w cieczach	III, 410
„ zmniejsza płynność merk. i ruch jego masy.	IV, 628
„ zorzy północnej krąży po drótkach telegrafu.	IV, 627
Fale głosowe z ciała nagle poruszanego	II, 650
Galwanicznego świecenia przedłużenie.	II, 652
Grove, działanie sił fizycznych na siebie.	I, 195
„ ziębnienie dróta platynowego w wodoro- dym gazie	I, 633
Kryształ między biegunami magnesu.	IV, 197
Lampa elektryczna	II, 652
Magnesowanie żelaza zmienia w niem układ czą- stek, przeto temperaturę podwyższa	IV, 629
Magnetycznych zjawisk przyczyna.	IV, 195
Magnetyzm, jako siła fizyczna	I, 202
Optyczne postrzeżenia.	II, 651
Peytal, tłumaczenie trąby powietrznej	I, 411
Polaryz. światła na tafli zakoloryzow. bizmutem.	II, 651
„ światła odbitego od nieba	III, 411
Powinowactwo chemiczne, jako siła fizyczna ...	I, 202
Russell, postrzeżenie akustyczne	I, 633
Światło, jako siła fizyczna	I, 201
Szkoło kolorowe w lunecie przez mgły ukazuje.	II, 649
Trąby napowietrznej nowe tłumaczenie.	I, 411
Wertheim, odkrycie w akustyce	I, 632
Zegar lub kompas biegunowy.	III, 411

CHEMIA.

	Tom, str.
Ammonii ilość w powietrzu atmosferycznym	IV, 631
Atrament bezpieczeństwa	I, 634
Berberyn w korzeniu Columbo.	I, 415
Cukier w białku jaja	IV, 199
„ w miodzie	<i>tamże</i>
„ w moczu.	III, 198
„ w wątrobie	I, 204
Gaz niedokwasu 1 ^o saletrorodu, skroplony. I, 204, III, 197	
Gazy w wodzie studni artezyjskich	I, 415
Jodoform daje nowe istoty	I, 414
Koperwasu zielonego użytek.	II, 407
Kulowatość ciał	IV, 423
Kwas saletrowy 3ci bezwodny.	III, 198
„ w ostokrzewiu paragwajskim.	I, 415
Kwasu mlekowego nowa własność.	IV, 198
Miód ma 3 gatunki cukru	IV, 199
Mlekanów nowa własność.	IV, 198
Nawozy pod winorośl	I, 414
Niedokwas Iszy saletrorodu	I, 205, III, 197
Ogień niepalący.	IV, 423
Papier bezpieczeństwa.	I, 634, 643
Rozkład przez rozpaloną parę wodną.	II, 408
Szkła rozpuszczanie się w wodzie gorącej.	IV, 199
Wina reńskiego odkwaszenie	IV, 629
Winorośli uprawa	II, 653
Witryolu żelaznego użytek	II, 407
Ziemniaków choroba.	II, 407
Złoto z Kalifornii.	IV, 630
Żywica aldehydowa	IV, 199

HISTORIA NATURALNA.

Omalius d'Halloy, O geologicznych zmianach na okręgu ziemskim.	II, 195
Desor, O zależności pomiędzy zjawiskami narzuto- wych głązów w Europie północnej, a podniesie- niem się Skandynawii.	II, 201
Agassiz, Narzutowe zjawiska w Ameryce.	II, 206
Poranek w Australii.	III, 413

	Tom, str.
Erichson, zgon.....	IV, 637
<i>Fasciola hepatica</i>	II, 660
Fauna indyjskiego archipelagu.....	I, 657
<i>Furia infernalis</i>	I, 424
<i>Gasteropoda</i> , organizacya.....	II, 208
„ układ krążenia.....	II, 656
„ podział systematyczny.....	III, 637
Gąsienice muchowatych liść wydrążające.....	I, 424
„ „ pasorzytne.....	II, 425
„ „ wodne owadów.....	II, 430
Głowa zwierząt stawowatych.....	III, 206
<i>Gryllacris</i>	I, 657
<i>Gymnotus electricus</i>	III, 206
<i>Helix oblonga</i>	III, 634
Hermafrodytyzm motyla.....	III, 214
<i>Hyla viridis</i> , zmiany koloru.....	III, 202
<i>Hypochthon anguinus</i>	III, 204
Jad owadów.....	III, 212
Jaja moy.....	I, 210
„, nieżywych owadów wylęgają się.....	III, 214
„, owadów bez zapłodnienia.....	I, 421, II, 418
„, szkockiej pardwy.....	I, 650
Jaja wylęganie się.....	III 428, 430
Jaszczurek użycie w Ameryce.....	III, 422
Jeżowce.....	I, 432
Jutrzyzny dwutaśmowej trawienie.....	I, 651
Ikry zapładnianie sztuczne.....	III, 423
<i>Infusoria</i> , nowe badania.....	IV, 428, 430
Kajmana szczupakowatego krążenie.....	I, 650
Kaletnik wirgiński.....	I, 207
Kameleona zmiany koloru.....	III, 200
<i>Kellia rubra</i>	III, 644
Kolibrów obyczaje.....	I, 648
Kolibry chowane.....	I, 649
Koloru zmiany u kameleona.....	III, 200
„ „ u rzekotki pospolitej.....	III, 202
Komara przyrząd trawienia.....	I, 423
Kości kopalne w południowej Rosyi.....	I, 206
Koszenilli chów w Ameryce.....	III, 636
Koziorożca nowy gatunek.....	II, 408
<i>Limnadia</i> i <i>Daphnia</i> , krążenie.....	III, 431
<i>Linguatula Diesingii</i> , <i>proboscidea</i>	II, 663
Lis nadzwyczajnej wielkości.....	IV, 206

	Tmo, str.
Liszki processyonarne	II, 419
<i>Lucernaria</i>	I, 429
Łękotek stanowisko w układzie	III, 642
<i>Mabouya agilis</i> , sposób życia	IV, 207
Majówki anatom. i embryolog	I, 653
Małże wierzące skały i t. p.	II, 659
<i>Mantis</i>	II, 668
<i>Megalacris Brookeri</i>	I, 654
Menażeryjnych zwierząt obyczaje	I, 643
Miękliwych zwierząt krążenie krwi	I, 432
Moa, kości i jaja	I, 210
Mrówki w Afryce	I, 654
„ w Indyi	II, 417
Mszyce	I, 654
Mszyc rozmnażanie się	II, 413
„ wędrówki	II, 415
Mszywioty	II, 666
Much pasorczytnych gąsienice	II, 425
Myszy białych obyczaje	III, 415
<i>Nais</i> , anatomia i fizyolog	I, 425
<i>Naturforschender Verein zu Riga</i>	IV, 433
<i>Nicotohe</i> Audouin et Milne-Edwards	III, 427
Niedoperzów historia naturalna	IV, 200
Niedźwiadki w Indyach	II, 667
Nosorożca gatunki w Chinach	II, 208
„ „ kopalne	IV, 206
„ „ ze słońciem walka	III, 198
Ocieklek świerzbowy	I, 652
Oczy zwierząt stawowatych	I, 416, 419
Odmieniec węzowaty	III, 204
<i>Ornithorhynchus paradoxus</i>	I, 644
Ornitotychnity	I, 210
<i>Osmylus maculatus</i> , organ	III, 637
Owadów dwupłciowość	III, 214
„ III jadowite zakłócia	III, 212
„ III oddychanie	I, 652. II, 412
„ III różki	III, 206
Owady indyjskiego archipelagu	I, 658
„ zabija chloroform	II, 412
Pająków krwi krążenie	III, 209
„ rozdrzelowatych jajeczni.	III, 632
„ serce	III, 209
Pajęczyna jesienna w powietrzu	II, 411

	Tom, str.
<i>Pholas navalis</i>	I, 659
Pierścienice wodne	II, 655
Pijawka latająca	II, 667
„ lekarska	II, 655
Płaszczki (<i>Raia</i>)	I, 212
Położy	II, 410
Powietrzne worki u owadów	I, 652
<i>Proteus anguinus</i>	III, 204
Prządka towarzysz	II, 419, 424
Przeżuwających płód	I, 645
Psa domowego zmyślność	II, 206, 207
<i>Psocys quadripunctatus</i> , niesienie jaj	III, 213
Pszczoły posłannicze	II, 418
Ptaki wyginione	III, 420
Ptaków bojażń przed człowiekiem	I, 646
„ mechanizm lotu	I, 647 III, 418
„ śpiewających czas rozpoczynania śpiewu	III, 418
<i>Pycnogonides</i> , jajeczniki	III, 632
<i>Python bivittatus</i> , trawienie	I, 651
<i>Raia</i>	I, 212
„ nowy gatunek	IV, 209
<i>Revue et Magasin de Zoologie</i> p. Guérin	IV, 432
Robaków klasyfikacja	IV, 213
„ rozwijanie się	IV, 210
Ropuch użyteczność	II, 411
Rozgwiazdy	I, 429
Różki owadów	III, 206
Ryb ikry zapładnianie sztuczne	III, 423
Ryś w Alpach	I, 644
<i>Sarcptes scabiei</i>	I, 652
<i>Saxicava</i>	II, 659
<i>Scolopendra marsitans</i> , pokarm	III, 633
Serce pajaków	III, 209
Skrzela gąsienic wodnych	II, 430
Slimaki niektóre wydają tony	III, 644
Słończyki (<i>Actinophrys</i>)	I, 655
„ Stonia z nosorożcem walka	III, 198
„ zmyślności przykład	III, 417
Sów użyteczność	I, 647
<i>Spurbienen</i>	II, 418
Sturm Jakób, zgon	IV, 638
Swidraków rozwijanie się	II, 657, 659
Swietla (<i>Lucernaria</i>)	I, 429

	Tom,	str.
Szarańcza w okolicach Himalai.	II,	417
Szczupaka zmyślność.	III,	426
Szczura miłości macierzyńskiej przykład.	III,	207
Tasiemce (<i>Taenia</i>).. . . .	II,	662
<i>Teredo</i> rozwijanie się.	II,	657, 659
<i>Tetrahynchus</i>	IV,	210
<i>Tetrao scoticus</i> , jaja.	I,	650
<i>Torpedo</i>	I,	212
<i>Trochilus polythmus</i>	I,	648
Trylobitów organizacya.	II,	210
Tygrys na Sumatrze	III,	207
Ukwiały (<i>Actinia</i>).	I, 428. II,	211, 665
<i>Volvox globator</i>	II,	667
Wąż morski.	I,	661
Węże w Ameryce gorącej.	I,	651
„ w Nowej południowej Walii.	I,	211
Wizerunki w <i>Annales des sc. nat.</i>	I,	432
Wółkowate owady w zbiorach.	II,	213
Worki powietrzne u owadów.	II,	412
Wrytnice (<i>Nais</i>) anat. i fizyol.	I,	425
Wrzęchy.	II,	663
Wymoczków czułość na światło.	IV,	431
„ dalsze poznawanie.	IV,	428, 430
„ rozwijanie się.	I,	656
Zasada do oceniania owadów w zbiorach	II,	213
Zwierząt bezkręgowych układ nerwowy	III,	427
„ „ oddychanie	III,	631
„ miękkliwych ślimakowatych organizacya.	II,	208
„ przeżuwających płód	I,	645
„ stawowatych głowa	III,	206
„ w menażeryach obyczaje	I,	643
„ znajomych liczba	III,	413
Zwierzęta morskie archipelagu indyjskiego.	I,	659
„ rosyjskie	III,	414
Zwierzokrzewy.	I,	655
Żaby skielet	I,	212

Warszawa 1880. Druk A. Engelke. Str. 50. Xp. 2.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1848.

WILNO.

113. *Rituale Sacramentorum, ac aliarum Ecclesiae Romano-Catholicae ceremoniarum. Ex rituali Synodi Provincialis Petricoviensis depromptum...* Vilnae. 12mo. 1848. Typis J. Zawadzki. Str. 408.

114. Złoty Oltarzyk, czyli krótkie zebranie różnego Nabożeństwa, z dodatkiem modlitw i pieśni, używanych w Rzymsko-Katolickim kościele; tudzież, objaśnień wyrazów w Godzinkach o niepokalanem poczęciu N. Maryi Panny, i w Litanii Loretańskiej. Wilno, nakładem Rubena Rafałowicza, księgarza wileńskiego, w drukarni M. Zymelowicza Typografa, 1848, str. 610, w 16ce.

115. *Senas Auksa Altorius Arba Surinkymas Iwaria, Maldun Ir. Giesmuin. Wilniuje, Kasztu yr Spektuwuy A. Dworczius yr Romma*, 1848, str. 526, w 16ce.

KIJÓW.

116. *Złamana topola*, Komedia przez A. B. Kijów. 8ka. 1848. W drukarni uniwersytetu S. Włodzimierza. Str. 85.

ŻYTOMIĘRZ.

117. *Kalendarz gospodarski, na rok 1849, przez xięży Karmelitów, klasztoru Berdyczewskiego wydany*. Żytomięrz. 4ka, 1848 W drukarni Rządu gubernialnego. Kart 16.

PETERSBURG.

118. *List pasterski Kazimierza Dmochowskiego, z Bożej i Apostolskiej łaski, Arcybiskupa i Metropolity rzymsko-katolickich kościołów w Imperyum Rossyjskiem, do duchowieństwa i wiernych Chrystusowych, rzymsko-katolickiej Archidiecezyi Mohilewskiej*, Petersburg. 1848. 8ka. Druk G. Fiszera. Str. 49.

1849.

WARSZAWA.

66. *Artykuły literackie, krytyczne, artystyczne M(ichała) Gr(a-bowskie)go. (Dalszy ciąg Literatury, Krytyki, Korrespondency i t. d.)* 12ka. Warszawa. 1849. Nakład i druk S. Orgelbranda. Str. XI. i 330. Rejestru karta 1. Złp. 12.

68. *Sposób leczenia cholery za pomocą zimnej wody, szczęśliwym skutkiem uwieńczony. Przez Józefa Gołuchowskiego*. 12ka. Warszawa. 1849. Druk J. Ungra. Str. 50. Złp. 2.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Dla *Album Wileńskiego*, Antoni Oleszczyński wykonał dwa sztychy. Jeden wyobraża Najświętszą Pannę Ostrobramską, (pod spodem jest mały, bardzo delikatnie rytowany widok ulicy Ostrobramskiej); drugi, oltarz i grób ś. Kazimierza. Jak zwykle, artystyczna wartość tych sztychów jest znakomitą.

Alexander Groza, jeden ze znakomitszych naszych poetów, wydaje obecnie poezye swoje (jużto w trzeciem wydaniu), we 3ch tomach.

Zawierać będą: Tom I. Dwa oddziały różnych poezyi. *Legenda: Halina. Wacław i Helena. Książnin. Mogiły.* Tom II. Powieści ludowe: „O duszach umartych”, powieść ukraińska. „*Martyn*”, powieść ukraińska. „*Głuche Jezioro*”, powieść białoruska. „*Maryna*”, powieść białoruska. „*Jastrzębiec*”, powieść polska. *Dumy ukraińskie: „Piérwsza pokuta Żeleźniaka, i Soroka*”. *Janko ślepy* (duma serbska). Tom III. „*Korynna*” improwizacya. „*Trzy palmy*”, improwizacya. „*Starosta Kaniowski*” (znana z dwóch wydań poprzednich) powieść, której część druga przy końcu poprawiona, a trzecia w większej połowie na nowo napisana.

Jeden z młodych pisarzy warszawskich, badaniom historycznym szczęśliwie poświęcający się, pracuje obecnie nad rozprawą, w której stara się dowieść, wbrew domysłom uczonego Vossberga: iż herbem pierwiastkowym miasta Warszawy była, jak dotąd, syrena; nigdy zaś rycerz z tarczą lub gryf, któryby, jak poczwarka w motyla, w syrenę następnie przemienił się; o czém silnie przekonany p. Alex. Weinert, w swoich *Starożytnościach Warszawskich*, rozwoził się obszernie. Zajmujące badania w wyżej wymienionej rozprawie, licznemi a niezbitemi dowodami poparte, mają sprawę tę ostatecznie rozstrzygnąć.

Smutną odebraliśmy wiadomość, że p. A. Czajkowski znany z talentu poetyckiego, professor historii w akademii petersburskiej, współpracownik Biblioteki Warszawskiej, dotknęty jest ciężką chorobą.

Z Krakowa.... Lekcyje w uniwersytecie zaledwie się teraz rozpoczęły. Purkinie przeniósł się do Pragi, gdzie go zawezwano. I u nas przemyślwiąją o powiększeniu katedr, a mianowicie: Anatomii Patologicznej, Zoologii i Chemii. Do dwóch ostatnich nie wiadomo, kto będzie wybrany. Właśnie przyszło wezwanie Wincentego Pola na profesora geografii fizycznej; niemalo się z tego ucieszono. Zygmunt Helcel z dniem 12 listopada już zaczął swój wykład z ogólnem zadowoleniem. Od przyszłego roku mają

być kolegia płatne, tak jak w Niemczech, a przytém prywatdoci będą mieli wolność uczenia. Niedawno wyszła w nowém wydaniu: „Grammatyka polska” Muczковского, przepisana została u nas dla szkół.

UWIADOMIENIE OD REDAKCYI.

Biblioteka Warszawska wychodzić będzie na rok następny 1850. Czyniąc zadosyć licznie objawionym życzeniom, redakcyja Biblioteki zamierzyła urozmaicić treść swojego pisma, dając w niem miejsce, obok dotychczasowych oddziałów, przekładom najlepszych nowoczesnych powieści i podróży, zagranicznych autorów.

Równocześnie zarządzone zostały takie zmiany w sposobie wydawania pisma, co do papieru i druku, że nadal Biblioteka przeszła o połowę tyle tekstu, co dotąd, zamieszczać będzie; co ją postawi w możności pozostania na przyszłość chętnym organem wszystkich naukowych i literackich dążeń.

Rozszerzając zakres swego pisma, redakcyja Biblioteki starała się o wzmocnienie liczby i usilności swoich współpracowników; i ma nadzieję, że czytająca publiczność usiłowania jęj oceni.

Cena Biblioteki pozostaje ta sama, jak dotąd; t. j. złp. 60 rocznie w granicach Królestwa, w Galicyi Ces. Austr., gdzie także można prenumerować na wszystkich Urzędach Pocztowych, z małym podwyższeniem ceny, a w Cesarstwie Rossyjskiem złotych 80 (rub. sr. 12).

Komplet Biblioteki Warszawskiej z każdego roku, złożony z dwunastu poszytów, czyli czterech tomów, kosztuje złotych 60. Cały komplet z lat dziewięciu, złożony z 108 poszytów, czyli tomów 36, nabyć można za złotych 540.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej



Miejsce doświadczeń wzniesione jest 373 stóp parzystych nad poziom morza.
 Czyni w roku 1841 25, 2 na wschód
 Działanie w Obserwatorium
 październik 1849.

Czas godziny minuty sekundy 100 1000 10000	TERMOMETR stopniowy				BAROMETR w milimetrach słupkowych φ 00				Dzielniki Przewidy
	10	4	0	10	10	1	0	8	
0.00	+ 13.00				741.12				130.118
0.05					740.97				130.117
0.10					741.14				130.116
0.15					742.78				130.115
0.20					741.98				130.114
0.25					740.07				130.113
0.30					740.07				130.112
0.35					740.10				130.111
0.40					740.48				130.110
0.45					740.74				130.109
0.50					741.00				130.108
0.55					741.17				130.107
1.00					741.18				130.106
1.05					741.18				130.105
1.10					741.18				130.104
1.15					741.18				130.103
1.20					741.18				130.102
1.25					741.18				130.101
1.30					741.18				130.100
1.35					741.18				130.099
1.40					741.18				130.098
1.45					741.18				130.097
1.50					741.18				130.096
1.55					741.18				130.095
2.00					741.18				130.094
2.05					741.18				130.093
2.10					741.18				130.092
2.15					741.18				130.091
2.20					741.18				130.090
2.25					741.18				130.089
2.30					741.18				130.088
2.35					741.18				130.087
2.40					741.18				130.086
2.45					741.18				130.085
2.50					741.18				130.084
2.55					741.18				130.083
3.00					741.18				130.082
3.05					741.18				130.081
3.10					741.18				130.080
3.15					741.18				130.079
3.20					741.18				130.078
3.25					741.18				130.077
3.30					741.18				130.076
3.35					741.18				130.075
3.40					741.18				130.074
3.45					741.18				130.073
3.50					741.18				130.072
3.55					741.18				130.071
4.00					741.18				130.070

DOSTRZEZENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatorium Astronomiczném

WARSZAWSKIEM.

Październik 1849.

	mm.	o.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	750.620	27	8.747
Najwyżej dochodził — d. 19 o g. 10 r.	766.44	28	3.760
Najniżej — — d. 9 o g. 6 r.	734.49	27	1.560
Średnia zmiana dzienna barometru	4.57		2.03
Największa zmiana dzienna barometru d. 13—14 o g. 4 w.	10.67		7.89
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 23 lat poprzedzających	0.257		0.111
Średnia temperatura Październ. wynosi: +	79.26	C.	+ 5 ^o .81 R.
i ta jest niższą o	0.90	"	0.72 "
od stanu normalnego z 23 lat poprzedzających	+ 8.16	"	+ 6.53 "
Największa temperatura dojdzie d. 4 o g. 4 w.	+ 21.2	"	+ 17.0 "
Najmniejsze d. 16 o g. 6 r.	- 3.4	"	- 2.7 "
(Termometrograf wskazał: Maximum: + 18.0° R. d. 4 wieczór. Minimum: — 3.0° R. d. 16 z rana.			
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.60	"	2.08 "
Największa zmiana dzienna d. 3—4 o g. 4 w.	10.4	"	8.3 "

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 88,2 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 7,38 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza.

Wody z deszczu spadło wysoko na 79.5 millim, czyli 35.24 linii paryz., to jest o 13,82 lin. par. więcej od ilości wody, jaka zwykle u nas w tym miesiącu spada.

Dni pogodnych było 1; napót pogodnych 12; pochmurnych 18, deszczu 16 (d. 1, 2, 3, 5, 8, 9, 11, 12, 13, 16, 17, 18, 22, 23, 28, 31).

— gradu 1 (d. 11.)

— sniegu 1 (d. 14.)

— mgły 6 (d. 17, 18, 19, 22, 27, 31).

Wichrów nie było.

Wiatr panujący: Zachodni; częste były także Południowe.

Październik r. b. był słotny, wilgotny, mglisty, niepogodny przeszło o pół stopnia zimniejszy jak zwykle. Pierwsze dziesięć dni były ciepłe; dzień 4 był tak gorący jak w środku lata, termometr dnia tego po południu wskazywał 18 stop. ciepła. Środek miesiąca był znacznie chłodny, zień 15 rano i wieczór był mroźny, deszcze padały często i obficie; wody z deszczu spadło blisko dwa razy więcej jak zwykle. Przez całą noc z dnia 11 na 12 deszcz obfity padał, toż samo i przez dzień cały 13. Najcieplejsze dni były: d. 1, 4, 5, 8, 25; 26, osobliwie d. 4 i 5; najchłodniejsze d. 14, 15, 16, 17.

D. 6 z rana pokazały się słońca boczne.

D. 23 wieczór koło białe otaczało księżyc.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE CZWARTYM

Z R. 1849.

Filozofia.

- Wyjątek z filozofii umniczej, przez *K. L.*..... 221 Stron.

Materyały historyczne.

- O przywileju założenia Warszawy, przez *Alexan. Wejnerta.* 163
Spominki historyczne i artystyczne, przez *Ed. bar. Rastawieckiego*..... 403, 607
Wiadomości historyczno-numizmatyczne o koronacji obrazów Matki Boskiej w dawnej Polsce; podał *Tymoteusz Lipiński.* (Z 4 tablicami na miedzi)..... 441
Zofia Zarebianka, czyli wyrok na karę śmierci r. 1776 nieślusnie zapadły, z przyczyny użycia tortur; przez *Ferdynanda Biesiekierskiego*..... 572

Biografia.

- Krótki rys życia i prac *J. J. Berzeliusa* (z francuzkiego).... 66
Wspomnienie Szopena, przez *Józefa Sikorskiego.* (Z wizerunkiem)..... 510

Nauki społeczne.

- O handlu soli, przez *S.*..... 166
Szczegóły statystyczne, dotyczące Wielkiej Brytanii, przez *Piotra Steinkellera*..... 303

Wiadomość o nowych ważniejszych postanowieniach w prawodawstwie kryminalném, p. <i>K. B.</i>	191
O wspólnie handlowej prostej (<i>Association en participation</i>), przez <i>A. Heylmana</i>	269
O pożyczce na procent u Rzymian, przez <i>Z.</i>	562

Opisy i podróże.

Podhale i północna pochyłość Tatrów, czyli Tatry polskie, przez <i>Ludwika Zejsznera</i> (ciąg dalszy).....	1
O korsarzach archipelagu Wschodniego.....	477

Literatura.

Pieśni ludu weselne, przez <i>Oskara Kolberga</i>	383
Krótką wiadomość o drukowanych przekładach całej biblii na różne dyalekta słowiańskie, przez <i>Andrzeja Kucharskiego</i>	409

Poezye.

Na śmierć Szopena, przez <i>Seweryna Kaplińskiego</i>	560
Cisza, przez <i>Zenona Fisch</i>	561

Dramat.

Autorka, dramat we czterech aktach, przez <i>Józefa Korzeniowskiego</i>	90
---	----

Powieści.

Wygnanowice, powiastka historyczna, przez <i>A. Wieniarzkiego</i>	150
Gabryela, powiastka przez <i>Paulinę z L. Wilkońską</i>	340

Sztuki piękne.

O architekturze gotyckiej pod względem historycznym i estetycznym, przez <i>Juliana Ankiewicza</i>	39
O cynkografii i drukach anastatycznych, z powodu doświadczeń p. Seweryna Oleszczyńskiego i listu tegoż, w <i>Bibl. Warsz.</i> na miesiąc wrzesień, na str. 623 umieszczonego, przez <i>F. Max. Sobieszczańskiego</i>	179
Kilka słów do Wspomnień koncertowych p. <i>Sikorskiego</i> , z d. 3 maja 1849 r., przez <i>K. Ładę</i>	413
Jeszcze słówko o przettaczaniu starych druków, czyli o drukach anastatycznych. Przez <i>B. Podczaszyńskiego</i> ...	605

Rozbiory.

Stron.

Opis Królestwa Polskiego pod względem historycznym, statystycznym, rolniczym, fabrycznym, handlowym, zwyczajowym i obyczajowym, przez Józefa M. Wiślickiego. Warsz. 1850. Przez Wł..... 580

Monastyr Skit w Maniawie, przez D. J. Wagilewicza. Lwów, 1848. Przez St. Lisowskiego..... 585

Światło i Cienie, powieść nieboszczyka Pantofla, wydana przez Eleonorę Szyrmer. 2 tomy. Petersburg. 1848. Przez J. R. Szymańskiego..... 590

Język polski.

Uwagi fizjologiczne nad abecadłem polskim, przez Dra Ludwika Natansona..... 138

Nauki przyrodzone.

Użyteczność istot, mianych zwykle za szkodliwe, p. W. P. 621

Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych:

Fizyka, przez S. P..... 195, 627

Chemia, przez J. B..... 198, 423, 629

Historja naturalna. Zoologia, przez A. W.... 200, 428, 632

Rejestr abecadłowy Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych, z r. 1849..... 638

Tabella ruchu wiosennego i jesiennego ptaków w r. 1848, uważanego w Bychawce, przez W. Taczanowskiego.. 653

Korrespondencya.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej, od Józefowicza..... 623

Kronika bibliograficzna..... 215, 434, 646

Doniesienia literackie..... 215, 435, 647

Uwiedomienie od redakcyi..... 648

Wiadomości literackie i artystyczne, przez F. M. Sobieszczańskiego i przez β..... 187, 418, 612

Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum

astronomicznem warszawskiem:

za miesiąc sierpień b. r..... 217

— — wrzesień b. r..... 437

— — październik b. r..... 649

~~1850~~

210
212
214

Sprostowania w wiadomościach z zoologii.

1848.

Tom IV.

Stron.	wiersz.	zamiast:	czytaj:
202	24	szyszkowatego	szyszkowego
206	20	powietrznego	powietrznego
212	23	rendues	rendus
444	12	<i>Pactunculus</i>	<i>Pectunculus</i>
446	16	iwwoly wania	i wywoływania
457	12 od dołu	włóknista	[włóknista
458	18	<i>Cheotopoda</i>	<i>Chaetopoda</i>
688	5	szczątków	miejsca rozbicia się
—	7 od dołu	<i>Tricodina</i>	<i>Trichodina</i>

1849.

Tom I.

421	21	znak * niepotrzebny	
423	1	<i>Calex</i>	<i>Culex</i>
429	2	długim	obszernym
649	7	odlatywał	odlatywały
656	3	nabrzmiwiają	wzdymają się
659	15	się wykreslić	

Tom II.

201	16)		Desor
206	10)	Desox	Desor
205	12	<i>Bosurus</i>	<i>Bos urus</i>
211	8	jeśli, je mają	jeśli je mają
416	12 od dołu	szyszkowatych	szyszkowych
418	7 od dołu	osiadała	osiadała
422	8 od dołu	zdarte	starte
426	9 od dołu	oddychalnego liszki i oddychanie	oddechowego liszki i oddychanie
655	14 od dołu	Otto	Oskar
657	4	niejednak ową	niejednakową

Tom III.

211	4 od dołu	kralów	krabów
426	13	i ryby	i ryby się

Tom IV.

210	2 od dołu	pęcherkowatym	wstęgowatym albo taśmowatym
213	4	pow okę	powłokę
214	1	pęcherzykowate	wstęgowate

TABELLA

ruchu wiosennego ptactwa w roku 1848 uważanego w Bychawce, położonej pod 51° 3' szerokości geograficznej i 40° 12' długości, przez W. Taczanowskiego.

Bychawka, Wiosna 1847.

Nazwiska ptaków	PRZYLATUJĄCE NA LATO	PRZELATUJĄCE DWA RAZY W ROKU		PRZYLATUJĄCE NA ZIMĘ	PRZYPADKOWE	U W A G I
	Pierwszy raz widziane	Pierwszy raz widziane	Ostatni raz widziane	Ostatni raz widziane	Widziane	
<i>Falco subbuteo</i> , Sokół kobuz	30 marca					
<i>Falco aesalon</i> , Sokół drzemlik	6 kwietnia					
<i>Falco tinnunculus</i> , Sokół pustulka	2 marca					
<i>Falco tinnunculoides</i> , Sokół pustuleczka	8 marca					
<i>Falco naevius</i> , Sokół orzeł krzykliwy	18 kwietnia					
<i>Falco fulvus</i> , Sokół orzeł przedni	"			26 marca		
<i>Falco haliaetus</i> , Sokół orzeł rybołów	6 kwietnia					
<i>Falco lagopus</i> , Sokół kobuz włochaty	"			5 marca		
<i>Falco apicorvus</i> , Sokół kobuz pszczołojad	7 kwietnia					
<i>Falco brachyactylus</i> , Sokół orzeł krótkoszpón	23 marca					
<i>Falco tinnunculus</i> , Sokół kania	23 lutego			"		
<i>Falco ater</i> , Sokół kania czarna	20 marca			"		
<i>Falco cyaneus</i> , Sokół błotniak zbożowy	26 marca			"		
<i>Falco rufus</i> , Sokół błotniak błotny	27 marca			"		
<i>Corvus monedula</i> , Kruk kawka	"			20 marca		
<i>Corvus frugilegus</i> , Kruk gawron	"			25 marca		
<i>Sturnus vulgaris</i> , Szpak skorzec	28 lutego			"		Kuropatwy na parach. — Młode szpaki w stada zbierać się zaczęły 28 maja.
<i>Bombicilla garrula</i> , Jemiołucha jedwabniczka	"			2 marca		
<i>Oriolus galbula</i> , Wilga żółta	3 maja			"		
<i>Coccyzus garrulus</i> , Kraska gwarliwa	3 maja			"		
<i>Turdus merula</i> , Drozd kos	27 lutego			"		
<i>Turdus musicus</i> , Drozd lepak	29 lutego			"		
<i>Turdus iliacus</i> , Drozd zawojec	"	2 marca	2 kwietnia	"		
<i>Lanius excubitor</i> , Dzierzbę srokosz	"	"	"	3 marca		
<i>Lanius minor</i> , Dzierzbę czarnoczelna	25 kwietnia			"		
<i>Lanius rufus</i> , Dzierzbę rudogłowa	8 maja			"		
<i>Lanius collurio</i> , Dzierzbę ciemnokręć	5 maja			"		
<i>Muscicapa luctuosa</i> , Mucholówka żalobna	21 kwietnia			"		
<i>Muscicapa grisola</i> , Mucholówka szara	29 kwietnia			"		
<i>Sylvia turdoides</i> , Gajówka drozdówka	20 kwietnia			"		
<i>Sylvia arundinacea</i> , Gajówka trzcionka	22 kwietnia			"		
<i>Sylvia phragmitis</i> , Gajówka rokitniczka	1 maja			"		
<i>Sylvia rubecula</i> , Gajówka rudzik	12 marca			"		
<i>Sylvia phoenicurus</i> , Gajówka pleszka	8 kwietnia			"		
<i>Sylvia suecica</i> , Gajówka modra	6 kwietnia			"		
<i>Sylvia luscinia</i> , Gajówka słowik	18 kwietnia			"		
<i>Sylvia cinerea</i> , Gajówka popielata	23 kwietnia			"		
<i>Sylvia curruca</i> , Gajówka piegią	20 kwietnia			"		
<i>Sylvia hortensis</i> , Gajówka ogrodowa	27 kwietnia			"		
<i>Sylvia atricapilla</i> , Gajówka czarnoblista	26 kwietnia			"		
<i>Sylvia nisoria</i> , Gajówka jarzębata	2 maja			"		
<i>Sylvia trochilus</i> , Gajówka pierwiosnka	23 marca			"		
<i>Sylvia sibilatrix</i> , Gajówka świstunka	11 kwietnia			"		
<i>Sylvia hypoleuca</i> , Gajówka szczebiotliwa	30 kwietnia			"		
<i>Saxicola oenanthe</i> , Opocznik białorzutka	2 kwietnia			"		
<i>Saxicola rubetra</i> , Opocznik białobrzwy	10 kwietnia			"		
<i>Accentor modularis</i> , Płochacz pokrzywnica	30 marca			"		
<i>Motacilla alba</i> , Pliszka siwa	13 marca			"		
<i>Motacilla flava</i> , Pliszka żółta	13 kwietnia			"		
<i>Anthus pratensis</i> , Świergotek łączny	4 marca			"		
<i>Anthus arboreus</i> , Świergotek drzewny	11 kwietnia			"		
<i>Alauda arvensis</i> , Skowronek rolnik	14 lutego			"		
<i>Alauda arborea</i> , Skowronek leśny	2 marca			"		
<i>Emberiza hortulana</i> , Poświerka śnieguła	"			10 lutego		
<i>Emberiza schoeniclus</i> , Poświerka potrzosa	23 lutego			"		
<i>Pipra erythrogastra</i> , Gil właściwy	"			23 marca		
<i>Fringilla coelebs</i> , Łuszczyk zięba	1 marca			"		
<i>Fringilla linaria</i> , Łuszczyk czeczotka	"			20 marca		
<i>Cuculus canorus</i> , Kukulka pospolita	12 kwietnia			"		
<i>Lunx torquilla</i> , Krętogłów pospolity	16 kwietnia			"		
<i>Upupa epops</i> , Dudek właściwy	8 kwietnia			"		
<i>Hirundo rustica</i> , Jaskółka dymówka	13 kwietnia			"		
<i>Hirundo urbana</i> , Jaskółka oknówka	20 kwietnia			"		
<i>Hirundo riparia</i> , Jaskółka grzebiółka	26 kwietnia			"		
<i>Cypselus apus</i> , Jerzyk murzynek	14 maja			"		
<i>Caprimulgus europaeus</i> , Kozodój lelek	5 kwietnia			"		
<i>Columba oenas</i> , Gołąb siniak	21 lutego			"		
<i>Columba palumbus</i> , Gołąb grzywacz	15 marca			"		
<i>Columba turtur</i> , Gołąb turkawka	11 kwietnia			"		
<i>Perdix coturnix</i> , Kuropatwa przepiórka	28 kwietnia			"		
<i>Charadrius minor</i> , Dziźownik mały	2 kwietnia			"		
<i>Vanellus cristatus</i> , Czajka czubata	26 lutego			"		
<i>Totanus ochropus</i> , Brodziec samotnik	29 marca			"		
<i>Totanus glareola</i> , Brodziec leśny	28 marca			"		
<i>Totanus hypoleucos</i> , Brodziec piskliwy	2 kwietnia			"		
<i>Totanus fuscus</i> , Brodziec szary	4 kwietnia			"		
<i>Numenius arcuatus</i> , Kulig kulon	30 marca			"		
<i>Scolopax rusticola</i> , Bekas słomka	27 lutego			"		
<i>Scolopax major</i> , Bekas dubelt	9 marca			"		
<i>Scolopax gallinago</i> , Bekas kszyc	1 marca			"		
<i>Scolopax gallinula</i> , Bekas mały	"	3 marca		"		
<i>Ciconia alba</i> , Bocian biały	16 marca			"		
<i>Grus cinerea</i> , Łóraw właściwy	1 marca			"		
<i>Ardea cinerea</i> , Czapla siwa	23 marca			"		
<i>Ardea stellaris</i> , Czapla bąk	25 marca			"		
<i>Crex pratensis</i> , Chróściel derkacz	1 maja			"		
<i>Gallinula porzana</i> , Kurka średnia	4 marca			"		
<i>Gallinula chloropus</i> , Kurka zielononoga	10 kwietnia			"		
<i>Fulica atra</i> , Łyska właściwa	5 kwietnia			"		
<i>Podiceps cristatus</i> , Perkoz koza	3 kwietnia			"		
<i>Sterna</i> , Rybołówka	25 kwietnia			"		
<i>Larus canus</i> , Mewa siwa	"			"		
<i>Anas crecca</i> , Kaczka cyraneczka	3 marca			2 maja		
<i>Anas querquedula</i> , Kaczka cyranka	17 marca			"		
<i>Anas clangula</i> , Kaczka gągoł	"			24 marca		
<i>Anas penelope</i> , Kaczka gwizdząca	9 marca			"		
<i>Anas platyrhynchos</i> , Kaczka czubata	2 kwietnia			"		
<i>Anser segetum</i> , Gęś zbożowa	"	28 lutego	15 kwietnia	"		
<i>Anser rusticolis</i> , Gęś rudozyja	"	"	"	"		
<i>Mergus merganser</i> , Tracz nurogęś	"	"	"	22 marca		
<i>Mergus serrator</i> , Tracz długodziób	"	"	"	28 lutego		
<i>Mergus albellus</i> , Tracz bielaczek	"	"	"	2 marca		

Uwaga. Ptactwa zimowego w ogólności więcej było aniżeli w roku przeszłym, i pomimo bardzo wczesnej dłużej bawiły. Wodnych tylko ptaków mniej przyleciało z jesieni; dopiero przy końcu stycznia, gdy mrozy raptownie chwyciły, trzców na niezamarzające rzeczki znaczna ilość przybyła. Kaczki krzyżówek mniej daleko aniżeli przeszłej zimy zimowały. Ruch wiosenny bardzo wczesnie się zaczął, skowronki o 10 dni właściwy swój termin przylotu poprzedziły; późniejsze ptaki tak się opóźniły dla zimna, więcej; więcej ich na łag pozostało, nietylko jednak co w obfite na nie lata. Ptactwa błotnego też samo cokolwiek więcej; w obiorze miejsc łagowych, niektóre zmiany zaszyły, gdyż np. czajki z powodu wyschnięcia tej wiosny niektórych błot, poprzemnosily się na inne, gdzie już od kilku lat się nie gnieździły. Kuropatw z jesieni dosyć pozostało; zima bardzo lekka, była dla nich przyjemna, dlatego też bardzo małe straty poniosły; spodziewać się należy, że tej jesieni będą obfite. Chrabąszczy (*Melolontha vulgaris*) tak było mało, że za nie prawie uważać można.

TABELLA

ruchu wiosennego ptactwa w roku 1848 uważanego w Bychawce, położonej pod 51° 3' szerokości geograficznej i 40° 12' długości, przez W. Taczanowskiego.

Bychawka, Jesień 1848.

Nazwiska ptaków	PRZYLATUJĄCE NA LATO	PRZELATUJĄCE DWA RAZY W ROKU		PRZYLATUJĄCE NA ZIMĘ	PRZYPADKOWE	U W A G I
	Pierwszy raz widziane	Pierwszy raz widziane	Ostatni raz widziane	Ostatni raz widziane	Widziane	
		d	n	a		
<i>Falco subbuteo</i> , Sokół kobuz	21 października					
<i>Falco aesalon</i> , Sokół drzemlik	1 grudnia					
<i>Falco rustres</i> , Sokół kobusik	25 października					
<i>Falco tinnunculus</i> , Sokół pustulka	23 października					
<i>Falco fulvus</i> , Sokół orzeł przedni				2 listopada		
<i>Falco naevius</i> , Sokół orzeł krzykliwy	1 października					
<i>Falco haliaeetus</i> , Sokół orzeł rybołów	15 października					
<i>Falco milvus</i> , Sokół kania	6 października					
<i>Falco ater</i> , Sokół kania czarna	22 sierpnia					
<i>Falco lagopus</i> , Sokół kobuz włochaty				21 paździer.		
<i>Falco apivorus</i> , Sokół kobuz pszczołojad	10 września					
<i>Falco rufus</i> , Sokół błotniak błotny	4 października					
<i>Falco cyaneus</i> , Sokół błotniak zbożowy	8 listopada					
<i>Strix brachyotus</i> , Sowa pułacz błotny	6 grudnia					
<i>Corvus frugilegus</i> , Kruk gawron				11 paździer.		
<i>Corvus monedula</i> , Kruk kawka				8 września		
<i>Coracias garrula</i> , Kraska gwarliwa	20 września					
<i>Oriolus galbula</i> , Wilga żółta	20 sierpnia					
<i>Sturnus varius</i> , Szpak skorzec	20 października					
<i>Turdus musicus</i> , Drozd śpiewak	6 listopada					
<i>Turdus iliacus</i> , Drozd rdzawoboczny		14 września	5 listopada			
<i>Turdus merula</i> , Drozd kos	10 listopada					
<i>Lanius excubitor</i> , Dzierzbak srokos				31 sierpnia		
<i>Lanius minor</i> , Dzierzbak czarnoczelna	18 sierpnia					
<i>Lanius rufus</i> , Dzierzbak rudogłowa	21 sierpnia					
<i>Lanius collurio</i> , Dzierzbak cierniokręty	25 września					
<i>Sylvia turdoides</i> , Gajówka drożdżowa	11 września					
<i>Sylvia arundinacea</i> , Gajówka trzcionka	30 września					
<i>Sylvia phragmitis</i> , Gajówka łożówka	9 października					
<i>Sylvia luscinia</i> , Gajówka słowik	28 sierpnia					
<i>Sylvia nisoria</i> , Gajówka jarzębata	1 września					
<i>Sylvia suecica</i> , Gajówka modra	5 września					
<i>Sylvia cinerea</i> , Gajówka popielata	15 września					
<i>Sylvia curruca</i> , Gajówka piegża	21 września					
<i>Sylvia hortensis</i> , Gajówka ogrodowa	26 września					
<i>Sylvia atricapilla</i> , Gajówka czarnobista	22 września					
<i>Sylvia phoenicurus</i> , Gajówka pleszka	11 października					
<i>Sylvia rubecula</i> , Gajówka rudzik	22 października					
<i>Sylvia sibilatrix</i> , Gajówka świstunka	30 sierpnia					
<i>Sylvia hypoleuca</i> , Gajówka szczebiotliwa	19 września					
<i>Sylvia trochilus</i> , Gajówka pierwiosnka	12 października					
<i>Muscicapa griseola</i> , Mucholówka szara	30 września					
<i>Muscicapa luctuosa</i> , Mucholówka żałobna	19 września					
<i>Saxicola oenanthe</i> , Opocznik białorzytka	3 października					
<i>Saxicola rubetra</i> , Opocznik białostrzytka	25 września					
<i>Accentor modularis</i> , Płochacz pokrzywnica	5 listopada					
<i>Motacilla alba</i> , Pliszka siwa	17 października					
<i>Motacilla flava</i> , Pliszka żółta	18 września					
<i>Anthus arboreus</i> , Świergotek drzewny	8 października					
<i>Anthus pratensis</i> , Świergotek łąkowy	22 października					
<i>Alauda arvensis</i> , Skowronek rolnik	10 listopada					
<i>Alauda arvensis</i> , Skowronek leśny	24 października					
<i>Fringilla coelebs</i> , Łuszczyk zięba	24 listopada					
<i>Emberiza schoeniclus</i> , Poświerka potrzos	27 listopada					
<i>Emberiza nivalis</i> , Poświerka śniegulka				18 listopada		
<i>Pyrrhula vulgaris</i> , Gil właściwy	10 paździer.					
<i>Cuculus canorus</i> , Kukulka właściwa	3 października					
<i>Junco torquilla</i> , Krętogłów właściwy	11 września					
<i>Upupa epops</i> , Dudek właściwy	4 września					
<i>Hirundo rustica</i> , Jaskółka dymówka	5 października					
<i>Hirundo urbica</i> , Jaskółka oknówka	15 września					
<i>Hirundo riparia</i> , Jaskółka grzebielucha	15 września					
<i>Cypselus apus</i> , Jerzyk murzynek	10 sierpnia					
<i>Caprimulgus europaeus</i> , Kozodój lelek	16 października					
<i>Columba oenas</i> , Gołąb siniak	28 października					
<i>Columba palumbus</i> , Gołąb grzywacz	11 października					
<i>Columba turtur</i> , Gołąb turkawka	26 września					
<i>Perdix coturnix</i> , Kuropatwa przepiórka	21 października					
<i>Charadrius plumbeus</i> , Dzięcioł siewka		19 sierpnia	2 grudnia			
<i>Charadrius morinellus</i> , Dzięcioł mornel						
<i>Charadrius minor</i> , Dzięcioł mały	27 września					
<i>Charadrius hiaticula</i> , Dzięcioł żółtodziób	25 września					
<i>Vanellus melanogaster</i> , Czajka siewnica						
<i>Vanellus cristatus</i> , Czajka czubata	15 września					
<i>Tringa variabilis</i> , Biegus zmienny	2 października					
<i>Tringa temminckii</i> , Biegus temmincka	11 października					
<i>Tringa alpina</i> , Biegus górny	3 października					
<i>Totanus ochropus</i> , Brodziec kulik	21 września					
<i>Totanus hypoleucos</i> , Brodziec kulik	22 września					
<i>Totanus glareola</i> , Brodziec leśny	26 września					
<i>Totanus glottis</i> , Brodziec kwokacz	2 października					
<i>Scolopax rusticola</i> , Bekas słąka	11 listopada					
<i>Scolopax major</i> , Bekas dubelt	28 października					
<i>Scolopax gallinago</i> , Bekas szczyk	14 listopada					
<i>Scolopax gallinula</i> , Bekas mały			10 listopada			
<i>Ciconia alba</i> , Bocian biały	23 sierpnia					
<i>Grus cinerea</i> , Łóraw właściwy	25 października					
<i>Ardea cinerea</i> , Czapla siwa	12 października					
<i>Ardea stellaris</i> , Czapla bąk	31 października					
<i>Ardea nycticorax</i> , Czapla ślepowron	20 października					
<i>Crex pratensis</i> , Chróścieł derkacz	27 października					
<i>Gallinula porzana</i> , Kurka średnia	30 października					
<i>Gallinula chloropus</i> , Kurka wodna	20 października					
<i>Fulica atra</i> , Łyska właściwa	1 listopada					
<i>Podiceps cristatus</i> , Perkoz koza	29 listopada					
<i>Podiceps auritus</i> , Perkoz zausznik	6 listopada					
<i>Larus canus</i> , Mewa siwa						
<i>Larus ridibundus</i> , Mewa śmieszek	9 października					
<i>Larus marinus</i> , Mewa morską						
<i>Anas penelope</i> , Kaczka piszczałka	8 listopada					
<i>Anas querquedula</i> , Kaczka cyranka	2 października					
<i>Anas crecca</i> , Kaczka cyranecka	8 listopada					
<i>Anas clangula</i> , Kaczka gągoł						
<i>Anas histrionica</i> , Kaczka północna				29 września		
<i>Anas ferina</i> , Kaczka głowienka	10 listopada					
<i>Anas leucophaea</i> , Kaczka białooka	22 października					
<i>Anser segetum</i> , Gęś zbożowa	10 listopada					
<i>Cygnus musicus</i> , Łabędź dziki		12 września	15 listopada			
<i>Mergus abellus</i> , Tracz bielaczek				20 listopada		
<i>Colymbus arcticus</i> , Nur czarnoszyj						
<i>Colymbus glacialis</i> , Nur lodowicy				20 paździer.		
				16 listopada		

Piątego stycznia, starego drzemlika widziałem. Kobusiki tej jesieni pospolitsze jak zwykle.

Błotniaki te na wiosnę w małej liczbie przyciągają, w mniejszej jeszcze gnieźdzą się po obszernych, bagnistych polach; od żniw dopiero młode w znacznej liczbie po polach się tułają. Tej jesieni bardzo rzadkie. Gawrony obficie przelatywały przy końcu października i początku listopada; niektóre pola niezliczonymi ich stadami ciągle były okryte, na zimę dalej ku południowi odleciały, i bardzo mała ilość pozostała.

Wkrótce po opuszczeniu gniazd gdzieś odleciały, przez całe lato bardzo rzadkie, w początku września i przez czas siewów częściej się widzieć dały.

13 grudnia, widziałem samca pozostałego na zimę.

24 grudnia po mrozach na 14 stopni Reaum., widziałem tę pliszkę biegającą po lodzie nad rzeką; uwijała się żwawo za robaczkami przez wodę wyrzuconymi, i nie zdawała się jeszcze nic cierpieć od głodu i zimna.

Od 17 do 22 września, deszcz przy zimnym wietrze ciągle prawie padał; przez ten czas znaczna ilość tych jaskółek z głodu pozdychała.

Przepiórek więcej jak w roku przeszłym i długo bawily. Siewki tej jesieni mniej były pospolite jak zwykle, rzadko gdzie znaczniejsze ich stada napotykać się dały.

Dubelty z początku ciągu niezbyt liczne, w końcu września i początku października, przelot ich był znaczniejszy. 24 listopada, na błocie zamrzniętym, znalazłem jeszcze dubelta bardzo chudego, który pewno byłby już nie odleciał.

Bociany tak się nagle i dokładnie zebrały do odlotu, że nigdzie ani opóźnionego ani zabłąkanego nie widziałem.

Koło 20 grudnia, widywano bąka tułającego się po niezamrzniętych strugach; 28 grudnia znikł, nie wiadomo czyli się przeniósł gdzieś indziej, albo też zdechł z głodu; był smutny, osowiały i wiele zdawał się cierpieć od niedostatku. Chróściele przez lato w miarnej były ilości; w jesieni po krzakach dość licznie i długo bawily.

Rozmaite gatunki mew tej jesieni często widywano.

Uwaga. Jesień tegoroczna znacznie przedłużona, ciepła, sprzyjała bardzo długiemu zatrzymaniu się ptaków przelotnych; z tego powodu przelot ten dość był długi, i gdyby nie mrozy (które około połowy listopada, błota i wody stojące, na kilka dni pościnały), do odlotu ich nie zmusiły, znacznie dłużej mogły się zatrzymać. Ptactwa błotnego a mianowicie bekasów, z powodu powysychania błot, nadzwyczajnie mało, dopiero ku końcowi lipca w znacznej liczbie przyciągnęły, i na naszych błotach do samego odlotu przebywały. Fielauzów (*Scolopax gallinula*) znaczna ilość przeciągała. Kaczek daleko więcej się gnieździło jak w roku przeszłym, nie zbyt jednak były obfite. W jesieni, po obszernych wodach, nagromadziło się mnóstwo wszelkiego wodnego ptactwa, i do połowy grudnia tojest czasu stałego zamrznięcia tych wód, przebywały. Ptaki owadożerne w zwykłym czasie odleciały, i nie na nie przedłużona jesień nie wpłynęła. Ptaków zimowych bardzo mało się pokazało z początkiem zimy. Jemiołuch (*Bombicilla garrula*), wcale nie widziałem, a śniegulę (*Emberiza nivalis*) raz tylko w czasie zanotowanym widziałem. Gilów (*Pyrrhula vulgaris*), także nie wiele sięgnęło. Lato rozmazaniu się kuropatw bardzo sprzyjało; wszędzie były obfite.